

JOHN DOS PASSOS

CIEŻKIE PIENIĄDZE

PRZEŁOŻYŁ I OPRACOWAŁ
KRZYSZTOF ZARZECKI

SPIS TREŚCI

Od tłumacza

CHARLIE ANDERSON

Kronika XLIV Jankes Duda

CHARLIE ANDERSON

Kronika XLV Gdyby nie szminka.

SYSTEM AMERYKAŃSKI

Kronika XLVI oto ludzie urabiani

Oko kamery (43) skurecz chwyta za gardło.

Kronika XLVII okazja dla chłopca

Oko kamery (44) bezimienny przybysz.

CHARLIE ANDERSON

Kronika XLVIII Korporacja Stali.

BLASZANA LIZA.

Kronika XLIX Walecie karowy.

CHARLIE ANDERSON

Kronika L Nie zwalaj winy na Broadway.

PUCHAR GORYCZY

Kronika LI Słońce zagasło

MARY FRENCH.

Oko kamery (45) wąski żółty pokój.

MARY FRENCH.

Oko kamery (46) chodź po ulicach

Kronika LII przybywszy na nabożeństwo.

SZTUKA I IZADORA

Kronika LIII Pa, pa, sroczo

MARGO DOWLING.

Kronika LIV transakcje poranne

WIRTUOZ TANGA.

Kronika LV Tłumy na ulicach.

Oko kamery (47) w portowej mgle.

CHARLIE ANDERSON

Kronika LVI pierwsza rzecz

Oko kamery (48) z Santanderu na zachód

MARGO DOWLING

Kronika LVII przed seansami na Uniwersytecie

MARGO DOWLING

Kronika LVIII Blask opromienia

OBOZOWICZE Z KITTY HAWK

Kronika LIX obey, który pierwszy

CHARLIE ANDERSON

Kronika LX Czy winna była Celine?

MARGO DOWLING

Kronika LXI Wysoko, wysoko

CHARLIE ANDERSON

Kronika LXII Gwiazdy zwiastują

MARGO DOWLING

Kronika LXIII ale parę minut później

ARCHITEKT

Kronika LXIV Niesamowitą rybę wyłowiono

Oko kamery (49) piechotą z Plymouth

Kronika LXV Burza unieruchomiła metro

MARY FRENCH

Kronika LXVI Holmes odmawia

Oko kamery (50) rozpedzili nas pałkami

Kronika LXVII Kiedy porządek rzeczy

BIEDNY MAŁY BOGATY CHŁOPIEC RICHARD ELLSWORTH SAVAGE
Kronika LXVIII Osłupienie na Wall Street
Oko kamery (51) w mroku wzgórz
POTĘGA, WSZECHPOTĘGA
MARY FRENCH
WŁÓCZĘGA

Przypisy tłumacza

OD TŁUMACZA

"Ciężkie pieniądze" są - po wydanych wcześniej "42 równoleżniku" i "Roku 1919" - trzecią częścią trylogii "USA" ukazującą się w polskim przekładzie. Napisane w latach trzydziestych "USA" pozostało szczytowym osiągnięciem w twórczości Johna Dos Passosa, stawiającym go w rzędzie wielkich pisarzy amerykańskich naszego stulecia. O pół roku starszy od Fitzgeralda, półtora od Faulknera, dwa i pół od Hemingwaya - Dos Passos tak jak oni wszedł do literatury prosto z frontów pierwszej wojny światowej. W latach trzydziestych był w Polsce najślawniejszym z pisarzy amerykańskich tak zwanego zagubionego pokolenia. Przetłumaczono wówczas dwie znane również z powojennych wznowień powieści: "Trzech żołnierzy", jedną z najgłośniejszych pozycji pacyfistycznych okresu między-wojennego, oraz "Manhattan Transfer", kronikę życia Nowego Jorku na początku wieku.

Trylogia "USA" jest bogatszym i dojrzalszym przetworzeniem doświadczeń, z których wyrosły owe dwie wcześniejsze powieści. Miejsce Nowego Jorku z "Manhattan Transfer" zajmuje tutaj panorama całego olbrzymiego kontynentu amerykańskiego na przestrzeni lat trzydziestu, ukazana przez pulsujące gorączkowym życiem biografie dwunastu fikcyjnych bohaterów obojga płci, reprezentujących różne obszary geograficzne i sfery społeczne Ameryki. "42 równoleżnik" ukazuje pokolenie pełne nadziei na lepsze jutro świata w rozpoczynającym się nowym stuleciu; "Rok 1919" przedstawia wielki wstrząs, jaki mu zgotowała wojna światowa; "Ciężkie pieniądze" zamykają jego losy kłamrą wielkiego kryzysu.

Fikcyjne życiorysy dwunastu bohaterów trylogii przeplótł Dos Passos krótkimi rozdziałami-przerywnikami, utrwalającymi klimat i smak epoki. Są one trojakiemu rodzaju: dwadzieścia sześć pełnych ekspresji, zwięzłych biografii sławnych Amerykanów tej epoki - prezydentów Wilsona i Teodora Roosevelta, pisarza-rewolucjonisty Johna Reeda i bankiera Morgana, wynalazcy Edisona i aktora Rudolfa Valentino, fabrykanta samochodów Henry Forda i tancerki Izadory Duncan; sześćdziesiąt osiem dokumentarnych "Kronik" złożonych w całości z nagłówków gazetowych, fragmentów wypowiedzi i artykułów, popularnych szlagierów i reklam; wreszcie pięćdziesiąt jeden rozdziałików zatytułowanych "Oko kamery", stanowiących poetyckie strzępy autobiografii samego autora.

Oto elementy, z których Dos Passos skomponował niezwykle i niepowtarzalną powieściową kronikę burzliwego okresu w życiu wielomilionowego narodu.

CHARLIE ANDERSON

Charlie Anderson leżał na koi w oślepiającym purpurowym szumie. "Titina, ach, Titina". Do diabła z tą wczorajszą melodią. Leżał na wznak z piękącymi oczami i językiem jak kawał ciepłego kwaśnego wołoku w ustach. Wysupłał stopy spod koca, zwałókl je za krawędź koi, wielkie białe stopy z różowymi guzkami na paluchach. Spuścił nogi na czerwony chodnik, podciągnął się bezwładnie do iluminatora. Wystawił głowę.

Zamiast basenu portowego - mgła i drobne szarozielone fale pluskające o złuszczone kadłub parowca. Stoją na kotwicy. Gdzieś w górze zaskrzeczała we mgle niewidoczna mewa. Charlie wstrząsnął się i schował głowę.

Oplukał w miednicy twarz i szyję, aż skóra się zaróżowiła od lodowatej wody. Zdjął go chłód i mdłości, więc się osunął z powrotem na koję i naciągnął jeszcze ciepłe okrycie pod brodę. Dom. Diabli z tą melodią.

Poderwał się. Żołądek podjeżdżał mu do gardła, łomotało w skroniach. Wyciągnął nocnik, pochylił się, zakrztusił. Odrobina zielonkawej żółci. Nie, nie zwymiotuje. Włożył bieliznę i gabardynowe spodnie mundurowe, namydlił pędzlem twarz. Podczas golenia poczuł ogarniającą go chandrę. Czego mu potrzeba, to... Zadzwoił na stewarda.

- Bonjour, m'sieur.

- Słuchaj, Billy, przynieś mi podwójny koniak. Tout de suite*, dobrze?

Zapiął starannie koszulę, włożył frencz. Przejrzał się w lustrze. Dokoła oczu miał czerwone obwódki, twarz zieloną pod opalenizną. Nagle zaczęło mu się znowu zbierać na wymioty, dławiący kwas podchodził do gardła. Rany, te francuskie łajby śmierdzą. Pukanie, francuski uśmiezek stewarda.

- Voila, m'sieur - i biały spodeczek z kieliszkiem w bursztynowej kałuży trunku.

- Kiedy wchodzimy do portu?

Wzruszenie ramion i burkliwe:

- La brume*.

Zielone płatki tańczyły mu ciągle przed oczami, kiedy wchodził na pokład po trapie pachnącym linoleum. Na dworze mokra mgła przylgnęła wilgocią do twarzy. Schował ręce do kieszeni, pochylił się do przodu. Żywej duszy na pokładzie, tylko parę kufrów i stos złożonych leżaków. Od nawietrznej wszystko było mokre, kropelki spływały po iluminatorach palarni, obramowanych mosiądzem. W którąkolwiek stronę spojrzeć, nic tylko mgła.

Za drugim okrążeniem spotkał Joego Askewa. Joe wyglądał kwitnąco. Wąsiki miał równo przystrzyżone pod cienkim nosem, wzrok jasny.

- Parszywy pech z tą mgłą, Charlie.

- Cholerny.

- Głowa, co?

- Za to ty wyglądasz prima, Joe.

- Jasne. Czemuż by nie? Ale już mnie ponosi, od szóstej jestem na nogach. Diabli nadali tę mgłę. Możemy tak stać cały dzień.

- Tak, mgła jak rzadko. Zrobili kilka tur dookoła pokładu.

- Zauważyłeś, jak ta łajba cuchnie, Joe?

- Stoimy na kotwicy, a mgła podobno zaostrza węch. Co byś powiedział na śniadanko?

Charlie milczał chwilę, po czym nabrał powietrza głęboko w płuca i rzekł:

- Ano, spróbujmy.

W jadalni pachniało cebulą i płynem do polerowania mosiądzu. Johnsonowie siedzieli już przy stole. Pani Johnson, blada i chłodna, miała na głowie mały popielaty kapelusik, którego Charlie jeszcze nie widział. Już gotowa do zejścia na ład. Paul odpowiedział na jego dzień dobry bladym uśmiechem. Charlie zauważył, jak mu drży ręka, którą podnosił do ust szklanekę z sokiem pomarańczowym. Wargi miał kredowobiałe.

- Nikt nie widział Olliego Taylora? - zapytał Charlie.

- Pewnie się nie bardzo czuje - odparł ze śmiechem Paul.

- A pan jak się czuje, Charlie? - zapytała słodko pani Johnson.

- J-ja? J-jak młody bóg.

- Łże jak z nut - powiedział Joe Askew.

- Nie mogę pojąć - odezwała się pani Johnson - co wyście, chłopcy, robili tak długo w nocy.

- Śpiewaliśmy sobie - odrzekł Joe Askew.

- Jeden mój znajomy - powiedziała pani Johnson - od tego śpiewania położył się do łóżka w ubraniu.

Poszukała wzrokiem oczu Charliego. Paul zmienił temat:

- Grunt, że jesteśmy w ojczyźnie Pana Boga.

- Nie wyobrażam sobie, jaka będzie teraz Ameryka! - wykrzyknęła pani Johnson.

Charlie tykał swoje ef awek di beka* i popijał kawą, która pachniała zenzą.

- Na nic się tak nie cieszę - odezwał się Joe Askew - jak na prawdziwe amerykańskie śniadanie.

- Grapefruity - powiedziała pani Johnson.

- Płatki kukurydzane ze śmietanką - powiedział Joe.
- Ciepłe bułeczki kukurydzane - powiedziała pani Johnson.
- Świeże jaja na wirgińskiej szynce wędzonej w dymie hikorowym-powiedział Joe.
- Naleśniki z wiejską kiełbasą - powiedziała pani Johnson.
- Wieprzowinka w cieście - powiedział Joe.
- Porządna kawa z prawdziwą śmietanką - powiedziała pani Johnson.
- Twoje na wierzchu - przerwał Paul wstając z bladym uśmiechem od stołu.

Charlie dopił resztkę kawy i wstał również, mówiąc, że wyjdzie zobaczyć, czy nie nadjechali już urzędnicy imigracyjni.

- Co się stało Charliemu? - dobiegł go głos pani Johnson.

Wbiegając po trapie słyszał ciągle, jak chichoczą oboje z Joem. Znalazłszy się na pokładzie stwierdził, że chyba jednak nie zwymiotuje. Mgła nieco zrzędła. Za rufą "Niagary" majaczyły inne parowce, dalej czerniał jakby półkolisty cień, może ląd. W górze krążyły z krzykiem mewy, w regularnych odstępach niesło się po wodzie pojękiwanie syreny mgielnej. Charlie przeszedł na dziób i wychylił się w mokrą mgłę. Po chwili wynurzył się z tyłu Joe Askew z zapalonym cygarem.

- Lepiej spacerować - powiedział ujmując go pod ramię. - Ale pech z tą mgłą. Mogłoby się zdawać, że poczciwy stary Nowy Jork został starty z powierzchni ziemi podczas tego nieporozumienia towarzyskiego. Nie widzę czubka swego nosa. Ty coś widzisz?

- Przed chwilą zdawało mi się, że widzę ląd. Ale teraz wszystko znikło.

- To musiało być Atlantic Highlands. Stoimy na wysokości Sandy Hook. Cholera, chciałbym się już znaleźć na lądzie.

- Żona pewnie na ciebie czeka, Joe?

- Powinna. A ty nie masz nikogo w Nowym Jorku? Charlie potrząsnął głową.

- Zostało mi jeszcze kawałek drogi do domu. Nie mam pojęcia, co tam będę w ogóle robił.

- Niech to szlag, możemy tu stać cały dzień - powiedział Joe Askew.

- A co gdybyśmy się napili po jednym? - zaproponował Charlie. - Ostatni raz.

- Kiedy zamknęli już ten cholerny bar.

Rzeczy spakowali poprzedniego dnia. Nie mieli nic do roboty. Przez całe przedpołudnie siedzieli w palarni i grali w remi. Ale nikt nie był w stanie się skupić i nikt nigdy nie wiedział, kto ostatni kupował. Paulowi co chwila wypadały karty. Charlie unikał wzroku pani Johnson i całą siłą woli powstrzymywał się od zerkania na miękkie załamanie jej szyi w miejscu, gdzie znikła w popielatym futrzanym obramowaniu sukienki.

- Nie rozumiem - mówiła znowu pani Johnson - o czym wyście, chłopcy, tak długo wczoraj rozmawiali. Sądziłam, że wyczerpaliśmy wszystkie możliwe tematy.

- Och, temat się zawsze znajdzie - odrzekł Joe Askew. - Ale wypowiadaliśmy się głównie w formie śpiewu.

- Wiem, najciekawsze rzeczy dzieją się zawsze, kiedy pójdę spać.

Charlie zauważył, jak siedzący obok Paul wpatruje się w nią rozkochanymi oczami.

- To takie nudne - podjęła z wyzywającym uśmiechem - nic tylko ciągle siedzieć.

Paul oblał się rumieńcem; miał minę, jakby mu się zbierało na płacz. Charlie był ciekaw, czy pomyślał o tym samym, co on.

- To kto teraz rozdaje? - zapytał szybko Joe Askew.

Koło południa przyszedł do palarni major Taylor.

- Dzień dobry. Na pewno nikt nie czuje się podlej ode mnie. Le commandant mówi, że nie wiadomo, czy wejdziemy do portu przed ranem.

Rzucili karty nie kończąc rozgrywki.

- Ładna historia - powiedział Joe Askew.

- Może to i lepiej - odparł Ollie Taylor. - Jestem ruiną człowieka. Ostatni nie stroniący od kieliszka i uciech potomek rodu Taylorów jest kompletną ruiną. Przeżyliśmy jakoś wojnę, ale ten pokój nas wykończy. Charlie popatrzył na jego szarą twarz, dziwnie zapadła w mętным zamglonym blasku sączącym się przez iluminatory. Spostrzegł siwe pasma w jego włosach i wąsach. Jak Boga kocham, pomyślał, muszę skończyć z tym pić.

W końcu doczekali się lunchu, po czym się rozeszli na drzemkę. Idąc do siebie Charlie natknął się na korytarzu przed swoją kabiną na panią Johnson.

- Pierwsze dziesięć dni będzie najcięższe, nie uważa pani?

- Mów mi: Ewelino. Wszyscy mi tak mówią.

Krew uderzyła Charliemu do głowy.

- To do niczego nie prowadzi. Nie zobaczymy się pewnie więcej.

- Czemu nie? - zapytała.

Zajrzał w jej podłużne piwne oczy. Jej źrenice rozszerzyły się tak, że tęczówki zrobiły się niemal czarne.

- Mój Boże, gdyby to było możliwe - wyjąkał. - Chyba nie myślisz...?

Ale ona, otarłszy się o niego jedwabście, oddalała się już korytarzem. Wszedł do kabiny trzaskając drzwiami. Rzeczy stały spakowane. Steward zdjął już pościel z łóżka. Charlie rzucił się twarzą na pasiaste

plótno materaca, pachnące stęchlizną.

- Niech Bóg skarże tę kobietę - powiedział na głos.

Obudził go stukot windy parowej, w który zaraz się wdarł dzwonek z maszynowni. Charlie wyrwał przez iluminator i zobaczył żółto-biały kuter celny, a za nim w oddali drewniane domy w mętnoróżowym świetle słońca. Mgła się rozpraszała. Byli już w Cieśninie*.

Nim przemył oczy piekące od snu i wybiegł na pokład, "Niagara" sunęła powoli środkiem Zatoki mieniącej się szarzielonymi błyskami. Mgła wisiała rudawymi girlandami nad głową. Czerwony prom przecinał im drogę. Po prawej stronie stało rzędem kilka zakotwiczonych cztero- i pięciomasztowych szkunerów, dalej rejowiec, za nim płatanina zwalistych parowców Komisji Żeglugi*, po części upstrzonych jeszcze esami-floresami wojennego kamuflażu. Potem prosto na kursie wyłoniła się migotliwa poszarpana smuga potężnych budowli Nowego Jorku.

Po chwili zjawił się Joe Askew w trenczu, z niemiecką lornetką polową przewieszoną przez ramię. Niebieskie oczy mu promieniały.

- Widzisz już Statuę Wolności, Charlie?

- Nie. A owszem, widzę. Wydawała mi się jakaś większa.

- A tam jest Czarny Tom*, gdzie była ta eksplozja.

- Wszystko wygląda strasznie sennie, Joe.

- Bo dziś niedziela.

- Oczywiście, musieliśmy przyjechać w niedzielę.

Byli już naprzeciwko Battery*. Długie klamry mostów spinających Manhattan z Brooklynem tonęły w mroku dymów za bladymi drapaczami.

- Tutaj są te ciężkie pieniądze, Charlie - powiedział Joe Askew skubiąc wąsik. - Musimy uszczknąć Z tego coś dla siebie.

- Ba, żebym tylko wiedział, jak się do tego zabrać.

Płynęli teraz koło długiego szeregu krytych pirsów. Joe wyciągnął do niego rękę.

- No, Charlie. Napisz do mnie koniecznie, słyszysz? Fajna była ta wojenka.

- Na pewno napiszę, Joe.

Dwa holowniki, mocując się z falą odpływu, obróciły "Niagarę" bokiem do pirsu. Na dachu przystani powiewały flagi amerykańskie i francuskie, w czarnych otworach wejść stały grupki machających ludzi.

- Jest moja żona! - wykrzyknął raptem Joe Askew. Ścisnął Charliemu dłoń. - Do zobaczenia, bracie. Jesteśmy w domu.

Charlie ani się obejrzał, jak schodził, za rychło, po trapie do budynku przystani. Oficer transportowy ledwo rzucił okiem na jego papiery. Celnik, który przystawiał Pieczęć na jego sakwojażu, powiedział: "Co, Potem panie poruczniku, dobrze się znaleźć z powrotem w kraju. Charlie minął przedstawiciela Ymki, dwu reporterów, pana z komitetu magistrackiego. W żółtym półmroku wielkiej hali nieliczni ludzie sprawiali wrażenie samotnych i zagubionych wśród niepozornych kufrów. Major Taylor i Johnsonowie podali sobie ręce jak obcy.

Po chwili Charlie maszerował do taksówki w ślad za swoim niewielkim kuferkim koloru khaki. Johnsonowie mieli już taksówkę, czekali tylko na jakiś zawieruszony sakwojaż. Charlie podszedł do nich, gorączkowo szukając w myśli czegoś do powiedzenia. Paul odezwał się pierwszy. Powiedział, że Charlie musi ich koniecznie odwiedzić, jeśli zostanie w Nowym Jorku. Stał w drzwiczkach taksówki, tak że Charlie nie mógł zamienić ani słowa z Eweliną. Widział, jak zaciśnięte szczęki Paula się rozluźniają, kiedy bagażowy przyniósł wreszcie zagubiony sakwojaż.

- Nie zapomnij nas odwiedzić! - zawołał Paul wskakując do taksówki i zatrząskując za sobą drzwiczki.

Charlie wrócił do swojej taksówki, z ostatnim błyskiem jej podłużnych piwnych oczu i wyzywającym uśmiechem wyrytym w pamięci.

- Nie wie pan, czy w hotelu McAlpin dają jeszcze zniżki oficerom? - zapytał szofera.

- Jasne, z oficerami wszędzie się liczą - odpowiedział szofer kącikiem ust. - A dla prostych żołnierzy mają najwyżej kopa w tyłek.

Przełączył wściekle biegi. Taksówka skręciła w szeroką pustą brukowaną ulicę. Jechała lżej od taksówek paryskich. Po obu stronach były wielkie składy i hale targowe, zamknięte na głucho.

- Rany, wygląda wszystko jak wymarłe - powiedział Charlie pochylając się do szyby, która go oddzielała od szofera.

- Tak, zastój jak jasny gwint - odrzekł szofer. - Przekona się pan sam, jak pan zacznie szukać pracy.

- No tak, ale żeby wszystko było zamknięte na głucho? Tego jeszcze nie było.

- Dlaczego by miało być otwarte? Przecież dziś niedziela.

- Ach, racja. Zapomniałem.

- Jasne, że niedziela.

- Tak, teraz pamiętam.

KRONIKA XLIV

Jankes Duda, ta przyśpiewka*

PUŁKOWNIK HOUSE* POWRÓCIŁ Z EUROPY

WYGLĄDA NA CIĘŻKO CHOREGO

Jankes Duda, ta przyśpiewka

PODBIĆ PRZESTWORZA, OBJAĆ WZROKIEM PRZESTRZENIE

czyż nie najwyższy czas, by wydawcy gazet zjednoczyli się w zdrowym dążeniu do uspokojenia wzburzonych umysłów, w podawaniu wszystkich wiadomości, lecz bez tego uprzykrzonego wybijania nadchodzących kataklizmów

WALKI SIĘ ROZSZERZAJĄ, IMPAS TRWA

pozwolili, by rząd na usługach Trustu Stalowego zdeptał prawa demokratyczne, które według wielekroć powtarzanych zapewnień miały stanowić puściznę narodową Ameryki

ARMATORZY DOMAGAJĄ SIĘ OCHRONY SWOICH INTERESÓW

Jankes Duda, ta przyśpiewka,

Jankes Duda, ta przyśpiewka

Wryrywa mi z gardła hur-ra

jedyni ocaleni członkowie załogi szkunera "Onato", po przybyciu do Filadelfii, zostali osadzeni w więzieniu

PREZYDENT ZDROWSZY, PRACUJE W ŁÓŻKU

Idę Ameryko!

Ja wiem

GOTOWI NAŁOŻYĆ KAGANIEC PRASIE

Nie ma drugiego

Kraju takiego

Charles M. Schwab*, po powrocie z Europy, gościł na lunchu w Białym Domu. Oświadczył on, że kraj nasz przeżywa okres rozkwitu, nie takiego jednak, jakby powinien, a to z powodu wielu niepokojących dochodzeń, w toku których

Nie ma tylu pięknych ziem

Od Kalifornii do Manhattanu

CHARLIE ANDERSON

Boy o twarzy szczurka postawił walizki, sprawdził krany w umywalce, uchylił okno, przełożył klucz do wnętrza pokoju, po czym wyprężył się prawie na baczność.

- Nic pan nie potrzebuje, panie poruczniku? To jest życie, pomyślał Charlie i wymacał w kieszeni ćwierć-dolarówkę.

- Dziękuję, panie poruczniku. - Boy szurnął nogami, odchrząknął.

- Musiało być strasznie po tamtej stronie, prawda, panie poruczniku?

Charlie się roześmiał.

- No, nie było tak źle.

- Mnie się nie udało pojechać. - Boy pokazał swoje szczurze zęby w szerokim uśmiechu. - To cudownie być bohaterem - powiedział cofając się tyłem do drzwi.

Rozpinając trenz Charlie wyjrzał przez okno. Znajdował się wysoko w górze. Między kwartałami brudnych prostokątnych gmachów widać było kawałek kolumnady i dach nowego Dworca Pensylwańskiego. Dalej, za bocznkami kolejowymi, rozmazane słońce chowało się za wzgórze po drugiej stronie Hudsonu. Niebo nad głową było szkarłatne i różowe. W wąwozie wyludnionych niedzielnych ulic dudniła i zgrzytała kolej nadziemna. Wiatr wpadający przez uniesione okno niósł szorstką woń sadzy. Charlie zamknął okno i

poszedł umyć twarz i ręce w umywalce. Ręcznik hotelowy, mięsisty i miękki w dotyku, pachniał lekko chlorkiem. I co dalej?

Spacerował tam i z powrotem po pokoju, miętosząc w palcach papierosa i obserwując, jak za oknem ciemnieje niebo, gdy nagle poderwał go brzęk telefonu. W słuchawce odezwał się podchmielony przyjazny głos Olliego Taylora.

- Przyszło mi do głowy, że pewno nie wiesz, gdzie pójść na jednego. Nie wybrałbyś się ze mną do klubu?

- To bardzo ładnie z twojej strony, Ollie. Zachodziłem właśnie w głowę, co ze sobą począc w tym cholernym mieście.

- Tak, zrobiło się tu dość parszywie - podjął głos w słuchawce. - Ta prohibicja i w ogóle. To przekracza najczarniejsze wyobrażenia. Podjadę po ciebie taksówką.

- Dziękuję, Ollie. Będę czekał w hallu.

Włożył trenecz, przypomniał sobie, żeby odpiąć koalicijkę, przyczesał jeszcze raz szorstkie blond włosy i zjechał na dół. Usadowił się w głębokim fotelu naprzeciwko drzwi obrotowych. W hallu było rojno. Skądś z głębi dochodziła muzyka. Siedział słuchając tanecznych melodii i patrząc na jedwabne pończochy, wysokie obcasy, futra i przystojne twarze kobiet wchodzących z dworu, zaróżowione od wiatru. Wszystko dookoła szeleściło i podzwaniało wykwinie. Rany, duża rzecz. Przechodzące panie zostawiały za sobą ulotną smugę perfum i ciepłą woń futer. Zaczął liczyć, ile mu zostało pieniędzy. Miał czek na trzysta dolarów zaoszczędzone z żołdu, w portfelu na piersi cztery żółciutki dwudziestki wygrane w pokera na statku, kilka dziesiątek i, zaraz, ile drobnych? Bilon pobrzękiwał mu cicho w kieszeni spodni, kiedy przesuwał palcami monety.

Nad nim pochylała się czerwona twarz Olliego Taylora, ubranego w obszerny paltot z wielbłądziej sierści.

- Wiesz co, mój drogi? Nowy Jork jest skończony. W hotelu Knickerbocker podają w barze lody z wodą sodową.

Kiedy usadowili się w taksówce, chuchnął Charliemu w twarz ostrym zapachem wysokogatunkowej żytniówki.

- Charlie, obiecałem cię przyprowadzić na kolację do Nata Bentona. Chyba nie masz nic przeciwko temu. To swój chłop. Panie chcą koniecznie poznać prawdziwego lotnika z palmami*.

- Nie chciałbym się narzucać, Ollie.

- Ani słowa więcej, mój drogi.

W klubie wszyscy znali Olliego Taylora. Stali obaj z Charliem długo przy barze wykładanym ciemną boazerią, w grupie szpakowatych panów z knajpianymi rumieńcami na twarzach, i pili nie kończące się Manhattany*. Wszyscy byli majorami i pułkownikami, wszyscy mówili Charliemu panie poruczniku, ilekroć się do niego zwracali. Charlie drżał przez cały czas, że Ollie zaperfumuje się za bardzo, żeby iść na kolację do prywatnego domu. Nagle się okazało, że jest już wpół do ósmej, więc nie kończąc ostatniej kolejki wsiedli znowu w taksówkę i pojechali w górę Manhattanu żując po drodze goździki.

- Sam nie wiem, co im mówić - zalił się Ollie. - Jak im mówię, że to były dwa najcudowniejsze lata mojego życia, to wybałuszają na mnie ślepią i robią głupie miny. Ale co ja na to poradzę?

W kamienicy, przed którą wysiedli, było pełno marmurów, szwajcar w zielonej liberii i winda wykładana różnymi gatunkami drewna. "Nat Benton jest maklerem na Wall Street", szepnęła Ollie, kiedy czekali na otwarcie drzwi. W różowym salonie wszyscy byli w wieczorowych strojach. Czekali z kolacją tylko na nich. Widać od dawna przyjaźnili się z Olliem, bo okropnie się nad nim rozplywali. Dla Charliego też byli bardzo wylewni, podali zaraz cocktaile i Charlie czuł się jak udzielny książę. Najmłodsza z kobiet, niejaka panna Humphries, była śliczna jak malowanie. Ujrawszy ją Charlie od razu postanowił, że będzie tylko z nią rozmawiał. Jej oczy, jej powiewna seledynowa suknia i puder w zagłębieniu między drobnymi łopatkami przyprawiły go o zawrót głowy, tak że wołał się do niej zbytnio nie zbliżać. Kiedy Ollie spostrzegł ich stojących razem, podszedł i pociągnął ją za ucho.

- Wyrosłaś na oszałamiającą piękność - powiedział. Stał rozpromieniony, chwiejąc się trochę na swoich krótkich nogach. - No cóż, bohaterowie godni są takiej urody. Ostatecznie nie co dzień wraca się z wojny, co, Charlie?

- Prawda, że jest kochany? - powiedziała panna Humphries, ledwo Ollie się odwrócił. - Byliśmy narzeczonymi, kiedy ja miałam może sześć lat, a on był studentem.

Poproszono ich właśnie do jadalni, gdy Ollie, który zdążył tymczasem wypić jeszcze parę cocktaile, rozkrzyżował ramiona i przystąpił do wygłaszania mówki.

- Spójrzcie tylko na nie, te nasze Amerykanki, cudowne, inteligentne, tryskające życiem. Takich kobiet nie ma po tamtej stronie, prawda, Charlie? Trzech rzeczy nie ma nigdzie indziej na świecie, prawdziwych cocktaile, przyzwoitych śniadań i takich kobiet jak w Ameryce, niech Bóg ma je w swojej opiece.

- Prawda, jaki on kochany? - szepnęła panna Humphries Charliemu do ucha.

Na stole leżały równiutko nie kończące się srebra, pośrodku stały róże w chińskim wazonie, a przed każdym nakryciem baterie kieliszków na złożonych nóżkach. Charliemu spadł kamień z serca, gdy stwierdził, że ma miejsce obok panny Humphries. Podniosła do niego uśmiechniętą twarz.

- Boże -jęknął Charlie robiąc do niej minę - nie będę wiedział, jak się zachować.

- Tak, to musi być dla pana coś zupełnie... innego niż za morzem. Niech pan się zachowuje naturalnie. Ja tak zawsze postępuję.

- O, nie. Mężczyzna napyta sobie zawsze biedy, kiedy się zachowuje naturalnie.

Roześmiała się.

- Może pan ma rację. Och, musi mi pan opowiedzieć, jak tam było naprawdę. Nikt mi nie chce nigdy nic powiedzieć. - Wskazała palcem palmy przy jego Croix de Guerre. - Opowie mi pan o nich, dobrze, poruczniku?

Pili białe wino do ryby, czerwone do pieczystego, potem jedli deser tonący w bitej śmietanie. Charlie powtarzał sobie przez cały czas, że nie może pić za dużo, żeby nie popełnić jakiejś gafy. Okazało się, że panna Humphries ma na imię Doris; tak do niej mówiła pani Benton. Spędziła przed wojną rok u sióstr w Paryżu i rozpytywała Charliego o miejsca, które znała, kościół Madeleine, kawiarnię Rumpelmayera, cukiernię vis-a-vis Comedie Francaise. Po kolacji, kiedy z kawą w małych filiżaneczkach ulokowali się w wykuszu za wielką różową begonią w mosiężnej donicy, zapytała, czy Charlie nie uważa, że Nowy Jork jest okropny. Siedziała na wąskiej kozetce pod oknem, a Charlie stał i patrzył przez jej białe ramię w dół na ruch uliczny. Zaczęło padać i reflektory samochodów wyglądały jak długie mieniące się wstęgi na czarnym bruku Park Avenue. Powiedział coś w tym sensie, że po tak długiej nieobecności człowiek się mimo wszystko czuje u siebie w domu. Równocześnie się zastanawiał, czy wypada jej powiedzieć, że ma piękne ramiona. Już był prawie zdecydowany, gdy usłyszał głos Olliego nawołujący wszystkich do wybrania się z nim na dansing.

- Wiem, że to pańszczyzna, dzieci, ale nie zapominajcie, że to mój pierwszy wieczór w Nowym Jorku. Zróbcie to dla mnie.

Wyszli całą grupą pod markizę i czekali, aż szwajcar przywoła taksówki. Doris Humphries w długiej wieczorowej narzutce wykończonej u dołu futrem stała tak blisko Charliego, że dotykała go ramieniem. W deszczu zacinającym z ulicy czuł w nozdrzach ciepłą woń jej perfum, futra i włosów. Stali najdłużej, dopóki wszyscy starsi nie powiadali do taksówek. Pomagając jej potem wsiąść miał przez chwilę jej drobną chłodną dłoń w swojej. Wcisnął pół dolara szwajcarowi, kiedy ten namaszczonym lokajskim głosem szepnął taksówkarzowi: "Do Shanleya". Taksówka sunęła z cichym szumem ulicą wysokich kanciastych gmachów w dół miasta. Charlie mu kręciło się lekko w głowie. Nie miał odwagi spojrzeć na nią, więc przyglądał się twarzom, samochodom, policjantom na skrzyżowaniach, postaciom w makintoshach i pod parasolami na tle nocnych drogerii.

- Niech pan teraz opowie, jak pan zdobył te palmy.

- Och, Francuzi odpalali nam od czasu do czasu parę na otarcie łez.

- Ilu pan strącił Szwabów?

- Jest o czym mówić?

Tupnęła pantofelkiem o podłogę taksówki.

- Nikt mi nigdy nie chce nic powiedzieć. Nie wierzę, że pan był w ogóle na froncie. Ani pan, ani żaden z was.

Charlie się roześmiał. W gardle zaczynało mu zasychać.

- Jeśli to panią interesuje, to byłem kilka razy nad linią frontu.

Obróciła się nagle do niego. W mroku taksówki zabłysły jej w oczach ogniki.

- R-rozumiem, panie poruczniku. Uważam, że lotnicy to najwspanialszy ludź na świecie.

- To pani jest... cudem świata.

Och, bodajby ta taksówka nigdy nie dojechała do tej knajpy... czy gdzie tam jedziemy. Przylgnęła do niego na sekundę ramieniem. Nie wiedział, jak jej dłoń znalazła się w jego ręku.

- Na imię mi Doris - powiedziała cienkim dziecinnym głosem.

- Doris - powtórzył. - A mnie Charlie.

- Lubisz tańczyć, Charlie? - spytała tym samym cienkim głosem.

- Jasne - odparł i uściskał śpiesznie jej dłoń.

Jej głos rozptywał się jak cukier.

- Ja też. Przepadam.

Kiedy weszli, orkiestra grała "Dardanelle". Charlie zostawił trench i czapkę w szatni. Krzaczaste szpakowate brwi maitre d'hôtelu pochyliły się przed nimi nad białym gorssem koszuli. Charlie ruszył za drobnymi plecami Doris, za zagłębieniem między jej łopatkami, do którego wyrwała mu się dłoń, po czerwonym chodniku, między białymi stolikami, wykrochmalonymi gorsami mężczyzn, ramionami kobiet, wśród musującego zapachu szampana, grzanek z serem i metalowych podgrzewaczy, przez róg parkietu pełnego kołyszących się par, aż do śnieżnobiałego okrągłego stołu, przy którym już siedziała reszta towarzystwa. Między sztywnymi fałdami świeżego obrusa błyszcząły na stole sztucce. Pani Benton ściągała z palców białe giemzowe rękawiczki, wpatrzona w czerwoną twarz Olliego Taylora, który opowiadał jakąś dykteryjkę.

- Chodźmy zatańczyć - szepnął Charlie do Doris. - Będziemy przez cały czas tańczyli.

Bał się za bardzo przytulać ją w tańcu, więc trzymał się na dystans. Doris tańczyła z zamkniętymi oczami.

- Rany, wspaniale tańczysz, Doris.

Kiedy orkiestra skończyła grać, stoliki, kłęby dymu tytoniowego, ludzie, wszystko nadal lekko wirowało wokół nich. Doris przyglądała mu się kącikami oczu.

- Pewnie tęsknisz do Francuzeczek, Charlie? Odpowiadał ci ich sposób tańczenia?

- Cholernie.

Przy stole towarzystwo piło z filiżanek szampana, którego dwie butelki Ollie kazał przysłać przez umyślnego z klubu. Kiedy orkiestra zaczęła grać na nowo, Charlie musiał zatańczyć z panią Benton, potem z jeszcze jedną panią, tą w brylantach i z wałkami tłuszczu w talii.

W rezultacie tańczył z Doris jeszcze tylko dwukrotnie. Widział, że reszta towarzystwa chce wracać do domu, bo Ollie był coraz bardziej ululany.

Miał w tylnej kieszeni flaszeczkę żytniówki i co rusz wywoływał Charliego na łyczek do szatni. Charlie przytykał tylko szyjkę do języka, bo liczył, że może Doris pozwoli mu się odwieźć do domu.

Ale kiedy wyszli do hallu, okazało się, że mieszka na tej samej ulicy co Bentonowie. Charlie krążył dokoła towarzystwa, kiedy panie odbierały okrycia z szatni, a potem szły do wyjścia, ale nie udało mu się napotkać jej wzroku. Skończyło się na "Dobranoc, Ollie, mój drogi! Dobranoc, panie poruczniku!" - i już portier zatrząskiwiał drzwiczki taksówki.

Cud, że w ogóle wiedział, która z dłoni uściśniętych na pożegnanie należała do niej.

KRONIKA XLV

*Gdyby nie szminka, puder i kupna peruka,
Mój kochaś u tej zdziiry szczęścia by nie szukał*

gdyby ktoś szukał najprostszego wyjaśnienia jego kariery, zapewne znalazłby je w owej niezwyklej decyzji wyrzeczenia się łatwej egzystencji biuralisty na rzecz ciężkiej harówki robotnika torowego. Młodzieniec, który u progu życia wykazał tyle przewidywania i siły woli, musiał wznieść się ponad ludzi zwykłego formatu. Został zaufanym bankierów

*W brylantach missourska ruda lafirynda,
A mój kochaś za nią na pasku się trynda*

Zmęczony chodzeniem na piechotę, jeżdżeniem na rowerze i tłoczeniem się w tramwajach, zechce wkrótce nabyć Forda.

NAPAD W BIAŁY DZIEŃ WYWOŁAŁ PANIKĘ WŚRÓD PRZECHODNIÓW

Gdy tylko jego żona zauważy, że wszystkie Fordy są jednakowe i że każdy ma Forda, zechce go wywindować na wyższy szczebel hierarchii społecznej, czego nieomylną oznaką będzie Dodge.

WYWIĄZAŁA SIĘ GWALTOWNA STRZELANINA

Kolej na następny szczebel nadziei, gdy córka powróci z college'u i rodzina przeniesie się do nowego domu. Ojciec będzie się domagał oszczędzania, ale matka zechce stworzyć dzieciom lepsze szanse, córka zapagnie pozycji społecznej, a syn zapala żądzą podróży, pędu, ruchu.

TRZECH RABUSIÓW ZAMORDOWAŁO CZŁOWIEKA KOŁO HOTELU MAJESTIC

*Nie mogę aż do świtu za nic zmrużyć oka,
Nie mogę aż do świtu za nic zmrużyć oka,
Od kiedy mi kochasia skradła ta wywłoka*

tego rodzaju wyskoki niewątpliwie świadczą o niebezpiecznym zuchwalstwie, ale wynikają właśnie z cech charakteru, które wyrostka w wieku gimnazjalnym uczyniły uznawanym hersztem bandy nękającej cały stan

SYSTEM AMERYKAŃSKI

Frederick Winslow Taylor (w fabryce nazywali go Szybkim Taylorem) urodził się w Germantown*, w Pensylwanii, w roku wyboru Buchanana*. Jego ojciec był prawnikiem, matka pochodziła z rodziny wielorybników z New Bedford; rozczytywała się w Emersonie, należała do Kościoła unitariańskiego i

Towarzystwa imienia Roberta Browninga. Była żarliwą abolicjonistką i kierowała się w życiu zasadami demokratycznymi; jako pani domu reprezentowała starą szkołę goniąc wszystkich do roboty od świtu do nocy. Ułożyła reguły postępowania:

szacunek dla siebie, poleganie na sobie, panowanie nad sobą
i trzeźwa jasna głowa do rachunków.

Ale chciała, żeby jej dzieci nauczyły się cenić rzeczy piękne, więc zabrała je na trzy lata do Europy, pokazywała im katedry, opery, rzymskie frontony, płótna starych mistrzów pod warstwą brązowego werniksu, w wielkich matowozłotyach ramach. Fred Taylor zżymał się później na wspomnienie tych zmarnowanych lat, wybiegał z pokoju, gdy rozmowa schodziła na rzeczy piękne; był drażliwym młodym człowiekiem, przepadał za psikusami i miał złote ręce do majstrowania rozmaitych przyrządów i urządzeń. W Exeter* był prymusem w klasie i kapitanem drużyny baseballowej; jako pierwszy rzucał piłkę przez ramię. (Kiedy arbitrzy protestowali, że przepisy nie przewidują rzutu przez ramię, odpowiadał, że co z tego, jeśli jest skuteczny.)

Jako chłopiec miał koszmary senne; każdorazowe pójście do łóżka było dla niego torturą. Uważał, że zmory sprowadza spanie na wznak, więc skonstruował sobie skórzaną uprząż z drewnianymi kołeczkami, które mu się wpijały w ciało, ilekroć się przewrócił na plecy. Kiedy dorósł, sypiał na fotelu albo siedząc obłożony poduszkami na łóżku. Przez całe życie cierpiał na bezsenność.

Był wyśmienitym tenisistą. W 1881 zdobył ze swym przyjacielem Clarkiem ogólnokrajowe mistrzostwo w deblu. (Grał łyżkową raketą własnego pomysłu.)

W szkole zapadł z przepracowania na zdrowiu, oczy odmówiły mu posłuszeństwa. Doktor zalecił pracę fizyczną. I tak zamiast na Uniwersytet Harvarda* poszedł terminować na mechanika i modelarza w małej fabryczce pomp, która stanowiła własność przyjaciela rodziny. Nauczył się obsługiwać tokarkę oraz ubierać i kłać jak robociarz.

Fred Taylor nigdy nie palił tytoniu, nie pił alkoholu, nie uznawał kawy ani herbaty; nie rozumiał, czemu jego koledzy z fabryki muszą iść w gaz, upijać się i urządzać burdy w każdą sobotę. On wracał do domu i jeśli nie czytał książek technicznych, to uczestniczył w przedstawieniach amatorskich albo stawał wieczorem przy fortepianie i śpiewał niezłym tenorem "Dzielnego wojaka" czy "Hiszpańskiego kawalera".

W pierwszym roku terminowania pracował w fabryce za darmo; przez następne dwa lata zarabiał półtora dolara tygodniowo; w ostatnim roku dwa dolary.

Pensylwania bogaciła się na żelazie i węglu. Mając dwadzieścia dwa lata Fred Taylor dostał zajęcie w Zakładach Żelaznych Midvale. Z początku musiał przyjąć pracę biurową, ale mu to nie odpowiadało, więc przeszedł do łopaty. Potem dopiął tego, że go postawiono przy tokarce. Spisywał się świetnie przy maszynie, pracował dziesięć godzin dziennie, a wieczorami przerabiał kurs inżynierii Instytutu Stevensa*. W ciągu sześciu lat awansował z pomocnika tokarza na narzędziowca, następnie na brygadzystę, na majstra, na kierownika ekipy naprawczej, na głównego projektanta i kierownika biura studiów, wreszcie na głównego inżyniera Zakładów Midvale.

W pierwszych latach, kiedy był tylko jednym z robotników w warsztacie, kłał i żartował, pracował i migał się od pracy jak wszyscy. Dawać z siebie fabrykantom tylko tyle, na ile zasługują! Ale kiedy został majstrem, przeszedł na drugą stronę barykady: *Stojąc po stronie kierownictwa powinni sobie przyswajać wielki zasób tradycyjnej wiedzy, która w przeszłości pozostawała tylko w głowach robotników, całą zręczność manualną i wszystkie umiejętności robotnika.* Nie tolerował widoku beczynnej tokarki i beczynnego człowieka.

Produkcja uderzyła mu do głowy, podniecała jego bezsenne nerwy, jak nerwy innych podniecał alkohol i kobiety w sobotnie wieczory. Sam się nigdy nie objął i prędzej by pękł, niż pozwolił się innym objąć. Jego konikiem stała się wydajność.

Zraził sobie kolegów w fabryce; zaczęli go nazywać poganiaczem niewolników. Był mężczyzną krępej budowy, o gwałtownym usposobieniu i ostrym języku.

Daję wam słowo, że chociaż młody wiekiem, czułem się starszy niż teraz, z całą dokuczliwością, małością i nikczemnością tej cholernej sytuacji. Jest to nie do zniesienia, kiedy nie można spojrzeć żadnemu robotnikowi w twarz, żeby w niej nie wyczytać wrogości, kiedy się na każdym kroku czuje, że właściwie nikt nie jest człowiekowi przyjacielem.

Tak się narodził Taylorowski System Naukowej Organizacji i Zarządzania.

Fred Taylor nie miał cierpliwości do tłumaczenia, nic go nie obchodziło, że wprowadzenie tego, co uznawał za naturalne prawa produkcji przemysłowej, odbije się na czyjejs skórce.

Przystępując do eksperymentu na jakimkolwiek polu, podawajcie wszystkim w wątpliwość, podawajcie w wątpliwość same podstawy, na których się opiera dana dyscyplina, podawajcie w wątpliwość nawet najprostsze, najoczywistsze, najogólniej uznane fakty; dowódcie wszystkiego

z wyjątkiem nadrzędnych kwakersko jankeskich (nowobedfordzcy szyprowie byli największymi

poganiaczami niewolników na wielorybnych szlakach) reguł postępowania. Chętnie się, że nigdy nie kazał żadnemu robotnikowi zrobić nic, czego sam nie potrafił.

Skonstruował ulepszony młot parowy, znormalizował narzędzia i osprzęt, sprowadził do fabryki studentów ze stoperami i tabelami. kazał im zestawiać i ujednolicać. *Istnieje właściwy i niewłaściwy sposób robienia każdej rzeczy; właściwy sposób oznacza zwiększoną wydajność, niższe koszty, wyższe zarobki, większe zyski:* system amerykański.

Rozbił pracę majstra na oddzielne specjalności: nadzorców organizacji pracy, nadzorców szybkości, inspektorów czasu, inspektorów porządku czynności.

Wykwalifikowani mechanicy okazali się dla niego zbyt uparci; jemu byli potrzebni surowi terminatorzy, którzy by robili, co im każe. Jeśli któryś z nich sprawdzał się jako pierwszorzędny pracownik wykonujący pierwszorzędną robotę, Taylor skłonny był go pierwszorzędnie wynagradzać; tutaj jednak zaczął popadać w konflikty z właścicielami.

W wieku trzydziestu czterech lat ożenił się i rzucił Midvale, by się puścić na szerokie wody spekulacji inwestując w papiernię uruchomioną w Maine przez paru admirałów i popleczników politycznych Grovera Clevelanda;

panika dziewięćdziesiątego trzeciego* doprowadziła przedsiębiorstwo do ruiny, więc Taylor wymyślił sobie zajęcie konsultanta do spraw organizacji i zarządzania i przystąpił do zbijania fortuny na ostrożnych spekulacjach.

Pierwszy odczyt, jaki wygłosił w Stowarzyszeniu Amerykańskich Inżynierów Mechaników, nie przyniósł mu bynajmniej sukcesu: uznano go za wariata. *Przekonałem się, pisał w 1909, że każde usprawnienie napotyka na opór większości ludzi, na opór wściekły i zażarty.*

Ściągnięty przez Bethlehemskie Towarzystwo Stalowe, w Bethlehem właśnie przeprowadził swoje sławne eksperymenty z ładowaniem gęsi surówkowych na wagony. Nauczył mianowicie Holendra nazwiskiem Schmidt ładować czterdzieści siedem ton zamiast dwunastu i pół tony surówki dziennie i uzyskał od niego zapewnienie, że się czuje po skończonej pracy równie dobrze, jak przedtem.

Miał bzika na punkcie łopat; do każdej pracy musiała być łopata odpowiedniej wielkości i wagi, przeznaczona tylko i wyłącznie do tej pracy; i każdą pracę musiał wykonywać człowiek odpowiedniego wzrostu i wagi, jedynie stosownych do tej pracy. Kiedy jednak zaczął płacić ludziom proporcjonalnie do ich zwiększonej wydajności, właściciele, banda chciwych Holendrów nie widzących dalej czubka swego nosa, podnieśli wielki krzyk. A kiedy w 1901 Stal Bethlehemską kupił Schwab,

Freda Taylora,
wynalazcę naukowej organizacji pracy,
który podwoił wydajność kruszarki przez przyśpieszenie głównych linii walców z dziewięćdziesięciu sześciu do dwustu dwudziestu pięciu obrotów na minutę,
bezceremonialnie wylano z pracy.

Od tej pory Fred Taylor zawsze powtarzał, że go nie stać na pracowanie za pieniądze.

Zasmakował w grze w golfa (posługiwał się kijami własnego pomysłu), łamał sobie głowę nad sposobami przenoszenia olbrzymich bukszpanów do swego ogrodu.

Boxly, jego rezydencja w Germantown, było zawsze otwarte dla inżynierów, dyrektorów fabryk, przemysłowców;

pisał artykuły,
wygłaszał odczyty,
stawał przed komisją kongresową
i wszędzie głosił zalety naukowej organizacji pracy i suwaka rachunkowego Bartha*, eliminowania marnotrawstwa i przestojów, zastępowania wykwalifikowanych mechaników prostymi robotnikami (jak ładowacz surówki Schmidt), którzy będą ściśle wykonywali polecenia,
i pracy na akord:
gwarancji wydajności.

Więcej szyn, więcej rowerów, więcej szpilek nici, więcej płyt pancernych do okrętów, więcej nocników, więcej drutu kolczastego, więcej igieł, więcej piorunochronów, więcej łożysk kulkowych, więcej dolarów;

(bogaciły się stare kwakerskie rodziny z Germantown, pensylwańscy milionerzy płodzili miliardero węgla i stali)

większa wydajność pozwoli się wzbogacić każdemu pełnowartościowemu Amerykaninowi, gotowemu pracować na akord, nie pić, nie urządzać burd, nie myśleć, nie marzyć o niebieskich migdałach przy tokarce.

Skrzętny ładowacz surówki Schmidt może zainwestować swoje pieniądze i stać się posiadaczem tak jak Schwab i banda chciwych Holendrów nie widzących dalej czubka swego nosa, może się rozsmakować w Bachu i hodować stuletnie bukszpany w swoim ogrodzie w Bethlehem, w Germantown czy w Chestnut Hill, i może ustalać reguły postępowania:

system amerykański.

Ale Fred Taylor nie doczekał wprowadzenia systemu amerykańskiego w życie;
w 1915 zapadł na zdrowiu i musiał iść do szpitala w Filadelfii.

Wdało się zapalenie płuc. Nocna pielęgniarka słyszała wieczorem, jak nakręca zegarek;
kiedy zajrzała do jego pokoju o wpół do piątej rano, w dniu jego pięćdziesiątych dziewiątych urodzin,
znalazła go nieżywego z zegarkiem w ręku.

KRONIKA XLVI

oto ludzie urabiani od momentu zapadnięcia wyroku przez wściekle, występne, anarchiczne elementy społeczne naszego kraju, a ostatnio wielu przyzwoitych, praworzędnych obywateli powiększa liczbę obała-muconych przewrotną argumentacją tych agitatorów

*Czasy są ciężkie, a płace głodowe,
Więc póki pora, rzuć ją, Johnny,
Chleb jest komiśny, a mięso kartkowe,
Więc nie bierz sobie na kark żony*

BANKIERZY ZAPOWIADAJĄ OKRES ROZWOJU

WSZYSCY MAJĄ ZAPEWNIONY DOBROBYT

Upodobanie Niemców do Kawioru Zagroza Stabilności Waluty

ZDEMOBILIZOWANI ŻĄDAJĄ PRACY

*Nikt nie wie ani się nie wzrusza,
Jakie mi życie spuszcza wciery.
Już zapomnieli Chateau-Thierry**

*JESTEŚMY PEŁNI ŻYCZLIWOŚCI DLA
NOWOJORSKICH UŻYTKOWNIKÓW MASZYN DO PISANIA*

AWANTURY BEZROBOTNYCH W BIURZE POŚREDNICTWA

*Statki na morzach,
Rafy na głębinach,
Durnia zrobiła
Ze mnie blondyna*

OKO KAMERY (43)

skurcz chwyta za gardło kiedy parowiec z czerwonymi kominami krając lekko rozkołysaną łupkowoszarą gładź zmienia kurs by szerokim zielonomarmurkowym łukiem okrążyć czerwony latarniowiec

dreszcz przebiega po krzyżu na wspomnienie przybrzeżnego atlantyckiego chłodu

i poszczerbionych dachów drewniaków na zachodzie nad niewidzialnym łodem pajęczyny diabelskich kolejek wysokich rusztowań z reklamami gumy do zucia na Coney Island frachtowców z kominami odsuniętymi daleko ku rufie szarej smugi za Sandy Hook

i ciepłolepkosłodkiego zapachu słonych mokradeł

na wspomnienie zatok i srebrzystych zatoczek przegrodzonych estakadami

pyrkania motorówki przed świtem w gorze rzeczki

łodzi z pochyłymi masztami na tle wyniosłych prostych sosen zamykających muszłowobiałą plażę wapiennomroźnego fetoru kutrów ostrygarskich w zimie

na wspomnienie chrobotu bujanych foteli na werandzie wyrzynanej w esyfloresy i wujowskich głosów uciesznych historyjek opowiadanych półgębkiem z kamienną twarzą (facet był z Missouri* nie brał gumowych pieniędzy) czerwonoskórego w bawolej derce sprzedającego wśród krasomówczej pirotechniki lekarstwo na ukąszenie węża siarkowego dymu i wozów strażackich pędzących z dzwonieniem czerwonoceglaną ulicą z uczepionymi strażakami o wujowskich twarzach naciągającymi gumowe płaszcze chrupania białych kukurydzanych bułeczek i gorącej kawy ze śmietanką przetykanej w pośpiechu przed porannym pociągami zaduchu porannych gazet w czynszowym mieszkaniu gładkiego mięsistego szelestu nowiutkich banknotów chrzęstu policyjnej pałki na obywatelskiej głowie i niewyraźnych twarzy aresztantów na fotografii w kurierze

na wspomnienie pisku i zgrzytu pił tarczowych upojnego zapachu świeżej tarcicy i błąkania się po hałdach nieużytkach wyrębach po dzielnicach nędzarskich bud i ruder bud i ruder

i coś z tych wszystkich lat pogrzebanych na starym cmentarzu koło walącego się ceglanoego kościółka

owego wiosennego ranka kiedy posypane piaskiem alejki upstrzone były niebieskimi kałużami a powietrze pachniało fiołkami i sosnowym igliwem

cóż z tych nienawistnych lat pogrzebanych w latrynowym smrodzie Brocourt pod gwiazdnymi rozpryskami pocisków

jeżeli dzisiaj wujaszkiem jest mi celnik o zakazanej gębie z ukrytą groźbą w gardłowym głosie z groteskowo oskarżycielskim paluchem wielkiego łapska

(Więc przywozi pan francuskie książki?)

jeżeli dzisiaj wujaszkiem jest mi celnik

KRONIKA XLVII

okazja dla chłopca myślącego o przyszłości dobre początki dla inteligentnego SZANSE AWANSU
chłopiec do nauki chłopiec na posyłki chłopiec do pomocy w biurze

POTRZEBNY MŁODY MĘŻCZYZNA

O, powiedz mi, jak długo

Będę musiał czekać

PRACA

w banku, który dobiera kierowników spośród personelu, dla trzeźwe-go ambitnego buchaltera... dla rysownika architektonicznego z praktyką przy budowach fabrycznych i przemysłowych w cegle, drewnie i żelazobetonie... dla brązownika cyzeler... liternika... modelarza... malarza pojazdów... dla pierwszorzędnego wykończalnika prążkowacza... dla młodego człowieka w sklepie trykotarskim, bieliźniarskim i pasmanteryjnym... dla pomocnika w dziale zamówień... dla kopisty o ładnym charakterze, akuratanego w cyfrach... dla energicznego pracowitego matrycarza części metalowych na prasach mechanicznych agent asekuracyjny... agent asekuracyjny... akwizytor... akwizytor do detalu rybnego... chemik aromatyzator... domokrążca... fakturzysta... jubiler... kontroler czasu... majster narzędziowiec... malarz szyldów... matrycarz narzędziowiec... mechanik... nauczyciel... operator windy towarowej... pakowacz... pasowacz okien... reklamator... robotnik... spedytor... spedytor... spedytor... stenotypistka... subiekt do sklepu z obuwem... tłumacz

POSADA

Czy dasz mi zaraz teraz,

Czy też będziesz zwlekać

dla młodego nie bojącego się pracy
młodego biuralisty młodego w magazynie
młodego w charakterze stenografa
młodego w charakterze komiwojażera
młodego chętnego do nauki

PRACA

O, powiedz mi, jak długo

do prowadzenia magistrackiej elektrowni, wodociągu i fabryki lodu w pięknym, rozwijającym się, zdrowym mieście na Florydzie... do objęcia działu bieliźniarskiego w wielkim hurtowym domu wysył-kowym... do pomocy w dochodzeniach na kolei... do kierowania około dwudziestoma ludźmi przy narzędziach, matrycach, szablonach i skalach... w charakterze buchaltera w magazynie... tragarza przy lekkich ładunkach... inżyniera dróg i mostów... taksatora maszyn i matryc... kalkulatora budowlanego... inżyniera elektryka w elektrowni

OKO KAMERY(44)

bezimienny przybysz

(który tak niedawno trzymał się kurczowo łęku siodła nie kutego białego ogiera

z wypchanymi sakwami

i zostawiwszy nie dogasłe ogniska w kotlinie między gołymi syryjskimi wzgórzami gdzie obozowali Agailowie* kiedy świt ostrym światłem rozłupał noc nad obrzeżoną górami pustynią odjechał ku brudnym wioskom poletkom sezamu i gajom morelowym)

zgołiwszy w Damaszku brodę

siedział pijąc kawę i gorące mleko przed hotelem w Bejrucie gapiąc się na biały masyw Libanu

przerzucając stos listów i wycinków prasowych zawałających stolik

adresowanych nie do nie władającego arabskim nie do telepiącego się niezdarnie na wielbłądzie z tyłkiem całym obolałym od jazdy

lecz do kogoś

kto

(tego wieczora w łagodnym nadmorskim klimacie lewentyńskiej nocy uprzejmi urzędnicy szykują mu następną niespodziankę

ledwo wykąpanego obsadzają go w roli wymagającej białej muszki starannie zawiązanej przez wicekonsula pakują w sztywną koszulę za ciasny frak za luźne spodnie frakowe które uprzejma żona uprzejmego urzędnika z chichotem spina mu z tyłu agrafkami po to by te się natychmiast rozpięły gdy się skłoni przed małżonką Wysokiego Komisarza

kostium z nieprawdziwego zdarzenia uniemożliwia mu odgrywanie roli śmiałego podróżnika lakiery boleśnie uciskają palce gubią się pod stołem podczas mówek podlewanych szampanem)

kto po powrocie na Manhattan zostanie oczekujący nie na niego szyty frak

przygotowaną posadę oferowane stanowisko spinkę od kołnierzyka która pije w grdykę kiedy sztywny mamut u szczytu stołu rzezi do dwu szeregów świeżo prasowanych dżentelmenów zgrabnie noszących swoje dobrze skrojone nazwiska

wypychanych kukiel do ozdoby mil lat świetlnych wycinków prasowych

Panowie proszę o wybaczenie dzwonek był przedwczesny tylko w wyniku nieporozumienia znalazłem się na scenie kiedy kurtyna poszła w górę wiersz który deklamowałem w obcym języku nie był mojego autorstwa a w ogóle recytował go kto inny ja nie jestem tym w mundurze na fotografii to godna ubolewania pomyłka błąd co do osoby karta służby uległa zagubieniu pan w fotelu obrotowym z goździkiem w butonierce jest kim innym

nie tym osobnikiem który stał w deszczu na ulicy z przyprawionymi bokobrodami i zdołał się niepostrzeżenie ulotnić włazem kanalizacyjnym

młodzieniec o ziemistej twarzy sadowiący się za nie dla niego przeznaczonym biurkiem

z całą pewnością

nie otrzymał żadnej z posad o które się ubiegał w biurze pośrednictwa pracy

CHARLIE ANDERSON

Pociąg przyjechał do St. Paul z trzygodzinnym opóźnieniem. Charlie już od godziny czekał w paltocie i z zamkniętą walizką. Wiercił się na siedzeniu, nakładając i zdejmując nowe irchowe rękawiczki. Miał nadzieję, że nie wyjdą po niego wszyscy na stację. Może tylko Jim. A może w ogóle nie dostali depeszy.

W końcu przyszedł konduktor, oczyścił go miotką i zabrał bagaże. Za oknami widać było tylko kłęby pary i zacinający śnieg. Pociąg zwolnił biegu, zatrzymał się przy rozległych zaśnieżonych bocznicach, po czym ruszył znowu z szarpnięciem i śpiesznym parskaniem pary w lokomotywie. Stukot dobijających buforów przesunął się wzdłuż całego pociągu. Mimo rękawiczek Charlie miał lodowate dłonie. Do przedziału wetknął głowę konduktor wołając: "St. Paul". Trzeba wysiadać.

Czekali na peronie wszyscy. Stary Vogel i ciotka Hartmann ze swymi czerwonymi twarzami i długimi nosami wyglądali jak dawniej, natomiast Jim i Hedwig wyraźnie przytyli. Hedwig miała na sobie futro z nurków, paltot Jima robił także diablo dostatnie wrażenie. Jim wyrwał Charliemu bagaże, Hedwig i ciotka Hartmann rzuciły się do całowania, a stary Vogel grzmotnął go po plecach. Mówili wszyscy naraz,

zarzucając go pytaniami. Kiedy zapytał o mamusię, Jim spochmurniał i odparł, że jest w szpitalu, pójdą ją odwiedzić po obiedzie. Wrzucili bagaże do nowego czterodrzwiowego Forda, po czym wcisnęli się sami przy akompaniamencie chichotów i pisków ciotki Hartmann. - Rozumiesz, mam teraz przedstawicielstwo Forda - poinformował Jim.

- Właśnie widzę, że wiele się tu zmieniło na lepsze.

- Poczekaj, zobaczysz dom - wtrąciła Hedwig. - Jest cały przebudowany.

- Ty zuch chłopaka - powiedział stary Vogel. - Wyczepał kajzerowi skórę. To ja pofiem w imieniu niemieckiej gminy Třójmiasta*, sze my som z ciebie dumne.

W domu czekał wystawny obiad, przy którym Jim poczęstował go whisky, a stary Vogel dolewał mu raz po raz piwa i powtarzał: "No, ty teraz musi nam wszystko opofiać". Charlie siedział z czerwoną twarzą i wydawało mu się, że za chwilę pęknie od nadmiaru nadziejanych kurczaków, klusek i piwa. Nie wiedział, co mówić, więc się wykręcał dowcipuszkami, gdy mu zadawali pytania. Po obiedzie stary Vogel dał mu jedno ze swoich najlepszych cygar hawańskich. Niedługo potem pojechali we dwóch z Jimem odwiedzić mamusię w szpitalu. W aucie Jim mu powiedział, że miała operację usunięcia guza, ale są poważne obawy, że to rak. Mimo to Charlie się nie spodziewał, że będzie aż taka chora. Jej twarz na białej poduszce wydawała się skurczona i żółta. Gdy się pochylił, żeby ją pocałować, wargi miała zaciśnięte i rozpalone, a z ust cuchnęło jej brzydko.

- Cieszę się, że wróciłeś, Charlie - powiedziała załamującym się głosem. - Szkoda, że tak późno. Nie powiem, żeby mi tu było źle, ale... ale się cieszę, chłopcy, że będę was miała obu przy sobie, jak wyzdrowieję.

Bóg nad nami czuwa, Charlie, musisz o tym zawsze pamiętać.

- No, no, mamusku, nie powinnaś się męczyć ani denerwować - powiedział Jim. - Trzeba oszczędzać sił, jeśli chcesz szybko wyzdrowieć.

- Och, Wszzechmogący okazuje mi tyle miłosierdzia. - Wysunęła spod kołdry małą dłoń, tak chudą, że się wydawała sina, i dotknęła chusteczką najpierw jednego, potem drugiego oka. - Jim, bądź taki dobry, podaj mi okulary - odezwała się mocniejszym głosem. - Niech się przyjrzę wyrodnemu synowi.

Charlie mimo woli poruszył się niespokojnie pod jej wzrokiem.

- No, wyrosłeś na prawdziwego mężczyznę. Podobno się tam wybiłeś za oceanem. Obydwaj wyrosliście na ludzi, chłopcy, przeszliście moje oczekiwania. Bo się obawiałam, że ty, Charlie, wykierujesz się na takiego nicponia jak twój ojciec.

Roześmieli się wszyscy. Żaden nie wiedział, co powiedzieć. Matka zdjęła okulary i chciała je odłożyć na stolik przy łóżku, ale wysunęły jej się z ręki i rozbiły na betonowej podłodze.

- Ojej! No, mniejsza o to. Mało mi tu są potrzebne.

Charlie pozbierał potłuczone kawałki i schował je starannie do kieszonki kamizelki.

- Oddam je do reperacji - obiecał.

W drzwiach ukazała się pielęgniarka i dała im głową znak.

- Do zobaczenia, mamusiu - powiedzieli. - Do jutra.

Wyszedszy na korytarz Charlie poczuł, że po policzkach ciekną mu łzy.

- Sam widzisz, jak jest - odezwał się Jim z ponurą miną. - Szpikują ją bez przerwy narkotykami. Wygodniej by jej było w separacie, ale oni już sami nie wiedzą, ile za wszystko liczyć w tych sakramenckich szpitalach.

- Wezmę część kosztów na siebie - odparł Charlie. - Mam trochę oszczędności.

- Prawdę mówiąc, tak by wypadło - powiedział Jim.

Charlie wciągnął głęboko w płuca zimne przedwieczne powietrze, gdy się zatrzymali na schodkach szpitala, lecz w nozdrzach pozostał mu zapach eteru, lekarstw i choroby. Na dworze zrobiło się ładnie, tylko zaczął lodowaty wiatr. Zachodzące płomiennie słońce różowiło jaskrawo śnieg na ulicach i dachach.

- Pojedziemy teraz do sklepu, żebyś się trochę rozejrzał -- oznajmił Jim. - Kazałem pracownikowi zaprosić paru facetów z prasy. Będzie trochę darmowej reklamy, jak przyjdą do salonu zrobić z tobą wywiad. - Jim trzepnął Charliego po plecach. - Nie masz pojęcia, jak gazety teraz lecą na głodne kawałki o bohaterach wracających z oceanu. Pobajerujesz ich trochę, dobra?

Charlie się nie odezwał. Dopiero gdy wsiedli do auta, zapytał zduszonym głosem:

- Rany boskie, Jim, co ja im mam mówić?

Jim nacisnął nogą automatyczny starter.

- Co byś powiedział, Charlie, gdybym ci zaproponował przystąpienie do spółki? Przedstawicielstwo Forda to złoty interes, możesz mi wierzyć.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Jim. Ale zostaw mi trochę czasu do zastanowienia.

Wróciwszy do domu poszli do nowego salonu automobilowego, dobudowanego do garażu za kamienicą Vogla, w miejscu gdzie kiedyś była stajnia. Salon miał wielką lśniącą witrynę z firmą "Ford" wykaligrafowaną pochyłymi niebieskimi literami. Za szybą stała nowiutka ciężarówka, cała wypolerowana, błyszcząca jak lustro. Obok widniał zielony dywan, fornirowane mahoniowe biurko, telefon na ruchomej półeczce o niklowych podporach składanych w harmonijkę i sztuczna palma na fantazyjnej żardinierze w kącie.

- Klapnij sobie, Charlie - powiedział Jim wskazując fotel obrotowy i wyciągając pudełko cygar. - Posiedzimy, pogadamy chwilę.

Charlie usiadł, wziął z pudełka cygaro. Jim stanął przy kaloryferze, z kciukami wetkniętymi za wycięcia kamizelki.

- No, co o tym myślisz, braciszku? Klasa, prawda?

- Klasa, Jim. Zapalili cygara, przesunęli niepewnie nogami po dywanie.

- Ale to wszystko jeszcze nic - podjął Jim. - Chcę otworzyć wielki nowoczesny salon w śródmieściu. Kiedyś tutaj było centrum, teraz tu diabeł mówi dobranoc.

Charlie chrząknął nieobowiązkowo, wypuścił kłęb dymu z cygara. Jim przespacerował się tam i z powrotem, ale przez cały czas nie spuszczał oka z Charliego.

- Z twoimi znajomościami w Legionie Amerykańskim*, w lotnictwie i tak dalej, zrobimy na tym szybko forszę. Wśród tutejszych przedstawicieli Forda ja jeden nie mam niemieckiego nazwiska.

- Jim, odwołaj ten cyrk. Ja nie umiem gadać z pismakami.

Jim poczerwieniał, przysiadł nastroszony na brzegu biurka.

- Musisz i ty się przyłożyć do wspólnego interesu. Co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego cię przyjmuję do spółki? Chyba nie dla twoich pięknych oczu, mały braciszku?

Charlie poderwał się na nogi.

- Jim, ja nie przystąpię z tobą do spółki. Zaangażowałem się już z moim byłym dowódcą w pewne przedsięwzięcie lotnicze.

- Za dwadzieścia lat możemy pomówić o lotnictwie. Na razie to mrzonki.

- To się dopiero okaże. Mamy w zanadru parę pomysłów. Gra idzie o wielką stawkę.

- Więc takie buty. - Jim wstał z biurka. Wargi miał zaciśnięte. - Ale nie wyobrażaj sobie, że będziesz się walczył w moim domu przez całą zimę dlatego, że jesteś bohaterem wojennym. Jeśliś na to liczył, wybij to sobie od razu z głowy.

Charlie parsknął śmiechem. Jim podszedł i położył mu dłoń prosząco na ramieniu.

- Posłuchaj, ci faceci będą tu za parę minut. Bądź dobrym bratem, przebierz się w mundur, przypnij medale. Zrób to dla mnie.

Charlie stał chwilę nieruchomo, wpatrzony w popiół swego cygara.

- A może ty byś raz coś dla mnie zrobił? Nie minęło jeszcze pięć godzin od mojego przyjazdu, a ty już mnie się czepiasz jak za dawnych czasów, kiedy ty pracowałem.

Jim tracił nad sobą panowanie, zaczął się cały trząść.

- Wiesz, gdzie mnie możesz pocałować - powiedział wybijając słowa.

Charlie miał go ochotę wyrzucić w wąską szczękę.

- Gdyby nie mama, wiedziałbym co zrobić - odrzekł spokojnie.

Jim zamilkł na chwilę. Na jego czole pojawiły się zmarszczki. Pokręcił głową z poważną miną.

- Masz rację, Charlie, lepiej posiedź tu jakiś czas. Jeśli to mamie może sprawić przyjemność...

Charlie rzucił pół wypalone cygaro do mosiężnej spluwaczki i wyszedł śpiesznie, nim Jim mógł go powstrzymać. Wstąpił do domu, wziął paltot i kapelusz i poszedł na długą włóczęgę po rozmokłym śniegu szarego przedwieczora.

Gdy wrócił, wszyscy kończyli kolację. Na jego talerzu czekała odłożona porcja. Nie odezwał się nikt z wyjątkiem starego Vogla.

- My już myśleli, że te lotniki, oni może szyją powiechem.

Powiedziawszy to, zaśmiał się astmatycznie, ale nikt mu nie zawtórował. Jim wstał i wyniósł się z pokoju. Charlie połknął prędko kolację, po czym oznajmił, że jest śpiący, i poszedł do łóżka.

Listopad włócił się beznadziejnie, nadeszło Dziękczynienie, potem Gwiazdka, a Charlie wciąż tkwił w Dwójmieście. Matce jakoś nic się nie polepszało. Codziennie po południu zachodził do niej na pięć, dziesięć minut. Była niezmiennie pogodna. Charlie nie wiedział, gdzie oczy podziać, kiedy zaczynała się rozwodzić o dobroci Bożej i o tym, co będzie, gdy wyzdrowieje. Wychodził ze szpitala oczadziały i słaby. Resztę czasu spędzał w bibliotece publicznej ślęcząc nad książkami o motorach spalinowych albo w garażu pomagając Jimowi przy różnych drobnych robótkach jak za szczenięcych lat.

Któregoś wieczora po Nowym Roku wybrał się z kilkoma znajomkami na Bal Łosi* do Minneapolis. W wielkiej sali pełno było hałasu i wszędzie wisiały lampiony. Jął krążyć między grupkami czekających na następny taniec, gdy nagle tuż przed sobą ujrzał dobrze znaną szczupłą twarz o niebieskich oczach. Było za późno na udawanie, że jej nie widzi.

- Cześć, Emiska - powiedział starając się nadać głosowi jak najnaturalniejsze brzmienie.

Przez chwilę myślał, że mu zemdleje.

- Zatańczymy? - spytał.

Leciała mu przez ręce, gdy ją objął. Tańczyli przez jakiś czas w milczeniu. Emiska miała za bardzo uróżowane policzki i używała jakiejś okropnej wody kwiatowej. Po skończonym tańcu usiedli w kącie, żeby porozmawiać. Nie wyszła jeszcze za mąż, pracuje w domu towarowym. Nie, wyniosła się z domu, wynajmuje mieszkanie do spółki z koleżanką. Charlie musi ją odwiedzić, będzie jak za dawnych czasów. Musi jej zostawić swój telefon. Życie tutaj wydaje mu się pewno okropnie monotonne po tych wszystkich przygodach z Francuzeczkami. To cudownie, że został oficerem, w ogóle Andersonowie zaczynają się wybijać, pewno nie będą chcieli teraz słyszeć o dawnych przyjacielach. Głos Emiski zrobił się piskliwy i mówiąc kładła mu rękę na kolanie, co mu się wcale nie podobało.

Przy pierwszej sposobności powiedział, że go boli głowa i zaraz wraca do domu. Nie chciał nawet czekać na kolegów, z którymi przyjechał. Uważał, że wieczór jest i tak zmarnowany. Wracał sam jeden podmiejskim tramwajem. Było zimno jak jasny gwint. Najwyższy czas zabierać się z tej parszywej dziury. Głowa naprawdę mu pękała z bólu, miał dreszcze.

Następnego dnia obudził się z influencją i musiał zostać w łóżku. Doznał niemal ulgi. Hedwig przyniosła mu stertę opowieści detektywistycznych, a ciotka Hartmann skakała koło niego, przyrządzała mu grog i grzane wino z koglem-moglem, tak że mógł nic nie robić, tylko leżeć i czytać.

Wstawszy z łóżka, przede wszystkim poszedł do szpitala. Mamusia miała drugą operację, była bardzo słaba. Leżała w zaciemnionym pokoju i nie pamiętała, kiedy go ostatni raz widziała. Wydawało jej się, że jest w Fargo i że właśnie wrócił ze swojej wyprawy na południe. Ścisnęła go za rękę powtarzając:

- Został mi powrócony syn, którego utraciłam. Dzięki Ci, Boże, za mego chłopca.

Tak go to wzięło, że wyszedłszy od niej, musiał na chwilę przysiąść w wiklinowym fotelu na korytarzu. Zatrzymała się przy nim przechodząca siostra i stała obracając w palcach papier i ołówek. Podniósł wzrok - miała różowe policzki i śliczne czarne rzęsy.

- Nie wolno się poddawać - powiedziała. Uśmiechnął się z przymusem.

- Ja się nie poddam. Tylko dopiero wstałem po influency, zupełnie mnie ścięła z nóg.

- Słyszę, że był pan lotnikiem. Miałam brata w Królewskim Korpusie Powietrznym. Jesteśmy Kanadyjkami.

- To byli wspaniali chłopcy - odparł Charlie. Chciał jej zaproponować randkę, ale zaraz mu się przypomniała mamusia. - Niech siostra mi uczciwie powie, jaki jest naprawdę stan. Bardzo siostrę proszę.

- To sprzeczne z przepisami, ale sądząc po innych podobnych przypadkach myślę, że prognozy są nienajlepsze.

- Tak przypuszczałem. - Podniósł się z fotela. - Jest siostra śliczną dziewczyną, wie siostra?

Oblała się pąsem od krochmalonego czepeczka do białego kołnierzyka swego uniformu. Zmarszczyła czoło, przybrała oficjalny ton.

- W takich przypadkach lepiej, żeby to się rozstrzygnęło jak najszybciej. Charlie poczuł dławienie w gardle.

- T-ak, wiem.

- Do widzenia, panie poruczniku. Muszę wracać do swoich zajęć.

- Jak rany!... D-dziękuję siostrze bardzo.

Wyszedłszy na ulicę długo nie mógł zapomnieć jej ślicznej twarzy i świeżych warg.

Pewnego dnia podczas wiosennych roztopów Charlie wymieniał zużytą uszczelkę w jakimś Buicku, kiedy przyleciał chłopak z garażu z wiadomością, że jest do niego telefon ze szpitala. Zimny głos w słuchawce poinformował go, że stan pani Anderson uległ gwałtownemu pogorszeniu i że uważają za swój obowiązek powiadomić rodzinę. Charlie zrzucił kombinezon i poszedł zawołać Hedwig, bo Jima nie było. Wyprowadził z garażu jeden z samochodów, ale zapomniał umyć ręce. Były całe czarne od smarów i zwęglonej uszczelki, więc Hedwig znalazła mu jakąś szmatę.

- Muszę sobie poszukać czystej roboty przy rajzbracie - powiedział.

- Jim ci przecież proponował pracę w salonie sprzedaży - warknęła wściekle Hedwig. - Nie wiem, jak ty chcesz do czegoś dojść, jeśli odrzucasz każdą propozycję.

- Może trafi mi się propozycja, której nie odrzucę.

- Ciekawam, kto prócz nas ci coś zaproponuje.

Charlie nie odpowiedział. Przez całą długą drogę na drugi koniec miasta nie zamienili więcej słowa. Dojechawszy do szpitala, dowiedzieli się, że mamusia zapadła w śpiączkę. Dwa dni później umarła.

Przed pogrzebem Charlie poczuł w połowie modłów, że mu się zbiera na płacz. Wyszedł, zamknął się w toalecie przy garażu i usiadłszy na desce rozplakał się jak dziecko. Po powrocie z cmentarza był w takim ponurym nastroju, że wszyscy bali się do niego odezwać. Wybuchnął zobaczywszy, jak po obiedzie Jim i Hedwig zasiadają w jadalni

z papierem i ołówkiem do obliczania, ile ich to kosztowało. Powiedział, że zwróci im wszystko co do centa, a w ogóle mogą się nie martwić, nie będzie im już długo siedział na karku. Wyszedł trzaskając drzwiami, pobiegł do siebie na górę i rzucił się na łóżko. Leżał przez dłuższy czas nie rozebrany, w mundurze, gapiąc się w sufit. W uszach brzmiały mu ciągle namaszczone głosy, powtarzające w kółko: "nieboszczka", "strata", "lepszy świat".

Następnego dnia zadzwoniła Emiska. Powiedziała, że mu współczuje z powodu śmierci matki i że może by do niej zaszedł któregoś wieczora. Niewiele myśląc odparł, że dobrze. Był sam, miał chandrę, chciał pogadać z przyjazną duszą, nie tylko wiecznie z Jimem i Hedwig. Wieczorem wziął auto i pojechał do miasta. Został ją samą. Nie podobało mu się tanie, tandetnie krzykliwe urządzenie mieszkania. Zabrał ją do kinematografu, gdzie go spytała, czy pamięta, jak byli razem na "Narodzinach narodu"*. Odrzekł, że nie, chociaż pamiętał doskonale. Czuł, że chce z nim na nowo nawiązać romans.

Gdy ją potem odwoził do domu, położyła mu głowę na ramieniu. Zatrzymawszy auto przed kamienicą, w której mieszkała, spojrzął na nią i zobaczył, że płacze.

- Nie dasz mi buziaka jak za dawnych czasów, Charlie? - szepnęła.

Pocałował ją, ale gdy spytała, czy nie wejdzie na górę, wystękał, że musi być wcześniej w domu.

- Och, chodźże, Charlie, przecież cię nie zjem-powtarzała dopóty, dopóki nie uległ, chociaż była to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Ugotowała na kuchence gazowej kakao, po czym jeła mu się wywnętrzać, jaka jest nieszczęśliwa, jakie to męczące stać przez cały dzień za ladą i być na każde skinienie kupujących bab, które są takie wredne, a nadzorcy też nie lepsi, bez przerwy poszczypują tylko dziewczęta po tyłkach i ciągną do przymierzalni, żeby je miętosić. Któregoś dnia nie wytrzyma i odkręci chyba gaz. Charliemu zrobiło jej się żal, chciał ją utulić, żeby przestała płakać, ale tak go to podnieciło, że w rezultacie ją wziął. Wychodząc obiecał do niej zatelefonować. w przyszłym tygodniu.

Następnego dnia dostał od niej z rana list, który musiała napisać zaraz po wyjściu i w którym mu wyznawała, że nie kochała nigdy nikogo prócz niego jednego. Wieczorem po kolacji usiadł, żeby jej odpisać, że nie ma się zamiaru żenić z nikim, a już najmniej z nią, ale nie mógł jakoś znaleźć odpowiednich słów i ostatecznie nie odpisał jej w ogóle. Gdy zadzwoniła w dzień potem, powiedział, że jest zajęty, musi pojechać do Północnej Dakoty w sprawie nieruchomości, która im została po matce. Nie podobał mu się sposób, w jaki

odrzekła:

-Tak. rozumiem, kochanie. Zadzwoń, jak wrócisz.

Hedwig zaczęła się dopytywać, co to za kobieta tak do niego wydzwania, a Jim go ostrzegł:

- Miej się na baczności przed dziewczynami, Charlie. Jak tylko zwęszą, że coś masz, przypną się do ciebie jak pijawki.

- Tak jest - przytaknął stary Vogel. - Teraz już nie jest szolnier, ty nie możesz mówić szegnaj, mein Schatz, jak się idę wojować. Teraz one znają, gdzie ty mieszkasz..

- Niech was o to głowa nie boli – odburknął Charlie. - Nie dam się złapać

W dniu, w którym miało nastąpić notarialne otwarcie testamentu mamusi, Jim i Hedwig wysztafirowali się jak na raut. W Charliem wszystko się zagotowało na widok Hedwig w nowo uszytej czarnej sukni ozdobionej skromnie koronką przy dekolcie i Jima w karawaniarskim garniturze kupionym na pogrzeb. Notariusz był małym podstarzałym Żydkiem niemieckim, z siwym tupecikiem starannie zaczesanym na pokazną łysinę na czubku głowy i ze złotym cwikiem na czubku nosa. Czekał już na nich, gdy weszli do kancelarii. Z namaszczonym uśmiechem podniósł się zza biurka zawalonego dokumentami w niebieskich teczkach i zrobił lekki ukłon. Następnie usiadł rozpromieniony, z łokciami opartymi o papiery, i jął delikatnie pocierać czubki palców. Nikt się przez chwilę nie odzywał. Jim kaszlnął za osłoną dłoni jak w kościele.

- Po-patrz-my - powiedział w końcu pan Goldberg cichosłódkim głosem, z nieco teatralną emfazą. - Czy nie powinno państwa być więcej?

- Estera i Rut nie mogły przyjechać - odrzekł Jim. - Mieszkają obie na wybrzeżu. Mam ich pełnomocnictwa. Pełnomocnictwo Rut jest podpisane także przez jej męża, w razie gdyby były jakieś nieruchomości.

Pan Goldberg cmoknął lekko językiem.

- Szkoda. Wolałbym, żeby byli wszyscy spadkobiercy. Ale sądzę, że w istniejącej sytuacji nie będzie żadnych trudności. Jedynym egzekutorem testamentu został wyznaczony pan James A. Anderson. Oczywiście rozumieją państwo, że w takich przypadkach dążeniem wszystkich zainteresowanych powinno być uniknięcie postępowania sądowego. Oszczędza to mnóstwo korowodów i wydatków, a nie ma konieczności odwoływania się do sądu, gdy egzekutorem jest jeden ze spadkobierców. Przystępuję do odczytania ostatniej woli zmarłej.

Pan Goldberg widać sam sporządził testament, bo czytał go z widoczną lubością. Z wyjątkiem legatu tysiąca dolarów dla Lizzie Green, która prowadziła dom noclegowy pani Anderson w Fargo, cały majątek ruchomy i nieruchomy - parcele w Fargo, obligacje Pożyczki Wolności* oraz rachunek oszczędnościowy na sumę tysiąca pięciuset dolarów - przypadał wspólnie dzieciom, miał być zarządzany przez Jamesa A. Andersona jako jedynego egzekutora i ostatecznie podzielony między spadkobierców na podstawie wspólnego porozumienia.

- Czy są jakieś pytania albo uwagi? -- zapytał dobrotliwie pan Goldberg.

Charlie nie mógł nie zauważyć, że Jim jest niepomierne zadowolony z obrotu sprawy.

- Istnieje propozycja - ciągnął pan Goldberg tym samym głosem, który zdawał się rozplętywać wśród dokumentów jak masło na ciepłej grzance - żeby pan Charles Anderson, który jak słyszę, wybiera się wkrótce na Wschód, zechciał również podpisać podobne pełnomocnictwo jak jego siostry. Rozumiem, że cały majątek zostałby wówczas zainwestowany w Spółkę Sprzedaży Automobilów Andersona.

Charlie poczuł ogarniający go chłód. Jim i Hedwig obserwowali go w napięciu.

- Ja tam się nie wyznaję na mądrościach prawnych - powiedział.

- Ale wiem, czego chcę: dostać jak najszybciej swoją część na rękę. Mam na widoku pewien interes na Wschodzie, chciałbym w niego zainwestować.

Jimowi zaczęła drzeć cienka dolna warga.

- Nie bądź głupcem, Charlie. Znam się na interesach lepiej od ciebie.

- Może na swoich. Ale nie na moich.

Hedwig, która, gdyby mogła, zabiłaby Charliego wzrokiem, nie wytrzymała i wtrąciła swoje:

- Och, Charlie, pozwól Jimowi zrobić, co chce. Przecież to dla naszego wspólnego dobra.

- A-a, zamknij się chociaż ty - odpalił Charlie.

Jim porwał się na równe nogi.

- Słuchaj, szczeniaku! Jak ty się odzywasz do mojej żony?

- Moi państwo, moi mili państwo - zagruchał notariusz pocierając palce tak zapamiętale, jakby chciał z nich wykrzesać iskrę. - Nie dajmy się ponieść temperamentowi, nie wypada w takich okolicznościach. Musimy stworzyć atmosferę domowego ogniska, rodzinnej pogawędki przy kominku.

Charlie prychnął śmiechem.

- Aha! Taką, jaka zawsze panowała w naszym domu – powiedział półgłosem i odwrócił się do nich plecami.

Wyjrzał przez okno na białe dachy i drabinki pożarowe obrośnięte soplami lodu. Śnieg topniejący na gontowym dachu sąsiedniego drewniaka dymił w popołudniowym słońcu. Za drewniakiem widać było puste

parcele z głębokimi zaspami i kawałek gołej asfaltowej jezdni z samochodami mknącymi w jedną i w drugą stronę.

- Słuchaj, Charlie, opamiętaj się. - Głos Jima za jego plecami przybrał proszący śpiewny ton. - Wiesz, jakie warunki postawił swoim przedstawicielom Ford*. Dla mnie to być albo nie być. Ale jako lokata to życiowa szansa. Nie stracisz nawet, gdyby fabryka się zwinęła. Zawsze zostaną auta. Charlie się obrócił.

- Jim - powiedział spokojnie - nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Chcę dostać swoją część spadku w gotówce, jak tylko zdołacie z panem Goldbergiem załatwić formalności. Mam na widoku interes z motorami do aeroplanów, w porównaniu z tym wszystkie przedstawicielstwa Forda to pestka.

- Nie rozumiesz, że ja chcę zainwestować pieniądze mamusi w rzecz absolutnie pewną? Niech pan Goldberg powie: czy to nie jest najpewniejsza lokata pod słońcem?

- No, automobile Forda rzeczywiście spotyka się na każdym kroku. Może młody człowiek zechce jeszcze przemyśleć sprawę. Ja tymczasem mogę poczynić wstępne kroki...

- Nie zgadzam się na żadne kroki, wstępne ani nie wstępne. Chcę dostać bezzwłocznie, ile się da. A jeśli pan nie potrafi tego załatwić, poszukam adwokata, który to załatwi.

Wziął paltot i kapelusz i wyszedł.

Następnego dnia zjawił się na śniadanie w kombinezonie jak zwykle, ale Jim mu oświadczył, że nie życzy sobie jego pomocy, skoro Charlie ma takie zdanie o firmie. Charlie wrócił na górę i rzucił się na łóżko. Gdy Hedwig przysłała je zasłać, wykrzyknęła: "O, jeszcze tu jesteś!"- i zawróciła strzelając drzwiami. Charlie słyszał, jak wraz z ciotką Hartmann tłucze się i trzaska przedmiotami przy różnych zajęciach domowych.

W połowie przedpołudnia zszedł na dół i odszukał Jima, który ślezczał nad księgami w kantorku przy salonie sprzedaży.

- Jim, chcę z tobą pomówić.

Jim zdjął okulary, popatrzył na niego.

- Co znowu? - spytał cedząc po swoim słowa.

Charlie odparł, że podpisze mu to pełnomocnictwo, jeśli Jim mu pożyczyci teraz pięćset dolarów. W przyszłości, jeśli ta jego historia lotnicza się rozkręci, może go w zamian przypuścić do spółki. Jim się skrzywił.

- Więc dobrze - rzekł Charlie. - Niech będzie czterysta. Muszę się wyrwać z tej dziury.

Jim wstał powoli. Był taki blady, że Charlie się wystraszył, czy mu coś nie jest.

- Widzę, że ci już nie wbiję do tej durnej pały, z czym się tu borykam. Nie to nie, niech cię szlag. Koniec z nami. Hedwig będzie musiała pożyczyć pieniądze w banku na swoje nazwisko. Ja jestem zadłużony po uszy.

- Wszystko mi jedno, jak to załatwicie - odparł Charlie. - Chcę stąd wyjechać.

Szczęście, że w tym momencie zadzwonił telefon, boby sobie pewnie skoczyli do oczu. Odebrał Charlie. Okazało się, że to Emiska. Powiedziała, że była wczoraj w St. Paul i widziała go na ulicy. Okłamał ją, że wyjeżdża, chce ją wystawić do wiatru. Musi do niej dzisiaj przyjść, bo jak nie, to nie wie, co sobie robi. Chyba nie chce, żeby się zabiła. Charlie był skołowany awanturą z Jimem i w ogóle wszystkim, tak że w rezultacie obiecał jej przyjść. Zanim skończył rozmawiać, Jim z promiennym uśmiechem wyszedł do salonu czarować jakiegoś klienta.

Jadąc tramwajem postanowił powiedzieć Emisce, że się ożenił podczas wojny z Francuzką, lecz otworzyła mu taka wymizerowana i blada, że nic nie powiedział, tylko ją zabrał na tańce. Czuł się okropnie głupio widząc, jaka jest uszczęśliwiona, zupełnie jakby wszystko było znowu po staremu. Na odchodnym umówił się z nią na przyszły tydzień.

Przed wyznaczonym dniem był już w drodze do Chi. Jednak poczuł się naprawdę dobrze dopiero, gdy przejechał przez miasto i wsiadł na drugim dworcu w pociąg nowojorski. W kieszeni miał list od Joego Askewa, który obiecywał na niego czekać w Nowym Jorku, oraz to, co mu zostało z trzystu dolarów, które ostatecznie wydusił od Hedwig. Potrąciła mu za życie i mieszkanie za cały czas pobytu licząc po dziesięć dolarów tygodniowo, ale przesiadłszy się do pociągu nowojorskiego postanowił więcej nie myśleć ani o niej, ani o Emisce, ani o całej tej parszywej zimie. Odtąd będzie myślał tylko o Nowym Jorku, o motorach do aeroplanów i o Doris Humphries.

Obudziwszy się rano na dolnym łóżku slipingu, podniósł zasłonę i wyjrzał przez okno. Pociąg mknął wśród wzgórz Pensylwanii, pola za szybą były świeżo zorane na niektórych drzewach pojawiła się już lekka mgiełka zieleni. Pod kwitnącą gruszą na podwórku jakiejś farmy dziobała pracowicie ziemię chmara żółtych kurcząt.

- Jak rany - powiedział na głos - raz na zawsze koniec z zatęchłą prowincją.

KRONIKA XLVIII

Korporacja Stali* wyrosła faktycznie na usankcjonowanego kolosa zarówno w sensie materialnym, jak finansowym

*Ludziskom w Georgii uderzył do głowy
Ten szalony taniec całkowicie nowy:*

Kręć, kręć, kręć tą częścią

PŁONĄ REMIZY

CYGANKA ARESZTOWANA ZA WYWRÓŻENIE PRAWDY

Razy Szpicrutą Przyspieszają Ślub

jej potęga stała się niemal przysłowiowa od chwili, gdy stała zaczęła robić swoją oszałamiającą karierę, jednakże trzeba się od czasu do czasu na nowo przyjrzeć niespotykanym rozmiarom tej potęgi, aby ją zobaczyć we właściwym świetle

OSŁUPIENIE ROSZCZENIAMI FINANSOWYMI DEMOKRATÓW Z MAINE

kręć tą czę-ęścią

Tajemnicza Kobieta Próbuje Samobójstwa w Stawie Parkowym

krę-ęć tą czę-ęścią

OLIVE THOMAS SIĘ OTRUŁA*

LIST Z OSTRZEŻENIEM, ŻEBY SIĘ USUNĄĆ Z WALL STREET
WÓZ Z BOMBĄ POCHODZIŁ Z NEW JERSEY

Krę-ęć Tą-ą Czę-ęścią

Pojawił się Autor Ostrzeżeń

ZNALAZIONO CIAŁO PRZYWIĄZANE DO ROWERU

ODNALEZIONO MECHANIZM ZEGAROWY BOMBY

BLASZANA LIZA

Automobiler, p. Ford, pisał w 1900 roku reporter,

. automobiler, p. Ford, rozpoczął wprawianie w ruch swego rumaka od trzech czy czterech energicznych szarpnięć drążka po prawej stronie siedzenia; pociągać szybko drążek w górę i w dół, ażeby, jak wyjaśnił, zmieszać benzynę z powietrzem i wtłoczyć ją do cylindra, w którym miał nastąpić wybuch... P. Ford przesunął dźwigienną elektryczną i rozległo się ciche puf puf, puf, które niebawem przybrało na sile... Machina ruszyła z szybkością około ośmiu mil na godzinę. Mimo że w jezdni były głębokie koleiny, sunęła z niewyobrażalną płynnością, bez śladu podskoków normalnych nawet dla tramwaju... Kiedy dotarła do bulwaru, automobiler stopniowym dociskaniem jednej z dźwigni wypuścił ją pełną mocą. Aż świszczało, gdy machina z nieskończoną szybkością nabierała pędu. Mknęła zostawiając za sobą warkot, nowy dźwięk automobilu.

Przez dwadzieścia lat albo dłużej,

odkąd w wieku szesnastu lat porzucił ojcowską farmę i najął się do pracy w jednym z detroickich warsztatów mechanicznych, Henry Ford miał bzika na punkcie machin. Najpierw pasjonował się zegarkami, potem zaprojektował traktor parowy, potem zbudował pojazd bez konia napędzany motorem wzorowanym na motorze gazowym Otta*, potem bryczkę mechaniczną z jednocylindrowym motorem, która mogła jechać do przodu, ale nie mogła do tyłu;

aż wreszcie, w dziewięćdziesiątym ósmym, uznał, że umie dosyć, by zaryzykować porzucenie pracy w Detroickim Towarzystwie Edisonowskim, gdzie awansował z dyżurnego montera na nocnej zmianie na głównego mechanika, i poświęcić się całkowicie konstruowaniu nowego motoru benzynowego.

(w końcu lat osiemdziesiątych poznał Edisona na zjeździe pracowników zakładów elektrycznych w Atlantic City. Podszedł do niego, kiedy Edison skończył swoje przemówienie, i zapytał, czy zdaniem Edisona benzyna może być zastosowana jako paliwo do motorów. Edison odrzekł, że może, a co powiedział Edison, było święte. Henry Ford przez całe życie darzył Edisona najwyższym uznaniem),

jeźdźeniu swoją bryczką mechaniczną tam i z powrotem po płaskich wyboistych ulicach Detroit (siedział zuchowato za drążkiem kierowniczym, ubrany w ciasno zapięty surdut, sztywny kołnierzyk i melonik), płoszeniu głośnymi eksplozjami w motorze tęgich perszeronów piwowarskich, smukłych kłusaków i szłapaków o lśniących kłębach,

oraz szukaniu szaleńców gotowych zainwestować pieniądze w fabrykę automobilów.

Był pierwotnym synem irlandzkiego imigranta, który w latach wojny secesyjnej poślubił córkę

zamożnego "holenderskiego" farmera z Pensylwanii* i osiadł na roli koło Dearborn w hrabstwie Wayne w stanie Michigan;

jak wielu młodych Amerykanów, Henry od lat chłopięcych nienawidził wiecznego taplania się w błocie przy pracach polowych, wozenia i rozrzucania nawozu, czyszczenia lamp naftowych, nudy, potu i samotności życia na farmie.

Był szczupłym ruchliwym młodzieńcem i dobrym łyżwiarzem, miał zręczne ręce; najchętniej obsługiwał maszyny, a ciężką pracę pozostawiał innym. Matka przykazywała mu, żeby nie pił, nie palił, wystrzegał się hazardu i nie zaciągał długów, więc nigdy tego nie robił.

Kiedy miał dwadzieścia parę lat, ojciec zapisał mu czterdzieści akrów gruntu, żeby go ściągnąć z powrotem z Detroit, gdzie pracował jako monter i mechanik w Towarzystwie Maszynowym "Suchy Dok", które wytwarzało motory do parostatków.

Młody Henry wystawił sobie nowoczesny biały kwadratowy dom mieszkalny z fałszywym dachem mansardowym, ożenił się i osiadł na roli,

ale gospodarowanie pozostawił najemnym parobkom,

sam zaś kupił piłę tarczową, wypożyczył motor parowy i ciął na budulec drzewo z działek leśnych.

Był gospodarnym młodym mężczyzną, który nigdy nie pił, nie palił, nie grał w karty ani nie pożywał żony bliźniego swego, ale nie mógł znieść życia na farmie.

Przeniósł się do Detroit i w murowanej szopie za domem przez długie lata majstrował w każdej wolnej chwili koło bryczki mechanicznej, na tyle lekkiej, żeby mogła jeździć po gliniastych drogach hrabstwa Wayne w Michiganie.

W roku 1900 miał do zademonstrowania automobil zdatny do użytku.

Kończył czterdzieści lat, gdy powstało Towarzystwo Motoryzacyjne Forda i wreszcie ruszyła produkcja*.

Szybkość była rzeczą, o którą się przede wszystkim ubiegali pierwsi producenci samochodów. Wyścigi przynosiły rozgłos markom fabrycznym.

Henry Ford sam ustanowił parę rekordów na torze w Grosse Pointe i na lodzie jeziora St. Clair. W swojej 999 przejechał milę w trzydzieści dziewięć i cztery piąte sekundy*.

Ale miał przez całe życie zwyczaj najmowania do ciężkiej roboty innych. Szybkością, która go interesowała, była szybkość produkcji, rekordami - rekordy wytwórczej sprawności. Do ścigania się pod szyldem firmy zaangażował cyklistę akrobatę z Salt Lake City, Barneya Oldfielda*.

Henry Ford miał własne zdanie nie tylko o konstrukcji motorów, karburatorów, magnet, szablonów, sztanc, uchwytów i osprzętu; miał także swój pogląd na prowadzenie przedsiębiorstwa;

uważał, że wielkie pieniądze leżą w ekonomicznej produkcji seryjnej, szybkim obrocie kapitału, tanich prostych standardowych częściach zamiennych;

ale dopiero w 1909, po latach handryczenia się ze współnikami, wypuścił swój pierwszy Model T*.

Henry Ford miał rację.

Od razu w pierwszym sezonie sprzedał przeszło dziesięć tysięcy swoich Blaszanych Liz, a dziesięć lat później sprzedawał ich blisko milion rocznie.

W owych latach fabrykantów i dyrektorów produkcji elektryzował system Taylora. Hasłem dnia była organizacja. Tę samą pomysłowość, która pozwalała udoskonalać pracę maszyn, można zastosować do pracy robotników, którzy te maszyny wytwarzają.

W 1913 wprowadzono u Forda taśmę produkcyjną. W tym roku zyski wyniosły około dwudziestu pięciu milionów dolarów, ale pojawiły się trudności z utrzymaniem robotników. Mechanicy jakoś nie bardzo chcieli pracować u Forda.

Henry Ford miał swój pogląd nie tylko na prowadzenie przedsiębiorstwa.

Był największym fabrykantem samochodów na świecie, płacił wysokie dniówki. Może jeśli stali pracownicy będą wiedzieli, że mają zapewniony udział (bardzo skromny udział) w zyskach, stanie się to dla wykwalifikowanych robotników zachętą do trzymania się zakładów;

wysokopłatni mechanicy będą mogli zaoszczędzić dosyć pieniędzy na kupno Blaszanej Lizy. W dniu, w którym zakłady Forda ogłosiły, że nieposzlakowani żonaci robotnicy amerykańscy, którzy szukają pracy, mają szansę zarabiania pięciu dolarów dziennie (oczywiście wkrótce się okazało, że pod pewnymi warunkami; zawsze są warunki),

przed zakładami w Highland Parku*

przez całą mroźną styczniową noc

czekał taki olbrzymi tłum, że po otwarciu bram doszło do zamieszek; policjanci rozbijali głowy, kandydaci do pracy obrzucali ich cegłami; zniszczeniu uległo mienie, mienie Henry'ego Forda. Straż fabryczna musiała

w końcu użyć sikawek pożarowych do rozpędzenia tłumu.

System Amerykański*: dobrobyt motoryzacyjny idący z góry; oczy-wiście wkrótce się okazało, że pod pewnymi warunkami.

Ale te pięć dolarów dziennie,
płacone pilnym nieposzlakowanym robotnikom amerykańskim,
tórzy nie pili, nie palili, nie czytali i nie myśleli, którzy nie cudzołożyli i których żony nie przyjmowały sublokatorów,
te pięć dolarów rozślawiło ponownie Amerykę jako Jukon* czarno-roboczych świata
i pozwoliło wyprodukować owe wszystkie Blaszone Lizy, kładąc tym podwaliny pod wiek motoryzacji, a przy okazji czyniąc Henry'ego Forda, automobilera, wielbiciela Edisona i miłośnika ptaków, wielkim Amerykaninem jego czasów.

Ale Henry Ford miał nie tylko zdanie o taśmach produkcyjnych i życiu prywatnym swoich pracowników. Miał także swoje ideały. Był wiejskim chłopakiem, który nie tyle zawędrował do miasta dla zrobienia majątku, co zrobił majątek na przybliżeniu miasta do wsi. Nauki wyniesione z czytanek McGuffeya* oraz przesady i uprzedzenia wpojone mu przez matkę zachował nieskalane i nietknięte jak świeżo drukowane banknoty zamknięte w safesie.

Chciał, żeby ludzie poznali jego ideały, więc kupił tygodnik "Dearborn Independent" i rozpoczął kampanię przeciwko paleniu. Kiedy w Europie wybuchła wojna, miał także na jej temat własne zdanie. (Podejrzliwość wobec żołnierki i żołnierzy była równie zakorzeniona wśród farmerów Środkowego Zachodu, jak gospodarność, wytrwałość, wstrzemięźliwość i skrupulatność w sprawach pieniężnych.) Każdy inteligentny mechanik amerykański potrafi pojąć, że gdyby Europejczycy nie byli bandą ciemnych źle wynagradzanych cudzoziemców, którzy piją, palą, cudzołożą z kobietami i marnotrawnie gospodarzą, nigdy by nie doszło do wojny.

Kiedy przez mur strażników i sekretarek, którzy otaczali Henry'ego Forda, przedarła się Rosika Schwimmer*, by mu uświadomić, że mógłby położyć kres wojnie,
odparł, że oczywiście, wynajmie statek, popłynie do Europy i przed Bożym Narodzeniem wyciągnie chłopców z okopów.

Wynajął parowiec "Oskar II" i zapelniał go pacyfistami oraz społecznikami,
aby popłynęli wraz z nim przetłumaczyć księżtom Europy, że to, co robią, jest głupie i złe.

Nie jego winą było, że zdrowy chłopski rozum Biednego Ryszarda* nie rządził już światem, a pacyfiści okazali się po większej części maniakami
z głowami nabitymi gazetową frazeologią.

Williamowi Jenningsowi Bryanowi*, który przyjechał do Hoboken pożegnać odpływających, ktoś wcisnął klatkę z wiewiórką i William Jennings Bryan wygłaszał swoje przemówienie z wiewiórką pod pachą. Henry Ford rzucał do tłumu róże Piękność Ameryki, orkiestra grała Nie na żołnierza chowałam mego syna". Dowcipnisie wypuścili dalsze, wiewiórki. W salonie pluton pastorów związał węzłem małżeńskim parę zbiegłych kochanków. Pan Zero, filantrop domów noclegowych, który przybył za późno, żeby się zaokrętować, dał nura do Rzeki Północnej

i popłynął za statkiem*.

Oskara II" ochrzczono pływającą Chautauquą*; Henry Ford" mówił, że czuje się na nim jak w którymś z miasteczek Środkowego Zachodu; ale zanim dopłynęli do Kristiansandu w Norwegii, pismacy tak go ośmieszyli, że stchórzył i schronił się do łóżka. Świat poza hrabstwem Wayne w Michiganie był zbyt szalony. Żona i dykcja wysłały w ślad za nim dziekana Kościoła episkopalnego, który go zabrał cichaczem w drogę powrotną do kraju,

i pacyfiści musieli sobie w rezultacie strzepić języki sami.

Dwa lata później zakłady Forda produkowały sprzęt wojenny, w szczególności ścigacze klasy Orzeł*; Henry Ford planował także budowę jednoosobowych tanków i jednoosobowych łodzi podwodnych na wzór łodzi wypróbowanej podczas wojny o niepodległość. Ogłosił w prasie, że zyski wojenne przekaże rządowi, ale nie ma śladu, by to rzeczywiście uczynił.

Rzeczą, którą przywiózł ze swojej wyprawy do Europy,
były "Protokoły Mędrców Syjonu"*.

Rozpoczął w "Dearborn Independent"* kampanię uświadamiającą: temu, że świat nie jest już taki, jakim było hrabstwo Wayne w Michiganie za dawnych dobrych czasów konia i bryczki, winni są Żydzi; Żydzi rozpoczęli wojnę i wymyślili bolszewizm, darwinizm, marksizm, Nietzschego, krótkie spódnice i szminkę do

warg; Żydzi stoją za Wall Street, międzynarodowymi bankami, handlem białymi niewolnicami, kinematografem, Sądem Najwyższym, jazzem i pokątną sprzedażą alkoholu.

Henry Ford demaskował Żydów, kandydował na senatora, wytoczył "Chicago Tribune" proces o oszczerstwo*

i stał się pośmiewiskiem sprzedanej prasy metropolitalnej;
ale kiedy bankierzy metropolitalni chcieli mu się dobrać do skóry,
wystrychnęli ich wszystkich na dudków.

Zaczął się od tego, że w 1918 zadłużył się dla wykupienia mniejszościowych udziałów za bagatelną sumę siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów.

W lutym 1920 potrzebował gotówki na spłatę przypadającej części długu. Podobno zjawił się u niego jeden z bankierów i zaoferował mu wszelkie ułatwienia w zamian za dopuszczenie do rady nadzorczej przedstawiciela banków. Henry Ford wręczył bankierowi jego kapelusz

i przystąpił do mobilizowania funduszy na swój własny sposób:

wszystkie auta i wszystkie części zamienne, jakie miał na składzie, wyeksponował do swoich sprzedawców i zażądał od nich bezzwłocznej zapłaty w gotówce. Niech inni się zapożyczają, było zawsze kardynalną zasadą kupiecką. Wstrzymał produkcję i anulował wszystkie zamówienia u swoich dostawców. Dla wielu sprzedawców oznaczało to ruinę, wiele firm dostawczych zbankrutowało, ale kiedy Henry Ford wznowił produkcję,

był wyłącznym właścicielem swoich zakładów,

tak jak rolnik, który gospodaruje na farmie z czystą hipoteką i zapłaconymi podatkami.

W 1922 zaczął lansować kandydaturę Forda na urząd Prezydenta (wysokie zarobki, siłownie wodne, rozproszenie przemysłu po małych miasteczkach), czemu zakulisowymi manipulacjami zręcznie przeciw-działał

inny domorosły filozof,

Calvin Coolidge*;

ale w 1922 Henry Ford sprzedał milion trzysta trzydzieści dwa tysiące dwieście dziewięć Blaszanym Liz; był najbogatszym człowiekiem świata.

Miejsce wąskich kolein żłobionych w błocie przez Modele T zajęły dobre szosy. Popyt na auta rósł. W zakładach Forda bezustannie usprawniano produkcję; mniej marnotrawstwa, więcej majstrów, nadzorców, szpiclów (kwadrans na lunch, trzy minuty na wyjście do toalety, we wszystkim taśmowy pośpiech, sięgnąć pod spód, wcisnąć podkładkę, wkręcić śrubę, wsunąć zawleczkę, sięgnąć pod spód, wcisnąć podkładkę, wkręcić śrubę, sięgnąć pod spód wcisnąć przykręcić sięgnąć wcisnąć, aż praca wysysała z ludzi ostatnią uncję życia i do domu wracały roztrzęsione cienie).

Najmniejszy składnik procesu produkcyjnego stanowił własność Forda, od rudy w kopalni do gotowego auta zjeżdżającego o własnej sile z taśmy; w zakładach wszystko było wyliczone do jednej dziesięciotysięcznej cala według skali Johansena;

w 1926 cały cykl produkcyjny zredukowano do osiemdziesięciu jeden godzin licząc od rudy z kopalni do wychuchanego, zdatnego do jazdy auta, ekspediowanego do salonu sprzedaży;

ale Model T się przeżył.

Powojenna Koniunktura i System Amerykański

(oczywiście obwarowany pewnymi warunkami; zawsze są warunki)

uśmierciły Blaszaną Lizę.

Zakłady Forda były już tylko jednymi z wielu.

Kiedy przysłała bańka koniunktury,

Henry Ford, domorosły filozof, oświadczył tryumfalnie:

"A nie mówiłem?

To słuszna kara za uprawianie hazardu i zaciąganie długów.

Kraj jest zdrów".

Lecz kiedy ów kraj, w dziurawych butach, w podartych spodniach, w paskach zaciśniętych na pustych brzuchach,

z próżnymi rękami spierzchniętymi i posiekanymi od mrozu owego najzimniejszego marcowego dnia 1932, ruszył z Detroit do Dearborn, domagając się pracy i Systemu Amerykańskiego, jedyną rzeczą, o której umiano pomyśleć u Forda, były karabiny maszynowe.

Kraj był zdrów, ale demonstrantów powitano kulami.

Czterech zabito.

Na stare lata

Henry Ford jest namiętym kolekcjonerem*

(żyje, jak w stanie obłączenia, na ojcowskiej farmie wtopionej w posiadłość obejmującą tysiące

milionerskich akrów, strzeżony przez armię łamignatów, zauszników, tajniaków i szpiclów pod rozkazami byłego angielskiego boksera,

w wiecznym strachu przed tłumem w dziurawych butach na drodze, w wiecznym strachu, że gangsterzy porwą jego wnuki,

że zastrzeli go jakiś szaleniec,

że Nowe Czasy i bezrobotni o próżnych rękach wedrą się przez bramy i wysokie ogrodzenia;

strzeżony przez prywatną armię

przed nową Ameryką głodnych dzieci, pustych brzuchów, stóp w dziurawych butach przytupujących w kolejce po waserzupkę,

Ameryką, która wchłonęła dawnych skrzętnych farmerów

hrabstwa Wayne w Michiganie, jakby ich nigdy nie było).

Na stare lata

Henry Ford jest namiętnym kolekcjonerem.

Odbudował farmerski dom swego ojca i urządził go dokładnie tak, jak go zapamiętał z lat chłopięcych.

Wzniósł całe miasteczko muzeów bryczek, sani, dyliżansów, starych pługów, kół młyńskich, wczesnych samochodów. Spenetrował kraj, by ściągnąć muzykantów, którzy by potrafili grać staromodne wiejskie tańce.

Skupował nawet stare karczmy i kazał je doprowadzać do pierwotnego stanu. To samo uczynił z pierwszymi laboratoriami Thomasa Edisona.

Nabywszy Przydrożną Oberżę pod Sudbury w stanie Massachusetts, kazał od niej odsunąć nowoczesną szosę, którą z oleistym szumem i warkotem (nowym dźwiękiem samochodu) przemykały ostatnie modele samochodów,

i odtworzyć starą wyboistą drogę,

by wszystko było znów tak

jak za dawnych dobrych czasów

konia i bryczki.

KRONIKA XLIX

*Walcie karowy,
Walcie karowy,
Wyplaszasz mi z kieszeni
Resztki mej chudoby*

ŚWIADKOWIE W TAJEMNICZEJ AFERZE KORUPCYJNEJ

Filadelfijczyk pobity na śmierć we własnym pokoju

niecały rok temu mówiono robotnikom, że żołnierze toczą na zboczonych krwią polach Francji bój w obronie demokracji, i kazano im wypruwać z siebie żyły dla wsparcia ich wzmożoną produkcją, a teraz ci sami żołnierze przychodzą uczyć robotników demokracji, przychodzą ze swymi śmiertcionośnymi narzędziami, ze swymi wielostrzałowymi karabinami, kulomiotami, działkami, które mogą w ciągu paru minut oczyścić dwumilową ulicę, w kaskach, które wyprodukowali robotnicy z Gary

*Bananów już nie mamy,
Skończyły się banany*

KLIKA POPLECZNIKÓW TRAKCJI ELEKTRYCZNEJ
UTRĄCA USTAWĘ O KOMUNIKACJI AUTOBUSOWEJ

Płoną domy, a pijani żołnierze w spódnicach tańczą

MŁODA SAMOBÓJCZYNI BYŁA PRZYJACIÓŁKĄ
OLIVE THOMAS*

Zabił się na złość żonie, która traci zmysły
na wieść o samobójstwie

POSZUKIWANIE DOWODÓW POGONI ZA PIENIĄDZEM NA WSCHODZIE

interes polega w głównej mierze na finansowaniu fabrykantów i kupców przez wykupywanie dowodów ich zadłużenia wynikającego z zarzucania rynku wielką różnorodnością towarów takich, jak automobile, aparaty

elektryczne, maszyny.

CHARLIE ANDERSON

- Pan And-son, pan And-son, depesza do pana And-sona.

Charlie wyciągnął rękę po telegram i stojąc na rozkołysanym korytarzu odcyfrował paseczki liter nalepione na blankiet.

LEŻĘ INFLUENCA STOP DEPEZUJ ADRES STOP PRZYJAZD PRZYSZŁY TYDZIEŃ STOP JOE.

- Diabli nadali - powtarzał Charlie pod nosem, przeciskając się na swoje miejsce między kobietami zamykającymi sakwojaże, siwym mężczyzną naciągającym paltot i posługaczem obładowanym walizkami. - Diabli nadali.

Pociąg już zwalniał przed Grand Central. Na szarym podziemnym peronie było spokojnie, gdy wysiadł z dusznego slipingu i odebrał od posługacza ciężką walizę. Kołysząc nią zaczął się samotnie wspinać, pochyłym chodnikiem. Od długiej jazdy bolała go głowa. Stacja była tak wielka, że nie sprawiała tłoczego wrażenia, jakie mu się kojarzyło z Nowym Jorkiem. Przez grube szyby wielkich sklepionych okien widać było strugi deszczu zacinające w ściany kamienic po drugiej stronie ulicy.

Nie wiedząc, w którą stronę iść, kręcił się po stacji, aż trafił na witrynę jadłodajni. Wszedł i usiadł. Dzień był duszny, z kuchni napływał falami zapach mydlin do pomywania i rozgrzanego tłuszczu. Kelnerka była małą czarnowłosą dziewczyną o kwaśnej minie i sińcach pod oczami. Gdy się nad nim pochyliła układając nakrycie, owionęła go woń wilgotnej bielizny, potu i talku. Poszukał jej wzroku chcąc ją sprowokować do uśmiechu. Kiedy się oddalała po zupę dla niego, przyglądał się jej kanciastym pośladkom poruszającym się miarowo pod czarną sukienką. W aurze deszczowego nadoceanicznego dnia było coś przytłaczającego i lubieżnego.

Jadł zupę pomidorową nie czując smaku. Nie skończywszy wstał i podszedł do budki telefonicznej. Nie potrzebował sprawdzać numeru. Czekając czuł, jak ze zdenerwowania spływają mu po karku strużki potu. Gdy w słuchawce odezwał się kobiecy głos, słowa uwięzły mu w gardle.

- Ch-chciałbym mówić z panną Humphries -- wykrztusił wreszcie. - P-proszę powiedzieć, że Charlie Anderson... Porucznik Anderson.

Nim zdążył przyzwyciężyć odchrząknąć, w słuchawce rozległ się jej melodyjny piśszczotliwy głos. Oczywiście, że go pamięta - zapewniła intymnie - ładnie, że zadzwonił. Oczywiście, będą się często widywać, nie będzie mogła się doczekać. Chciałaby jak najprędzej, ale akurat wyjeżdża na weekend, tak, przedłużony weekend. Niech koniecznie zadzwoni w przyszłym tygodniu, nie, jakoś tak pod koniec. Marzy, żeby się z nim znowu zobaczyć. Gdy wrócił, kelnerka czekała koło stolika.

- Nie smakowała panu zupa? - spytała.

- Owszem, tylko musiałem załatwić parę telefonów.

- Parę telefonów? - powtórzyła kpiąco.

Teraz ona chciała go sprowokować do uśmiechu.

- Poproszę jeszcze kawę i kawałek jakiegoś placaka - powiedział patrząc na menu.

- Jest suflet cytrynowy, paluszki lizać - odparła z komicznym westchnieniem, tak że parsknął śmiechem.

Popatrzył na nią rozbawiony i zrobiło mu się gorąco. Ogarnęła go znowu chętką.

- Dobrze, złotko, niech będzie suflet.

Zjadłszy zapłacił i wrócił do budki telefonicznej. Dzwoniła z niej przed chwilą jakaś kobieta, w powietrzu wisiał ostry odór perfum. Zatelefonował do Klubu Stulecia zapytać, czy Ollie Taylor jest w Nowym Jorku; okazało się, że jest w Europie. Wobec tego zadzwonił do Johnsonów; nikogo więcej tutaj nie znał. Głos Eweliny Johnson w słuchawce miał niskie przytłumione brzmienie. Usłyszawszy, kto mówi, zaśmiała się i powiedziała:

- Chętnie byśmy cię zobaczyli. Przyjdź na kolację, poznasz naszego małego.

Wysiadł z metra przy Astor Place o wiele za wcześnie. Zapytał sprzedawcę gazet, w której stronie jest Piąta Aleja, krążył tam i z powrotem między sennymi kamienicami z czerwonej cegły. Odczuwał potrzebę świeżego powietrza po dusznym kinematografie, do którego poszedł dla zabicia popołudnia. Kiedy spojrzął na zegarek, było dopiero wpół do siódmej. Do Johnsonów był zaproszony na siódmą. Minął ich dom trzykrotnie, nim się zdecydował wejść na schodki. Na bileciku nad dzwonkiem widniały nabazgrane nazwiska: Paul Johnson, Ewelina Hutchins. Nacisnął dzwonek i czekał poprawiając nerwowo krawat. Nikt nie odpowiadał. Zastanawiał się, czy zadzwonić jeszcze raz, gdy ujrzał Paula Johnsona w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, nad-chodzącego rażno, z pogwizdywaniem, od strony Piątej Alei.

- A-a, cześć, Anderson - odezwał się zaskoczony Paul. - Skąd się tutaj wzięłeś?

Dźwigał kilka toreb z wiktuałami, które musiał przełożyć do lewej ręki, żeby ucisnąć Charliemu dłoń.

- Powiniennem ci pewnie pogratulować - powiedział Charlie. Paul zmierzył go nie rozumiejącym wzrokiem, po czym się oblał rumieńcem.

- Masz na myśli syna i dziedzica? Ponoć to błogosławieństwo.

Wprowadził Charliego do dużego nagiego staroświeckiego pokoju o sutych fioletowych zasłonach w oknach.

- Siadaj na chwilę. Zobaczą, co robi Ewelina.

Wskazał mu wyściełaną kanapę i zniknął za rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi w głąb mieszkania. Wrócił niemal natychmiast, starannie zasuważąc za sobą drzwi.

- To pysznie. Ewelina mówi, że zostajesz na kolacji. Podobno wracasz ze Środkowego Zachodu. Jaka tam sytuacja? Ja bym już nie wrócił do Minnesoty, gdyby mi nawet dopłacali. W Nowym Jorku żyje się wspaniale, trzeba się tylko twardo trzymać. Chodź, pokażę ci, gdzie się możesz odświeżyć. Ewelina zaprosiła na kolację chmarę ludzi, będę musiał jeszcze skoczyć do rzeźnika. Chcesz umyć ręce?

Łazienka była zaparowana i pachniała solami do kąpieli - ktoś się przed chwilą kąpał. Nad wanną suszyły się rzeczy niemowlęce, na drzwiach wisiał żółty jedwabny szlafroczek, pod nim irygator w czerwonej torbie. Charlie mu zrobiło się głupio, jakby podglądał. Po wytarciu powąchał dłonie i woń mydła uderzyła mu do głowy. Wróciwszy do pokoju zastał Ewelinę opartą o biały marmurowy kominek, z żółtobroszuirowaną powieścią francuską w ręce. Była w długiej koronkowej sukni z bufiastymi rękawami, na nosie miała okulary w szyldkretowej oprawie. Zdjęła je, wsunęła w książkę i czekała z wyciągniętą dłonią.

- Tak się cieszę, żeś przyszedł. Widuję tylko ludzi, którzy mnie odwiedzają.

- Byczo, żeś mnie zaprosiła. Wynudziłem się na tej prowincji, mówię ci. Człowiek się zaraz inaczej czuje, jak zobaczy kogoś z tamtej strony. To jedyne, co nam jeszcze przypomina cud Pari-iz.

Roześmiała się; pamiętał jej śmiech ze statku. Miał ją ochotę pocałować. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, wyciągnął papierosa.

- Wolałabym, żebyś nie palił. Zapach dymu przyprawia mnie o mdłości od czasu, gdy byłam przy nadziei. Nie pozwalam nikomu palić, czy to nie okropne?

Charlie poczerwieniał i wyrzucił papierosa do kominka. Przeszedł się kilka razy tam i z powrotem po wysokim wąskim pokoju.

- Może byśmy usiedli? - zaproponowała ze swoim irytująco swobodnym uśmiechem. - Co zamierzasz robić w Nowym Jorku?

- Muszę sobie coś znaleźć. Mam pewne plany. Ale, ale! Jak tam mały? Chciałbym go zobaczyć.

- Dobrze, zapoznam was, jak się obudzi. Zostaniesz jednym z jego wujków. Tymczasem muszę się zająć kolacją. Czy to nie dziwne, że wszyscy się spotykamy w Nowym Jorku?

- Trudno się pozbierać w tym mieście, co?

Zniknęła za rozsuwanymi drzwiami, zza których wkrótce zaczął się sączyć zapach smażonego masła. Charlie w ostatniej chwili powstrzymał się od zapalenia następnego papierosa. Jał się snuć po pokoju, gapić na staromodne meble, trzy białe lilie w wazonie, półki z francuskimi książkami. W końcu wrócił Paul z nową porcją wiktualów, cały zgrzany i czerwony na twarzy. Zniknął za rozsuwanymi drzwiami, rzuciwszy mu w przelocie, że robi coś do picia.

Charlie usiadł na kanapie, wyciągnął nogi. W wysokosklepionym pokoju panowała cisza. Przytłumione odgłosy zza rozsuwanych drzwi, poruszenia Johnsonów, stukot naczyń, francuskie wonie gotowanej kolacji, wszystko to tworzyło domową atmosferę. Wrócił Paul ze stosem talerzy, kieliszków i gąsiorkiem wina na tacy. Rozstawił na stoliku o marmurowym blacie długą bułkę francuską, półmisek tuńczyka, ser.

- Niestety nie mam nic mocniejszego, żeby zrobić cocktail. Wyszedłem późno z biura. Jest tylko to makaroniarskie wino.

- Tym lepiej. Muszę teraz wziąć trochę na wstrzymanie. Za dużo spraw mam na głowie.

- Przyjechałeś szukać tutaj pracy?

- Mamy pewne plany z jednym facetem. Znasz go, Joe Askew, był na statku. Byczy facet, nie? Tylko że się, kretyn, rozłożył na influencę i zostawił mnie na lodzie, dopóki nie wyzdrowieje.

- Bo w Nowym Jorku sytuacja jest gorsza, niż się spodziewałem. Mój stary umieścił mnie tymczasem w biurze maklera zbożowego w Jersey City. Rozumiesz, żebym miał póki co zaczepienie. Ale, jak rany, nie myślę przez całe życie wysiadywać tyłka za biurkiem. Gdyby nie mały, nie wziąłbym tego w ogóle.

- No, my mamy w zanadrzu coś dużego. Musimy tylko zdobyć kapitał na rozruszanie interesu.

Ewelina rozsunęła drzwi i wniosła salaterkę sałatki. Paul zaczynał właśnie mówić o handlu zbożem, ale na jej widok zamilkł.

- Ciekawe, że wszyscy się pchają po tej wojnie do Nowego Jorku - powiedziała Ewelina.

Z głębi mieszkania rozległ się cienki płacz.

- Oho, to jego okrzyk wojenny - wtrącił Paul.

- Jeśli go naprawdę chcesz zobaczyć, to teraz jest odpowiednia chwila - oznajmiła Ewelina. - Chociaż nie wiem, co to za przyjemność oglądać cudze dzieci.

- Chętnie go obejrzę - odparł Charlie. - Nie mam własnych dzieci do oglądania.

- Takiś pewny? - zapytała ze swoim swobodnym kpiącym uśmiechem.

Charlie oblał się pąsem. Pokrył zakłopotanie głośnym śmiechem. Z kieliszkami w dłoniach pochylili się nad różowym łóżeczkiem. Charlie zobaczył przed sobą bezzębną różową buzię i dwie pulchne piąstki chwytające powietrze.

- Powiniennem pewnie powiedzieć, że wykapany tata - bąknął.

- Biedny mały przypomina raczej naszych darwinowskich przodków - odparła Ewelina chłodno. - Płakałam i płakałam, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam. Żeby mu tylko urosła dolna szczęka. Charlie mimo woli zerknął kątem oka na szczękę Paula, która też nie grzeszyła wydatnością.

- Wesoły szkrab - powiedział.

Ewelina nakarmiła dziecko butelką przyniesioną z małej kuchni koło łazienki, po czym wrócili wszyscy do pokoju frontowego.

- Zazdroszczę wam - rzekł Charlie pochwyciwszy spojrzenie Eweliny, która jednak skwitowała jego uwagę jedynie wzruszeniem ramion. - Mieszkacie sobie we dwoje z dzieckiem, macie ładnie urządzone mieszkanie, kieliszek wina do kolacji, wszystko. Dopiero tutaj czuję, że wojna naprawdę się skończyła. Nie ma co, muszę się zabrać ostro do rzeczy.

- O to się nie martw - odparł Paul. - Życie zmusi cię do tego prędzej, niżbyś chciał.

- Dlaczego oni nie przychodzą? - zniecierpliwiła się Ewelina. - Kolacja gotowa. Ma być Charles Edward Holden, on się zawsze spóźnia.

- Powiedział, że może przyjdzie - sprostował Paul. - O, jest, to jego pukanie.

W drzwiach wejściowych ukazał się długi osobnik o ziemistej cerze, którego Paul przedstawił jako swego brata Ala. Przybyły mierzyl Charliego przez chwilę przenikliwym niezwykłym spojrzeniem.

- Porucznik Anderson? - zastanowił się. - Myśmy się już gdzieś spotkali.

- Był pan za oceanem?

Chudzielec potrząsnął energicznie głową.

- Nie, to musiało być w Nowym Jorku. Ja nigdy nie zapominam raz widzianej twarzy.

Charlie poczuł, że się czerwieni.

Zjawił się jeszcze wysoki mężczyzna o zapadłych policzkach, nazwiskiem Stevens, i krępa tęga dziewczyna, której nazwiska Charlie nie dostyszał. Miała proste czarne krótko obcięte włosy. Mężczyzna nazwiskiem Stevens nie zwracał uwagi na nikogo prócz Ala Johnsona, dziewczyna na nikogo prócz Stevensa.

- No, jak tam, Al? - zapytał ten zaczepnie. - Ostatnie wydarzenia nie zmieniły twoich zapatrywań?

- Musimy działać powoli, Don, powoli i ostrożnie. Nie możemy obrażać podstawowych instynktów ludzkich. Musimy się liczyć z nastrojami klasy robotniczej.

- No, jeśli chcecie dyskutować o klasie robotniczej, to lepiej siadajmy do kolacji nie czekając na Holdena - oświadczyła Ewelina wstając. - Don się będzie wściekał, jak zacznie perorować o pustym żołądku.

- Co to za Holden? Charles Edward? - spytał Al Johnson z respektem w głosie.

- Nie ma na kogo czekać - zawyrokował Don Stevens. - To zwykły burżuazyjny gnojodłub*.

Charlie z Paulem pomogli Ewelinie wnieść z sypialni drugi stolik. całkowicie nakryty. Charliemu udało się usiąść koło Eweliny.

- Rany, wspaniała wyżerka. Przypomina mi najlepsze dni w Pari-i-żu - powtarzał raz po raz. - Mój brat chciał, żebym z nim prowadził przedstawicielstwo Forda w Dwójmieście. Ale nie utrzymasz już na farmie chłopców, co raz poznali cud Pari-i-ż.

- Teraz stolicą jest Nowy Jork.

Było coś niepokojącego w sposobie, w jaki się do niego pochyliła mówiąc, w jaki go przez cały czas obserwowała swoimi podłużnymi oczami, jakby go chciała wysondować.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi tu częściej zaglądać - powiedział. - Będzie mi pewnie ciężko w Nowym Jorku, dopóki się nie urządzą.

- Przesiaduję po całych dniach w domu - odparła. - Będzie tak, dopóki się nie zdobędziemy na fachową piastunkę do Jeremy'ego. Biedny Paul musi co drugi dzień ślęczeć do późna w biurze. Ba, gdybyśmy to mogli wszyscy zarobić szybko furę pieniędzy.

Charlie uśmiechnął się posępnie.

- Daj nam trochę czasu. Ledwośmy ściągnęli khaki z grzbietu.

Nie bardzo mogąc nadążyć za tokiem rozmowy, Charlie oparł się na kanapie i obserwował Ewelinę. Paul też się niewiele odzywał, a podawszy kawę znikł zupełnie. Zarówno Ewelina, jak tęga dziewczyna na końcu stołu uważały zdaje się Stevensa za Bóg wie co. Al Johnson, siedzący koło Charliego na kanapie, pochylił się raz po raz, perorując coś Ewelinie i wymachując mu przed nosem długim paluchem. Chwilami wydawało się, że Al Johnson i Stevens skoczą sobie do oczu. Charlie, rozmarzony dobrą kolacją i winem, w dodatku nie bardzo wiedząc, o czym rozmawiają - ostatecznie nie był jeszcze wprowadzony w tutejsze sprawy - zaczynał się robić coraz senniejszy. W końcu wstał rozprostować nogi. Nikt na niego nie zwracał uwagi, więc poszedł do kuchenki, gdzie zastał Paula przy zmywaniu.

- Pomogę ci wycierać - zaproponował.

- Nie, mam własny system - odrzekł Paul. - Rozumiesz, Ewelina gotuje, wypada, żebym ja się też przyłożył, więc wziąłem na siebie zmywanie.

- Słuchaj, te ptaszki nie podpadną prędzej czy później, jak będą wygadywać takie rzeczy?

Charlie zrobił kciukiem ruch w kierunku pokoju.

- Don Stevens jest znany jako radykał, już ma krechę.

- Rozumiesz, nie twierdzą, że nie mają racji, ale, jak rany Chrystusa, każdy chce zarobić na kawałek chleba.
- Al pracuje w "Worldzie", oni są tam dosyć liberalni.
- W naszych stronach wystarczy pisnąć słówko, a jakbyś wetknął kij w mrowisko - powiedział Charlie ze śmiechem. - Nie chcą przyjąć do wiadomości, że wojna się skończyła.
Pochowawszy naczynia wrócili do pokoju. Don Stevens podszedł do Charliego.
- Ewelina mówi, że pan jest lotnikiem - oznajmił marszcząc czoło. - Niech pan powie, co myślą lotnicy. Trzymają z klasą robotniczą czy z klasą wyzyskiwaczy?
- Nie za dużo pan ode mnie wymaga? - wycedził Charlie. - Większość chłopców, których znam, próbuje się włączyć w szeregi ludzi pracy.
U drzwi rozległ się dzwonek. Ewelina podniosła rozpromienioną twarz.
- To pewno Charles Edward Holden - powiedziała.
Paul otworzył.
- Cześć, Dick! - wykrzyknęła Ewelina. - Myśleliśmy wszyscy, że to Charles Edward Holden.
- Kto wie, może nim jestem - odparł wymuskany młody mężczyzna o lekko wyłupiastych niebieskich oczach, który się zatrzymał w drzwiach. - Jakoś się głupio czuję cały dzień.
Ewelina przedstawiła przybysza rangą wojskową.
- Kapitan Savage, porucznik Anderson.
- Hm-m - mruknął Stevens w głębi pokoju.
Charlie zauważył, że Stevens i wymuskany mężczyzna w milczeniu zmierzli się zimnym wzrokiem. Wszystko to zaczynało być dość niepokojące. Ewelina i dziewczyna z krótkimi włosami wymieniły chłodnym głosem kilka uprzejmych uwag. Charlie uznał, że najwyższy czas się zmyć.
- No, ja będę już uciekał - powiedział do Eweliny.
- Hej, Anderson, niech pan chwilę zaczeka! - zawołał z przeciwległego kąta Al Johnson. - Przejdziemy się razem kawałek.
Charlie stwierdził nagle, że zaglądają sobie z Eweliną głęboko w oczy.
- Było strasznie przyjemnie - powiedział.
- Wpadnij któregoś popołudnia na herbatkę - zaprosiła.
- Nie omieszkać.
Ucisnął jej mocno dłoń. Żegnając się z pozostałymi słyszał, jak chichocze z kapitanem Savagem.
- Wpadłem się przekonać, jak żyje piękna płeć - mówił ten. - Ewelino, wyglądasz oszałamiająco.
Wyszedszy w wiosenną noc, Charlie odetchnął. Było po deszczu, miejskie powietrze miało chłodną spleknaną woń. Zachodził w głowę, czy Ewelina by tego... Cóż, nigdy nie wiadomo, póki się nie spróbuje. Za jego plecami pojawił się na schodkach Al Johnson, ujął go pod ramię.
- Paul mówi, że pan wraca prosto z rodzinnego grajdołka.
- Zgadza się. Nie widzi pan, że mam jeszcze siano we włosach?
- Rany, jak Ewelina zbierze koło siebie paru dawnych wielbicieli, to atmosfera robi się trochę przyciężka, nie uważa pan? Tę biedną małą Dona zmroziła na śmierć. Co by pan powiedział, gdybyśmy razem wskoczyli gdzieś na tyczek czegoś mocniejszego, żeby zabić smak tego czerwonego inkaustu?
- Wspaniała myśl - odrzekł Charlie.
Przecięli Piątą Aleję i poszli dalej tą samą ulicą. Zatrzymali się przed wąskimi czarnymi drzwiami. Al Johnson nacisnął dzwonek. Otworzył mężczyzna w koszuli. Korytarzem, który cuchnął latrynami, dotarli do baru.
- No, nareszcie coś dla ludzi - powiedział Al Johnson. - W końcu mam tylko jeden wolny wieczór w tygodniu.
- Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów - przytaknął Charlie. - Tylko że naprawdę to ich nigdy nie było. Usiedli przy małym okrągłym stoliku naprzeciwko baru i zamówili żytniówkę. Raptem Al Johnson wyciągnął przez stół długi palec wskazujący.
- Już wiem, gdzieśmy się poznali. W dniu wypowiedzenia wojny w Małych Węgrzech. Byliśmy wszyscy pijani w sztok.
Charlie odparł, że rany, nie może pamiętać, poznał tego dnia tabuny ludzi.
- To było na pewno wtedy - upierał się Al Johnson. - Ja nigdy nie zapominał raz widzianej twarzy.
Zawołał na kelnera, żeby im przyniósł piwa do przepłukania gardła. Do piwa wypili jeszcze parę żytniówek za dawne dobre czasy.
- Okazuje się, że Nowy Jork to także wielka dziura - powtarzał Charlie. - Taka sama wiocha jak wszystkie inne.
- Nawet zachował nazwę: Greenwich Village* - uzupełnił Al Johnson.
Wypili jeszcze parę kolejek za miłe chwile spędzone w Małych Węgrzech. Znudziło im się siedzieć przy stoliku, więc się przenieśli do baru, przy którym urzędowało dwóch białych młodzieńców i pulchna dziewczyna o strąkowatych włosach, w haftowanej bułgarskiej bluzce, wszystko dobrzy znajomi Ala Johnsona.

- Stary dziennikarz - powtarzał Al. - nigdy nie zapomina twarzy ani nazwisk. - Obrócił się do Charliego. - P-pułkownik, poznaj moich serdecznych przyjaciół. P-pułkownik... ee...

Charlie, z wyciągniętą dłonią, chciał mu podpowiedzieć "Anderson", lecz Al Johnson już ciągnął:

- ...Charles Edward Holden. A to przyjaciele z kręgów artystycznych.

Nie dopuścili Charliego więcej do słowa. Dwaj młodzieńcy zaczęli tokować o sztuce, którą właśnie wystawiali Washington Square Players*. Dziewczyna miała zadarty nos i wielkie sińce pod niebieskimi oczami, którymi go pożerała potrząsając mu wylewnie dłoń.

- Coś podobnego. Tak pana chciałam poznać. Czytuję wszystkie pańskie artykuły.

- Ale ja wcale nie jestem... - zaczął Charlie.

...pułkownikiem - dokończyła dziewczyna.

- Mianuję cię pułkownikiem na dzisiejszy wieczór - uciął Al z machnięciem ręki, po czym zawołał o następną kolejkę.

- Och, proszę pana - podjęła dziewczyna wychyliwszy whisky jak majtek - czy to nie cudowne, żeśmy się tak poznali? Myślałam, że wielki Holden jest znacznie starszy, no i nie taki przystojny. Musi mi pan o wszystkim opowiedzieć.

- Niech pani mi mówi Charlie.

- Ja mam na imię Bobbie. Mów mi Bobbie, dobra?

- Jasne - odparł Charlie.

Odciągnęła go kawalek na bok.

- Paskudnie się nudziłam. To kochani chłopcy, ale przez cały czas rozprawiają tylko o tym, że Philip się napił jodyny, bo Edward go przestał kochać. Nie znoszę pokręconych facetów, ty też? Lubię rozmawiać, ty też? Och, nie cierpię ludzi, którzy nie działają, nie tworzą. Nie interesują się książkami, wydarzeniami na świecie, wszystkim. Ty też?

- Jasne - przytakiwał Charlie.

Byli już przy samym końcu baru. Al Johnson znalazł następnych starych przyjaciół, z którymi pił pod dawne dobre czasy. Dziewczyna pociągnęła Charliego za rękaw.

- Może byśmy poszli do jakiegoś spokojniejszego lokalu pogadać? Tutaj nie można nawet zebrać myśli.

- A nie zna pani... nie znasz jakiegoś miejsca, gdzie by można potańczyć? - spytał Charlie.

Dziewczyna kiwnęła głową. Na ulicy wzięła go pod ramię. Wiatr zmienił się na północny, zrobił się zimny i porywisty.

- Podbiegnijmy - zaproponowała dziewczyna. - Czy też to poniżej godności sławnego Holdena?

- Mów mi Charlie.

Ruszyli w kierunku wschodnim, skręcili w ulicę ubogich kamienic czynszowych i zagraconych sklepików włoskich. Dziewczyna nacisnęła dzwonek przy drzwiach do jakiejś sutereny. Czekać położyła mu dłoń na ramieniu.

- Mam dziś flotę, ja funduję - powiedziała.

- Głupio bym się czuł.

- Dobra, więc płacimy po połowie. Ja wyznaję równouprawnienie płci, ty nie?

Charlie się pochylił, pocałował ją.

- Och, to dla mnie cudowny wieczór. Wszystkie sławy, jakie znałam, były takie nadęte. Rozumiesz, nie miały odrobiny joie de vivre*. Ty pierwszy jesteś taki miły.

- B-bo ja - wystękał Charlie - w-wcale nie jestem...

Nie skończył, bo drzwi się otworzyły.

- Serwus, Jimmy - powiedziała dziewczyna do przyznanego młodzieńca w brązowym ubraniu, który ich wpuścił. - Poznaj mojego przyjaciela. Pan Grady, pan Holden.

Młodemu człowiekowi zabłyśły oczy.

- Chyba nie Charles Edward?

Dziewczyna potrząsnęła entuzjastycznie głową, aż pokaźny kosmyk opadł jej na oko.

- Bardzo mi miło, to prawdziwy zaszczyt. Jestem pańskim stałym czytelnikiem.

Kłaniając się i czerwieniąc zaprowadził ich do stolika przy parkiecie w małej salce, dusznej i gorącej od jupiterów, dymu papierosowego i ciżby tańczących. Zamówili grzanki z serem i znowu whisky, po czym dziewczyna chwyciła Charliego za rękę i pociągnęła na parkiet. W tańcu ocierała się o niego tak, że czuł przez bułgarską bluzkę jej małe krągłe piersi.

- No, no, chłopiec umie tańczyć - szepnęła. - Zapomnijmy o wszystkim. Kim jesteśmy, jaki dziś dzień.

- Ja tam zapomniałem dwie godziny temu - odparł Charlie przyciskając ją mocniej do siebie.

- Ty jesteś prostym parobkiem, ja bosą dziewczką od krów.

- Więcej w tym prawdy niż poezji - wycedził Charlie przez zęby.

- Poezji? Uwielbiam poezję, ty też?

Tańczyli aż do zamknięcia lokalu. Wyszedszy na puste czarne ulice zataczali się i potykali o kubły na śmieci. Spod nóg wyskakiwały im koty. Zatrzymali się, żeby zrobić policjantowi wykład o wolnej miłości. Na

każdym rogu stawali i długo się całowali. Szukając w woreczku klucza od drzwi Bobbie powiedziała:

- Ludzie, którzy coś tworzą, są boskimi kochankami, nie uważasz?

Charlie obudził się pierwszy. Przez nie zasłonięte okno wpadał snop słońca. Dziewczyna spała z twarzą wciśniętą w poduszkę, z otwartymi ustami. Wyglądała znacznie starszej niż wieczorem. Miała woskową zieloną cerę i strąki na głowie.

Charlie ubrał się po cichu. Na wielkim stole, tonącym w pokładach kurzu i zawalonym śmiesznie rysowanymi aktami, znalazł sztyft węgla. Wyszukał arkusz żółtego papieru z nie dokończonym wierszem i na odwrocie napisał: "Byczo było. Do widzenia, powodzenia, Charlie". Dopiero zszedłszy po skrzypiących schodach na sam dół, naciągnął trzewiki.

Na ulicy, w zimnym wietrznym poranku wiosennym, poczuł się cudownie. Co chwila wybuchał głośnym śmiechem. Wspaniałe miasto. Wszedł do jadłodajni na rogu Ósmej Ulicy i zamówił śniadanie złożone z jajecznicy na boczku, naleśników i kawy. Jedząc chichotał. Potem wsiadł w kolej nadziemną i pojechał w górę Manhattanu, do Czterdziestej Drugiej Ulicy. Zakopcone dachy, lustrzane witryny, brudne żarówekzki reklam elektrycznych, drabinki przeciwpożarowe, zbiorniki z wodą - wszystko wyglądało cudownie w porywistym blasku słońca. Zegar na dworcu Grand Central wskazywał wpół do dwunastej. Numerowi wywoływali nazwy ekspresów odchodzących na zachód. Odebrał z przechowalni walizę, żeby ją zataskać do hotelu. Joe Askew mu napisał, żeby się zatrzymał w hotelu Chatterton, bo to lepszy adres niż Ymca. Waliza była ciężka od planów i podręczników kreśleń mechanicznych, rączka wrzynała mu się w dłoń, więc złapał taksówkę. Gdy portier w recepcji poprosił go o referencje, pokazał mu certyfikat oficera rezerwy.

Hotel miał windę, wanny i prysznic na końcu mdłoświetlonych korytarzy oraz całą litanię przepisów porządkowych na drzwiach klitki, w której go umieszczono. Rzucił się w ubraniu na łóżko. Chciało mu się spać. Leżał i chichotał gapiąc się w sufit. Bycze miasto ten Nowy Jork.

Jak się okazało, miał mieszkać przez dłuższy czas w tym małym dusznym pokoiku z zielonymi tapetami i rozchwierutanymi meblami w stylu misyjnym*. Przez pierwsze parę dni obchodził po kolei wszystkie firmy awiacyjne próbując znaleźć dorywcze zajęcie. Spotkał nawet kilku znajomków z Europy, ale jakoś żaden nie mógł mu załatwić pracy; gdyby się był zgłosił parę miesięcy wcześniej. Wszyscy narzekali na zastój. Politycy mają gdzieś lotnictwo cywilne, to kładzie wszystko. W dodatku za dużo byłych lotników ugania się za pracą.

Pod koniec pierwszego tygodnia, wróciwszy któregoś wieczora z wyprawy do fabryki motorów w Long Island City, gdzie mu na pół obiecali od lata posadę kreślarszą, jeśli ich człowiek załatwi w Waszyngtonie kontrakt, o który się ubiegają, zastał w hotelu list od pani Askew. Joe jest ciężko chory, zawiadamiła, ma obustronne zapalenie płuc, przyjedzie do Nowego Jorku najwcześniej za parę miesięcy. Męczył ją, żeby napisała do Charliego, więc to robi dla jego spokoju, chociaż uważa, że nie powinien sobie zaprzętać głowy interesami, skoro jest taki chory. Joe prosi, żeby Charlie broń Boże nie pokazywał nikomu swoich planów, póki nie uzyskają patentów. Niech lepiej weźmie na razie jakąś pracę i przebiduje do czasu, gdy będą mogli rozkręcić interes, jak się patrzy.

Przebidować, niech to cholera. Charlie usiadł na zapadającym się łóżku, żeby policzyć pozostałe pieniądze. Cztery dziesiątki, dwójka, jedynka i pięćdziesiąt trzy centy bilonem. A tu sam pokój kosztuje osiem dolarów tygodniowo. Kiepskie widoki na nadchodzące lato.

Któregoś dnia udało mu się w końcu złapać telefonicznie Doris Humphries, która go zaprosiła na następne popołudnie. W apartamencie Humphriesów było podobnie jak u Bentonów, kiedy tam wówczas poszedł z Olliem Taylorem, tyle że zamiast lokaja obsługiwała pokojowa. Charlie czuł się okropnie głupio, bo go przyjęły same kobiety. Matka Doris, kościasta wypindrzona wydra, zmierzyła go spojrzeniem, które-zdawało mu się - przewierca go aż do portfela w tylnej kieszeni spodni.

Uraczyły go herbatą i ciasteczkami. Charlie nie wiedział, czy wypada zapalić. Powiedziały, że Ollie Taylor jest znowu za granicą, pojechał na południe Francji, a ponieważ Ollie był jedynym wspólnym tematem, jaki mieli, konwersacja zaczęła wkrótce utykać. W cywilu nie było tak łatwo rozmawiać z bogatymi paniami jak w uniformie porucznika. Mimo to Doris miło się do niego uśmiechała opowiadając na swój przyjazny poufny sposób, jaka jest zmęczona tym kołowrotkiem towarzyskim i w ogóle wszystkim, chyba rzuci to życie, pójdzie do pracy. To nie takie proste, pomyślał Charlie. Skarżyła się, że nie spotyka żadnych interesujących mężczyzn. Charlie i Ollie Taylor - choć oczywiście Ollie to poczciwy stary wujaszek - są jedynymi mężczyznami, z którymi rozmowa jest w ogóle do zniesienia.

- To chyba ta wojna i pobyt za oceanem coś takiego z wami zrobiły - mówiła patrząc mu w oczy. - Po tym, coście widzieli, nie możecie traktować samych siebie tak śmiertelnie poważnie jak te, pożał się Boże, lwy salonowe, z którymi muszę obcować. To manekiny, nie mężczyźni.

Wyszedłszy z bogatej kamienicy Charlie miał taką oczadziałą głowę, że o mały włos się nie władował pod taksówkę przechodząc na drugą stronę ulicy. W przedwieczornej szarówce powłókł się szeroką aleją, pełną szumu pojazdów. Doris obiecała się z nim wybrać do teatru.

Kiedy na początku maja przyszedł wreszcie pewnego wieczora zabrać ją na kolację, po odkładaniu spotkania z tygodnia na tydzień - jest taka strasznie zajęta, skarżyła się za każdym razem przez telefon, okropnie chce się z nim zobaczyć, ale jest taka zajęta - miał w portfelu ostatnie dwadzieścia dolarów. Czekał

na nią długo, sam w salonie apartamentu Humphriesów. Na fortepianie i fotelach były białe pokrowce, w oknach białe zasłony, przestronny biały pokój pachniał naftaliną. Przyprawiło go to o uczucie, że przychodzi za późno. Gdy w drzwiach ukazała się Doris, taka pastelowa, jedwabista i złota w wieczorowej sukni z głębokim dekoltem, zaparło mu dech.

- Serwus, Charlie, umierasz pewnie z głodu - powiedziała swoim pieszczotliwym głosem, który zawsze wywoływał w nim wrażenie, że ją zna od lat. - Wiesz, ja jestem zawsze na bakier z czasem.

- Rany. Doris, wyglądasz cudownie.

Spostrzegł, że lustruje jego codzienny szary garnitur.

- Och, przepraszam - powiedziała. - Pójdę się przebrać. - W jej głosie pojawił się chłód, ale zaraz znikł. - To potrwa małą chwilkę.

Charlie poczuł, że się czerwieni.

- Powinienem był przyjść w stroju wieczorowym, ale rozumiesz, jaki jestem zajęty. Nie zdążyłem jeszcze ściągnąć kufra z Minnesoty.

- Oczywiście. Zresztą już prawie lato. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. W piątkę gonię.

- A nie możesz iść tak? Wyglądasz prześlicznie.

- To głupio, kiedy dziewczyna jest wystrojona jak na bal, a mężczyzna w garniturze. Zresztą będzie zabawniej, jak włożę popołudniową sukienkę, nie będzie tak obowiązująco. To naprawdę potrwa pięć minut z zegarkiem w ręku.

Wyszła, by wrócić po pół godzinie w perłowej sukni wizytowej. Za nią ukazała się pokojówka z mikserem do cocktaili i szklaneczkami na tacy.

- Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się napić przed wyjściem - oznajmiła. - Przynajmniej będziemy wiedzieli, co pijemy.

Wziął ją na kolację do hotelu McAlpin - nie znał żadnego innego lokalu. Była już ósma i bilety do teatru parzyły go w kieszeni. Natomiast Doris nie okazywała najmniejszego pośpiechu. Zrobiło się wpół do dziesiątej, nim ją wreszcie wsadził do taksówki i kazał się wieźć do teatru. Taksówka wypełniła się dyskretnym obłądnym zapachem jej perfum.

- Doris, pozwól mi powiedzieć, co mam do powiedzenia - wybuchnął nagle. - Nie wiem, czy jesteś z kimś związana, ale myślę, że nie, sądząc po tym, co mówiłaś o mężczyznach.

- Błagam cię, tylko się nie oświadcжай - przerwała mu. - Gdybyś wiedział, jak nie cierpię oświadczyń! Szczególnie w taksówce, która utyka w korku ulicznym.

- Och, nie mam zamiaru się oświadczać. Zresztą i tak byś za mnie nie wyszła w obecnej sytuacji. Nie marzę o tym. Muszę najpierw wypłynąć na czyste wody. To nie potrwa długo, lotnictwo to przemysł przyszłości. Za dziesięć lat... Rozumiesz, możemy się dorwać do żłobu. Chcę tylko, żebyś mi dała szansę, Doris, żebyś się przez jakiś czas nie wiązała z innym facetem.

- Mam na ciebie czekać dziesięć lat? No, no, to nawet romantyczne. Moja babcia by uważała, że to cudowne.

- Powinienem był wiedzieć, że mnie wyśmiejesz. No, jesteśmy na miejscu.

Starał się nie pokazać Doris kwaśnej miny pomagając jej wysiąść z taksówki. Serce zaczęło mu walić młotem, gdy się oparła i ścisnęła mu na moment dłoń. Kiedy się zanurzyli za bileterem w mrok teatru pełnego dziewczyn i jazzu, wsunęła mu małą dłoń lekko pod ramię. Nad głowami mieli długi pylisty snop jupitera, rozlany srebrzystą plamą w miejscu, gdzie spowita w tiule tańczyła dziewczyna o karminowych wargach. Charlie ramieniem przycisnął mocno dłoń Doris.

- Teraz wiesz, co ci miałem do powiedzenia - szepnął. - Pomyśl o tym. Jeszcze żadna dziewczyna nie zalażała mi tak za skórę jak ty, Doris.

Osunęli się na swoje miejsca. Ludzie dookoła zaczęli sykać, więc Charlie musiał zamilknąć. Lecz do końca nie był w stanie uważać, co się dzieje na scenie.

- Jesteś fajny facet, ale nie rób sobie nadziei - powiedziała Doris, gdy rozpaleni tłokiem, duchotą teatru i żarem jupiterów, wyszli i wsiedli do taksówki.

Pozwoliła mu się całować, lecz po przeraźliwie krótkiej chwili taksówka zatrzymała się przed jej kamienicą. Pożegnał ją przy windzie.

Na pytanie, czy może wejść na górę, potrząsnęła tylko głową z uśmiechem.

Wracał do domu na uginających się nogach, potrącany przez pospektaklowy tłum na Park Avenue i Czterdziestej Drugiej Ulicy. Na wargach miał jeszcze smak jej ust, w nozdrzach woń jej jasnych fryzowanych włosów, czuł kruchość jej małych dłoni, którymi odpychała jego pierś.

Następnego dnia obudził się późno, wypluty jak po trzydniowej bibce. Kupiwszy gazety zamówił kawę z pączkiem w cuchnącym barze kawowym. Tym razem nie szukał na kolumnie ogłoszeń biurowych, lecz pod nagłówkiem "Mechanicy i monterzy". Po południu dostał zajęcie w warsztacie samochodowym na Pierwszej Alei. Czuł się parszywie, że wraca do kombinezonu, żaloby za paznokciami i przebijania karty pracy, ale co miał robić.

Jeszcze podlej się poczuł, gdy po powrocie do hotelu zastał list od Emiski. Przeczytawszy podarł list na

strzępy. O, nie, starczy, że się zaprzął z powrotem do dawnego kieratu, nie będzie na dobitkę odgrzewał tamtej historii. Siedział na łóżku, ze łzami wściekłości w oczach. Cholerny świat, wszystko się na niego sprzysięgło. I to teraz, po służbie w korpusie sanitarnym, nominacji na oficera i Escadrille Lafayette*, gdzie miał mechanika do reperowania aparatu i do całej brudnej roboty. Parszywe zasrane szczęście! Kiedy się trochę uspokoił, wstał i napisał do Joego, żeby na rany Chrystusa wziął się w garść i wyzdrowiał jak najprędzej. On tu odrzucił propozycję Triangle Motors w Long Island City i pracuje jako mechanik, żeby jakoś przebidować, ale wyłazi mu to już bokiem i nie może się doczekać, kiedy wreszcie ruszą ze swoim planem.

Pracował w warsztacie dwa tygodnie, nim się połapał, że majster zawsze po wypłacie urządza pokerka w nie używanym kantorku na zapleczu. Przyłączył się do partyjki, ale grał bardzo ostrożnie. Pierwsze parę razy przegrywał połowę tygodniówki, potem jednak stwierdził, że jest niezgorszym pokerzystą. Nigdy nie tracił głowy, zawsze potrafił wykalkulować, u kogo jest karta. Nie miał również zwyczaju się przechwalać wygranymi, dzięki czemu udawało mu się oskubywać partnerów bardziej, niż sądzili. Tylko majster, zwalisty hałaśliwy Irlandczyk, który dotąd sam łupił chłopców ze skóry, nie był zbyt zadowolony, że musi się dzielić wygraną. Dla świętego spokoju Charlie oliwił go od czasu do czasu paroma głębszymi, ale ważniejsze było to, że jak się przysadził do pracy, potrafił zrobić więcej niż ktokolwiek w warsztacie. Przed powrotem do domu przebierał się zawsze w wyjściowy garnitur.

Doris nie udało mu się już zobaczyć przed jej wyjazdem do York Harbor* na lato. Poza nią znał tu tylko Johnsonów, więc zachodził do nich parę razy w tygodniu. Zrobił im półki na książki, a którejś niedzieli pomógł w malowaniu podłogi w saloniku.

Innej niedzieli zatelefonował wcześniej, zapytać, czyby nie pojechali do Long Beach na plażę. Paul leżał w łóżku z bólem gardła, ale Ewelina powiedziała, że chętnie pojedzie. No cóż, sama tego chce, powtarzał sobie idąc w upale niedzielne ranka pustymi zakopconymi ulicami. Ewelina otworzyła mu w luźnym żółtym neglizzu z jedwabiu i koronki, odsłaniającym nasadę jej obwisłych piersi. Nim zdążyła się odezwać, przyciągnął ją i pocałował. Zamknęła oczy i zwiotczała mu w ramionach. Po chwili go odepchnęła i przyłożyła palec do warg. Zaczerwienił się, wyjął papierosa.

- Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę? - spytał drżącym głosem.

- Prędzej czy później będę się musiała przyzwyczaić z powrotem do palaczy - odparła bardzo cicho.

Podszedł do okna, żeby trochę ochłoniąć. Przynęła się za nim, wzięła jego papierosa i pyknęła parę razy. Potem powiedziała głośno, chłodnym tonem:

- Wejdz się przywitać z Paulem.

Paul leżał oparty na poduszkach, z bladą spoconą twarzą. Na stoliku nocnym koło łóżka stała maszynka do kawy, kwiecista filiżanka ze spodeczkiem i dzbanuszek z gorącym mlekiem.

- Cześć, Paul. Widzę, że żyjesz sobie jak basza - usłyszał Charlie swój kordialny głos.

- Chorych trzeba trochę rozpieszczać - zagruchała Ewelina.

Charlie roześmiał się zbyt głośno.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego, staruszkę?

- N-nie, moje zwykłe kłopoty z gardłem. Bawcie się dobrze na plaży. Żałuję, że nie mogę z wami pojechać.

- Nie wiadomo, czy będzie tak zabawnie - powiedziała Ewelina. - W najgorszym razie wrócimy wcześniej.

- Nie musicie się śpieszyć - odrzekł Paul. - Mam kupę do czytania, nie będę się nudził.

- Zostawiam cię na kawalerskim gospodarstwie z Jeremym.

Ewelina przygotowała kosz z sandwiczami i pełnym termosem cocktailu. W wywinętym białym kapelusiku i cytrynowej letniej sukience wyglądała bardzo szykownie, musiał przyznać Charlie idąc obok niej w słońcu zakurzoną ulicą, z koszykiem i niedzielną gazetą w ręce.

- No, dziś sobie użyjemy - powiedziała. - Już tak dawno nie miałam żadnej frajdy.

Gdy wysiedli z pociągu w Long Beach, od oceanu szedł wielki błękitny powiew, zasnuwany miejscami małymi zimnymi płachetkami mgły. Po drewnianej promenadzie przewalał się tłum. Ruszyli wzdłuż plaży.

- Nie uważasz, że byłoby przyjemnie znaleźć miejsce, gdzie nie ma ludzi? - powtarzała Ewelina.

Szli zapadając się w piasku, w łoskocie i syku fal, który zagłuszał ich głosy.

- Czyż tu nie cudownie? - powtarzał Charlie.

Szli i szli bez końca. Charlie miał pod ubraniem kostium kąpielowy, który zaczął go piec i świerzbieć, nim wreszcie znaleźli dogodny miejsce. Schowali kosz za niewielką diuną, po czym Ewelina jęła się rozbierać pod prześcieradłem kąpielowym, które ze sobą wzięła. Charlie wstydził się trochę ściągać przy niej koszulę i spodnie, ale zdaje się było to przyjęte.

- Ojej, ładnie jesteś zbudowany -- powiedziała. Charlie obciągnął nerwowo nogawki kostiumu.

- No, jestem chyba zdrow - odparł.

Popatrzył na swoje zniszczone czerwone dłonie, odcinające się od białej skóry przedramion, nieco piegowatej pod jasnym meszkiem włosków. - Marzę, żeby dostać wreszcie czystą robotę, nie mieć wiecznie takich czarnych łap.

- Ręce mężczyzny powinny nosić ślady pracy - odrzekła Ewelina. - To właśnie ich piękno.

Wcisnąwszy się w kostium opuściła prześcieradło na piasek. Kostium był błękitny, jednoczęściowy,

bardzo dopasowany.

- Rany, ty dopiero jesteś pięknie zbudowana. Prawdę mówiąc, pierwszym, co zauważyłem na statku, była twoja figura. Podeszła, ujęła go pod ramię.

- Chodźmy do wody - powiedziała. - Te fale mnie trochę przerażają, ale są takie cudowne. To jest frajda, co? Czuł jedwabistość jej skóry na ramieniu, jej nagie udo na swoim. Wchodząc z gorącego sypkiego piasku plaży na mokry ubity na skraju oceanu dotknęli się stopami. Na brzeg wpadł szeroki spieniony jęzor fali i zmoczył im nogi do kolan. Ewelina puściła jego ramię, a ujęła go za rękę. Charlie nie miał nigdy do czynienia z przybojem, więc pierwsza większa fala zbiła go z nóg. Wyplął parszkając, z ustami i uszami pełnymi wody. Ewelina stała zanosząc się śmiechem. Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc wstać.

- Chodź dalej! - zawołała.

Podskoczyli, bo zbliżał się następny bałwan, i popłynęli do miejsca, gdzie fale się załamywały. Jęli podskakiwać na wodzie.

- Nie za daleko, bo leje.

- C-co?

- Wiry! - krzyknęła przyłożywszy mu usta do ucha. Charliego zalała następna fala. Gdy się wynurzył plując i łapiąc spazmatycznie dech, Ewelina pływała na plecach, z zamkniętymi oczami i wydętymi wargami. Podpłynął dwoma potężnymi ruchami i pocałował ją w zimną moką twarz. Chciał ją objąć w pół, ale akurat rozbił się nad ich głowami wielki bałwan. Ewelina odepchnęła go, gdy się wynurzyli parszkając.

- Widzisz? Zgubiłam przez ciebie czepek.

- Jest tam. Złapię go.

Przebił się przez kipieli i schwycił czepek w momencie, gdy cofające się fale zaczynały go wciągać w głąb.

- Ale bałwany! - krzyknął.

Podeszła i stanęła koło niego w kipieli na mieliźnie. Krótkie mokre włosy włożyły jej do oczu, więc je odgarnęła dłonią.

- No, tak - powiedziała.

Charlie rozejrzał się w obydwie strony. Jak plaża długa i szeroka, w blasku popołudniowego słońca nie widać było żywej duszy. Spróbował ją objąć, ale uskokzyła poza zasięg jego ramienia.

- Charlie, nie jesteś głodny?

- Jestem. Ciebie, Ewelino.

- A ja mam apetyt na lunch.

Zjadłszy sandwicze i wypiwszy cały termos cocktailu, poczuli się lekko wstawieni i senni. Leżeli obok siebie w słońcu, na prześcieradle kąpielowym. Ewelina kazała mu trzymać łapy przy sobie. Zamknął oczy, ale był zbyt podniecony, by zasnąć. Nie wiedział, kiedy się rozgadał.

- Rozumiesz, Joe ma to załatwić od strony patentowej. Wie, jak rozmawiać z adwokatami i różnymi ważnymi typami o wypchanych portfelach. Boję się, że jak bym zaczął to rozkręcać sam, jakiś cwaniak by mnie omotał i ukradł pomysł. Tak często bywa z wynalazcami.

- Charlie, czy kobiety nigdy ci nie mówiły, jaki jesteś przystojny?

- W Europie to nie miałem kłopotu z kobietami. Rozumiesz, awia-terr, lete-nan, Krua de Gerr, ku-sze, li, li*. . Tam było byczo, ale w tym kraju żadna dziewczyna, która ci się spodobała, nie pójdzie z tobą, jeśli nie jesteś nadziany forszą. Będą cię tylko zwodziły, że mało cię nie doprowadzą do wariactwa.

Musiał chyba upaść na głowę, ale nie wytrzymał i opowiedział jej również o Doris.

- Nie wszystkie kobiety są takie - odparła gładząc go po wierzchu dłoni. - Są takie, które nie zwodzą.

Ale pozwoliła mu się tylko przytulać do siebie pod prześcieradłem. Słońce zniżyło się ku zachodowi. Wstali zmarznięci, zapiaszczeni, ze skórą zaczynającą piec od opalania. Ruszyli z powrotem wzdłuż plaży. Charliego ogarniała gorycz i chandra, Ewelina, oparta ciężko na jego ramieniu, paplała o wieczorze, falach i mewach. Wstąpili do hotelu przy promenadzie, na małą kolacyjkę, po której Charliemu nie zostało prawie nic z ostatniego piątką.

Jadąc z powrotem pociągami, nie bardzo wiedział, co mówić. Pożegnał Ewelinę na rogu jej ulicy, po czym doszedł do Trzeciej Alei i wszedł w kolej nadziemną do centrum. Wagon był pełen facetów i dziewczyn wracających z niedzielnych wycieczek. Charlie rozglądał się za jakąś spódniczką, ale nie było mowy, żeby którąś przygruchać. Wróciwszy do hotelu, nie mógł usiedzieć w małym dusznym pokoiku z zielonymi

tapetami. Wyszedł i jął się włóczyć tam i z powrotem Drugą i Trzecią Aleją. Zaczepiła go jakaś kobieta, ale była stara i gruba. Potem wypatrzył ładną pulchną dziewczynę i długo za nią szedł, ale zagroziła, że wezwie policjanta, kiedy się do niej odezwał. W rezultacie wrócił do hotelu, wziął prysznic, najpierw gorący, potem zimny, i zwałił się na łóżko. Nie zmrużył oka do białego rana.

W następnych tygodniach Ewelina tak często do niego dzwoniła i zostawiała wiadomości w recepcji, że w końcu kierownik wziął go na stronę i ostrzegł, iż hotel trzyma wyłącznie młodych ludzi o nienagannym chrześcijańskim prowadzeniu. Charlie urywał się teraz wcześniej z warsztatu, żeby zabierać Ewelinę coraz to w inne miejsca, i w rezultacie pod koniec lipca majster wylał go z pracy. Był na niego od dawna cięty, bo Charlie wygrywał ciągle za dużo w pokera. Charlie wyprowadził się teraz z hotelu Chatterton i wynajął pokój daleko

na Piętnastej Wschodniej Ulicy, mówiąc gospodyni, że jego żona pracuje za miastem i może go tylko czasami odwiedzać. Gospodyni podniosła komorne o dwa dolary, ale przymknęła na wszystko oczy. Doszło do tego, że Charlie przez cały dzień nic nie robił, tylko czekał na Ewelinę popijając nędzny gin, kupowany w italiańskiej restauracyjce. Głupio mu było ze względu na Paula, ale ostatecznie z Paulem się nigdy nie przyjaźnił, a Ewelina i tak by się puszczała, nie z nim, to z jakimś innym facetem. Trajkotała bez przerwy, tak że mu się w głowie mąciło, ale w ogóle była z niej szyk kobiетка, a już w łóżku była pierwsza klasa. Dopiero gdy zaczęła przebąkiwać, że się rozwiedzie z Paulem i wyjdzie za niego, trochę ochłodził. Morowa była również pod tym względem, że płaciła w restauracjach, gdy mu się skończyły pieniądze zaoszczędzone podczas pracy w warsztacie. Ale nie mógł jej przecież pozwolić płacić za siebie komornego, tak że wreszcie we wrześniu musiał pewnego dnia nad ranem dać nogę gospodyni. Walizę zostawił na razie na dworcu Grand Central.

Tego samego dnia zaszedł do hotelu Chatterton odebrać pocztę i zastał list od Emiski. Usiadł obok innych włóczków na skwerku za Biblioteką Publiczną*, żeby go przeczytać.

Charlie kochany!

Zawsze miałeś takie złote serce, że jak się dowiesz, jak mi się ostatnio parszywie wiedzie, na pewno coś zrobisz, żeby mi pomóc. Najpierw to straciłam pracę, a tutaj był tego lata taki zastój, że dotąd nie mogę nic znaleźć. Potem to się pochorowałam i musiałam wybulić pięćdziesiąt dolarów na doktora, a i to nie mogę do dziś powiedzieć, żebym się czuła naprawdę dobrze, więc musiałam podnieść oszczędności i już wszystkie poszły. Rodzina nie chce mi nic pomóc, bo się nasłuchali o mnie jakichś okropnych łgarstw, takich bzdurnych, że trudno zaprzeczać. A teraz muszę koniecznie mieć dziesięć dolarów do końca tygodnia, bo gospodyni mnie wyrzuci na bruk i nie wiem, co ze mną będzie. Nigdy nie zrobiłam nic takiego złego, żeby sobie zasłużyć na takie utrapienie. Och, gdybyś Ty był tutaj i utulił mnie w swoich wielkich silnych ramionach jak dawniej! Kiedyś to kochałeś swoją biedną małą Emiskę. Przez pamięć na swoją biedną matkę, która już nie żyje, przyślij mi zaraz ekspresem dziesięć dolarów, żeby nie było za późno. Bo czasem to mam ochotę odkręcić gaz. Czy tak mi teraz ciekną po twarzy, że już zupełnie nie widzę papieru. Niech Cię Bóg błogosławi.

Emiska

Moja współlokatorka też jest całkiem gola. Zarabiasz taką furę pieniędzy, to te durne dziesięć dolarów nie robi Ci różnicy, a ja obiecuję, że Cię nie będę więcej naciągała. Charlie, jak nie możesz przysłać dziesięciu, to przyślij pięć.

Charlie się skrzywił, podarł list i wsadził strzępy do kieszeni. Paskudna historia, ale co może poradzić? Poszedł do hotelu Astor trochę się umyć na dole w toalecie. Przejrzał się w jednym z luster. Szare ubranie wyglądało na nim jeszcze całkiem, całkiem, miał nowy słomkowy kapelusz i czystą koszulę. Tylko krawat przecierał się w jednym miejscu, ale nie było tego widać, dopóki nie rozpiął marynarki. Wszystko w porządku, jeśli nie będzie padało, bo już dawno zastawił w lombardzie drugie ubranie, trenecz i buty oficerskie. Zostało mu jeszcze parę dolarów bilonem, więc kazał sobie wypucować buty. Potem wszedł na górę do pokoju korespondencyjnego i napisał do Joego, że potrzebuje na gwałt dwadzieścia pięć dolarów, bo zrobił się u niego kompletny mortus, i żeby Joe, na miłość Boską, przyjeżdżał szybko do Nowego Jorku. Nadawszy list ruszył wolno Broadwayem w dół Manhattanu.

Jedynymi znajomymi, u których mógł się pożywić za darmo, byli Johnsonowie, więc skręcił z Piątej Alei w ich ulicę. Otworzył mu Paul, wyciągnął do niego dłoń.

- Cześć, Charlie. Nie widziałem cię kopę lat.

- Przeprowadzałem się - bąknął Charlie czując się jak gnida.-W tej ostatniej norze roiło się od pluskiew. Wpadłem tylko tak, żeby się przywitać.

- Właż, zrobię coś do picia. Ewelina powinna wrócić lada chwila.

Charlie pokręcił głową.

- N-nie, wpadłem tylko się przywitać. Jak mały? Ukłony dla Eweliny. Rozumiesz, mam randkę.

U sprzedawcy na rogu Ósmej Ulicy kupił wszystkie gazety, po czym się zaszły w zakonspirowanej knajpcie, w której już kiedyś był, i nad kilkoma kolejnymi szklankami podłego alkoholizowanego piwa prze-studiował ogłoszenia o pracy. Cedząc piwo przez zęby, wypisywał adresy na arkuszu papeterii zwędzonej z hotelu Astor. Wśród ogłaszających się znalazł handel używanymi samochodami, w którym kierownikiem był kolega Jima; Charlie poznał go kiedyś w Dwójmieście. Tymczasem w knajpie zapalono światła, za oknami zrobiła się czarna duszna późnoletnia noc. Zapłaciwszy za piwo, Charlie wyszedł z ostatnią ćwierćdolarówką w kieszeni.

- Niech mnie diabli, jeśli się jeszcze kiedyś wpakuję w taką kabałę-mruczał pod nosem, maszerując w kółko ulicami dolnego Manhattanu.

Potem siedział długo na Washington Square, zastanawiając się, jaką historyjkę zasunąć kierownikowi tego handlu używanymi autami. Zaczęło lekko mżyć. Ulice zdążyły się już wyludnić. Podniósł kołnierz i ruszył przed siebie. Buty miał dziurawe, tak że za każdym krokiem czuł, jak zimna woda ciurka mu między palcami. Zatrzymał się pod latarnią łukową, żeby obejrzeć słomkowy kapelusz. Denko już się rozklejało, rondo nasiąkło i napęczniało.

- Rany Chrystusa, jak ja jutro będę szukał pracy w takim stanie?

Zawrócił na pięcie i ruszył prosto do mieszkania Johnsonów. Deszcz był z każdą minutą gęściejszy. Dusił dzwonek pod biletem z napisem Paul Johnson i Ewelina Hutchins, dopóki nie otworzył mu Paul w piżamie, okropnie zaspany.

- Słuchaj, Paul, nie mógłbym się przespać na waszej kozetce

- Jest potwornie twarda. Wejdz. Nie wiem, czy mamy czystą pościel.

- To nieważne, chodzi o jedną noc. Rozumiesz, zgrałem się w kości. Ale spodziewam się jutro floty. Myślałem, że się prześpię gdzieś na ławce, ale zaczęło cholerstwo padać. Mam jutro sprawy do załatwienia, chcę, żeby to ubranie jakoś możliwie wyglądało. Rozumiesz?

- Jasne. Słuchaj, ty jesteś cały mokry. Pożyczę ci piżamę i szlafrok. Musisz zdjąć te łachy.

Na kozetce Johnsonów było sucho i wygodnie. Paul wrócił do łóżka, a Charlie leżał w jego szlafroku i gapił się w sufit. Za wysokimi oknami widział strużki deszczu migocące w świetle latarni i słyszał nieprzerwany plusk wody o chodnik. Dziecko obudziło się z płaczem i w drugim pokoju zabłysło światło. Przez zamknięte drzwi dochodziły senne głosy Paula i Eweliny, szmery ich poruszeń. Potem dziecko się uspokoiło, światło zgasło. Znowu żaden dźwięk nie zakłócał plusku deszczu za oknami. Charlie zapadł w sen.

Ranna pobudka i śniadanie z Johnsonami nie należały do przyjemności, jeszcze mniej pożyczanie dwudziestu pięciu dolarów od Paula, chociaż Charlie wiedział, że będzie je mógł oddać za parę dni. Wyszedł z Paulem, który się śpieszył do pracy, nie zwracając uwagi na ukradkowe powłóczyście spojrzenia Eweliny.

- Nigdy więcej takich historii - powtarzał sobie.

Najpierw wstąpił do krawca, gdzie długo czytał za kotarą "New York American" czekając, aż mu wyprasują garnitur. Następnie kupił nowy słomkowy kapelusz, po czym poszedł do fryzjera, gdzie się kazał ogolić, ostrzyć, zrobić sobie masaż twarzy i manikiur. Na koniec zaszedł do szewca, żeby mu podzelowali i wypucowali buty.

Nim to wszystko załatwił, zrobiło się prawie południe. Teraz wsiadł w metro i pojechał daleko, powyżej Columbias Circle, do handlu używanymi samochodami, gdzie kierownikiem był kolega Jima. Tak go urobił, że się wkręcił na sprzedawcę, tylko gdy facet go zapytał, jak tam wszyscy w Minneapolis, musiał coś na poczekaniu zełgać. Wieczorem odebrał pranie od Chińczyka, wykupił rzeczy z lombardu i znowu wynajął pokój w hotelu Chatterton, tym razem z brązowymi tapetami. Zafundował sobie pierwszorzędną wyżerkę i poszedł wcześniej spać, śmiertelnie zmęczony.

Po kilku dniach nadszedł list z dwudziestoma pięcioma dolarami i wiadomością, że Joe Askew już wstaje i niedługo przyjedzie do Nowego Jorku, żeby rozkręcić interes. Charlie miał na razie niewiele z komisowego od sprzedanych aut, natomiast w ciągu wieczora potrafił wygrać, a niekiedy i przegrać do stowy w pokera. W melinie na Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy, dokąd go wprowadził jeden z nowych kolegów, grali przeważnie sprzedawcy samochodów i akwizytorzy reklam, którzy się nie musieli liczyć z każdym centem, tak że pule były często duże. Charlie odesłał Paulowi pożyczone dwadzieścia pięć dolarów pocztą, a kiedy Ewelina do niego dzwoniła, mówił, że jest okropnie zajęty i zatelefonuje później. O, nie, nigdy więcej takich historii. Połowę każdej wygranej wpłacał na konto oszczędnościowe, które sobie otworzył. Książeczkę czekową nosił w wewnętrznej kieszeni i ilekroć ją namacał, był dumny ze swojej ;przezorności.

Od Eweliny trzymał się z daleka. Trudno by mu było jeździć taki szmat drogi na dolny Manhattan, zresztą nie potrzebował, bo jeden ze sprzedawców dał mu telefon czegoś w rodzaju hoteliku na Zachodniej Stronie, gdzie niejaka pani Darling organizowała spotkania z miłymi młodymi kobietami, jeśli ją się zawiadomiło dostatecznie wcześniej rano. Sesja kosztowała dwadzieścia pięć dolarów, ale panienki były czyste, młode, no i wszystko się odbywało bez zbędnych ceregieli. Przyjemnie było móc sobie pozwolić na dziewczynę za dwadzieścia pięć dolarów, jednakże nadszarpywało to jego pokerowe oszczędności. Po każdej takiej sesji z jedną z podopiecznych pani Darling wracał do swego hotelu z chandrą i niesmakiem. Dziewczynki były owszem, niczego sobie, ale nie sprawiało mu to takiej przyjemności jak z Eweliną albo nawet z Emiską. Zaczynał myśleć o Doris i że, jak rany, najwyższy czas, żeby sobie zafundować kobietę na własność.

W miarę upływu tygodni sprzedawał coraz mniej aut, a coraz więcej grał w pokera, tak że praca wisiała na włosku, kiedy wreszcie dostał depeszę, że następnego dnia przyjeżdża Joe Askew. Czuł, że jeśli kierownik nie wyrzucił go dotąd, to tylko ze względu na Jima. Na dobytek miał ostatnio złą passę i musiał podjąć wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Wyszedł po Joego na dworzec z okropnym katzenjammerem w głowie i ostatnimi dziesięcioma centami w kieszeni. Poprzedniego wieczora złupili z niego ostatnią skórę w czerwonego kundla*. Joe wyglądał tak jak zawsze, tylko schudł i zapuścił dłuższe wąsy.

- No, jak ci leci?

Charlie wziął jedną z walizek Joego i ruszyli wzdłuż peronu.

- Kiepsko. Niski pułap, pełno dziur w powietrzu.

- Tak, wiem. Wyglądasz, Charlie, jakbyś nielicho bomblował. Mam nadzieję, że jesteś gotów do pracy.

- Jasne. Potrzebuję tylko odpowiedniego dowódcy. Przecież wiesz, wykułem lekcję na blachę.

- Wiem, wiem.

- A jak ty się czujesz, Joe?

- Już dobrze, ale przeżyłem okropne lato. Myślałem, że się zamartwię na śmierć. A co ty robiłeś, łapserdaku

jeden?

- Sprawdzalem różne systemy kupienia pokera. No i uganiałem się za pindami. Bracie, ale ja się dowiedziałem różności o kobietach. A jak tam żona, dzieci?

- Dobrze. Poznasz ich, mam zamiar wynająć tu mieszkanie na zimę. No, chłopie, zakasujemy rękawy i do roboty. Weźmiemy do spółki Andy'ego Merritta. Poznasz go dzisiaj. Nie wiesz, gdzie dostanę jakiś pokój?

- Ja mieszkam w tej lepszej Ymce na Trzydziestej Ósmej Ulicy.

- Mnie w to graj.

Gdy się znaleźli w taksówce, Joe się pochylał, stuknął go w kolano i zapytał z uśmiechem.

- No, kiedy możesz przystąpić do produkcji?

- Jutro o ósmej rano. Stary Bigelow właśnie splajtował w Long Island City. Widziałem jego warsztaty. Można by je przystosować za psie pieniądze.

- Pojedziemy tam po południu. Może się zgodzi wziąć trochę akcji.

Charlie pokręcił głową.

- Akcje będą szły w górę, Joe. Zapłać mu gotówką albo weksłami. Zresztą to półgłówek. Byłem tam raz, chciałem się zahaczyć jako mechanik. Rany, mam nadzieję, że to już za mną. Rzecz w tym, Joe, że chcę się żenić. A żeby się ożenić tak, jak chcę, potrzebuję bo-ku* floty. Możesz mi wierzyć albo nie, ale jestem zakochany.

- Pewnie w pierwszym szeregu girls u Ziegfelda*? To dobre, ty się chcesz żenić.

I Joe zaczął pękać ze śmiechu.

Kiedy poszedł na górę się odświeżyć, Charlie wyskoczył na róg do drogerii kupić sobie bromoselcer. Lunch zjedli w Yale Clubie z Merrittem, który się okazał młodym mężczyzną o kanciastej szczęce i ziemistej cerze. Charliemu wciąż pękała głowa i czuł mętnie, że nie robi zbyt dobrego wrażenia. Trzymał język za zębami, zostawiając mówienie Joemu, który rozprawiał z Merrittem o Waszyngtonie, Departamencie Wojny i Departamencie Marynarki i przerzucał się z nim takimi liczbami, że Charlie miał ochotę się szczypać pod stołem, czy nie śni.

Po lunchu Merritt zawiózł ich swoim otwartym Pierce Arrowem do Long Island City. Kiedy się znaleźli na terenie warsztatów i ruszyli przez długie zaśmiecone hale, oglądając tokarki, prasy, motory elektryczne i inne maszyny, Charlie poczuł, że tutaj on jest górą. Wyjął kartkę papieru i zaczął robić notatki. Wywarło to widoczne wrażenie na Merrittcie, więc notował zawzięcie dalej. Po chwili Joe zaczął także robić notatki, a kiedy i Merritt wyjął malutki notes i jął coś zapisywać, Charlie upewnił się ostatecznie, że trafił w dziesiątkę.

Zjedli z Merrittem kolację i spędzili z nim cały wieczór. Była to wątpliwa przyjemność, bo Merritt należał do facetów, którzy umieją ocenić człowieka po pierwszym spotkaniu, a wyraźnie obserwował Charliego. Jedli w drogiej francuskiej knajpie, a potem długo siedzieli popijając koniak i wodę sodową. Merritt wyżywał się w wypisywaniu stanowisk dyrekcyjnych i odpowiadających im uposażeń oraz słów takich, jak kapitalizacja, akumulacja, amortyzacja, po których stawiał długie szeregi cyfr, głównie zer. Wynikało z tego, że Charlie Anderson jako główny inżynier będzie zarabiał dwieście pięćdziesiąt dolarów

tygodniowo, płatne w akcjach priorytetowych poczynając od minionego poniedziałku, a sprawa, jaki procent udziału w przedsiębiorstwie przypadnie jemu i Joemu z racji ich patentów, zostanie rozstrzygnięta następnego dnia na zebraniu rady nadzorczej. Charliemu kręciło się w głowie, język miał lekko kołowaty od koniak. Raz po raz powtarzał jedyne, co mu przychodziło na myśl:

- Chłopcy, tylko nic na wariata, nic na wariata.

Kiedy wreszcie odstawili Merritta i jego Pierce Arrowa do Yale Clubu, obaj z Joem odetchnęli z ulgą.

- Słuchaj, Joe, czy ten facet to geniusz finansowy, czy hochsztapler? Plecie, jakby pieniądze rosły na drzewach.

- Jemu rosną. - Joe ujął Charliego pod ramię i zniżył głos do szeptu. - Ten ptaszek będzie Durantem* wieku awiacji, popamiętasz moje słowa.

- Coś mi się zdaje, że on by nie odróżnił zeppelinu od aeroplanu.

- Za to zna ministra spraw wewnętrznych*. To o całe niebo ważniejsze.

Charlie zaczął się śmiać tak, że nie mógł przestać. Przez całą drogę powrotną do hotelu Chatterton wpadał co chwila na ludzi. Śmiał się i śmiał, aż oczy miał pełne łez. Kiedy podeszli do kontuaru odebrać pocztę i zobaczyli, jak się wydłuża blada twarz recepcjonisty, Charlie szturchnął Joego.

- No, to nasza ostatnia noc w tej trupiarni.

Korytarz na górze cuchnął starymi tenisówkami i natryskami jak szatnia klubu sportowego. Charlie zaczął się znowu zaśmiewać. Siedział długo na łóżku chichocząc sam do siebie.

- Rany Jezusa, to rozumiem. To lepsze niż cud Pari-iż.

Gdy Joe się położył do łóżka, Charlie wciąż chichocząc wetknął głowę przez drzwi.

- Chcesz zobaczyć szczęściarza, Joe? - zawołał. - Masz, pomacaj.

Następnego dnia poszli na śniadanie do hotelu Belmont. Potem Joe kazał Charliemu wstąpić do Knoxa i kupić sobie melonik. Charlie miał trochę zanadto kręcone włosy, więc dęciak nie siedział mu zbyt dobrze na głowie, za to w środku pachniał wspaniale angielską skórą. Jadąc metrem w dół Manhattanu, Charlie

zdejmował go i wahał co chwila.

- Słuchaj, Joe, jak dostanę pierwszą wypłatę, chciałbym, żebyś ze mną poszedł kupić frak i całą resztę. Ta dziewczyna, o której ci mówiłem, lubi, żeby facet był odpalony jak do ślubu.

- Przez najbliższe pół roku nie zdejmiesz kombinezonu, jeśli ja będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia - warknął Joe. - Nie będziemy w ogóle wychodzić z fabryki, jeśli chcemy wyprodukować coś względnie przyzwoitego. Nie ludź się, bracie.

- W porządku, Joe. Na żartach się nie znasz?

Spotkanie miało się odbyć w kancelarii adwokata nazwiskiem Lilienthal. Gdy tylko się przedstawili wysztafirowanej blond sekretarce, Charlie poczuł w powietrzu podniecenie spodziewanej transakcji. Rozpływając się w uśmiechach blondyna chwyciła za słuchawkę.

- Tak, oczywiście. Pan Anderson i pan Askew.

Żyłasty woźny wprowadził ich natychmiast do biblioteki, długiego ciemnego pokoju, pełnego ksiąg prawniczych w oprawie z cielejącej skóry. Nie zdążyli nawet usiąść, gdy drzwi z matową szybą się otworzyły i ukazał się sam mecenas Lilienthal. Był to okrągły śniady ruchliwy mężczyzna, zupełnie pozbawiony szyi.

- No, są nasze dwa asy - powiedział. - Równo z wybiciem godziny.

Joe przedstawił siebie i Charliego. Mecenas ujął rękę Charliego i trzymał ją chwilę w swojej gładkiej pulchnej małej dłoni.

- Andy Merritt pieje peany na pańską cześć, młody człowieku. Twierdzi, że będzie pan mózgiem awiacji.

- Ha, a ja mu zapowiadam, że będzie czarnoroboczym przez najbliższe pół roku. Ten chłopak ma złote ręce do motorów.

- Tak? Więc może Andy miał na myśli mózg, który kieruje tymi złotymi rękami - odparł mecenas Lilienthal unosząc rzadką czarną brew.

Wprowadził ich do wielkiego gabinetu z wielkim pustym mahoniowym biurkiem pośrodku i błękitnym chińskim dywanem na podłodze. Był tu już Merritt i dwaj inni mężczyźni. Charliemu przypomniały się reklamy Kuppenheimera, gdy ich ujrzał stojących w nienagannie skrojonych ciemnych garniturach, ze spiralkami niebieskiego dymu papierosowego nad głowami, w jaskrawopopielatym świetle wpadającym przez okno za ich plecami. Błady młody człowiek z przedziałkiem pośrodku nazywał się George Hollis. Drugim był długonogi smagły adwokat irlandzki nazwiskiem Burke, stary przyjaciel Joego Askewa, mający przepchnąć ich patenty w Waszyngtonie, jak wyjaśnił Joe. Wszyscy odnosili się do Charliego, jakby go uważali za wyrocznię, ale Charlie się pilnował, żeby trzymać język za zębami i zostawić mówienie Joemu.

Siedzieli przez całe przedpołudnie dokoła wielkiego biurka, ćmiąc papierosy i cygara i zabazgrując nie kończące się kartki żółtego papieru, tak że biurko wyglądało w końcu jak wnętrze nie sprząniętej klatki z kanarkami, a Lucky Strike paliły Charliemu kwaśno język. Mecenas Lilienthal wzywał raz po raz stenotypistkę, małą myszkę o wielkich szarych oczach, dyktował jej coś przez chwilę, po czym ją odprawiał. Od czasu do czasu brzęczał telefon i mecenas za każdym razem mówił do tuby znudzonym głosem:

- Nie wpadło ci do głowy, moja panienko, że mogę mieć konferencję?

Ustalono, że firma będzie się nazywać Askew, Merritt i Spółka. Potem zastanawiano się długo, w którym stanie najlepiej ją zarejestrować, jak podzielić akcje, jak je sprzedawać, jak załatwić sprawę notowań giełdowych. Nim wyszli na lunch, zrobiła się druga. Charlie miał kompletny mętlik w głowie. Po drodze do windy część z nich wstąpiła do toalety i Charliemu udało się stanąć przy pisuarze obok Joego.

- Jak rany, Joe - szepnął - czy to my rolujemy tych facetów, czy oni nas?

Joe nie odpowiedział. Skrzywił się tylko i wzruszył ramionami.

KRONIKA L

Nie zwalaj winy na Broadway

że z nielicznymi wyjątkami ster naszych rządów spoczywał i spoczywa w uczciwych i fachowych rękach, że finanse są oparte na zdrowych zasadach i dobrze zarządzane, że interesy narodu, zarówno właścicieli i dyrektorów, jak pracowników, są zgodne z wymogami honoru i patriotyzmu i że obecna sytuacja gospodarcza gwarantuje trwałość zaufania i koniunktury Sam sobie jesteś winny, Nie zwalaj winy za swoje czyny Na dobry stary Broadway

WIELKA ŁAWA PRZYSIĘGLYCH PRZESŁUCHA BASEBALLISTÓW*

*ULEPSZONY SYSTEM SMAROWANIA, KTÓRY ZAPEWNIĄ STAŁE
I OBFITE OLIWIENIE CAŁYCH POWIERZCHNI NOŚNYCH*

*Choć wszyscy dawno już się rozproszyli,
To starej bandy żal mi do tej chwili*

Towarzystwo Budowy Okrętów Doolinga nigdy nie wypłaciło, nigdy nie obiecywało ani nigdy nie wypłaci w żadnej formie ani pod żadnym pozorem, bezpośrednio ani pośrednio, żadnej łapówki żadnemu pracownikowi ani przedstawicielowi Komisji Żeglugi Stanów Zjednoczonych, Wojennego Towarzystwa Okrętowego ani żadnej innej agencji rządowej

ZAMORDOWANY POSESJONAT POGRZEBANY W PIWNICY

*Tęskno mi za naszą starą bandą,
Z którą śpiewałem "Pieśń do Adelajdy".
Żegnajcie, chłopcy, żegnajcie, dziewczyny,
Żegnaj na zawsze, stara bando*

*SKRZYNIA BIEGÓW NOWEJ KONSTRUKCJI ZAPEWNIAJĄCA NIE TYLKO WIĘKSZĄ SIŁĘ I
DŁUŻSZY ŻYWOT, ALE TAKŻE SPRAWNIEJSZE DZIAŁANIE*

*NOWE SPRZĘGŁO - CUD TECHNIKI UMOŻLIWIAJĄCY NIE TYLKO LEKKIE I BEZGŁOŚNE PRZEŁĄCZANIE
BIEGÓW, ALE TAKŻE ZWIĘKSZAJĄCY NIEZAWODNOŚĆ PRZENOSZENIA NAPĘDU*

*NOWE WIĘKSZE REFLEKTORY, ZAPEWNIAJĄCE NAJDOSKONALSZE OŚWIETLENIE, JAKIE
KIEDYKOLWIEK ZASTOSOWANO W POJAZDACH MECHANICZNYCH*

GARY OBCIĄŻA ROMANTYCZNĄ PUBLICZNOŚĆ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ ZA OŚMIOGODZINNY DZIEŃ PRACY*

ceny uzyskiwane za żywność konserwową są wynikiem praw czysto ekonomicznych. Oficjalne dane dowodzą, że gdyby ceny pszenicy miały odpowiadać prawu podaży i popytu

ZNACZNE OGRANICZENIA PRODUKCJI SURÓWKI

*A jeśli cię skuszą wdzięki dziewczyny,
Gdzie się czerwone palą lampiony,
Nie zwalaj później na Broadway winy*

PUCHAR GORYCZY

Veblen,

niezgrabny mężczyzna o ziemistej twarzy, rozparłszy się gniewnie za stołem, z brodą w dłoni, mamrotał cichym sarkastycznym głosem, zagmatwanymi zdaniami, misternie splatając stryczek nieubłaganej logiki faktów, żeby społeczeństwo miało się na czym powiesić,

przeprowadzając wiwisekcję swego wieku skalpelem tak ostrym, tak precyzyjnym, tak zabójczym, że profesorowie i studenci w dziewięciu wypadkach na dziesięć nie dostrzegali jego cięć, potentaci zaś, dęte wielkości i oklaskiwani frazesowicze nie dostrzegali ich nigdy.

Veblen

zadawał zbyt wiele pytań i cierpiał na organiczną awersję do słowa tak.

Sokrates, który zadawał zbyt wiele pytań, wychylił duszkiem swój puchar goryczy pewnej nocy o pierwszym pianiu koguta;

Veblen

pił gorycz małymi łyżkami przez całe długie życie, w zaduchu sal wykładowych, kurzu bibliotek, fetorze nędznych mieszkań, na jakie skazany był biedny belfer. Walczył niestrudzenie z hydrami: z pedanterią, rutyną, oportunistami urzędników, radami nadzorczymi, rektorami, tłustymi sługusami rządzącej finansjery, zachowywaniem wszystkich lepszych posad dla potakiewiczów, stałym brakiem pieniędzy, dławieniem każdej rysującej się nadziei. Tak, Veblen wysącał swój puchar goryczy kropla po kropli do samego dna.

Veblenowie wywodzili się z wolnych kmieciów.

Drobni posiadacze ziemscy z wąskich dolin norweskich był to lud uparty i pracowity, rolnicy, hodowcy, rybacy zasiedzali na kamienistych poletkach swoich ojców, w starych bierwionowych domostwach o dachach z rzeźbionymi szczytami (od nazw siedzib rodowych wywodzili swoje nazwiska), na halach, gdzie latem pasali swoje bydłatka.

W początkach dziewiętnastego wieku, kiedy rozrosły się miasta, w Norwegii namnożyło się ludzi bez ziemi, sklepikarzy, urzędników, lichwiarzy, komorników, rejentów w czarnych tużurkach i sztywnych kołnierzykach, z teczkami pełnymi akt hipotecznych. Rodził się przemysł. Mieszczuchy zaczynały ciągnąć

zyski z ziemi, wyzuwać chłopów z praw do ich wąskich poletek.

Ludzie małego ducha wdrażali się do żywota dzierżawców albo parobków; silni opuszczali kraj, tak jak przed wiekami opuszczali go ich dziadowie, kiedy Harald Pięknowłosa* i Święty Olaf*, ukróciwszy wolności Normanów, z których każdy był panem nad swoim strumykiem, czynili z nich chrześcijan i poddanych;

tyle że za dawnych czasów Normanowie żeglowali do Islandii, Grenlandii, Winlandii*, teraz emigrowali do Ameryki.

Zarówno rodzina ojca, jak i matki Thorsteina Veblena utraciła ziemię, a wraz z nią prawo do nazwiska rodowego, które wolni kmiecie wywodzili od nazw swoich posiadłości.

Przez jakiś czas Thomas Anderson próbował zarabiać na życie jako wędrowny cieśla i stolarz, ale w roku 1847 wraz z żoną Kari Thorsteinsdatter wsiadł w Bremie na statek wielorybiczny i popłynął w ślad za przyjaciółmi do kolonii skandynawskich w okolicach Milwaukee.

W rok później przyjechał za nim jego brat Haldor.

Umieli obaj tego pracować; nim minął następny rok, zaoszczędzili dość pieniędzy, by wejść prawem pierwokupu w posiadanie stu sześćdziesięciu akrów niekarczowanej ziemi* w hrabstwie Sheboygan w Wisconsinie; wykarczowawszy częściowo teren, sprzedali go i przenieśli się do czysto norweskiej kolonii w hrabstwie Manitowoc, w pobliżu miejscowości Cato; nazwali swoją osadę Valders na pamiątkę doliny w starym kraju, z której wszyscy przywędrowali;

tutaj, w domu, który Thomas Anderson wybudował własnymi rękami, urodził się Thorstein Veblen, szóste z jego dwanaściorga dzieci.

Kiedy Thorstein miał osiem lat, Thomas Anderson przeniósł się dalej na zachód, na czarnoziemne prerie Minnesoty, z których niewiele lat wcześniej przegnano Siuksów i bizony. W akcie objęcia nowej farmy Thomas Anderson kazał wpisać nazwisko Veblen, obyczajem starego ~raju wywiedzione od nazwy utraconej posiadłości rodowej.

Był tęgim farmerem i budowniczym, zręcznym cieślą, pierwszym rolnikiem, który sprowadził merynosy, mechaniczną zniwiarkę i snopowiązałkę; cieszył się ogólnym poważaniem wśród Norwegów gospodarzących na skraju prerii, którzy zachowali swój dialekt, obyczaje przywiezione z wąskich dolin norweskich, pastorów luteranckich, ubrania, ser i chleb domowej roboty, podejrzliwość i nieprzejednaną niechęć w kontaktach z mieszczuchami.

Mieszczanie byli w lwiej części Jankesami szczwanymi w pomnażaniu dolarów, kupcami, faktorami, spekulantami, lichwiarzami z głową do polityki i do zastawów hipotecznych; gardzili skandynawskimi farmerami, z których pracy żyli i których córki najmowali do brudnej roboty w kuchniach swoich żon.

Przybysze z Norwegii wierzyli jak niegdyś ich ojcowie, że człowiek uczciwy ma tylko dwa zajęcia do wyboru: farmerkę albo duszpasterstwo.

Thorstein wyrósł na niezgrabnego młokosa, znanego z lenistwa i dowcipu. Nie cierpiał wiecznej, jednostajnej, zabijającej harówki na farmie. Był szczęśliwy, gdy mógł czytać. Lubił też ciesiołkę, lubił obsługiwać maszyny rolnicze. Pastorzy luteranscy, którzy odwiedzali dom, rychło zmiarkowali, że jego lotny umysł prześlizguje się z łatwością przez szczeliny ich teologii. Natomiast trudno go było zapędzić do pracy na roli; miał cięty język i słynął z zabawnych przezwisk, którymi chrzczył ludzi; ojciec postanowił go uczyć na pastora.

Miał siedemnaście lat, kiedy pewnego dnia ściągnięto go z pola, gdzie pracował. Kuferek był już spakowany, konie zaprzęgnięte. Miał jechać do gimnazjum w Northfield, by się przygotować do studiów w College'u Carletona*.

A że w rodzinie było więcej młodych Veblenów do kształcenia, ojciec zbudował im dom w pobliżu szkoły. Jedzenie i ubranie przysyłano im z farmy, natomiast gotówki nigdy nie oglądali.

Thorstein mówił po angielsku z cudzoziemskim akcentem. Cierpiał na organiczną awersję do słowa tak. Umysł miał uformowany przez sagi norweskie, praktyczną gospodarską trzeźwość swego ojca oraz precyzję konieczną w pracach ciesielskich i obsłudze młocarni.

Nie potrafił w sobie wykrzesać zainteresowania teologią, socjologią i ekonomią, jakiej uczono w College'u Carletona, gdzie wszyscy pracowicie ostrugiwali kanciaste dogmaty dawnych kupców nowo-angielskich, oparte na Biblii, ażeby z nich wykroić formułki nadające się do zawieszania w kantorach handlowych.

Lata studiów Veblena przypadły na okres, kiedy twierdzenia Darwina o zmienności i rozwoju podważały uświęcony model świata rodem z arki Noego,

kiedy kobiety Ibsena zrywały zasłony w wiktoriańskich salonach,

a potężny aparat Marksa stosował logikę kantoru bankowego dla podkopania samej instytucji kantoru bankowego.

Ilekoć Veblen przyjeżdżał na farmę, opowiadał o tych sprawach ojcu chodząc tam i z powrotem za jego pługiem albo wdając się z nim w dysputy, kiedy czekali na nowy ładunek pszenicy do młocarni. Thomas Anderson znał Norwegię i Amerykę, miał uładzone umysły cieśli i budowniczego, zrozumienie dla maszyn, doświadczenie zapobiegliwego farmera gromadzone skrzętnie latami i starannie pielęgnowane; na nich jak na twardym diamencie ostrzyła się stal myśli młodego Thorsteina.

W College'u Carletona uważano młodego Veblena za błyskotliwego, ale niebezpiecznego oryginała; nikt nie pojmował, dlaczego tak uzdolniony młodzieniec nie wprzęga się w służbę wymogów czasu, dlaczego nie pracuje nad zatykaniem dziur w świątyni własności i zysku okruciami, jakie się ostały z ruiny etyki chrześcijańskiej i osiemnastowiecznej ekonomiki zaśmiecającej profesorskie głowy, dlaczego się nie zajmuje wspieraniem chwiejnej budowli dźwigarami doktryny, którą Herbert Spencer ukuł dla ratowania posiadaczy.

Ludzie się skarżyli, że nigdy nie wiedzą, czy Veblen kpi, czy o drogę pyta.

W 1880 Thorstein Veblen spróbował po raz pierwszy zarabiać na życie nauczaniem. Rok spędzony w szkole w Madison w stanie Wisconsin nie przyniósł mu większych sukcesów. W następnym roku rozpoczął wraz z bratem Andrewem studia doktoranckie na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa*. Uniwersytet mu nie odpowiadał, ale stancja w starym baltimorskim domu zubożałych dziedziczek dostarczyła mu okazji do wzdurliwego przyjrzenia się przedpotopowym formom towarzyskim, które przez bogate rozpróżniane rezydencje na plantacjach niewolniczych przywędrowały tu prosto z wesołej Anglii rycerzy ziemian.

(Farmerzy z górskich dolin zawsze gardzili obyczajami obcoplemieńców.)

Lepiej się czuł na Uniwersytecie Yale'a*, gdzie granit jego norweskiej logiki dźwięczał w zderzeniach z granitem nowoangielskiej purytańskiej logiki Noaha Portera*. Tutaj uzyskał doktorat filozofii, lecz wciąż nie było jasne, na jakim odcinku świątka akademickiego mógłby zarabiać na życie.

Studiował Kanta, pisał nagradzane eseje. Ale pracy dla niego nie było. Mimo najszczerzych starań nie przechodziło mu przez gardło owo małe słówko tak.

Wrócił do Minnesoty z odrobiną jakby niechętnego uznania dla powabów życia akademickiego. Do swego lekko norweskiego akcentu dorzucił szerokie angielskie "a".

W domu snuł się po farmie, próbował konstruować nowe maszyny, czytał, prowadził z ojcem dysputy teologiczne i filozoficzne. W osiedlach skandynawskich spadały ceny pszenicy, a wraz z nimi podupadała wiara w Boga i Świętego Olafa. Farmerzy z Północnego Zachodu rozpoczynali długą beznadziejną walkę z pasożytniczą klasą kupiecką, która z nich wysysała krew. Na farmie ciążył dług hipoteczny, trzeba było od niego płacić odsetki i wciąż kupować nawozy i nowe maszyny, żeby intensyfikować produkcję, która miała w ciągu pół wieku wyssać z ziemi zasoby nagromadzone przez milion lat pod bawolą trawą prerii. Przeto bracia sarkali na tego szydlerczego obiboka, który nie potrafił zarobić na swoje utrzymanie.

Powróciwszy w rodzinie strony odnowił znajomość z sympatią z lat studenckich, Ellen Rolfe, siostrzenicą rektora College'u Carletona dziewczyną, która miała w rodzinie magnatów kolejowych i wielkie fortuny. W Northfield zawrzało, kiedy się rozeszła wieść, że panna Rolfe ma poślubić tego norweskiego obdartusa i niewydarzeńca, który cedzi słowa, nic tylko ślęczy nad książkami i wiecznie szuka dziury w całym.

Rodzina narzeczonej ukuła plan urządzenia go na Kolei Santa Fe, ale w krytycznym momencie wuj Ellen utracił kontrolę nad tą linią. Młoda para osiadła w Stacyville w stanie Iowa, gdzie się zajmowała wszystkim, tylko nie zarabianiem na życie. Studiowali łacinę i grekę, zbierali okazy botaniczne w lasach, opłotkach i przydrożnych rowach. Pływali łodzią po rzece, Veblen rozpoczął swoje tłumaczenie "Sagi rodu z Laxdalum"*. Czytali "Spojrzenie w przeszłość" i artykuły Henry'ego George'a*. Przyglądali się swemu światu oczami ludzi z zewnątrz.

W dziewięćdziesiątym pierwszym Veblen zebrał trochę pieniędzy, żeby pojechać na Uniwersytet Cornell* i podjąć na nowo studia podyplomowe. Zjawił się w gabinecie dziekana wydziału ekonomii w czapie z szopa i sztruksowych portkach i swoim cichym sarkastycznym głosem wycedził: "Jestem Thorstein Veblen";

ale musiało minąć jeszcze kilka lat, w ciągu których dał się poznać na Uniwersytecie Chicagowskim* nowo wyrosłym obok Wystawy Światowej* i opublikował "Teorię klasy próżniaczej"* rozslawioną przez głośną recenzję Howellsa*, żeby świat akademicki się dowiedział, kim jest Thorstein Veblen.

Jednakże i w Chicago, jako błyskotliwy młody wykładowca ekonomii, żył po pioniersku. (Farmerzy z górskich dolin zawsze gardzili obyczajami obcoplemieńców.) Książki trzymał w skrzyniach ustawionych sztorcem pod ścianami. Jedynymi ekstrawagancjami, na jakie sobie czasem pozwalał, było palenie rosyjskich papierosów i przepasywanie się czerwoną szarfą. Nie uznawał salonowych konwersacji. Wykładając siedział z

brodą opartą na dłoni i mamrotał pod nosem długimi spiralnymi zdaniami, repetytywnymi jak w "Eddy'ach". Jego język był mieszaniną terminologii mechanicznej, naukowych laty-nizmów, żargonu oraz wyrazów rodem z "Tezaurusa" Rogeta*. Koledzy profesorowie nie mogli zrozumieć, dlaczego durzą się w nim wszystkie studentki.

A durzyły się tak, że Ellen Rolfe raz po raz go rzucała. Jeździł bez niej na urlopy za granicę. Wywołał z pewną dziewczyną skandal na parowcu transatlantyckim.

Obnoszono go na językach po całym uniwersytecie (Veblen nie miał zwyczaju się tłumaczyć, nie przechodziło mu przez gardło owo małe słówko tak; farmerzy z górskich dolin zawsze gardzili obyczajami obcoplemieńców), aż żona go zostawiła i osiadła sama na działce leśnej w Idaho, a rektor go poprosił o rezygnację z zajmowanego stanowiska.

Veblen pojechał do Idaho i namówił Ellen Rolfe do przeniesienia się z nim do Kalifornii, gdzie dostał lepiej płatne stanowisko na Uniwersytecie Lelanda Stanforda*, lecz w Palo Alto zaczęły się wkrótce te same historie co w Chicago. Wciąż miał romanse z kobietami, nadal cierpiał na organiczną awersję do słówka tak i na nienaturalną skłonność do solidaryzowania się z klasą robotniczą zamiast z posiadaczami. Posypały się na nowo skargi, że jego wykłady są niekonstruktywne, że zniechęcają bogaczy do robienia zapisów na rzecz uniwersytetu, że nie pomagają studentom w dostawaniu się do Phi Beta Kappa*, nie przygotowują ich do zrywania złotych jabłek w gaju Akademosy*, do zarabiania na bułeczki z masłem. Żona rzuciła go na dobre. Veblen napisał do jednego z przyjaciół: "Rektor nie pochwała mego życia rodzinnego; ja też nie".

W rozmowie o tym powiedział kiedyś: "Co można zrobić, kiedy kobieta wprowadza się do człowieka?" Wyniósł się z powrotem do chaty leśnej w Idaho.

Przyjaciele próbowali mu załatwić wyjazd naukowy na Kretę, katedrę na Uniwersytecie Pekińskim, ale zawsze drogę zagradzały mu hydry: rutyna, służusy posiadaczy we władzach uniwersyteckich... Dla niedowiarka puchar goryczy.

Przyjaciel Davenport* wystarał mu się o wykłady na Uniwersytecie Stanu Missouri*. W Columbii żył jak eremita w suterenie Davenportów, krzątał się koło domu, sklecił sobie sam stół i krzesła. Był już zgorzkniałym podstarzałym mężczyzną o ziemistej twarzy pokrytej siecią drobnych zmarszczek, o szpiczastej bródce i żółtych zębach. Niewielu studentów rozumiało jego wykłady, ale goście, którzy przyjeżdżali z Europy, chcieli się wszyscy spotykać z Veblenem, uprawiając tym władze uniwersyteckie w niejake zdziwienie i zakłopotanie. Były to lata, w których najwięcej pisał. Sprawdzał swoje teorie na studentach, po czym skrobał wolno nocami fioletem atramentem, piórem własnej konstrukcji. Ilekroć chciał opublikować książkę, musiał składać wydawcom porękę. W "Teorii przedsiębiorstwa kapitalistycznego", "Instynkcie dobrej roboty" „Uświęconych interesach a prostym człowieku”*

kreślił przekrój społeczeństwa opanowanego przez kapitał monopolistyczny, wytrawiał ironią obrazy dławienia wytwórczości przez pieniądź, dławienia życia przez ślepią Żądę zysków, wskazywał alternatywę: albo antagonistyczne społeczeństwo w niewoli monopolistycznych biurokracji zmuszanych prawem malejących dochodów do wyciskania coraz to więcej z prostego człowieka, albo nowe pragmatyczne społeczeństwo oparte na zdrowym rozsądku, rządzące się potrzebami ludzi pracy i niewiarygodnymi możliwościami pokoju i obfitości, jakie otworzył postęp techniki.

Były to lata wystąpień publicznych Debsa*, krzepnięcia związków zawodowych, wobblisowskiej* wiary w demokrację przemysłową; lata, kiedy Veblen jeszcze się łudził, że klasa robotnicza przejmie maszynę wytwórczości, zanim monopole znowu popchną świat zachodni w ciemność.

Wojna przecięła jego nadzieje: pod osłoną gwiazdzistej frazeologii Woodrowa Wilsona monopole przystąpiły do uderzenia. Ich tryby zmiażdżyły amerykańską demokrację.

Wojna dostarczyła Veblenowi przynajmniej okazji do wyrwania się z dusznej oranżerii życia akademickiego. Otrzymał propozycję pracy w Urzędzie Apropowizacji, Departamentowi Marynarki przedłożył urządzenie do przechwytywania łodzi podwodnych trałami z grubego drutu pakowego. (Równocześnie władze nie bardzo mogły się zdecydować, jakie stanowisko zająć wobec jego książek. Poczta odmawiała wysyłki jego "Cesarstwa niemieckiego a rewolucji przemysłowej"*, agencje propagandowe zaś rozsyłały je dla budzenia nienawiści do Szwabów. Profesorowie potępiali "Naturę pokoju"*, a eksperci w Waszyngtonie wybierali z niej cytaty do przyozdabiania Wilsonowskiej zasłony dymnej.)

Dla Urzędu Apropowizacji sporządził dwa memoriały: w jednym zalecał spełnienie żądań IWW jako środka wojennego do pozyskania klasy robotniczej, skuteczniejszego od bicia i wtrącania do więzień wszystkich uczciwych liderów; w drugim dowodził, że Urząd Apropowizacji jest opanowany przez spekulantów i wcale się nie stara o uczynienie z kraju jak najwydajniejszej maszyny produkcyjnej. Proponował, by w interesie skuteczniejszego prowadzenia wojny rząd zajął miejsce pośredników i dostarczał bezpośrednio farmerom

wszystkich potrzebnych artykułów w zamian za ich produkty;
ale eliminacja wielkiego biznesu bynajmniej nie pokrywała się
z wyobrażeniem rządu o sposobach zapewnienia światu demokracji,
więc Veblen musiał odejść z Urzędu Apropozycji.
Podpisał protesty przeciwko procesowi stu jeden wobblistów w Chicago*.

Po zawieszeniu broni pojechał do Nowego Jorku. Mimo całego ucisku lat wojny atmosfera się odświeżała. Wielka burza rewolucji, która wybuchła w Rosji, zdawała się sunąć na zachód; w potężnych podmuchach z nowego świata na wschodzie otwierały się znowu oczy masom oczadziałym wojną. W Wersalu sprzymierzeni i wrogowie, magnaci, generałowie i przekupni politycy zatraskiwali na gwałt okiennice przed burzą, przed nowym, przed nadzieją. Nagle, w grzmiących rozbłyskach, stawało się na sekundę jasne, o co naprawdę chodziło w tej wojnie, o co naprawdę chodzi w przetargach pokojowych.

W Ameryce, w Europie górę brali starzy. Bankierzy oddychali z ulgą w swoich gabinetach, ubrylantowane matrony z klasy próżniaczej zaczynały na nowo obcinać kupony w dyskretnej ciszy safesów bankowych, ostatnie powiewy ozonu rewolucji tęchły w gwarze knajpianych dyskusji.

Veblen pisał do "Tarczy"*,
wykładał w Nowej Szkole Nauk Społecznych*.

Jeszcze miał nadzieję, że inżynierowie, technicy, ludzie bezinteresowni z ręką u steru podejmą walkę tam, gdzie się nie powiodło klasie robotniczej. Współdziałał przy zakładaniu Federacji Technicznej*. Swoje ostatnie nadzieje wiązał z brytyjskim strajkiem generalnym*.

Czyżby nie było już żadnej grupy ludzi, która by się poważyla ująć w swoje ręce wspaniałą maszynę, zanim chytroocy spekulanci i potakiewicze za urzędowymi biurkami nieodwracalnie ją popsują
zaprzeczając w ten sposób nadzieje czterech stuleci?

Nikt nie przychodził na wykłady Veblena w Nowej Szkole. Z każdym artykułem, który napisał do "Tarczy", spadał jej nakład.

Zaczynała się nowa era, normalka Hardinga*;
nawet Veblenowi powiodła się mała gierka na giełdzie.
Był samotnym starym człowiekiem.
Jego druga żona, nękana manią prześladowczą, musiała zostać umieszczona w zakładzie.
Nigdzie nie było miejsca dla bezpieczeństwa człowieka.

Veblen wrócił do Palo Alto,

by zamieszkać w chacie wśród rudych wzgórz i z daleka obserwować, jak - według jego własnych słów - ostatnie grabieżcze zapędy systemu nieograniczonych zysków przemieniają się w rojenia programowej demencji praecox*.

Tutaj ukończył swoje tłumaczenie "Sagi rodu z Laxdal".

Był starym człowiekiem. Spędzał większość czasu sam. Pozwalał szczerom leśnym wyjadać, co chcą, ze swojej spiżarni. Skunks, który się kręcił koło domu, był tak oswojony, że często się ocierał o jego nogę jak kot.

Powiedział jednemu z przyjaciół, że czasami w otaczającej ciszy brzmią mu w uszach głosy z jego lat chłopięcych, rozmawiające po norwesku równie wyraźnie, jak na farmie w Minnesocie, gdzie się wychował. Przyjaciele zauważali, że coraz trudniej z nim rozmawiać, coraz trudniej czymkolwiek przykuć jego uwagę. Dopalał się. Ostatnie krople z pucharu gorzycy. Umarł 3 sierpnia 1929.

Wśród jego papierów znaleziono ołówkową notatkę następującej treści:

Ponadto moim życzeniem na wypadek śmierci jest, ażeby moje ciało spalono, jeśli tylko będzie to możliwe bez większego zachodu, jak najspieszniej i jak najtańszym kosztem, bez jakichkolwiek obrządków i uroczystości; ażeby moje prochy wsypano do morza lub do jakiejś większej rzeki wpadającej do morza; ażeby nigdy i nigdzie nie upamiętniano mojej osoby ani mojego imienia żadnym nagrobkiem, płytą,

wizerunkiem, popiersiem, pomnikiem, tablicą ani epitafium; ażeby nie publikowano drukiem ani w żaden sposób nie powielano, nie upowszechniano ani nie kolportowano moich klepsydr, nekrologów, wspomnień pośmiertnych, podobizn, biografii, jak również żadnych listów pisanych przeze mnie i do mnie;

ale jego pomnik pozostaje
wyryty w języku
ostrym precyzyjnym rylcem jego myśli.

KRONIKA LI

Słońce zagasło na naszej ulicy

posady rokujące szybkim, dokładnym, doświadczonym pannom i młodym mężatkom z dobrymi referencjami szanse rychłego awansu

*Odkąd moja miła
Sally mnie rzuciła*

DZIEWCZĘTA, DZIEWCZĘTA, DZIEWCZĘTA

administratorki... akwizytorzy... fryzjerki... guwernantki... kasjerki... kelnerki... kontystki... korespondentki handlowe... kucharki... maszynistki do obsługi dyktafonów... modelki... operatorki arytmometrów... operatorki multigrafów... operatorki systemu Elliotta Fishera... panie z towarzystwa... panny do towarzystwa... pokojówki... praczki chemiczne... rejestratorki... rękawiczniczki... wykańczarki... korzystne warunki dla eleganckich młodych panien... inteligentne młode kobiety W szpitalu Świętego Jakuba Moje małeństwo widziałem. Leżało równiutko na stole, Takie ciche, zimne i białe. Z lekarzem dyżurnym mówiłem DYSPONUJEMY SETKAMI WOLNYCH POSAD zabiegamy o obsadzenie wszystkich wakansów, oferujemy wysokie pensje, procenty, gratyfikacje, nagrody, szkolenie, możliwości nauki, zapewniamy warunki awansu i usamodzielnienia się, opiekę szpitalną, salę rekreacyjną i kantinę, gdzie można zjeść pierwszorzędny lunch poniżej ceny kosztu

*Niech sobie idzie z Bogiem,
Gdziekolwiek chandra ją gna,
Lecz choćby świat schodziła,
Nie znajdzie chłopca jak ja*

MARY FRENCH

Biedny tatko nie mógł się nigdy ułożyć w łóżku zaraz po kolacji, tak jak lubił, z lampką nocną nad lewym ramieniem, okularami na nosie, gazetą w ręce i świeżym cygarem w ustach, żeby nie zabręczał telefon albo nie rozległo się pukanie od kuchni i mamusia nie kazała małej Mary otworzyć drzwi, za którymi stał jakiś górnik z bladą twarzą, a brwiami i rzęsami bardzo czarnymi od pyłu węglowego i mówił: "Proszę do doktor French, on idzie szybko". I biedny tatko zrywał się ziewając, w piżamie i szlafroku, odgarniał z czoła niechlujne siwe włosy, posyłał Mary do gabinetu po torbę lekarską i wychodził wiążąc po drodze krawat, by często gęsto nie wrócić aż do rana.

Jeszcze gorzej było podczas posiłków. Nigdy nie mogli we troje zasiąść spokojnie do stołu, żeby nie zadzwonił ten przebrzydły telefon. Tatko wychodził, a Mary z mamusią kończyły posiłek we dwie, siedząc przy stole w milczeniu, mała Mary z nóżkami owiniętymi dokoła nóg krzesła i z oczami utkwionymi w dwóch martwych dzikich kaczkach na obrazie pośrodku ściany z piernikową tapetą nad schludną czarną głową mamusi. Potem mamusia sprzątała ze stołu szcękając naczyńiami i mruczając pod nosem, że gdyby biedny tatko poświęcał płacącym pacjentom połowę tego czasu co tym nędznym cudzoziemcom górnikom, to by był dzisiaj bogatym człowiekiem i ona by się nie musiała zabijać harówką przy garach. Mała Mary nie zносиła, kiedy mamusia zaczynała tak wyrzekać na biednego tatka.

Tatko i mamusia nie bardzo ze sobą żyli. Mary jak przez mgłę pamiętała lepsze czasy, gdy była bardzo, bardzo małą dziewczynką i mieszkali w Denver w słonecznym domu z ukwieconymi krzewami w ogródku. Ale to było dawno, zanim odszedł od nich braciszek i tatko stracił wszystkie pieniądze na tej niefortunnej inwestycji. Ilekroć ktoś wspominał Denver, zaraz robiło jej się słonecznie na duszy. Bo teraz mieszkali w Trinidadzie, gdzie wszystko jest czarne od węgla, wysokie łyse zbocza zaciemniają dolinę pełną zakopconych drewnianych rud, wywrotnic kopalnianych, górników po większej części parszywych Latynosów albo Słowian, obskurnych szynków, dławiącego dymu z hut i małych czarnych wagoników. A w Denver było słonecznie i mieszkali tam biali ludzie, prawdziwe czyste dzieci amerykańskie jak braciszek, który od nich odszedł, a o którym mamusia mówiła, że może by żył, gdyby biedny tatko troszczył się o swoich najbliższych tak jak o tych nędznych cudzoziemców górników. Mamusia kazała jej wtedy wejść do salonu, Mary tak się okropnie bała, ale mamusia trzymała ją mocno za rękę, ścisnęła, aż bolało do łez, a nikt tego nie zauważył, wszyscy myśleli, że płacze z powodu braciszka, bo mamusia kazała jej spojrzeć na niego w trumnie pod szkłem.

Po pogrzebie mamusia bardzo się rozchorowała, dzień i noc czuwały przy niej pielęgniarki, małej Mary nie pozwalano do niej nawet zajrzeć, tylko kazano się bawić samej jednej w ogródku. Odkąd wyzdrowiała, żyli z biednym tatkiem bardzo źle, sypiali w oddzielnych pokojach, a Mary w małym pokoiku przejściowym między nimi. Biedny tatko bardzo posiwiał, gryzł się ciągle i wcale się już nie śmiał w domu, na domiar złego wyskoczyła ta sprawa z niefortunną inwestycją i musieli się przeprowadzić do Trinidadu, gdzie mamusia nie pozwalała jej się bawić z dziećmi górników i gdzie Mary wracała ze szkoły z gnidami we włosach.

Mary musiała nosić okulary, uczyła się bardzo dobrze i w wieku dwunastu lat mogła iść do gimnazjum. Kiedy tylko się nie uczyła, pożerała wszystkie książki, jakie były w domu.

- Dziewczyna popsuje sobie zupełnie wzrok - biadała mamusia rano przy stole, kiedy biedny tatko schodził na śniadanie z oczami zapuchniętymi z niewyspania i łykał wszystko w pośpiechu, żeby zdążyć z wizytami domowymi.

Na wiosnę, gdy Mary ukończyła ósmą klasę i otrzymała nagrody z francuskiego, historii Ameryki oraz angielskiego, do pani French przyszła specjalnie z wizytą panna Parsons, żeby jej powiedzieć, jaką Mary jest dobrą uczennicą i jaką pociechą dla nauczycieli po tych żalonych zakutych cudzoziemcach, którym trzeba wszystko wbijać łopata do głowy.

- Wiem, wiem, jak to jest - powiedziała mamusia i nagle dodała: - Niech pani nikomu o tym nie mówi, panno Parsons, ale my się na jesieni przenosimy do Colorado Springs.

Panna Parsons westchnęła.

- Cóż, proszę pani, przykro nam będzie się z państwem rozstawać, ale to z pewnością wyjdzie Mary na dobre. Będzie tam miała lepsze towarzystwo w szkole.

Dłonią z odchylonym małym palcem panna Parsons uniosła filiżankę z herbatą, po czym ją odstawiała z suchym szczękiem na spodeczek. Mary się przyglądała z małego gobelinowego taborecika koło kominka.

- Przykro mi to mówić - podjęła panna Parsons - bo tu się urodziłam i wychowałam, ale Trinidad to nie miejsce dla takiej słodkiej niewinnej dziewczynki jak Mary.

Tej wiosny umarł w Denver dziadek Wilkins i mamusia, na którą opiewała jego polisa ubezpieczeniowa, otrzymawszy odszkodowanie zaczęła tatkowi ciosać kołki na głowie. Biedny tatko wcale się nie chciał

wyprowadzać z Trinidadu, więc prawie każda ich rozmowa kończyła się tym, że wysyłali Mary do biblioteki, a sami szli się klócić nad brudnymi statkami w kuchni. Mary siedziała ze starym egzemplarzem "Ivanhoe*" w czerwonej skórzanej oprawie z tłoczeniami i słuchała ich gorzkich podniesionych głosów dochodzących przez cienką drewnianą ściankę.

- Wystarczy, że zламаłeś życie mnie, nie pozwolę, żebyś zламаł także mój! - wykrzykiwała mamusia tym swoim mściwym głosem, od którego Mary myślała, że się spali ze wstydu.

Siedziała chlipiąc nad książką, dopóki nie zaczęła znowu czytać i po paru stronicach zapominała o Bożym świecie, istnieli już znowu tylko wolni kmiecie z Lincoln Green i konni rycerze, i zamki.

Tego lata, zamiast pojechać z namiotem do parku Yellowstone*, jak projektował tatko, przenieśli się do Colorado Springs. Stanęli początkowo w pensjonacie, a dopiero gdy nadeszły meble, wprowadzili się do domu z zielonymi gontami, w którym mieli mieszkać, a który stał na zapuszczonej murawie wśród topoli daleko od czerwonożwirowanej ~ drogi. W wysokiej trawie Mary odkryła obłazłe z farby resztki kompletu do krokieta. Podczas gdy tatko i mamusia użerali się z tragarzami ` wyładowującymi meble z furgonu, ona biegała ze złamanym młotkiem stukając w stare popękane kule, na których ledwo można było odróżnić czerwone, zielone, żółte i niebieskie pasy otoczek. Kiedy z domu wyszedł tatko, zmęczony, z niechlujnymi siwymi włosami opadającymi na czoło, podbiegła do niego z młotkiem i chciała, żeby z nią zagrał.

- Nie czas teraz na zabawy - odparł.

Mary wybuchnęła płaczem, więc ją wziął na barana, zaniósł za tylną werandę i pokazał jej, jak wdrapawszy się na dach komórki na narzędzia koło drzwi kuchennych może dojrzeć płaskowyż skalny, a za nim, na tle firanki pędzących ażurowych chmur, ostre granatowe turnie tworzące gładki niebosiężny masyw górski, w którym sterczał samotny Pikes Peak*.

- Pojedziemy tam kiedyś kolejką zębatą - szepnął swoim ciepłym serdecznym głosem tuż nad uchem Mary.

Góry wydawały jej się takie dalekie, a od pędu chmur zakręciło jej się w głowie.

- Sami we dwoje - ciągnął tatko - ale pamiętaj, nie wolno ci nigdy płakać, Mary, bo dzieci będą się z ciebie śmiać w szkole.

We wrześniu musiała iść do gimnazjum. Okropnie było iść do nowej szkoły, gdzie nie miała żadnej przyjaznej duszy. Dziewczęta w pierwszej gimnazjalnej wydawały jej się takie wystrojone i nieprzystępne. Przechodząc korytarzem i słysząc, jak rozprawiają o wieczorkach, Klubie Ziemi, turniejach tenisowych, hotelach w kurortach, samochodach i przyjaciółkach na pensjach na Wschodzie, Mary w swoich okularach, z opaską ortodontyczną na zębach, którą mamusia kazała założyć dentyście, a od której lekko sepleniała, ze swoimi piegami i włosami, które nie były rude ani blond, tylko żółte jak piasek, czuła się tutaj przybłądą jak cuchnące rozwrzeszczane bachory górników w Trinidadzie.

Już wołała chłopców. Jeden rudy chłopak szczyrzył do niej zęby, inni zostawiali ją przynajmniej w spokoju. Na lekcjach radziła sobie dobrze, a nauczycieli uważała za cudownych. Na angielskim czytali "Ramonę"*, więc pewnego wiosennego popołudnia z duszą na ramieniu poszła sama jedna na cmentarz Evergreen obejrzeć grób Helen Hunt Jackson. Panował tu taki rozkoszny smutek. Postanowiła, że jak dorośnie, będzie taka jak Helen Hunt Jackson.

Dom prowadziła im teraz szwedzka służąca imieniem Anna, a mamusi ani tatka prawie nigdy nie było, kiedy Mary wracała ze szkoły. Tatko miał gabinet w nowym gmachu biurowym w śródmieściu, a mamusia zajmowała się stale dobroczynnością w parafii albo przesiadywała w bibliotece przygotowując odczyty do

wyglaszania w klubach pań. Mary przeważnie jadła kolację sama, czytając przy tym książkę albo odrabiając lekcje. Po kolacji szła do kuchni i pomagała Annie w sprzątanii, a potem wymyślała różne rzeczy, żeby jej nie puścić do domu i nie zostać samej. Słyszac otwieranie drzwi frontowych biegła co tchu. Zwykle była to tylko mamusia, ale czasem wracał tatko ze swoim cygarem i zmęczoną twarzą, w ubraniu przesiąkniętym zapachem tytoniu, jodoformu i karbolu. Niekiedy udawało jej się go namówić, żeby przyszedł do niej na dobranoc, usiadł na brzegu łóżka i opowiedział jakąś historię z dawnych czasów, o górnikach, poszukiwaczach złota czy wojnie między hodowcami owiec a ranczerami.

W gimnazjum najlepszą przyjaciółką Mary była Ada Cohn, córka głośnego adwokata z Chicago, który się przeniósł do Colorado ze względów zdrowotnych. Mamusia nie chciała Mary za nic puszczać do Cohnów i robiła tatkowi paskudne awantury, że to z powodu jego niezaradności jego jedyna córka jest skazana na obracanie się wśród Żydów i różnych takich. Dlaczego tatko się nie zapisze do Klubu Ziemińskiego? Co z tego, że ona stara mu się zdobyć pozycję w wyższych sferach pracą w parafii, odczytami w klubach pań i zbiórkami dobroczynnymi, jeśli on wszystko psuje lecąc nadal biedaków, zadając się z różnymi szumowinami w bilardziarniach, a kto wie, czy i nie gorszych miejscach, zamiast sobie wyrabiać dochodową praktykę w mieście, do którego zjeżdża tylu chorych bogaczy? Czyż nie po to właśnie wyprowadzili się z Trinidadu?

- Ależ, Hildo, bądźże rozsądna - mówił tatko. - Przecież właśnie ze względu na przyjaźń Mary z Adą Cohnowie się u mnie leczą. To bardzo mili dobrzy ludzie.

- Och, gdybyś ty miał odrobinę ambicji - syczała mamusia przez zęby, mierząc go zimnym wzrokiem.

Mary zrywała się ze łzami od stołu, rzucała na łóżko i leżała z książką nasłuchując ich podniesionych głosów, a potem ciężkich powolnych kroków tatka, zatraskiwanych drzwi wyjściowych i chrobotu korby, gdy zapalał auto, żeby jechać znowu na wizyty domowe. Leżąc tak z zaciśniętymi zębami pragnęła często, żeby mamusia umarła i pozwoliła im żyć spokojnie we dwoje z tatkiem. Potem przechodził ją zimny dreszcz na myśl, jak to niegodziwie mieć takie pragnienia, i zabierała się do czytania, z początku ledwo dostrzegając przez łzy zadrukowaną stronicę, lecz stopniowo zatapiając się bez reszty w książkową historię.

Tylko w jednej sprawie oboje rodzice byli zgodni - że Mary powinna pójść do naprawdę dobrego college'u na Wschodzie. W roku, w którym się przygotowywała do matury, Mary zdała przed komisją kwalifikacyjną wszystkie egzaminy wymagane do college'u prócz stereometrii. Nie mogła się doczekać chwili wyjazdu.

Z wyjątkiem paru dni dorocznego obozowania z tatkiem w lecie oraz letniego miesiąca, który spędzała w jego gabinecie na przyjmowaniu telefonów, wypisywaniu kart pacjentów, prowadzeniu buchalterii i wysyłaniu rachunków, Mary nie cierpiała Colorado Springs. Jedynym adoratorem, jakiego miała, był student ze szpotawą stopą, nazwiskiem Joe Denny, syn szynkarza z Colorado City, który się przebijał o własnych siłach przez Colorado College*. Był to rozgoryczony cedzący słowa chłopak o konopnej czuprynie i ostrej szczęce, geniusz matematyczny. Niczego tak nie nienawidził jak wódki i Johna D. Rockefellera*. W niedzielę Mary, Joe i Ada jeździli razem na pikniki do Ogrodu Bogów* urwisk Austin* albo któregoś z kanionów i czytali na głos poezje. Najbardziej lubili "Charta gończego niebios"* i "Miasto straszliwej nocy"*. Pewnego razu Joe je zelektryzował, gdy wdrapawszy się na płaską skałę nad ogniskiem, na którym smażyły boczek, wyrecytował im "Człowieka z motyką"*. W pierwszej chwili myślały, że sam to napisał.

Kiedy wracali do miasta, z ciałem swędzącym od opalenia, szczęśliwi po dniu spędzonym na świeżym powietrzu, Mary tak okropnie pragnęła zaprosić ich do domu, jak to robiła Ada. Cohnowie promienieli zawsze życzliwością i pogodą, zatrzymywali wszystkich na kolacji, mimo że biedny pan Cohn był bardzo chorym człowiekiem. Mary nie miała odwagi przyprowadzić nikogo do domu z obawy, że mamusia potraktuje go z góry albo że przy stole dojdzie do jeszcze jednej głośnej wymiany zdań, jakie ciągle wybuchały między mamusią a tatkiem. Ostatniego lata przed wyjazdem Mary do Vassar* w ogóle już ze sobą nie rozmawiali po potwornej awanturze, jaka się zrobiła któregoś dnia przy kolacji, gdy tatko oświadczył, że zamierza w listopadzie głosować na Eugene V. Debsa.

Dziewczęta, które poznała w Vassar College, ubierały się lepiej od niej i stroiły nietykalskie pozy panienek z prywatnych pensji, ale po raz pierwszy w życiu Mary zdobyła sobie pewien mir. Wykładowcy ją lubili, bo była we wszystkim skrupulatna, pilna i rzeczowa, a koleżanki uważały, że jest wprawdzie szara jak myszka, ale kochana.

Wszystko to wzięło w łeb, kiedy w następnym roku przyjechała do Vassar Ada Cohn. Ada była jej najstarszą przyjaciółką i Mary serdecznie ją lubiła, więc z przerażeniem stwierdziła, że wcale nie jest zadowolona z jej przyjazdu. Ada bardzo wybujała przez ten rok, zrobiła się okropnie semicka i krzykliwa, nosiła zbyt kosztowne i zawsze trochę nieodpowiednie stroje. Zamieszkały we wspólnym pokoju i Ada prze-ważnie płaciła za ubrania i książki Mary, bo Mary miała takie skromne kieszonkowe. Od przyjazdu Ady Mary straciła cały mir, najwplywowsze dziewczęta zaczęły jej unikać. Mary i Ada wybrały sobie obie socjologię jako specjalizację i mówiły, że zostaną społeczniczkami.

Gdy Mary była na trzecim roku, mamusia pojechała do Reno i uzyskała rozwód podając jako przyczynę nadużywanie przez tatka alkoholu oraz okrucieństwo moralne. Mary nie przyszło dotąd do głowy, że biedny tatko pije. Płakała bez końca, kiedy o tym przeczytała w wycinku gazetowym przysłanym jej z Colorado Springs przez jakiegoś życzliwego anonima, który zakreślił wzmiankę czerwonym ołówkiem. Wycinek spaliła

w kominku, żeby nie wpadł w ręce Ady, a gdy ta ją spytała, czemu ma takie czerwone oczy, odparła, że się spłakała nad artykułem o tych biednych żołnierzach ginących jak muchy w Europie. Potem czuła się paskudnie, że okłamała Adę, i tak sobie wzięła to do serca, że przez całą noc nie zmrzyła oka.

Następnego lata dostały obydwie pracę opiekunek społecznych w Domu Hulla w Chicago*. Chicago nappełniło je przerażeniem, a nieszczęsna Ada nie mogła podołać pracy i ostatecznie pojechała do Michiganu leczyć nerwy. Straszne było życie biedaków, czerwone popękane ręce kobiet biorących do domu pranie, szkraby ze świerzbem na główkach, łoskot i wiatr miotający piaskiem na South Halstead Street, smród rzeźni. Lecz Mary czuła się jak za dziecinnych lat w Trinidadzie albo jak tego lata, kiedy pomagała tatkowi w gabinecie.

Gdy przed rozpoczęciem roku akademickiego pojechała na dwa tygodnie do Colorado Springs, zastała mamusię mieszkającą luksusowo w hotelu Broadmoor. Mamusia odziedziczyła pakiet akcji Amerykańskiego Towarzystwa Hutniczego i Odlewniczego po wujku Henrym, który zginął w wypadku tramwajowym w Denver, i miała dwadzieścia tysięcy dochodu rocznego. Zrobiła się zapaloną brydżystką i jeździła po kraju wygłaszając w klubach pań odczyty przeciwko prawu głosu dla kobiet. O tatku mówiła słodkim lodowatowitriolicznym głosem "twój biedny drogi ojciec", Mary zaś palnęła reprimendę, że powinna się lepiej ubierać i przestać nosić te ohydne okulary. Mary nie chciała od niej przyjąć żadnych pieniędzy dowodząc, że nikt nie ma prawa do tego, czego nie zarobił, ale pozwoliła sobie uszyć nowy tweedowy kostium i sprawić gładką popołudniową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i mankietami. Nie kłóciła się już z mamusią tak jak dawniej, pozostało jednak między nimi chłodne uczucie przymusu.

Mamusia powiedziała, że nie wie, gdzie mieszka tatko, więc Mary musiała pójść do gabinetu w godzinach przyjęć. Było tu brudniej niż za jej czasów, a w poczekalni siedziało pełno pacjentów, po większej części o wyglądzie rozbitków życiowych, tak że minęła godzina, nim tatko mógł z nią wyjść na lunch. Usiedli na wysokich stołkach barowych przy kontuarze małej jadłodajni w sąsiedniej kamienicy. Tatko miał już włosy prawie zupełnie białe, twarz całą w zmarszczkach, a pod oczami wielkie szare worki. Mary dławilo w gardle, ilekroć na niego spojrzała.

- Och, tatusiu, powinieneś trochę odpocząć.

- Wiem, powinienem się na jakiś czas wynieść z tych gór. Pikawka już mi tak nie służy jak kiedyś.

- Może byś przyjechał na Wschód na Boże Narodzenie?

- Może, jeśli mi się uda zdobyć flotę i znaleźć kogoś, żeby przejął moją praktykę na miesiąc.

Mary przepadała za jego głębokim basem.

- Na pewno by ci to świetnie zrobiło. Tak dawno nigdzie razem nie byliśmy.

Zrobiło się późno. W jadłodajni nie został nikt prócz kelnerki ze zmrożonymi ustami, która sama jadła lunch przy stoliku w głębi. W przerwach między powolnymi zdaniem tatka cykał głośno nad maszynką do kawy wielki zegar z wysłużonym cyferblatem.

- Nigdy nie myślałem, że zaniedbam moją małą córeczkę. Ale wiesz, jak to jest. Tak się jakoś stało... Jak tam mamusia?

- Och, mamusia jest w siódmym niebie - odparła ze śmiechem, który jej samej zabrzmiał drewnianym dźwiękiem. Z chęci, żeby tatko się rozkrochmalił, zaczynała z nim rozmawiać jak z petentami w domu opieki.

- No, to już wszystko pieśń przeszłości - powiedział tatko. - Nigdy nie byłem dla niej odpowiednim mężem. Mary zakreśliły się łzy w oczach.

- Tatuśku, jak skończę college, pozwolisz mi poprowadzić swój gabinet? Ta straszna panna Hylan to taki niechluj.

- Będiesz miała lepsze rzeczy do roboty. Zawsze mnie zaskakuje, ilu ludzi jeszcze płaci rachunki. Ja swoich nie płacę.

- Tato! Widzę, że będę się musiała za ciebie wziąć.

- Może i będziesz, córeczko. Przyda ci się praktyka w domu opieki. Będiesz wiedziała, jak przykrócić staremu cugli, co?

Mary oblała się rumieńcem.

Ledwo poczuła się z nim swobodniej, musiał pędzić do kobiety, która rodziła od pięciu dni i ciągle nie mogła urodzić. Mary nie miała najmniejszej ochoty wracać do Broadmooru z tymi wszystkimi boyami poubieranymi jak małpki w cyrku i wypindrzonymi starymi kwokami przesiadującymi w hallu. Wieczorem zadzwonił Joe Denny zapytać, czyby się z nim nie wybrała na przejażdżkę. Mamusia była pochłonięta brydżem, więc Mary kazała mu czekać na werandzie hotelowej i wymknęła się nic jej nie mówiąc. Ubrała się w nową sukienkę, okulary zdjęła i schowała do małej torebki. Joego widziała jak przez gęstą mgłę, ale zauważyła, że wygląda dobrze i dostatnio i ma nowego otwartego dwuosobowego Forda.

- Więc tak się prezentuje Mary French - powiedział. - No, no, wyprzystojniałaś, odkąd cię straciłem z oczu. Facet taki jak ja nie ma już pewnie u ciebie szans.

Przez jakiś czas jeździli wolno po parku, po czym Joe zatrzymał wóz w smudze księżycy nad kanałem przepływającym pod aleją. W perspektywie wąskiego parowu, za drżącymi osikami, rozciągała się czarna lśniąca równina aż po horyzont zalany księżycem.

- Jak cudownie! - wykrzyknęła Mary.

Joe obrócił do niej poważną twarz ze szpiczastą brodą i powiedział, lekko się zacinając:

- Mary, muszę to z siebie wyrzucić. Chcę się z tobą zaręczyć. Jadę na Uniwersytet Cornella studiować inżynierię, dostałem stypendium. Jak skończę, w parę lat powinienem zarabiać przyzwoite pieniądze, będę w stanie utrzymać żonę. Byłbym nieskończenie szczęśliwy, gdybyś powiedziała, że może, może, jeśli do tego czasu nie zjawi się nikt inny...

Głos mu odmówił posłuszeństwa. Mary kątem oka rozróżniała w świetle księżycy ostre napięte rysy jego twarzy. Nie mogła mu spojrzeć w oczy.

- Joe, zawsze uważałam cię za przyjaciela, tak jak Adę. Wszystko psujesz podobnymi przemowami. Jak skończę college, mam zamiar się poświęcić pracy społecznej i muszę się zająć tatusiem. Proszę cię, nie wracaj do tego. Takie rozmowy okropnie mnie wyprowadzają z równowagi.

Wyciągnął kanciastą dłoń i wymienili nad tablicą rozdzielczą uroczysty uścisk.

- Dobrze, siostrze, będzie, jak chcesz - powiedział i odwiózł ją bez słowa do hotelu.

Mary siedziała jeszcze długo na werandzie i patrzyła na wrześniey księżyc. Czowała się paskudnie.

Jednakże kilka dni później, kiedy Mary odjeżdżała z powrotem do college'u, to właśnie Joe odwiózł ją na dworzec, bo mamusia miała akurat ważne posiedzenie, a tatko musiał być w szpitalu. Podawszy jej rękę na pożegnanie Joe kilkakrotnie klepnął ją nerwowo po ramieniu i przełknął, jakby mu zaschło w gardle, ale o zaręczynach więcej nie wspomniał. Mary była mu taka wdzięczna.

W drodze na Wschód przeczytała w pociągu po raz pierwszy "Port Ernesta Poole'a*" oraz powtórnie "Grzęzawisko"*. Leżała potem w slipingu zbyt podekscytowana, żeby zasnąć, słuchając dudnienia kół na szynach, dzwonek na przejazdach, przejmującego dalekiego gwizdu lokomotywy, przypominając sobie wystrojone panie, które mizdrząc się w garderobie hotelowej odepchnęły ją łokciami od lustra, nalanych biznesmenów chrapiących w slipingu, rozmyślając o ogromie pracy koniecznej dla zaprowadzenia ładu w kraju, o niesprawiedliwości społecznej, slumsach, drewnianych ruderach z brudnymi walącymi się wygodkami z tyłu, o dzieciach górników w wysmolonych przydużych kapotach, o spracowanych kobietach zgiętych nad kuchnią, o chłopcach zdobywających wiedzę w szkołach wieczorowych, o głodzie, bezrobociu i pijaństwie, o policji, adwokatach i sędziach zawsze gotowych zwalić wszystko na słabych. Gdyby ci ludzie w slipingach zechcieli zrozumieć, jak jest naprawdę. Jeśli poświęci życie jak tatko ratujący chorych dzień i noc, może i ona wzorem panny Addams...

Nie mogła się doczekać, kiedy przystąpi do dzieła. Nie mogła uleżeć na łóżku. Wstała, poszła do pustej ubieralni i siedziała z mrowieniem w całym ciele, usiłując czytać "Perspektywy życia amerykańskiego"*. Przeczytała parę stron, lecz nie pojmowała znaczenia słów. Myśli kłębiły jej się w głowie jak strzępy chmur pędzących nad ciemnym masywem górskim i przelewających się przez przełęcz w Colorado Springs. Zmarzła, dostała dreszczy, więc położyła się z powrotem.

Przejeżdżając w Chicago na drugi dworzec kazała nagle taksówkarzowi zawieźć się do Domu Hulla. Musi powiedzieć pannie Addams, co postanowiła. Lecz gdy taksówka się zatrzymała pośród starej nędzy South Halstead Street i Mary zobaczyła dwie znajome dziewczyny stojące i rozmawiające pod kamiennym gankiem, cały entuzjazm ją opuścił i kazała taksjarszowi jechać dalej na dworzec.

Tego roku w Vassar wszystko wydawało jej się okropne. Ada zaczęła się interesować muzyką, uczyła się gry na skrzypcach i myślała tylko o tym, jakby się wyrwać do Nowego Jorku na koncerty. Twierdziła, że się kocha w doktorze Mucku z Bostońskiego Towarzystwa Symfonicznego*, i nie chciała słyszeć o wojnie, pacyfizmie, pracy społecznej ani niczym takim. Świat dookoła-ofensywy, ekscesy U-Bootów*, wybory* - był taki natarczywy, że Mary nie mogła skupić myśli na wykładach ani na paplaninie Ady o sławach muzycznych. Chodziła na wszystkie odczyty o wydarzeniach bieżących i kwestii socjalnej.

Tej zimy największe wrażenie zrobił na niej odczyt G. H. Barrowa o "Perspektywach pokoju". Pan Barrow okazał się wysokim chudym mężczyzną o bujnej siwej czuprynie, czerwonej twarzy, wydatnym jabłku Adama i płomiennych oczach, które chwilami stawały się lekko wylupiaste. Mówiąc, trochę się zaciął, ale głos miał ciepły, ujmujący i w ogóle był bardzo miły. Mary uznała, że musiał zaczynać jako robotnik. Miał czerwone sękaty ręce o długich palcach, spacerował tam i z powrotem po podium sprężystym krokiem, zdejmując i nakładając okulary w szyldkretowej oprawie. Po odczycie przyszedł do domu pana Hardwicka, gdzie pani Hardwick podała limoniadę, kakao i sandwicze, a wszystkie dziewczęta otoczyły go kołem i zarzuciły pytaniami. Był bardziej onieśmielony niż na podium, ale mówił pięknie o zaufaniu klasy robotniczej do prezydenta Wilsona, o tym, że robotnicy są za pokojem i że rewolucja meksykańska dopiero się zaczyna (wrócił właśnie z Meksyku, gdzie przeżył najrozmaitsze przygody). Klasa robotnicza powstanie na całym świecie i przystąpi do usuwania nieporządków pozostawionych przez stary ład, nie gwałtem, lecz pokojowymi wilsonowskimi metodami. Położywszy się tego wieczora do łóżka Mary ciągle miała w uszach sympatyczne wibrujące nerwowe drżenie, jakiego chwilami nabierał jego głos. Szalała z niecierpliwości, żeby się wreszcie wyrwać w świat z dławiącego życia akademickiego. Czas nigdy jej się tak nie dłużył jak tej zimy.

Pewnego rozmokłego dnia lutowej odwilży wstąpiła między wykładami do domu zmienić wilgotne śniegowce i znalazła pod drzwiami żółtą depezę:

POWINNAŚ PRZYJECHAĆ NA JAKIŚ CZAS STOP MAMUSIA NIE BARDZO ZDROWA

Depesza była podpisana "TATKO". Mary okropnie się przejęła, chociaż z ulgą powitała pretekst do wyrwania się z college'u. Zabrała ze sobą stertę książek, nie mogła jednak nic czytać w pociągu. Siedziała w przegrzanym zielonopłuszowym pulmanie, z książką na kolanach, i gapiła się na płaskie zaśnieżone pola obramowane płataniną gołych fioletowych drzew, na tablice z reklamami, rudery i czerwonoceglane sklepy z fałszywymi frontonami udającymi kamienice przy nowych asfaltowych szosach, na miasteczka tandetnych drewnianych domków czarnych od dymów fabrycznych, a potem na chaty, stodoły i szopy obracające się wolno dokoła, gdy ekspres się zagłębił w prerie Środkowego Zachodu. Nie myślała o niczym.

Na stacji czekał na nią tatko. Ubranie było na nim pogniecione bardziej niż zwykle, u paltota brakowało guzika. Gdy się uśmiechnął, na jego twarzy pojawiła się sieć nowych drobnych delikatnych zmarszczek. Wkoło oczu miał czerwone obwódki, jakby nie spał przez wiele nocy.

- Wszystko w porządku, Mary - powiedział. - Nie powinienem był depeszować. To zwykłe samolubstwo z mojej strony. Samotność zaczyna mi doskwierać na stare lata. - Wziął od posługacza jej sakwożaż i nie przerywając mówienia ruszył do wyjścia. - Mamusia po trochu wraca do siebie. Wyciągnąłem ją z tego. Szczęście, że mnie w porę doszły słuchy o jej chorobie. Jeszcze dzień, a ten cholerny konował hotelowy wpędziłby ją do grobu. Ta hiszpanka* to zdradliwa choroba.

- Bardzo się tu panoszy, tatusiu?

- Oj, bardzo. Musisz się za wszelką cenę wystrzegać infekcji. Wsiadaj, podrzucę cię do hotelu. - Zapaliwszy korbą zardzewiałe auto z budą wskazał jej miejsce na przednim siedzeniu. - Znasz stosunek biednej mamy do napojów wyskokowych? Otóż poilem ją alkoholem przez cztery dni.

Usiadł koło niej i prowadząc mówił przez cały czas. Lodowate zimno orzeźwiło Mary po gęstym dławiącym pluszowym zaduchu slipingu.

- Odkąd ją znam, mamusia nie była nigdy taka miła jak podczas choroby. Bóg jeden wie, o mało się w niej na nowo nie zakochałem. Tylko pamiętaj, nie pozwól jej na żadne głupstwa, jak wstanie. Wiesz, jaka jest. A właśnie nawroty zabijają ludzi w tej zabawie.

Mary poczuła się nagle szczęśliwa. Nad szerokimi spokojnymi ulicami, na tle błękitu, drzewa rozpościerały gołe gałęzie, różowe, żółte, fioletowe. Na trawnikach leżały płaty zamarznętego śniegu. Niebo było ogromnie wysokie, pełne pomarańczowego blasku słońca. W nosie łechotały Mary włoski oszroniałe od mrozu.

W Broadmoorze mamusia leżała w łóżku w swoim schludnym słonecznym pokoju. Na koszuli nocnej miała różową lizeskę, na gładko zaczesanych czarnych włosach koronkowy czepeczek. Wyglądała blado, ale tak młodo, ładnie i jakoś filuternie, że przez moment Mary doznała wrażenia, iż to ona i tatuś są dorosłymi, a mamusia ich córką. Mamusia od razu zaczęła beztrósko paplać o wojnie, Szwabach i U-Bootach, biadać, do czego to podobne, że prezydent Wilson nie da tym Meksykanom porządnej nauczki. Z pewnością nie tak by to wyglądało, gdyby prezydentem został pan Hughes; prawdę mówiąc, jest pewna, że został prawomocnie wybrany, tylko demokraci sprzątnęli mu sprzed nosa prezydenturę jakimiś swoimi machlojkami. A już ten straszny Bryan to robi z Ameryki istne pośmiewisko.

- Bryan to zdrajca, moi drodzy, powinno go się rozstrzelać.

Tatko uśmiechnął się porozumiewawczo do Mary, wzruszył ramionami i wyszedł mówiąc:

- Pamiętaj, Hildo, nie wstawaj z łóżka i proszę cię, bez ekscesów alkoholowych.

Po jego wyjściu mamusia ni z tego, ni z owego się rozplakała. Gdy Mary spytała, co się stało, nie chciała powiedzieć.

- Pewno ta influenza tak mnie rozstroiła. Moja droga, cud Boski, że w ogóle wyszłam z życiem.

Mary nie mogła wytrzymać cały dzień w hotelu słuchając tyrad mamusi o gotowości wojennej. Tak ją to przygnębiło, że następnego dnia poszła rano w godzinach przyjęć zobaczyć choć na chwilę tatka. Poczekalnia była pełna ludzi. Zajrzawszy do gabinetu wiedziała od razu, że się przez całą noc nie kładł do łóżka. Okazało się, że poprzedniego dnia panna Hylan poszła do domu chora. Mary oświadczyła, że ją zastąpi, lecz tatko nie chciał o tym słyszeć.

- Nonsens - nalegała Mary. - Potrafię przyjmować telefon i mówić: "Gabinet doktora Frencha" równie dobrze jak ta okropna panna Hylan.

W końcu tatko dał jej maseczkę z gazy i pozwolił zostać. Załatwiwszy ostatniego pacjenta poszli na dół do jadłodajni coś przegryźć. Była trzecia.

- Wracaj teraz zobaczyć, jak tam mamusia - rzekł tatko. - Ja muszę iść na wizyty domowe. Ludzie umierają jak muchy. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

- Przedtem uporządkuję kartotekę - oświadczyła Mary stanowczo.

- Gdyby ktoś dzwonił, mów, że jeśli to influenza, chorego należy natychmiast położyć do łóżka, dać mu butelkę z gorącą wodą w nogi i stosować dużo środków podtrzymujących serce. Do szpitali szkoda nawet dzwonić, w promieniu stu mil nie ma ani jednego wolnego łóżka. Mary wróciła do poczekalni, usiadła za biurkiem. W ostatnich dniach przybyło cholernie dużo nowych pacjentów, wszyscy z influencją. Wczoraj pannie Hylan zabrakło kart ewidencyjnych, więc zapisywała nazwiska na bloczku. Mary nie mogła pracować, bo co chwila dzwonił telefon. Miała lodowate palce i drżała na całym ciele słysząc w słuchawce trwożne głosy,

męskie i kobiece, pytające o doktora Frencha. Zrobiła się piąta, nim mogła wyjść. Wróciła do Broadmooru tramwajem.

Zaskoczyło ją niemile, gdy usłyszała orkiestrę przygrywającą w kasynie do popołudniowych tańców, zobaczyła kolorowe światła i po-czuła leniwe ciepło hallów hotelowych i aurę eleganckiego zbytku w pokoju mamusi. Mamusia była bardzo rozdrażniona, oświadczyła, że nic jej z przyjazdu córki, która ją tak zaniedbuje.

- Musiałam pozalać tatusiowi parę spraw - powiedziała tylko Mary.

Mamusia jęła trzepać jak najęta o swojej akcji na rzecz wykluczenia Niemek z kobiecego Klubu Obiadów Wtorkowych. Trwało to, dopóki nie skończyły kolacji. Po kolacji grały w cribbage*, aż w końcu mamusi zachciało się spać.

Następnego dnia oświadczyła, że się czuje świetnie i posiedzi trochę w fotelu. Mary próbowała złapać telefonicznie tatka, żeby spytać, czy to wskazane, ale w gabinecie nikt nie odpowiadał. Przypomniała sobie, że się obiecała zjawić o dziewiątej, więc popędziła do miasta. Była jedenasta i poczekalnia wypełniła się ludźmi, zanim nadszedł tatko. Najwyraźniej ogolił się przed chwilą u fryzjera, ale wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

- Uch, tatusiu, pewnie się w ogóle nie kładłeś?

- Ależ skądże, przespaliśmy się parę godzin w pokoju jednego z lekarzy w szpitalu. Mieliliśmy w nocy kilka przypadków śmiertelnych.

Przez cały tydzień Mary tkwiła za biurkiem w poczekalni tatka odbierając telefony przez maskę z gazy i pocieszając przerażonych rozgorączkowanych ludzi, którzy siedzieli czując potęgujące się łamanie w kościach i palące wypieki na policzkach, żeby się nic nie martwili, bo doktor French zaraz przyjdzie. O piątej, kiedy wracała do hotelu zjeść z mamusią obiad i słuchać do nocy jej paplaniny, praca tatka dopiero się na dobre rozkręcała. Próbowała na nim wymóc, żeby co drugą noc robił sobie wolną i wyspał się jak człowiek.

- Gdzieżbym mógł? - odpowiadał. - McGuthrie się rozłożył, oprócz swoich mam na głowie wszystkich jego pacjentów. Ta cholerna epidemia nie będzie trwała wiecznie. Jak trochę zelżeje, pojedziemy sobie na parę tygodni na wybrzeże. Co ty na to?

Miał uporczywy suchy kaszel i wielkie sińce pod oczami, lecz twierdził, że jest silny i czuje się świetnie. W niedzielę rano Mary przyjechała do miasta późno, bo musiała pójść z mamusią do kościoła, i zastała go śpiącego w fotelu. Gdy weszła do gabinetu, poderwał się z miną winowajcy i Mary zauważyła, że ma nienaturalnie czerwoną twarz.

- Byłaś w kościele, co? Z mamusią? - spytał dziwnie chrapliwym głosem. - No, na mnie najwyższy czas. Kiedy zniknął za drzwiami, w miękkim pilśniowym kapeluszu naciągniętym głęboko na oczy, Mary przyszło do głowy, że pewnie pił. Przy niedzieli nie było jakoś zbyt wiele wezwań, więc Mary wróciła do hotelu na tyle wcześniej, że mogła się wybrać z mamusią na popołudniową przejażdżkę. Pani French czuła się już dobrze i wierciła Mary dziurę w brzuchu, że musi na jesieni zostać formalnie wprowadzona w świat.

- Powinnaś się zgodzić choćby przez wzgląd na pozycję towarzyską rodziców, moja droga.

Mary robiło się niedobrze od takich kazań. Wróciwszy do hotelu powiedziała, że jest zmęczona, poszła do swego pokoju i leżała czytając Teorię klasy próżniaczej".

Nazajutrz napisała przed wyjściem list do panny Addams informując ją o epidemii grypy i oświadczała, że wprost grzechem by było wracać do college'u, kiedy na świecie jest tyle niedoli, więc czy nie znalazłoby się dla niej jakieś zajęcie w Domu Hulla? Musi mieć świadomość, że robi coś konkretnego. Jadąc tramwajem do śródmieścia, czuła się wypoczęta i szczęśliwa, że podjęła decyzję. W perspektywie ulic widziała łańcuch gór białych jak głowy cukru w jaskrawym słońcu zimowym. Pragnęłaby teraz wyruszać na wycieczkę z Joem Dennyem. Gdy przekreśliła klucz w zamku, ścisnął jej gardło karbolowo-jodofornowo-alkoholowy odór gabinetu lekarskiego. Na wieszaku wisiał kapelusz i płaszcz tatka. Dziwne, nie zauważyła przed domem auta. Matowoszklane drzwi do gabinetu były zamknięte. Zastukała w szybę.

- Tatusiu! - zawołała.

Nie doczekała się odpowiedzi. Otworzyła drzwi. A, śpi. Leżał na kozetce z nogami nakrytymi derką z auta. Przebiegło jej przez myśl, że to będzie okropne, jeśli się upił do nieprzytomności. Podeszła na palcach. Głowę miał wciśniętą między poduszkę a ścianę, usta otwarte. Twarz, z szorstką siwą szczeciną, była przekrzywiona i stłamszona. oczy szeroko rozwarte. Nie żył.

Mary nie mogła wyjść z podziwu, że tak spokojnie podchodzi do telefonu i dzwoni do szpitala zawiadomić, że doktor French zasnął. Siedziała ciągle przy telefonie, gdy pod oknami rozległ się dzwonek ambulansu. Wszedł lekarz w białym kitlu. Widać zemdlął, bo następne, co jej zostało w pamięci, to wielki automobil, którym ją wieziono do Broadmooru. W hotelu poszła prosto do swego pokoju, zamknęła się na klucz. Padła na łóżko i wybuchnęła płaczem. O którejś w nocy zatelefonowała do mamusi.

- Mamusiu, proszę cię, nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę być na pogrzebie. Chcę wracać prosto do college'u.

Mamusia zrobiła okropne piekło, lecz Mary jej nie słuchała i skończyło się na tym, że rano mamusia dała jej sto dolarów i pozwoliła jechać. Mary nie pamiętała, czy ją pocałowała na pożegnanie, czy nie. Na dworzec

pojechała sama i siedziała dwie godziny w poczekalni, bo pociąg na wschód się spóźniał. Nie czuła nic. Widziała wszystko niezwykle wyraźnie, jaskrawy dzień zimowy, rytowane twarze ludzi w poczekalni, barwy czasopism w budce. W końcu przyszedł numerowy i zaprowadził ją do pociągu. Siedziała w pulmanie ślepiąc na śnieg za oknami, na żółtą trawę, rdzawe nieużytki, druciane płoty, zagrody dla bydła wzdłuż torów sterczące szaro i żółtawo ze śniegu, zbiorniki na wodę, małe stacyjki, elewatory zbożowe, rumianych kolejarzy w klapkach czapek spuszczonej na uszy i rękawicach roboczych. O pierwszym świcie, przejeżdżając przez przemysłowe przedmieścia Chicago, przyglądała się robotnikom, starym i młodym, z menażkami, z twarzami czerwonymi i skurczonymi od porannego zimna, tłoczącym się na peronach w oczekiwaniu na pociąg do pracy. Wpatrywała się uważnie w te twarze, świdrowała je wzrokiem. To ludzie, których musi poznać, skoro się zdecydowała zostać w Chicago, zamiast wracać do college'u.

OKO KAMERY (45)

wąski żółty pokój brzęczy gwarem pod niskim sufitem falujące macki dymu z papierosów wiją się niebiesko i rozplývają koło nosów za uszami pod rondami damskich kapeluszy w figlarnych spojrzeniach zmiennym układzie warg podrzucie grzywki mądrym wiem-wiem zmarszczek koło oczu w tych wszystkich twarzach takich oskrobanych wylizanych wygładzonych zrobionych szminką różem kremem brzytwą pod określony szablon który mówi

ta kobieta o ciepłym głosie która się snuje tam i z powrotem z gardłowym śmiechem głową lekko odrzuconą do tyłu rozdzielając z drwiącymi spojrzeniami role w cocktailowym dramacie każdego do odpowiedniej szufladki osobowość musi być starannie wymalowana na twarzy dla łatwiejszego rozpoznania przypina każdemu z nas etykietkę dzisiaj wyznacza jutro

Dziękuję bardzo ale dlaczego ja? Taki nieśmiały? A więc do widzenia

zręcznie sięgnąć po stary brązowy kapelusz pocziwie rzucony na krześle koło drzwi

alkoholicznie klaskające głosy cichną za drzwiami nawet w tej starej murowanej kamienicy czynszowej podrobionej zieloną farbą pomarańczowymi świecami i lekkobarwionym tynkiem na Greenwich Village schody biegną w górę i w dół

prowadzą korytarzem mierzonym dzwonekami nazwiskami za którymi się kryją losy nierozwikłana płatanina

na zadeszczoną dwukierunkową ulicę na której ślizgają się taksówki ciężko pluszczą kroki skośne światła połyskują na łuku mokrego policzka na świeżych wargach na przemokniętym kołnierzu na szerniałej gruzłowej dłoni na przekrwionym oku starca

ulicę dwukierunkową do rogu tętniącej alei gdzie w zaśpiewie deszczu i w hałasie cztery strony świata

(słony w nas wszystkich ocean protoplazma pulsująca w komórkach rosnąca dzieląca się rozmnażająca w miriady rozmaitych jeszcze nie nazwanych jeszcze nie zaszufladkowanych

zawsze przesypujących się przez palce

zmiennych różnorodnych losów)

wprawiają kompas w zawrotny wir

MARY FRENCH

Przez kilka tygodni, przebiegając koło tablicy ogłoszeniowej w Domu Hulla, Mary zatrzymywała wzrok na zapowiedzi odczytu: "15 maja G.H. Barrow <<Europa: Problemy odbudowy powojennej>>". Nazwisko coś jej mgliście przypominało, ale dopiero ujrawszy go zorientowała się, że to ten miły chudy prelegent z czerwoną twarzą, który owej zimy mówił w Vassar, jak to robotnicy nie dopuszczą do wplątania Ameryki w wojnę. Miał ten sam niepewny szczery głos, tak samo czasami się lekko zacinał na początku zdania, tak samo swobodnie spacerował po całej sali albo siadał na stole koło karafki z wodą, z nogą założoną na nogę. Na przyjęciu po odczycie Mary nie zdradziła się przed nikim, że go zna. Kiedy ich przedstawiono, była uszczęśliwiona, że mu może udzielić potrzebnych informacji o szansach zdemobilizowanych żołnierzy dostania pracy w rejonie Chicago. A już nazajutrz o mało nie wyskoczyła ze skóry, gdy ją zawołano do telefonu i w słuchawce odezwał się głos pana Barrowa, który spytał, czyby mu nie mogła poświęcić godzinki po południu, bo go proszą o garść nieoficjalnych danych dla pewnej instytucji w Waszyngtonie.

- Rozumie pani, pomyślałem sobie, że od pani będę się mógł dowiedzieć prawdziwych faktów, bo ma pani na co dzień styczność z prostymi ludźmi.

Mary odparła, że będzie zachwycona, on zaś spytał, czy może się z nim spotkać o piątej w hallu Audytorium*. Już o czwartej Mary ondulowała włosy w swoim pokoiku na górze, zastanawiając się, jaką włożyć sukienkę i czy iść w okularach. Pan Barrow jest taki miły.

Mieli bardzo ciekawą rozmowę o sytuacji na rynku pracy, która nie kształtowała się bynajmniej różowo, a gdy na zakończenie pan Barrow ją spytał, czyby z nim nie zjadła kolacji w małej włoskiej restauracyjce na Pętli*, odparła bez zająknięcia, że i owszem, chociaż nie była z mężczyzną w restauracji od wyjazdu z Colorado Springs po śmierci tatka przed trzema laty. Nie wiedzieć czemu czuła się, jakby znała pana Barrowa od niepamiętnych czasów.

Mimo wszystko była lekko zaskoczona podejrzanym lokalikiem z trocinami na podłodze, dokąd ją zabrał. Na domiar złego podawano tu trunki i pan Barrow zdawał się przekonany, że Mary zamówi cocktail. Sam

wypił parę cocktaili, po czym zamówił wino. Mary odmówiła cocktailu, umoczyła jednak kilka razy wargi w winie, żeby się nie wydawać zbyt staromodną.

- Przyznaję - powiedział pan Barrow - dobiegłem wieku, w którym trzeba się trochę napić dla odprężenia i zapomnienia o pracy. To było wspaniałe za oceanem, że się piło wino do posiłków. Oni tam, w Europie, umieją korzystać z życia.

Zjedli na deser spumoni*, po czym pan Barrow zamówił sobie brandy, Mary zaś piła gorzką czarną kawę i tak siedząc w dusznej gwarnej restauracyjce, pachnącej czosnkiem, kwaśnym winem, sosem pomidorowym i trocinami, gadali zapomniawszy o czasie. Mary powiedziała, że podjęła pracę społeczną, żeby mieć kontakt z prawdziwym życiem, ale teraz czuje się taka wprzęgnięta w instytucjonalne tryby, taka stłamszona, że często się zastanawia, czy nie lepiej by zrobiła zgłaszając się na wyjazd za morze z Czerwonym Krzyżem albo Przyjacielską Brygadą Odbudowy*, jak zrobiło wiele dziewcząt. Cóż, kiedy tak nienawidzi wojny, że nie chciała do niej przykładać ręki nawet w najbardziej pokojowej formie. Gdyby była mężczyzną, wie, że by się zadeklarowała jako oponent moralny*.

Pan Barrow się skrzywił, odchrząknął.

- Przypuszczam, że działali w dobrej wierze, ale z gruntu się mylili i mają to, na co zasłużyli.

- Tak pan uważa?

- I owszem, moja droga, tak uważam. Teraz możemy żądać wszystkiego i nikt nam niczego nie odmówi, ani minimalnych płac, ani zakazu zatrudniania niezwiązkowców, ani ośmiogodzinnego dnia pracy. Ale było to dla mnie ciężkie przeżycie, kiedy z tego powodu się poróżniłem ze starymi przyjaciółmi. Zupełnie opacznie sobie tłumaczono moje stanowisko w niektórych kręgach.

- Nie może pan chyba uważać za słuszne takich drakońskich wyroków sądowych?

- To tylko dla odstraszenia innych. Zobaczysz, moja panienko, zaczną ich niedługo wypuszczać z więzień, jak trochę przycichnie huczek. Lada dzień oczekuje się ułaskawienia Debsa.

- No, mam nadzieję - rzekła Mary.

- Biedny Debs - westchnął pan Barrow - jednym fałszywym krokiem zburzył dzieło całego życia. Ale to człowiek wielkiego serca, największego serca na świecie.

Zaczął jej opowiadać o dawnych czasach, kiedy był kolejjarzem, potem agentem spedycyjnym w Południowym Chicago i jak mu powierzono interesy komórki związkowej, jak pracował w Bractwie Maszynistów Kolejowych, z jakim trudem zdobywał wykształcenie i jak nagle, gdy już po trzydziestce przygotowywał w Nowym Jorku serię artykułów do "Evening Globe'u", zdał sobie sprawę, że nie ma kobiety, nie umie korzystać z życia i w ogóle nic nie wie o tych wszystkich sprawach, które im tam za oceanem przychodzą tak naturalnie, zresztą Meksykanom tutaj także. Ożenił się lekkomyślnie, wplątał w historię z chórzystką, potem pewna kobieta przez pięć lat czyniła z jego życia piekło, a teraz, kiedy z tym wszystkim zerwał, coraz dotkliwiej odczuwa samotność, może dlatego że się starzeje, i marzy o czymś trwalszym niż te wszystkie przygodne miłości mężczyzny, który jeździ samotnie w różnych misjach do Meksyku, Włoch, Francji czy Anglii, drobne incydenty międzynarodowe, jak je określił z uśmiechem na cienkich wargach, owszem, na krótko nawet przyjemne awanturki, które jednak prędkiej czy później obracają się w proch i pył. Ma się rozumieć, nie uznaje burżuazyjnej moralności, ale od kobiety oczekuje zrozumienia i płomiennej przyjaźni.

Mówiąc wysuwał koniuszek języka przez szeroką szparę pośrodku górnych zębów. Po jego oczach Mary widziała, ile w życiu wycierpiał.

- Oczywiście, ja też nie uznaję konwencjonalnego małżeństwa - powiedziała.

Wybuchnął wówczas, że jest taka świeża, młoda, urocza, pełna entuzjazmu, o takiej kobiecie marzył całe życie. Język zaczynał mu się lekko plątać, więc Mary uznała, że najwyższy czas wracać do Domu Hulla, tym bardziej że musi tak wcześnie wstawać. Kiedy wsiedli do taksówki, wtuliła się w najdalszy kąt kanapki, ale pan Barrow zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, chociaż potem niezbyt pewnie trzymał się na nogach, gdy wysiadł się z nią pożegnać.

Od tego wieczora praca w Domu Hulla wydawała się Mary coraz to gorszą pańszczyzną, szczególnie że George Barrow, który objeżdżał kraj z odczytami w obronie polityki prezydenta, pisał do niej parę razy tygodniowo. Odwzajemniała mu się dowcipnymi liścikami, strojąc żarty ze starych panien w Domu Hulla i zapowiadając, że niedługo, czuje to już w kościach, weźmie rozbrat z tą instytucją, tak jak wzięła z Vassarem. Koleżanki z Domu Hulla zaczęły zwracać uwagę, jak ładnie wygląda, odkąd onduluje sobie włosy.

Tego roku na wakacje Mary miała się wybrać w czerwcu z Cohnami do Michiganu, lecz kiedy nadeszła pora wyjazdu, zdecydowała, że potrzebuje radykalnej odmiany, i popłynęła "Northlandem" przez Wielkie Jeziora aż do Clevelandu, gdzie się najęła do pracy jako bufetowa w jadalni Eureka na Lakeside Avenue koło dworca. Praca okazała się diabło ciężka. Właścicielem był gruby Grek, który miał zwyczaj przechadzać się za kontuarem i podszczypywać obsługujące dziewczęta po tyłkach. Koleżanki różowały się i szminkowały, dokuczały Mary, chichotały po kątach opowiadając sobie nawzajem o swoich kawalerach albo wymieniając słone kawały z chłopcami, którzy sprząтали naczynia. Wieczorem Mary miała rwący ból w podbiciu stóp po całodziennym staniu, a w głowie wirowały jej twarze, natarczywe usta, przenikliwe oczy przesuwające się

przed kontuarem w godzinach największego ruchu jak paciorki na sznurku. W nocy nie mogła spać na skrzypiącym mosiężnym łóżku w wielkiej złotoceglanej kamienicy z pokojami umeblowanymi, do której ją skierowała dziewczyna poznana na parowcu, i nie mogła się uwolnić od restauracyjnego fetoru zimnego tłuszczu i pomyj. Leżała przestraszona i samotna nasłuchując, jak za cienkimi ściankami wiercą się na łóżkach inni lokatorzy, jak biegają do ubikacji, jak trzaskają drzwiami w hallu.

Przepracowawszy w garkuchni dwa tygodnie poczuła, że nie wytrzyma ani minuty dłużej, rzuciła wszystko i wzięła pokój w śródmiejskiej Ywce*, gdzie byli dla niej bardzo mili, gdy usłyszeli, że jest z Domu Hulla. Pokazali jej listę instytucji dobroczynnych, w których mogłaby się dowiedzieć o pracę społeczną, ale odrzekła, że nie, musi wreszcie zakosztować prawdziwej harówki w fabryce, wsiadła w pociąg i pojechała do Pittsburgha, gdzie знаła dziewczynę, która była pomocnicą bibliotekarki w Instytucie Carnegiego*.

Zbliżyli się do Pittsburgha późnym letnim popołudniem. Jadąc przez most Mary ujrzała po raz pierwszy kłębowisko stalowych dymów buchających z kominów rozrzuconych wśród płataniny dźwigarów i budowli z blachy falistej nad rzeką w promieniach niskiego słońca rozkwitającego różem i amarantem. Po chwili wysiadła z wagonu w ciemnobrązowy mrok stacji, z walizką wrzynającą się w dłoń. Z brudnej budki cuchnącej cygarami zatelefonowała do znajomej dziewczyny.

- Mary French, to cudownie! - rozległo się w słuchawce komiczne gruchanie Lois Speyer. - Załatwię ci tu pokój u pani Gansemeyer, przyjeżdżaj na kolację. To rodzaj pensjonatu, zresztą sama zobaczysz. Ale nie mieści mi się w głowie, żeby dziewczyna przy zdrowych zmysłach przyjeżdżała na wakacje do Pittsburgha. Mary poczuła, jak się czerwieni i jąka, choć jest sama w budce telefonicznej.

- No, ch-chciałam po prostu poznać coś nowego ze względu na moje zainteresowania społeczne.

- Moja droga, tak przyjemnie będzie wreszcie mieć do kogo otworzyć usta, że mniejsza o to, czy jesteś przy zdrowych zmysłach. Ale chyba sobie nie wyobrażasz, że do pracy przy piecach martenowskich przyjmują absolwentki Vassaru?

- Nie jestem absolwentką Vassaru! - krzyknęła Mary do słuchawki czując, jak wzbierające łzy pieką jej oczy. - Jestem zwykłą czarnoroboczą dziewczyną. Trzeba było widzieć, jak harowałam w tej garkuchni w Cleveland.

- No, to przyjeżdżaj szybko, kochana. Zostawię ci kolację.

Jazda tramwajem trwała wieki. Pittsburgh był rzeczywiście ponury. Następnego dnia Mary obesła biura zatrudnienia kilku spółek hutniczych. Wszędzie patrzyli na nią diablo dziwnie, gdy mówiła, że była pracownicą społeczną. Nic z tego, nie potrzebują w tej chwili urzędniczek ani sekretarek. Potem trawiła dni nad gazetami odpowiadając na inseraty o wolnych posadach. Lois Speyer śmiała się z niej na swój melancholijno sarkastyczny sposób, gdy Mary musiała ostatecznie przyjąć posadę reporterki, którą Lois jej załatwiła dzięki znajomości z dziewczyną prowadzącą rubrykę towarzyską w "Times-Sentinel".

Dobiegało sierpnia powolne pittsburskie lato, gorące i duszne od czadu, dławiące wyziewami wielkich pieców, walcowni i konwektorowni zalegającymi w wąskich zadymionych łożyskach rzek, które się zlewały w kształt litery Y, gdy w redakcji zaczęto przebąkiwać, że do hut przeniknęli czerwoni agitatorzy. W gabinecie naczelnego coraz częściej urzędował niejaki pan Gorman, zawsze z cygarem w zębach, uważany za jednego z głównych funkcjonariuszy Biura Shermana. Gazeta jeła się wypełniać wiadomościami o zamieszkach wśród cudzoziemców, o rosyjskich bolszewikach, nacjonalizacji kobiet, kłęsce Lenina i Trockiego. Wreszcie pewnego popołudnia na początku września pan Healy wezwał Mary do swego prywatnego gabinetu i wskazał jej krzesło. Gdy na dobitkę wstał i zamknął starannie drzwi, myślała przez chwilę, że jej zrobi nieprzystojną propozycję. On jednak odezwał się na swój zmęczony ojcowski sposób:

- Panno Mary, chcę pani powierzyć pewną misję, ale tylko pod warunkiem, że pani jej się podejmie z prawdziwym przekonaniem. Sam mam córkę i chciałbym, żeby wyrosła na taką miłą, prostą, dobrze ułożoną dziewczynę jak pani. Słowo honoru, gdybym uważał, że jest w tym coś uwłaczającego, nigdy bym pani tego nie zaproponował, może mi pani wierzyć. Jesteśmy gazetą stricte rodzinną, zostawiamy brukowcom wszystkie te mocne numery. Wie pani, najdrobniejsza notatka nie przechodzi przez moje biurko, żebym nie myślał o żonie i córce. Czybym chciał, żeby to przeczytały?

Ted Healy był postawnym tęgim czarnowłosym mężczyzną o po-dłużnych szarych oczach jak u wążka.

- Co to za historia, panie redaktorze? - spytała niecierpliwie Mary; była przekonana, że chodzi o handel żywym towarem.

- Wie pani, ci cholerni agitatorzy próbują wywołać strajk. Mieli czelność otworzyć w mieście biuro informacyjne. Boję się tam posłać kogoś z chłopców, mógłby podpaść tym gorylom. Wcale mi się nie uśmiecha zamordowany reporter na pierwszych stronach gazet. Co innego, gdyby poszła pani. Rozumie pani, nie pracuje pani w gazecie, jest pani społecznicą i chce poznać obie strony medalu. Takiej słodkiej dziewczynie o niewinnym wyglądzie nie może się nic złego przydarzyć. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o ludziach, którzy w tym maczają palce. W jakiej części Rosji się urodzili? Jak się przeszwarzowali do Ameryki? Kto ich finansuje? Ile razy byli karani? Niech pani wygrzebie, co się tylko da. Będzie prima artykuł do numeru niedzielnego.

- To wspomniały temat. Ogromnie mnie interesują stosunki w przemyśle. Ale nie uważa pan, panie

redaktorze, że warunki w hutach pozostawiają wiele do życzenia?

Pan Healy poderwał się z miejsca i zaczął krążyć wielkimi krokami po gabinecie.

- Mam o tym wiadomości z pierwszej ręki. Te głupie barany zarabiają więcej niż kiedykolwiek w życiu. Kupują akcje, pralki, jedwabne pończochy dla żon, posyłają pieniądze rodzicom. Kiedy nasi chłopcy narażali życie w okopach, oni zajmowali wszystkie najlepsze posady, a w większości są cudzoziemcami i wrogami. Świetnie się jolopom powodzi, niech pani sobie to zapamięta. Jednej rzeczy nie mogą tylko kupić, rozumu. Dlatego właśnie idą na lep agitatorów. Ci dranie władają ich językiem i wbijają im do głowy bzdurne teorie, że wystarczy porzucić pracę, żeby zawładnąć Ameryką, z której myśmy uczynili najpotężniejszy kraj świata. Trudno nawet mieć za złe tym durniom, że w to wierzą, są po prostu ciemni. Ale ci czerwoni, którzy wykorzystują gościnność naszego kraju, żeby siać swoją diabelską propagandę... Dobry Boże, wybaczyłbym im, gdyby to robili z przekonania, ale oni to robią dla forsy, jak wszyscy. Mam niezbite dowody, że są oplacani przez bolszewików pieniędzmi i kosztownościami zrabowanymi w Rosji. A i tego im jeszcze mało, wyciskają ostatnie centy z tych biednych ciemniaków. Nie ma dwóch zdań, kulka w łeb byłaby dla nich za dobra.

Ted Healy poczerwieniał cały na twarzy. Do gabinetu wpadł z wielkim plikiem odbitek chłopak w zielonej umbrelce na czole. Mary wstała.

- Zaraz się do tego zabieram, panie redaktorze - powiedziała.

Wysiadła z tramwaju na niewłaściwym rogu i musiała się piąć po nierównym chodniku szeroką stromą ulicą brukowaną kocimi łbami, z rzędem tandetnych sklepików, bilardziarni, razur i włoskich restauracyjek, w których podawano spaghetti. Porywisty wiatr niósł piasek, pakuły, stare papiery. Przed nie malowaną bramą stali grupkami po trzech, czterech mężczyźni o cudzoziemskim wyglądzie i rozmawiali przyciszonymi głosami. Nim Mary się zdobyła na odwagę, by wejść po długich karkołomnych brudnych wąskich schodach, przez dobrą chwilę oglądała witrynę fotografa z kolorowanymi powiększeniami niemowląt o różowych policzkach, grup rodzinnych i par nowożeńców sztywnych jak kije. Na górze zatrzymała się w zaśmieconym korytarzu. Z pokojów po obu stronach dochodził stukot maszyn do pisania i perorujące głosy. W półmroku wpadła na jakiegoś młodego człowieka.

- Dzień dobry - powiedział szorstkim głosem, który jej się spodobał. - To pani jest tą dziewczyną z Nowego Jorku?

- Niezupełnie. Jestem z Colorado.

- Bo miała z Nowego Jorku przyjechać jakaś dziewczyna, żeby nam zrobić trochę reklamy. Myślałem, że to może pani.

- Nie, ale przyszłam po to samo.

- Niech pani wejdzie. Nazywam się Gus Moscowski. Jestem tu czymś w rodzaju chłopca na posyłki.

Otworzył przed nią jedne z drzwi, prowadzące do zakurzonego pokoiku zawalonego stosami gazet i wielkim stołem pokrytym wycinkami, przy którym siedziało dwóch młodych okularników w koszulach.

- To chłopcy, którzy tu mają decydujący głos -- oznajmił. Przez cały czas rozmowy z siedzącymi mężczyznami Mary nie mogła oderwać oczu od Gusa. Miał krótko strzyżone blond włosy, bardzo niebieskie oczy i wygląd wyrośniętego niedźwiadka w tanim szarszowym ubraniu wyświeconym na łokciach i kolanach. Dwaj młodzi ludzie tak grzecznie odpowiadali na jej pytania, że chcąc nie chcąc przyznała się, iż ma napisać artykuł do niedzielnego numeru "Timesa-Sentinela". Wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Ależ pan Healy chce mieć obiektywny zrównoważony obraz - broniła się. - Uważa, że robotnicy zostali po prostu wprowadzeni w błąd.

Mimo woli sama się roześmiała.

- Gus - powiedział starszy z mężczyzn - oprowadź panią trochę, pokaż jej kilka widoczków. A co do Teda Healy'ego, to musiał chyba stracić rozum. Na początek, oto jak przyjaciele pana Healy'ego rozprawili się z Fanny Sellers*.

Mary nie mogła patrzeć na fotografię, którą jej podetknął pod nos.

- Co ona zrobiła?

- Próbowała organizować klasę robotniczą. To najcięższa zbrodnia w tym kraju.

Mary z ulgą znalazła się znowu na ulicy. Musiała prawie biec obok Gusa Moscowskiego, który sadył wielkimi krokami uśmiechając się do niej szeroko.

- Przede wszystkim pokażę pani, jak się żyje zarabiając czterdzieści dwa centy na godzinę. Szkoda, że pani nie umie po polsku. Ja sam jestem parszywym Polakiem.

- Ale urodził się pan chyba w Ameryce?

- Jasne, skończyłem nawet gimnazjum. Jak mi się uda zdobyć trochę floty, to zacznę się uczyć na inżyniera w Instytucie Carnegiego. Sam nie wiem, po kiego licha trzymam z tymi nieszczęsnymi Polaczkami.

Mówiąc to zajrzał jej w oczy i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Mary odpowiedziała mu uśmiechem.

- Ja wiem, czemu - odrzekła.

Zrobił ruch łokciem, gdy skręcali za róg, koło grupki obdartych dzieci, które lepiły babki z błota. Były to blade wątle brudne berbecie z podkrążonymi oczami. Mary odwróciła wzrok, ale i tak widziała, jak przedtem fotografię zabitej kobiety z wklęsniętą czaszką.

- Niech się pani dobrze przyjrzy kloaczemu życiu w kraju nieograniczonych możliwości.

Gdy tego wieczora wysiadła z tramwaju przy rogu najbliższym pani Gansemeyer, uginały się pod nią nogi i bolał ją krzyż. Poszła prosto na górę i położyła się od razu do łóżka. Była zbyt skonana, żeby jeść lub siedzieć i słuchać sarkastycznych ploteczek Lois Speyer. Długo nie mogła zasnąć. Leżała na zapadającym się łóżku i słuchała głosów pensjonariuszy, którzy rozmawiali bujając się na werandzie pod oknami, pogwizdywania lokomotyw i stukotu wagonów towarowych przetaczanych w dolinie, ale wciąż widziała dziurawe wykoślawione pantofle, spracowane ręce założone na brudnych fartuchach i ostre niespokojne spojrzenia paciorkowatych oczu kobiet, pod nogami czuła karkołomne chwiejne schodki biegnące zygzakami w górę i w dół czarnych i gołych jak hałdy wzgórz, na których mieszkali hutnicy w stłoczonych budach i długich szeregach przeżartych dymem domów z surowych desek, a w nozdrzach wiercił ją fetor koślawych wygódek i kuchni pełnych zaduchu kapusty, gotującej się bielizny, nie mytych dzieci i suszących się pieluszek. Zasypiała i budziła się nagle, z brzmieniem ciepłego stanowczego głosu Gusa Moscovskiego w uszach i ciałem zelektryzowanym od jego kosmatoniedźwiedziego dotyku, gdy się o nią ocierał ramieniem albo podtrzymywał ją wielką silną dłonią w miejscach, gdzie brakowało drewnianych schodków i zaczynała się osuwać po ruchomym łupkowym zboczu. Zapadłszy w końcu w twarde sen, śniła dalej o nim. Obudziła się wcześniej, szczęśliwa, że go zobaczy zaraz po śniadaniu.

Po południu wróciła do redakcji napisać artykuł. Zgodnie z poleceniem Teda Healy'ego zamieściła w nim wszystko, czego udało jej się dowiedzieć o chłopcach prowadzących biuro informacyjne. Miejscem najbliższym Rosji, z jakiego którykolwiek z nich pochodził, było Canarsie na Long Island. Starła się pokazać obie strony medalu, nazwała ich nawet "być może otumanionymi".

W chwilę po dostarczeniu artykułu redaktorowi numeru niedzielnego wezwano ją do działu miejskiego. Ted Healy siedział w zielonej umbrelce, pochylony nad zwojem odbitek szczołkowych. Na stercie papierów koło jego łokcia Mary zauważyła swój artykuł. Ktoś nagryzmolił na nim czerwonym ołówkiem: "Co wy mi tu próbujecie wtrącić?"

- Moja panienko - powiedział Ted Healy nie podnosząc wzroku znad papierów - napisała pani pierwszorzędny artykuł propagandowy do "Narodu"* albo jakiegoś podobnego lewicującego piśmka w Nowym Jorku, ale co, u licha, ja mam z tym zrobić? Tu jest Pittsburgh. - Podniósł się zza biurka, wyciągnął do niej rękę. - Do widzenia, panno French. Żałuję, że nie mam dla pani zatrudnienia, bo jest pani diabelnie inteligentną dziewczyną, a o inteligentne reporterki niełatwo. Zlecenie wypłaty posłałem już do kasy.

Dopiero na ulicy Mary zdążyła ochłonąć. W torebce miała wynagrodzenie za tydzień ekstra - stary Ted Healy znalazł się na koniec nadspodziewanie przyzwoicie. Lois Speyer zrobiła wielkie oczy, gdy Mary jej wieczorem powiedziała, że została wylana z pracy, a gdy jeszcze dodała, że się zgodziła do biura informacyjnego Zjednoczonego Związku Hutników, Lois wybuchnęła płaczem.

- Mówiłam, że postradałaś zmysły, i miałam rację. Teraz jedna z nas musi się wyprowadzić od pani Gansemeyer. Nie będę się mogła więcej z tobą pokazywać. -- Śmiechu warte, Lois.

- Nie znasz Pittsburgha, moja droga. Osobiście nie wadzą mi ci strajkujący nieszczęśnicy, ale za żadne skarby nie mogę stracić posady. Przecież wiesz, muszę posyłać pieniądze do domu. Zaczynałyśmy się akurat tak świetnie bawić, a ty wzięłaś i wszystko popsułaś.

- Inaczej byś śpiewała, gdybyś widziała to co ja - odparła Mary zimno.

Od tej pory nie przyjaźniły się już nigdy tak jak dotąd. Gus Moscovski znalazł jej pokój z ciężkimi koronkowymi firankami w domu polskiego sklepikarza, krewnego jego ojca. Odprowadzał ją uroczyście do domu, kiedy wieczorem siedzieli długo w biurze, a zawsze siedzieli długo. Mary nie pracowała tak ciężko nigdy w życiu. Pisała komunikaty dla prasy, sporządzała statystyki dotyczące przypadków gruźlicy, niedożywienia dzieci, warunków sanitarnych i przestępczości, tłukła się tramwajami podmiejskimi i powolnymi pociągami osobowymi do Rankin, Braddock, Homestead i Bessemer, a czasami nawet aż do Youngstown, Steubenville i Gary, robiła notatki z przemówień Fostera* i Fitzpatricka*, widziała rozpędzanie mityngów i konnych policjantów w ciemnoszarych uniformach posuwających się szeregiem po nie brukowanych uliczkach domków towarzystw hutniczych, pałujących bez wyboru kobiety i mężczyzn, kopiących dzieci, które im się nawinęły pod nogi, przepędzających starców z ganków.

- I pomyśleć - mówił Gus o policjantach - że sukinsyny są w większości takimi samymi parszywymi Polakami. Czy to nie typowe dla Polaczków?

Mary prowadziła rozmowy z dziennikarzami z metropolii, trawiła długie godziny na czarowaniu korespondentów Associated Press i Unitek Press, żeby podawali prawdziwe relacje, wygładzała angielszczyznę ulotek przeznaczonych do druku. Ani się spostrzegła, jak zleciała jesień. Zjednoczony Związek stać było na pokrywanie tylko najniezbędniejszych wydatków, ubranie Mary przybierało coraz bardziej opłakany wygląd, na głowie nie miała już ani jednego loka, nocami nie pozwalało jej spać wspomnienie rzeczy, które widziała, aresztowań, potłuczonych czaszek, zdewastowanych saloników ubogich rodzin, z wypatroszoną kanapą, połamanymi krzesłami i kredensem z porcelaną porąbanym toporkiem przez policjantów, którzy przyszli szukać "bibuły". Z ledwością się poznawała, gdy ubierając się rano spoglądała w pośpiechu w zielonocętkowane lustro w poślacanej ramie nad umywalką. Miała wymizerowaną zaciętą twarz,

zaczynała się upodabniać do strajkujących robotników.

Nie poznawała się również, gdy głos Gusa przejmował ją zimnym dreszczem, a jej dobre albo złe samopoczucie zależało od tego, czy ją powitał danego dnia z uśmiechem. Było to zupełnie niepodobne do niej, by ilekroć miała przez moment swobodną głowę, wyobrazić sobie, że się do niej zbliża, obejmuje ją potężnymi twardymi ramionami, nachyla wargi. Za każdym razem, gdy ją to nachodziło, musiała zamknąć oczy i czuła, jak wszystko zaczyna przed nią zawrotnie wirować. Siłą woli unosiła powieki, rzucała się śpiesznie do maszyny i pisząc odzyskiwała po chwili chłodną trzeźwość.

W dniu, w którym po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że lepiej płatni robotnicy skapitulują i źle płatni przegrają strajk, nie miała odwagi spojrzeć Gusowi w oczy, kiedy przyszedł ją odprowadzić do domu. Był parny dżdżysty wieczór, zupełnie nie pasujący do listopada. Szli w milczeniu ulicą, gdy mgła w stronie hut zabłysła nagle czerwienią.

- Pracują - powiedział Gus.

Łuna coraz to potężniała, najpierw różowa, później pomarańczowa. Mary bez słowa pokiwała głową.

- Co można poradzić, jak sami robociarze nie potrafią trzymać sztamy. Każdy parszywy imigrant uważa, że wszyscy, którzy przyjechali z innych krajów, są od niego gorsi, a cholerni Amerykańcy uważają wszystkich oprócz siebie za przybłędów. Nie pamiętają, że sami nie tak dawno byli w tym kraju nieproszonymi gośćmi. Rany Chrystusa, sam nie wiem, czemu trzymam z tą bandą ćwoków.

- Gus, co zrobisz, jeśli przegramy strajk? Mam na myśli ciebie osobiście.

- Wyląduję na czarnej liście jak amen w pacierzu. Nie dostanę nigdy pracy w hutnictwie, choćbym był ostatnim człowiekiem na ziemi. Diabli wiedzą. Chyba zmienię nazwisko i zaciągnę się do marynarki. Podobno tam można się dobić prawdziwej edukacji.

- Nie powinniśmy o tym pewnie mówić. Ja też nie wiem, co zrobię.

- Ty możesz pojechać, gdzie chcesz, wszędzie dostaniesz pracę w gazecie tak jak tutaj. Ba, gdybym ja był taki edykowany jak ty! Pewno kamień ci spadnie z serca, jak się wreszcie odczepisz od tych śmierdzących przybłędów.

- To jest klasa robotnicza, Gus.

- Jasne! Żebyśmy tylko mieli trochę więcej oleju w łepetynach. Wiesz, że mój rodzony braciszek jest do dziś dnia łamistrajkiem?

- Może musi myśleć o żonie i dzieciach.

- Już ja bym mu wybił te myśli z głowy, gdybym go tylko dostał w łapy. Robociarz nie ma prawa do zakładania rodziny.

- Ale może mieć dziewczynę...

Głos jej się załamał. Serce tłukło jej się tak mocno w piersi, że strach ją zdjął, czy Gus nie usłyszy jego bicia, gdy tak koło niego szła nierównym chodnikiem.

- Dziewczyn jest na pęczki. - Gus się roześmiał. - Polskie dziewczyny są niezależne i łatwe. To jedyna dobra strona.

- Chciałabym... Jej głos zabrzmiał obco.

- No, to dobranoc. Wyglądasz, jakbyś była na ostatnich nogach.

Klepnął ją po ramieniu, odwrócił się i odszedł swoim długim posuwistym krokiem. Mary została pod drzwiami swego domu. Znalazłszy się w swoim pokoju rzuciła się na łóżko i rozplakała.

Parę tygodni później Gus Moscowski został aresztowany w trakcie rozdawania ulotek w Braddock. Była świadkiem, jak go doprowadzono przed sędziego pokoju i w brudnej sali sądowej, pełnej szarych uniformów policji stanowej, skazano na pięć lat więzienia. Rękę miał na temblaku, na konopnej szczecinie z tyłu głowy strup zakrzepłej krwi. Kiedy jego niebieskie oczy wyłowiły jej wzrok w tłumie, posłał jej szeroki uśmiech i wesoły gest wielkiej dłoni.

- Więc to tak? - warknął jej nad uchem jakiś głos. - Ale teraz koniec, mała, nie będziesz miała więcej pożytku z tego kutasa.

Po jej obu bokach wyrosli postawni szarzy policjanci. Wywlekli ją z sądu i poprowadzili do pittsburskiego tramwaju. Nie odzywała się słowem, ale nie mogła pohamować łez. Nie mieściło jej się w głowie, żeby mężczyźni tak się zwracali do kobiety.

- No już, przestań się wściekać, my ze Stevem jesteśmy dwa razy takie chlopy. A swoją drogą powinnaś była mieć tyle oleju w głowie, żeby nie rozkładać nóg dla takiego bandziora.

W końcu nadszedł tramwaj i policjanci wsadzili ją do środka z ostrzeżeniem, że jeśli jeszcze raz ją tu zobaczą, to ją aresztują za uprawianie nierzędu. Gdy wóz ruszał, widziała, jak się odwracają rechocząc i klepiąc się nawzajem po plecach. Siedziała skulona w tyle wozu, z martwą twarzą i żołądkiem podchodzącym do gardła. Ale w biurze powiedziała tylko, że gliny ją wyrzuciły z sądu.

Kiedy się dowiedziała, że do miasta przyjechał z Senacką Komisją Śledczą George Barrow, poszła się niezwłocznie z nim zobaczyć. Czekala na niego w hallu hotelu Schenley. Cichy wieczór zimowy był solidną bryłą czarnego stalowego mrozu. Mary drżała w cienkim paltociku. Padała ze zmęczenia. Zdawało jej się, że nie spała od tygodni. W wielkim cichym hallu hotelowym było ciepło, przez cienkie tekturowe podeszwy

czuła miękki włos dywanu. Gdzieś w hotelu grano widać w brydża, bo przez hall przesuwały się grupki wystrojonych pań nie pierwszej młodości, które jej przypominały matkę. Mary osunęła się w głęboki fotel przy radiatorze i od razu zaczęła zapadać w drzemkę.

- Moja biedna dziewczyneczka, taka spracowana. To już nie społecznictwo w Domu Hulla, co?

Otworzyła oczy. George miał na sobie pelisę z futrzanym kołnierzem, jego cienka szyja i długa sękata twarz sterczały z futra jak głowa marabuta. Mary wstała.

- A, pan Barrow... Chciałam powiedzieć, George.

Ujął jej rękę w lewą dłoń, prawą poklepał ją delikatnie po wierzchu.

- Tak, teraz wiem, jak wygląda życie na pierwszej linii frontu - odrzekła i roześmiała się z jego pocziwego komicznego wyglądu.

- Śmiejesz się z mojego futra? A co z tego przyjdzie Związkowi, jeśli się nabawię zapalenia płuc? Ale czemu ty nie masz ciepłego płaszcza? Słodka mała Mary French. Osoba, którą właśnie chciałem zobaczyć. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że pójdziemy na górę do mojego pokoju? Nie lubię tutaj rozmawiać, za wiele niepożądanych uszu.

Na górze w ciepłym kwadratowym pokoju z różowymi zasłonami i lampami pomógł jej zdjąć płaszczy. Z zafrasowaną miną zważył go w dłoni.

- Musisz koniecznie mieć ciepły paltot - powiedział.

Zamówiwszy dla niej u kelnera herbatę, dość ostentacyjnie zostawił otwarte drzwi na korytarz. Usiedli po dwu stronach małego stoliczka w nogach łóżka, które było całe zasłane gazetami i kartkami maszynopisu.

- Tak, tak, tak - powiedział. - To wielka radość dla takiego starego mamuta, jak ja. Co byś powiedziała na obiad w towarzystwie senatora? Zobaczyłabyś, jak żyje druga połowa społeczeństwa.

Gadali i gadali. Co jakiś czas George dolewał jej do herbaty odrobinę whisky. Był bardzo ojcowski, zapewniał, że chłopców będzie można wyciągnąć z więzienia, jak tylko strajk się skończy, a właśnie się kończy. Przyjechał dopiero co z Youngstown, gdzie konferował z Fitzpatrickiem, i uważa, że go chyba przekonał, iż strajkującym nie pozostaje nic innego jak powrócić do pracy. Ma prywatne zapewnienie samego sędziego Gary'ego, że nikt nie będzie dyskryminowany i że eksperci już pracują nad kwestią ośmiogodzinnego dnia roboczego. Trzeba jeszcze tylko przezwyciężyć pewne trudności techniczne, a cała sytuacja życiowa hutników ulegnie radykalnej poprawie. Zaproponował, że z miejsca wciągnie Mary na listę płacy komisji jako swoją sekretarkę. Powtarzał, że jej znajomość rzeczywistych warunków byłaby nieoceniona w kształtowaniu ustawodawstwa. A jeśli wielki wysiłek wyzyskiwanych hutników nie ma pójść na marne, to musi być ujęty w literę prawa. Polem walki będzie teraz Waszyngton. On osobiście uważa, że sprawa dojrzała w senacie. Mary odparła, że dla niej ważniejsze są zobowiązania wobec komitetu strajkowego.

- Ależ moje drogie dziecko - powiedział George klepiąc ją delikatnie po wierzchu dłoni - za parę dni nie będzie komitetu strajkowego.

Senator, południowiec o stalowosiwych włosach, w białych getrach, wszedłszy do pokoju zmierzył Mary takim wzrokiem, jakby oczekiwał, że mu wsunie bombę za potężną wypukłość kremowej kamizelki, lecz jego uprzedzająca ojcowska pełna szacunku galanteria dla płci pięknej była ujmująca. Kazali sobie przynieść obiad na górę do pokoju George'a. Senator na swój jowialny korpulentny sposób robił George'owi ustawiczne przycinki na temat jego niebezpiecznych konszachtów z bolszewikami. Pili przy tym mnóstwo żytńiówki, tak że zadymiony pokój wypełnił się ostrymi oparami alkoholu. Kiedy Mary wychodziła, żeby wrócić do biura, roztrząsali właśnie projekt maleńkiego wypadu do burleski*.

W biurze chłopcy mieli wymęczone twarze i nosy spuszczone na kwintę. Gdy im powiedziała o propozycji G. H. Barrowa, odparli, żeby się nie namyślała ani chwili. To wspaniała okazja, będzie pilnowała ich interesów w Waszyngtonie, a zresztą nie są w stanie pokrywać już nawet jej wydatków. Skończyła komunikat i pożegnała się przygnębiona. Jednakże w nocy spała tak, jak nie zdarzyło jej się to od tygodni, chociaż przez całą drogę do domu towarzyszyło jej wspomnienie niebieskich oczu Gusa Moscovskiego, jego konopnej czupryny z krwią zakrzepłą na potylicy i łobuzerskiego uśmiechu, gdy ich wzrok spotkał się w sądzie. Utwierdzała się w przekonaniu, że najlepszym sposobem wydostania chłopców z więzienia będzie faktycznie jazda z Georgem do Waszyngtonu.

George zadzwonił z samego rana do biura dowiedzieć się, co z jego propozycją. Odparła, że ją przyjmuje. Spytał, czy się zadowoli pięć-dziesięcioma dolarami tygodniowo; może z czasem będzie mógł podnieść jej wynagrodzenie do siedemdziesięciu pięciu. Powiedziała, że nie zarabiała tak wiele nigdy w życiu. Wobec tego, odrzekł, niech zaraz przyjeżdża do hotelu Schenley, ma dla niej ważną sprawę do załatwienia. Gdy tam dotarła, oczekiwał na nią w hallu z banknotem studolarowym w dłoni.

- Słodka panienko, chcę, żebyś przede wszystkim poszła sobie kupić ciepły paltot. To jest zaliczka za dwa tygodnie z góry. Nie będę miał wielkiego pożytku z sekretarki, która pierwszego dnia zafunduje sobie zapalenie płuc.

W drodze do Waszyngtonu, kiedy się usadowili w wagonie klubowym, przekazał jej dwie wielkie czarne prostokątne walizki pełne protokołów.

- Nie wyobrażaj sobie przez chwilę, że nie będziesz miała u mnie rąk pełnych roboty - powiedział

wyjmując jedną po drugiej duże żółte koperty pękate od stenogramów przepisanych gęsto na mięsistym pelurze. - Tamta praca była może bardziej romantyczna - ciągnął ostrząc ołówek - ale z tej będzie na dłuższą metę więcej pożytku.

- To się okaże - odrzekła Mary.

- Moja droga Mary, jesteś bardzo młoda i bardzo... słodka.

Usiadł wygodniej w zielonopluszkowym fotelu i przyglądał jej się swoimi wylupiastymi oczyma, podczas gdy za oknami przesuwały się zaśnieżone wzgórza popstrzone skałami zielonymi od porostów i po-kreślone czarnymi esami floresami nagich gałęzi. Po dłuższej chwili wyrzucił raptem z siebie, czy to by nie było wspaniałe, gdyby się pobrali w Waszyngtonie. Mary pokręciła głową i wróciła do kwestii obrony strajkujących, ale nie mogła nie posłać mu uśmiechu, kiedy potem tłumaczyła, że nie zamierza na razie wychodzić w ogóle za męża. Był dla niej taki dobry; czuła, że ma w nim prawdziwego przyjaciela.

W Waszyngtonie urządziła sobie małe mieszkanie w domu na Ulicy H podnajmowanym tanio przez urzędników z Partii Demokratycznej, którzy się wynosili z miasta*. Robiła tu często kolację dla George'a. Gotowała dotąd tylko pod gołym niebem w czasie letnich wypraw z tatkiem, lecz George był nie lada kucharzem i znał przepisy na włoskie spaghetti, chili con carne*, duszone ostrygi i prawdziwe francuskie bouillabaisse*. Przynosił wino z ambasady rumuńskiej i po dniu ciężkiej pracy rozkoszowali się kolacyjkami w domowym zaciszu. George rozprawiał bez końca o miłości i znaczeniu zdrowego życia płciowego zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet, tak że wreszcie mu uległa. Był taki czuły i delikatny, że przez jakiś czas się ludziła, iż go naprawdę kocha. Wiedział wszystko o środkach antykoncepcyjnych i traktował sprawę bardzo naturalnie i z humorem. Ale fakt sypania z mężczyzną nie przyniósł takiej odmiany w życiu Mary, jakiej się spodziewała.

W dniu po inauguracji Hardinga w hallu gmachu na Ulicy G, w którym się mieściło biuro George'a, podeszło do Mary dwu oberwańców w zdefasonowanych szarych czapkach. Jednym z nich był Gus Moscovski. Miał zapadłe policzki, robił wrażenie brudnego i zmęczonego.

- Dzień dobry, panno French - powiedział. - To mój młodszy brat, nie ten, który był łamistrajkiem. Tamten ma się jak pączek w maśle. Pani też świetnie wygląda.

- Och, Gus, wypuścili cię.

Kiwnął głową.

- Rewizja procesu, sprawa umorzona. Ale muszę przyznać, że nie było zbyt zabawnie w tym kiciu.

Wzięła ich na górę, do biura George'a.

- Pan Barrow bardzo się interesuje hutnikami, na pewno będzie ciekaw wiadomości z pierwszej ręki.

Gus zrobił taki gest, jakby coś odpychał dłonią.

- Nie jesteśmy hutnikami, tylko włóczęgami. Wasi przyjaciele, senatorowie, pięknie nas urządzili. Każdy, kto miał nieszczęście zamienić dwa słowa ze strajkującymi, wylądował na czarnej liście. Mój staruszek dostał z powrotem dawną pracę, ale za pięćdziesiąt centów zamiast dolara dziesięć, i to dopiero jak pod dyktando księżula ucałował Biblię i wyparł się związku. Kupa luda wraca do starego kraju. My z braciszkiem machnęliśmy się do Baltimore zamustrować się na jakąś łajbę, ale w porcie na każde wolne miejsce czeka dziesięciu marynarzy. Więc pomyśleliśmy sobie, że co nam szkodzi skoczyć na inaugurację, zobaczyć, jak żyją burżuazy.

Mary chciała, żeby przyjęli trochę pieniędzy, ale pokręcili głowami.

- Nie potrzebujemy jałmużny - powiedzieli - umiemy zarobić.

Zbierali się do odejścia, kiedy nadszedł George. Nie wydawał się bynajmniej zachwycony ich wizytą i z miejsca palnął im kazanko o zgubności stosowania siły. Gdyby strajkujący nie grozili gwałtami i nie poszli na lep bolszewickich agitatorów, działacze, którzy próbowali wynegocjować polubowną ugodę, mogliby dla nich uzyskać znacznie korzystniejsze warunki.

- Nie będę z panem dyskutował, panie Barrow - powiedział Gus. - Pan zdaje się uważa, że ksiądz Kaziński* jest czerwony i że to Fanny Sellers zmiażdżyła czaszkę glinie. I pan ma czelność twierdzić, że jest pan po stronie robotników.

- George, przecież nawet Komisja Senacka musiała przyznać, że gwałtów dopuszczała się tylko policja i ludzie szeryfa - wtrąciła Mary. - Zresztą sama byłam świadkiem.

- No, no, chłopcy, wiem, coście przeszli, i nie myślę wygłaszać pochwały Trustu Stalowego. Ale chcę, Mary, wbić tym ludziom do głowy, że robotnik jest często sam swoim najgorszym wrogiem w takich sprawach.

- Ja tam wiem, że robotnik jest zawsze dymany- odparł Gus - nie wiem tylko, kto go gorzej dyma, przyjaciele czy wrogowie. No, na nas już czas.

- Przykro mi, chłopcy, że mam tyle niecierpiących zwłoki spraw. Chętnie bym posłuchał o waszych przeżyciach. Może innym razem-powiedział George sadowiąc się za biurkiem.

Odprowadziwszy ich do drzwi, Mary szepnęła do Gusa:

- A co z twoim Instytutem Carnegiego?

Jego oczy nie wydawały jej się już takie niebieskie jak przed aresztowaniem.

- Właśnie, co? - odrzekł nie patrząc na nią i delikatnie zamknął za sobą matowoszklane drzwi.

Wieczorem podczas kolacji Mary nagle zerwała się na nogi i wykrzyknęła:

- George, to nasza wina, bo pozwoliliśmy skrzywdzić hutników!

- Bzdura, Mary, winni są przywódcy, którzy wybrali najnieodpowiedniejszy moment do strajku i dali fabrykantom pretekst do oskarżenia ich o kupę obłądnych idei rewolucyjnych. Zabawa w politykę nigdy nie wychodzi na zdrowie ruchowi związkowemu. Gompers* to dobrze wie. Zrobiliśmy dla hutników wszystko, co było w ludzkiej mocy.

Mary zaczęła spacerować tam i z powrotem po pokoju. Ogarnął ją raptem gorzki niepohamowany gniew.

- To samo mi powtarzano do znudzenia w Colorado Springs. Mogę z równym powodzeniem wrócić do matki i zająć się dobroczynnością. Będzie to na pewno uczciwsze niż życie na koszt klasy robotniczej.

Spacerowała ciągle po pokoju. George siedział nadal przy stole, który tak starannie nakryła białym obrusem i na którym ustawiła kwiatki. Popijał drobnymi łyżkami wino, kładł na rożek suchara najpierw trochę masła, potem kawałek Roqueforta, odgryzał, znowu kładł odrobinę masła, odrobinę sera, cały czas żując systematycznie. Czowała, jak wodzi wylupiastymi oczyma po jej ciele.

- Jesteśmy zwykłymi sprzedawczykami! - wrzasnęła mu w twarz i uciekła do sypialni.

George poszedł za nią. Pochylił się nad jej plecami, wciąż żując suchara z serem, i zaczął ją nerwowo gładzić po ramieniu.

- Wygadujesz okropne rzeczy, moje dziecko. Nie można tak histeryzować. To nie pierwszy strajk, który się skończył klęską. A i on przyniósł pewien zysk. Brutalna bezwzględność magnatów stalowych poruszyła uczciwych ludzi w całym kraju. Wpłynie to na ustawodawstwo. No, wstań już, Mary, napij się trochę wina. Słuchaj, dlaczego myśmy się właściwie nie pobrali do tej pory? To idiotyczne tak żyć. Mam parę niewielkich lokat. Widziałem w tych dniach w Georgetown przyjemny domek do sprzedania. To wymarzony moment na kupno domu. We wszystkich ministerstwach redukcje, ceny nieruchomości lecą na łeb, na szyję. W końcu mam już swoje lata, najwyższy czas się ożenić. mieć dzieci. Nie chcę czekać, aż będzie za późno. Mary usiadła na łóżku, pociągając nosem.

- Ależ, George, masz mnóstwo czasu. Nie wiem, czemu nabrałam takiego obrzydzenia do małżeństwa. Wszystko napawa mnie dzisiaj wstrętem.

- Moja biedna dziewczynka, pewnie będzie niedługo chora - powiedział George i pocałował ją w czoło.

Kiedy poszedł na noc do swego hotelu, Mary postanowiła pojechać na jakiś czas do matki do Colorado Springs. Potem poszuka sobie jakiejś pracy w dziennikarstwie. Jednakże zanim się zebrała do wyjazdu na Zachód, zleciał miesiąc. Żyła w rosnącym strachu, że jest w ciąży. Nie chciała o tym wspominać George'owi, bo wiedziała, że będzie nalegał na małżeństwo. Nie mogła dłużej czekać, a nie знаła żadnego lekarza, do którego by się miała odważyć z tym zwrócić. Którejś nocy poszła do kuchenki, wetknęła głowę do piecyka i próbowała odkręcić gaz, ale pozycja była taka niewygodna, a w nogi tak jej ciągnęło od zimnego

linoleum, że wróciła do łóżka.

Nazajutrz dostała list od Ady Cohn, która pisała, że prowadzi cudowne życie w Nowym Jorku, ma przeurocze mieszkanie, ćwiczy z zapamiętaniem grę na skrzypcach i spodziewa się w przyszłym sezonie wystąpić w Carnegie Hall*. Nie kończąc czytania listu Mary zaczęła się pakować. Zdążyła w samą porę na pociąg nowojorski dziesiąta zero zero. Z dworca zadepeszowała do George'a:

PRZYJACIÓŁKA CHORA STOP WZYWA DO NOWEGO JORKU STOP NAPISZĘ

Zadepeszowała również do Ady, tak że ta wyszła po nią na Dworzec Pensylwański. Wyglądała ślicznie i bardzo zamożnie. W taksówce Mary jej powiedziała, że potrzebuje pieniędzy na skrobankę. Ada dostała histerycznych spazmów, ale odparła, że oczywiście, pieniędzy jej pożyczycy, natomiast nie ma zielonego pojęcia, do kogo się z tym zwrócić. Za żadne skarby nie zapyta o to doktora Kirsteina, który jest wielkim przyjacielem jej rodziców i byłby okropnie zbulwersowany.

- Nie chcę dziecka, nie chcę dziecka - mamrotała Mary.

Ada miała eleganckie trzypokojowe mieszkanie w oficynie kamienicy na Madison Avenue, z jasnobieżowym dywanem, olbrzymim fortepianem, mnóstwem roślin w doniczkach i kwiatów w wazonach. Zjadły kolację w domu i przez resztę wieczora spacerowały po salonie usiłując coś wymyślić. Dla uspokojenia nerwów Ada usiadła do fortepianu i próbowała grać preludia Bacha, ale była taka podenerwowana, że nie bardzo jej to szło. W rezultacie Mary wysmażyła ekspres do George'a z prośbą o radę. Nazajutrz wieczorem nadeszła odpowiedź. George pisał, że jest niepokieszony, ale załączał adres doktora. Mary dała list do przeczytania Adzie.

- Uroczy list - zawyrokowała Ada. - Wcale mu się nie dziwię. Robi wrażenie pięknej delikatnej czulej natury.

- Nienawidzę go - powiedziała Mary wbijając paznokcie w obie dłonie. - Nienawidzę.

Następnego dnia rano pojechała sama jedna do doktora i poddała się zabiegowi. Potem wróciła taksówką do domu, gdzie Ada zapakowała ją do łóżka. Grała jej okropnie na nerwach ciągłym wchodzeniem na palcach do jej pokoju, z twarzą całą zasępioną. Po tygodniu Mary wstała. Nic jej nie dolegało, więc zaczęła biegać po Nowym Jorku w poszukiwaniu pracy.

OKO KAMERY (46)

chodź po ulicach chodź po ulicach rozpytuj reklam Coca-Coli ogłoszeń Lucky Strike'ów cen na wystawach urywków zasłyszanych rozmów strzępów porzuconych gazet wczorajszych nagłówków wyglądających z kubłów na śmieci

o kolumnę cyfr receptę na życie adres który nie bardzo znasz nie pamiętasz numeru ulicy zdaje się w Brooklynie nie wiesz dokąd odjeżdża pociąg syrena statku buczy ci nad uchem na tablicy przed biurem pośrednictwa pracy kredowe litery obwieszczają wolną posadę robić coś działać jest więcej możliwości jak rozpaczliwe chodzenie po ulicach śpiesz się nieszczęsny rób coś działaj przemówienie wzywające do czynu w zatłoczonej sali po oklaskach poklepywania i uśmiechy wszystkich na podium szurgot krzesel wyczekująca cisza przy pierwszych zająkliwych próbach mówienia wprost idzie jak po grudzie uczep się sloganu słuchają i łatwa wspinaczka slogan po sloganie do burzy oklasków (gdyby tylko ktoś nie szeptał ci do ucha kłamca

jak wtedy na Union Square* gdy się pochylałeś z zaimprovizowanej mównicy nad twarzami gorliwymi młodych nieustępliwymi starych otępiałymi od harówki tych w sile wieku z oczami zapuchniętymi od ślęczenia nad gazetami chcąc im wyrębać całą prawdę

rozśmiesz ich powiedz im co chcą słyszeć pomachaj chorągiewką szeptał ci wewnętrzny agitator spragniony sukcesu za wszelką cenę)

nagle głos ci się załamuje czerwieniejesz ze wstydu oblewasz się cały potem czemu nie powiedzciec tym ludziom przytupującym na wietrze że ziemia usuwa nam się pod nogami? że sceptycyzm jest kamieniem szlifierskim który wyostrza widzenie?

niemożliwe to by rozbrajało zamiast mobilizować pikietujcie sukinsyna Johna D. Rockefellera a jeśli gliny poturbują wam głowy zapiszcie to w cenę postępu ludzkości wracam do domu po kieliszeczku i gorącej kolacji czytać (nie bez trudu z bryka Biblioteki Loeba*) epigramaty Marcjalisa zastanawiać się nad biegiem historii rozważać jakie siły mogłyby wysadzić z siodła posiadaczy i przywrócić (jak Walt Whitman) czytankową demokrację

a cały czas mam w kieszeni list od tego studenta który prosi o wyjaśnienie dlaczego choć mają słuszość co przyznaje radykałowie są w prywatnym życiu takimi gnojkami

idź do łóżka przegrany (łuskając cebulę wątpliwości) z nie przeczytaną książką w ręce bujaj się na huśtawce może w końcu i tobie trafi się wygrana dorobisz się

pieniędzy dobrze rozumiałeś co mówił ten stary jegomość z siwą brodą za kryształowym kałamarzem na pustym lakierowanym biurku w orzechowym gabinecie w jego głosie dudniły jeremiady wszystkich kaznodziejów dzieciństwa piałą hosanną wszystkich fałszujących chórów żeńskich To prawda co pan mówi ale jest jeszcze taka rzecz jak dochody a ja mam córki na pewno zmieni pan w końcu zdanie dorób się pieniędzy w Nowym Jorku (szminka scałowana z ust dziewczyny eleganckiej wonnej w taksówce sunącej Park Avenue o piątej po południu kiedy w perspektywie każdej przecznicy płonie złoto zachód z kominów statków wychodzących z portu bucha biały dym a niebo jest podszyte zielenią dolarów

ucichły nitownice ciężarówki dostawcze zostały zepchnięte na boczne ulice

z każdego rogu krzyczą dochody

zgrzytają w zapłonach szumią równo w motorach samochodów iskrzą się światłami błyskającymi w witrynach sklepów popiskują klaksonami pojękują trąbkami lśniących importowanych półotwartych limuzyn milionerów

dolary układają jedwabiście jej włosy falują miękko sukienkę wykwitają misternym kształtem płatków róż które całujesz wabią chrupkością i soczystością dań w knajpie upajają cierpkością cocktaili

rozbrzmiewają głośnie melodią rewii tryskają kaskadami śmiechu w kabarecie wirują w szurszurze orkiestry dźwięczą w ostrym dobranoc szatniarki)

a jeśli nie to czemu? chodzisz po ulicach przewracasz się na łóżku czy cię pieką od dociekliwego łuskania cebuli wątpliwości gdyby tylko ten ktoś przegrany? wygrany? nie szeptał ci (jak na Union Square) kłamca do ucha

KRONIKA LII

przybywszy na nabożeństwo po bliskich, którzy odeszli, na te ostatnie pół godziny kontemplacji i wspomnień o dziełach dokonanych i sprawach nie dokończonych, rozpamiętywania przyjaźni i miłości, tego, co było, i tego, co mogło być, czyż nie powinniśmy jak najgodniej uczcić te ostatnie pół godziny, uczynić nabożeństwo tak pięknym, jak może to zagwarantować tylko firma Frank E. Campbell w swojej kaplicy przedpogrzebowej (międzywyznaniowej)?

WYŁOWIONO ZWŁOKI PLYWAJĄCE W WORKU

*Chinatown, moje Chinatown,
Gdzie światła są przyćmione,
Gdzie dusze zagubione*

Snują się tam i sam

APOPLEKSJA KŁADZIE KRES W CHWILI, GDY ŻONA MU CZYTA
Prezydentowa Hardingowa czytała mężowi cichym, kojącym głosem
Liczone, że pod jego wpływem zaśnie*

DAUGHERTY PRZEJMUJE STER

*W pustym salonie
Przy telefonie
Czekam na twój znak*

Dwa ciała kobiece w bagażu mordercy
ROBOTNICZY MASZERUJĄ W CIEMNOŚCI NA MIASTO REICHSTAGU

SZALEŃCZA JAZDA TAKSÓWKĄ, ABY ZAPOBIEC SAMOBÓJSTWU
W HOTELU BELMONT, ZAKOŃCZONA NIEPOWODZENIEM

Pershing tańczy tango w Argentynie*

POCIĄG ZE ZWŁOKAMI HARDINGA SUNIE
W ŻÓŁWIM TEMPIE WŚRÓD

TŁUMÓW MIESZKAŃCÓW CHICAGO ZGROMADZONYCH NA PRZESTRZENI
PIĘCDZIESIĘCIU MIL

Otruła się bezrobotna dziewczyna

WIELU WIDZIAŁO COOLIDGE'A, ALE NIEWIELU GO SŁYSZAŁO

*Gdybyś znał Susie,
Jak ja znam Susie.~
Ach, cóż to za dziewczuszka!*

SZTUKA I IZADORA

W tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym w San Francisco pani Izadora O'Gorman Duncan*, kobieta z charakterem i zamiłowaniem do gry na fortepianie, wszczyła kroki rozwodowe przeciwko swemu mężowi, ogólnie szanowanemu panu Duncanowi, którego prowadzenie się, dawała do zrozumienia, było wielce nieprzystojne. Historia ta rozstroiła jej tak nerwy, że jak się skarżyła dzieciom, jej żołądek nie przyjmował nic prócz ostryg i kropelki szampana. Rozgoryczona, w ogniu wzajemnych pretensji i rodzinnych scysji, wydała na świat

(świat prowadzonych przez zrujnowane południowe damy pensjonatów z gazowym oświetleniem, potentatów kolejowych, dżentelmenów z bokobrodami pogryzających goździki dla zabicia zapachu sznapsa, drzwi wahadłowych, mosiężnych spluwaczek, fiaków, baskin, tiurniur i długich ogoniastych spódnic z riuszami, świat, którego życie duchowe skupiało się w salach odczytowych i koncertowych pod patronatem pań z towarzystwa)

córeczkę, której przekazała imię Izadora.

Zerwanie z mężem i odkrycie jego dwulicowości przemieniły panią Duncan w zagorzałą feministkę i ateistkę, żarliwą wielbicielkę pism i odczytów Boba Ingersolla*; albowiem Bogiem jest natura, przykazaniem piękno, a niegodziwy tylko człowiek.

Niełatwo było pani Duncan chować swoje dzieci w miłości piękna i nienawiści do gorsetów, konwenansów i praw ustanowionych przez człowieka. Dawała lekcje gry na fortepianie, haftowała, robiła na drutach szaliki i rękawice.

Ale byli wiecznie w długach.

Wiecznie zalegali z komornym.

Do najwcześniejszych wspomnień Izadory należało naciąganie gospodarzy, sklepikarzy, rzeźników, chodzenie od drzwi do drzwi z drobiazgami zrobionymi przez matkę na sprzedaż oraz wynoszenie przez okna waliz, gdy nie mieli na zapłacenie rachunku w coraz to innym wytwornie obskurnym pensjonacie na przedmieściach Oakland lub San Francisco. Mali Duncanowie tworzyli z matką jeden klan; oni, Duncanowie, przeciwko brutalnemu i plugawemu światu. Nie byli już katolikami ani prezbiterianami, baptystami ani kwakrami; byli Artystami.

Kiedy dzieci były jeszcze całkiem małe, wzbudzały wśród sąsiadów sensację urządzanymi w wozowni przedstawieniami teatralnymi; starsza dziewczynka, Elizabeth, dawała lekcje tańca towarzyskiego. Duncanowie byli ludźmi Zachodu, a świat opętany gorączką złota; nie wstydzili się wystawiać na spojrzenia ciekawskich. Izadora miała zielone oczy, kasztanowate włosy, piękną szyję i ręce. Nie stać jej było na lekcje tańca klasycznego, więc wymyślała sobie sama tańce.

Przeprowadzili się do Chicago. Izadora zdobyła pracę; za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo tańczyła w restauracji-ogrodzie na dachu Świątyni Masońskiej przy dźwiękach szlagiera "Washington Post". Tańczyła w klubie. Dobiła się do Augustina Daly*, by mu oznajmić, że odkryła

Taniec,

i pojechała do Nowego Jorku tańczyć w woalach elfa w "Śnie nocy letniej" z Adą Rehan*.

W ślad za nią zjechał do Nowego Jorku cały klan Duncanów. Wynajęli obszerne pomieszczenie w Carnegie Hall, porozkładali w kątach materace, ściany obwiesili draperiami i tak stworzyli pierwowzór wszystkich późniejszych atelier w Greenwich Village.

Ale wiecznie byli na bakier z prawem, naciągali kupców na nie kończące się kredyty, wystawiali do wiatru gospodynie, wyłudzali zapomogi od bogatych filistrów.

Izadora dała kilka występów z Ethelbertem Nevinem*,

w Newport tańczyła przed paniami z najlepszej socjety pod recytację Omara Chajjama*.

Podczas pożaru hotelu Windsor stracili wszystkie kufry oraz sążnisty rachunek do zapłacenia, więc popłynęli bydlęcym statkiem do Londynu,

by uciec przed materializmem rodzinnej Ameryki.

W Londynie

odkryli w British Museum Greków.

Taniec jest grecki.

Pod kopczącymi kominami Londynu, na czarnych od sadzy skwerach tańczyli w płóciennych tunikach, kopiowali pozy taneczne z greckich waz, chodzili na odczyty, wystawy, koncerty, sztuki; w ciągu jednej zimy wchłonęli pół wieku kultury wiktoriańskiej.

Z powrotem do Greków.

Ilekoć ich wyrzucano za niepłacenie komornego, Izadora prowadziła wszystkich do najlepszego hotelu, brała apartament i rozsyłała kelnerów po homary, szampana, nowalijki; nic nie jest za dobre dla Artystów, Duncanów, Greków;

i Londynowi lat dziewięćdziesiątych podobał się jej tupet. Tańczyła na przyjęciach w prywatnych rezydencjach w Kensington, w Mayfair*,

podbijając Brytyjczyków z księciem Edwardem* włącznie

swoją prerafaelicką urodą,

naiwną amerykańską zmysłowością

i kalifornijskim akcentem.

Po Londynie Paryż wystawy światowej tysiąc dziewięćsetnego. Tańczyła z Loie Fuller*. Była ciągle dziewczą, w popłoch wprawiły ją zaloty wielkiego mistrza Rodina, zupełnie oszołomiły dziwne obyczaje gromadki postrzelonych, zboczonych gracji, którymi się otaczała Loie Fuller. Duncanowie byli wegetarianami, stronili od wulgarności, mężczyzn i materializmu. Rajmund zrobił im wszystkim sandały.

Izadora, jej matka i brat Rajmund jeździli po Europie w sandałach, przepaskach na włosach i greckich tunikach

stając w najlepszych hotelach i w powodzi nie zapłaconych rachunków prowadząc życie dzieci natury.

Pierwszy występ solowy Izadory odbył się w jednym z teatrów Budapesztu;

odtąd była diwą, miała romans z pierwszym amantem budapeszteńskiej sceny*; w Monachium studenci wyprzęgali co wieczór konie z jej powozu. Wszędzie były kwiaty, owacje, kolacyjki z szampanem. Berlin szalał.

Za pieniądze zarobione w Niemczech zabrała cały klan Duncanów do Grecji. Przy płynęli łodzią rybacką z Itaki. Pozowali do fotografii pod Partenonem, tańczyli w teatrze Dionizosa, wyuczili bandę uliczników śpiewania antycznych chórów z "Błagalnic"* i przystąpili do budowy domu-świątyni na wzgórzu z widokiem na ruiny starożytnych Aten. Ale na wzgórzu nie było wody, pieniądze skończyły się. W połowie budowy

i musieli zamieszkać w Hotel d'Angleterre, zadłużyć się znowu po uszy. Kiedy im odmówiono dalszego kredytu, zawieźli swój chór do Berlina i wystawili "Błagalnice" w klasycznej grece. Na widok Izadory maszerującej w swoim peplum przez Tiergarten na czele kolumny greckich chłopców w tunikach koń

cesarzowej się spłoszył
i Jej Cesarska Mość spadła.

Izadora była rozrywana.

Przybyła do Sankt Petersburga w samą porę, by być świadkiem nocnego pogrzebu manifestantów zastrzelonych w tysiąc dziewięćset piątym przed Pałacem Zimowym*. Serce jej się krajało. Należała do narodu Walta Whitmana; jej braćmi byli manifestanci, nie krwawi władcy świata; artyści nie stają po stronie kulomiotów; była Amerykanką w greckiej tunice; stała po stronie ludu.

Ale Sankt Petersburg żył jeszcze pod znakiem osiemnastowiecznego baletu rodem z dworu Króla Słońce, władze uznały jej taniec za wywrotowy.

Założyła w Niemczech szkołę tańca, pozostawiając całą stronę organizacyjną siostrze Elizabeth, i miała dziecko z Gordonem Craigiem*.

W glorii, jak to sobie dawno umyśliła, pojechała na tournée do Ameryki, skandalizować rodzimych filistrów. Ale jej towarzyszy przymykano co krok za paradowanie w tunikach; nie znalazła w ojczyźnie zrozumienia dla Sztuki.

Po powrocie do Paryża był koniec świata; Sztuka znaczyło Izadora. Na pogrzebie księcia Polignaca* poznała wyśnionego milionera (króla maszyn do szycia), który miał się stać jej protektorem i dobroczyńcą jej szkoły*. Popłynęła z nim jego jachtem (wszystko, co robiła, było Sztuką),

by zatańczyć specjalnie dla niego
w świątyni w Paestum.

Ale padało, muzycy przemokli do nitki, więc tylko się wszyscy upili. Życie milionerki było Sztuką. Wszystko, co robiła, było Sztuką. Podczas drugiego tournée amerykańskiego, ku świętemu oburzeniu przekwitłych bywalczyń klubów i zasuszonych w cnocie miłośniczek sztuki, tańczyła z dzieckiem milionera w łonie;

zaczęła pić, coraz częściej ze sceny obrzucała publiczność w łóżach wymysłami.

Była u szczytu sławy, powodzenia, bogactwa i skandalu, jej szkoła prosperowała, milioner miał jej budować teatr w Paryżu, Duncanowie byli kapłanami Nowej Sztuki (wszystko, co robiła Izadora, było Sztuką),

gdy automobil wiozący jej dwoje dzieci do domu przez Sekwanę stanął na moście. Szofer wysiadł zapomniawszy wyłączyć bieg. Zakręcił korbą, maszyna ruszyła, przewróciła szofera i runęła z mostu do rzeki.

Dzieci wraz z boną utonęły.

Reszta życia płynęła jej w rozpacz, wśród mielenia zgorszonych języków, drwiących uśmieszków reporterów, gróźb komorników, wymysłów hotelarzy za nie zapłacone rachunki.

Izadora się rozpiła, nie przepuszczała żadnemu przystojnemu chłopcu, farbowała włosy na krzykliworude kolory, nigdy nie mogła się zdobyć na przyzwoity makijaż, chodziła niechlujnie ubrana, nie dbała o linię, szastała pieniędzmi,

lecz ilekroć z głębi sceny wynurzała się niespiesznie jej postać o bujnych biodrach i pięknych pełnych ramionach,

salę przechodził
uzdrawiający dreszcz.

Nie bała się niczego; była wielką tancerką.

W jej rodzinnym San Francisco politykierzy nie pozwolili jej zatańczyć w Teatrze Greckim*, który wybudowali pod jej wpływem. Gdziekolwiek się pokazała, narażała się filistrom. Po wybuchu wojny tańczyła Marsylianę, co uznano za niesmaczne. obrażała uczucia odmową wyrzeczenia się Wagnera i okazania bogoojczyźnianego

entuzjazmu dla rzezi.

Podczas tournée południowoamerykańskiego

brała wszędzie kochanków,

hiszpańskiego malarza, zawodowych bokserów, palacza na parowcu, brazylijskiego poetę,

awanturowała się w tingel-tanglach, w Argentynie nawymyślała publiczności od Negrów, wzięła szturmem Montevideo i Brazylię; ale gdy tylko miała pieniądze, nie mogła się powstrzymać od skandalicznego wyrzucania ich na zigołaków, pourboiry, kolacyjki po spektaklach, szeroki gest, nie, wszystko na mój rachunek. Impresariowie ją kantowali. Nie bała się niczego, nie liczyła z opinią, nie przejmowała mieleniem zgorszonych języków ani sensacyjnymi tytułami w popołudniówkach.

Gdy Październik rozsadził skorupę starego świata, przypomniała sobie Sankt Petersburg, trumny sunące owej nocy cichymi ulicami, białe twarze i zaciśnięte pięści, i w bostońskim Symphony Hallu zatańczyła Marche Slave"*

powiewając czerwonym woalem przed nosami nobliwych starszych pań.

Ale gdy pojechała do Rosji, pełna nadziei na szkołę, na pracę, na nowe swobodne życie, wszystko okazało się zbyt potężne, zbyt trudne: mróz, wódka, brak służby w hotelach, stare i nowe pomieszane bez ładu i składu, ziarna i plewy; nie miała cierpliwości, jej życie było zbyt łatwe;

więc porwała płowowłosego poetę

i uwiozła go

do Europy wielkich hoteli.

W jednej pijackiej burdzie Jesienin* rozniósł całe piętro berlińskiego Adlonu, w Paryżu zdemolował apartament w Continentalu. Wróciwszy do Rosji skończył ze sobą. To było zbyt potężne, zbyt trudne.

Kiedy już nie mogła zdobyć pieniędzy na Sztukę, na karmienie i pojenie tabunów gości w apartamentach hotelowych, na wynajmowanie Rolls-Royce'ów, na utrzymywanie uczennic i wielbicieli,

pojechała na Riwierę pisać pamiętniki dla wyciągnięcia okrągłej sumki od żadnej skandalu publiczności amerykańskiej, której wojna otworzyła oczy na Greków, Sztukę i wulgarność materializmu, a która wciąż miała dolary do wydawania.

Wynajęła atelier w Nicei, chociaż nigdy nie miała na komorne. Już dawno pokłóciła się ze swoim milionerem. Jej precjoza, sławny szmaragd, etola z gronostajów, dzieła sztuki otrzymane w hołdzie od artystów, wszystko powędrowało do lombardów albo zostało zajęte przez hotelarzy. Pozostały jej tylko stare niebieskie draperie pamiętające czasy jej tryumfów, czerwona skórzana torebka i stare futro rozdarte od góry do dołu na plecach.

Nie mogła się powstrzymać od picia ani rzucania się w ramiona każdemu przystojnemu chłopcu; ilekroć dostała pieniądze, urządziła przyjęcia albo rozdawała wszystko.

Pewnej nocy próbowała się utopić w Morzu Śródziemnym, ale wyciągnął ją z księżycowych toni oficer marynarki angielskiej. Któregoś dnia w restauracyjce w San Juan zagięła parol na przystojnego Italiańca, który prowadził garaż i jeździł małym wyścigowym Bugattim.

Udając zainteresowanie kupnem samochodu kazała mu przyjechać po siebie do atelier;

przyjaciele odwodzili ją od przejażdżki, tłumaczyli, że to zwykły mechanik, ale się uparła, była po paru kieliszkach (nie bawilo jej na tym świecie już nic prócz kieliszka i przystojnych chłopców);

usadowiła się obok niego w otwartym aucie,

szerokim gestem owinięła wokół szyi szal z długimi frędzlami i obróciwszy się powiedziała

z silnym kalifornijskim akcentem, którego nigdy nie zdołała się wyzbyc: , *

"Adieu, mes amis, je vais a la gloire '.

Mechanik włączył bieg, ruszyli.

Ciężki powłóczysty szal wkręcił się w koło, naprężył, szarpnął jej głowę. Maszyna stanęła momentalnie. Izadora miała złamaną szyję, zmiądzony nos. Nie żyła.

KRONIKA LIII

Pa, pa, sroczo,

CZY PANI JEST NAJPIĘKNIEJSZĄ STENOTYPISTKĄ W NOWYM JORKU?

*Nikt mnie tu nie kocha, nikt mnie nie rozumie,
Każdy tylko płakać nad swą dolą umie*

WIELKA BRYTANIA ZDECYDOWANA IŚĆ WŁASNĄ DROGĄ

ty także możesz się szybko nauczyć tańczyć w domu, bez muzyki i bez partnera... zapewnia te same wyniki, co doświadczony masażysta, tylko szybciej, łatwiej i mniejszym kosztem. Pamiętajcie, "Graphic"* przyjmuje na Apollów tylko nieżonatych młodych mężczyzn o nieprzeciętnej sile fizycznej

*Pościel mi łóżko i zostaw światło,
Wrócę dziś wieczór kolejką ostatnią*

KOBIETA, WZIĘTA ZA WŁAMYWACZA, ZASTRZELONA W DOMU

Wielki książę* przybył tu dla przyjemności

ZACMIENIE OPÓŹNIŁO SIĘ O CZTERY SEKUNDY*

Obserwatorzy w centrum miasta widzieli koronę

inne, strojniesze, robione są z drogiego jedwabiu obiciowego, ciężkiego atlasu, krey jedwabnej albo cote de cheval*, niekiedy przybierane strusimi

WŚCIEKŁY PIES WYWOŁUJE PANIKĘ NA DWORCU PENSYLWAŃSKIM

NIESZCZĘŚLIWA ŻONA SZUKA ŚMIERCI

pięknie zharmonizowane bogactwo wykończenia, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, mogło wyjść jedynie spod ręki artysty natchnionego swoją wizją. *Zastępuje ów deformujący tłuszcz normalną, zdrową, jędrną tkankę.* Dotyka wszystkich punktów na całej skali potrzeb ludzkich. Chociaż może to wyglądać nieco absurdalnie na papierze, jest w stanie cię pouczyć, jak rozwinąć mózg. Jeśli cierpisz na dolegliwości fizyczne, potrafi cię oswobodzić od bólu. Umie ci wskazać rozwiązanie problemów miłosnych i małżeńskich. Jest ekspertem w kłopotach seksualnych

Sroczo, pa

DRAPACZE CHMUR SPOGLĄDAJĄ NA PUSTE ULICE

była to Peggy Joyce* cała w bielach i różach, Peggy Joyce, która w buduarze całym biało-różowym wyciągnęła omdlewającym gestem małą białą rączkę

MARGO DOWLING

Gdy Margie tylko trochę podrosła, zaczęła wychodzić w ciemne zimowe wieczory z latarnią na stację, ilekroć Fred miał wrócić z miasta pociągiem dziewiąta czternaście. Margie była bardzo mała na swój wiek, jak często powtarzała Agnes, co nie przeszkadzało, że czerwony popelinowy paltocik z barankowym kołnierzykiem, który ją łachotał za uszami, zrobił się na nią za kusy i posiekane przeguby wystawały jej z przykrótkich rękawków, kiedy wieczorny wiatr z deszczem i śniegiem zaciął zza narożnika stacyjnego, a blaszana rączka ciężkiej latarni wrzynała się tak lodowato w dłoń. Idąc na stację czuła zawsze błędzące po krzyżu, po rękach, po nogach ciarki strachu, że Fred znów nie będzie sobą, że będzie się tak dziwnie potykał i zataczał, jak to się często zdarzało, że będzie cały czerwony na twarzy i będzie wygadywał takie szkaradziństwa. Pan Bemis, przygarbiony zawiadowca, lubił na ten temat dowcipkować z wielkim Joem Hinesem, dróżnikiem, który się często kręcił po stacji przed przyjsciem pociągu udając, że coś robi, więc Margie czekała na dworze, żeby nie słyszeć, jak mówią: "No, założymy się, że Fred Dowling znowu dziś wróci zaperfumowany?" A właśnie wtedy potrzebował Margie z latarnią, bo kładka prowadząca do domu jest taka wąska i śliska. Dopóki Margie była zupełnie małą dziewczynką, myślała, że Fred tak dziwnie idzie wysiadłszy z pociągu, bo jest zmęczony przeraźliwie ciężką pracą w Nowym Jorku, ale gdy skończyła osiem czy dziewięć lat, Agnes powiedziała jej wszystko o tym, jak to mężczyźni lubią sobie popić, chociaż nie powinni tego robić. Więc co wieczór przeżywała te same katusze, kiedy zobaczyła światła pociągu nadjeżdżającego po długiej estakadzie od strony Ozona Parku.

Czasami Fred nie przyjeżdżał wcale, a ona wracała do domu sama z płaczem. W dobre dni wyskakiwał sprężyste z wagonu, barczysty w swoim ciężkim paltocie pachnącym dymem fajkowym, porywał ją w ramiona i unosił do góry razem z latarnią i wszystkim. "Jak tam tatusia córeczka? - pytał. - Grzeczna?" Całował ją, a ona była pełna dumoszczęścia, gdy tak płynęła na jego ramieniu i patrzyła z góry na wstrętnego starego pana Bemisa. W potężnej piersi Freda dudnił głęboki bas i wydobywał się przez wełniany szalik: "Czołem, szefie!", podczas gdy oświetlone okna pociągu drgały i zaczynały się poruszać, potem czerwone gąsienicowe oczy ostatniego wagonu powoli malały i zlewały się w jedno, aż w końcu pociąg nikał na estakadzie do Hammels. Margie podskakiwała na ramieniu Freda czując, jak jego mięśnie się napinają i robią twarde niczym wiosła, gdy z nią biegnie po kładce wołając z daleka do Agnes: "Zostawiłaś dla mnie kolację, panienko?" Agnes wychodziła przed drzwi z szerokim uśmiechem, wycierając ręce w fartuch, na blasze perkotał wielki gar gorącej zupy, a w kuchni robiło się tak ciepłowswojsko i przyjemnie. Pozwalali Margie siedzieć i słuchać, jak Fred opowiada o bilardzie, wyścigach konnych, totalizatorze i okropnych bójkach w mieście, dopóki przez drzwi nie wkraść się piaskarz i nie zaproszył jej oczu snem*. Agnes zanosila ją wówczas do łóżka w zimnym pokoju, a Fred stawał nad nią z fajką i opowiadał o statkach rozbitych koło Fire Island*, kiedy jeszcze służył w Straży Przybrzeżnej, aż drzazgi światła sączącego się z kuchni zaczynały się rozmazywać, mimo że Margie tak się starała nie zasnąć, bo burkliwy głos Freda napawał ją szczęściem, ale w końcu i tutaj wkraść się paskudny piaskarz, chociaż próbowała się łudzić, że nie przyjdzie, bo się spóźnił na pociąg, i zapadała w sen.

W miarę jak rosła i przechodziła z klasy do klasy w szkole w Rockaway Parku, takie wieczory zdarzały się coraz rzadziej. Fred coraz częściej wysiadał z pociągu pijany albo w ogóle nie wracał z miasta. Wtedy Agnes

opowiadała Margie historie o dawnych latach, jak to wówczas było cudownie, i czasami przerywała w połowie, żeby sobie pochlipać nad matką Margie, z którą były takimi serdecznymi przyjaciółkami, obie pracowały jako panny sklepowe u Siegela Coopera przy kontuarze ze sztucznymi kwiatami, a w niedziele jeździły się kąpać na Manhattan Beach, które było o całe niebo elegantsze od Coney Island, oczywiście nie do Hotelu Orientalnego, tam było za drogo, tylko na małą plażę tuż obok, gdzie właśnie Fred był ratownikiem.

- Żałuję, żeś go nie знаła w tamtych czasach. Muskularny, opalony, najprzystojniejszy mężczyzna...

- Teraz też jest przystojny, prawda, Agnes? - wtrącała trwożnie Margie.

- Oczywiście, kochanie, ale trzeba go było widzieć wtedy.

I Agnes zaczynała się rozwodzić o tym, jak mu dopisywało szczęście na wyścigach, ilu ludzi uratował od utonięcia, jak wszyscy handlarze trzymający koncesje na plaży składali się co roku na gratyfikację dla niego, ile zawsze miał pieniędzy w kieszeniach, jak cudownie się śmiał i jaki był dowcipny w towarzystwie.

- To go właśnie doprowadziło do zguby - mówiła. - Nigdy nie umiał powiedzieć nie.

Potem Agnes opowiadała o ślubie, o kwieciu pomarańczowym*, o torcie weselnym i o tym, jak matka Margie umarła przy porodzie.

- Oddała swoje życie za twoje, nie wolno ci o tym nigdy zapomnieć - mówiła i Margie robiło się tak straszno na duszy, jakby nie była sobą.

Potem pewnego dnia, gdy Agnes wracała z pracy, zastała na trotuarze Freda, całego na czarno, w meloniku na głowie, czekającego, żeby jej się oświadczyć, bo czyż nie była najlepszą przyjaciółką Margery Ryan. Wkrótce się pobrali, ale Fred nigdy nie zdołał się otrząsnąć po stracie i nie potrafił nigdy powiedzieć nie, tak że się w rezultacie rozpił, stracił pracę na plaży Hollanda i nie chcieli go przyjmując na żadnej innej przez to jego pijaństwo i awanturnictwo. Przenieśli się nad Broad Channel, lecz nie mogli wyżyć ze sprzedaży przynęt, wynajmowania łodzi i stołowania przypadkowych amatorów morskich specjałów, tak że w końcu Fred musiał pójść na barmana do pewnej knajpy w Jamaice, gdzie go przyjęli ze względu na jego urodę, zaraźliwy śmiech i dar zjednywania sobie ludzi. Niestety, to przypieczętowało jego zgubę.

- Ale nie ma pod słońcem wspanialszego człowieka od Freda Dowlinga, póki jest sobą - kończyła zawsze Agnes. - Zapamiętaj to sobie, Margie.

Teraz zaczynały chlipać obydwie, po czym Agnes pytała, czy Margie ją kocha tak, jakby była jej rodzoną mamusią, a Margie łkając odpowiadała:

- Tak, tak, kocham cię, Agnes.

- Musisz mnie zawsze kochać - dorzucała Agnes - bo Bozia jakoś nie chce pozwolić, żebym miała swoje własne maleństwo.

Margie musiała codziennie dojeżdżać pociągiem do szkoły w Rockaway Parku. W szkole powszechnej radziła sobie dobrze, lubiła nauczycieli, książki i śpiew, tylko dzieci dokuczały jej okropnie, bo nosiła niezdarne ubiory domowej roboty, była Irlandką i katoliczką, a na dobytek mieszkała w domu na palach. Zmieniło się to dopiero, gdy któregoś roku na Gwiazdkę zagrała w przedstawieniu szkolnym Złotowłosa*. Odtąd w szkole zrobiło się przyjemniej niż w domu.

W domu była nie kończąca się robota, Agnes wiecznie prała, prasowała i szorowała, bo Fred już jej prawie nic nie dawał. Wtaczał się do kuchni pijany, brudny, cuchnący nie przetrawionym piwem i whisky, kłął, sarkał na jedzenie, pomstował, że Agnes mu nigdy nie usmaży przyzwoitego befsztyka jak dawniej, kiedy wracał z miasta, aż Agnes nie wytrzymała i wybuchała:

- A skąd mam niby brać na befsztyki?

Wtedy Fred zaczynał ją wyzywać od ostatnich, więc Margie uciekała do swojego pokoju, zatrząskiwiała za sobą drzwi, niekiedy je nawet tarasowała komódką i wskakiwała do łóżka, gdzie leżała cała drżąca. Czasami, gdy Agnes przygotowywała dla niej następnego dnia śniadanie, zawsze w pośpiechu, żeby Margie się nie spóźniła na pociąg, miała podbite oko albo twarz opuchniętą i nabrzmiałą w miejscu, gdzie ją zdzielił, a minę potulną i płaczącą, czego Margie nienawidziła. Pilnując kakao ze skondensowanym mlekiem, które się grzało na blasze, Agnes mruczała przez cały czas pod nosem:

- Bóg jeden wie, że się staram, ręce sobie dla niego urabiam. Wszyscy święci Pańscy, tak dalej być nie może.

Wszystkie sny Margie obracały się dokoła ucieczki z domu.

W lecie byłoby czasami nawet cudownie, gdyby nie wieczna obawa, czy Fred znowu nie przebierze miarki. Pierwszego słonecznego dnia wiosny Fred wyciągał łodzie z szopy i pogwizdując zabierał się jak szatan do pracy, uszczelniał kadłuby, malował je na zielono albo kiedy indziej wychodził przed świtem wygrzebywać małże z piasku czy łapać zarzutnią menhadeny na przynętę. W domu nie brakowało teraz pieniędzy, na blasze dochodziły zawsze na wolnym ogniu wielkie gary gęstej zupy z małży, z boczkiem, cebulą, kartoflami i Bóg wie czym jeszcze, przyprawiane po manhattańsku albo po nowoangielsku, Agnes podśpiewywała promieniejąc szczęściem, przygotowywała rozgorączkowana obiady i sandwicze dla rybaków, którzy czasem zabierali Margie ze sobą na połów, Fred uczył ją pływać w czystym kanale pod mostem kolejowym, pozwalał jej brnąć ze sobą bosą w miękkim szlamie w poszukiwaniu małży, a sportsmeni w paradnych kurtkach, którzy przychodzili wynajmować łodzie, dawali jej niekiedy po ćwiartaku. Dopóki trwał dobry okres Freda, lato było

cudowne, od ładu zalatywała ciepła woń trawy bagiennej, przyptyw w przesmyku przynosił świeżość, ciało świerzbiało od słonej wody i słońca, ale gdy tylko Fred się trochę odkuł, zaczynał znowu pić, Agnes znowu chodziła z czerwonymi oczami, a zarobki brały w łeb. Margie nie znosiła, kiedy twarz Agnes robiła się czerwona i brzydka od płaczu, i obiecywała sobie solennie, że gdy dorośnie, nie będzie nigdy płakała, cokolwiek by się stało.

Czasami w dobrych okresach Fred nagle oznajmiał, że je zabiera na jubel, i wszyscy troje się sztafirowali, zostawiali dom pod opieką starego ojca Joego Hinesa, który miał drewnianą nogę i sumiaste siwe wąsy, po czym jechali pociągiem na plażę i szli drewnianym chodnikiem do lunaparku Hollanda. Wszędzie był okropny ścisk i Margie cały czas drżała, żeby sobie nie pobrudzić odświętnej sukienki. Blask raził ją w oczy, w oślepiającym słońcu leżeli pokodem upiaszczeni plażowicze z przyrumienionymi ciałami i rozczochranymi włosami, a Fred i Agnes rozbierali się do kostiumów i szli baraszkować w wodzie jak wszyscy. Margie bała się wielkich spienionych bałwanów rozpryskujących się nad głową, bała się nawet, kiedy Fred ją trzymał, a jeszcze straszniej jej się robiło, gdy wypływał tak daleko w morze.

Później wciągali z powrotem ubrania na świerzbiące ciało i wędrowali drewnianym chodnikiem wśród piszczących wózków z orzeszkami ziemnymi, wśród natarcywych zapachów prażonej kukurydzy, waty cukrowej, parówek, musztardy i piwa, zawsze zmieszanych z zapachem oceanu, wśród szczęku i łomotu kolejki diabelskiej, wśród dźwięków organów parowych przy karuzeli, stale w tłumie okropnych ludzi, którzy się mrowili, przepychali i deptali po nogach. Margie była za mała, żeby cokolwiek widzieć nad ich głowami. Wołała już, kiedy Fred ją sadzał na ramieniu, chociaż była przecież za duża, żeby paradować na ramieniu tatusia, mimo że taka drobna na swój wiek, i musiała przez cały czas obciągać śliczną błękitną sukieneczkę, która jej stale podjeżdżała nad kolana.

Co lubiła na plaży, to grę, w której się toczyło małą piłeczkę po czystych wąskich politurowanych deszczułkach do numerowanych otworów, i stojącego przy niej Japończyka w czystej wykrochmalonej białej kurtce, a za nim nie kończące się półki z najcudowniejszymi nagrodami: czajniczkami do herbaty, porcelanowymi ludzikami kiwającymi głową, wazonikami, całymi rzędami prześlicznych japońskich

laleczek, z których część miała prawdziwe rzęsy, kubeczkami, miseczkami, słóczkami. Raz wygrała dzbanuszek do kawy w kształcie słonia, który potem miała przez długie lata. Chociaż Fred ani Agnes nie wyglądali na zachwyconych małym Japończykiem, który rozdawał nagrody, Margie uważała, że jest uroczy, ma taką gładką twarz, taki zabawny cienki głos, wargi i powieki tak wyraziście zarysowane jak u lalek i takie długie czarne rzęsy. Zawsze myślała, że chętnie by go wzięła ze sobą do łóżka jak lalkę, ale kiedy to raz powiedziała, Agnes z Fredem tak się z niej śmiali i śmiali, że miała się ochotę zapaść pod ziemię.

Ale najbardziej lubiła na plaży Hollanda variete. Gdy tylko weszli do teatru i zamknęły się za nimi obijane drzwi, zamierał cały hałas, szurgot i śmiech tłumu. Zwykle trafiali na film, za czym Margie nie przepadała, ale zaraz po filmie następowały śpiewy ilustrowane żywymi obrazami, co uwielbiała ponad wszystko na świecie. Na scenę wychodzili piękni panowie i panie w pięknych sukniach i wielkich kapeluszach, pastelowi jak barwione kwiaty, a przed nimi ustawiała się pieśniarka albo pieśniarz i śpiewali do ciemnego audytorium słowa pełne bratków i niezapominajek. Zawsze były również łodzie na szemrzących falach i elegancy panowie, którzy pomagali wysiadać paniom w pięknych toaletach, zupełnie inaczej niż nad Broad Channel, gdzie w oczy stale bił przeraźliwy blask i nie było nic prócz wysychających rozlewisk, śliskocuchnących strumienie z pięknymi zielonymi brzegami i wierzbami płaczącymi pochylonymi nad błękitną tonią. Po żywych obrazach zaczynała się rewia, na scenie pojawiali się akrobaci, tresowane foki, panowie w słomkowych kapeluszach, którzy opowiadali przekomiczne dowcipy, panie, które tańczyły. Pewnego razu były to Dziewczęta z Wesołej Wdówki w wielkich czarnych kapeluszach nasuniętych tak cudownie na jedno oko i długich obcisłych sukniach z kolorowymi trenami, niebieskimi, zielonymi, liliowymi, żółtymi, pomarańczowymi, czerwonymi, i przystojny młody człowiek w żakiecie, który tańczył walca z każdą po kolei.

Ale wyprawy na plażę Hollanda miały to do siebie, że Fred spotykał co chwila jakiegoś znajomka, z którym zniknął za wahadłowymi drzwiami knajp, skąd wracał z błyszczącymi oczami i oddechem przesyconym zapachem whisky i marynowanej cebuli. Kończyło się zawsze tak, że w połowie dnia Margie dostrzegała, jak na twarzy Agnes pojawia się ów zatroskany potulny wyraz, i wiedziała, że na dzisiaj jest po zabawie. Ostatnim razem, gdy się wybrali we trójkę na plażę, zgubiły Freda w ogóle i w rezultacie wróciły do domu same, chociaż wszędzie go szukały. Agnes tak się rozryczała, że w pociągu wszyscy się na nią gapili, przyszedł konduktor Ed Otis, który znał Freda, i próbował ją pocieszać, żeby sobie tego tak nie brała do serca, co jeszcze pogorszyło sprawę. Margie najadła się takiego wstydu, że postanowiła się zabić, a przynajmniej uciec, jak tylko wrócą do domu, żeby nie musiała nigdy więcej spojrzeć w oczy nikomu z tych ludzi z pociągu.

Tym razem Fred się nie zjawił następnego dnia, jak zwykle, natomiast przyszedł Joe Hines oznajmić, że jego zdaniem Fred się nie pokaże przez dłuższy czas, bo rozmawiał z pewnym gościem, który go widział birbantującego w Brooklynie. Agnes posłała Margie do łóżka i Margie słyszała, jak długo rozmawiali we dwoje przyciszonymi głosami w kuchni. Obudziła się nagle w środku nocy i zobaczyła Agnes wsuwającą się w koszuli do jej łóżka. Agnes miała rozpalone policzki i powtarzała w kółko:

- Co za beczelny typas! I pomyśleć, że to zwykły dróżnik! Margie, nie możemy dłużej tak żyć, prawda, maleńka?

- Do tej pory ci wiercił dziurę w brzuchu, stary nudziarz? - spytała Margie.

- Coś w tym rodzaju. Och, to potworne, nie zniosę tego dłużej. Bóg mi świadkiem, że urabiałam sobie ręce.

Margie nagle wyskoczyła z przysłowiem: "Myszy tańczą, jak kota nie czują" - i była zdumiona, że Agnes nie może się tak długo powstrzymać od śmiechu, choć równocześnie płacze.

We wrześniu, akurat gdy Agnes wyporządkowała sukienki Margie na początek roku szkolnego, przyszedł poborca po czynsz kwartalny. Jediną wiadomością, jaką miały od Freda, był list z banknotem pięciodolarowym. Fred pisał, że się wdał w bójkę, został aresztowany i siedział dwa tygodnie w ciupie, ale teraz ma pracę i wróci do domu, jak tylko trochę doprowadzi swoje sprawy do porządku. Margie dobrze wiedziała, że te pięć dolarów nie pokryje nawet długu w sklepie, zostanie jeszcze dwanaście dolarów do zapłacenia. Wróciwszy po rozmowie z poborcą do kuchni, z twarzą umazaną i wykrzywioną od płaczu, Agnes oznajmiła Margie, że się przenoszą do miasta. -

Ciągle powtarzałam Fredowi, że nadejdzie dzień, w którym miarka się przebierze. Niech się teraz sam martwi, gdzie będzie mieszkał.

Margie ani się obejrzała, jak nadszedł okropny dzień. Z pomocą Joego Hinesa, który zawsze wyświadczał Agnes przysługi, kiedy Freda nie było w domu, przetransportowały na stację swoje dwie walizy oraz wstrętne zmurszały~ kufer i wsiadły w pociąg do Brooklynu. Zajechały do rodziców Agnes, którzy mieszkali za sklepikiem z tapetami na Fulton Street pod wiaduktem kolei nadziemnej. Stary pan Fisher był tapeciarzem i sztukatorem, a w całym domu pachniało klejem, terpentyną i gipsem. Pan Fisher był mały, szczupły, siwy, a jego żona kropka w kropkę taka sama, tyle że on miał obwisłe siwe wąsy, a ona nie. Rozstawili Margie łóżko połowe w saloniku, ale czuła, że ją uważają za przybłędę. Ona też ich nie lubiła i w ogóle nie cierpiała Brooklynu. Toteż odetchnęła z ulgą, gdy Agnes, wróciwszy któregoś dnia przed kolacją z miasta, ogromnie szykowna w swoim wyjściowym stroju, jak zauważyła w myśli Margie, oświadczyła, że przyjęła posadę kucharki u pewnej rodziny w Brooklyn Heights, a ją odda na zimę do sióstr.

W klasztorze Margie była przez cały czas zalękniona, od momentu gdy przekroczyła drzwi westybuli z szarego piaskowca, z białym marmurowym posągami ustawionym po środku. Nigdy przedtem nie miała wiele styczności z religią, więc napawała ją lękiem siostry w powłóczystych czarnych habitach, z twarzami i dłońmi takimi bladymi i zawsze obrzeżonymi czymś białokrochmalonym, wielki ciemny kościół pełen świec, lekcje katechizmu i spowiedzi, i natarczywy dzwoneczek nakazujący wszystkim zamknąć oczy, kiedy podczas mszy na ołtarz cały w bursztynowych blaskach zstępował Zbawiciel wśród aniołów i gołębic. Agnes pozwalała jej zawsze biegać po domu na golasa, tak że nie mogła się teraz nadziwić, czemu podczas cotygodniowej kąpieli siostra każe jej się okrywać prześcieradłem jeszcze w wannie, a nawet namydlać pod nim.

Zima była jednym długim oczekiwaniem na Gwiazdkę, ale po nie kończących się opowieściach dziewcząt, co będą robiły podczas świąt, Gwiazdka wydała się Margie tym okropniejsza, spóźniony ponury obiad w towarzystwie Agnes i dziadków i tylko z dwoma czy trzema prezentami. Agnes była blada i śmiertelnie zmęczona po harówce przy świątecznym obiedzie w domu, gdzie pracowała. Przyniosła jej wprawdzie siatkową pończochę z łakociami i ładną złotowłosą lalkę z zamykającymi się oczami, ale Margie cały czas przetykała łyż. Nie ma nawet choinki. Jeszcze nim wstali od stołu, zaczęła zmyślać niestworzone historie do opowiedzenia dziewczynkom w internacie.

Agnes pocałowała ją właśnie na dobranoc i zakładała swój mały liniejący kołnierz futrzany, żeby wracać do Brooklyn Heights, kiedy zjawił się Fred, już pod bardzo dobrą datą, i zaczął ich wszystkich ciągnąć na jakiś jubel. Oczywiście nikt nie chciał iść i Fred wyszedł wściekły, a Agnes cała zapłakana. Margie leżała potem przez pół nocy z otwartymi oczami na łóżku rozstawionym w saloniku dziadków i rozmyślała o tym, jakie to okropne być biedną i mieć takiego tatusia.

Później musiała się objąć do końca ferii po smętnym domu dziadków, gdzie nie miała miejsca do zabawy i gdzie ją łajano za byle głupstwo. Morowo było się znaleźć z powrotem w klasztorze, gdzie siostry miały salę gimnastyczną i gdzie Margie mogła grać w koszykówkę oraz chichotać na pauzach z innymi dziewczynkami. Okres zimowy pędził wielkimi krokami ku Wielkanocy. Tuż przed świętami Margie przystąpiła do pierwszej komunii. Agnes uszyła jej białą sukieneczkę i wszystkie siostry robiły wielkie oczy, mówiły, jak ładnie i niewinnie wygląda ze swoimi złotymi lokami i błękitnymi oczami, zupełnie jak aniołek, a Minette Hardy, starsza dziewczynka z zadartym nosem, zadurzyła się w niej i wciskała jej na boisku czekoladki miętowe owinięte w kartki papieru z nagryzmołonym: "Złotowłosej w dowód miłości od kochającej Minette" - albo czymś w tym rodzaju.

Margie była nieszczęśliwa, kiedy ją się zbliżał koniec roku szkolnego, a ona nie miała nic do powiedzenia dziewczynkom o swoich planach wakacyjnych. W lecie wybujała bardzo, zrobiła się niezgrabna i zaczęły jej rosnać piersi. Duszne zakurzone upały wlokły się niezdolnie u Fisherów. Złe jej było z dziadkami, uwięzionej w ciasnym mieszkaniu jak w kurniku. Babcia Fisher nie pozwalała jej na chwilę zapomnieć, że właściwie nie jest dzieckiem Agnes, i nie ukrywała, że uważa za głupotę ze strony córki utrzymywanie bachora takiego hultaja jak Fred. Pędzili ją bez przerwy do roboty, żeby zapracowała na swoje życie, i ani jeden dzień nie mijął

bez scen, besztań i łez.

Margie nie posiadała się z radości, gdy pewnego dnia przyszła Agnes i powiedziała, że dostała nową pracę i że się przeniosą obie do Nowego Jorku. Margie zaczęła podskakiwać wykrzykując:

- Rajku, rajku! Och, Agnes, będziemy bogate!

- Aha, już to widzę - odrzekła Agnes. - Ale wszystko lepsze od służenia w cudzym domu.

Oddały kufer i walizki przewoźnikowi, a same pojechały koleją nadziemną na Manhattan i dalej metrem w górę miasta. Ulice odległej Zachodniej Strony wydały się Margie zaskakująco szerokie, przestronne i słoneczne. Zamieszkały u państwa Francinich, w małym mieszkaniu na rogu kwartału, w którym gospodarze prowadzili na Amsterdam Avenue piekarnię, gdzie Agnes miała pracować. Dostały osobny pokój wyłącznie dla siebie, ciasny, ale z kanarkiem w klatce i mnóstwem roślin na parapecie. Państwo Francini okazali się oboje zażywni i weseli, a do każdego posiłku jedli ciasto z lukrem. Pani Francini była siostrą babci Fisher.

Margie nie pozwalano się bawić z dziećmi na podwórku, bo państwo Francini twierdzili, że to nie jest bezpieczne miejsce dla dziewczynki. Wobec tego wychodziła tylko raz w tygodniu, w niedzielę po południu, kiedy wszyscy uważali za swój obowiązek wyjść na Riverside Drive, by odbyć przechadzkę do Grobowca Granta* i z powrotem. Margie bolały nogi od dreptania zatłoczonymi ulicami powolnym kroczkiem państwa Francinich. Przez całe lato marzyła o wrotkach, ale po wiecznych opowieściach państwa Francinich i sióstr w klasztorze o niebezpieczeństwach czyhających na dziewczynki bała się wychylić sama nosa na ulicę, choć nie bardzo wiedziała, czego się boi. Lubiła natomiast pomagać Agnes i państwu Francinim w piekarni.

Na jesieni poszła z powrotem do klasztoru. Pewnego popołudnia, niedługo po powrocie Margie z ferii gwiazdkowych, przyjechała z wizytą Agnes. Od razu wszedłszy do rozmównicy Margie zauważyła, że Agnes ma czerwone oczy, więc spytała, czy coś się stało. Okazało się, że sprawy w piekarni przybrały katastrofalny obrót. Pan Francini, trafiony apopleksją, padł martwy w połowie wypieku, a pani Francini wyjeżdża na wieś zamieszkać u wuja Joego Fishera.

- No, i jest jeszcze coś - wykrztusiła Agnes uśmiechając się i czerwieniąc. - Nie mogę ci teraz powiedzieć. Nie sądz, że twoja biedna Agnes jest zepsuta i zła, ale nie mogłam już dłużej znieść samotności. Margie podskoczyła do góry.

- Rajku, wrócił Fred!

- Nie, kochanie, to coś innego - powiedziała Agnes, pocałowała ją i poszła sobie.

Na Wielkanoc Margie została w klasztorze na całe ferie. Agnes napisała, że nie ma jej w tej chwili dokąd zabrać. W internacie zostało jeszcze parę dziewczynek, więc nawet przyjemnie spędziła czas. Aż tu któregoś dnia Agnes przyjechała ją wziąć na miasto. W wielkim pudle przywiozła jej prosto z magazynu nową granatową sukieneczkę i mały słomkowy kapelusik z różowymi kwiatami. Bibuła szeleściła tak cudownie, kiedy rozpakowywała pudło. Margie pobiegła do sypialni i z łomoczącym sercem przebrała się w nową sukienkę, najśliczniejszą i najdoroślejszą, jaką miała w życiu. Skończyła dopiero dwanaście lat, lecz o ile mogła się przejrzeć w małych lusterkach, na jakie im jedynie pozwalano, wyglądała w niej zupełnie dorosłe. Zbiegła pędem po schodach z szarego piaskowca, potknęła się i wpadła prosto w objęcia siostry Elizabeth.

- Cóż to za nadzwyczajny pośpiech?

- Mamusia po mnie przyjechała. Zabiera mnie na spotkanie z tatusiem. Dostałam nową sukienkę.

- Śliczna - powiedziała siostra Elizabeth - to jednak nie powód...

Ale Margie już pędziła korytarzem w stronę rozmównicy. Podskakując jęła ścisnąć i całować Agnes.

- Nigdy nie miałam takiej cudownej sukienki.

Jadąc koleją nadziemną do Nowego Jorku mówiła cały czas tylko o sukience. Agnes jej powiedziała, że pójda do restauracji, gdzie jadają ludzie teatru.

- Rajku, nigdy nie jadłam w prawdziwej restauracji. Na to trzeba zarabiać mnóstwo pieniędzy, być bogatym.

- T-tak, on z-zarabia mnóstwo - odparła Agnes z dziwnym zająknięciem.

Ze stacji kolei nadziemnej poszły Trzydziestą Ósmą Ulicą w kierunku zachodnim. Na ich widok, zamiast Freda, podniósł się od stolika wysoki brunet o dystyngowanych ruchach i długim prostym nosie.

- Margie, to Frank Mandeville - przedstawiła Agnes.

Margie najmniejszym mrugnięciem nie dała po sobie poznać, że nie tego się spodziewała. Aktor się uklonił i wyciągnął do niej rękę, jakby była dorosłą kobietą.

- Aggie nic mi nie mówiła, że z panienki taka piękność. Co za oczy, co za włosy! - powiedział najpoważniejszym tonem.

Zjedli cudowny lunch, a potem poszli do teatru Keitha* i siedzieli na parterze tuż koło orkiestry. Margie wstrzymywała dech z emocji, że jest w towarzystwie prawdziwego aktora. Powiedział jej, że następnego dnia wyjeżdża na dwunastotygodniowe tournée z trupą, w której śpiewa i gra na fortepianie, i że zabiera ze sobą Agnes.

- Ale jak tylko wrócimy, zamieszkamy razem z naszą małą dziewczynką - dorzuciła Agnes.

Margie była taka podekscytowana, że dopiero leżąc w łóżku, z powrotem w pustej sypialni klasztornej, połapała się, co to oznacza: będzie musiała zostać u sióstr przez calutkie lato. Ale na jesieni rzeczywiście

opuściła na dobre klasztor i zamieszkała wraz z państwem Mandeville'ami, bo tak się kazali teraz nazywać, w dwu pokojach od ulicy, odnajmowanych od pewnego kręgarza w wielkiej starej kamienicy z brunatnego piaskowca, z wysokim gankiem i schodkami, daleko na Siedemdziesiątej Dziewiątej Zachodniej Ulicy. Uwielbiała nowy dom i rychło się zaprzyjaźniła z aktorami i innymi ludźmi teatru, takimi światowymi i zawsze eleganckimi, którzy mieszkali na piętrach nad nimi. Agnes ją upominała, żeby sobie nie pozwoliła zawrócić w głowie, bo wszyscy tak się rozplývają nad jej błękitnymi oczami, lokami jak u Mary Pickford i talentem do rzucania z cicha pęk, z kamienną twarzą komicznych uwag.

Frank Mandeville sypiał zawsze do południa, więc Agnes i Margie zjadały same dość wcześnie śniadanie, rozmawiając szeptem, żeby go nie obudzić, a potem wyglądały przez okno na ciężarówki, taksówki i furgony meblowe przejeżdżające ulicą albo Agnes opowiadała Margie o występach w teatrach rewiowych w wielkich miastach i o pojedynczych spektaklach w różnych dziurach, mówiła, jaka jest szczęśliwa i jakie to łatwe swobodne życie, nie to co ta wieczna harówka od rana do nocy, jaką miała nad Broad Channel. Opowiedziała jej, jak poznała Franka Mandeville'a, kiedy był kompletnie wykończony i splukany, przemyśliwał nawet, czyby nie odkręcić gazu. Przychodził zawsze do piekarni na śniadanie o drugiej po południu, gdy akurat wszyscy się rozeszli. Mieszkał tuż za rogiem na Sto Czwartej Ulicy. Kiedy nie miał już centa przy duszy, Agnes pozwalała mu jeść na kredyt, bo serce jej się krajało, że nie ma engagement i znosi to z taką godnością. Potem dostał zapalenia płucnej i groziły mu suchoty, a ona czuła się taka samotna i nieszczęśliwa, że przestała się oglądać, co ludzie powiedzą, tylko się do niego przeniosła, żeby go pielęgnować, i już została. A teraz są dla wszystkich państwem Mandeville'ami i Frank zbija ciężkie pieniądze ze swoim trio Muzykalnych Mandeville'ów.

Tutaj Margie pytała o jego partnerów, Florydę Schwartz, roślą kobietę o tubalnym głosie i tycjanowskich włosach ("Oczywiście, że je farbuje - mówiła Agnes. - Henna"), i jej syna Manniego, wrednego osiemnastoletniego bubka cienkiego jak osa, który nie zwracał na Margie najmniejszej uwagi. Kręgarz, który mieszkał na parterze i którego nazywano powszechnie Indianinem, był flamą Florydy i to ona urządziła wszystkich w jego domu.

- Aktorzy są trochę postrzeleni - mówiła Agnes - ale serca mają szczerzłote.

Muzykalni Mandeville'owie ćwiczyli popołudniami w pokoju od ulicy, gdzie był fortepian. Grali na różnych instrumentach i śpiewali piosenki, a Mannie, który miał pseudonim sceniczny Eddie Keller, wykonywał taniec ekscentryczny oraz parodię Hazel Dawn*. Margie wszystko wydawało się cudowne, a już myślała, że padnie trupem z wrażenia, gdy pewnego dnia, kiedy wszyscy razem jedli kolację przyniesioną z garmazerii, pan Mandeville oznajmił ni z tego, ni z owego, że mała powinna zacząć brać lekcje śpiewu i tańca.

- Widzę, że masz pieniądze do wyrzucenia, Frank - powiedział Mannie znad kości kurczęcia, którą obgryzał.

- Nikt cię nie pyta o zdanie - warknęła Floryda.

- Jej ojciec był kiedyś świetnym śpiewakiem i tancerzem - wtrąciła Agnes na swój trwożny zdławiony sposób.

W Nowym Jorku wszyscy robili kariery, więc Margie postanowiła, że ona też zrobi. Codziennie maszerowała Broadwayem w dół Manhattanu na lekcje w atelier, które się mieściło na Lincoln Square w tym samym budynku co teatr, gdzie w październiku występowali przez dwa tygodnie Muzykalni Mandeville'owie. Agnes przychodziła po nią prawie co dzień po lekcji, zjadały razem po sandwiczu i wypijały po szklance mleka w pobliskiej mleczarni, po czym szły na spektakl. Agnes nie mogła się nigdy nadziwić, że pani Schwartz wygląda tak młodo i ładnie w świetle jupiterów, a Frank wydaje się taki smutny i dystyngowany, gdy wchodzi na scenę w swojej czarnej pelerynie.

W zimie Agnes dostała również pracę, prowadzenie herbaciarni dla artystów na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy tuż koło Broadwayu, u niejakiej panny Franklyn, która była teozofką i która wyłożyła kapitał na otwarcie herbaciarni. Pracowali wszyscy tak, że się spotykali tylko na chwilę wieczorem, gdy Frank, Floryda i Mannie wpadali coś przekąsić przed spektaklem.

Muzykalni Mandeville'owie grali w Newark w dniu, w którym Margie po raz pierwszy wystąpiła na scenie. Miała wbiec w środku numeru zatytułowanego "Wszyscy to robią" tocząc dziecinne kółko, w niebieskiej muślinowej sukieneczce, której nie cierpiała, bo wyglądała w niej na sześć lat, a uważała, że powinna wyglądać dorosło, skoro gra w teatrze, zrobić kilka tanecznych pas w takt ragtime'u, potem dygnąć, jak ją nauczyły siostry w klasztorze, i wybiec ze swoim kółkiem. Frank kazał jej to powtarzać i powtarzać bez końca, a Mannie robił bez przerwy uszczypliwe uwagi, tak że próby kończyły się często łzami. Miała okropną tremę i serce jej waliło młotem, gdy czekała na swoje wejście, a potem ani się spostrzegła, jak było po wszystkim. Wybiegła zza brudnych kulis w ciepły mieniący się blask sceny. Wszyscy ją ostrzegali, żeby nie patrzyła na widownię, ale raz zerknęła w przyprószoną światłem czeluść z rządkiem nieostrych białych twarzy. W rezultacie zapomniała końca piosenki, położyła swój numer i potem się zapłakiwała w garderobie. Lecz przyszła Agnes i powiedziała, że była urocza, za nią Frank cały w uśmiechach, nawet Mannie zapomniał jakoś o uszczypliwościach, więc serce już jej tak nie waliło, gdy następnym razem wychodziła na scenę. Najdrobniejsza rzecz, jaką zrobiła, znajdowała oddźwięk w zamglonej czeluści pełnej twarzy. Pod koniec

tygodnia zbierała już takie oklaski, że Frank postanowił przesunąć numer "Wszyscy to robią" na sam finał.

Floryda Schwartz orzekła, że Margie to zbyt wulgarnie imię na scenę, więc figurowała na afiszach jako Mała Margo.

Przez całą zimę i następne lato objeżdżali jeden po drugim teatry Keitha, spędzając noce w slipingach i przeróżnych hotelach, w Chicago, Milwaukee, Kansas City i tylu innych miastach, że Margie nie była w stanie zapamiętać ich nazw. Agnes jeździła z nimi jako garderobiana pakując, ekspedując bagaż i dźwigając za wszystkich. Bez przerwy prała, prasowała, podgrzewała zupę z puszek na maszynie spirytusowej. Margie zaczęła jej się wstydzić, bo tak nędznie wyglądała przy Florydzie Schwartz. Ilekroć spotykane dzieci z innych trup pytały ją, kogo uważa za największego gwiazdora rewii, odpowiadała, że Franka Mandeville'a.

Kiedy wybuchła wojna, Muzykalni Mandeville'owie wrócili właśnie do Nowego Jorku i szukali następnego engagement. Któregoś wieczora, gdy Frank wystąpił z projektem rozbudowania ich numeru w małą operetkę i zrobienia z niego w ten sposób prawdziwego szlagiera, doszło między nim a Schwartzami do kłótni na tle politycznym. Frank powiedział, że Mandeville'owie się wywodzą ze starej szlachty, a Szwabry są barbarzyńskimi wieprzami nie mającymi pojęcia o sztuce. Schwartzowie się zaperzyli i jęli wykrzykiwać, że Francuzi to degeneraci, którym nie można ufać w kwestiach pieniężnych, i że Frank ich kantuje na kasie. Zrobił się taki jazgot, że sąsiedzi zaczęli walić w ścianę, a z sutereny przyszła ich uspokajać pani o wielbłądziej twarzy, w szlafroku całym w czerwone i niebieskie maki oraz papilotach na głowie. Agnes szlochala, Frank wrzeszczał gromkim głosem, żeby Schwartzowie się wynosili i nie ważyli więcej przestąpić jego progę, a Margie dostała ataku historycznego śmiechu. Im bardziej Agnes ją besztala, tym bardziej ona się śmiała. Dopiero gdy Frank ją przygarnął do gorsu swego dandysowskiego kraciastego garnituru i jął głaskać po głowie i po czole, zdołała się opanować. Ale jeszcze leżąc po ciemku w łóżku czuła dziwny dławiący wiew wody laurowej, energiny i egipskich papierosów, który jej zakręcił w nozdrzach, gdy przywarła do jego piersi.

Na jesieni zrobiło się w domu krucho, o engagement do rewii było w ogóle trudno, na domiar złego Frank nie miał partnerki do swego numeru. Agnes zaczęła znowu pracować w herbaciarni panny Franklyn, a Margie musiała przerwać lekcje śpiewu i tańca. Przeprowadzili się do jednego pokoju z alkową, w której Margie sypiała za zasłoną.

Październik był bardzo gorący tego roku. Margie, nieszczęśliwa, przesiadywała po całych dniach w pokoju, w upale nieznośnym mimo otwartego okna, bo parowe radiatory nie dawały się do końca zakręcić. Przez cały czas czuła się zmęczona. W domu pachniało stale rurkami do włosów, kremami, mydłem do golenia. Wszystkie pokoje zajmowali aktorzy i różni ludzie kręcący się koło teatru, więc o żadnej porze nie można było przejść do toalety na półpiętrze, żeby nie napotkać na schodach postaci w szlafrokach i bonzurkach, z zapuchniętymi oczami. Mężczyźni, z którymi Margie się mijala w ciasnym korytarzu, obrzucali ją lepkimi palącymi spojrzeniami, od których ją ogarniała dziwna słabość.

Najbardziej kochała teraz Franka. Agnes była bez przerwy poirytowana, bo albo musiała pędzić do pracy, albo właśnie wróciła śmiertelnie zmęczona z pracy, Frank zaś rozmawiał z nią zawsze tak poważnie, jakby była dorosłą osobą. Kiedy z rzadka zostawał po południu w domu, uczył ją dykcji i opowiadał jej anegdoty o tournée, na którym występował razem z Richardem Mansfieldem*. Zadawał jej kawałki ról do nauczenia się na pamięć i po powrocie do domu kazał je recytować. Jeśli ich nie umiała, robił się bardzo chłodny, zaczynał krążyć po pokoju i mówił:

- Sama będziesz sobie winna, moja droga, na karierę trzeba zapracować. Masz wrodzony talent, ale bez pracy to nic nie znaczy. Chyba że wolisz harować przez całe życie w herbaciarni jak biedna Agnes.

Podbiegała wówczas, zarzucała mu ramiona na szyję i obsypywała go całusami.

- Słowo daję, Frank, będę pracowała jak mróweczka.

Robił się cały czerwony, gdy go całowała albo mu burzyła włosy, mówił: "Dość tych poufałości, moje dziecko" - i proponował, że pójdą się przespacerować po Broadwayu. Czasami gdy miał trochę pieniędzy, szli pojeździć na wrotkach na torze w Parku Świętego Mikołaja. Kiedy rozmowa schodziła na Agnes, mówili o niej zawsze „biedna Agnes”, jak o osobie niespełna rozumu. Było w niej coś budzącego litość.

Ale przez większość czasu Margie objała się po kątach, czytała magazyny albo leżała na łóżku w alkwie i liczyła godziny, które się wlokły tak beznadziejnie. W głowie roily jej się rozmaite historie, o chłopcach, którzy ją zapraszają do teatrów i restauracji, o domu, jaki będzie miała, kiedy już zostanie wielką gwiazdą, o brylantach, jakie sobie sprawi. Kiedy indziej przypominała sobie, jak kręgarz Indianin robił jej masaż, gdy dostała kiedyś takiej okropnej migreny. Silny, brązowy, żyłasty, rozebrany do koszuli, miętosił jej plecy łapami o potężnych kłykciach. Niepokoiły ją zawsze jego oczy. Podobne oczy spostrzegala czasami wpatrzone w siebie, gdy szła Broadwayem; przyśpieszała wówczas kroku, nie śmiać się obejrzeć, czy ciągle ją świdrują, i przybiegała do domu zdyszana i przerażona.

Pewnego popołudnia późną jesienią Margie leżała na łóżku czytając numer "Eleganckiego Świata"* kupiony przez Franka. Usłyszawszy skrzypnięcie buta poderwała się chowając magazyn pod poduszkę, bo przyrzekła Agnes, że go nie będzie czytała. W drzwiach stał Frank, patrzył na nią. Od pierwszego rzutu oka wiedziała, że pił. W oczach miał to spojrzenie, zwykle bladą twarz zarumienioną.

- Ha-ha, tym razem cię przyłapałem, mała Margo.

- Nie myślisz chyba, że się nie nauczyłem roli? - powiedziała Margie.

- Żałuję, że ja się nauczyłem swojej - odparł Frank. - Przed chwilą podpisałem najhaniańbniejszy kontrakt w swojej karierze. Niedługo świat ujrzy Franka Mandeville'a na scenie plugawej burleski. - Usiadł na łóżku nie zdjawszy nawet pilśniowego kapelusza, zasłonił dłonią oczy. - Boże, jaki ja jestem zmęczony. - Po chwili popatrzył na nią oczami przekrwawionymi i nieruchomymi. - Moja mała Margo, ty jeszcze nie wiesz, co to borykać się ze światem.

Margie, z leciutkim chichotem, odparła, że wie więcej, niż mu się wydaje. Usiadła koło niego na łóżku, zdjęła mu kapelusz, odgarnęła spocone włosy z czoła. Jakiś głos w środku mówił jej, że nie powinna tego robić, ale nie mogła się powstrzymać.

- Chodźmy pojeździć na wrotkach, Frank. To takie okropne siedzieć w domu cały dzień.

- Wszystko jest okropne - powiedział.

Nagle przyciągnął ją i zaczął całować w usta. Zakręciło jej się w głowie od zapachu wody laurowej, papierosów, whisky, goździków, jego potu. Jęła się wyrywać.

- Puść mnie, Frank, puść.

Trzymał ją mocno. Czowała drzenie jego rąk, łomot jego serca pod kamizelką. Jedną ręką przyciskał ją do siebie, drugą szarpał na niej ubranie. Głos miał zupełnie zmieniony.

- Nie zrobię ci krzywdy. To nie będzie bolało, dziecko. Nie myśl o tym, to drobiazg. Ja już dłużej nie wytrzymam. - Skomlał jej tym zmienionym głosem nad uchem. - Proszę cię, proszę.

Bała się krzyżeć, żeby się nie zlecieli sąsiedzi. Z zaciśniętymi zębami grzmociła i drapała wielką twarz o mokrych ustach, które jej miażdżyły wargi. Obezwładniała ją niemoc jak we śnie. Czowała kolano wpychające jej się między nogi.

Kiedy było już po wszystkim, nie płakała. Ogarnęła ją apatia. Frank chodził tam i z powrotem po pokoju łkając. Wstała, poprawiła sukienkę. Podszedł i potrząsnął ją za ramiona.

- Jeśli komukolwiek piśniesz o tym słówkiem, to cię zakatrupię, mała pokusnico! Nie krwawisz?

Pokręciła głową. Podszedł do miednicy, obmył twarz.

- To było ponad moje siły, nie jestem świętym. Bez przerwy to za mną chodziło.

Margie usłyszała nadchodzącą Agnes, skrzyp schodów pod jej krokami. Agnes sapiąc mocowała się z klamką.

- Na miłość Boską, co się stało? - spytała wchodząc zadyszana.

- Agnes, musiałem skarcić twoją córkę - powiedział Frank swoim głosem tragika. - Wracam zupełnie nieżywy ze zmęczenia i zastaję smarkulę czytającą ten plugawy magazyn. Nie mogę tego tolerować, w końcu jestem jej opiekunem.

- Och, Margie, obiecałaś, że nie będziesz tego czytać. Ale co się stało z twoją twarzą, Frank?

Frank wyszedł na środek pokoju, osuszając twarz delikatnymi dotknięciami ręcznika.

- Lepiej od razu się przyznam, Agnes. Wdałem się w awanturę w mieście. Miałem bardzo ciężki dzień, nerwy mi zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Co sobie o mnie pomyślisz, jak ci powiem, że podpisałem kontrakt na występy w burlesce?

- Ależ to wspaniale - odrzekła Agnes. - Okropnie potrzebujemy pieniędzy. Ile będziesz dostawał?

- Wstyd powiedzieć. Dwadzieścia tygodniowo.

- Kamień mi spadł z serca. Myślałam, że się stało coś strasznego. Może Margie by wznowiła swoje lekcje?

- Jeśli będzie grzeczna i przestanie marnotrawić czas na czytanie brukowych magazynów...

Margie trzęsła się w środku jak galareta. Oblewały ją zimne poty. Pobiegła na górę do toalety, zamknęła się na cztery spusty, osunęła koło muszli i zwymiotowała. Potem siedziała długo na brzegu wanny. W głowie miała jedną myśl: uciec.

Ale jakoś nie mogła się zdobyć na ucieczkę. Przed Bożym Narodzeniem znajomi Franka załatwili jej rolę w sztuce dla dzieci. Dostawała dwadzieścia pięć dolarów za występ i była pupilką wszystkich pań z towarzystwa. Rozpierała ją duma. O mały włos nie została przyłapaną z chłopcem, który grał rycerza, kiedy to robili za dekoracjami, korzystając, że w teatrze pogaszono światła na czas próby.

Okropnie było mieszkać w jednym pokoju z Frankiem i Agnes. Nienawidziła ich teraz. W nocy leżała w dusznej alkowie i nasłuchiwała z płonącymi oczami. Wiedziała, że starają się zachowywać cicho, że nie chcą, żeby ich słyszała, ale mimo woli nastawiała ucha i wstrzymywała dech, kiedy ze starego rozchwierutanego łóżka, na którym spali, zaczynał dochodzić przytłumiony skrzyp sprężyn. Po takich nocach spała długo, ciężkim przepastnym snem, z którego chciała się nigdy nie przebudzić. Zrobiła się krnąbrna i pyskata w stosunku do Agnes, nie słuchała żadnych poleceń. Agnes łatwo było doprowadzić do płaczu.

- Diabeł wstąpił w tę dziewczuchę - mówiła ocierając oczy. - Nie mogę z nią nijak dojść do ładu. Przewróciło jej się w głowie od tego pożał się Boże sukcesu.

W zimie zaczęła często spotykać Indianina w drzwiach jego gabinetu, kiedy wychodziła z domu. Stał brązowy i żyłasty w swoim białym kitlu i zawsze chciał z nią rozmawiać, pokazywać jej jakieś obrazki albo coś w tym rodzaju. Proponował jej nawet gratisowe masaże, ale zaglądała mu tylko głęboko w niesamowite granatowoczarne ślepie i zbywała go jakimś zarcikiem. Aż w końcu weszła któregoś dnia nie proszona do jego

gabinetu, gdy nie miał pacjentów, i usiadła mu bez słowa na kolanach.

Ale najbardziej ze wszystkich chłopców w domu podobał jej się Kubańczyk nazwiskiem Toni Garrido, który akompaniował na gitarze dwojgu Południowoamerykanom tańczącym maczicę w jednym z kabaretów na Broadwayu. Spotykała go często na schodach, wiedziała, kim jest, i durzyła się w nim na długo przedtem, nim zamienili słowo. Wyglądał tak młodo ze swymi wielkimi brązowymi oczami i gładką owalną twarzą koloru bardzo jasnej kawy, o leciutkich rumieńcach pod długimi wydatnymi kośćmi policzkowymi. Zastanawiała się zawsze, czy skóra na jego ciele jest tego samego kawowego koloru. Miał grzeczny nieśmiały sposób bycia i niski męski głos. Od pierwszych słów, które do niej powiedział, kiedy się zatrzymała pewnego wiosennego wieczora na ganku, zastanawiając się rozpaczliwie, co by tu jeszcze wymyślić, żeby odwlec chwilę powrotu do domu, wiedziała, że straci dla niej głowę. Spytała go ze śmiechem, co robi, żeby mieć takie czarne rzęsy. Odrzekł, że to samo co ona, żeby mieć takie piękne złociste włosy. Następnie zaprosił ją na lody.

Potem spacerowali po Riverside Drive. Toni mówił dobrze po angielsku, ale z lekkim cudzoziemskim akcentem, który zdaniem Margie dodawał mu dystynkcji. Bardzo szybko przestali dowcipkować i Toni jął jej się zwierzać, jak tęskni za Hawaną i jak się pragnie wyrwać z Nowego Jorku, wobec czego ona zaczęła mu się wyplakiwać na okropne życie, jakie tu prowadzi, jak nie może wyjść na schody, żeby wszyscy mężczyźni jej nie podszczyrywali i nie próbowali przypierać do ścian, a już to mieszkanie w jednym pokoju z Agnes i Frankiem Mandevillem jest zupełnie nie do zniesienia, chyba się rzuci do rzeki jeśli to dłużej potrwa. Co zaś do tego Indianina, to by mu się nie pozwoliła tknąć palcem, choćby był ostatnim mężczyzną na świecie.

Wróciła do domu dopiero, gdy Toni musiał iść do swego kabaretu na Broadwayu. Zamiast kolacji zjedli jeszcze po porcji lodów w drogerii. Margie wracała wesoła jak skowronek. Wychodząc z drogerii usłyszała, jak mijająca ich kobieta mówi do swojej towarzyszki:

- Popatrz, jaka piękna młoda para.

Ma się rozumieć, Frank i Agnes zrobili jej piekielną awanturę. Agnes szlochała, Frank doprowadził się do szewskiej pasji i wykrzykiwał, że rozwali łeb temu parszywemu Metysowi, jeśli ten choćby tknie palcem taką śliczną niewinną białą dziewczynę jak Margie. Margie odpaliła, że będzie robić, co jej się żywnie podoba, i nawygadywała im najokropniejszych rzeczy, jakie jej przyszły do głowy.

Zdecydowała, że jedyne, co jej pozostaje, to wydać się za Toniego i uciec z nim na Kubę.

Toni nie palił się zbyt do małżeństwa, co nie przeszkadzało, że gdy tylko Frank wychodził w południe z domu, pędziła na górę, do małego pokoiku z korytarza, budziła Toniego, ścisnęła go i baraszkowała z nim. Chciał się z nią kochać, ale mu nie pozwalała. Kiedy go pierwszy raz odepchnęła, załamał się i powiedział z płaczem, że to śmiertelna obraza, na Kubie żaden mężczyzna by nie pozwolił na coś podobnego.

- Jesteś pierwszą kobietą, która wzgardziła moją miłością - oświadczył.

Margie odrzekła, że mało ją to wzrusza, nici z tego, dopóki się nie pobiorą i nie znajdą daleko od tego paskudnego miejsca. W końcu pewnego popołudnia tak długo mu dokuczała, aż wreszcie powiedział dobrze. Margie zaczesła włosy do góry, włożyła swoją najdoroślejszą sukienkę i pojechali metrem do magistratu. Byli oboje w śmiertelnym strachu, gdy wchodzili po schodach. Toni powiedział, że ma dwadzieścia jeden lat, ona że dziewiętnaście, i urzędnik stanu cywilnego jakoś to przełknął. Pieniądze na opłacenie licencji ślubnej Margie zwędziła z torebki Agnes.

Myślała, że oszaleje przez długie tygodnie, które pozostały do zakończenia engagement Toniego. Wreszcie, gdy zapukała do jego pokoju pewnego dnia w maju, pokazał jej dwieście dolarów, które zaoszczędził, i powiedział:

- Dziś bierzemy ślub, jutro odpływamy do La Avana. Zarobimy tam furę pieniędzy. Ty będziesz tańczyła, ja będę grał na gitarze i śpiewał.

Szpiczastymi palcami swojej małej dłoni zrobił taki ruch, jakby już grał. Margie zaczęło walić serce. Zbiegła na dół. Franka już nie było. Na tekturowej wkładce, z którą wróciła z pralni jedna ze sztywnych koszul Franka, nabazgrała liścik do Agnes.

Agnes kochana!

Nie gniewaj się. Pobieramy się dziś z Tonim i będziemy mieszkać w Hawanie na Kubie. Powiedz ojcu, jeśli go zobaczysz. Będę często pisała. Ucalowania dla Franka.

Twoja wdzięczna córka

Margery

Wrzuciła swoje rzeczy do angielskiej walizy ze świńskiej skóry, własności Franka właśnie wykupionej przez niego z lombardu, i zbiegła po trzy schodki na dół. Toni, blady i drżący, czekał na nią na ganku, z walizką oraz gitarą w futerałach.

- Weźmiemy taksówkę - powiedział. - Stać nas na to.

Dłoń miał lodowatą, kiedy go ujęła za rękę w taksówce. W magistracie był taki spłoszony, że zupełnie zapomniał angielskiego i Margie musiała wszystko załatwiać. Obrączki pożyczyci od sędziego pokoju. Ceremonia trwała chwilę i już jechali z powrotem taksówką do hotelu na górnym Manhattanie. Margie nie mogła sobie później w żaden sposób przypomnieć nazwy hotelu. Oboje byli tacy zdenerwowani, że

recepjonista nie chciał ani rusz wierzyć, że są małżeństwem, musieli mu dopiero pokazać świadectwo ślubu na wielkim blankiecie z obwódką z niezapominajek. Znalazłszy się w pokoju wymienili szybki pocałunek i zaczęli się szykować, bo mieli iść do teatru. Przed przedstawieniem poszli na obiad do Shanleya, gdzie Toni zamówił drogiego szampana, po którym zaczęli się oboje chichotać. Toni powtarzał jej w kółko, jakie to bogate miasto La Avana i jak tam cenią artystów, bogacze będą mu płacić po pięćdziesiąt i sto dolarów za granie na przyjęciu.

- A we dwoje z tobą, kochana Margo, zarobimy dwa, trzy, sześć razy tyle. Wynajmiemy luksusowy dom w Vedado, to bardzo elegancka dzielnica, a służba jest tam taka tania, że będziesz żyła jak królowa. Zobaczysz, mam tam mnóstwo przyjaciół, lubi mnie wielu bogatych ludzi.

Margie siedziała wygodnie na krześle i patrzyła na salę, na eleganckie panie i panów, na nadskakujących kelnerów, na srebrne naczynia, w których wszystko podawano, na długie rzęsy Toniego omiatające jego różowe policzki, gdy opowiadał, jak tam ciepło, jak od morza zawiewa orzeźwiająca bryza, jakie są palmy i róże, papugi i ptaki śpiewające w klatkach, i jak wszyscy szastają pieniędzmi w La Avana. Zdawało jej się, że to pierwszy szczęśliwy dzień w jej życiu.

Kiedy nazajutrz wsiadali na statek, Toni miał ledwo pieniądze na bilety drugiej klasy. Do Brooklynu dojechali koleją nadziemną, żeby nie wydawać na taksówkę. Wchodząc po trapie Margie musiała dygować obydwie walizki, bo Toni oświadczył, że go boli głowa i boi się upuścić gitarę.

KRONIKA LIV

transakcje poranne nie odznaczały się niczym szczególnym. W pierwszej godzinie było trochę zwykłego kupna i sprzedaży dla wysondowania koniunktury, ale krótko po jedenastej wahanie cen się zmniejszyło i kursy stopniowo ustaliły

KLIENCI Z TIMES SQUARE POZOSTALI PÓŁ OGOLENI

Jeśli Ceny Nie Spadną, Plony Zgniją W Rękach Farmerów

ROSYJSKA BARONOWA SAMOBÓJCZYNIĄ W MIAMI

*To nie jest, bracie, dziewczyna,
Której się nie zapomina.
To awanturka na kilka dni*

Coolidge Roztacza Obraz Ogólnego Dobrobytu Pod Jego Rządami

PRZECZESYWANIE LASÓW NEW JERSEY ZA ZBIEGLYM LAMPARTEM

ŚWINIARKA WIDZIAŁA MORDERSTWO

Ktoś tego musiał dokonać i mnie się powiodło, powiedziała panna Ederle*

CZTERDZIESTU DWÓCH OSKARŻONYCH W AFERZE FLORYDZKIEJ!*

Nowy Świadek Zeznaje, że Widział Kobiętę Podobną do p. Hall, Wymyślającą Zamordowanej Parze w Poblżu Miejsca Zbrodni*

tornado położyło pokotem, jak kosa zboże, kilkaset namiotów i innych lekkich osłon postawionych przez obozowiczów na wzgórzu na południe od Front Street, skąd roztacza się widok na Hempstead Harbor

*Kiedy zagrają oblubienicy,
Ty będziesz czekał na u-u-licy*

TRZY TYSIĄCE AMERYKANÓW BEZ CENTA W PARYŻU

*Marne moje widoki,
Bom biedna dziewczyna.
Cholewki do mnie smali
Byle woźniczyna*

DZIEWIĘĆ OSÓB UTONEŁO WSKUTEK POWODZI NA PÓLNOCY STANU

SZEJK GAŚNIE*

Sławny gwiazdor Rudolf Valentino zasnął wczoraj nagle w swoim apartamencie w hotelu Ambassador. W parę godzin później został poddany

WIRTUOZ TANGA

Dziewiętnastoletniego syna weterynarza z Castellanety w południowych Włoszech wyprawiono do Ameryki jak wielu niesfornych młodych Włochów, kiedy rodzice ostatecznie zwątpili, że go kiedykolwiek poskromią: albo pójdzie na dno, albo wypłynie i kto wie, może zacznie nawet przysyłać do domu po parę lirów międzynarodowymi przekazami pocztowymi. Chociaż rodzina położyła na nim krzyżyk, Rodolfo Guglielmi chciał się wybić.

Dostał pracę młodszego ogrodnika w Central Parku, ale była to ostatnia rzecz, jaką chciał robić; chciał błyszczeć na afiszach; pieniądze go się nie trzymały.

Kręcił się koło kabaretów chwytając się przygodnych zajęć, zamiatając za kelnerów, myjąc automobile; był leniwy, przystojny, smukły, zgrabny, pogodny i próżny; nikt nie tańczył tanga tak jak on.

Kobiety spragnione miłości uważały, że jest uroczy. Zaczęto go angażować do numerów tanecznych na balach i w kabaretach; w duecie z dziewczyną nazwiskiem Jean Acker wyruszył w tournée po music-hallach przybrawszy pseudonim Rudolf Valentino.

Osiadłszy na łodzi na Zachodnim Wybrzeżu pojechał do Hollywoodu i przez dłuższy czas statystował za pięć dolarów dziennie; reżyserzy zaczęli zauważać, że jest fotogeniczny.

Swoją wielką szansę uzyskał w "Czterech jeźdźcach Apokalipsy"*

i stał się amantem ze snów wszystkich kobiet.

Valentino spędzał życie w osłepiającym świetle jupiterów, w willach o stiukowych elewacjach, przeladowanych bibelotami, orientalnymi dywanami, tygrysimi skórami, w hotelowych apartamentach dla nowo-żeńców, w jedwabnym szlafroku w salonkach.

Wiecznie wsiadał do limuzyn i wysiadał z limuzyn,

wiecznie klepał po szyjach rasowe konie.

Gdziekolwiek się udawał, towarzyszyły mu syreny policjantów na motocyklach,

błyski świateł ostrzegawczych,

szpalery historycznych twarzy, wymachujących rąk, oszalałych oczu; ludzie podtykali mu sztambuchy, obrywali guziki, obcięli ogon nienagannie skrojonego fraka, ukradli kapelusz, szarpali go za krawat; lokaje wyciągali spod jego łóżka młode kobiety; na dansingach i w kabaretach aktoreczki żadne sławy robiły do niego cielece oczy spod utuszowanych rzęs.

Valentino chciał błyszczeć w światłach milionowych jupiterów kalifornijskiego El Dorado;

Szejk, Syn Szejka;

premiery uświetniane jego obecnością.

Poślubił swoją dawną partnerkę music-hallową, rozwiódł się z nią, poślubił adoptowaną milionerską córkę, wdał się w procesy z producentami, którzy lekceważyli sztukę filmową, wyrzucił milion dolarów na jedną podróż do Europy;

chciał błyszczeć na markizach wszystkich kin.

Kiedy "Chicago Tribune" nazwała go różowym puszkem do pudru

i wszyscy zaczęli kręcić głowami nad bransoletą, którą nosił na ramieniu (tłumaczył, że ofiarowała mu ją żona), i nad jego słabością do cikliwych wierszydeł, jakich sam opublikował cieniutki tomik zatytułowany "Sny na jawie", i kiedy poczęto sobie powtarzać na ucho jego zeznanie na rozprawie rozwodowej, że nigdy nie spał ze swoją pierwszą żoną,

serce mało mu nie pękło.

Chciał wyzwąć "Chicago Tribune" na pojedynek;

chciał błyszczeć

w męskim świecie Ameryki bokserów, ujeżdźaczy mustangów, pokerzystów, zonglerów giełdowych. (Nieźle boksował, dosiadał pewnie konia; kochał pustynię jak prawdziwy szejk i był ogorzały od słońca Palm Springs.) Zasnął w swoim apartamencie w nowojorskim hotelu Ambassador: wrzód żołądka.

Kiedy doktorzy otworzyli jego kształtny brzuch, stwierdzili, że już się wdało zapalenie otrzewnej; w jamie brzusznej zebrała się duża ilość cieczy i resztek pokarmowych; trzewia powlekały zielonkawoszary nalot; w tylnej ścianie żołądka widniał okrągły otwór o średnicy centymetra; perforację otaczała na przestrzeni półtora centymetra tkanka martwicza; wyrostek robaczkowy, również w stanie zapalnym, był zagięty na jelicie cienkim.

Obudziwszy się spod eteru, pierwsza rzecz zapytał: "I co, czy się zachowywałem jak różowy puszek do pudru?"

Jego dobrze wymasowane ciało opierało się przez sześć dni zapaleniu otrzewnej.

W szpitalu urywały się telefony, wszystkie korytarze były zastawione kwiatami, przed wejściem gromadziły się tłumy, gwiazdy filmowe podające się za jego oblubienice pędziły ekspresami do Nowego Jorku.

Późnym popołudniem przed szpital (gdzie czekali pismacy i fotoreporterzy o brudnych łapach, znudzeni, zmęczeni, z zaczerwienionymi oczami, paląc papierosa za papierosem, skacząc co chwila na jednego do najbliższej knajpy, przerzucając się dowcipasami i informacjami i modląc, żeby umarł przed zamknięciem wieczornych numerów gazet) zajeżdża limuzyna i wysiadła z niej kobieta, która się podała za pokojową tancerki, byłej pierwszej żony Valentina. Wręczyła ona portierowi kopertę adresowaną do gwiazdora, a noszącą napis "Od Jean ", oraz pakiet. Ten ostatni zawierał białą kapę z koronkowymi obszyciami oraz imieniem "Rudi" wyhaftowanym w czterech rogach. Całości dopełniała perfumowana niebieska jedwabna poduszka w identycznej poszewce.

Rudolf Valentino miał zaledwie trzydzieści jeden lat, kiedy umarł.

Jego impresariowie chcieli uczynić z rozreklamowanego pogrzebu wielkie widowisko, ale przeszkodziły im rozhisteryzowane tłumy.

Dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zablokowały ulice koło kaplicy pogrzebowej, gdzie wystawiono jego ciało w trumnie wysłanej złotogłowiem. W parnej mżawce policja utraciła kontrolę. Zbity tłum rzucił się do panicznej ucieczki pod ciosami pałek i kopytami koni, które stawały dęba. Setki osób zostały poturbowane, setkom konie stratowały stopy. Zdemolowano kaplicę pogrzebową, mężczyźni i kobiety walczyli o każdy kwiatek, o każdy strzępek tapety, o każdy kawałek potłuczonej szyby. Wdzierano się przez witryny, przewracano i gruchotano pozostawione auta. Kiedy policja konna, po wielokrotnych szarżach, ze-pchnęła wreszcie tłum z Broadwayu, gdzie przez dwie godziny był zatrzymany ruch, zebrano dwadzieścia osiem pojedynczych pantofli oraz ciężarówkę parasoli, gazet, kapeluszy, oberwanych rękawów. Wszystkie ambulanse z tej części miasta miały robotę z rozwożeniem do szpitali omdlałych kobiet i podeptanych dziewcząt. Epileptycy dostawali ataków. Policjanci zbierali w grupki pogubione dzieci.

Faszyści przystali straż honorową, a antyfaszyści ją przegnali. Rozpoczęły się znowu rozruchy, rozbijanie głów, tratowanie nóg. Kiedy salon pogrzebowy zamknięto dla publiczności, setki kobiet pijanych sensacją wdzierały się do środka, żeby zobaczyć nieszczęsne zwłoki,

podając się za partnerki music-hallowe zmarłego, jego towarzyszkę zabaw, kuzynki ze starego kraju, gwiazdy filmowe; co parę minut reporterzy cucili jakąś dziewczynę, która zemdląła przed katafalkiem, by następnie skrzętnie odnotować w swoich gazetach jej nazwisko, adres i tytuł do sławy. Spece pogrzebowi z firmy Frank E. Campbell, dystyngowani żałobnicy w czarnych żakietach, mistrzowie w operowaniu kirem i krepą, byli bliscy załamania nerwowego. Sam ich szef miał wreszcie raz dość reklamy.

Dopiero po dwóch dniach policja zdołała na tyle oczyścić ulice, że udało się dostarczyć do salonu pogrzebowego kompozycje kwiatowe nadesłane z Hollywoodu i popołudniówki mogły zamieścić ich opisy.

Msza żałobna przebiegła pomyślniej. Komisarz policji zamknął dla publiczności teren w obrębie czterech przecznic od kościoła.

Obecnych było wiele znakomitości.

Ulubienica Ameryki*, gorzko szlochając w czarnym słomkowym kapelusiku z czarną wstążką i czarną kokardą z tyłu, w czarnej żorzetowej sukni na czarnym spodzie, z białym koronkowym kołnierzykiem i białymi koronkowymi mankietami, szła za trumną

okrytą dywanem z różowych róż

nadesłanym przez gwiazdę, która przybyła na pogrzeb szczelnie zawoalowana i niebawem omdlała, tak że musiano ją odwieźć do jej apartamentu w hotelu Ambassador. Przedtem jednak zdążyła pokazać reporterom oświadczenie napisane rzekomo przez jednego z lekarzy, który stwierdzał, że Rudolf Valentino przed śmiercią miał o niej mówić jako o swojej przyszłej*.

W Londynie pewna młoda kobieta popełniła samobójstwo.

Krewnych przybyłych z Europy powitały odwody policyjne i flagi włoskie spowite kirem. Eks-czempion Jim Jeffries* oświadczył: "No, ten to zrobił karierę". Mistrz pozwolił przytoczyć swoje słowa, że nieboszczyk naprawdę lubił boks i był wielkim wielbicielem mistrza.

Pociąg żałobny wyruszył do Hollywoodu.

W Chicago poturbowano jeszcze parę osób, które chciały za wszelką cenę zobaczyć trumnę, ale zostało to już odnotowane tylko na wewnętrznych stronicach gazet.

Do Hollywoodu pociąg dotarł na dwudziestej trzeciej stronie "New York Timesa".

KRONIKA LV

TŁUMY NA ULICACH

SZALENIEC WYSADZIŁ BANK W PITTSBURGHU

Po przybyciu do Ameryki Krishnamurti* oświadczył,
że jego posłannictwem jest uszczęśliwienie świata

*Zamkniesz drzwi,
To wchodzą
Oknami*

ŻOŁNIERZE AMERYKAŃSKIEJ PIECHOTY MORSKIEJ WYLĄDOWALI W NIKARAGUI DLA OCHRONY CUDZOZIEMCÓW*

PANGALOS ZATRZYMANY, UWIĘZIONY W ATENACH

*Zamkniesz okna,
To wchodzą drzwiami*

"Widziałem świniarkę", zeznaje drugi świadek,
ale tak jak pierwszy nie potrafi zidentyfikować oskarżonej

KAPITAŁY GROMADZĄ SIĘ W NOWYM JORKU

pogoń za zyskiem, coraz większym zyskiem ciągle rosła, a żądza łatwego pieniądza stawała się niemal powszechna. Równało się to próbom przywłaszczenia sobie cudzej własności bez świadczenia w zamian odpowiednich usług

"Lekarz", który odegrał znaczną rolę w pogrzebie Rudolfa Valentino,
demaskowany jako były kryminalista

"NIGDY GO NIE WIDZIAŁEM", TWIERDZI DYREKTOR

*Zamkniesz drzwi, to wchodzą oknami,
Dobry Boże, wchodzą szparami*

OKO KAMERY (47)

w portowej mgłę rozkwitają syreny znad rzeki rozbrzmiewają różnobarwne tuby różnokształtne bucuki
młocą śruby pulsują maszyny dzwonki

miarowy rwący się chlupot fal roztrącanych przez dzioby z niewidzialnego wsuwają się ostrożnie przez
okno ruchliwe macki wyciągają z drzeniem

więc rusz wyzwolić wiosnę

ruszaj jeszcze dziś wieczór zaokrętuń się dokądś przyłącz podpisz deklarację zaciągnij się zostań jednym z
zastaw w lombardzie stary płaszcz niepewności (kulisz się w nim samotnie z odwróconego obrazu na
siatkówce usilnie zacieranego składaj słowa zapamiętane światłocienie mozól się

by odtworzyć wczoraj wycinaj papierowe figurki udające życie modeluj z gazetowych stronic twarze
wygładzając je i ugniatając w ledwo wyczuwalnych zmiennych prędkościach czasu)

jeszcze dziś wieczór pokój ożywa gorączkową przedodjeżdzną krzątanią poszukiwacz zbiera trochę
najpotrzebniejszych rzeczy obmyśla pierwsze kroki

najlepiej od ulic na początek spacer w górę i w dół miasta po nadbrzeżach pod wiaduktami kolei
nadziemnej zerkając na twarze w taksówkach na szoferów ciężarówek na starych ludzi żujących w
jadłodajniach na pijaków rzygających żółcią w zaułkach co tak studiuje ten gazetciarz?

co szepnął grubej kobiecie za słojami marynat podstarzały makaroniarz sprzedający kasztany? gdzie ona
pędzi ta pospolita dziewczyna w czerwonym kapeluszu wbiegająca po schodach metra aż jeden policjant rzuca
coś ze śmiechem drugiemu przez całą szerokość ulicy? i cmoknięcie pocałunku dwu cieni pod gankiem
kamienicy z piaskowca zaperzone twarze na rogu przy skrzyżowaniu nagle rozdziawione czarno we wrzasku
na głuchy odgłos ciosu gwizdek pierzchające kroki sensacja?

jeszcze dziś wieczór

ale zamiast tego odnajdujesz siebie (jeśli sobą jest ten płacziwy pozer jakże częsty towarzysz bezcelowych
wędrówek) niepomnego pogoni za pracą nie widzącego tablicy ogłoszeniowej na której kredą nagryzmołono
przyszłość

wśród Chińczyków dziobiących coś w Talii

ogłuszanego egzotycznym grzmotem gongów rechetliwym trzaskiem kołatek niepojętym piskiem fletni
jazgotliwym falowaniem obcej mowy muzyką błazenadą gestami strojami nie z tego świata

nieznajomego bez imienia w drodze niewiadomodokąd

w kapeluszu naciągniętym głęboko na ma? twarz jeśli ją w ogóle ma? twarz

CHARLIE ANDERSON

Pewnego jasnego metalicznego dnia styczniowego Charlie wybrał się do miasta na lunch z Natem Bentonem. Zjawił się w biurze maklerskim trochę za wcześnie i musiał czekać w pustym gabinecie wyglądając przez wielkie okna w stalowych ramach na Rzekę Północną*, na Statuę Wolności i na zatokę za nią, połyskliwą zielonorożkołysaną przez północno-zachodni wiatr, popstrzoną białymi obłoczkami dymu z holowników, pokratkowaną powierzchniami marszczonymi przez bryzę i zbełtanymi kilwaterami frachtowców borykających się z wiatrem, pocętkowaną lichtugami, krypami, promami automobilowymi, barkami i promami pasażerskimi, jakby odciętymi nożem. Jakiś szkuner z szarymi żaglami szedł fordewindem.

Charlie usiadł za biurkiem Nata Bentona i zapalił papierosa uważając, żeby strząsać cały popiół do polerowanej mosiężnej popielnicy stojącej obok biurka. Zabrzęczał telefon.

- Pan Anderson? - odezwała się telefonistka. - Pan Benton przeprasza i prosi, żeby pan poczekał jeszcze parę minut. Jest na dole, zaraz przyjdzie.

Niedługo w szparze drzwi pokazała się chuda blada twarz Nata na szyi dłuższej jak u kurczęcia.

- Cześć, Charlie, zaraz do ciebie przychodzę.

Charlie zdążył wypalić jeszcze jednego papierosa, nim Nat wrócił.

- Pewnie umierasz z głodu.

- Nic nie szkodzi, Nat. Rozkoszuję się widokiem.

- Widokiem? A, tak. Nie wiem, czy mam czas wyrzeć przez to okno raz w tygodniu. A tak między nami mówiąc, nie od czego innego jak od jednego z tych czerwonych promów zaczynał stary wanderbilt*. Pewnie i mnie by wyszło na zdrowie, gdybym częściej odrywał nos od tych cholernych notowań. No, chodź coś zjeść. - Wyszli i wsiedli do windy, a on nie przestawał mówić. - Swoją drogą, nie należysz do klientów, których łatwo złapać.

- Pierwszy raz od roku zdjąłem z siebie kombinezon - odparł Charlie ze śmiechem.

Gdy wyszli przez drzwi obrotowe, mróz zaszczypał ich w policzki.

- Wiesz, Charlie, zaczynają o was sporo mówić na Wall Street. Akcje Askewa-Merritta skoczyły wczoraj o pięć punktów. Parę dni temu był tu jeden gość z Detroit, wiesz, z ekipy Terna, świetny facet. Szukał cię wszędzie. Ściągnę cię na lunch, jak przyjedzie następnym razem.

Gdy doszli do rogu, pod wiadukt kolei nadziemnej, w twarze smagnął ich lodowaty wiatr wyciskający łzy z oczu. Na chodniku było tłoczno. Mężczyźni, posłańcy, przystojne stenotypistki, wszyscy mieli takie same zaaferowane miny i zaciśnięte wargi jak Nat Benton.

- Diabło zimno dzisiaj. - Nat sapiąc podniósł kołnierz paltota. -To parowe ogrzewanie biurowe okropnie człowieka wydelikaca.

Dali nura w jakieś drzwi i zeszli do suterenu, do restauracji pachnącej ciepłymi bułeczkami. Usiedli przy stoliku i zabrali się do studiowania kart, z twarzami ciągle piekącymi od mrozu.

- Wiesz - odezwał się Nat - mam wrażenie, że się nieźle obłowicie na tej waszej fabryczce.

- Gdybyś ty wiedział, co to była za szarpanina, żeby ją uruchomić - odrzekł Charlie zanurzając łyżkę w talerzu z grochówką. Ledwo człowiek się odwrócił w drugą stronę, zaraz się coś psuło i wszystko stawało. Ale teraz dostałem wspaniałego fachmana na majstra. Szwab, pracował u Fokkera*. Nat Benton żuł kanapkę z polędwicą po angielsku i popijał maślanką.

- Cokolwiek zjem, cierpię na wieczną niestrawność, jakbym...

- ...jakbyś był Johnem D. Rockefellerem - dokończył Charlie i obaj parsknęli śmiechem.

- Nie mam pojęcia o produkcji - podjął Nat - ale zawsze uważałem, że sekret powodzenia w przemyśle polega na znalezieniu odpowiednich ludzi do pracy. Albo ludzie pracują na ciebie, albo ty na ludzi, ot i wszystko. Weź was, fabrykujecie te swoje aeroplany w Long Island City, ale żeby dostać za nie pieniądze, musicie przyjechać tu, do miasta. Nie mam racji?

Charlie podniósł wzrok znad soczystej pieczeni, którą właśnie zaczynał krajać. Roześmiał się.

- No, chyba. Trzeba być skończonym matosem, żeby spędzić całe życie z karkiem zgiętym nad rajzbretem.

Rozmawiali jakiś czas o golfie, po czym przy kawie Nat powiedział: -- Posłuchaj, Charlie, jesteś starym przyjacielem Olliego i Humphriesów, więc pozwól, że ci szepnę słówko. Nie wyzybujcie się, chłopcy, swoich akcji. Ja na twoim miejscu zmobilizowałbym całą gotówkę i inwestował, skupował wszystko, co się pojawi na rynku. Zapowiada się koniunktura.

- Myślisz, że akcje będą szły w górę?

- Zachowaj to dla siebie, ale Merritt i jego ferajna dostali cykorii, sprzedają, więc będzie spadek. Na to właśnie czekają ci od Terna z Detroit, chcą kupić tanio, kapujesz? Wpadła im w oko wasza fabryczka, uważają, że wasze motory to cacka. Więc jakby ci to odpowiadało, to bym się z przyjemnością zajął twoimi interesami. Przez wzgląd na starą przyjaźń, rozumiesz?

Charlie się roześmiał.

- Rany kóguta, nigdy nie myślałem, że będę miał własnego maklera. Ale, cholera, może masz rację.

- Nie chcę, żebyś się ocknął pewnego pięknego dnia na zimnym twardym trotuarze, Charlie.

Po lunchu Nat Benton spytał, czy Charlie był kiedyś na giełdzie.

- To ciekawe, jak ktoś nigdy tego nie widział -- rzekł i przeprowadziwszy Charliego przez Broadway, na którym ciął ich w twarze porywisty wiatr, skręcił w wąską ulicę ocienioną wielkimi budynkami, a następnie do zatłoczonego westybulu. - Mróz aż szczypie w uszy!- sapnął.

- Prawdziwy mróz jest tam, skąd ja pochodzę - odparł Charlie.

Wjechali windą na górę i weszli do niewielkiego pomieszczenia, w którym pana Bentona powitało z widocznym szacunkiem kilku starszawych osobników w liberiach. Nat podpisał się w wielkiej księdze, po czym ich wpuszczono przez małe drzwi na galerię dla gości, gdzie stali jakiś czas patrząc w dół na wielką zielonkawą halę jak na dworcu, z ciżbą mężczyzn, częściowo w uniformach albo z plakietkami na piersiach, kłębiącą się zwolnionym ruchem wokół stanowisk, przy których dokonywano transakcji. Czasami ciżba gęstniała i zbijała się to przy tym, to przy tamtym stoisku. Hala była pełna przy-tłumionego szurgotu i klekotu dalekopisów, w którym tonęły ludzkie głosy.

- Nie wygląda to zbyt imponująco -- powiedział Nat - ale przechodzą tu z rąk do rąk miliony.

Wskazał Charliemu stoiska, przy których handlowano różnymi rodzajami akcji.

- Przemysł awiacyjny tutaj się nie liczy, co? - spytał Charlie.

- Nie, tylko stal, nafta, auta - odrzekł Nat.

- No, damy im parę latek, a potem zobaczymy, prawda, Nat? - powiedział Charlie chętnie.

Wsiadł na Drugiej Alei w kolej nadziemną i pojechał w górę Manhattanu, a następnie przez most Queensboro. Wsiadł na Queens Plaza i spacerkiem doszedł do garażu, w którym trzymał automobil otwartego dwuosobowego Stutza, kupionego z drugiej ręki. Ruch był duży, tak że dojechał do fabryki zmęczony i poirytowany. Niebo się zaciągnęło, wiatr miótł suchym śnieżkiem. Wjchawszy na dziedziniec nacisnął przed kantorkiem na hamulce, aż pod kołami zazgrzytał żużel. Zdjął z głowy ocieplaną pilotkę wojskową i zgasiwszy motor siedział chwilę w aucie wsłuchując się w szum, warkot i stukot hal fabrycznych.

- Znowu zwolnili, sukinsyny - mruknął pod nosem.

Wsunął głowę do gabinetu Joego, ale Joe konferował z jakimś facetem w futrze z szopa, wyglądającym na sprzedawcę obligacji. Wobec tego pobiegł do siebie, rzucił w przelocie sekretarce: "Cześć, Ella, ściągnij mi Staucha" - i usiadł przy biurku zasłanym notatkami na niebieskich i żółtych świstkach papieru.

Cholera jasna, pomyślał, żeby człowiek był przez całe życie przykuty do biurka.

Nad nim pochylała się poważna kanciasta blada twarz Staucha, z szopą bezbarwnych włosów nad zieloną umbrelką osłaniającą oczy.

- Siadaj, Julius. Jak tam wszystko? Wykończalnia pracuje?

- Jo, jo, ale dwie stemplownice byli zepsute za jeden dzień.

- Co ty gadasz? Chodźmy zobaczyć.

Nim Charlie wrócił do swego gabinetu, zrobiła się szósta wieczór. Na nosie miał smugę smaru, w ręce ścisnął jeszcze tłusty mikrometr. Zadzwoił do Joego.

- Halo, Joe. Wracasz do domu?

- Jasne. Czekałem na ciebie. Co się znowu stało?

- Jak zwykle leżałem na brzuchu i taplałem się w smarach.

Charlie umył w ubikacji twarz i ręce, po czym zbiegł na dół po schodkach obitych gumą. Joe czekał na niego przy wyjściu.

- Moja żona wzięła auto, Charlie. Pojedziemy twoim.

- Będzie dość przewiewnie, Joe.

- Jakoś wytrzymamy.

- Dobranoc panu. Dobranoc panu - pożegnał ich nocny stróż w czapce z nausznikami, zamykając za nimi.

- Słuchaj, Charlie - odezwał się Joe, gdy się włączyli w sznur pojazdów u końca alejki. - Nie mógłbyś zwalić więcej brudnej roboty na Staucha? Wygląda, że się na tym zna.

- O niebo lepiej ode mnie - odparł Charlie ślepiąc przed siebie przez oszronioną szybę.

Reflektory aut nadjeżdżających z przeciwka jarzyły się rozbłyskami światła w zacinającym śniegu. Dźwigary mostu obrosły już wyraźnymi czystymi pasemkami bieli. Zarysy rzeki i miasta ledwo majaczyły, to ciemniej, to połyskliwiej, w wirze płatków. Charlie musiał diabło uważać, żeby nie wpaść w poślizg na oblodzonej jezdni mostu.

- Brawo, Charlie - powiedział Joe, gdy zjechali ślimakiem z mostu i zanurzyli się w poprzeczną ulicę pełną złotych świateł.

Przez skrzyżowania Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy wlekli się w żółwym tempie. Było w pół do ósmej, gdy skostniali z zimna zajechali przed bramę kamienicy na Riverside Drive, gdzie Charlie mieszkał od jesieni z Askewami. Przy drzwiach powitała ich pani domu i dwie małe płowe dziewczynki. Grace Askew była wyblakłą kobietą o jasnych włosach i sieci lekkich zmarszczek pod oczami i na szyi, co jej nadawało słodko nadąsany przywidły wygląd.

- Martwiłam się, że nie masz auta na tę śnieżycę - powiedziała do Joego.

- Śnieg, śnieg, śnieg, będzie śnieg - śpiewała podskakując starsza z dziewczynek, Jean.

- Aha, Charles - powiedziała Grace z odcieniem drwiny w głosie, gdy weszli zagrześć ręce przy gazowych polanach w salonie, gdzie wisiał ciepły zapach gotującego się obiadu. - Ta pani dzwoniła mało dwadzieścia razy. Pewno myśli, że jej nie chcę do ciebie dopuścić.

- Jaka pani? Doris?

Grace, z wydętymi wargami, kiwnęła głową.

- Zjedz lepiej z nami, Charles. Mam wspaniałe udzice barani i pataty. Przecież bardziej ci smakują nasze domowe obiady niż te jej frymuśne specjały.

Charlie był już przy telefonie.

- A, to ty, Charlie - doszedł go słodki szczebiotliwy głos Doris. - Już byłam w strachu, że cię zasypało na Long Island. Potrzebuję jednej osoby do stołu. Mam na kolacji parę osób, na pewno będziesz chciał je poznać. Jest pan, który był inżynierem za cara. Czekamy na ciebie wszyscy.

- Kiedy słowo daję, Doris, walę się z nóg.

- Dobrze ci zrobi odmiana. Mama wyjechała na południe, cały dom jest do naszej dyspozycji. Czekamy na ciebie z kolacją.

- Znowu te parszywe Ruski - mruknął Charlie biegnąc do swego pokoju, żeby skoczyć w smoking.

- Ale zrobił się z ciebie lew salonowy! - zawołał Joe z fotela, w którym czytał wieczorną gazetę, z nogami wyciągniętymi ku polanom gazowym.

- Tatusiu, co to jest lew salonowy? - zaintonowała Jean.

- Grace, nie byłabyś taka dobra?

Charlie czerwieniąc się podszedł do pani Askew, z końcami czarnej muszki dyndającymi u szyi.

- No, no, to prawdziwe oddanie lecieć gdzieś w taki wieczór-powiedziała Grace wstając z fotela. Aż wysunęła koniuszek języka, żeby równo zawiązać muszkę.

- Ja bym to raczej nazwał demencją - wtrącił Joe.

- Tatusiu, co to jest demencja? - zawtórowała Jean.

Charlie był już na podeście z imitacji marmuru, gdzie się mieszały próbki zapachowe obiadów ze wszystkich mieszkań kondygnacji. Czekając na windę nakładał paltot, a wsiadłszy do auta naciągnął wełniane rękawice. W Central Parku śnieg skrzypiał pod kołami. Wyjeżdżając na Pięćdziesiątą Dziewiątą wpadł w poślizg, wyprowadził, znowu wpadł. Koła chwyciły się bruku tuż przy posterunkowym, który stał na rogu zabijając ramiona dla rozgrzewki. Glina łypnęła na niego. Charlie podniósł dłoń do czoła i zasalutował gracko po wojskowemu. Glina się roześmiał.

- Nieładnie, nieładnie! - zawołał i wrócił do zabijania ramion.

Przestąpiwszy próg apartamentu Humphriesów, Charlie z miejsca zatonął stopami w długim włosie baluchistańskiego dywanu. Doris wyszła mu naprzeciw.

- Kochany jesteś, żeś przyszedł w taką okropną pogodę - zagruchała.

Pocałował ją. Wolałby, żeby nie miała na wargach tyle tłustej szminki. Przygarnął ją do siebie, taką szczupłą w bladezielonej sukni wieczorowej.

- To ty jesteś kochana - szepnął.

Z salonu dochodziła rozmowa, cudzoziemskie głosy, klekotanie lodu w mikserze.

- Chciałbym być z tobą sam na sam - powiedział chrapliwie.

- Wiem, Charlie. Ale musiałam zaprosić tych ludzi. Może nie będą długo siedzieć.

Poprawiła mu muszkę, przyglądziła włosy i wepchnęła go przed sobą do salonu.

Gdy wyszli ostatni goście, Charlie znalazł się twarzą w twarz z Doris w przedpokoju. Wciągnął głęboko powietrze. Wypił w ciągu wieczora mnóstwo cocktaili i szampana. Szalał za nią.

- Rany, Doris, ci ludzie są nie do zniesienia.

- Słodki jesteś, żeś przyszedł, Charlie.

Charlie czuł, jak w nim wzbiera gorzki jątrzący gniew.

- Słuchaj, Doris, musimy ze sobą porozmawiać.

- Och, zrobiliśmy się tacy poważni. Doris przybrała kwaśną minę, osunęła się na kanapkę.

- Posłuchaj, Doris. Szaleję za tobą, przecież wiesz.

- Ależ, Charlie, tak się świetnie bawimy, nie psujmy tego póki co. Sam wiesz, małżeństwo nie zawsze jest zabawne. Większość moich przyjaciółek, które wyszły za męża, ma okropne życie.

- Jeśli ci chodzi o forszę, to się nie martw. Spółka się rozkręciła, idzie świetnie. Nie kłamałbym ci przecież, zapytaj Nata Bentona. Nie dalej jak dziś przy lunchu powiedział mi, jak mogę szybko dojść do grubszych pieniędzy.

Doris podeszła i pocałowała go.

- Poczciwy stary głuptas z tego Nata. Ale chyba mnie nie uważasz za taką interesowną małą dziwkę. Bo jeśli tak, to nie rozumiem, dlaczego chcesz się ze mną żenić. Słowo daję, Charlie, czego pragnę najbardziej w świecie, to rzucić to wszystko i zacząć na siebie samą zarabiać. Nie cierpię tego cieplarnianego życia salonowego.

Porwał ją, przyciągnął do siebie. Odepchnęła go.

- Moja suknia, kochanie! To ona kosztuje pieniądze, nie ja. A teraz bądź grzecznym chłopcem, idź do domu i lulu. Wyglądasz na skonanego.

Wyszedłszy na ulicę stwierdził, że do auta nawiało pełno śniegu. Starter ledwo się kręcił, nie było sposobu, żeby zapalić motor. Zadzwoił do garażu i kazał przysłać kogoś do uruchomienia auta. Skoro był już w budce, postanowił zatelefonować do pani Darling.

- Co za okropna pogoda, kochasiu. No, dla pana Charliego coś się może znajdzie. Chociaż to tak nagle i pod koniec tygodnia. Powiedzmy... za jakąś godzinkę?

Charlie spacerował długo w śniegu przed kamienicą Doris czekając, kiedy przyjadą uruchomić automobil. Gorzka zółć wściekłości podchodziła mu do gardła. Kiedy wreszcie zjawił się mechanik i uruchomił auto, Charlie kazał je odprowadzić do garażu, a sam poszedł do znajomej knajpy.

Ulice były puste. Suchy śnieżek ciął go w twarz, gdy schodził po schodkach do drzwi w suterenie. W knajpie tłoczyli się mężczyźni i dziewczyny, na pół pijani, przekrzykujący się, chichoczący. Charlie chętnie by im wszystkim skręcił karki. Wypił jedną po drugiej cztery whisky i poszedł do pani Darling. Jadąc windą w górę poczuł się wstawiony. Dał czarnemu windziarzowi dolara i kącikiem oka dostrzegł zdumienie na rozpromienionej gębie chłopaka, który wsuwał banknot do kieszeni. Wszedłszy wydał okrzyk wojenny.

- Któż to widział, panie Charlie - upomniała go czarna pokojówka w wykrochmalonym czepeczku i fartuszkach, która mu otworzyła drzwi. - Dobrze pan wie, że nasza pani nie lubi żadnych takich. I to kto, pan, taki dobrze ułożony mężczyzna.

- Cześć, kochanie. - Ledwo spojrzał na dziewczynę. - Zgaś światło - zakomenderował. - Pamiętaj, na imię masz Doris. Idź do łazienki, rozbierz się pomaluj usta grubo szminką. Pamiętaj, grubo.

Zgasił światło i jął zdzierać z siebie ubranie. Po ciemku nie mógł wyjąć spinek ze sztywnych mankietów. Szarpnął obiema rękami, aż rozdarł dziurki.

- Chodź tu teraz, do cholery. Kocham cię, Doris, suko jedna.

Dziewczyna drżała. Kiedy ją złapał i ścisnął, wybuchnęła płaczem. Musiał poprosić o jakiś alkohol, żeby jej dodać otuchy, i tak się zaczęło. Następnego dnia obudził się późno, zbyt rozbity, żeby iść do fabryki. Nie chciało mu się w ogóle wychodzić, tylko pić. Siedział przez cały dzień w salonie pani Darling, obwieszonym kotarami, i pił gin z kropelkami. Po południu przysłała pani Darling i grała z nim trochę w garibaldi. Opowiedziała mu o śpiewaku operowym, który jej złamał życie, a potem ją mu perswadować, żeby odstawił już ten gin i wytrzeźwiał przy piwie. Wieczorem ją uprosił, żeby mu sprowadziła tę samą dziewczynę, a gdy ta się zjawiła, zaczął jej tłumaczyć, że nie jest wariatem. Obudził się sam w łóżku, trzeźwy i zdegustowany.

Askewowie siedzieli przy niedzielnym śniadaniu, kiedy wrócił do domu. Dziewczynki leżały na dywanie czytając komiksy, na wszystkich fotelach były porozkładane niedzielne dodatki. Joe, w szlafroku, palił cygaro przy ostatniej filiżance kawy.

- Zjawiłeś się w samą porę na pyszną, świeżo parzoną kawkę - powiedział.

- No, no, przeciągnęła się ta kolacyjka - dorzuciła ze śmieszkiem Grace.

- Wdałem się w partyjkę pokera - bąknął Charlie.

Kiedy usiadł, paltot mu się rozchylił i ukazał się podarty gors koszuli.

- To musiała być rzeczywiście nie lada partyjka - zauważył Joe.

- Wszystko to funta kłaków niewarte - odparł Charlie. - Pójdę umyć twarz.

Wróciwszy w szlafroku i rannych pantoflach, poczuł się trochę lepiej. Grace podała mu wiejskiej kiełbasy i gorącego chleba kukurydzanego.

- Słyszałem już o różnych przyjątkach na Park Avenue, ale nigdy o takim, które by trwało dwa dni.

- Daj spokój, Grace.

- Słuchaj, Charlie, czytałeś wczoraj kolumnę finansową "Evening Post"? Był artykuł o boomie w przemyśle awiacyjnym.

- Nie, za to rozmawiałem z Natem Bentonem. Wiesz, mówiłem ci o nim, to ten makler, przyjaciel Olliego Taylora. Otóż twierdzi...

Grace się podniosła ze swego miejsca.

- No, chłopcy, jeśli macie zamiar rozmawiać w niedzielę o interesach, to ja wychodzę.

Joe ujął żonę za ramię i popchnął ją delikatnie z powrotem na fotel.

- Pozwól mi powiedzieć tylko jedną rzecz, a potem szła. Mam nadzieję, że nie wpadniemy w ręce spekulantów przez najbliższe pięć lat, Charlie. Żałuję, że nasze akcje są w ogóle notowane na giełdzie. Chciałbym mieć do Merritta i tamtych takie samo zaufanie jakie mamy do siebie.

- Pogadamy o tym - odrzekł Charlie.

Joe podał mu cygaro.

- Na dzisiaj koniec, Gracie - powiedział. - Może byś nam nastawiła parę kawalców na victrolę*?

Charlie projektował przez całą zimę, że zabierze ze sobą Doris, kiedy będzie leciał do Waszyngtonu jednym z pokazowych aeroplanów, żeby zademonstrować niektóre ze swoich patentów ekspertom z Departamentu Wojny, ale Doris odpłynęła z matką do Europy tydzień wcześniej. Zostawszy bez przydziału zadzwonił pewnego wiosennego sobotniego wieczoru do Johnsonów. Jeszcze w zimie spotkał kiedyś w metrze

Paula, który go spytał z widoczną urazą, dlaczego w ogóle do nich nie zagląda. Charlie odparł wówczas zgodnie z prawdą, że od miesięcy nie wytyka nosa z fabryki. Czuł się teraz głupio, nakręcając numer, słuchając sygnału. Wesoły głos Eweliny wydał mu się jak zawsze lekko podszyty drwiną. To cudownie, Charlie musi zaraz przyjechać i zostać na kolację, powiedziała; będzie kupa ciekawych ludzi.

Otworzył mu Paul, z ziemistą twarzą, jakiej Charlie jeszcze u niego nie widział.

- Witaj, rzadki gościu - powiedział z nieszczerą kordialnością w głosie, klepnął go kilka razy po plecach i wprowadził do zatłoczonego pokoju.

Było tu kilka bardzo ładnych dziewcząt i wielu młodych mężczyzn różnego wzrostu i postury, były szklaneczki z cocktailami, tacki z przekąskami na biskwitach i mnóstwo dymu papierosowego. Wszyscy mówili jeden przez drugiego jazgocząc jak obrabiarki w tokarni. W głębi pokoju siedziała na blacie marmurowego stolika Ewelina, wysoka, biała i piękna, obok niskiego mężczyzny o długim żółtym nosie i workach pod oczami.

-- O, Charlie, jak ty dostatnio wyglądasz. Poznaj Charlesa Edwarda Holdena. Holdy, to Charlie Anderson, zajmuje się aparatami latającymi. No, no, Charlie, wyglądasz nieprzyzwoicie dostatnio.

- Nieprzyzwoicie to jeszcze nie -- odparł Charlie usiłując się powstrzymać od śmiechu.

- Coś ty taki z siebie zadowolony? Wszyscy są dzisiaj czemuś tacy ponury.

- Ja nie jestem ponury - odezwał się Holden. - Nie powiesz mi, że ja jestem ponury.

- Oczywiście, Holdy, ty nigdy nie jesteś ponury. Tylko twoje artykuły dziwnie ociekają krwią.

Wszyscy się bez przerwy śmieli. Charlie został odsunięty od Eweliny przez jakichś ludzi, którzy chcieli usłyszeć, co mówi Charles Edward Holden. Znalazł się sam na sam z nieatrakcyjną młodą kobietą w błyszczącym szarym kapeluszu z wielką klamrą, która wyglądała jak reflektor.

- No, niech pan mi powie, co pan tworzy?

- Co tworzę?

- Bo tutaj prawie każdy coś tworzy. Piszę, maluję, bo ja wiem co robi.

- Ja nic nie tworzę. Buduję motory do aeroplanów.

- Lotnik, a to interesujące. Uwielbiam przychodzić do Eweliny, bo nigdy nie wiadomo, kogo się pozna. Wie pan, gdybym się nie spóźniła ostatnim razem, tobym poznała Houdiniego*. Ewelina ma szczęśliwą rękę do sław. Ale to się odbija na Paulu, nie uważa pan? Paul to słodki chłopiec, a Ewelina tak się afizjuje z panem Holdenem. To publiczna tajemnica, Holden pisze o niej bez przerwy w swoich felietonach. Może ja mam staroświeckie poglądy, ludzie po większej części nic sobie z tego nie robią. Oczywiście, pięknie jest stawiać sprawę uczciwie, no i on jest taką sławą. Zgadza się, że ludzie powinni podchodzić otwarcie do zagadnień seksualnych, pan nie? Zapobiega to tym wszystkim potwornym kompleksom i innym rzeczom. Ale szkoda mi Paula, to taki miły przyzwoity młody człowiek.

Kiedy część gości się rozeszła, czarna służąca mówiąca po francusku podała ryż z curry i mnóstwem różności w środku. Pan Holden i Ewelina nie dali nikomu dojść do słowa. Mówili cały czas o ludziach, o których Charlie nigdy nie słyszał. Próbował się dorwać do głosu, żeby im opowiedzieć jak go wówczas wzięli za Holdena w tej knajpie, ale nikt go nie chciał słuchać, zresztą może i szczęśliwie. Doszli właśnie do sałaty, gdy nagle Holden wstał i oznajmił:

- Moja droga, jedyna zasada moralna, której przestrzegam, to nigdy się nie spóźniać do teatru. Musimy pędzić.

Wyszli oboje z Eweliną w wielkim pośpiechu, zostawiając Charliego i Paula z zadziornym mężczyzną w średnim wieku i jego żoną, którym Charliego nigdy nie przedstawiono. Trudno było z nimi rozmawiać, bo mężczyzna był zbyt wstawiony, żeby słuchać, co ktoś mówi, kobieta zaś miała z nim jakieś prywatne porachunki, od których nie dawała się w żaden sposób odwieść. W końcu wyszli na niepewnych nogach i Charlie został sam z Paulem. Zajrzeli na chwilę do pobliskiego kinematografu, ale film był nędzny, tak że w rezultacie Charlie pojechał do domu wściekły i zwałił się na łóżko.

Następnego ranka przyjechał wcześniej po Andy'ego Merritta i siedział z nim w wielkiej antyseptycznej jadalni Yale Clubu czekając, aż Merritt skończy śniadanie.

- Będzie rzucało? - zapytał Merritt od razu na wstępie.

- Prognoza była wczoraj pomyślna.

- Co mówi Joe?

- Kazał nam trzymać język za zębami, słuchać, co powiedzą tamci.

Merritt dopijał małymi łydkami ostatnią filiżankę kawy.

- Wiesz, Joe czasami przesadza z tą ostrożnością. Chciałby prowadzić do końca życia prowincjonalną fabryczkę, którą przekaze wnukom. To było dobre za dawnych lat w północnej części stanu, ale teraz jak przedsiębiorstwo się nie rozrasta, to jest do kitu.

- Och, rozrasta się, rozrasta - odparł Charlie wstając i ruszając ku drzwiom jadalni, w ślad za szerokimi barami Merritta w tweedowej marynarce. - Gdyby się nie rozrastało, już by nas w ogóle nie było.

Gdy myli ręce w toalecie, Merritt spytał Charliego, jakie ubrania ze sobą zabiera. Charlie się roześmiał i odrzekł, że zdaje się ma gdzieś czystą koszulę i szczoteczkę do zębów. Merritt obrócił do niego poważną

kanciastą twarz.

- Niewykluczone, że będziemy musieli się gdzieś pokazać. Zarezerwowałem mały apartament w hotelu Waldman Park. Rozumiesz, w Waszyngtonie te rzeczy się bardzo liczą.

- Och, w najgorszym razie wypożyczę sobie smoking.

Kiedy szwajcar umieścił na rozkładanym siedzeniu za budą wielką walizę ze świńskiej skóry i pudło na kapelusze Merritta, ten zapytał z zatroskaną miną, czy Charlie nie uważa, że to będzie zbyt wielkie obciążenie dla aeroplanu.

- Co ty, skądże? Możemy zabrać kilkanaście takich waliz - odparł Charlie kładąc nogę na starterze.

Pojechali szybko pustymi ulicami, przez most i dalej szerokimi alejami krzykliwych niskich domków aż do Jamaiki. Bill Cermak wyprowadził już aparat z hangaru, wszystko sprawdził. Charlie położył dłoń na plecach wytłuszczonej skórzanej kurtki Billa.

- Zawsze wszystko na czas, co, Bill? - powiedział. - Poznaj pana Merritta. Słuchaj, Andy, Bill poleci z nami, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Gdyby coś przypadkiem nawaliło, potrafi zrobić nowy motor ze szpilek do włosów i gumy do żucia.

Bill windował już walizę Merritta do ogona. Merritt naciągnął tymczasem długi skórzany płaszcz i wielkie okulary ochronne, jakie Charlie widział na wystawie u Abercrombiego i Fitcha.

- Myślisz, że będzie rzucało? - spytał ponownie.

Charlie podsadził go do aeroplanu.

- Może trochę rzucać nad Pensylwanią. Ale zdążymy na dobry lunch. No, panowie, to będzie moja pierwsza wizyta w stolicy naszego kraju.

- Moja też - powiedział Bill.

- Bill jak żyje, nie ruszył się z Brooklynu - dorzucił Charlie ze śmiechem.

Z satysfakcją usadowił się za sterami. Włożywszy okulary, zawołał przez ramię do Merritta:

- Siedzisz na miejscu obserwatora, Andy!

Starter Askewa-Merritta zapalił jak marzenie. Motor pracował cicho i płynnie jak maszyna do szycia.

- I co ty na to, Bill? - wołał Charlie raz po raz do mechanika za sobą.

Aeroplan potoczył się gładko po miękkim polu, podskoczył kilka razy, wznosił się w górę we wczesnowiosennym słońcu i poszybował łukiem nad łupkowoszarymi kwartałami Brooklynu. Lekki północ-no-zachodni wiatr marszczył mętnozieloną zatokę w milion bruzd. Potem lecieli nad zdewastowanymi terenami fabrycznymi Bayonne i Elizabeth. Dalej były brunatne rozlewiska solne, po czym rozpostarło się pod nimi New Jersey pokrajane na wielkie płaskie prostokąty, żółte, rdzawe, to znów podszyte zieloną mgiełką wschodzących upraw. Za wstęgą Delaware słońce przebijało się przez wielkie białe cumulusy. Zaczęło trochę rzucać, więc Charlie wznosił się na siedem tysięcy stóp, gdzie było zimno i przejrzyste przy pięćdziesięciomilowym wietrze z północno-zachodu. Koło południa zniżył się i w przerwie chmur zobaczył błyszczącą jaskrawoniebieską Sasquehanę. Już na wysokości dwu tysięcy stóp poczuł ciepły oddech wiosny znad świeżo zoranych pól. Szybując nisko nad farmami widział biały puch kwitnących sadów. Chcąc ominąć gwałtowny szkwał u cypla Chesapeake poleciał za daleko na południe i musiał wracać na północ wzdłuż Potomaku, kierując się na połyskliwą białą kopułę Kapitolu i błyszczący opilek Iglicy Waszyngtona*. Nad miastem nie było dymu. Krążył przez pół godziny, nim odszukał lotnisko. Wszędzie było tak zielono, że wszystko wyglądało jak aerodrom.

- No, Andy - powiedział gdy rozprostowywali kości na murawie - oczy wylizają tym twoim ekspertom, jak zobaczą nasz starter.

Merritt był błady na twarzy, lekko się zataczał idąc.

- Nic nie słyszę! - krzyknął. - Muszę się gdzieś odlać.

Charlie ruszył za nim do hangaru, zostawiając Billa, żeby sprawdził motor. Merritt dzwonił po taksówkę.

- Rany Jezusa, zgłodniałem jak wilk! - ryknął Charlie. Merritt się wzdrygnął.

- Ja muszę się najpierw czegoś napić, bo mi żołądek podjeżdża do gardła.

Kiedy się usadowili w taksówce, z nogami na jego olbrzymiej walizie ze świńskiej skóry, Merritt oznajmił:

- Powiem ci coś, Charlie. Do tego startera będziemy musieli założyć oddzielną spółkę. Może być potrzebna osobna fabryka i w ogóle wszystko. Standardowe Części Awiacyjne, to powinno chwycić.

Mieli zarezerwowane dwa pokoje i duży salon z różowymi fotelami. Z okien olbrzymiego nowiutkiego hotelu widać było świeżą zieleń Rock Creek Parku. Merritt rozejrzał się z widoczną satysfakcją.

- Zawsze lubię być na miejscu w niedzielę - oświadczył. - Człowiek ma czas się zainstalować, nim przystąpi do interesów.

Dorzucił, że nie przypuszcza, by w jadalni spotkali w niedzielę kogoś znajomego, ale po drodze tyle razy ich zatrzymywano, że z ledwością dobrnęli do stolika na końcu sali. Charlie został przedstawiony jakiemuś senatorowi, radcy prawnemu wielkich korporacji, najmłodszemu członkowi Izby Reprezentantów oraz bratankowi sekretarza marynarki.

- Rozumiesz - wyjaśnił Merritt - mój staruszek był kiedyś senatorem.

Po lunchu Charlie wrócił na lotnisko, rzucić jeszcze okiem na aeroplan. Bill Cermak wypucował wszystko,

że błyszcząło jak wystawa u jubilera. Charlie zabrał go ze sobą do hotelu, żeby mu sprokurować coś do picia, ale się okazało, że na korytarzu przed ich apartamentem kręcą się kelnerzy, a z otwartych drzwi wydobywa się dym cygar i głośny gwar rozmówek towarzyskich. Bill przytknął wielki paluch do krzywego nosa i oznajmił, że lepiej sobie pójdzie.

- Cholera, rzeczywiście wygląda, że to cała śmietanka towarzyska Waszyngtonu. Chodź, zaprowadzę cię do mojej sypialni. Przyniosę coś do picia, tylko będziesz musiał trochę poczekać.

- Poczekam, szefie, nigdzie mi się nie śpieszy.

Charlie umył ręce, poprawił krawat i wszedł do salonu z determinacją człowieka, który daje nura do zimnego basenu. Andy Merritt zaimprovizował tu przyjętko z cocktailami Martini, sałatką z drobiu, sandwiczami, salaterką kawioru i dzwoneczkami jakiejś wędzonej ryby. Było dwóch srebrnowłosych dżentelmenów, trzy zbyt wymalowane południowe piękności o niskich głosach, jeden tęgi senator, jeden bardzo chudy senator w wysokim kołnierzyku, paru bladych młodzieńców o harwardzkim akcencie oraz ziemisty mężczyzna ze złotym zębem, który pisywał felietony pod stałym tytułem "Plotki kapitolinckie", przedrukowywane w gazetach całego kraju. Był również młody spec od kampanii reklamowych nazwiskiem Savage, którego Charlie poznał kiedyś u Eweliny. Merritt przedstawił Charliego wszystkim po kolei, po czym Charlie stał przestępując z nogi na nogę, dopóki nie udało mu się wymknąć do sypialni z dwiema angielskimi żłobkami i półmiskiem sandwiczów.

- Rany, to okropność. Człowiek boi się otworzyć usta, żeby nie strzelić jakiegoś głupstwa.

Usiedli obaj z Billem na łóżku i zabrali się do sandwiczów nasłuchując metalicznego paplania, które dochodziło przez drzwi. Wypiwszy whisky Bill wstał, otarł usta wierzchem dłoni i spytał, o której ma się stawić jutro rano.

- Wystarczy o dziewiątej. Może byś jednak został? Nie mam o czym gadać z tymi typami. Dałoby ci się pewnie skombinować jakąś południową ślicznotkę.

Bill odparł, że jest statecznym ojcem rodziny, znajdzie sobie gdzieś nocleg i uderzy w kimono. Po jego wyjściu Charlie mu nie pozostało nic innego jak wrócić do salonu. W pokoju Merritta spostrzegł czarne oczy tęgiego senatora wbite w siebie pomiędzy podrygujących kapelusików dwu ładnych dziewcząt. Charlie ani się spostrzegł, jak się z nimi żegnał. Piwnooka była blondynką, niebieskooka zaś miała włosy kruczoczarne. Pozostała po nich lekka smuga perfum i zapach giemzowych rękawiczek.

- No, która ładniejsza pańskim zdaniem, młody człowieku?

Obok stał tęgi senator zadzierając ku niemu głowę z irytująco porozumiewawczym uśmiechem. Charlie poczuł, jak mu się ściska gardło, nie wiadomo czemu.

- Obie to prawdziwe piękności.

- Osiołkowi w żłoby dano - powiedział senator z lekkim rechotem wstrząsającym miękkie fałdy jego podbródków.

- Osioł Buridana* zdechł z niezdecydowania, panie kolego - wtrącił chudy senator chowając do kieszeni kopertę, na której wespół z Andym Merrittem wypisywali jakieś cyfry.

- Ja też zdycham, kolego - odrzekł tęgi senator odgarniając z czoła kosmyk czarnych włosów i trzęsąc obwisłymi podbródkami. - Zdycham codziennie. A propos, nie zjadłby pan senator u mnie obiadu w towarzystwie tych młodych ludzi? Stary Horacy przygotowuje zdaje się swoją sławną potrawkę z żółwia.

Położył jedną małą pulchną dłoń na ręce chudego senatora, drugą na ręce Charliego.

- Niestety, kolego, moja pani zaprosiła paru przyjaciół do Chevy Chase Clubu.

- Wobec tego obawiam się, że młodzi ludzie będą skazani na towarzystwo dwu starych mamutów. Ma być generał Hicks. Myślałem, że może pan będzie pośrednikiem między generacjami.

Charlie dostrzegł nieznaczny uśmiech zadowolenia na poważnej, dobrze ułożonej twarzy Andy'ego Merritta. Tęgi senator podjął swoim gładkim namaszczonym adwokackim głosem:

- Prawdę mówiąc, powinniśmy już chyba iść. Generał ma być o siódmej, a ci starzy wojacy lubią się zjawiać punktualnie.

Nim zdążyli we czterech - Charlie, Andy Merritt, Savage i tęgi senator - wyjść w waszyngtońską noc pachnącą oliwą rozlaną na asfalcie, wyziewami automobilowymi, młodymi listkami i kwitnącą wistarią, na podjeździe hotelowym zatrzymał się bezszelestnie wielki czarny Lincoln. Dom senatora był taki sam jak jego limuzyna - wielki, ciemny, lekko połyskliwy i bezszelestny. Gdy się rozsiedli w głębokich fotelach obitych czarną skórą, stary siwy Mulat rozniósł Manhattan na grawerowanej srebrnej tacy.

Senator wyprowadzał każdego z mężczyzn oddzielnie, żeby mu pokazać, gdzie może umyć ręce. Charlie mu nie w smak były drobne klepnięcia małych tłustych dłoni senatora, gdy ten go eskortował do wielkiej staromodnej łazienki z marmurową wanną wpuszczoną w podłogę. Kiedy wrócił, składane drzwi do stołowego były otwarte, a przed nimi niecierpliwie krążył lekko utykający krzepki starszy pan z białymi wąsami.

- Czuję tę potrawkę z żółwia, Bowie. Zdaje się, że stary Horacy nie zapomniał jeszcze swoich sztuczek.

Przy zupie i przy sherry generał perorował cały czas od szczytu stołu.

- Oczywiście, te eksperymenty z aparatami latającymi mogą być bardzo owocne dla postępu. Mówię ci,

Bowie, jesteś jednym z ostatnich ludzi w Waszyngtonie, którzy mają przyzwoitą kuchnię. Być może w dalekiej przyszłości otworzą drogę nieoczekiwanym perspektywom, ale z wojskowego punktu widzenia, panowie, nie wszyscy jesteśmy przekonani, że już dowiodły swojej wartości. Ta potrawka jest wyborna, Bowie. My w naszym resorcie nie pokładamy takiej ufności w aparatach latających, jaką zdaje się pokładają chłopcy z Departamentu Marynarki. Kieliszeczek dobrego burgunda, Bowie, za niczym tak nie przepadam. Eksperyment to wielka rzecz i nie przeczę, może w odległej przyszłości...

- W odległej przyszłości - przedrzeźniał ze śmiechem Savage wychodząc spod kamiennego portyku domu senatora Planeta, przed którym czekała zamówiona taksówka. - Gdzie was, panowie, podrzucić? Cała bieda, że już żyjemy w odległej przyszłości, tylko nic o tym nie wiemy.

- W każdym razie nie wiedzą o tym w Waszyngtonie - powiedział Merritt wsiadając do taksówki. Savage zarechotał.

- Senator i generał są pociesznie staroświeccy. Przedpotopowe mamuty. Ale nie martwcie się, panowie, o generała. Jak się tylko dowie, że ma do czynienia z... no, wiecie... ze swoimi ludźmi, zrobi się łagodny jak baranek. Wierzy w rządy dżentelmeńskie, sprawowane przez dżentelmenów dla dżentelmenów.

- Chyba wszyscy w nie wierzymy - powiedział surowo Merritt. Savage gruchnął gromkim śmiechem.

- Dżentelmeni z urodzenia. Na próżno szukam choć jednego od lat.

- Obrócił do Charliego roześmianą perkatań twarz z wylupiastymi oczami alkoholika. - Senator uważa, że jest pan pupilkiem możliwych tego świata. Prosił, żebyśmy pana do niego przyprowadził. Senator jest bardzo romantyczny, rozumie pan?

Znowu prychnął śmiechem. Facet musi być nielicho zalany, pomyślał Charlie. Sam był trochę mętny po Napoleonie pitym z pękających kieliszków, którym zakończyli obiad. Savage wysadził ich przed Waldman Parkiem i taksówka potoczyła się dalej.

- Co to za typ, Andy?

- Niebezpieczny facet - odparł Merritt. - Jeden z błyskotliwych protegowanych Moorehouse'a. Owszem, bystry gość, ale nie podoba mi się, co o nim słyszę. Myśli, że złapie kontrakt na kampanię reklamową Askewa-Merritta, ale myśmy jeszcze do tego nie dorosli. Takie bubki od reklamy potrafią wyssać z firmy ostatnią krew.

Jadąc windą na górę Charlie powiedział:

- Myślałem, że te lale pojedą z nami na obiad.

- Senator Planet nigdy nie zaprasza kobiet do domu. Ma w ogóle specyficzną reputację. W Waszyngtonie nie brak dziwnych ludzi.

- Fakt - przytaknął Charlie ziewając.

Był wypompowany. Zasnął, ledwo się rozebrawszy.

Pod koniec tygodnia Charlie wrócił z Billem Cermakiem do Nowego Jorku, Andy'ego Merritta zaś zostawili, żeby negocjował z ekspertami kontrakty rządowe. Kiedy wprowadzili aeroplan do hangaru, Charlie powiedział, że podrzuci Billa autem do jego domu w Jamaica. Po drodze wstąpili do niemieckiej Bierstuby*. Byli głodni, a w domu Billa było już po kolacji, więc zamówili rosół z kluskami i sznyclę. Potem Charlie odkrył, że sprzedają tu spod lady rzekome reńskie, więc zamówił butelkę, do której kazali sobie podać jeszcze po sznyclu. Charlie ją opowiadać Billowi, że kontrakty rządowe są murowane, tak twierdzi Andy Merritt, a Andy Merritt nigdy się nie myli, więc jak mówi, że jest patriotycznym obowiązkiem rozwijać produkcję na wielką skalę, to znaczy, że jest.

- Bill, jak rany, dojdziemy do ciężkiej forsy. Co byś powiedział jeszcze na buteleczkę? Poczciwy stary Bill, pilot jest niczym bez mechanika, a geszefciarz bez fabrykanta. My dwaj, Bill, ty i ja, my fabrykujemy i, jak Boga kocham, już ja dopilnuję, żebyśmy dostali, co nam się należy. A jak nas spróbują wyrolować, to będziemy walczyli. Już miałem propozycje, nieliczne propozycje z Detroit. Za pięć lat dojdziemy do majątku, a już moja w tym głowa, żebyś ty się też podreperował. Jedli jabłecznik, gdy właściciel wyciągnął skądś butelkę Kummela*. Charlie ją kupił.

- Wypadnie taniej, niż zamawiać na kieliszki, nie uważasz, Bill?

Bill zaczął protestować, że ma rodzinę i musi wracać do domu.

- Ja tam nie mam gdzie wracać - powiedział Charlie nalewając Kummela do szklanki - nie mam domu. Gdyby chciała, to bym jej urządził ta-aki dom. Wspaniały dom.

Nagle zauważył, że Bill Cermak zniknął, a on to wszystko mówi do zażywej blondyny w nieokreślonym wieku, o ciężkim niemieckim akcencie. Nazwał ją ciotką Hartmann i obiecał jej, że jeśli kiedykolwiek będzie miał dom, to ją weźmie na gospodynię. Dopili Kummela i przerzucili się na piwo. Blondyna gładziła go po głowie i nazywała swoim wandering Junge*. W piwiarni grała orkiestra w bawarskich strojach i śpiewał mężczyzna o byczym karku. Charlie chciał im pojedłować do wtóru, ale blondyna posadziła go z powrotem przy stoliku. Była bardzo silna, odpychała go potężnymi czerwonymi łapami, kiedy za wiele sobie pozwalał, ale gdy ją uszczypnął w tyłek, spuściła tylko oczy na kufel z piwem i zachichotała. Jest zupełnie jak w domu za dawnych lat, tłumaczył jej, tylko głośniejszy i weselej. Było w ogóle cholernie wesoło, dopóki nie wsiedli do auta i blondyna, nazywając go swoim Schatzem*, nie położyła mu głowy na ramieniu, a włosy, które jej się

rozleciały, nie zaczęły opadać długimi strakami na kierownicę. Aż się dziwił, że może w ogóle prowadzić.

Obudził się rano w obskurnym hoteliku na Coney Island. Była dziewiąta, głowa mu pękała z bólu. Ciotka Hartmann siedziała na łóżku, potężna, różowa i mięsista, i żądała Kaffee mit Schlagsahne*. Wziął ją na śniadanie do wiedeńskiej piekarni. Jadła dużo, chlipiąc i zaklinając go, żeby jej nie uważał za łatwą kobietę, jest tylko biedną małą kobietką bez pracy i tak jej go było żal, bo on jest biednym bezdomnym chłopcem. Odparł, że jeśli nie chce zostać naprawdę biednym bezdomnym chłopcem, to musi pędzić do fabryki. Dał jej wszystkie drobne, jakie miał w kieszeni, oraz fałszywy adres i zostawił ją w wiedeńskiej piekarni chlipiącą nad trzecią filiżanką Kaffee.

W drodze do Long Island City tak go mldiło, że musiał się zatrzymać koło Ozone Parku i wyrzygać przy szosie. Wjechał na dziedziniec fabryczny ostatnią resztką benzyny i wślizgnął się do swego gabinetu. Dochodziła dwunasta. Biurko było zawalone pospinanymi notatkami i listami, pod spinaczami widniały niebieskie kartki z napisem PILNE. Charlie siedział cicho, żeby panna Robinson ani Joe Askew nie zauważyli jego powrotu. Nagle przypomniał sobie, że ma w szufladzie srebrną flaszkę starego burbona, którą mu ofiarowała Doris w przed-dzień odjazdu do Europy, żeby miał w czym topić żal, jak powiedziała ze śmiechem. Właśnie odchylił głowę, żeby pociągnąć z flaszki, kiedy przed jego biurkiem wyrósł Joe Askew. Stał na szeroko rozstawionych nogach, ze zmarszczoną, zmęczoną twarzą.

- Na miłość Boską, co się z tobą działo? Zamartwialiśmy się o ciebie na śmierć. Grace czekała godzinę z kolacją.

- Trzeba było zadzwonić do hangaru.

- Wszyscy już poszli do domu. Stauch jest chory. Wszystko stoi.

- Nie miałeś wiadomości od Merritta?

- Owszem, ale to oznacza, że musimy zreorganizować całą produkcję. Szczerze mówiąc, Charlie, to ładny przykład dla pracowników popijają w fabryce. Ostatnim razem nic ci nie powiedziałem, ale jak Boga kocham...

Charlie podszedł do aparatu chłodniczego i nalał sobie jeden po drugim parę papierowych kubków wody.

- Oblewałem tę wyprawę do Waszyngtonu, Joe. W końcu te kontrakty rządowe dopiero nas postawią na nogi. Może i ty byś łyknął jednego.

Joe zmarszczył brwi.

- Wyglądasz jakbyś już miał dosyć. Nie uważasz, że wypadałoby się ogolić przed przyjściem do pracy. Wymagamy tego od ludzi, powinniśmy sami tego przestrzegać. Jasny gwint, Charlie, wojna się skończyła.

Joe odwrócił się na pięcie i poszedł do siebie. Charlie pociągnął jeszcze raz zdrowo z flaszki. Krew go zalewała.

- Nie pozwolę sobie jeździć po głowie - mrucał pod nosem. - Jemu ani nikomu.

W tym momencie zadzwonił telefon, a w drzwiach ukazał się majster z montażu.

- Panie Anderson, potrzebujemy pana.

No, i zaczęło się. Od tej chwili wszystko jakby się przeciw niemu sprzysięgło. O ósmej wieczorem, ciągle nie ogolony, Charlie jadł kanapkę i pił kawę z kartonowego pojemnika w towarzystwie monterów z ekipy reperacyjnej, z którymi się mordował nad zepsutą maszyną. Zrobiła się północ, nim zupełnie skonany dotarł do domu. Miał zamiar wyrębać Joemu, co o tym wszystkim myśli, ale żadne z Askewów się nie pokazało. Rano przy śniadaniu Grace, nalewając mu kawę, miała zmarszczone brwi.

- No, no, przypomina się zaginiony batalion* - powiedziała.

Joe odchrząknął.

- Słuchaj, Charlie - bąknął - przepraszam, że cię wczoraj tak zmieszałem z błotem. Robię się zrzędnym na starość. Ale rozumiesz, w fabryce był przez cały tydzień istny... wiesz, na kółkach.

Obie dziewczynki zachichotały zgodnym chórem.

- Nie ma o czym mówić - odparł Charlie.

- Joe, czym skorupka, rozumiesz - powiedziała Grace stukając

w stół dla przywrócenia spokoju. - Zdaje się, że wszyscy potrzebujemy wypoczynku. W lecie musisz wziąć urlop, Joe. Mnie też się należy urlop, głównie od przyjmowania tych twoich karawaniarzy. Przez cały czas twojej nieobecności, Charlie, dom był pełen karawaniarzy, którzy nie potrafią ust otworzyć.

- Och, chodzi o paru gości, którym próbowałem załatwić pracę. Grace uważa ich za karawaniarzy, bo nie potrafią prowadzić salonowych rozmówek.

- Uważam, bo są karawaniarzami - odparła Grace.

Dziewczynki zachichotały znowu. Charlie wstał, odsunął krzesło.

- Jedziesz, Joe? - zapytał. - Muszę pilnować tej ekipy demolacyjnej.

Minęło ładne parę tygodni, nim Charlie mógł się wyrwać z fabryki nie tylko na noc. Pod koniec tego okresu wrócił Stauch ze swoją skruszoną miną i ruchami pielęgniarki asystującej przy operacji i wszystko zaczęło wracać do normy. W dniu, w którym Stauch wreszcie zajrzał do jego gabinetu i powiedział: "Dzisiaj wszystko idzie gładko, panie Anderson" - Charlie postanowił się urwać w południe. Zadzwonił umówić się z Natem Bentonem na lunch i czmychnął wyjściem dla pracowników, żeby się nie nadziać na Joego.

Przed lunchem wychylili parę głębszych w gabinecie Nata. Zamówiwszy w restauracji Charlie spytał:

- No, co ci donosi twój wywiad?

- Ile masz akcji, Charlie?

- Pięćset.

- A nie dysponujesz innymi walorami? Czymś, co byś mógł zainwestować?

- Mam parę tysięcy gotówką.

- Gotówką? - powtórzył Nat wzgardliwie. - Na czarną godzinę, co? Bzdura. Trzeba wszystko zaprząć do pracy.

- Właśnie o tym chciałem mówić.

- Spróbuj zainwestować w akcje Auburna.

- A co z Merrittem?

- Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Musisz zdobyć kapitał, żeby walczyć z tymi szakalami jak równy z równym. Inaczej cię wyślizgają jak amen w pacierzu.

- Joe mnie nie wyślizga.

- Nie znam człowieka osobiście, ale znam ludzi. Wiem, że jest diabelnie mało takich, którzy myślą nie tylko o własnym interesie.

- Pewnie masz rację. Każdy cię wyroluje, jak będzie mógł.

- Tak bym sprawy nie stawiał, Charlie. I w świecie interesu zdarzają się wspaniałe okazy amerykańskich rycerzy bez skazy.

Tego wieczora Charlie zalał się sam jeden w knajpie na Pięćdziesiątej Którejś Ulicy.

Zanim Doris wróciła na jesieni z Europy, Charlie zarobił na dwu szczęśliwych spekulacjach Auburnami i skupował wszystkie Askew-Merritty, jakie się pojawiły na rynku. W tym czasie odkrył również, że ma w różnych miejscach kredyt, na kupno nowego samochodu, garniturów u Braci Brooks, na kolacyjki w knajpach. Samochód był sportowym Packardem z budą, z długą niską karoserią robioną na zamówienie i siedzeniami obitymi czerwoną skórą. Pojechał nim do portu, gdy Doris z panią Humphries miały przypłynąć na "Lewiatanie". Parowiec zdążył przycumować, nim Charlie dotarł do Hoboken. Zaparkowawszy auto, jął się śpiesznie przepychać przez nędzne grupki pasażerów trzeciej klasy ku centrum obudowanego pirsu, gdzie widać było wir eleganckiego towarzystwa pogrążonego w gorączkowych rozmowach wokół stosów waliz ze świńskiej skóry, lakierowanych pudeł na kapelusze i kufrów z nalepkami hotelów Ritza. W sektorze H wypatrzył panią Humphries. Nigdy przedtem nie zauważył, do jakiego stopnia jej twarz w wielkim futrzanym kołnierzu jest wyblakłą wersją twarzy Doris. Starsza pani nie poznała go w pierwszej chwili.

- A, Charles Anderson. To ładnie z pana strony. - Bez uśmiechu wyciągnęła do niego dłoń. - Mam krzyż pański z tą Doris. Oczywiście musiała zostawić w kabinie szkatułkę z precjozami. Ale pan tu pewnie po kogoś przyszedł.

Charlie się zaczerwienił.

- Myślałem, że może panie odwozę. Mam teraz duży samochód. Byłoby więcej miejsca na bagaże niż w taksówce.

Pani Humphries nie bardzo słuchała.

- O, wraca Doris. - Pomachała torebką ze skóry aligatora, którą ścisnęła w urękawiczonej dłoni. - Tutaj jestem.

Doris przepychała się śpiesznie przez tłum. Była zaróżowiona, wargi miała bardzo czerwone, mały kapelusik i futro świetnie harmonizowały z kolorem jej włosów.

- Znalazłam, mam. Co za roztrzepana dziewczyna ze mnie.

- Za każdym razem, gdy przez to przechodzę - westchnęła pani Humphries - obiecuję sobie, że nigdy więcej nie popłynę za granicę.

Doris się pochylała, żeby wetknąć kawałek czegoś żółtego do nie domkniętego nesesera.

- Jest pan Charles Anderson - powiedziała pani Humphries.

Doris się poderwała, obróciła na pięcie, podbiegła, zarzuciła mu ramiona na szyję i cmoknęła go w policzek.

- Kochany jesteś, żeś przyszedł! - wykrzyknęła, po czym go przedstawiła młodemu Anglikowi o czerwonej twarzy, w kraciatym angielskim paltocie, który trzymał wielką torbę kijów do golfa. - Na pewno się polubicie - powiedziała.

- Czy to pańska pierwsza wizyta w Ameryce? - spytał Charlie.

- Bynajmniej - odrzekł Anglik pokazując w uśmiechu żółte zęby. - Urodziłem się w Wyomingu.

Na piersie było przewiewnie mimo obudowy, więc pani Humphries poszła usiąść w ogrzewanej poczekalni. Gdy młody Anglik z kijami golfowymi odszedł również zająć się swoimi bagażami, Doris zapytała:

- Jak ci się podoba George Duquesne? Urodził się tutaj, ale wychował w Anglii. Jego matka szczydzi się rodowodem sięgającym czasów Wilhelma Zdobywcy*. Zatrzymałam się u nich na wsi w przepięknym starym opactwie. W ogóle bawiłam się w Anglii jak nigdzie. George jest taki pocieszny. Duquesne'owie mają udziały w kopalniach miedzi. Są prawie jak Guggenheimowie*, tylko oczywiście nie są Żydami. Ale, ale, Charlie, czy ty przypadkiem nie jesteś zazdrosny? Głuptas. My z Georgem żyjemy jak rodzeństwo, naprawdę. Nie łączy

mnie z nim nic takiego jak z tobą. On jest taki zabawny.

Minęło parę godzin, nim panie przeszły przez komorę celną. Miały całą stertę bagażu i Doris musiała zapłacić cło za jakieś kreacje. Gdy pani Humphries zobaczyła, że ma jechać taki szmat drogi do miasta otwartym automobilem, twarz jej się wyciągnęła. Fakt, że jest to Packard długi jak tasiemiec, niewiele pomógł.

- Ależ to istny autobus - powiedziała Doris. - Mamo, to będzie zabawne. Charlie pokaże nam po drodze wszystkie drapacze.

- Twój nieboszczyk ojciec, Doris, uważał, że dama nie powinna jeździć nawet odkrytym powozem, cóż dopiero automobilem - gderła pani Humphries sadowiac się na tylnym siedzeniu; obłożona ręcznym bagażem.

Odwiózłszy je do domu, Charlie nie wrócił już do fabryki. Resztę godzin urzędowania spędził w mieszkaniu Askewów wydzwanając do biura maklerskiego Bentona. Odkąd na giełdzie pojawiły się notowania Standardowych Części Awiacyjnych, akcje Askewa-Merritta zaczęły lecieć na łeb, na szyję. Charlie zastawił, co mógł, dla zmobilizowania kapitału, i czekał najniższego kursu, żeby zacząć skupować. Co jakiś czas telefonował do Bentona i pytał: "Jak sądzisz, Nat?" Lecz Benton do późnego popołudnia nie dostał żadnego cynku, tak że w końcu Charlie postanowił zagrać w orła i reszkę. Zakręcił monetę, wypadła reszka. Zadzwoił do biura maklerskiego i kazał jutro rozpocząć skupowanie według porannych notowań. Potem się przebrał i wyniósł z domu, nim Grace przyprowadzi dziewczynki ze szkoły. Z Askewami już prawie nie rozmawiał. Miał po dziurki w nosie fabryki i wiedział, że Joe uważa go za markieranta.

Przekładając pugilares z jednej marynarki do drugiej, otworzył go i przeliczył pieniądze. Miał cztery setki i trochę drobiazgu. Banknoty były nowe, chrzęszczące, prosto z banku. Podniósł je do nosa i wciągnął świeży ostry zapach farby drukarskiej. Sam nie wiedział, kiedy je pocałował. Roześmiał się na głos, schował banknoty do pularesu. Rany, czuł się byczo. Nowy granatowy garnitur leżał na nim jak ulany. Buty miał wypucowane na glanc, na nogach czyste skarpetki. Pod paskiem czuł twardy brzuch. Pogwizdując czekał na windę.

U Doris urzędował już George Duquesne entuzjazmując się, że budynki na Piątej Alei są takie piramidalne.

- Poczekaj, Charlie, aż spróbujesz Aleksandrów* roboty George'a - powiedziała Doris. - Są piramidalne. Nauczył się je przyrządzać po wojnie w Konstantynopolu. Bo wiesz, George służył w armii brytyjskiej. Charlie był jednym z asów naszego lotnictwa, George.

Charlie zabrał ich na kolację do hotelu Plaza, a potem na rewie i na dansing. Przez cały czas lał w George'a wysokoprocentowe trunki w nadziei, że George padnie, ale George tylko się robił coraz czerwieńszy i coraz bardziej milczący. Prawdę mówiąc, od początku nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Dochodziła trzecia i Charlie był śpiący i sam pod dobrą datą, gdy wreszcie odstawili George'a do hotelu Saint Regis, gdzie się zatrzymał.

- Co teraz robimy?

- Ależ, kochany, muszę wracać do domu.

- Nie miałem w ogóle okazji z tobą pogadać. Rany, nie miałem nawet okazji przyzwolicie cię pocałować.

Skończyło się na tym, że poszli do Childsa* na Columbus Circle i zamówili jajecznicę na bekonie. Doris powiedziała, że powinny istnieć ustronne miejsca dla zakochanych, gdzie by mogli znaleźć samotność i łóżko w pięknym otoczeniu. Charlie odparł, że zna wiele dyskretnych miejsc, ale żadne z nich nie jest w pięknym otoczeniu.

- Poszłabym z tobą, Charlie, słowo daję, gdybym wiedziała, że to nie będzie odrażające i nie popsuje wszystkiego.

Charlie ścisnął jej mocno dłoń.

- Nie mam prawa cię o to prosić, dziecko, dopóki się nie pobierzemy.

Idąc trotuarem do miejsca, gdzie Charlie zaparkował auto, położyła mu głowę na ramieniu.

- Pragniesz mnie, Charlie? - spytała cieniutkim cichym głosikiem. - Ja też cię pragnę, ale muszę wracać do domu, bo inaczej maman zrobi mi rano awanturę.

Najbliższe sobotnie popołudnie Charlie spędził na poszukiwaniu umeblowanego mieszkania w kamienicy bez portiera i windy. W rezultacie wynajął pokój z kuchenką i łazienką, wszystko urządzone na popielato, od malarki całej w powłóczystych batikach i z włosami uczernionymi henną, która mu powiedziała, że wyjeżdża na pół roku doskonałego piękna na Capri. Potem zadzwonił do agencji służby domowej i poprosił o przysłanie Japończyka do zajęcia się mieszkaniem.

Następnego dnia przy śniadaniu oznajmił Askewom, że się wyprowadza. Joe z początku nic nie powiedział, ale dopiwszy kawę, wstał zasępiony i przespacerował się kilka razy tam i z powrotem po jadalni. Potem podszedł do okna i zawołał przyciszonym głosem:

- Chodź tu, Charlie, coś ci pokażę. - Położył dłoń na ramieniu Charliego. - Słuchaj, chłopie, chyba nie chcesz się wyprowadzać dlatego, że jestem ostatnio taki przykry? Rozumiesz, gryzę się o tę cholerną fabrykę. Obawiam się, czyśmy się nie przeliczyli z siłami. Ale przecież wiesz, jak cię oboje z Grace cenimy. Uważam, że tracisz za dużo czasu na spekulacje giełdowe, ale ostatecznie to nie mój interes. Liczy się to, że należymy do starej paczki, i powinniśmy trzymać ze sobą.

- Jasne, Joe, jasne. Szczerze mówiąc, wynajęłam oddzielne mieszkanie z całkiem innych powodów. Ty

jesteś żonaty, masz dzieci, nie musisz sobie zaprzętać głowy takimi sprawami. A ja mam... no, po prostu mam kłopoty z kobietami.

- Patrzcie go, drania, Europa mu się przypomina. Ale na miłość Boską, czemu się nie ożenisz?

- Właśnie chcę się żenić, u diabła starego - odpalił Charlie.

Zaczął się śmiać, a Joe mu zawtórował.

- Co wam tak wesoło? - spytała Grace znad spirytusowej maszyny do kawy.

Charlie wskazał głową dziewczynki.

- Historyjki dla palących - powiedział.

- Och, jesteście wstrętni - rzuciła Grace.

Pewnego śnieżnego popołudnia przed Bożym Narodzeniem, parę tygodni po przeprowadzce do nowego mieszkania, Charlie wrócił wcześniej do miasta, żeby się spotkać z Doris w hotelu Biltmore.

- Chodźmy gdzieś na jednego - powiedziała.

Charlie odparł, że ma u siebie przygotowane trunki, Doris musi wpaść, zobaczyć, jakie śmieszne małe sandwiche robi Taki, każdy innego koloru. Doris spytała, czy Japończyk będzie w domu. Charlie uśmiechnął się szeroko, pokręcił głową. Taksówka dowiozła ich w parę minut przed kamienicę z brunatnego piaskowca, dawną rezydencję przerobioną na mieszkania.

- Jak tu przytulnie. -- Doris, dysząc lekko po wejściu na schody, rozpięła futro. - Czuję się jak prawdziwa grzesznica.

- Och, przecież nie przyszedłeś do obcego mężczyzny - powiedział Charlie - tylko do kogoś bliskiego.

Pozwoliła mu się pocałować, po czym zdjęła futro i kapelusik i usiadła koło niego na kanapie pod oknem, ciepłej od radiatorów parowych.

- Nikt nie zna adresu ani numeru telefonu - powiedział Charlie.

Gdy ją objął i przyciągnął jej drobne ciało, poddała się z lekkim komicznym drżeniem i pozwoliła wziąć na kolana. Całowali się długo, po czym się wyswobodziła mówiąc:

- Charlie, kochanie, zapomniałeś, że mnie zaprosiłeś na kieliszek.

Charlie miał w kuchni przygotowane ingredencje do cocktailli staromodnych* oraz półmisek sandwiczów. Postawił wszystko na okrągłym wiklinowym stoliku. Doris nadgryzła kilka sandwiczów, żeby się przekonać, które jej będą najbardziej smakować.

- Ten twój Japoniec to prawdziwy artysta - oświadczyła.

- Tak, to zdolny mały ludek - odparł Charlie. -- Wszystko jest tu urocze, tylko to światło mnie razi w oczy.

Gdy Charlie zgasił lampy, okno rozjarzyło się niebiesko. Światła i cienie taksówek przemykających ulicą w obu kierunkach i blask sklepów po przeciwnej stronie rysowały na suficie pomarańczowe prostokąty.

- Och, cudownie tutaj - powiedziała Doris. - Popatrz, jak romantycznie wygląda ulica z tymi koleinami w śniegu. Charlie dolewał whisky do cocktailu.

Namówił ją, żeby zdjęła sukienkę.

- Sama twierdzisz, że suknie kosztują pieniądze.

- Duży głuptas z ciebie. Charlie, lubisz mnie troszeczkę?

- O czym tu gadać. Przecież wiesz, szaleję za tobą. Chcę, żebyśmy byli zawsze razem, żebyśmy się po...

- Cii, wszystko popsujesz. Jest tak rozkosznie, nigdy nie myślałam, że tak może być... Charlie, zabezpieczysz się, prawda?

- Jasne - odrzekł Charlie przez zaciśnięte zęby i podszedł do komódki po kondoma.

O siódmej Doris ubrała się w pośpiechu, oznajmiając, że jest umówiona na kolację, już się okropnie spóźni. Charlie sprowadził ją na dół i wsadził do taksówki.

- Dobrze, kochanie -- rzekł - nie będziemy wracali do tego, co powiedziałem. Będziemy to po prostu robili.

Wspinając się z powrotem po stromych skrzypiących schodach, czuł smak jej ust, jej włosów, głowę rozsadzała mu woń jej perfum. Obejmowało go chłodne uczucie goryczy, jak zbliżająca się choroba morska.

- O, Chryste Panie - powiedział na głos i rzucił się twarzą na kanapkę przy oknie.

Mieszkanie, Taki, alkohol z przemytu, raty za automobil, kwiaty, które codziennie posyłał Doris, wszystko to urastało co miesiąc do nieoczekiwanych sum. Ledwo zdążył coś wpłacić do banku, musiał zaraz z powrotem podnosić. Zgromadził wprawdzie kupę akcji, ale jak dotąd nie miał z nich żadnych dywidend. Przed Bożym Narodzeniem musiał pożyczyć od Joego Askewa pięćset dolarów na prezent dla Doris. Zapowiedziała mu, żeby jej nie kupował biżuterii, więc spytał Takiego, co by jego zdaniem było odpowiednie na prezent gwiazdkowy dla bardzo bogatej i pięknej młodej kobiety, a Taki odrzekł, że bardzo odpowiednie byłoby jedwabne kimono. Charlie poszedł i kupił jej płaszcz mandaryński. Doris zrobiła głupią minę zobaczywszy prezent, ale cmoknęła go przelotnie w kącik ust, bo było to w domu jej matki, i wykrzyknęła:

- O, jaki kochany chłopiec.

Pani Humphries zaprosiła Charliego na obiad świąteczny. W mieszkaniu pachniało choiną i anielskim włosiem, na wszystkich krzesłach poniewierała się bibułka i opakowania po prezentach. Podano wodniste cocktaile i wszyscy stali czekając na zaproszenie do stołu - Nat i Sally Bentonowie, jacyś siostrzeńcy i siostrzenice pani Humphries, jej siostra Eliza, która była kompletnie głucha, George Duquesne, który nie

mówił o niczym, tylko o sportach zimowych. Goście byli skrępowani i skwaszeni, z wyjątkiem Olliego Taylora, który właśnie wrócił z Włoch i był pełen entuzjazmu dla tradycji gwiazdkowej. Lwią część czasu krzątał się bez marynarki w pokoju kredensowym pichcąc coś, co zapowiadał jako prawdziwy poncz gwiazdkowy jak za dawnych dobrych lat. Taki był tym zaabsorbowany, że nie można się było doprosić go do stołu. Charlie spędził całe popołudnie na niańczeniu go, tak że w rezultacie nie zamienił ani słowa z Doris. Po obiedzie i ponczu gwiazdkowym musiał odwieźć Olliego do jego klubu. Ollie, błądny, nalany i kompletnie ubzdryngolony, leciał mu przez ręce w taksówce, bełkocąc w kółko: "Cholernie bycze święta".

Przekazawszy Olliego w ręce szwajcara, Charlie nie wiedział, czy wracać do Humphriesów, gdzie by na pewno zastał Doris i George'a z głowami pochylonymi nad jakąś idiotyczną grą, czy też jechać do Askewów, którym obiecał zająć. Zapraszał go również Bill Cermak, żeby wpadł do Jamaiki zobaczyć, jak żyją pepiczki, chociaż, dodał, nie wie, czy jest to rzecz, która przypadnie Charliemu najbardziej do gustu. Charlie odparł, że na pewno przyjedzie, gotów byłby jechać na koniec świata, żeby odpocząć trochę od tych sztywniaków z eleganckiego świata. Z Dworca Pensylwańskiego wysłał Askewom depezę z życzeniami wesołych świąt. Chyba rozumieją, że chce spędzić Boże Narodzenie w towarzystwie Doris. W pustym pociągu do Jamaiki zaczął się gryźć, że może nie powinien jej być zostawiać samej z tym bubkiem.

Pojawienie się Charliego w Jamaice zelektrykowało i wprawiło w lekkie osłupienie Billa Cermaka, jego żonę oraz ich rozlicznych pociotków i przyjaciół. Mieszkali w małym drewnianym domku z zieloną dachówką na uliczce identycznych małych domków, z których co drugi miał dach czerwony, a co drugi zielony. Pani Cermakowa okazała się tęgą blondyną, lekko nieprzytomną po obfitym obiedzie zakrapianym winem, od którego wystąpiły jej na policzki czerwone plamy. Wmusiła w Charliego porcję indyka i świątecznego puddingu z bakaliami, które przed chwilą zebrali ze stołu. Potem zrobili grzane wino z korzeniami i wszyscy tańczyli kawalki wygrywane przez Billa na akordeonie, a dzieciaki wrzeszczały, waliły w bębenki i płały się pod nogami. Gdy Charlie oznajmił, że musi wracać, Bill odprowadził go na stację.

- Bardzo jesteśmy wdzięczni, żeś przyjechał, szefie... - zaczął.

- Diabła tam, jaki ze mnie szef - przerwał Charlie. - Mechanik jestem jak ty, Bill. Musimy trzymać sztamę, bracie, my, mechanicy, przeciw reszcie świata. Jak się będę żenił, to przyjdiesz z tym swoim piekielnym akordeonem zagrać na weselu. Kapujesz, Bill? Może to będzie już niedługo.

Bill się skrzywił, potarł długi garbaty nos.

- Kobity to są dobre, jak je chłop ujeździ, ale nim je ujeździ, to mu potrafią napsuć nielicho krwi.

- Ja już swoją ujeździłem, ujeździłem, spokojna głowa. Musi teraz za mnie wyjść, zrobić ze mnie statecznego ojca rodziny.

- To rozumiem - pochwalił Bill Cermak.

Stali śmiejąc się i ściskając sobie ręce na wietrznym peronie, dopóki nie nadszedł pociąg manhattański.

Pewnego dnia w czasie trwania wystawy automobilowej zatelefonował Nat Benton, że przyjechał ten Farrell od Terna z Detroit i chce koniecznie poznać Charliego. Charlie zaproponował, żeby Nat go przywiózł po południu na jednego. Tym razem kazał Takiemu zostać w domu.

James Yardly Farrell miał okrągłą twarz i okrągłą tysięcącą głowę z rudawoblond włosami. Już od drzwi zaczął wykrzykiwać:

- Gdzie on jest? Gdzie on jest?

- Jest tutaj, jest - uspokajał Nat ze śmiechem.

Farrell długo ścisnął Charliemu dłoń.

- Więc tak wygląda człowiek ze smykałką do aeroplanów. Usiłuje do pana dotrzeć od wielu miesięcy, niech pan spyta Nata, jak mu się naprzykrzałem. Co, nie przeniósłby się pan do Detroit? Long Island City to nie miejsce dla takiego fachmana jak pan. Potrzebujemy pańskich umiejętności, gotowi jesteśmy za nie płacić. Charlie oblał się rumieńcem.

- Dobrze mi tutaj, proszę pana.

- Ile pan zarabia?

- Wystarczająco jak na mój wiek.

- Jeszcze o tym pomówimy. Niech pan nie zapomina, że w nowej branży jak nasza sytuacja się szybko zmienia. Trzeba nielicho uważać, żeby nie zostać w tyle. Dobrze, dobrze, odłóżmy to na razie. Ale powiem panu jedno, Anderson. Nie mam zamiaru stać i patrzeć bezczynnie, jak przemysł awiacyjny się rozdrabnia na żałosne karłowate fabryczki, podgryzające jedna drugą. Nie uważa pan, że lepiej będzie dla nas wszystkich, jak zasiądziemy przy jednym stole i wspólnie podzielimy tort w duchu przyjaźni i wzajemnej wymiany usług? A zapewniam pana, młody człowieku, że będzie co dzielić.

Przy ostatnich słowach zniżył głos do szeptu. Do pokoju wszedł Taki ze swoją żółtą twarzą ściągniętą w błądny dyplomatyczny uśmiešek, niosąc tacę z cocktailami Bacardi*.

- Nie, dziękuję, nie piję - powiedział Farrell. - Czy pan jest kawalerem, Anderson?

- Tak jakby. Ale to się chyba niedługo zmieni.

- Podobałoby się panu w Detroit, serio. Nat mówi, że pan pochodzi z Minnesoty.

- Właściwie się urodziłem w Północnej Dakocie. Taki - zwrócił się przez ramię do Japończyka - pan Benton

wypiłby jeszcze jeden cocktail.

- Mamy w Detroit miłą paczkę, utrzymujemy ożywione kontakty towarzyskie.

Po ich wyjściu Charlie zadzwonił do Doris i spytał prosto z mostu, czyby chciała mieszkać w Detroit, jak się pobiorą. Na drugim końcu linii rozległ się pisk oburzenia.

- Co za okropny pomysł. I kto w ogóle mówi o tym beznadziejnym, no wiesz, stanie. Nie chcę nawet słyszeć tego okropnego słowa. Może źle się bawimy ostatnio w Nowym Jorku?

- Jasne - odparł Charlie. - Byłoby dobrze i tutaj, gdyby... gdyby sprawy się miały inaczej. Myślałem, że może by ci odpowiadała mała odmiana, i tyle. Bo widzisz, mam propozycję od pewnego koncernu w Detroit.

- Słuchaj, Charlie, musisz mi obiecać, że więcej o tym nie wspomnisz.

- Dobra. Pod warunkiem, że zjesz ze mną jutro obiad.

- Jutro w żaden sposób nie mogę, kochany.

- Więc może w sobotę?

- Dobrze, umówiłam się już, ale odwołam. Będziesz mógł po mnie przyjść do Carnegie Hall po koncercie?

- Mogę nawet przyjść na ten cholerny koncert.

- Nie, nie, mama zaprosiła całą gromadę starszych pań, nie będzie miejsca w łoży. - Mówiła szybko, jej głos wibrował ostro w telefonie.-Spotkamy się w tej małej rosyjskiej herbaciarni, gdzie na mnie ostatnio czekałeś taki wściekły.

- Dobrze, będę czekał, gdzie każesz. Wiesz, okropnie za tobą tęsknię, kiedy cię nie widzę.

- Naprawdę? O, Charlie, jesteś taki słodki.

Rozłączyła się. Charlie odłożył słuchawkę i osunął się na krzesło. Cholera jasna, po każdej rozmowie z nią był cały rozdygotany.

- Hej, Taki, przynies mi tę butelkę szkockiej. Powiedz, Taki - podjął nalewając sobie zdrowo do szklanki - czy w twoim kraju jest też tak diabelnie trudno się ożenić.

Taki się uśmiechnął, skłonił lekko.

- W moim kraju wszystko jest znacznie trudniejsze.

Wróciwszy następnego dnia z fabryki Charlie zastał depeszę od Doris, że w żaden sposób nie może się z nim zobaczyć w sobotę.

- Przekłeta dziwka - powiedział na głos.

Przez cały wieczór wydzwaniał do niej i zostawiał wiadomości, ale ciągle jej nie było. Aż mu się w końcu mdło robiło, gdy podnosił tę cholerną tubę do ust. W sobotę też mu się nie udało z nią rozmówić. W niedzielę rano do telefonu podeszła pani Humphries. Zimnym zrzednym głosem starej wydry zaskrzypiała, że Doris ni z tego, ni z owego pojechała na weekend do Southampton.

- Na pewno wróci śmiertelnie przeziębiona - dorzuciła. - Co za pomysł wyjeżdżać na weekend w taką pogodę.

- Dziękuję, do widzenia pani - powiedział Charlie i odłożył słuchawkę.

W poniedziałek rano, kiedy Taki przyniósł mu list pisany charakterem Doris, wielką niebieską kopertę pachnącą jej perfumami, Charlie nim rozpieczętował i przeczytał, wiedział, co będzie w środku.

Charlie kochany!

Jesteś taki słodki, bardzo Cię lubię i pragnę w tobie mieć na wieki przyjaciela (podkreślone). Wiesz, jakie idiotyczne życie prowadzę, w tej chwili jestem na zupełnie pomyłonym weekendzie i powiedziałam całemu towarzystwu, że idę do łóżka, bo mi głowa pęka z bólu, wszystko po to, żeby do Ciebie napisać. Błagam Cię, Charlie, zapomnij raz na zawsze o małżeństwie i podobnych bzdurach. Sama myśl o tym napawa mnie obrzydzeniem, zresztą obiecałam wyjść w czerwcu za George'a. Duquesnowie mają rzecznika prasowego - czy to nie wariactwo? - który podał to wszystko do gazet, bo jego obowiązkiem jest dbać o popularność rodziny, więc powypisywał, jak to George się do mnie zalecał na wrzosowiskach szkockich, w starym średniowiecznym opactwie i tak dalej. Dlatego w takim pośpiechu do Ciebie piszę, Charlie, bo jesteś moim

najlepszym przyjacielem (podkreślone dwukrotnie) i jedynym żyjącym w prawdziwym świecie interesu, pracy, produkcji i tym podobnych spraw, do którego tak bym chciała należeć, więc uważałam, że powinieneś się pierwszy dowiedzieć.

Charlie, kochany, błagam Cię, nie myśl sobie o mnie żadnych szkaradnych rzeczy. Twoja kochająca przyjaciółka (podkreślone trzykrotnie)

D.

PS Bądź posłusznym chłopcem i spal ten list, dobrze?

W przedpokoju zabrzączał dzwonek. Był to chłopiec z garażu, który przyprowadził automobil. Charlie nałożył paltot i kapelusz, zszedł po schodach. Wsiadł, dojechał do Long Island City, wspiął się po stopniach wyłożonych gumą do swego gabinetu i zasiadł przy biurku. Potem szeleścił papierami, rozmawiał ze Stauchem przez telefon, jadł z Joem Askewem lunch w bufecie pracowniczym, dyktował listy nowej jasno-włosej stenotypistce, aż nagle się okazało, że jest szósta i jechał z powrotem do domu lawirując w

popołudniowym tłoku. Na moście ogarnęła go raptowna chęć, żeby skrócić gwałtownie kierownicę i dodać gazu, ale ten zafajdany gruchot i tak by nie wyłamał bariery, zostałaaby wielka kupa pogiętego żelastwa i zrobił się wielomilowy zator aut i ciężarówek.

Nie chciał wracać do domu ani iść do knajpy, w której przez całą zimę parę razy w tygodniu jadał z Doris kolację, więc skręcił w Trzecią Aleję. Może spotka kogoś u Juliusa. Stał przy barze. Nie miał ochoty pić, nie miał ochoty na nic. Po paru kieliszkach piekącej żytniówki poczuł się lepiej. Do diabła z Doris. Nie ma to jak parę głębszych. Jest sam, w portfelu ma dość pieniędzy, może robić, co mu się żywnie podoba.

Obok niego stały przy barze dwie tęgawe nieszykowne kobiety. Były w towarzystwie mężczyzny o czerwonej twarzy, już pod dobrą datą. Kobiety rozmawiały o strojach, mężczyzna opowiadał o Lesie Belleau*. Wkrótce się pokumali z Charliem jako kompani z Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych.

- De Vries jestem, z zawodu bon vivant - przedstawił się mężczyzna i jął ciągnąć swoje towarzyski za rękawy, aż się obróciły twarzami do Charliego. Objął obie szerokim gestem i wykrzyknął: -A to moja żona!

Wypili pod Las Belleau, pod Argonny, pod placówkę St. Mihiel i pod bitwę o Pari-iz. Kobiety powiedziały, że ojej, jaką by miały ochotę pojechać do Hoboken, do tej niemieckiej piwiarni. Charlie się zaofiarował, że ich zawiezie swoim wozem. Przeprowadzając się promem przez rzekę wytrzeźwieli trochę i przycichli. W restauracji na zimnej mrocznej uliczce w Hoboken nie mogli dostać do picia nic prócz piwa. Po kolacji De Vries powiedział, że zna miejsce, gdzie dostaną coś mocniejszego. Kołowali i kołowali nie kończącymi się uliczkami, aż wylądowali w jakiejś speluncie w Union City. Kiedy wypili dosyć, żeby zacząć wywijać ludowe tańce, kobiety wpadły na pomysł, że cudownie by było pojechać do Harlemu. Tym razem nie otrzeźwieli tak bardzo na promie, bo wzięli ze sobą butelczynę szkockiej.

W Harlemie wyrzucono ich z jakiejś tancbudy i trafili na dansing, gdzie bon vivant spadł na mordę ze schodów obitych czerwonym chodnikiem i Charlie musiał stawać na głowie, żeby to obrócić w żart i udobruchać kierownika. Potem jedli pieczone kurczaki, pili paskudny gin, po który czarny kelner gdzieś posyłał, no i tańczyli. Charlie nie mógł wyjść z podziwu, że tak świetnie tańczy, i ani rusz nie pojmował, czemu nie udaje mu się przygruchać żadnej Mulateczki.

Rano obudził się w jakimś hotelu. Rozejrzał się. Nie, w łóżku nie było żadnej kobiety. Bolała go głowa, paliły uszy, ale poza tym czuł się dobrze. Żołądek w porządku. Przez moment zdawało mu się, że dopiero co wrócił z Francji. Potem przypomniał sobie o Packardzie. Gdzie go, u diaska, zostawił? Sięgnął po telefon.

- Halo, co to za hotel?

- Dzień dobry. Hotel McAlpin.

Przypomniał sobie numer Joego Turbiny i zadzwonił zapytać, jaki jest najlepszy środek na katzenjammer. Odłożywszy słuchawkę nie czuł się już tak dobrze. W ustach miał absmak, jakby przejechał językiem po podłodze kurnika. Postanowił się jeszcze zdrzemnąć. Obudził go telefon.

- Jakiś pan do pana.

Przypomniała mu się nagle Doris. Człowiek od Turbiny przyniósł butelkę szkockiej. Charlie łyknął nie rozcieńczając, potem wypił mnóstwo wody mrożonej, wziął kąpiel i chciał zamówić śniadanie, ale się okazało, że jest raczej pora na lunch. Włożył butelkę do kieszeni paltota i poszedł do Franka i Joego na cocktail.

Wieczorem pojechał taksówką do Harlemu. Chodził od lokalu do lokalu i tańczył z Mulatkami. W jakimś lokalu śniadankowym wdał się w bójkę. Był dzień, gdy się znalazł znowu w taksówce. Jechał w dół Manhattanu, do pani Darling. Nie miał pieniędzy na zapłacenie za kurs, więc taksiarz wepchał się za nim do windy, żeby odebrać pieniądze. W mieszkaniu była tylko czarna służąca, która wysupłała piątaka dla taksiarza. Chciała, żeby Charlie się położył, ale musiał jej najpierw wypisać czek. Podpisać się i owszem podpisał, tylko nie mógł trafić z tym cholernym podpisem tam, gdzie trzeba. Służąca go namawiała, żeby się wykapał i położył do łóżka. Lamentowała, że ma całą zakrwawioną koszulę.

Wyświeżony, przedrzemawszy się u fryzjera, który go golił i przykładał mu worek z lodem na podbite oko, poczuł się świetnie, więc poszedł z powrotem do Franka i Joego, żeby poderwać jakieś ciało. Zamiast tego nadział się na Nata Bentona. Pocziwy stary Nat zaczął się roztkliwiać nad jego okiem, więc Charlie chciał mu pokazać, jak sobie rozkwasił pięść, kiedy przysolił tamtemu facetowi, ale Nat się wziął mówić o interesach, że akcje Askewa-Merritta i Standardowych Części to a tamto i że Charlie byłby już na bruku, gdyby nie on. Wypili parę głębszych, ale Nat wciąż mendził o maślanec i chciał, żeby Charlie szedł z nim do hotelu zobaczyć się z Farrellem. Farrell uważa Charliego za wschodzącą gwiazdę przemysłu awiacyjnego, a Farrell to muirowany potentat za parę lat, można na niego śmiało postawić ostatniego dolara. Nagle wyrósł jak spod ziemi Farrell, więc Charlie mu pokazał rozkwaszoną pięść i opowiedział, jak przysolił facetowi przy pokerze w tej zasranej szulerni; byłby ich wszystkich ogrzał do ostatniej koszuli, gdyby go ktoś nie dzielił w tył głowy skarpetą z piaskiem. Do Detroit? Byczo jest, może jechać choćby zaraz, do Detroit czy gdziekolwiek. Rany, kto by chciał zostawać w mieście, w którym jakieś męty wybebeszają kieszenie. Ta cholerna Mulatka, dziwka jedna, zabrała mu cały portfel ze wszystkimi adresami. Kontrakt? Jasne, podpisze. Podpisze wszystko, co Nat powie. Akcje? Jasne, zamieni, wszystkie co do jednej. Po co człowiekowi akcje, jeśli fabryka jest w mieście, w którym go rolują w jakiejś spelunie. Do Detroit? Byczo jest, już się robi. Nat, sprowadź taksówkę, jedziemy do Detroit.

Potem znaleźli się u niego w mieszkaniu, Taki coś pisał jak to on, Nat się wszystkim zajmował, a Farrell powtarzał: "Żałuję, że nie widziałem oka tamtego faceta". Tym razem podpisywanie poszło Charliemu jak po maśle, wprawdzie najpierw się podpisał na stole, ale zaraz potem na kontrakcie, jak Pan Bóg przykazał. Nat dopilnował wymiany akcji Askewa-Merritta na akcje Terna i w ogóle wszystkiego, potem Nat i Farrell powiedzieli, że Charlie musi być śpiący, a Taki pisał w kółko, że Charlie musi zaraz wziąć ciepłą kąpiel. Rano Charlie obudził się trzeźwy i martwy jak truposz w zakładzie pogrzebowym. Taki przyniósł mu soku pomarańczowego, który Charlie zaraz zrzucił. Opadł z powrotem na poduszkę. Zapowiedział Takiemu,

żeby nikogo nie wpuszczał, ale nagle w nogach łóżka wyrósł Joe Askew. Był bledszy niż zwykle, miał minę strapioną jak w biurze, skubał rzadki blond wąsik. Nie uśmiechnął się.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Nieszczególnie - odparł Charlie.

- Więc przenosisz się do Terna?

- Joe, nie mogę zostać w Nowym Jorku. Skończyłem z tym parszywym miastem.

- Skończyłeś zdaje się również z paroma innymi rzeczami.

- Joe, jak Boga kocham, nigdy bym tego nie zrobił, gdybym się nie musiał wynosić z tego miasta.

Włożyłem przecież w to wszystko tyle samo co ty, może nawet więcej.

Joe mocniej zacisnął wąskie wargi. Chciał coś powiedzieć, ale się pohamował i wyszedł sztywno z pokoju.

- Taki - zawołał Charlie - spróbuj mi wycisnąć połówkę grapefruita!

KRONIKA LVI

pierwsza rzecz wsiadł w ekspres do Miami, by się przekonać, czy firma wykonująca budowę finansowaną przez jego towarzystwo prowadzi roboty w należyłym tempie, i by się w ogóle rozejrzeć na miejscu

Czystym, skrzystym świtaniem

LUTERANIE ZASTĘPUJĄ PIEKŁO HADESEM

Ohej!

Upajaj się kołysaniem,

Ojej!

Patrz, jak ci czarni się pchają,

Gdy syreny wzywają

Wszystkich na pokład, tu, tu!

UPUST POWIETRZA PRZYCZYNA KATASTROFY ZEPPELINA WOJSKOWEGO

Jesteś w Kentucky, to pewne jak dzień

LINIOWIEC W PŁOMIENIACH

POŚCIG OSACZA RABUSIÓW PRZESYŁKI POWIETRZNEJ

W letnim nadmorskim upale

Na przystani w Miami

Ktoś na mnie czeka wytrwale

Na przystani w Miami

OD WCZORAJ OD TEJ PORY BLISKO DWA TYSIĄCE PALACZY
PRZERZUCIŁO SIĘ NA CHESTERFIELDY

BRZOSKWINKA UCIEKA PÓLNAGA*

W oknie pęk róży ujrzałem,

Jadę, gdzie ich pola całfe.

Żegnaj, bluesie

troje białych, których ma ze sobą, sprawia wrażenie prymitywnych przedstawicieli rasy nordyckiej. Fizycznie są to wspaniałe okazy, o bujnych lnianych włosach, niebieskozielonych oczach i jasnej karnacji skóry. Mężczyźni porośnięci są rodzajem meszku

*Gdy się wiodło przez lata
Żywot obieżyświata,
Ach, jak dobrze się znaleźć w rodzinnej Karolinie,
Znów zasypiać u siebie, kiedy dzionek upłynie!
Cóż to za miły dreszczyk
Słyszeć, jak lelek wrzeszczy
W rodzinnej Karolinie!*

OKO KAMERY (48)*

z Santanderu na zachód do Hawany Puerto Mexico Galvestonu (szkliste ujście rzeki zarys wzgórz zamykających wilgotną noc czasami z zadeszczonego nieba kapnie chłodno gwiazda z zawołanego brzegu wylewa się pasmo światełek) dudnią bliźniacze śruby

nareszcie na zachód daleko od pensjonatu starych pań rozsmakowanych w akwarelach i staruchów o krokodylich oczach kryjących swoje krwawe szpony w schludnych fildekosowych rękawiczkach od krajobrazów przeżartych literaturą na zachód

*nawet na starego bardzo jest siwy
nawet na starego bardzo sędziwy
a serce młodego pełne jest miłości
więc niechaj stary odejdzie bez złości*

przy obiedzie na zachodnim szlaku w jasno oświetlonej sali jadalnej la bella cubana* obfita szerokoza w głębokowyciętej żółtej sukni filuternie wskazuje ostrym różowutkim paznokietkiem małego palca

kędzierzawe młode byczki z Bilbao (głośniej weselej) w takich wciętych kremowych marynarkach jedwabnych koszulach pasiastych krawatach (na zachód do Hawany spekulować na cukrze) najbogatszy ma na palcu pierścionek z brylantem patrzą podejrzanie błyszczącymi oczami w kierunku wskazanym przez jej mały paluszek

a serce młodego pełne jest miłości

la bella szepsze Wychodził z jej kabiny kiedy szłam do łazienki Czemu tak się chichotała w kabinie sześćdziesiątej szóstej? bogaty z Bilbao zamawia szampana

do wtóru korkom strzelającym w artyleryjskim salucie przy długim stole gdzie meksykański generał postawny namaszczony z czarnym wąsem i jego pięciu postawnych namaszczonych sinowygolonych synów tęgi mayordomo* i gromadka bezbarwnych kwok które wybiegają z szelestem czarnych jedwabi i chusteczkami przyciśniętymi do ust ledwo zdążyliśmy opłynąć przylądek z latarnią morską

na zachód (ze znanego w nieznanie nieodgadnione nowe niezmierzone nowe) letni rejs południowym szlakiem (na spotkanie przygody) z dudnieniem w uszach głębokim niebieskim rozkołysem gorącym słońcem na dłoniach mokrym dotykiem soli na relingach zapachem polerowanego mosiądzu i sprężonej pary miriadem oślepiających migotów świetlnych

co dzień w południe objadamy się hors d'oeuvre'ami pijamy winem przy akompaniamencie chichotów la belli która wywracając oczami dźga powietrze ostrym jak szpilka paluszkami wskazując kto z kim spał

la juerga*

niestety młody byczek z Bilbao ten z brylantowym pierścionkiem dograł się (starożytne erynie podążają naszym śladem na zachód) kopsa zdradliwej stópki Wenery i musi się usunąć cierpiący do swojej kabiny zamiast w fumoirze* pijemy kawę przy jego łóżku panie interesują się jego przypadłościami

z międzypokładzia zostaje sprowadzonych dwóch gallegos* miękkoustych żabogłowych obieżyświatów żeby zaśpiewali przy akompaniamencie gitar (woda Vichy i gorąca piosenka Argyrol* służy za rym do rusińol*)

*si guieres quel carro cante
mójele y dejele en rio
que despues de buen moja'o
canta com' un silbi'o**

zabawne historyjki tysiąc i jedna hawańska noc taniec milionów piękne cubanas a ellas les gustan los negros*

wyszedszy na pokład odetchnąć słonym morskim popołudniem można zobaczyć nie tylko zardzewiały frachtowiec skąpany w indygo el rubio* byczek z Bilbao który nie ma pierścionka z brylantem osaczony przez wrzeszczących Kubańczyków la bella napiera falującą piersią wypychają małego z siwymi bakami przed el rubio doskakują do niego z tyłu

escandalo*

rywale kolejno wyklócają się z przyjaciółmi którzy ich mitygują wrywają im się przyskakują do siebie młóćąc pięściami zostają na nowo pochwyceni rozdzieleni

interwenują oficerowie pokładowi

bladzi drżący zapaśnicy zostają odprowadzeni ten z bakami do salonu pań el rubio do fumoiru na rufe tam przeżuujemy zniewagi O co właściwie poszło? No señor no el rubio chwyta arkusz papieru z nagłówkiem Compagnie Generale Transatlantique* ale palce odmawiają mu posłuszeństwa trzyma je wczepione w długie kręcone włosy podczas gdy postronny obserwator który został wciągnięty w awanturę pisze płynnie i nieortograficznie pod jego dyktando

wyzwanie

i niesie je z lodowatą miną stronie okupującej salon dla pań corio*

potem prowadzamy el rubio po pulsującej rufie rozważając szpady pistolety lekcje fechtunku

teraz na posiłki zjawia się tylko postronny obserwator el rubio gryzie się w nogach koi swego zatryprzonego kompana gotując się na najgorsze statek huczy od rozmów o pojedynku aż w końcu mon commandant* rumiany Bretończyk składa wizyty stronom tłumacząc każdemu z osobna że przepisy Compagnie Generale Transatlantique kategorycznie zabraniają takich niedorzecznych historii i że muzykalni gallegos muszą wracać na międzypokładzie gdzie ich miejsce rozpacz

z kolei wkracza żołnierskim krokiem mi general* oświadczając że jest ekspertem w sprawach honorowych un militar* coño vamos - spróbuje pogodzić zwaśnionych

więc wszyscy do fumoiru gdzie już czekają ustawione równo rządkiem cztery flaszki szampitra w kubelkach z białego metalu coño wjeżdżają tartinki mi general wyjaśnia nieporozumienie coś o los negros i las cubanas posłyszanego vamos przez wentylator z kabiny młodych ludzi z Bilbao są rzeczy których lepiej nie mówić ale grunt że nie ucierpiał honor uchroniony przez wentylator pojedynkowicze z ociąganiem podają sobie ręce coño palmas sombreros musica* mi general zyskuje sobie mir

gallegos brzdąkają i śpiewają na międzypokładziu

el rubio zwierza mi się przy barze że to od la belli z oskarżycielskim różowym paznokietkiem i kształtnym uszkiem przy wentylatorach jego kompan z brylantowym pierścionkiem złapał tego on sam też jest w strachu coño una puta indecente*

port w Hawanie la bellę wita bogato wystrojony mąż w panamie młode byczki z Bilbao jadą do hotelu Sevilla-Biltmore a ja cóż z tańca milionów jeśli głowę podnosi zwykła hydra braku gotówki równie nieunikniona jak wizy

w wirach hossy cukrowej w sierpniowoprażącym słońcu niżej podpisany przemierza miasto zagłębia się w cukrowe noce z dwudziestoma piętnastoma ośmioma- i pół dolarami topniejącymi w kieszeni drelichowych spodni w pogoni za intratną

i jak się dostać do Meksyku

czy gdziekolwiek

MARGO DOWLING

Margo Dowling miała szesnaście lat, kiedy wyszła za Toniego. Podróż parowcem do Hawany wydawała jej się cudowna. Morze było bardzo wzburzone, ale nie chorowała ani przez minutkę, w przeciwieństwie do Toniego, który się zrobił zupełnie żółty, przez całą drogę leżał na koi i tylko jęczał, gdy go prubowała wyciągnąć na pokład, żeby łyknął trochę świeżego powietrza. Kuba wyłoniła się na horyzoncie, nim go zdążyła wyszykować. Był taki osłabiony, że musiała go ubierać jak dziecko. Leżał na koi z zamkniętymi oczami i zapadłymi policzkami, a ona zapinała mu trzewiki. Skończywszy popędziła na pokład zobaczyć

Hawanę. Morze było ciągle wzburzone, potężne bałwany rozbijały się kolumnami piany o wielkie skały pod latarnią morską. Młody trzeci oficer o szczupłej twarzy, który był dla niej taki miły przez całą podróż, pokazał jej za latarnią zamek Morro* oraz małe łodzie rybackie z maciupenkimi czarnymi albo brązowymi postaciami, wznoszące się i opadające na rozkołysanych falach naprzeciwko zamku. Z drugiej strony, jakby prosto z przyboju, wyrastały blade karmelkowe domki. Spytała go, gdzie jest Vedado, a on wskazał na mgiełkę w dali nad kipiela.

- To elegancka dzielnica willowa - powiedział.

Słońce przypiekało mocno, chociaż niebo było pełne wielkich białych chmur. Wpłynęli tymczasem na spokojne wody portu i mijali rząd wielkich szkunerów zakotwiczonych pod stromą skarpą ze skąpanymi w słońcu fortyfikacjami i zabudowaniami zamkowymi. Margo musiała zejść z powrotem w cuchnące zęzą wnętrze statku, żeby zwlec Toniego z koi i pozamykać walizy. Toni ledwo się trzymał na nogach i narzekał bez przerwy, że mu się kręci w głowie. Trzeba go było sprowadzać po trapie.

Chwiejne moło roilo się od ludzi o oczach jak paciorki, ubranych na biało i kremowo, tłoczących się i jazgoczących. Wyglądało, że wszyscy wyszli na spotkanie Toniego, stare kobiety w szalach, przyszczaci młodzieńcy w słomkowych kapeluszach, starszy pan o sumiastych siwych wąsach i w panamie na głowie, dzieci o podkrążonych oczach, rojące się pod nogami. Wszyscy mieli oliwkową lub kawową cerę i czarne oczy, a jedna siwa kobieta w różowej sukni była nawet Murzynką. Wykrzykiwali jeden przez drugiego, machali rękami, ściskali i obcałowywali Toniego. Minęło wiele czasu, nim, ktokolwiek zauważył Margo, po czym wszystkie staruchy zbiły się wokół niej, obsypując pocałunkami, oglądając i wymieniając po hiszpańsku okrzyki o jej włosach i oczach. Margo czuła się okropnie głupio, nie rozumiejąc ani słowa. Próbowwała się dowiedzieć od Toniego, która jest jego matką, ale Toni zupełnie zapomniał angielskiego. Kiedy wreszcie

wskazał tęgą starszą kobietę w szalu i powiedział: "La mama", doznała ulgi, że to nie ta Murzynka.

Jeśli to ma być elegancka dzielnica willowa, powtarzała Margo w myśli, gdy się wszyscy wyładowali z tramwaju w porażający żar uliczki brukowanej kocimi łbami, po nie kończącej się jeździe przez hałaśliwe ulice kamienic, pełne kurzu, oleistych zapachów, furgonów i wózków zaprzęzonych w muły, to ja jestem dziedziczką milionowej fortuny. Weszli przez wąskie drzwi w ścianie z obskurnym różowoobłazającym tynkiem, o wąskich zakratowanych oknach sięgających do ziemi, i zanurzyli się w chłodnej kwaśnowoniejącej sieni, zastawionej wiklinowymi meblami i roślinami. W klatce skrzeczała papuga, tłusty biały piesek przypominający prosię rzucił się z ujadaniem na Margo. Starsza kobieta, o której Toni powiedział la mama, podeszła do niej wzięła ją w ramiona i zaczęła coś długo perorować po hiszpańsku. Margo przestępowała z nogi na nogę, w drzwiach tłoczyli się sąsiedzi wlepiając w nią małpie oczka.

- Słuchaj, Toni, mógłbyś mi przynajmniej przetłumaczyć, co ona mówi - pisnęła poirytowana.

- Mama mówi, że to twój dom, że jesteś tu mile widziana i tak dalej. Powinnaś odpowiedzieć: "Muchas gracias, mama".

Margo nie mogła wykrztusić słowa. W gardle ją dławiło, wybuchnęła płaczem. Ponownie się rozplakała, gdy zobaczyła pokój, w którym mieli mieszkać, dużą ciemną alkowę za podartymi koronkowymi zasłonami, zajętą prawie bez reszty przez wielkie żelazne łoże z żółtą kołdrą. całą pocętkowaną brązowymi plamami. Przestała płakać, a zaczęła się chichotać zobaczywszy wielki poobtłukiwany nocnik w różyczki wyglądający spod łóżka. Toni się obraził.

- Zachowuj się przyzwoicie - powiedział. - Moja rodzina mówi, że jesteś bardzo ładna, ale nienajlepiej wychowana.

- Pocałuj mnie w nos - odpałiła.

Do końca pobytu w Hawanie mieszkała w tej alkowie, osłoniętej tylko parawanem od szklanych drzwi na dziedziniec. Toniego ani żadnego z chłopców nie było nigdy w domu, nigdy jej nigdzie nie zabierali. Co gorsza, okazało się, że będzie miała dziecko. Po całych dniach leżała sama w łóżku i gapiała się na popękany białotynkowany sufit, słuchała piskliwego jazgotu kobiet na dziedzińcu i w sieni, skrzeczenia papugi i ujadania tłustego białego pieska, który się wabił Kiki. Po ścianach biegały karakony, które wygryzały dziury w każdej sztuce odzieży nie schowanej do komody. Co dzień po południu przez szklany dach dziedzińca wpadał parzący prostokąt słońca i pełził po skraju łóżka i po kafelkowej podłodze, napelniając alkowę blaskiem i duchotą.

Rodzina Toniego pozwalała jej wychodzić z domu tylko w towarzystwie którejś ze starszych kobiet, zwykle na targ albo do kościoła. Na targ nie cierpiała chodzić, bo był taki brudny i smrodliwy, pełen tłoczących się spoconych Murzynów i Chińczyków, którzy się nawoływali przez klatki z kurami i oślizgłe stragany z rybami. Natomiast la mama, tia* Feliciana i stara Murzynka Carna zdawały się tym zachwycone. Już wołała kościół, gdzie ludzie byli przynajmniej lepiej ubrani, a pozłacane ołtarze często pełne kwiatów. Chodziła regularnie do spowiedzi, chociaż ksiądz nie rozumiał tych paru hiszpańskich zdań, które zaczynała kleić, ona zaś nie rozumiała jego odpowiedzi. Mimo to lepiej było chodzić do kościoła niż siedzieć przez cały dzień w upale i smrodzie sieni i próbować rozmawiać ze starymi megierami, które nigdy nic nie robiły, tylko się wachlowały i pytlowały, zawsze w asyście tłustego białego pieska, który spał na brudnej poduszce na złamanym pozłacanym krześle, budząc się od czasu do czasu, żeby chapnąć muchę.

Toni przestał się nią w ogóle interesować, czemu się nawet specjalnie nie dziwiła, bo chodziła wiecznie z oczami czerwonymi i twarzą zapuchniętą od płaczu. Spędzał całe dni w towarzystwie podstarzałego grubasa o twarzy dziecka, który nosił biały garnitur i gigantyczną dubeltową dewizkę rozpiętą na wielkim brzuchu i którego wszyscy tytułowali z respektem el señor Manfredo. Był on maklerem cukrowym i miał wysłać Toniego do Paryża na studia muzyczne. Ilekroć przyszedł z Tonim do domu, zasiadał na wiklinowym fotelu w sieni, z laską o złotej gałce między grubymi udami. Margo od początku wydawał się jakiś dziwny, ale starała się być dla niego jak najmilsza, choć podobnie jak Toni nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Nie odrywał wzroku od długich czarnych rzęs Toniego.

Raz w rozpaczy pobiegła sama do amerykańskiej drogerii koło Parku Centralnego, którą zauważyła, gdy pewnego wieczora kobiety ją zabrały na koncert kapeli wojskowej. Wszyscy mijani mężczyźni wybałuszali na nią oczy. Desperackim pędem dobiegła do drogerii i kupiła oleju rycynowego i chininy za wszystkie pieniądze, jakie miała. W drodze powrotnej nie mogła przejść od rogu do rogu, żeby nie przyczepił się do niej jakiś facet i nie próbował jej wziąć pod ramię.

- Idź do diabła - sykała na każdego po angielsku i jeszcze przyśpieszała kroku.

Zabłądziła, o mało nie wpadła pod automobil i do domu dotarła cała zadyszana. Stare kwoki wróciły tymczasem i zrobiły jej piekło. Kiedy się zjawił Toni, naskarzyły na nią i on z kolei zrobił jej okropną scenę, chciał ją nawet spruć, ale była od niego silniejsza i ostatecznie ona mu podbiła oko. Rzucił się na łóżko ze szlochem, a ona przykładła mu zimne kompresy na zapuchnięte oko, tuliła go i pieściła. W rezultacie przeżyli pierwsze błogie intymne chwile od przyjazdu do Hawany. Na nieszczęście stare megierzy jakoś się zwiędziały, że to ona mu podbiła oko, i zaczęły z niego podkpiwać. Wkrótce wiedziała cała ulica, wszyscy szeptali, że Toni jest mięczak i maminsynek. La mama nigdy jej tego nie wybaczyła i zrobiła się dla niej odtąd wredna i

złośliwa.

Gdyby nie to, że się spodziewała dziecka, Margo dawno by uciekła. Po oleju rycynowym dostała tylko okropnej kolki w boku, a po chininie szumiało jej długo w uszach. Ukradła z kuchni ostry szpiczasty nóż, ale jakoś nie miała odwagi nim się dźgnąć i zabić. Przemysliwała, żeby się powiesić na prześcieradle, ale i na to się nie zdobyła. Schowała nóż pod materacem i leżała po całych dniach na łóżku, wyobrażając sobie, co będzie robiła, gdy pewnego dnia wróci do Stanów, i wspominając Agnes, Franka, tournée po teatrach Keitha, oglądane rewie i tor wrotkowy w Parku Świętego Mikołaja. Czasami była bliska uwierzenia, że wszystko, co przeżywa, to uporzeczywy koszmarny i za chwilę się przebudzi w swoim starym łóżku w domu Indianina.

Pisała co tydzień do Agnes, która przysyłała jej od czasu do czasu po parę dolarów w liście. W ten sposób uzbierała piętnaście dolarów w małej torebce ze skóry aligatora, otrzymanej wkrótce po przyjeździe do Hawany od Toniego, ale pewnego razu Toni zajrzał przypadkiem do środka, bez słowa schował pieniądze do kieszeni i poszedł na bomblerkę. Była zbyt przybita, żeby go choćby zrugać, gdy wrócił z podkrążonymi oczami po nocy spędzonej w jakiejś rumbabudzie. Czuła się w tym czasie taka chora, że nie miała siły nawet się na niego gniewać.

Kiedy przyszły pierwsze bóle, okazało się, że staruchy nie mają najmniejszego zamiaru zawieźć jej do szpitala. Oświadczyły, że same wiedzą, co robić. Sprowadziły dwie siostry miłosierdzia, które zaczęły się krzątać, w kornetach jak wielkie białe motyle na głowie, wnosząc i wynosząc miednice i dzbany z gorącą wodą. Trwało to cały dzień, całą noc i część następnego dnia. Margo była pewna, że umrze. W końcu zaczęła się tak drzeć o doktora, że kobiety poszły i przyprowadziły starego jegomościa z żółtymi rękami całymi sękatymi od reumatyzmu, z brodą pożółkłą od tytoniu i w złotych binoklach na wstążce, spadających bez przerwy z długiego krzywego nosa. Powiedziały, że to doktor. Mężczyzna ją zbadał i orzekł, że wszystko jest w porządku. Kobiety stały półkołem za nim, szczerząc zęby i kiwając głowami. Margo chwyciły nowe bóle; nie docierało do niej nic poza bólem.

Kiedy wreszcie się to skończyło, ocknęła się na łóżku pewna, że nie żyje, taka była słaba. Kobiety coś jej pokazywały, ale nie chciała patrzeć. Przebudziwszy się następnego dnia, usłyszała koło siebie cienie piszczenie. Nie wiedziała, co to może być, ale nie miała siły obrócić się i spojrzeć. Staruchy kręciły nad czymś głowami, lecz nic jej to nie obchodziło. Kiedy jej oznajmiły, że jest zbyt słaba, żeby karmić piersią, i trzeba będzie dziecko karmić z butelki, też jej to nie obeszło.

Parę dni minęło w drętwej słabości. W końcu udało jej się przełknąć trochę soku pomarańczowego i gorącego mleka i zdołała unieść głowę na łokciu, żeby popatrzeć na dziecko, które kobiety jej przyniosły. Była to dziewczynka, wydała jej się okropnie mała. Miała maciupką biedną buzię, starą i pomarszczoną jak u małpki. Coś było nie w porządku z jej oczami.

Kazała sprowadzić starego doktora, który usiadł na brzegu łóżka z poważną miną i długo przecierał binokle wielką czystą jedwabną chustką. Mówił do niej "biedna mała nińa"* i cierpliwie jej tłumaczył, dopóki nie zrozumiała, że dziecko jest niewidome, bo jej mąż cierpi na wstydliwą chorobę, i że jak tylko poczuje się trochę silniejsza, musi sama pójść do szpitala na leczenie. Nie płakała i nie powiedziała ani słowa, tylko leżała z lodowatymi rękami i nogami i patrzyła na niego płonącymi oczyma. Chciała, żeby nie odchodził, o niczym innym nie mogła myśleć. Kazała sobie kilkakrotnie powtarzać o wstydlivej chorobie i o jej leczeniu, udając, że rozumie mniej hiszpańskiego niż w rzeczywistości, wszystko po to, żeby go jak najdłużej zatrzymać.

Parę dni później stare kobiety narzuciły swoje najlepsze czarne jedwabne szale i poszły do kościoła ochrzcić dziecko. Jego mała buźka wyglądała okropnie sino w powodzi koronek, w które je ustroiły. Wieczorem zrobiła się prawie czarna. Rano dziecko nie żyło. Toni płakał, staruchy głośno lamentowały. Wydały mnóstwo pieniędzy na białą trumienkę ze srebrnymi uchwyty, na karawan i na pogrzeb z księdzem. Po pogrzebie przyszły siostry miłosierdzia i modliły się przy jej łóżku, potem przyszedł ksiądz i mówił coś do kobiet pięknym tragicznym głosem, takim jak Frank, gdy się ubrał w żakiet, a Margo leżała cały czas z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi wargami, pragnąc także umrzeć. Bez względu na to, co ktokolwiek do niej mówił, nie odpowiadała ani nie otwierała oczu.

Kiedy miała wreszcie siłę wstać, odmówiła chodzenia do szpitala wraz z Tonim. Nie odzywała się do niego ani do kobiet. Udawała, że nie rozumie, co do niej mówią. La mama zaglądała jej mściwie w twarz jak to ona, kręciła głową i mówiła: "Loca". Znaczyło to: "Wariatka".

Margo pisała rozpaczliwe listy do Agnes, żeby na miłość Boską coś sprzedała i przysłała jej pięćdziesiąt dolarów na powrót do domu. Wystarczy, żeby miała się za co dostać na Florydę, tam się postara o jakąś pracę, gotowa jest robić wszystko, byleby być z powrotem w Ojczyźnie Pana Boga. Napisała tylko, że Toni się okazał nicponiem i że jej się nie podoba w Hawanie, natomiast nie pisała słówkiem o tym, że miała dziecko i że jest chora.

Wreszcie któregoś dnia wpadł jej do głowy pomysł. Czyż nie jest obywatelką amerykańską? Pójdzie do konsulatu, żeby jej pomogli wrócić do kraju. Minęło parę tygodni, nim jej się udało wymknąć bez żadnej ze staruch. Kiedy pierwszy raz dobiegła do konsulatu, ubrana w swoją jedyną przyzwoitą sukienkę, zastała drzwi zamknięte. Następnym razem poszła rano, gdy staruchy były na targu, i trafiła na młodego urzędnika o konopnych włosach, w typie studenta amerykańskiego college'u. Rany, dobrze było wreszcie porozmawiać po

angielsku. Widziała, że mu diabelnie wpadła w oko. On jej się też podobał, ale nie dała tego po sobie poznać. Powiedziała, że jest chora i musi wrócić do kraju; została tu ściągnięta pod fałszywymi pozorami, obietnicą engagement do Alhambry.

- Do Alhambry? - powtórzył młody urzędnik. - Nie wygląda pani na taką dziewczynę.

- Bo nie jestem taka.

Na imię miał George. Powiedział, że niestety nie może dla niej nic zrobić, bo wychodząc za Kubańczyka utraciła obywatelstwo. A co gdyby nie zawarła formalnego związku małżeńskiego, spytała. Przed chwilą twierdziła, że nie jest taką dziewczyną, odparł. Rozbeczała się na to i powiedziała, że nieważne, jaką jest dziewczyną, musi wrócić do kraju. Ostatecznie kazał jej przyjść jutro, on się tymczasem rozejrzy, czy konsulat będzie w stanie coś dla niej zrobić. A może by się z nim napiła po południu herbaty w Miami?

Umówiwszy się z nim na randkę, pobiegła z powrotem do domu, lekka jak za dawnych dobrych czasów. Gdy tylko znalazła się sama w alkowie, wyciągnęła z torebki świadectwo ślubu, podarła je na drobne kawałeczki i wrzuciła do brudnej żółtej muszli starego klozetu na tyłach dziedzińca. Na szczęście łańcuszek rezerwuaru akurat raz działał i blankiet z obwódka z niezapominajek spłynął do ostatniego skrawka z wodą.

Po południu dostała list od Agnes z czekiem Narodowego Banku Miejskiego na pięćdziesiąt dolarów. Serce o mało jej nie zamarło z wrażenia. Toniego nie było, jak zwykle bomblował gdzieś z maklerem cukrowym. Napisała do niego liścik, żeby jej nie szukał, bo wraca do kraju, i przypięła go do spodu poduszki na łóżku. Potem odczekała, aż stare megiery posną w porze sjesty, i wymknęła się z domu.

Już nie wróci. Miała tylko to, co na sobie, oraz torebkę, do której wrzuciła parę tanich błyskotek otrzymanych od Toniego wkrótce po ślubie. Pobiegła do Miami, zamówiła głośno po angielsku lody, żeby wszyscy wiedzieli, że jest Amerykanką, i czekała na George'a. Była taka zestrachana, że cały czas drżała, żeby nie zemdleć. Co jeśli George nie przyjdzie? Ale przyszedł i bardzo się ucieszył na widok czeku, bo w konsulacie mu powiedziano, że nie dysponują funduszami na pomoc w takich wypadkach. Zaofiarował się, że jej zrealizuje rano czek, kupi bilet na statek i załatwi wszystkie formalności. Odrzekła, że jest kochany, po czym nagle się pochyliła, położyła mu na ramieniu dłoń w białej giewonowej rękawiczce, zajrzała w oczy tak samo niebieskie jak jej i szepnęła:

- George, musisz mi jeszcze w czymś pomóc. Musisz mi pomóc się ukryć. Boję się śmiertelnie tego Kubańczyka. Nie wiesz, do czego oni są zdolni w napadzie zazdrości.

George zrobił się cały czerwony, zaczął coś jąkać i chrząkać, więc mu opowiedziała, co się przydarzyło parę dni temu na jej ulicy. Oficer piechoty wrócił do domu i zastał swoją, no, ukochaną z innym mężczyzną, aa, powie mu już wszystko, jak było, chyba George się tak łatwo nie gorszy, więc zastał ich razem w łóżku, wystrzelał wszystkie komory rewolweru w mężczyznę, po czym pogonił z nożem rzeźnickim za kobietą, która uciekła na ulicę, i dźgnął ją pięć razy na placu publicznym. Doszedłszy do tego momentu zachichotała, aż George zaczął się śmiać.

- Wiem, dla ciebie to może brzmieć śmiesznie, ale to nie było wcale śmieszne dla niej. Umarła golusienka na oczach wszystkich.

- No, zobaczymy, co się da zrobić - powiedział George - żeby cię uchronić przed nożem rzeźnickim.

Skończyło się na tym, że pojechali Hersheyowską kolejką elektryczną do Malanzas i wzięli pokój w hotelu. Zjedli kolację z mnóstwem gin fizzów* i George, który miał wrócić do Hawany i spotkać się z nią następnego dnia na molo tuż przed odejściem statku, rozmarzył się pod wpływem alkoholu, księżycy w pełni, naszczekiwania psów i piania kogutów. Objęci w pół, spacerowali długo spokojnymi kredowymi uliczkami zalany mi poświatą i w rezultacie George się spóźnił na ostatnią kolejkę. Margo zależało tylko na jednym: żeby nie zostać samej w niesamowitym pustym pobielanym hotelu, przy tej cholernej poświacie księżycowej. Zresztą George jej się podobał. Następnego dnia przy śniadaniu powiedział, że musi od niego przyjąć drugie pięćdziesiąt dolarów pożyczki na bilet pierwszej klasy, a ona odparła, że najświętsze słowo honoru, zwróci mu wszystko co do centa, jak tylko dostanie pracę w Nowym Jorku, i żeby do niej pisał codziennie.

George pojechał do Hawany wczesną kolejką, bo musiał być w biurze, a ona wracała sama później w oślepiającej wiejskiej zieleni pulsującej głosami owadów. Prosto z promu wzięła taksówkę do portu, gdzie na nią czekał George z biletem okrętowym, bukietem orchidei, pierwszym, jaki dostała w życiu, oraz zwitkiem banknotów, który nie licząc wetknęła do torebki. Stewardzi mieli dosyć zdziwione miny, że jedzie bez żadnego bagażu, więc kazała George'owi powiedzieć, że musiała się zebrać do drogi w ciągu pięciu minut, bo jej ojciec, bardzo bogaty człowiek, zachorował nagle w Nowym Jorku. George zszedł z nią aż do kabiny i był niepokojony, że wyjeżdża. Powiedział, że jest najcudowniejszą dziewczyną, jaką znał w życiu, i że będzie do niej co dzień pisał, ale nie bardzo go słuchała ze strachu, czy Toni nie przyjdzie jej szukać na statku.

Wreszcie rozległ się gong, George pocałował ją z desperacją i zszedł na brzeg. Nie odważyła się wyjść na pokład, aż usłyszała dzwonki z maszynowni i poczuła drżenie statku, który zaczął się wysuwać tyłem z basenu portowego. Podeszła wówczas do iluminatora i przez moment widziała szczupłego czarnego mężczyznę w białym ubraniu - mógł to być Toni - który się przedarł przez kordon policji i biegł krzycząc i wymachując ramionami aż do końca mola.

Czy sprawiły to orchidee, czy jej uroda, czy historyjka o chorobie ojca, dość że kapitan zaprosił ją do swego

stołu, wszyscy oficerowie jej nadszkakiwali i bawiła się jak nigdy przez cały rejs powrotny. Bieda była tylko z tym, że mogła wychodzić na pokład wyłącznie po południu, bo miała tę jedyną sukienczynę.

Kazała George'owi wysłać w jej imieniu depeszę do Nowego Jorku, tak że w porcie czekała na nią Agnes. Była późna jesień, a Margo miała na sobie lekką sukienkę letnią, więc powiedziała, że stawia Agnes taksówkę. Dopiero w czasie jazdy zauważyła, że Agnes jest cała w czerni. Spytała czemu, a Agnes odrzekła, że dwa tygodnie temu umarł Fred. Znalezione go pijanego w sztok na Dwudziestej Trzeciej Ulicy i umarł w Bellevue* nie odzyskawszy przytomności.

- Och, Agnes, wiedziałam - załkała Margo. - Miałam przecucie na statku. - Otarłszy łzy obróciła się i popatrzyła na Agnes. - Ale jak ty wspaniale wyglądasz! - wykrzyknęła - Jaki piękny kostium. Frank dostał engagement?

- O, nie - odrzekła Agnes. - Ale prosperują herbaciarnie panny Franklyn. Otwiera coraz nowe filie i zrobiła mnie zarządzającą herbaciarni na Trzydziestej Czwartej Ulicy. Zarabiam siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo. Zobaczysz, jakie mamy mieszkanie, tuż koło Riverside Drive. Och, Margo, ale ty musiałaś przeżyć okropne rzeczy?

- Tak, było mi chwilami ciężko. Jego rodzina jest dosyć zamożna, liczy się w Hawanie, tylko nie mogłam się w żaden sposób przyzwyczaić do tamtejszego życia. Toni okazał się nicponiem, nienawidzę go jak nikogo w życiu. Ale w sumie było to doświadczenie, którego bym się za nic nie wyrzekła.

W drzwiach mieszkania powitał je Frank. Przytył od czasu, gdy go Margo ostatnio widziała, na skroniach miał pasma srebrnych włosów, które mu nadawały dystygowany wygląd ministra czy ambasadora.

- Mała Margo! Witaj w domu, moje dziecko. No, wyrosłaś na piękną młodą kobietkę. - Kiedy ją objął i pocałował w czoło, poczuła zapach wody laurowej i energiny jak za dawnych czasów. - Czy Agnes już ci mówiła, że jadę na tournée z panią Fiske*? Występowaliśmy z pocziwą Minnie Maddern razem jako dzieci. Mieszkanie było trochę ciemne, ale miało salon, jadalnię, dwie sypialnie, piękną przestronną łazienkę i kuchnię.

- Pierwsze, co zrobię, to wezmę gorącą kąpiel - oznajmiła Margo. - Nie kąpałam się chyba w gorącej wodzie od wyjazdu z Nowego Jorku.

Agnes wzięła sobie wolne popołudnie w herbaciarni, ale musiała jeszcze wyjść coś kupić na kolację, więc Margo poszła do swego czystego pokoiku z perkalowymi kotarami na ścianach, zrzuciła podszytą wiatrem, wygniecioną sukienczynę i ubrała się w pikowany szlafrok Agnes. Potem się rozsiała w Morrisowskim fotelu* w salonie i wodziła za nos Franka, który ją zaczął rozpytywać o Hawanę. Widziała, jak się powoli przysuwa do poręczy fotela, prawiąc jej cały czas słodkie słówka, że się zrobiła taką piękną dziewczyną, więc kiedy ją nagle chwycił w ramiona, była na to przygotowana, zerwała się na nogi i trzepnęła go w twarz, aż jęknęła. Czowała, jak ją ogarnia histeria, gdy dysząc ruszył za nią przez pokój.

- Odchrzań się ode mnie, stary zboreźniku! - wrzasnęła. - Od-chrzań się, bo powiem wszystko Agnes i wywalimy cię z domu na zbitą mordę. - Chciała przestać wrzeszczeć, ale nie mogła się pohamować.-Odchrzań się ode mnie. Złapałam tam paskudną chorobę, jak się będziesz do mnie dobierał, to cię zarażę.

Frank był taki zbulwersowany, że zaczął się cały trząść. Opadł na fotel Morrisowski i jął długimi palcami przebierać w gładkich szpakowato-czarnych włosach. Margo, trzasnąwszy drzwiami, zamknęła się w swoim pokoju. Siedząc sama na łóżku zaczęła rozmyślać, że już nigdy nie zobaczy Freda, i zastanawiać się, czy to rzeczywiście było przecucie, gdy opowiadała wszystkim na statku, że jej ojciec jest chory. Do oczu nabiegły jej łzy. Oczywiście, że przecucie. W pokoju swojsko szumiały parowe radiatory. Wyciągnęła się wygodnie na łóżku, takim rozkosznym ze swymi czystymi poduszkami i jedwabistą kołdrą, i chlipała tak długo, aż usnęła.

KRONIKA LVII

przed seansami na Uniwersytecie Harvarda medium zrzucało całe odzienie. Wyposażenie stanowiły latarki elektryczne, dzwonki, potężne megafony, kosze, wszystko to rozświetlone farbą fosforyzującą

*Wraca mój brat
z ananasami,
Dopiero będzie heca*

JEST GOTÓW PODDAĆ SIĘ WSZELKIM PRÓBOM

nogi medium nie znajdowały się w pobliżu nóg profesora, kiedy została szarpnięta nogawka jego spodni. Na suficie zapalała się i gasła żarówka. Brzęczały dzwonki. Niewidzialna ręka przesuwiała przedmioty na stole i ciągnęła doktora B. za włosy. Doktor B. wsadził nos w ciasto i kazał Walterowi pociągnąć z całej siły. Został szarpnięty za nos

*Sam się z tobą zgodziłem rozstać,
Lecz wciąż mam w oczach twoją postać*

NIESZCZĘŚLIWA ŻONA SZUKA ŚMIERCI

SZEJK I DENTYSTA POGODZENI

Finanse jedynym problemem

*Chciałem zapewnić byt rodzinie
Teraz już wiem, że przy mnie zginie*

Panie z towarzystwa ubiegają się na próżno o miejsca
pokojowych przy królowej*

ZAKONNICA CHCE POŚLUBIĆ MAJTKA

Odchodzę ze złamanym sercem

KRÓLOWA ODDAŁA HOŁD NIEZNAJEMEMU ŻOŁNIERZOWI

Policja chroni królową przed tłumem

*W blasku sennego chińskiego księżycy
Miłość jak taniec upaja, zachwyca*

PROFESOR TORTUROWAŁ RYWAŁA

KRÓLOWA ZASNEŁA, NIM POCIĄG RUSZYŁ

Zanosi się na konflikt społeczny

COOLIDGE CHWALI REKLAMĘ

*Ujrzałem ją w zachodzie słońca,
Gdy upał dnia dobiegał końca*

Policjant karmi kanarka za pięćset dolarów pozostawione
przez bogatą narzeczoną

*Zmrok czyni przepastnym
Niebo nad Mani-ilą,
Więc rzekłem ukochanej,
urzeczony chwi-ilą*

PORZUCONY APOLLO NIE TRACI NADZIEI NA POWRÓT
POSAŻNEJ OBLUBIENICY

MARGO DOWLING

Agnes była cudowna. Gdy doktor Dennison orzekł, że Margo musi się bezwarunkowo poddać operacji, bo inaczej jej zdrowie będzie w poważnym niebezpieczeństwie, Agnes wykukała pieniądze z Kasy Morrisa*, a potem ją pielęgnowała tak jak w dzieciństwie, kiedy Margo przechodziła odrę. Margo nie przejęła się zbytnio, gdy jej w szpitalu oznajmili, że już nigdy nie urodzi dziecka, natomiast Agnes płakała i płakała bez końca. Kiedy Margo zaczęła wreszcie dochodzić do siebie i przemyśliwać o znalezieniu jakiejś pracy, miała takie uczucie, jakby się nigdy w życiu nie rozstawały z Agnes.

Stara Południowa Wafłarnia, jak się nazywała herbaciarnia prowadzona przez Agnes, prosperowała nad wszelkie spodziewanie i Agnes zarabiała regularnie siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo. Całe szczęście, bo Frank już rzadko kiedy dostawał engagement; nie ma zapotrzebowania na prawdziwą rozrywkę od wojny, mawiał. Zrobił się bardzo solidny i smutny, odkąd się pobrali z Agnes w Małym Kościółku za Rogiem*. Lwią część czasu spędzał grając w brydża w Klubie Jagniąt* albo wspominając dawne lata, gdy odbywał tournees z Richardem Mansfieldem.

Stanąwszy z powrotem na nogi Margo objiała się przez całą ponurą zimę po agencjach teatralnych i przeglądach kandydatek do rewii, nim pewnego popołudnia zwrócił na nią przypadkiem uwagę FIo Ziegfeld. gdy siedziała w poczekalni w szeregu czekających girlasek. Jakimś cudem udało jej się przykuć jego wzrok posyłając mu mizerną imitację figlarnego uśmiechu, tak że się zatrzymał i zlustrował ją dokładnie.

Następnego dnia pan Herman wybrał ją do pierwszego szeregu girls nowo przygotowywanej rewii. Próby okazały się najcięższą harówką, jakiej zaznała w życiu.

Zaraz na samym początku Agnes oznajmiła, że nie dopuści, by Margo się pospolitowała z paczką wulgarnych girlasek, i chociaż musiała być co dzień rano punkt o dziewiętej w herbaciarni, zawsze czekała na nią przed teatrem po przeciągających się próbach albo wieczornych spektaklach. Nie opuściła ani jednego wieczoru aż do dnia, gdy Margo poznała Tada Whittlesea, ćwierćbeka w drużynie rugby Uniwersytetu Yale'a, który po zakończeniu sezonu piłkarskiego spędzał wszystkie weekendy w Nowym Jorku. Obejrzała go przedtem dokładnie, zaprosiła do domu na niedzielny obiad i zdecydowała, że jak na milionerskiego syna jest zupełnie przyzwoity i wskazane, żeby się poczuł trochę odpowiedzialny za Margo.

W weekendowe wieczory Margo w pośpiechu przyczesawała po raz ostatni swoje blond loki pod niebieskim aksamitnym toczkiem, narzucała futrzaną pelerynkę, która z daleka przypominała trochę srebrnego lisa, choć oczywiście była imitacją, zamykała drzwi zakurzonej dusznej garderoby, zostawiając za sobą zapach rurek do włosów, masła kakaowego, dziewczynskiego potu i dekoracji, i zbiegała z kondygnacji wietrznych betonowych schodów koło starego Luke'a o ziemistej twarzy, który w swojej ciasnej oszklonej budce portierskiej naciągał kapotę zbierając się również do domu. Robiła głęboki wdech wychodząc w zimny wiew ulicy. Nigdy nie pozwalała Tadowi czekać pod teatrem z gromadą zakulisowych donżuanów. Wołała go wypatrywać wśród ciżby w wieczorowych strojach w hallu hotelu Astor, jak stoi na szeroko rozstawionych nogach, w brązowych wypucowanych do glancu butach, w rozpiętym futrze z szopa, spod którego widać pasiasty krawat i miękką marszczoną koszulę.

Tad był nieskomplikowanym chłopcem o czerwonej twarzy, który nigdy nie miał wiele do powiedzenia. Margo mówiła za dwoje od chwili, gdy ją wsadzał do taksówki, żeby jechać gdzieś na dansing. Bawiła go opowiadaniem o girlaskach, garderobianych i tancerzach. Czasami ją prosił o powtórzenie jakiejś anegdoty po raz drugi, żeby ją dobrze zapamiętać i opowiedzieć kolegom w college'u. Historia o tym, jak tancerze, którzy byli w większości pederastami, umazali suczą cieczą młodzieńckiego kolegę, który się durzył w Maisie De Mar, tak że się stał również pedałem, przeraziła Tada na śmierć.

- Człowiek nie ma pojęcia o mnóstwie rzeczy, które się dzieją na świecie - powiedział. Margo zmarszczyła nos.

- Ty nie wiesz nawet połowy, mój drogi.

- To musi być wymyślona historia.

- Nie, słowo daję, Tad, tak było. Słyszałyśmy, jak wrzeszczeli i wiwatowali w męskiej garderobie. Otoczyli go kołem i wysmarowali suczą cieczą. Mówię ci, byliśmy przerażone.

Tego wieczora poszli do Childsa na Columbus Circle zjeść jaja na szynce.

- Rany, Margo - powiedział Tad pełnymi ustami, wykańczając na deser drugą porcję kruchych ciasteczek - to nie jest życie dla ciebie. Jesteś najinteligentniejszą dziewczyną, jaką znam, i taką dystygowaną.

- Nic się nie martw, Tad, mała Margo nie zostanie na resztę życia girlaską.

Odwożąc ją taksówką do domu Tad zaczął się do niej dobierać. Zaskoczyło to Margo, bo nie należał do chłopców bezczelnych, a nie był również wstawiony, bo wypił tylko butelkę kanadyjskiego porteru.

- Rany, Margo, jesteś nadzwyczajna. Nie pijesz, nie chcesz się nawet pomigdalić. Cmoknęła go przelotnie w policzek.

- Powinieneś zrozumieć. Muszę myśleć przede wszystkim o pracy.

- Uważasz mnie zdaje się za tępego osiłka.

- Jesteś miłym chłopcem, ale wolę, jak trzymasz ręce przy sobie.

- Jesteś cudowna - westchnął Tad po swojej stronie taksówki, wpatrując się w nią okrągłymi oczami znad podniesionego kosmatego kołnierza.

- Dziewczyna, której się nie zapomina - powiedziała Margo.

Wkrótce Tad stał się regularnym gościem na niedzielnych obiadach. Przychodził wcześniej pomóc Agnes w nakrywaniu stołu, po obiedzie zdejmował marynarkę, zawijał rękawy koszuli i pomagał przy zmywaniu statków, a potem grali we czwórkę w kierki i wypijali każde po szklaneczce bulionu żelazowo-winnego przyniesionego z drogerii. Margo nie cierpiała tych niedzielnych popołudni, natomiast Frank i Agnes zdawali się wniebowzięci. Tad mówił, że w życiu nie czuł się nigdzie tak dobrze jak u nich, i siedział do ostatniej minuty, aż musiał pędzić na spotkanie z ojcem w Klubie Metropolitalnym*. Pewnej śnieżnej niedzieli, gdy Margo się wymówiła od kart bólem głowy i przez całe popołudnie leżała w łóżku słuchając szumu pary w radiatorach, bliska płaczu z nudy i zniecierpliwienia, po wyjściu Tada wsunęła się w negliżu do jej pokoiku Agnes i oświadczyła z błyszczącymi oczami:

- Margo, musisz za niego wyjść. Jakież to słodki chłopiec! Powiedział nam, że tutaj po raz pierwszy zrozumiał, co to dom. Został wychowany przez lokai, berajterów i innych fagasów. Nigdy nie przypuszczałam, że milioner może być taki kochany. To złoto, nie chłopak.

- Jaki tam z niego milioner - odparła Margo wydymając wargi.

- Jego ojciec ma fotel na giełdzie! - zawołał Frank z drugiego pokoju. - Tego się nie dostaje za kupony od cygar, chyba wiesz, moja droga?

- Och - rzekła Margo przeciągając się i ziewając - w każdym razie na pewno bym nie miała utracjusza za męża. - Usiadła na łóżku, wyciągnęła palec w stronę Agnes. - Mogę wam zaraz powiedzieć, dlaczego tu tak chętnie przychodzi w każdą niedzielę. Dostaje za darmo obiad, nie musi wysuwać ani centa.

Jerry'ego Hermana, żółtego łysego zasuszonego małego kierownika artystycznego, od którego zależało engagement, wszystkie girlsy bały się jak ognia. Toteż kiedy Regina Riggs powiedziała, że widziała pewnej soboty między przedstawieniami Margo jedzącą z nim obiad w jadłodajni Keene'a, dziewczęta pytowały o tym bez końca. Słyszając, jak chichoczą i szepczą za jej plecami w garderobie, Margo dostała z irytacji mdlącego bólu w dołku. Regina Riggs, dziewczyna o szerokiej twarzy pochodząca z Oklahomy, która na co dzień miała na imię po prostu Gina i była girlsą w rewiach Ziegfelda od czasów, gdy po Broadwayu kursowały tramwaje konne, wzięła Margo pod rękę, gdy schodziły razem schodami po porannej próbie.

- Posłuchaj, mała - rzekła - chcę cię ostrzec przed tym typem. Znasz mnie, z niejednego pieca chleb jadłam i gwizdzę na tych wszystkich bubków, więc pozwól, że ci coś powiem. Jeszcze nie było dziewczyny, która by cokolwiek zyskała na tym, że dała temu blagierowi. Wiele próbowało, może ja sama też. Ale wiesz, że w ten sposób nic nie wskórasz u faceta, jędrne białe ciało to najtańszy towar w tym mieście. Masz miłą niewinną buźkę, chciałabym cię uchronić przed fałszywym krokiem.

Margo zrobiła wielkie oczy.

- Ależ co ci przyszło do głowy? Myślisz, że ja...? Zachichotała jak pensjonarka.

- Już dobrze, dobrze, dziecko. Nie mówmy o nim więcej. Doczekasz z tym pewnie do marsza weselnego?

Zaczęły się obydwie chichrać. Od tej pory były najlepszymi przyjaciółkami. Ale nawet Gina nie wiedziała, gdy pewnego późnego wieczora sobotniego, po długich morderczych próbach nowego numeru, który miał wejść do programu w najbliższy poniedziałek, Margo nieoczekiwanie dla samej siebie znalazła się z Jerrym Hermanem w jego dwuosobowym sportowym wozie. Miał ją podrzucić do domu, ale dotarwszy do Columbus Circle zapytał, czyby z nim nie pojechała do Connecticut odpocząć porządnie na jego farmie. Margo wstąpiła do drogerii i zadzwoniła do Agnes, że przez całą niedzielę będą próby, więc zanocuje u Giny Riggs, która mieszka niedaleko teatru. Jadąc Jerry rozpytywał Margo o jej życie.

- Jesteś inna od wszystkich dziewcząt, moja mała - oświadczył. - Założę się, że nie mówisz o sobie całej prawdy. Ukrywasz jakąś tajemnicę.

Nim dojechali, Margo zdążyła mu opowiedzieć o swoim dzieciństwie na kubańskiej plantacji cukru, o rezydencji, jaką jej ojciec miał w hawańskim Vedado, o melodiach i tańcach kubańskich, o tym, jak jej ojciec został doprowadzony do ruiny przez kartel cukrowy i ona jako dziewczynka utrzymywała rodzinę występami w pantomimach gwiazdkowych w Anglii, o swoim przedwczesnym niefortunnym małżeństwie z hiszpańskim arystokratą i o tym, że raz na zawsze skończyła z tamtym życiem, teraz myśli tylko i wyłącznie o pracy.

- Życiorys prosto do gazet - skwitował jej opowieść Jerry.

Zajechawszy przed oświetlony wiejski dom w lesie wielkich drzew, siedzieli przez chwilę w aucie, lekko drżąc w przejmującej mgłę, która napływała znad jakiegoś strumienia. Jerry obrócił się do niej w ciemności, jakby jej chciał zajrzeć w twarz.

- Znasz przypowieść o trzech małpkach, moja droga? - zapytał.

- Jasne - odparła Margo. - Jedna nie widziała, druga nie słyszała, trzecia nie mówiła.

- Właśnie - powiedział, po czym Margo pozwoliła mu się pocałować.

Wewnątrz był to przepiękny wiejski dom z ogniem buzującym na kominku, z dwoma paniami w kraciastych drwalskich koszulach i kilkoma ekscentrycznymi paniami w paryskich toaletach i z afektowaną wymową z Park Avenue. Okazało się, że kobiety się zajmują dekoracją wewnątrz, a dwaj mężczyźni są scenografami. Jerry usmażył w kuchni dla wszystkich jajecznicę na szynce, po czym popijali fermentowany cydr i bawili się pysznie, chociaż Margo nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Żeby coś zrobić, zdjęła ze ściany gitarę i zabrzdąkała "Siboney" i kilka innych melodii kubańskich, których ją nauczył Toni. Kiedy jedna z kobiet powiedziała, że powinna się wyspecjalizować w numerach kubańskich, Margo zamarło serce. Błady świt przezierał przez mgłę za oknami, nim poszli do łóżka. Późnym rankiem, chichocząc i dowcipkując, zjedli wszyscy razem w szlafrokach wyśmienite wiejskie śniadanie, a po południu Jerry ją odwiózł do miasta i wysadził na Riverside Drive koło Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Frank i Agnes wyskakiwali ze skóry, kiedy się zjawiała w domu. Okazało się, że Tad wydzwaniał przez całą niedzielę. Poszedł do teatru i dowiedział się, że nie ma żadnych prób. Margo wściekła odpaliła, że miała próby numeru solowego, a jeśli jakiś zasmarkany studencina sobie wyobraża, że może jej stanąć na drodze do kariery, to ona go wyprowadzi z błędu. Kiedy zadzwonił się z nią umówić na następny weekend, nie chciała z nim rozmawiać.

Jednakże tydzień później, gdy wyszła koło drugiej ze swego pokoju na wystawny niedzielny obiad Agnes, zastała Tada siedzącego ze spuszczoną głową i rękami parobka zwieszonymi między kolanami. Na krześle koło niego leżało zielone pudło z kwiaciarni; od pierwszego rzutu oka odgadła, że są w nim róże. Tad zerwał się na nogi.

- Och, Margo, nie gniewaj się na mnie. Absolutnie nic mnie nie cieszy bez ciebie.

- Nie gniewam się, Tad - odparła. - Tylko musicie wszyscy wbić sobie raz na zawsze do głowy, że nie pozwolę żadnym prywatnym sprawom stanąć na drodze do kariery.

- Jasne, świetnie cię rozumiem - bąknął Tad. Zjawiła się Agnes, cała w uśmiechach i wstawiła róże, Piękności Ameryki, do wody.

- A-a, b-byłbym zapomniał - wyjąkał Tad wyjmując czerwone skórzane etui z kieszeni. - Widzisz, p-papo dał mi p-pakiet akcji, żebym zagrał na giełdzie, i w zeszłym tygodniu mi się p-poszczęściło, więc ci to kupilem. Ale b-będziesz je nosić tylko, kiedy razem wychodzimy, d-dobrze?

Był to sznur pereł, małych i nie za dobrze dobranych, ale mimo wszystko pereł.

- Nie miałabym się w nich z kim i gdzie pokazać, głuptasie - odrzekła Margo czując, że się czerwieni. - Ale to nie imitacja? Tad pokręcił głową. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go.

- Rany, więc ci się naprawdę podobają? Jeszcze jedna rzecz - wyrzucił z siebie szybko. - Papo obiecał mi "Antoinette", wiesz, swój jacht, na dwutygodniowy rejs w lecie. Pozwolił mi zabrać, kogo chcę, więc chciałbym, żebyś pojechała ty i pani. Zaprosiłbym i pana Mandeville'a, ale...

- Nonsens - przerwała Agnes. - Jestem przekonana, że będziecie mieli dosyć przyzwoitek i beze mnie. Nabawiłabym się tylko choroby morskiej. Zawsze okropnie chorowałam, kiedy nieboszczyk Fred brał mnie na ryby.

- Fred to mój tatuś - wtrąciła Margo. - Ogromnie lubił sporty wodne, jachting i tak dalej. Pewnie dlatego jestem taką dobrą żeglarką.

- To się wspaniale składa - powiedział Tad. W tym momencie wrócił ze spaceru Frank Mandeville, w zakiecie i z laseczką o srebrnej gałce, więc Agnes się rzuciła do kuchni nakładać na półmiski pieczoną cielęcinę z nadzieniem i jarzynkami oraz wyjmować z piecyka placek z truskawkami, którego ciepły korzenny zapach rozchodził się od pewnego czasu po całym mieszkaniu.

- Rany, dobrze mi tutaj - powiedział Tad rozpierając się wygodnie w krzesło, kiedy zasiedli do obiadu.

Przez całą resztę wiosny Margo musiała cholernie manewrować, żeby Tad i Jerry nie wpadli na siebie. Z Jerryem nie spotykała się nigdy w teatrze. Zaraz na samym początku zapowiedziała mu, że nie pozwoli sprawom prywatnym przeszkadzać jej w pracy, a on spojrzał na nią przenikliwie swoimi chytrymi spłowiałymi oczkami i rzekł:

- Hm, szkoda, że więcej naszych panien tak nie myśli. Masę czasu tracę na opędzanie się przed nimi.

- Biedaczek - odrzekła Margo. - Valentino scen rewiowych. Dosyć lubiła Jerry'ego Hermana. Przynosił zawsze tyle smakowitych ploteček ze świata teatralnego. Nie podobało jej się tylko, że kiedy się z nią trochę spoufalił, kazał jej płacić własną część rachunków w restauracjach i zaczął pokazywać fotografie żony i dzieci zamieszkałych w New Rochelle. Margo pracowała solidnie nad swoim numerem kubańskim, ale z występu solowego jakoś na razie nic nie wychodziło. W maju trupa miała wyjechać na prowincję. Margo długo nie mogła się zdecydować, czy jechać na tournee. Gina Riggs stanowczo jej odradzała. Co innego z nią, która ma już tylko jedną ambicję, przy-gruchać jakiegoś komiwojażera w pierwszej lepszej zakazanej dziurze i machnąć się za niego, nim wytrzeźwieje, ale to nie przyszłość dla Margo Dowling, przed którą stoi otworem kariera. Lepiej zostać przez lato z pustymi rękami w Nowym Jorku, niż włączyć się jako girlsa w trupie objazdowej po prowincji. Jerry Herman był zły jak osa, gdy odmówiła podpisania kontraktu na tournee. Wybuchnął przy całym biurze i wszystkich dziewczętach czekających w kolejce.

- Jak sobie chcesz, moja droga. Od dawna widzę, co się święci. W głowie jej się przewróciło, myśli, że jest drugą Peggy Joyce. Odtąd wszystko między nami skończone.

Margo spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba mnie pan myli z kimś innym, panie Herman. Nigdy nic z panem nie zaczynałam, więc nie rozumiem, co by miało być skończone.

Wszystkie dziewczęta chichotały, kiedy zawróciła na pięcie i szła do drzwi, a Jerry Herman odprowadził ją takim wzrokiem, jakby ją chciał zamordować. Oznaczało to, że nie dostanie już nigdy engagement do żadnej rewii, które on obsadza.

Przez całe upalne miejskie lato objiała się po mieszkaniu Agnes nie wiedząc, co ze sobą począć. Frank przesiadywał stale w domu wyczekując tylko sposobnej chwili, żeby się do niej dostać, tak że musiała zamykać drzwi na klucz, gdy szła do łóżka. Leżała po całych dniach w' okropnym dusznym pokoiku z obłazącymi zielonymi tapetami i niemytym oknem wychodzącym na żuźlowe podwórka z paroma bożodrzewami i wiecznie suszącym się praniem. Tad pojechał do Kanady bezpośrednio po zakończeniu roku akademickiego. Spędzała nie kończące się dni na czytaniu magazynów, próbowaniu przed lustrem coraz to nowych ondulacji, manikiurowaniu paznokci i wymyślaniu fantastycznych sposobów ucieczki od tego nędznego obscurnego życia. Obskurne, niedawno wpadła na to słowo. Obracała je ustawicznie w myśli, obscurne, obscurne, obscurne. Wmówiła sobie, że szaleje za Tadem Whittlesea. Ale kiedy nadszedł sierpień, Tad napisał, że jego Matka zachorowała i projektowaną wycieczkę jachtem trzeba odłożyć do zimy. Agnes się rozplakała, gdy Margo jej pokazała list.

- Cóż, niejedna rybka w jeziorze - powiedziała Margo.

We dwie z Giną, która przerwała tournee poprzykawszy się z inspicjentem, zaczęły znowu obchodzić

agencje teatralne. Przez bite cztery tygodnie miały próby do rewii, która zrobiła klapę od razu w dniu premiery. Potem zostały zaangażowane do "Szaleństw Greenwich Village". Reżyser dał Margo szansę zaprezentowania solowego numeru kubańskiego, zamówił dla niej nawet stylowy kostium, po to by na próbie generalnej ostatecznie skreślić jej występ, bo spektakl okazał się za długi.

Czułaby się parszywie, gdyby po Święcie Dziękczynienia nie zjawił się znowu Tad i nie zaczął jej gdzieś zabierać w każdą sobotę. Opowiadał bez przerwy o wycieczce jachtem, którą sobie urządzi w czasie ferii zimowych. Wszystko zależy od tego, kiedy mu wypadną egzaminy. Po Bożym Narodzeniu znowu została na lodzie. Na domiar złego Frank się rozchorował na nerki i Margo szalała, żeby się wyrwać z duszno mieszkanca, od pielęgnowania Franka i prowadzenia gospodarstwa za Agnes, która często wracała z pracy o dziesiątej, jedenastej wieczór. Frank leżał w łóżku, z twarzą zapadłą, żółtą i nabzdyczoną, i co chwila coś od niej chciał. Agnes nigdy się nie uskarżała, lecz Margo miała już tak dosyć Nowego Jorku i tego wszystkiego, że podpisała kontrakt na występy kabaretowe w Miami, chociaż Gina i Agnes okropnie się nad nią wytrząsały, że w ten sposób zaprzepaści karierę.

Nie zakończyła jeszcze sporu ze swoim agentem, kto pokryje koszt jej przejazdu na Florydę, gdy pewnego lutowego ranka przyszła ją obudzić Agnes. Po jej rozpromienionej twarzy Margo od razu się zorientowała, że chodzi o coś niezwykłego. Była to zamiejskowa, dzwonił Tad. Ma uporczywy bronchit, więc dostał urlop z college'u i jedzie z prywatnym nauczycielem jachtem ojca w miesięczny rejs do Indii Zachodnich. Jacht jest zakotwiczony w Jacksonville i nim się zjawi nauczyciel, może zabrać, kogo chce, na małą wycieczkę. Czy Margo by nie pojechała i nie wzięła ze sobą jakiejś koleżanki? Tylko kogoś nie zanadto wesołego. Chciał, żeby pojechała Agnes, ale skoro to niemożliwe ze względu na chorobę pana Mandeville'a, może by wzięła ze sobą kogoś innego? Margo z emocji ledwo mogła złapać dech.

- To cudownie, Tad - powiedziała. - Miałam właśnie jechać w tym tygodniu na Florydę. Zupełnie jakbyś czytał w moich myślach.

Namówiła na jazdę Ginę Riggs, chociaż ta się wzdragała, że nigdy w życiu nie była na jachcie i ma pietra, czy się będzie potrafiła zachować.

- Och, ja spędziłam mnóstwo czasu na łódkach jako dziewczynka-odrzekła Margo. - To nic nadzwyczajnego.

Kiedy wysiadły z taksówki na Dworcu Pensylwańskim, czekał już na nie Tad z małym chudym przyznanym kolegą. Byli obaj diabło zdenerwowani, a gdy otworzyli usta, zaleciało od nich ostro ginem.

- Wykupcie same swoje bilety, dziewczęta - powiedział Tad ujmując Margo pod ramię i wtykając jej zwitek banknotów do kieszeni futra. - Rezerwacja jest na wasze nazwiska. Macie oddzielny przedział pierwszej klasy, a my drugi.

- Widziałas mądrali? - szepnęła Gina do ucha Margo stając obok niej w kolejce do kasy.

Kolega Tada nazywał się Dick Rogers. Margo od razu się zorientowała, że uważa Ginę za starą i wulgarną. Wstydziła się także swoich bagaży, bo ich walizki wyglądały okropnie tandetnie koło sakwojaży chłopców, zrobionych ze świńskiej skóry. Była w parszywym nastroju, kiedy pociąg ruszał ze stacji. Palnęłam gafę na samym wstępie, myślała. Natomiast Gina, z głową odrzuconą do tyłu, z widocznym złotym zębem, piszczała i pokrzykiwała jak na zabawie strażackiej. Rozsiedli się w przedziale dziewcząt, z małym stolikiem między kanapkami, i wypiwszy po maleńkim ginie dla kurażu, poczuli się nieco raźniej. Kiedy pociąg wyjechał z tunelu i w ciemności za oknami zaczęły przemykać światła, Gina zasunęła roletę.

- Tak będzie przytulniej - powiedziała.

- Teraz największym problemem będzie przeszwarcować was na jacht, dziewczęta - obwieścił Tad. - Ojciec będzie się krzywił, jeśli mu doniosą, żeśmy was przygruchali w Jacksonville. Ale zrobiłby piekło nie z tej ziemi, gdyby się dowiedział, żeśmy was przywieźli z Nowego Jorku.

- Coś mi się obilo o uszy, że w Jacksonville ma czekać przyzwoitka - wtrącił mały Rogers. - Przyzwoitka-cud, głucha, ślepa i nie rozumiejąca po angielsku.

- Szkoda, że nie ma z nami Agnes - westchnął Tad. - To macocha Margo. Mówię ci, morowa kobita.

-- No, dziewczyny - spytał mały Rogers pociągając głośno gin z butelki - kiedy przystępujemy do konkretów? Po obiedzie w wagonie restauracyjnym wrócili chwiejnie do przedziału i pili dalej gin. Mały Rogers chciał, żeby z nimi zagrały w rozbieranego pokera, ale Margo powiedziała twardo nie.

- Oj, nie bądź taka nietykalska - zarechotała Gina.

Była już dobrze wstawiona. Margo włożyła futro.

- Tad musi iść wcześniej spać - oświadczyła. - Dopiero wstał po chorobie. - Wzięła go za rękę i wyciągnęła na korytarz. - Chodź, Tad, niech zostaną trochę sami. Cała bieda z wami, studentami, że jak tylko dziewczyna zachowuje się odrobinę swobodniej, od razu wam się zdaje, że już możecie sobie na wszystko pozwolić.

- Och, Margo! - Tad przytulił ją przez futro, kiedy wychodzili w zimne rozedrgane powietrze pomostu widokowego. - Jesteś wspaniała.

Wieczorem, gdy się rozebrały, mały Rogers przyszedł do nich w szlafroku i oznajmił, że ktoś czeka na Margo w sąsiednim coupe. W rezultacie spała w jednym przedziale z Tadem, ale nie pozwoliła mu się położyć do swego łóżka.

- Słowo daję, Tad, bardzo cię lubię - powiedziała wytykając nos spod pledów na górnym łóżku - ale sam rozumiesz. Pan Bóg strzeże pracującą dziewczynę, jeśli się sama pilnuje. U nas w rodzinie najpierw się wychodzi za męża, a później kocha, nie odwrotnie.

Tad westchnął na dolnym łóżku i przewrócił się twarzą do ściany.

- Rany, sam o tym myślałem.

Margo zgasiła światło.

- Ale to nie powód, Tad, żebyś mnie nie pocałował na dobranoc.

W połowie nocy obudziło ich pukanie do drzwi. Zjawił się mały Rogers, dosyć wypluty.

- Czas się zamienić - oznajmił. - Boję się, żeby konduktor nas nie nakrył.

- Konduktor ma większe kłopoty na głowie - odburknął Tad, lecz Margo już się ześlizgnęła z łóżka i wracała do swego przedziału.

Rano przy śniadaniu w wagonie restauracyjnym Margo nie przestawała dokuczać tamtym dwojgu, czemu mają takie sińce pod oczyma. Mały Rogers zamówił półmisek ostryg i myśleli, że się nigdy nie przestaną chichotać. Nim dojechali do Jacksonville, Tad wziął Margo jeszcze raz na pomost widokowy i spytał, czemu się wobec tego, u licha ciężkiego, nie pobiorą. Jest wolny, biały, ma skończone dwadzieścia jeden lat, może nie? Margo się popłakała i uśmiechając się przez łzy odparła, że jest chyba mnóstwo powodów, dlaczego nie mogą się pobrać.

- Jak rany - powiedział Tad, gdy wysiedli z pociągu na peron zalany słońcem - tak czy inaczej kupię ci pierścionek zaręczynowy. Po drodze do hotelu kazał się taksówkarzowi zatrzymać przed jubilerem i kupił jej platynowy pierścionek z soliterem, za który zapłacił czekiem.

- Rany koguta, jego stary musi być rzeczywiście milionerem - skomentowała Gina przykładając Margo wargi do ucha w kościelnym szepcie.

Po wizycie u jubilera chłopcy zawieźli je do hotelu Mayflower. Wzięły pokój i pojechały na górę trochę się odświeżyć. Wyprały bieliznę, zrobiły sobie gorącą kąpiel, rozłożyły sukienki na łóżkach.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedziała Gina pomagając Margo myć głowę - te nasze chojraki zaczynają wyraźnie trząść portkami. Przez całe życie marzyłam, żeby się przejechać prawdziwym jachtem, ale zobaczysz, będą z tego nici. Oj, Margo, mam tylko nadzieję, że to nie ja popsulałam sprawę.

- Tad zrobi wszystko, co zechcę - odparła Margo z irytacją.

- Poczekaj, zobaczysz - upierała się Gina. - Ale my się tutaj klócimy, zamiast korzystać z tego, co mamy. Przecież to najmorowszy pokój w najmorowszym hotelu w Jacksonville na Florydzie.

Margo mimo woli się roześmiała.

- A kto winien?

- Dobra, niech będzie twoje na wierzchu - rzuciła Gina wypadając z zaparowanej łazienki pachnącej szamponem, którym myły głowy, i trzaskając za sobą drzwiami.

O pierwszej przyjechali po nie chłopcy, kazali im się spakować i zwolnić pokój. Lincolnem wynajętym przez Tada pojechali do portu. Był piękny słoneczny dzień. "Antoinette" stała zakotwiczona na Rzece Świętego Jana, więc musieli do niej płynąć motorówką. Czekający marynarz był przystojnym chłopakiem całym w bieli. Zasalutował na powitanie i pomógł dziewczętom wsiąść. Oparłszy dłoń na jego ramieniu, kiedy robiła krok do łodzi, Margo poczuła pod białym drelichem twarde mięśnie i zauważyła błysk słońca na złotych włoskach brązowej ręki. Usiadłszy na miękkiej granatowej kanapce spojrzała na Tada, który podawał majtkowi bagaże. Tad wyglądał blade po chorobie i miał tę pocieszna szeroką pospolitą twarz, ale był też krzepkim, dobrze zbudowanym chłopcem. Zapragnęła go nagle uściskać. Tad usiadł przy sterze i motorówka pomknęła po wodzie tak szybko, że dziewczętom zaparło dech i obleciał je strach, czy bryzgi nie poplamiają im nowych sportowych sukienek, które miały pierwszy raz na sobie.

- Jaki piękny jacht! - wyrwało im się obu z piersi, gdy ujrzały "Antoinette", taką wielką i białą, z mahoniową nadbudówką i szerokim żółtym kominem.

- Nie wiedziałem, że to jacht parowy - zagruchała Gina. - Jak rany koguta, tym by można przepłynąć ocean.

- Nie parowy - poprawił Tad. - To diesel.

- Jak my wszyscy - dorzuciła Margo.

Tad podpłynął z takim impetem, że rąbnął prosto w mahoniowy trap spuszczonej pokładu. Trap zatrzeszczał, zaskrzypiał i przez moment wyglądało, że się urwie, ale marynarze jakoś go utrzymali.

- Prostuj, brachu! - wrzasnął mały Rogers i zarechotał.

- Niech to jasny gwint - zaklął Tad.

Miał wściekłą minę jeszcze, kiedy weszli na pokład. Dziewczęta były szczęśliwe, że są już na pięknym jachcie, a nie na wywrotnej małej motorówce, gdzie w każdej chwili fale mogły im pochłapać sukienki. Na jachcie powitali ich przystojni oficerowie w białych uniformach, na pokładzie pod markizą stał stół nakryty do lunchu, obok czekał filipiński lokaj z tacą cocktailli i najprzeróżniejszych maleńkich sandwiczów wycinanych w wymyślne kształty. Zasiedli zaraz do jedzenia, bo chłopcy oświadczyli, że umierają z głodu. Podano im florydzkie homary z rusztu w różowym sosie, kurczęta na zimno, sałatkę i szampana. Margo nie była jeszcze nigdy taka szczęśliwa. Podczas gdy jedli, jacht zaczął wolno sunąć w dół rzeki, zostawiając w tyle szpetne

nabrzeża i brudne parostatki, a wypływając na szerokie przestrzenie brunatnej wody poznaczone tu i ówdzie pływającymi zielonymi kępami hiacyntów wodnych. Od splątanych drzew przesłaniających brzegi wiatr przywiewał dziwny wilgotny zapach bagienny. Raz widzieli, jak się uniosło do lotu kilkanaście wielkich białych ptaków z długimi szyjami; Tad powiedział, że to czaple.

- Muszą być bardzo drogie - wyrwała się Gina.

- Są chronione prawem federalnym - odrzekł mały Rogers.

Do kawy podano im brandy w kulistych kieliszkach, tak że od stołu wstali wszyscy dobrze zawiani. Margo doszła do wniosku, że Tad jest najmorowszym chłopcem, jakiego знаła w życiu, i postanowiła dłużej mu się nie opierać. Co ma być, niech będzie.

Po lunchu Tad oprowadził je po jachcie. Jadalnia była cudowna, cała w lustrach oprawionych na biało i złoto, a kajuty urządzone jak przytulne buduary. Kabina dziewcząt przypominała do złudzenia staromodny salonik. Ich rzeczy rozpakowano i powieszono, kiedy jadły lunch. W trakcie zwiedzania mały Rogers gdzieś zniknął z Giną i Margo ani się spostrzegła, jak się znalazła sam na sam z Tadem w kabinie, gdzie jej chciał pokazać fotografię jachtu, na którym jego ojciec zwyciężył w regatach bermudzkich*. Patrząc na fotografię poczuła jego policzek przy swoim i po chwili się całowali.

- Rany, jesteś wspaniała - powiedział Tad. - Wiesz, ja w tym nie jestem zbyt zręczny. Nie mam doświadczenia. Przywarła do niego.

- Co ty, na pewno masz mnóstwo doświadczenia.

Tad wolną ręką zamykał zasuwkę.

- Dotrzymasz tego, co obiecałeś kupując mi pierścionek, Tad?

Kiedy wyszli potem na pokład, Tad zachowywał się jako dziwnie: unikał jej wzroku i rozmawiał tylko z małym Rogersem. Gina zjawiała się czerwona i wymięta, jakby ją przepuszczono przez wyzmaczkę; na domiar złego zataczała się idąc. Margo kazała jej się ogarnąć i poprawić włosy. Żałowała, że ją w ogóle wzięła. Sama wyglądała świeżo jak poranek, stwierdziła przejrząwszy się w wielkim lustrze w salonie nad kajutami.

Tymczasem jacht się zatrzymał. Tad, który poszedł się rozmówić z kapitanem, wrócił z twarzą jak gradowa chmura.

- Niech to szlag trafi - powiedział. - Musimy wracać do Jacksonville. Wytopiła się panewka w pompie olejowej.

- To wspaniale! - wykrzyknął mały Rogers. - Obejrzymy sobie tutejsze życie nocne.

- A ja bym chciała wiedzieć - odezwała się Gina - gdzie jest ta przyzwoitka, o której tyleście, chłopcy, opowiadali.

- Jak rany - odrzekł Tad - zapomniałem na śmierć o pani Vinton. Pewnie czeka cały dzień w porcie.

- Teraz to musztarda po obiedzie - powiedziała Margo i wszyscy się roześmieli z wyjątkiem Tada, który zrobił jeszcze kwaśniejszą minę.

Było ciemno, kiedy dopłynęli do Jacksonville. Dziewczęta musiały się z powrotem spakować i włożyć inne sukienki. W trakcie przebierania się Gina rozpoczęła idiotyczną rozmowę:

- Zapamiętaj moje słowa, Margo, ten chłopak chce się z tobą ożenić.

- Nie mówmy o tym - powtórzyła Margo kilka razy.

- A ty go traktujesz jak psa.

Margo usłyszała swój głos, podniesiony i piskliwy:

- Nikomu nic do tego!

Gina poczerwieniała i wróciła do pakowania. Widać było, że jest dotknięta.

Kolację zjedli skwaszeni w hotelu. Po kolacji mały Rogers zaciągnął ich do knajpy, którą wynalazł. Margo nie chciała iść, mówiła, że ją boli głowa, ale wszyscy ją zakrzyczeli, żeby nie była taka, i ostatecznie poszła. Knajpa okazała się spelunką z ceratą na stolikach i trocinami na podłodze. W drugiej salce przy barze stali jacyś Italiańcy, Kubańczycy czy ktoś w tym rodzaju. Gina oświadczyła, że nie wygląda jej to na miejsce najodpowiedniejsze dla przyzwoitych panien.

- Kto was tu, u diabła, zobaczy? - zapytał Tad, ciągle jeszcze naburmuszony.

- Chcieliśmy przecież poznać życie nocne - powiedział Rogers próbując wszystkich rozruszać.

Margo przestała słyszeć, co mówią. Siedziała ze wzrokiem wlepionym w drzwi sąsiedniej sali. Jednym z cudzoziemców stojących przy barze był Toni. Wyglądał starzej, miał opuchniętą twarz, ale był to bez wątpienia Toni. Przedstawiał żaloszny widok. Miał na sobie wymięte białe ubranie z postrzępionymi mankietami i rozmawiając kręcił biodrami jak kobieta. Margo pierwsza rzecz pomyślała, jak kiedykolwiek mógł jej się podobać taki żigolak. Kącikiem oka widziała zasępioną twarz Tada, jego ładne jasne zmierzwiłone włosy i schludną sylwetkę studenta w dobrze skrojonym garniturze. Musiała działać szybko. Otwierała usta chcąc powiedzieć, że słowo daje, ona wraca do hotelu, gdy napotkała wielkie czarne oczy Toniego wpatrzone w nią spod ciemnych rzęs. Po chwili szedł do niej swoim zniewieściałym kroczeniem, wyciągając obydwie ramiona.

- Querida mia!* Skąd się tutaj wzięłaś?

Przedstawiła go jako Antonia de Garrido, swego partnera w numerze kubańskim podczas tournée po teatrach Keitha, ale on zaraz wywalił kawę na ławę nazywając ją swoją żoneczką. Czuli, jak Tad sztywnieje, gdy to usłyszał. Po chwili ją nadskakiwać Toniemu, zamawiać dla niego trunki. We dwóch z Rogersem szeptali do siebie coś, z czego się śmieli. Niedługo Tad zapraszał Toniego wraz z nimi na projektowany rejs.

Margo widziała, że udaje bardziej pijanego, niż jest. Nie zaskoczyło jej, gdy obaj z Rogersem wstali i zaczęli się żegnać. Tad był czerwony jak burak.

- Musimy się jeszcze rozmówić z kapitanem w sprawie tej zepsutej pompy, dziewczęta. Señor de Garrido na pewno was odwiezie do hotelu. Tylko niech pan nie robi nic, czego ja bym nie zrobił.

- Do zobaczenia rano, ślicznotki - zawtórował mały Rogers.

Po ich wyjściu Margo się podniosła.

- Nie będziemy tkwić w tej spelunie. Nie ma co, Toni, nawarzyłeś nam piwa.

Toniemu stanęły łzy w oczach.

- Jestem w okropnej sytuacji - powiedział. - Myślałem, że moja mała Margo mi pomoże. Przecież się kiedyś lubiliśmy. Don Manfredo, pamiętasz mego patrona, Margo, musiał się nagle wynieść z Hawany. Liczyłem, że pojedziemy do Paryża, ale mnie zabrał ze sobą do Miami. Teraz już się nie przyjaźnimy. Nie poszczęściło nam się w ruletce. Zostało mu tylko dość pieniędzy dla siebie.

- Czemu nie poszukasz jakiejś pracy?

- W tym ubraniu? Wstydzę się pokazać ludziom. Może twoi przyjaciele...

- Odwal się od nich, słyszysz? - wybuchnęła Margo.

Gina zaczęła chlupać.

- Powinnaś była kupić bilety powrotne. Zapamiętaj to sobie na przyszłość. Nie ruszaj się z rodzinnych śmieci bez biletu powrotnego.

Toni odwiózł je taksówką do hotelu i uparł się sam zapłacić. Żegnając się z nimi urządził wielką scenę.

- Moja mała Margo, jeśli mnie więcej nie zobaczysz. pamiętaj, że cię kochałem. Ja się za-bi-ję!

Jeszcze jadąc windą na górę widziały go stojącego na chodniku, tam gdzie go zostawiły.

Rano obudził je boy z kopertą na srebrnej tacy. Był to list od Tada do Margo, nagryzłolony przeokropnie drżącą ręką. Tad zawiadamił tylko, że z rejsu nici, bo się zjawił nauczyciel, a na dodatek mają po drodze wziąć w Palm Beach na pokład ojca. W liście było pięć dwudziestek.

- No, no! - wykrzyknęła Gina siadając na łóżku na widok banknotów. -- To by był faktycznie nielichy spacer na piechotę do Nowego Jorku. Słowo daję, ten chłopak jest prawdziwym Świętym Mikołajem.

- Głupi gnojek - powiedziała Margo. - Pięćdziesiąt dla ciebie, pięćdziesiąt dla mnie. Szczęście, że mam to engagement w Miami.

Doznała ulgi, gdy Gina oznajmiła, że wraca pierwszym pociągiem do poczciwego starego Nowego Jorku. Nie miała ochoty oglądać dłużej kogokolwiek z tej paczki.

Nim się zdążyły spakować, do drzwi zapukał Toni. Wyglądał rzeczywiście nietęgo. Margo tak się zdenerwowała, że wrzasnęła na niego:

- Kto cię tu, u licha, wpuścił?

Toni opadł na fotel, położył na oparciu głowę z zamkniętymi oczami. Gina zatrzasnęła walizkę i podeszła mu się przyjrzeć.

- Słuchaj, facet wygląda po prostu na zagłodzonego. Poczekaj, zamówię kawę i coś do jedzenia. On był naprawdę twoim mężem?

Margo kiwnęła głową.

- Musisz coś z nim zrobić. Biedny chłopak, wygląda faktycznie jak umarłak.

- Chyba masz rację - powiedziała Margo patrząc na nich suchymi płonącymi oczyma.

Nie pojechała tego dnia do Miami. Toni miał mdłości, zrzucał, cokolwiek wziął do ust. Okazało się, że nie jadł przez tydzień, tylko pił na umór.

- Głowę dam, że on się narkotyzuje - szepnęła Gina do ucha Margo.

Popłakały się obie, kiedy nadeszła godzina odjazdu Giny.

- Muszę ci podziękować za wspaiałe chwile, chociaż tak krótko trwały - powiedziała do Margo na odchodnym.

Po jej wyjściu Margo położyła Toniego do łóżka. Kiedy w recepcji zwrócono jej uwagę, oświadczyła, że jest jej mężem. Kazano jej się powtórnie zarejestrować. Czuli się okropnie głupio wpisując do księgi meldunkowej "Antonio i Margery de Garrido", ale raz napisane, nie wyglądało to tak źle.

Minęły trzy dni, nim Toni mógł wstać. Margo musiała wezwać lekarza, który zapisał mu brom i kazał pić gorące mleko. Pokój kosztował siedem pięćdziesiąt dziennie, do tego dochodziły posiłki przysyłane na górę, doktor, lekarstwa. Wszystko to razem urosło do pokaźnej sumki. Wyglądało, że będzie musiała zastawić pierścionek otrzymany od Tada.

Mieszkając znowu z Tonim miała uczucie, jakby grała w teatrze. Nawet go lubiła, ale nie to przecież planowała. Gdy jego stan się trochę poprawił, zaczął z wielkim przekonaniem rozprawiać o wspaiałym duecie, jaki by mogli razem stworzyć. Może by się udało umieścić wspólny numer w programie, do którego

Margo ma engagement w Miami. Potrafił być naprawdę słodkim chłopcem. Kłopoty się zaczynały, ilekroć Margo wyszła zrobić sobie ondulację czy po cokolwiek. Po powrocie zawsze zastawała w pokoju jednego z boyów, chłopaka o tłustych czarnych włosach, który był tak jak Toni Latynosem. Gdy pytała Toniego, co to wszystko znaczy, śmiał się i mówił:

- Nic. Rozmawiamy sobie po hiszpańsku. Jest dla mnie bardzo miły.

- Tak, bardzo - odpowiadała Margo; ale była w takim parszywym nastroju, że właściwie ani ją to już grzało, ani ziębiło.

Pewnego ranka, gdy się obudziła, Toniego nie było. Zniknęły również z jej torebki wszystkie banknoty oraz jej cała biżuteria z wyjątkiem pierścienia z soliterem, który miała na palcu. Zadzwoiła do recepcji spytać, czy jej mąż uregulował rachunek, ale jej powiedzieli, że kazał ją jedynie obudzić o dwunastej. Nikt nie widział, jak wychodził. Południowoamerykański boy zniknął także. Wszystkim, co Margo zostało, było futro i piętnaście centów. Nie spytała, ile wynosi rachunek, ale wiedziała, że na pewno pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów. Ubrała się starannie, z rozważą, i postanowiła pójść gdzieś na filiżankę kawy. Na przyzwoite śniadanie jej nie starczy. Na dworze był ciepły wiosenny dzień. Słońce pobłyskiwało na stojących rzędem autach. Ulice, sklepy, kioski z gazetami, wszystko miało świeży przewiewny słoneczny wygląd. Margo spacerowała tam i z powrotem główną ulicą Jacksonville, z uczuciem okropnej ssącej pustki w środku. Oglądała wystawy sklepów z konfekcją i tanią biżuterią, lombardów, przeczytała od a do zet reklamy wszystkich szlagierów zapowiadanych w kinematografach. Znalazłszy się przed stacją autobusową przeczytała ceny biletów i godziny odjazdów do Miami, Nowego Orleanu, Tallahassee, Orlando, Tampy, Atlanty w Georgii, Houston w Teksasie, Los Angeles w Kalifornii. Na stacji był bufet. Weszła wydać swoje piętnaście centów. Wydębi w lombardzie więcej za pierścienek, jeśli nie polecą na pusty żołądek, pomyślała siadając przy kontuarze i zamawiając sandwicza i filiżankę kawy.

KRONIKA LVIII

*Blask opromienia twoje wspomnienia,
zawsze cudowna
Walencjo!*

*Gdzie wiatr owiewa pomarańcz drzewa,
Zawsze czarowna*

co samo w sobie ilustruje dzisiejszy burzliwy rozwój Miami. Zaledwie dwadzieścia lat temu, gdy w miejscu obecnego Banku Zatoki Biskajskiej był plac, gdzie przyjezdni przywiązywali konie, a w miejscu Pierwszego Banku Narodowego tereny zabaw ludowych, na których się piekło całego wołu albo wieprza, na parceli, gdzie dziś stoi ten ultranowoczesny hotel i klub, rósł samotny nieprzebyty las. Karczowaliśmy z ojcem jego skraje pod skromne poletka warzywne i ja chodziłem sprzedawać jarzyny w Hotelu Pod Królewską Palmą, który się wówczas wydawał dumnym hotelem na dzikim pograniczu. Jeszcze osiem lat temu uprawiałem pomidory

Walencjo!

POSZUKIWANIA ZAGINIONEGO ŁUPU

KOBIETA HERSZTEM BANDY,
KTÓRA DOKONAŁA RABUNKU NA SZOSIE

*Leniwa Rzeka na południe płynie,
Tam dokąd ja się rwę*

OFIARY RADU DOTYKAŁY PĘDZELKAMI UST

na naszym półwyspie niebo było bezchmurne przez całutki czas, podczas gdy pogodę w Zachodniej Florydzie określano w niektórych miesiącach co najwyżej jako zmienną

MŁODE EWANGELISTKI OCZEKUJĄ CHRYSYUSA W NOWYM JORKU

*Kiedy zwinny, zwinny szpaczek
Wesolutko hop-hop skacze*

Pragniemy, by Nasz System Kredytowy Zapewniał Klientom Jak Największe Korzyści. Wystarczy Skromna Zaliczka, a Reszta Należności Pozostanie do Spłaty w Niewielkich Ratach Dostosowanych do Możliwości Klienta.

*W niepamięć idą strapienia,
Gdy zaczyna swoje pienia*

DOMAGA SIĘ UZNANIA STRAJKÓW ZA PRZESTĘPSTWO

*Ulatują od nas troski,
Gdy wywodzi swoje piosnki.
Kiedy zwiczny, zwiczny szpaczek*

rzeński mimo wczesnej pory, nie okazywał najmniejszych oznak zmęczenia zwykłego po długiej podróży. Na jego pięknym garniturze z jedwabistego materiału, o barwie i fakturze tak odpowiedniej na upały tropikalnego lata, nie było ani jednej zmarszczki. Krawat z brylantową szpilą i pierścień na palcu stanowiły wysmakowane dodatki, znakomicie dopełniające nienagannego stroju. Mimo szczupłej postaci i powściągliwych manier człowiek ten zarządza operacjami budowlanymi wartości dwudziestu milionów dolarów bez najmniejszego zaaferowania ani zdenerwowania, ze swobodą, jaka mogłaby cechować pasażera wręczającego pięciocentówkę konduktorowi w tramwaju.

OBOZOWICZE Z KITTY HAWK

Siedemnastego grudnia tysiąc dziewięćset trzeciego Milton Wright, biskup Kościoła Braci Zjednoczonych*, były redaktor "Teleskopu Religijnego", odebrał w swoim drewnianym domku na Hawthorn Street w Dayton w stanie Ohio depeszę od swoich synów Wilbura i Orville'a, którzy uparli się spędzić wakacje w małym obozie na wydmach u wybrzeży Północnej Karoliny, gdzie mogli dokonywać prób ze swoim szybowcem skleconym domowym sposobem. Depesza brzmiała następująco:

SUKCES STOP CZTERY LOTY CZWARTEK RANO WSZYSTKIE POD WIATR SZYBKOŚCI DWUDZIESTU JEDEN MIL STOP START PŁASKI WYŁĄCZNIE SIŁĄ MOTORU STOP ŚREDNIA SZYBKOŚĆ W POWIETRZU TRZYDZIEŚCI JEDEN MIL STOP NAJDŁUŻSZY LOT PIĘCDZIESIĄT SIEDEM SEKUND STOP ZAWIADOM PRASĘ STOP POWRÓT BOŻE NARODZENIE

Dane były trochę niecisłe, gdyż telegrafista źle odcyfrował śpieszne ołówkowe gryzmoły Orville'a, ale faktem pozostaje, że dwaj młodzi mechanicy rowerowi z Dayton w stanie Ohio zaprojektowali i zbudowali aeroplan, w którym dokonali pierwszego lotu w historii.

Po zapaleniu i parominutowym rozgrzewaniu motoru zwolniłem linkę, która przytwierdzała aparat do toru, tak że ruszył on pod wiatr. Wilbur biegł obok utrzymując skrzydło w pozycji poziomej. W przeciwieństwie do startu czternastego grudnia, który odbywał się przy bezwietrznej pogodzie, aparat zmagający się z wiatrem szybkości dwudziestu siedmiu mil rozpędzał się bardzo powoli, tak że Wilbur mógł mu dotrzymać kroku, dopóki się nie wznosił nad tor po przebyciu czterdziestu stóp. Jeden z przyglądających się ratowników pstryknął nam fotografię w momencie, gdy aparat osiągnąwszy koniec toru wznosił się na wysokość około dwóch stóp... Wznosił się nader nierównomiernymi podrywami, częściowo na skutek nierównomierności atmosfery, częściowo zaś na skutek braku wprawy pilota w manewrowaniu nim... Nagły podmuch w odległości niewiele ponad stu dwudziestu stóp od punktu, w którym aparat się oderwał od ziemi, zakończył lot trwający zaledwie dwanaście sekund. Był to jednak w historii świata pierwszy wypadek, ażeby machina unosząca człowieka poderwała się o własnych siłach do pełnego lotu, przefrunęła w powietrzu bez utraty szybkości i wreszcie wylądowała w punkcie nie niższym od tego, z którego wystartowała.*

Nieco później tego samego dnia gwałtowny podmuch wiatru przewrócił i roztrzaskał aparat, o mało nie zabijając członka Straży Przybrzeżnej, który go usiłował przytrzymać; ale bracia Wright zbyt byli uszczęśliwieni, by się przejmować stratą; udowodnili, że ta cholerna machina może latać.

Dowiódłszy ostatecznie trafności naszych przewidywań, natychmiast spakowaliśmy manatki i wróciliśmy do domu, z przeświadczeniem, że oto nareszcie rozpoczął się wiek machin latających.

Zdążyli na Święta do Dayton w stanie Ohio, gdzie się urodzili w latach siedemdziesiątych* w rodzinie zamieszkałej od tysiąc osiemset czternastego na zachód od Alleghenów; do Dayton, gdzie chodzili do szkoły powszechnej i do gimnazjum, uczęszczali do kościoła swego ojca, grali w baseballa i hokeja, ćwiczyli na poręczach i na trapezie, roznosili gazety, zbudowali sobie ze złomu prasę drukarską, puszczała latawce, konstruowali różne cudeńka mechaniczne i biegali po mieście, żeby zarobić parę centów drobnymi pracami.

Ludzie później mówili, że dwaj najmłodszy synowie biskupa Wrighta nabili sobie głowę lataniem, kiedy to

przywiózł im helikopter, pięć-dziesięciocentową zabawkę mechaniczną, którą miały w powietrzu utrzymywać dwie śmigły poruszane skręconymi gumkami.

Dlatego właśnie pozostali w domu rodzinnym, zamiast się ożenić jak wszyscy chłopcy, i po całych dniach majstrowali zarabiając na życie drukowaniem akcydensów i reperowaniem rowerów, a po nocach ślęczeli nad książkami o aerodynamice.

Mimo to pozostali wzorowymi członkami kongregacji, ich warsztat rowerowy prosperował, można było polegać na ich słowie. W Dayton ich lubiano.

W owych czasach maszyny latające były częstym przedmiotem kpin domorosłych mędrków. Nieudane eksperymenty Langleya i Chanute'a* kwitowano drwiącym "A nie mówiłem, które rozbrzmiewało echem od oceanu do oceanu. Bracia Wright mieli kłopot ze znalezieniem do swoich prób wystarczająco odludnego miejsca, by się nie stać pośmiewiskiem całej okolicy. Ponadto nie dysponowali kapitałem; byli prostymi mechanikami, którzy sami konstruowali wszystko, czego potrzebowali.

Trafili do Kitty Hawk*

na wielkich wydmach i ławicach piaszkowych, które się ciągną ku południowi aż do przylądka Hatteras oddzielając cieśninę Albemarle od oceanu, z rozległym szmatem plaży puściutkiej, jeśli nie liczyć strażnicy przybrzeżnej i paru szop rybackich, z rojami komarów, z kleszczami i pchłami piaszkowymi w trawie za wydmami, z mewami i pikującymi rybitwami nad głową, z rybołowami i żurawiami przelatującymi wieczorem z trzepotem nad słonymi rozlewiskami, niekiedy z szybującym orłem, za którym bracia wiedli wzrokiem, tak jak przed wiekami wyteżał za orłami bystre oczy Leonardo, ażeby zgłębić prawa lotu.

W odległości czterech mil od szop bracia Wright zbudowali sobie obóz i hangar na szybowce. Musieli dygować prowianty, narzędzia, wszystko, czego akurat potrzebowali, cały ten kawał po sypkim piasku; w lecie dokuczała im nieznośna spiekota, a komary cięły ich jak wszyscy diabli, ale bracia byli tu sami; ponadto uważali, że nie znajdą mięszczego podłoża do spadania jak piasek. Tutaj nauczyli się latać, startując od rana do wieczora ze wzgórz, które nazwali Karkołomką, w szybowcu o dwu płatach i ogonie, w którym leżeli na brzuchu prostując ruchami bioder przechyły płatów.

Kiedy już potrafili szybować po parę sekund, a nawet odrobinę się wznosić na wstępujących prądach powietrznych, uznali, że nadszedł czas na zainstalowanie motoru w ich dwupłacie.

Wrócili do swego warsztatu w Dayton, gdzie zbudowali tunel aerodynamiczny (ich pierwszy wielki wkład w teorię lotów), w którym wypróbowywali modele aeroplanów.

Nie zdołali zainteresować swoimi eksperymentami żadnego fabrykanta motorów benzynowych, więc musieli skonstruować własny motor.

Udało się; od Bożego Narodzenia owego tysiąc dziewięćset trzeciego bracia Wright zajmowali się aeroplanami już nie dla zabawy; zwinęli swój warsztat rowerowy, uzyskali do lotów próbnych wielkie pastwisko stanowiące własność miejscowego bankiera i wszystkie chwile wolne od pracy nad ulepszaniem swego aparatu spędzali na łamaniu sobie głowy nad interesami, patentami i ich ochroną, nasyłanymi szpiegami, sposobami zainteresowania swoim wynalazkiem przedstawicieli rządu i rozgryzaniem gładkich zagmatwanych orzeczeń prawnych, które ich doprowadzały do rozpacz.

Po dwu latach dysponowali aeroplanem, który krążąc dookoła pastwiska zdołał przelecieć dwadzieścia cztery mile bez lądowania.

Przejeżdżając koło pastwiska pasażerowie kolejki podmiejskiej wystawiali głowy przez okna zdziwieni terkotem starego Wrightowskiego motoru i widokiem białego dwupłatu, przypominającego dwie deski do prasowania umocowane jedna nad drugą, sunącego mozolnie dobre pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Krowy niebawem do tego przywykły.

Kiedy loty się wydłużyły, bracia Wright znaleźli finansistów

i wplątali się w procesy,
leżeli przewracając się bezsennie nocami w łózkach, z bzyzieniem ułudnych milionów w uszach,
zjadliwszym od bzyczenia komarów w Kitty Hawk.

W tysiąc dziewięćset siódmym pojechali do Paryża,
pozwolili się wystroić we fraki i cylindry,
nauczyli dawać garsonom pourboire'y
i rozmawiali z ekspertami rządowymi, oswajali się ze złotymi galonami, szpicbródkami, nie kończącym się
zwlekaniem, rozłożonymi rękami polityków. Dla rozrywki
grywali w diabolo* w Ogrodzie Tuileryjskim.

Zaczęli urządzać loty pokazowe* - w Forcie Myers, gdzie mieli pierwszy śmiertelny wypadek, w Sankt Petersburgu, w Paryżu, w Berlinie; w Pau ich rozrywano,
stanowili taką atrakcję,
że hotelarz nie chciał od nich przyjąć zapłaty.
Alfons hiszpański ścisnął im dłoń i sfotografował się siedząc w aeroplanie.
Król Edward obserwował lot,
Kronprinz chciał się koniecznie przelecieć,
posypał się deszcz orderów.

Gratulował im car
i król włoski,
gratulowali entuzjaści sportu, nuworysze, tytułaci papiescy,
odznaczyło ich pewne stowarzyszenie powszechnego pokoju.

Aeronautyka stała się sportem dnia.
Na braciach Wright jakoś nie robiły większego wrażenia galony, złote medale, wyściełane meble i cały
cyrk towarzyski;
pozostali zwykłymi mechanikami,
którzy nie pozwalali się nikomu wtrącać do swojej roboty
i nawet benzynę nalewali sami do baków.

W tysiąc dziewięćset jedenastym powrócili na wydmy Kitty Hawk z nowym szybowcem.
Orville utrzymał się w powietrzu przez dziewięć i pół minuty, co przez długie lata pozostało rekordem lotu
bez napędu*.

W tym samym roku Wilbur zmarł w Dayton na tyfus*.

W natłoku nowych nazwisk: Farmana, Bleriota, Curtissa, Ferbera, Esnault-Peltre, Delagrange'a*;
w chrapliwych wybuchach bomb, w świście i grzechocie szrapneli, w spazmatycznym terkocie mitraliez,
kiedy w górze wyłączano motory,
a myśmy padali plackiem w błoto
albo kulili się w narożnikach rozwalonych domów,
nazwiska braci Wright zniknęły z nagłówek gazet.

Ale żadne nagłówki ani gorzkie nagonki prasowe, ani duszące zasłony dymne i gazy, ani przekrzykiwanie
się maklerów na giełdzie, ani ułudny zew milionów, ani retoryka dygnitarzy składających wieńce pod
odsłanianymi pomnikami

nie mogą zaćmić pamięci
owego chłodnego dnia grudniowego,
kiedy dwaj skostniaли mechanicy rowerowi z Dayton w stanie Ohio po raz pierwszy poczuli, jak ich aparat
domowej konstrukcji,
wystrugany z hikorowych listewek,
zlepionych cementem rowerowym Arnsteina
i opiętych perkalem, który sami zszywali na maszynie swojej siostry w ogródku za domem na Hawthorn
Street w Dayton,
jak ich aparat wznosi się w górę nad wydmi i rozległą plażą w Kitty Hawk.

KRONIKA LIX

obcy, który pierwszy raz przybywa do Detroit, jeśli się interesuje aktywnym zapleczem gospodarczym
życia współczesnego, znajdzie tu imponujące rojowisko przemysłowe; jeśli jest miłośnikiem przyrody, zwróci
uwagę na niezapomniane położenie nad wodami owej dostojnej cieśniny, od której miasto wzięło swoją

nazwę; jeśli jest badaczem historii i folkloru, odkryje przekazy i podania nie mniej interesujące i pouczające niżeli w jakimkolwiek zakątku kontynentu

*Do starej Omahy me serce się rwie,
Tam chcę powrócić i urządzić się-ę*
DETROIT PRZEWODZI ŚWIATU W PRODUKCJI
AUTOMOBILÓW

*Tam mój tato i mama,
Tam dziewczyna ma-a,
Ach, kochana, poczciwa, stara Oma-ha!*

DETROIT JEST PIERWSZE W PRODUKCJI
WYROBÓW FARMACEUTYCZNYCH,
PIECÓW, KUCHENEK, PALENISK,
ARYTMOMETRÓW,
FARB I LAKIERÓW,
MOTORÓW OKRĘTOWYCH,
UBRAŃ ROBOCZYCH,
PRZETWORÓW SODY I SOLI,
OBUWIA SPORTOWEGO,
WIERTEŁ,
GABLOT WYSTAWOWYCH,
GORSETÓW,
PALNIKÓW BENZYNOWYCH,
CIĘŻARÓWEK

*O, Panie Spikerze, ogłoś wszem w eterze,
Że przepraszam szczerze,
Najlepszą z mam.
Ogłoś wszem w eterze, Łaskawy Spikerze,
Że w jej powrót wierzę
I czuję się sam.*

DYNAMICZNE DETROIT ZAJMUJE
WYSOKIE MIEJSCE W PRODUKCJI

ARTYKUŁÓW ODLEWNICZYCH I KOWALSKICH,
MOSIĄDZU I PRZEDMIOTÓW MOSIĘŻNYCH,
TYTONIU I CYGAR,
ODLEWÓW ALUMINIOWYCH,
ŻELAZA I STALI,
NARZĘDZI SMAROWNICZYCH,
STALI ZGRZEWNEJ,
ŁOŻYSK METALOWYCH

*Tęsknię za rodzinnymi stronami mojemu,
Za najwspanialszym miejscem na tej Bożej ziemi,
Za ciepłą Kalifornią. Do niej wrócić chcę!*

DETROIT,
MIASTO, W KTÓRYM CHCE SIĘ ŻYĆ!

CHARLIE ANDERSON

Ledwo wygramoliwszy się zza sterów, Charlie usłyszał donośny głos:

- Oto i Charlie Anderson, człowiek o złotych rękach. Witaj w poczciwym starym Detroit.

Obróciwszy głowę zobaczył okrągłą twarz Farrella kroczącego po zielonej murawie lotniska, z ustami szeroko otwartymi w okrzyku.

- Bardzo rzucało?

- Było zimno jak jasny piorun - odrzekł Charlie. - I wy to nazywacie lotniskiem?

- Piłujemy Izbę Handlową o przywoity aerodrom. Nie zaszkoździ, jak im przygadasz ze swojej strony.

- Ślizgałem się jak wszyscy diabli w tym bloku. Rany, wyjechałem jak do pożaru, nie wziąłem nawet szczoteczki do zębów. Charlie ściągnął rękawice, całe umazane olejem, bo miał kłopot z jakimś wyciekami podczas burzliwego przelotu nad górami. Bolał go krzyż. Z ulgą pomyślał, że jest Bill Cermak, więc nie musi się sam męczyć z wstawianiem aparatu do hangaru.

- Dobra, możemy iść - powiedział.

- To rozumiem - huknął Farrell kładąc Charliemu dłoń na ramieniu. - Wstąpimy do mnie, znajdę ci jakieś

ubranie. W tym momencie wtoczyła się na lotnisko taksówka i wyskoczył z niej Taki. Puścił się truchtem z sakwojażem Charliego. Zdyszany dopadł samochodu Farrella.

- Miał pan dobry lot, proszę pana?

- Ja-asne - potwierdził Charlie. - Wynająłeś niekrępujące mieszkanie?

- Bardzo ładne niedrogie mieszkanie z windą naprzeciwko Muzeum Sztuki Miejskiej - wysapał Taki swoim świergotliwym głosem.

- To jest organizacja - powiedział Farrell stawiając nogę na starterze półotwartego brązowego Lincolna.

Motor zaszumił jedwabście. Taki wstawił sakwojaż na tył auta, a Charlie wsunął się na przednie siedzenie koło Farrella.

- Taki uważa, że brak nam kultury - rzekł Charlie ze śmiechem, a Farrell skwitował to mrugnięciem.

Przyjemnie było wyciągnąć się wygodnie obok eleganckiego Farrella, za cicho szumiącym potężnym motorem Lincolna, i poddać się lekkiej senności, podczas gdy za oknami przesuwały się szerokie proste bulwary z widocznymi tu i ówdzie placami budowy, od których dochodził niekiedy zapach świeżopalonych cegieł, nie heblowanych desek jodłowych i mokrego cementu. Ostry wiatr niósł z pól i pustych parcel powiew wczesnej wiosny, podszyty niekiedy ulotną wonią bagiennego ciepła.

- No, jest nasza chałupa - powiedział Farrell i skręciwszy w półkolisty profilowany podjazd zahamował przy końcu długiego domostwa z szarego piaskowca, z ostrołukowymi oknami i gotyckimi pinaklami jak katedra.

Wysiedli i Charlie ruszył za Farrellem przez taras, szpalerem bukszpanów w wielkich donicach. Przez oszklone drzwi weszli do pokoju bilardowego o bogato rzeźbionym suficie.

- Mój pokój do zabaw - poinformował Farrell. - Ostatecznie mężczyzna musi mieć się gdzie schronić. Tu jest łazienka, możesz się przebrać. Przyjdę po ciebie za dziesięć minut. Łazienka była wielka, nefrytowozielona, z kanapą, fotelem, lampą stojącą oraz kompletem hantli i maczug do ćwiczeń na stojaku w kącie. Charlie się rozebrał, wziął gorący prysznic i zmienił ubranie. Wiązał swój najlepszy pasiasty krawat, gdy Farrell zawołał przez drzwi:

- Wszystko w porządku?

- Ja-asne - odrzekł Charlie wychodząc. - Czuję się jak młody bóg. Farrell spojrzał mu w oczy z błyskiem rozbawienia.

- Właściwie czemużby nie? - powiedział ze śmiechem.

Biuro mieściło się w nie wykończonym gmachu, jednym z kręgu nie wykończonych budynków biurowych otaczających Grand Circus Park.

- Słuchaj, Charlie, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że cię na początek pomagają trochę w dziale reklamy? - spytał Farrell.

- Prowadzi go swój chłop, Eddie Sawyer. Potem spotkamy się u niego, pójdziemy coś zjeść.

- Do-obra.

- Serwus, Eddie, przyprowadziłem naszego awiatora! - zawołał Farrell wypychając Charliego przed sobą do wielkiego jasnego pokoju z pomarańczowymi kotarami. - Pan Sawyer, pan Anderson, nasz nowy doradca inżynierski. Zadzwoń do nas, jak go wymagujesz, Eddie.

Farrell pobiegł dalej, zostawiając Charliego z małym mężczyzną o żółtej cerze, bujnej płowej czuprynie i zachowaniu gimnazjalisty, który się popisuje nałogiem palenia. Eddie Sawyer zgniótł Charliemu dłoń w potężnym uścisku, zapytał, jak mu się podoba nowe biuro, poinformował, że wybrali kolor pomarańczowy, bo symbolizuje optymizm, spytał, czy Charlie nigdy nie cierpi na chorobę powietrzną, bo on sam okropnie (czy to nie cholerny pech dla człowieka, który pracuje w branży awiacyjnej), po czym wyciągnął z czeluści biurka flaszkę whisky.

- J. Y. na pewno nie poczęstował pana kieliszeczkiem? To salamandra, nie człowiek. Żyje powietrzem.

Charlie odparł, że owszem, chętnie wypije jednego, na co Sawyer wydobyl dwie szklaneczki, już z lodem, oraz syfon.

- Niech pan powie, kiedy będzie dość.

Ledwo Charlie wypił łyk, Sawyer, który już opróżnił swoją szklaneczkę, odchylił się w obrotowym fotelu i rzekł:

- No, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, możemy się zabierać do historii pańskiego życia. Albo ściślej, tej jej części, która się nadaje do druku. Rozumie pan, nie będziemy z tego robili natychmiastowego użytku, ale chcemy mieć pod ręką dane, żeby je, no, udostępniać w miarę potrzeby. Charlie oblał się rumieńcem.

- Nie ma tak wiele do opowiadania - odrzekł.

- To znakomicie - powiedział Sawyer i nalał po raz drugi do szklaneczek, po czym schował flaszkę. - Tak się zaczynają najlepsze życiorysy.

Nacisnął dzwonek i po chwili do pokoju weszła kędzierzawa stenotypistka o ładnej różowiułkiej twarzy lalki. Usiadła z notesem po drugiej stronie biurka.

Pocąc się nad swoim życiorysem, Charlie przez cały czas powtarzał w myśli: Tylko się nie zbłaźnij,

chłopie, na samym wstępie. Nim skończyli, do pokoju wetknął głowę Farrell wołając, że wszyscy już na Charliego czekają.

- No, jesteście gotowi, chłopcy?... Charlie, poznaj naszego szefa sprzedaży. Joe Stone, Charlie Anderson. A to panowie Frank i O'Brien, nasz sztab prawniczy. I pan Bledsoe, który zawiaduje produkcją. To twoje podwórko, Charlie.

Charlie po kolei potrząsał dłońmi. Wśród obecnych była przylizana czarna głowa z przedziałkiem pośrodku, para głów łysych, głowa ze stalowosiwym językiem sterczącym jak odwrócona szczotka do butów; były binokle, okulary w szyldkretowej oprawie i jedne małe wąsiki.

- S-słowo d-daję - powtarzał Eddie Sawyer zacinając się nerwowo - w-wiem o nim tyle, że m-mogę w każdej chwili rzucić p-pracę i żyć w-wyłącznie z sz-szantażu.

- Początek pierwsza klasa, młody człowieku - burknął Cyrus Bledsoe, ten z siwym jeżem. - Liczymy, że będzie pan miał i w innych sprawach tyle do powiedzenia.

- Ja-asne- odparł Charlie.

Wszyscy z wyjątkiem Bledsoe'a, który mruknął, że nigdy nie jada lunchu, poszli do Klubu Sportowego, gdzie w osobnym gabinecie czekał na nich nakryty stół i cocktaile. Jadąc windą w górę Charlie usłyszał za plecami znajomy głos: "Jak się masz, Charlie?" Odwróciwszy się stanął twarzą w twarz z Andym Merrittem. Andy w swoim ciemnoszarym garniturze wyglądał jeszcze lepiej niż zwykle, ale jego zwykły cierpki uśmiešek był nader blady.

- Ty tutaj? - wyrwało się Charliemu.

- Detroit to miasto, które mnie zawsze fascynowało - odrzekł Andy.

- Słuchaj, a co z Joem?

Po zakłopotanej minie Andy'ego Charlie się zorientował, że strzelił głupstwo.

- Joe cieszył się doskonałym zdrowiem, kiedy go ostatni raz widziałem - powiedział Andy, który jak się okazało, jechał z nimi na lunch.

Pałaszowali befsztyki z polędwicy, gdy Farrell wstał i palnął mówkę o tym, że się zebrali na tym lunchu z okazji nowych wiatrów, które powiały w przemyśle awiacyjnym, najwyższy bowiem czas, aby producenci motorów i części do aeroplanów przestali iść na pasku przemysłu automobilowego, skoro już na pewno wiadomo, że ani się obejrzą, jak aeroplany zepchną automobilarzy do roli fabrykantów rowerów. Multimilionowy przemysł musi być zorganizowany z multimilionowym rozmachem. W tym momencie wszyscy zaczęli klaskać i krzyżeć, ale Farrell podniósł dłoń na znak, że jeszcze nie skończył, i przystąpił do wysławiania Charliego Andersona jako asa wojennego i wynalazcy, po czym jął się rozwodzić nad tym, jaki to szczęśliwy dzień, w którym go może powitać w zespole Terna, czekał na ten dzień bardzo, bardzo długo. Teraz Eddie Sawyer wzniósł okrzyk na cześć Andersona, tak że Charlie musiał z kolei wstać i powiedzieć, że się cieszy z przyjazdu tutaj, ściśle mówiąc, z powrotu na rodzinną glebę wielkich prerii, i to nie byle gdzie, bo do centrum przemysłowego kraju, a gdy mówi o centrum przemysłowym kraju, ma oczywiście na myśli centrum przemysłowe świata. Eddie Sawyer wzniósł jeszcze jeden okrzyk, po czym wszyscy przystąpili do konsumowania melby brzoskwiniowej. Gdy odbierali kapelusze z szatni na dole, Andy Merritt stuknął Charliego w ramię i powiedział:

- Kapitalna mówka, Charlie. Wiesz, ja od dawna byłem zdania, że sytuacja dojrzała do zasadniczych zmian. Nie można nowej gałęzi przemysłu budować metodami chałupniczymi. To właśnie nieszczęście z naszym przyjacielem Joem, który jest skądinąd byczym facetem. Ale te jego domorośle metody...

Po lunchu Charlie poszedł obejrzeć mieszkanie. Taki przygotował wszystko prima sort. Były nawet kwiaty w wazonach i różne inne cacka.

- Mieszkanko klasa - pochwalił Charlie. - Jak ci się podoba w Detroit?

- Bardzo tu interesująco - odrzekł Taki. - Pan Ford pozwala zwiedzać Highland Park.

- Rany, widzę, że nie zasypiasz gruszek w popiele. Pewnie w twoim kraju nie ma taśm produkcyjnych? Taki kiwnął głową pokazując wszystkie zęby w uśmiechu.

- Bardzo interesująco - powtórzył jeszcze dobitniej. Charlie zdjął marynarkę i buty, żeby się trochę zdrzemnąć na kanapie w saloniku. Zdawało mu się, że ledwo zmrużył oczy, gdy w drzwiach stanął Taki kłaniając się z szerokim uśmiechem.

- Przepraszam pana bardzo. Zamiejscowa, dzwoni pan Benton.

- Do-obra - odparł Charlie.

Taki ustawił mu koło kanapy pantofle ranne, tak że jednym ruchem można było wsunąć stopy, na fotelu obok ułożył dyskretnie szlafrok. Podszedłszy do telefonu Charlie stwierdził, że jest już mrok, na ulicy zapalają się właśnie latarnie.

- Serwus, Nat.

-Halo, Charlie? Jak ci poszło?

- Wyśmienicie.

- Słuchaj, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że na- najbliższym zebraniu akcjonariuszów Terna obaj z Andym Merrittem zostanieie wybrani wiceprezesami.

- Skąd wiesz? - W słuchawce rozległ się śmiech Nata. - Ale ty masz wywiad!

- Po to jestem, zawsze do usług - odparł Nat. - Jeszcze jedno, Charlie. Montujemy tutaj taką małą operację finansową. Ja sam się puszczam na głębokie wody, więc pomyślałem sobie, że może byś się chciał przyłączyć. Trudno mi więcej mówić przez telefon, więc wysłałem ci dzisiaj list.

- Nie mam gotówki, Nat.

- Mógłbyś jako pokrycie dać akcje. Powiedzmy na dziesięć kawałków. Nie będą długo zamrożone.

- Do-obra, idź na całego - odrzekł Charlie. - To mój szczęśliwy rok.

Fabryka okazała się imponująca. Charlie pojechał do niej następnego dnia nowiutkim zamkniętym Buickiem, którego wziął prosto z salonu automobilowego. Sprzedawca już widać o nim słyszał, bo nie chciał nawet zaliczki.

- Z przyjemnością otworzymy panu rachunek - oświadczył. Stary pan Bledsoe zdaje się wyglądał jego przyjazdu, bo sam go oprowadził po fabryce, w której wszystkie hale miały górne oświetlenie, a wszystkie maszyny własne motory, tak że nie było ani jednego pasa transmisyjnego.

- Farrell uważa mnie za starego mantykę, bo się nie zajmuję bez przerwy machinacjami finansowymi. Ale jak Boga kocham, jeśli gdziekolwiek na świecie jest nowocześniejsza fabryka, to niech ja zjem po kawałeczku całe cholerne dynamo.

- Rany, myślałem, że jesteśmy nieźle wyposażeni w Long Island City, ale to przechodzi wszelkie wyobrażenie.

- Otóż to - mruknął Bledsoe.

Na zakończenie przedstawił Charliemu personel inżynieryjny i pokazał mu gabinet przy kreślarni, przeznaczony dla niego. Zamknawszy drzwi z matową szybą, usiedli naprzeciwko siebie w srebrzystym świetle wpadającym z góry. Bledsoe wyciągnął cigarilla i poczęstował Charliego.

- Palił pan kiedy coś takiego? Rozjaśnia umysł.

Charlie odparł, że gotów jest wszystkiego spróbować raz w życiu. Gdy zapalili cigarilla, Bledsoe zaczął mówić punktując zdania gniewnymi kłębami gryzącego niebieskiego dymu.

- Teraz niech pan uważa, Anderson. Mam nadzieję, że przyjechał pan tutaj pracować, nie zonglować akcjami. Wiem, jest pan bohaterem wojennym i wszystkim, co potrzebne na afisz, ale ma pan zdaje się także trochę oleju w głowie. Mówię to raz, więcej nie będę powtarzał. Jeśli pan ma zamiar u nas pracować, to niech pan się bierze szparko do roboty. Jeśli nie, to niech pan się przeniesie do biura maklerskiego, tam pańskie miejsce.

- Ależ, proszę pana, to szansa, na którą czekałem przez całe życie-wyjąkał Charlie. - Jestem konstruktorem i tyle. Dobrze wiem.

- No, mam nadzieję. Jeśli pan jest konstruktorem, a nie graczem giełdowym, to pan się zorientował, że nasze motory to szmelc, a aparaty, w które je montujemy, to stare graty. Pozostajemy w awiacji dziesięć lat w tyle za resztą świata, musimy ją dogonić. Jak będziemy mieli nowoczesne konstrukcje, zmieciemy konkurencję z powierzchni ziemi. A teraz niech pan wraca do domu i idzie się upić albo na dziwki, co tam pan robi, jak panu kto zalizie za skórę. I niech pan się nad tym dobrze zastanowi.

- Skończyłem z tymi rzeczami - odparł Charlie. - Dość miałem sznapsa i dziwek w Nowym Jorku.

Bledsoe poderwał się na nogi, tak że popiół z cigarilla opadł mu na alpagową kamizelkę.

- W takim razie powinien pan się ożenić.

- Myślałem o tym, ale jak dotąd nie udało mi się znaleźć drugiego nazwiska do wpisania na kontrakt ślubny - odparł Charlie ze śmiechem. Bledsoe się uśmiechnął.

- Niech pan mi zaprojektuje przyzwoity lekki niezawodny motor szesnastocylindrowy z chłodzeniem powietrznym, a ja się postaram, żeby moja córka zapoznała pana z najprzystojniejszymi pannami w Detroit. Zna wszystkie. A jeśli chodzi panu o pieniądze, to te pannie się w nich pławia. Zabrzęczał telefon. Bledsoe odebrał, zaklął pod nosem i wypadł z gabinetu.

W południe przyszedł Farrell zabrać Charliego na lunch.

- Co, stary Bledsoe nagadał ci pewnie do słuchu? - zapytał. Charlie kiwnął głową.

- Nie bierz sobie tego za bardzo do serca. Pies, który szczeka, nie gryzie. Ale to najlepszy organizator produkcji w kraju, inaczej byśmy go nie trzymali.

Córkę starego Bledsoe'a, Ann, poznał Charlie w Klubie Ziemskim, dokąd go zabrali na tańce Farrell i jego żona, podstarzała chuda blondyna o kwaśnej kościstej twarzy pod diademem brylantów. Ann, ubrana na różowo, miała szerokie ramiona, usta o miłym uśmiechu i mocny uścisk dłoni. Charlie przylgnął do niej z miejsca. Tańcząc z nim pod melodię "Zwykła dziewczyna, którą się zapomina", Ann mu się zwierzyła, że szaleje za aeroplanami i ma już wylatane pięć godzin na poczet licencji pilotki. Charlie odrzekł, że gotów jest z nią polatać, kiedy tylko zechce, jeśli pilotowanie starego Curtissa-Robina nie jest poniżej jej godności. Odparła na to, żeby jej nie obiecywał nic, jeśli nie ma zamiaru dotrzymać, bo ona zawsze robi, co sobie postanowi. Potem zaczęła opowiadać o golfie, a Charlie nie puścił pary z ust, że nigdy nie miał kija golfowego w rękę.

Przy kolacji, gdy wrócił z bufetu z talerzami sałatki z drobiu, zastał ją siedzącą przy okrągłym stoliku pod

japońskim lampionem, w towarzystwie bladego młodziana, który się okazał jej bratem Harrym, oraz dziewczyny o pięknych popielatych włosach i cieniu akcentu alabamskiego w głosie, która się nazywała Gladys Wheatley. Wyglądało, że jest ukochaną czy narzeczoną Harry'ego Bledsoe'a, który co chwila wyciągał z kieszeni srebrną flaszkę i dolewał ginu do kruszonu owocowego, a dziewczynę trzymał za rękę i mówił do niej Gład. Byli wszyscy troje młodszy od Charliego, ale bardzo nim się interesowali i bez przerwy utyskiwali, że Detroit to taka zakazana dziura. Podochociwszy sobie trochę ginem, Charlie zaczął po raz pierwszy opowiadać dykteryjki z wojny.

Kiedy po zabawie Charlie odwiózł Ann do domu, wyszedł im na spotkanie stary Bledsoe z egzemplarzem "Przeglądu Inżynierskiego" w dłoni.

- Widzę, żeście się już zapoznali - powiedział.

- Tak, papo, jesteśmy starymi przyjaciółmi - odparła Ann.-Charlie będzie mnie uczył latać.

- Hm - mruknął Bledsoe. - Niech pan lepiej wraca do domu i pomyśli o tym motorze - warknął i zatrzasnął Charliemu drzwi przed nosem.

Przez całe lato wszyscy uważali Charliego i Ann za parę narzeczeńską. W spokojne popołudnia Charlie wyrwał się z fabryki na godzinę czy dwie i brał na lotnisku aparat, żeby dać Ann szansę wylatania wymaganej liczby godzin, w niedzielę zaś grali razem w golfa. Charlie wstawał wówczas wcześniej rano i brał lekcje gry u zawodowego golfisty w Sunnyside Clubie, gdzie go nikt nie znał. W sobotę po południu często zjadali obiad u Bledsoe'ów, po czym szli na tańce do Klubu Ziemskiego. Gladys Wheatley i Harry trzymali się zwykle z nimi, tak że całe młode towarzystwo uważało ich za nierozłączną czwórkę. Stary Bledsoe był widać zadowolony, że Charlie tak się zżył z jego dziećmi, bo zaczął go traktować jak członka rodziny. Charlie czuł się szczęśliwy, lubił swoją pracę. Po latach spędzonych w Nowym Jorku Detroit wydawało mu się ziemią obiecaną.

Do spółki z Natem przeprowadził kilka fortunnych spekulacji na giełdzie. Jako wiceprezes i doradca inżynierski Towarzystwa Akcyjnego Terna zarabiał dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie. Stary Bledsoe sarknął, że to dużo za dużo jak na niewypierzonego inżyniera, ale mu się podobało, że Charlie większość zarobków inwestuje w eksperymentalny warsztat, w którym wspólnie z Billem Cermakiem konstru-

uje na własną rękę nowy motor. Bill, który ściągnął swoją rodzinę z Long Island, miał głowę pełną innowacji technicznych, więc w rezultacie Charlie był tak tym wszystkim pochłonięty, że mu nie starczało czasu na myślenie o birbantkach i kobietkach, co najwyżej wypijał niekiedy kilka kieliszków w towarzystwie. Ann uważał za cud dziewczynę, ale nie przychodziło mu nigdy do głowy, że mógłby z nią pójść do łóżka.

Na weekend połączony ze Świętem Pracy* Farrellowie zaprosili Bledsoe'ów i Gladys Wheatley na wycieczkę swoim jachtem. Kiedy poprosili i jego, Charlie uznał, że wreszcie otwiera się przed nim wielki świat, i zaproponował, że weźmie ze sobą Takiego jako barmana i stewarda. Gdy podjechał swoim Buickiem zabrać Bledsoe'ów do jachtklubu, Ann nie mogła pojąć, dlaczego jest w takim szampańskim humorze.

- Przez trzy dni nic tylko siedzieć na ciasnej dusznej łajbie i opędać się od komarów - zrzędziła burkliwym tonem swego ojca. - Papo ma rację powtarzając, że jest gotów do każdego wysiłku, póki pracuje, ale nie myśli stuknąć palcem o palec, kiedy to ma być rozrywka.

- Zapominasz, w jakim doborowym towarzystwie będziesz cierpieć, Annie - powiedział Charlie.

Siedziała obok niego na przednim siedzeniu, więc ją objął na chwilę ramieniem. Harry, który był sam z tyłu, zachichotał.

- Nie udawaj świętoszka, mój paniczu - rzuciła Ann nie odwracając się do niego. - Sam się lepisz do Gladys przy ludziach, aż się niedobrze robi.

- Nasz surowy awiator też sobie zaczyna pozwalać - odrzekł Harry. Charlie się zaczerwienił.

- Ja-asne - powiedział.

Dojechali właśnie do jachtklubu, gdzie dwaj młodzi chłopcy w strojach marynarskich wyjęli ich rzeczy z tyłu samochodu. Jacht Farrella okazał się szybką łodzią motorową długości pięćdziesięciu stóp, z kabinami, jadalnią w nadbudówce i wiklinowymi fotelami; połyskiwał wszędzie świeżolakerowanym mahoniem i polerowanym mosiądzem. Farrell, w czapce marynarskiej, z przejętą miną, krążył tam i z powrotem po wąskim pokładzie, dopóki jacht nie wysunął się powolutku w lepką bryzę rzeki pachnącej o zachodzie basenami portowymi i grząskami szuwarami.

- Człowiek od razu się inaczej czuje na wodzie, co, Charlie? To jedyne miejsce, gdzie nikt mu się nie dobierze do skóry. Tymczasem pani Farrell przeproszała panie za ciasnotę na jachcie.

- Bez przerwy zanudzam Yardly'ego, żeby wreszcie kupił coś przyzwoitego, ale każdy nowy jacht wydaje mi się ciaśniejszy od poprzedniego.

Charlie nadслуchiwał lekkiego pobrzękiwania dochodzącego z pentry. Kiedy wreszcie pojawił się Taki z tacą Manhattanów, rozległ się chóralny okrzyk. Przyglądając się, jak Taki balansuje z tacą przed Gladys, Charlie nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wygląda cudownie, cała w bieli, z bujnymi popielatymi włosami przewiazanymi białą jedwabną chustką. Obok niego stała uśmiechnięta Ann odgarniając kasztanowate włosy, które pęd powietrza nawiewał jej do oczu. Motor robił tyle hałasu, a dwie śruby tak młóciły wodę, że mógł z nią rozmawiać niedosłyszalnie dla reszty towarzystwa.

- Annie - powiedział raptem. - Najwyższy czas, żebym się ożenił.

- Co ci strzeliło do głowy, Charlie? Taki młokos? Charlie poczuł ogarniającą go falę ciepła. Ni z tego, ni z owego zapragnął gwałtownie kobiety. Z trudem opanował głos.

- Daj spokój. Jesteśmy oboje dorośli, nie musimy udawać. Co myślisz o mojej propozycji? Jeśli chodzi o forszę, miałem wyjątkowo szczęśliwy rok. Ann upiła łyżeczek ze szklanki. Patrzyła na niego uśmiechając się zza włosów, które wiatr jej zwiewał na twarz.

- Czego ode mnie oczekujesz? Że zapytam o stan twego konta?

- Ależ ja mam na myśli ciebie.

- Ja-asne - odrzekła. Dobiegło ich wołanie Farrella:

- Co byście powiedzieli na partyjkę pokera przed kolacją? Taniutko, z limitem centowym. Robi się coraz wietrzniej, trzeba będzie zejść do saloniku.

- Rozkaz, kapitanie! - odkrzyknęła Ann.

Do kolacji grali w pokera i popijali Manhattany, po kolacji Farrellewie i Bledsoe'owie zasiedli do brydża. Gladys się wymówiła bólem głowy, Charlie zaś pokibicowawszy jakiś czas, wyszedł na pokład zaczerpnąć w płuca powietrza po cygarze, które wypalił. Jacht stał na kotwicy w małej zatoczce, niedaleko oświetlonego mola wrzynającego się prostopadle w wodę. Nad czarną gmatwaniną gałęzi, które wieńczyły ciżbę drżących białych brzoź, wystrzelała ze skalnego cypla wysoka samotna sosna, za którą krył się półksiężyc. Na końcu mola mieścił się jakiś lokal, z jego wielkich okien rozlewały się po wodzie zmarszczki światła i płynęła to wzbierająca, to opadająca muzyka. Charlie usiadł na dziobie. Chłopcy, którzy obsługiwali jacht, zeszli do swojej kabiny. Z małego luku przed sterówką dochodziły ich stłumione głosy i wydobywał się lekki zapach dymu papierosowego. Charlie wychylił się za burtę, żeby popatrzeć na drobne szare fale chlupoczące o dziób.

- To jest życie, chłopie - powtarzał sobie. Gdy się obrócił od burty, obok stała Gladys.

- Myślałem, że poszłaś do łóżka, moja panienko - powiedział.

- Myślałaś, że się mnie pozbyłaś na dzisiejszy wieczór-odparła bez uśmiechu.

- Nie uważasz, że piękna noc, Gład? - Ujął ją za rękę; była lodowata i drżąca. - Chcesz się przeziębnić? - zapytał. Wbiła mu długie paznokcie w dłoń.

- Żenisz się z Ann, tak?

- Może. Czemu? Przecież wychodzisz za Harry'ego.

- Za nic w świecie. Nikt mnie do tego nie zmusi. Charlie objął ją ramionami.

- Biedna mała dziewczynka okropnie zmarzła. Powinnaś być w łóżku.

Położyła mu głowę na piersi i zaczęła szlochać. Czuł przez koszulę jej ciepłe łzy. Nie wiedział, co mówić. Stał trzymając ją w objęciach, w nozdrzach miał oszałamiający zapach jej włosów. Tak kiedyś pachniały włosy Doris.

- Że też musimy być akurat na tej cholernej łajbie - szepnął. Uniosła ku niemu twarz, bardzo okrągłą i białą. Gdy ją pocałował, odpowiedziała pocałunkiem. Przycisnął ją mocno, czuł teraz przez koszulę jej małe piersi. Na krótką chwilę pozwoliła sobie wsunąć język między zęby, potem go odepchnęła obiema rękami.

- Nie powinniśmy robić takich rzeczy, Charlie, ale nagle poczułam się taka samotna. Głos zaskrzypiał Charliemu w gardle.

- Nie będziesz się więcej czuć samotna. Słowo daję, nigdy.

- Kochany jesteś, Charlie.

Cmoknęła go bardzo szybko, rzeczowo i uciekła pod pokład. Charlie ją spacerować tam i z powrotem. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Pragnął teraz Gladys do szaleństwa. Nie wróci przecież do saloniku rozmawiać z brydżystami, nie pójdzie spać. Zszedł przednim lukiem pod pokład i przez kambuz, gdzie Taki w swoim białym kitlu najspokojniej czytał jakąś grubą księgę, przekradł się do kajuty, w której miał koję. Przebrawszy się w kostium kąpielowy, pobiegł z powrotem tą samą drogą i dał nura do wody. Okazało się, że nie jest taka zimna, jak się obawiał. Pływał przez jakiś czas w blasku księżyca. Wspinając się z powrotem po drabince rufowej, miał gęsią skórkę i drżał z zimna. Farrell, który stał z cygarem w zębach, wychylił się, żeby mu podać rękę i wyciągnąć go na pokład.

- Ho, ho, stalowy człowiek! - zawołał. - Panie złożyły nam skórę w obu robrach i poszły z wygraną do łóżka. Co, może narzucisz szlafrok i napijemy się jeszcze po jednym do poduszki? Moglibyśmy pograć z pół godzinki w czerwonego kundla albo jakąś taką durną grę.

- Do-obra - odparł Charlie podskakując, żeby się otrząsnąć z wody.

Rozcierając ciało ręcznikiem w kajucie, słyszał za ścianką szebiot i chichoty dziewczyn. Usiadłszy przy Harrym porządnie już wstawionym i błaznującym, był taki speszony, że wypił duszkiem pół szklanki żytniówki i przegrał osiemdziesiąt dolarów. Pocięszal się, że do Harry'ego.

- Kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia w miłości - powtarzał sobie leżąc na koi.

W tydzień później, po herbatce wypitej w jego mieszkaniu pod okiem Takiego, który bez przerwy szczyrzył zęby i zginał czarną głowę w ukłonach, Gladys zabrała Charliego do domu, żeby go przedstawić rodzicom. Horton B. Wheatley, który jak twierdził Farrell, trzęsie Bankiem Powierniczym, okazał się mężczyzną o czerwonej twarzy. szpakowatych włosach i małym srebrnym wąsiku. Pani Wheatley była zwiędłą kobietą o

dźwięcznym alabamskim akcencie i twarzy wyblakłej, skurczonej i obwisłej jak balon, z którego uszła część powietrza. Pan Wheatley rozpoczął przemowę, nim Gladys skończyła przedstawiać Charliego.

- Tak, tak, mój panie, spodziewaliśmy się czegoś takiego. Oczywiście, za wcześnie jeszcze przesądzać sprawę, ale muszę panu od razu powiedzieć. mój panie, że wolę wydać córkę za człowieka, który tak jak pan się wybił o własnych siłach, chociaż niewiele jeszcze o panu wiemy, niż za kogoś takiego jak Harry, który jest nawet sympatycznym chłopcem, ale nie dokonał w życiu niczego poza tym, że się uczył pod dyktando ojca. Jednym słowem, jesteśmy oboje z żoną dumni z poznania pana i z tego, że się chcecie z Gladys... Rozumie pan, nasza mała dziewczynka jest wszystkim, co mamy na tym świecie, uważamy ją za swój największy skarb.

- Pańscy rodzice hm... odeszli z tego świata, prawda, proszę pana? - wtrąciła pani Wheatley. Charlie kiwnął głową.

- Och, tak mi przykro. Gladys mówi, że mieszkali w St. Paul. Pan Anderson, mamusku-odezwał się znowu pan Wheatley-jest jednym z największych asów naszej awiacji. Zdobył ostrogi walcząc pod sztandarem amerykańskim i cała jego kariera jest moim zdaniem... teraz pan się zarumieni, młody człowieku... jest wspaniałym przykładem tego, jak nieomylnie działa dobrze pojęta demokracja amerykańska, wynosząc do góry najinteligentniejszych i najsilniejszych, a usuwając w cień słabeuszy. Mój panie, poproszę pana od razu o jedną grzeczność. Niech pan pójdzie z nami w niedzielę do kościoła i powie parę budujących słów do młodzieży w naszej szkółce niedzielnej. Chyba pan nie odmówi młodym kilku wzniosłych rad na drogę życia? Charlie, cały czerwony, kiwnął głową.

- Ależ, papo - wtrąciła się śpiewnie Gladys zarzucając im obu ramiona na szyję - nie każ mu robić takich rzeczy. Niedziela to jedyny dzień, kiedy biedak może zagrać w golfa. Zresztą wiesz, zawsze mówiłam, że nie wyjdę za nauczyciela szkółki niedzielnej. Pan Wheatley się roześmiał, pani Wheatley spuściła wzrok i wes-tchnęła.

- Jeden raz mu nie zaszkodzi. Prawda, Charlie?

- Oczywiście, proszę pana - niewiele myśląc przytaknął Charlie. -Chętnie zrobię coś dla ducha.

Następnego dnia Charlie umówił się z panem Wheatleyem na męski lunch w Klubie Uniwersyteckim.

- No, synu, kości zostały rzucone - oznajmił pan Wheatley, gdy tylko się spotkali w westybulu. - Moje panie podjęły decyzję, nie pozostaje nam nic innego, jak się podporządkować. Życzę wam, dzieci, mnóstwo szczęścia.

Jedząc pan Wheatley cały czas mówił o banku, o fabryce, o przygotowywanej fuzji z Askewem-Merrittem, która więcej niż podwoi kapitał nowego Towarzystwa Awiacyjnego Terna.

- Zaskoczony jesteś, Charlie, że wiem o wszystkim? Tak też myślałem. Ten chłopak, myślę sobie, to geniusz inżynierski, ale nie nadaża, jeśli chodzi o stronę finansową. Nie zdaje sobie sprawy, jaką wagę dla niego samego i dla nas, finansistów, ma pakiet jego akcji w Towarzystwie Terna.

- Wystarczy, że mam odpowiednich ludzi do myślenia o stronie finansowej - odparł Charlie.

- Oczywiście, oczywiście, wystarczy-przytaknął pan Wheatley. -Ale teraz, kiedy wchodzisz do rodziny, może i moje rady, dorobek dwudziestu lat pracy w bankowości, w rodzinnym Birmingham i tutaj, w tym wielkim młodym prężnym mieście Detroit...

- Naturalnie, chętnie skorzystam z pańskich rad - bąknął Charlie. Pan Wheatley zaczął się z kolei rozwodzić o jakiejś parceli w Grosse Pointe, z dostępem do jeziora Saint Clair, w najekskluzywniejszej dzielnicy willowej całych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ma ją zamiar przekazać Gladys i Charliemu w prezencie ślubnym, a oni powinni się na niej zaraz pobudować, choćby tylko dla lokaty kapitału.

- Jeśli wpadniesz ze mną po lunchu do biura, synu, zobaczysz plany najpiękniejszego dworku staroangielskiego, jaki kiedykolwiek widziałeś. Kazałem go zaprojektować specjalnie z myślą o tej parceli. Chciałem zrobić niespodziankę mamusce i Gladys. Tak zwany styl Tudorów, wiesz, zrąb drewniany wypełniony cegłą, projekt Ordwaya i Ordwaya. Pomyślałem sobie, że wam to odstąpię, dzieci, to teraz za duże dla nas dwojga z mamuską, jak Gladys wychodzi za mąż. Ja dam parcelę, ty wystawisz chałupę i zapiszemy wszystko na Gladys dla dzieci z waszego związku.

Skończyli lunch. Wstawszy pan Wheatley ujął Charliego za rękę, potrząsnął nią.

- Bo liczę, że będziecie mieli dzieci, mój synu. Modłę się o to. Tuż po Święcie Dziękczynienia wszystkie gazety detroickie rozpięły się o obiedzie tańczącym wydawanym przez państwa Hortonostwa B. Wheatleyów dla uczczenia bliskiego ślubu ich córki Gladys z panem Charliem Andersonem, wynalazcą, asem lotniczym niedawnej wojny i kierownikiem biura konstrukcyjnego prężnej Fabryki Awiacyjnej Terna.

Stary Bledsoe przestał się odzywać do Charliego w dniu, w którym ogłoszono zaręczyny, Ann natomiast podeszła do Charliego i Gladys w wigilię Wszystkich Świętych na wieczorku w Klubie Ziemskim i powiedziała, że ich doskonale rozumie i życzy im wiele szczęścia. Na parę dni przed weselem Taki wymówił Charliemu służbę.

- Myślałem, że zostaniesz - powiedział Charlie. - Moja żona byłaby na pewno zadowolona. Dalibyśmy ci pewnie podwyżkę. Taki pokazał zęby w szerokim uśmiechu, ukłonił się ceremonialnie.

- Żałuję- odrzekł -ale służę tylko w domach kawalerskich. Życzę panu wiele pomyślności po ślubie.

Ale najbardziej dotknęło Charliego to, że na list z prośbą, by został jego drużbą, Joe Askew oddepeszował

jedno jedyne słowo: "Nie". Ślub odbył się w Kościele Baptistycznym Emanuela. Charlie miał na sobie zakiet i czarne lakierki, które go uwierały w palce. Z trudem się powściągał od poprawiania co chwila krawata. Podtrzymał go na duchu Nat Benton, który przyjechał z Nowego Jorku na pierwszego družbę. Czekając z Charliem w zakrystii, wyciągnął z kieszeni płaską flaszkę i próbował go namówić na łyce.

- Coś nietęgą masz minę, chłopie.

Charlie potrząsnął głową i zrobił kciukiem ruch w stronę, skąd dochodziła muzyka organowa.

- Nie zapomniałeś przypadkiem obrączek? Nat skrzywił się w uśmiechu, pociągnął sam z flaszki. Odchrząknął.

- No, Charlie, powinieneś mi pogratulować, że sobie wybrałem na klienta takiego szczęściarza jak ty. Gdybym umiał tak przewidywać koniunkturę, jak umiem oceniać dobrze się zapowiadających młodych ludzi, tobym już dawno zbił fortunę. Charlie był taki zdenerwowany, że się zaczął jękać.

- N-nic się nie martw, N-nat. B-będę o tobie p-pamiętać. Parsknęli obaj śmiechem i zaraz poczuli się lepiej. W drzwiach zakrystii stał już mistrz ceremonii machając na nich niecierpliwie. Gladys, w powodzi atłasowobiałych falbanek, w koronkowym welonie, w obłoku kwiecica pomarańczowego, z małym chłopcem w białym atłasowym ubranku niosącym za nią tren, wyglądała jak nieznajoma, którą Charlie pierwszy raz widzi na oczy. Nie patrząc na siebie, oboje odpowiedzieli zbyt głośno: "Tak". Na przyjęciu ślubnym poncz był bezalkoholowy ze względu na państwa Wheatleyów. Charlie, bliski uduszenia od zapachu kwiatów i futer, pocił się usiłując coś odpowiedzieć każdej z wypindrzonych starych dam, którym go przedstawiano i które po kolei powtarzały, jaki piękny był ślub. Wyrwał się wreszcie i szedł się przebrać na górę, gdy ujrzał, jak Ollie Taylor, zalany w sztok, wykladała się jak długi prosto pod nogi pani Wheatley, całej na lawendowo i orchideowo, która bardzo błada i splakana wypłynęła akurat z salonu. Nie odwracając się Charlie wbiegł na górę.

Mimo że wesele miało być bezalkoholowe, również Nat i Farrell coś przetrącili, bo oczy im się świeciły i oblizywali wargi, gdy przyszli do pokoju, gdzie Charlie się przebierał w brązowy garnitur podróżny.

- Szczęściarze z was - powiedział Charlie. - Gdzieście się do tego dorwali? Rany, trzeba było przypilnować Olliego Taylora.

- Już go nie ma - odparł Nat.

- Myślmy o wszystkim - dorzucili zgodnym chórem.

- Jak Boga kocham - podjął Charlie - właśnie sobie winszowałem, że za późno wysłałem zaproszenia memu bratu i reszcie rodziny w Minneapolis. Już widzę, jak Onkel Vogel się ugania za tymi ciepłymi wdówkami i szczypie je po tyłkach wykrzykując: "Hoch!"*

- Nieszczęście z tym Olliem - powiedział Nat. - Przecież to najpocziwszy chłop pod słońcem.

- Tak, pocziwy stary Ollie - zawtórował Charlie. - Zupełnie zatracił miarę.

Rozległo się pukanie. Była to Gladys, wyglądająca cudownie ze swoją bladą twarzą i złocistopopielatymi włosami obramowanymi olbrzymim kołnierzem z szynszyli.

- Charlie, czas na nas. Niedobry jesteś, nawet nie spojrzalesz na prezenty.

Zaprowadziła ich do salonu na piętrze, całego zastawionego szkłem, srebrami stołowymi, kwiatami, przyborami palarnianymi i toaletowymi, mikserami do cocktaili, tak że wyglądał jak sala w domu towarowym.

- Prawda, jacy wszyscy są słodcy? - zapytała.

- Jak żyje, czegoś takiego nie widziałem - odparł Charlie. Usłyszeli, że z drugiej strony zbliżają się do drzwi jacyś goście, więc czym prędzej się wycofali.

- Ilu papo zaangażował detektywów? - spytał Charlie.

- Czterech - odpowiedziała.

- No, no - rzekł Charlie. - To my znikamy.

- Aha, najwyższy czas, żebyśmy się usunęli - przytaknął Nat, Farrell zaś zaczął się nie wiadomo czemu wic ze śmiechu. - Chyba że pozwolisz nam przedtem ucałować pannę młodą?

- Ja-asne - odparł Charlie. - I dziękujecie w moim imieniu wszystkim družbom. Gladys zamachała niecierpliwie dłonią.

- Kochani jesteście, ale już sobie idźcie. Charlie spróbował ją do siebie przyciągnąć, lecz go odepchnęła.

- Tatuś kazał wynieść bagaże kuchennym wyjściem. Och, pośpiesz-my się. Ja chyba oszaleję.

Zbiegli tylnymi schodami i wsiedli do taksówki, w której już poukładano bagaże. Jego walizy były ze świńskiej skóry, jej połyskliwie czarne. Jedne i drugie pachniały kosztownie nowością. Spod kolumnady wielkiego ganku w stylu kolonialnym* wynurzyli się Farrell i Nat, ale nim ich zdążyli obrzucić konfetti, taksówkarz nacisnął akcelerator i auto ruszyło.

Na peronie zegnali ich tylko państwo Wheatleyowie. Pani Wheatley, w workowatym futrze z nurków, zalewała się łzami, pan Wheatley nie zważając, czy kto słucha, perorował o rodzinie amerykańskiej. Nim pociąg ruszył, Gladys też była cała zalana łzami, a Charlie siedział nieszczęśliwy naprzeciwko niej, zachodząc w głowę, od czego, u diabła, zacząć.

- Żałuję, że nie poleciliśmy - powiedział.

- Wiesz, że to było niemożliwe w taką pogodę - odparła Gladys wybuchając na nowo płaczem.

Żeby się czymś zająć, Charlie zamówił kolację z wagonu restauracyjnego i posłał czarnego posługacza po kubek lodu do szampana.

- Moje biedne nerwy - jęczała Gladys zasłaniając oczy dłońmi w rękawiczkach.

- Ależ, dziecko, nie ma tu przecież nikogo obcego, tylko my dwoje - perswadował łagodnie Charlie. Raptem zachichotała.

- Jestem chyba trochę pomyłona.

Kiedy posługacz, szeroko uśmiechnięty, wyrozumiały i pełen respektu, otworzył szampana, Gladys ledwo umoczyła wargi. Charlie wypił do dna i nalał sobie ponownie.

- Za nasze zdrowie, Gladys, raz się żyje. Gdy posługacz wyszedł, spytał ją, czemu nie pije.

- Na zabawach w Klubie Ziemijskim lubiłaś sobie zdrowo pociągnąć, Gład.

- Nie chcę, żebyś ty też pił.

- Ale czemu? Zaczzerwieniła się po uszy.

- Mama mówi, że jak rodzice piją, to rodzą się dzieci kretynki.

- Moje biedne małżeństwo - powiedział Charlie i oczy napełniły mu się łzami.

Siedzieli długo patrząc na siebie, a z kieliszków uchodziły bąbelki i szampan chlupał na stół za każdym mocniejszym szarpnięciem pociągu. Gdy przyniesiono pieczone kurczęta, Gladys nie mogła nic przełknąć, tak że w rezultacie Charlie zjadł obie porcje i wypił całego szampana, czując, że zachowuje się jak prosiak. Pociąg dudnił przez zaśnieżoną noc, aż im łomotało w uszach. Kiedy posługacz posprzątał po kolacji, Charlie zdjął marynarkę, usiadł koło Gladys i zaczął ją pieścić. Pozwoliła się całować i tulić, tak jak przed ślubem, ale go odepchnęła, gdy spróbował jej rozpiąć sukienkę.

- Poczekaj, poczekaj.

Weszła do toalety przebrać się w koszulę nocną. Myślał, że oszaleje, tak to trwało. Siedział w piżamie szcękając zębami w lodowatym cugu powietrza i sadzy, które wpadały przez szparę w oknie. W końcu zaczął się dobijać do toalety.

- Źle się czujesz, Gład? Co się z tobą dzieje, kochanie? Wyszła w puszystym koronkowym negligiu. Umalowała się za bardzo, wargi jej drżały pod tłustą powłoką szminki.

- Och, Charlie, nie róbmy tego dzisiaj, to takie okropne w pociągu. Charlie poczuł nagły niepohamowany gniew.

- Przecież jesteś moją żoną! U licha ciężkiego, jestem twoim mężem czy nie?

Zgasił światło. Dłonie miała lodowate. Przyciągnął ją, aż mięśnie ramion sprężyły mu się na jej drobnych plecach. Przyjemnie było czuć, jak jedwab i koronki trzaskają pod jego palcami. Potem kazała mu wstać z łóżka, przenieść się z kocem na kanapkę. Bardzo krwawiła. Żadne z nich nie spało. Następnego dnia była okropnie blada, a krwawienie wciąż nie ustawało, tak że się obawiali, czy nie będą musieli gdzieś wysiąść, szukać doktora. Dopiero pod wieczór poczuła się lepiej, ale ciągle nie mogła nic przełknąć. Przez całe popołudnie leżała pół drzemiąc na kanapce, a Charlie siedział obok trzymając ją za rękę, z plikiem nie czytanych czasopism na kolanach. Poczuli się jak wypuszczeni z więzienia, gdy wreszcie wysiedli z pociągu w Palm Beach i zobaczyli zieloną trawę, palmy i ukwiecony żywopłot z hibiskusów. Na widok wielkich pokoi narożnego apartamentu w hotelu Royal Poinciana, gdzie Gladys chciała się zatrzymać, bo tutaj mieszkali w podróży poślubnej jej rodzice, i na widok salonu pełnego kwiatów zamówionych przez przyjaciół, zarzuciła mu ramiona na szyję i ucałowała go nie czekając nawet na wyjście ostatniego boya.

- Och, Charlie, przebacz mi, byłam taka nieznośna. Następnego dnia, zjadłszy śniadanie, leżeli szczęśliwi obok siebie w łóżku i wyglądali przez okno na ocean za palmami, wdychali świeżą woń morską, słuchali fal rozbijających się na plaży.

- Och, Charlie - powiedziała - żeby wszystko było zawsze takie jak dzisiaj.

Pierwsze dziecko urodziło im się w grudniu. Był to chłopiec. Dali mu na imię Wheatley. Po wyjściu ze szpitala Gladys nie wróciła już do mieszkania, tylko pojechała prosto do nowego domu w Grosse Pointe, który jeszcze pachniał farbą i świeżym tynkiem. Wydatki na szpital, rachunki za meble, Gwiazdka, wszystko to w sumie zmusiło Charliego do zaciągnięcia dwudziestu tysięcy pożyczki w banku. Więcej czasu niż kiedykolwiek dotąd spędzał na konferencjach telefonicznych z biurem maklerskim Nata Bentona w Nowym Jorku. Gladys kupowała mnóstwo strojów i przez okrągły rok trzymała w całym domu tiffany'owskie wazony* frezji i narcyzów. Nawet na toaletce w swojej łazience miała zawsze kwiaty. Pani Wheatley mówiła, że Gladys odziedziczyła zamiłowanie do kwiatów po babci Randolph, Wheatleyowie bowiem nigdy nie potrafili odróżnić najpospolitszych kwiatków. Gdy następnie urodziła im się córeczka, Gladys leżąc w szpitalu, z twarzą zapadłą i żółtą na białym tle poduszki, obok wielkiego bukietu błyszczących białych orchidei, za które Charlie płacił w kwaciarni po pięć dolarów pęk, powiedziała, że chciałaby nazwać małą Orchid. Skończyło się na tym, że ją nazwali Marguerite po babci Randolph.

Po urodzeniu córki Gladys długo nie mogła przyjść do siebie i musiała się poddać kilku drobnym zabiegom, które ją zatrzymały w szpitalu przez trzy miesiące. Gdy stanęła na nogi, kazała sobie urządzić sypialnię, całą biało-złotą, w wielkim pokoju sąsiadującym z pokojem dziecięcym oraz pokojem guwernantki. Charlie zżymał się bardzo, bo było to w skrzydle domu przeciwnym do jego sypialni. Kiedy przychodził

wieczorem w szlafroku i chciał się z nią położyć do łóżka, odpychała go z chłodnym uśmiechem, a jeśli nie ustępował, cmokała go raz i drugi i kazała mu się zachowywać cicho, bo obudzi dzieci. Czasami z irytacji napływały mu do oczu łzy.

- Rany, nie kochasz mnie już zupełnie, Gład?

Odpowiadała, że gdyby ją rzeczywiście kochał, toby wrócił do domu tego wieczora, gdy miała na kolacji Smyth Perkinsów, a nie dzwonił w ostatniej chwili, że musi zostać w fabryce.

- Jak rany, Gład, z czego bym płacił rachunki, jakbym nie zarobił?

- Gdybyś mnie naprawdę kochał, bardziej byś się ze mną liczył i tyle.

Przy tych słowach na jej twarzy pojawiały się dwie wygięte linie od nozdrzy do kąć ust jak na twarzy jej matki, więc Charlie całował ją delikatnie, mówił: "Biedna mała dziewczynka - i wracał do swego wielkiego pokoju czując się jak ostatnia gnida. A jeśli czasami pozwalała mu zostać, leżała zimna i niema, sykając, że ją boli, tak że Charlie wracał na swoje łóżko z baldachimem cały roztrzęsiony i musiał wychylić parę głębszych, żeby w ogóle zasnąć.

Pewnego wieczora zabrał Billa Cermaka, który był teraz majstrem w fabryce we Flint, do przydrożnej knajpy za Windsorem, żeby z nim obgadać kłopoty, jakie mieli z formierzami i matryczarzami. Zamiast tego, po paru sznapsach, sam nie wiedząc kiedy, zaczął go rozpytywać o jego pożycie małżeńskie.

- Słuchaj, Bill, ty też masz kłopoty ze swoją żoną?

- Jasne, szefie - odparł Bill ze śmiechem -- mam, i to jakie. Ale tak w ogóle to nie mogę się na staruszkę uskarżać. Zresztą ją znasz. Dobrze gotuje, dba o dzieci, tylko stale mnie ciągnie do kościoła.

- Słuchaj, bracie, co ty mi tak szefujesz? Skończ raz z tym szefem.

- Za wielki bogacz z ciebie - powiedział Bill.

- E tam, wypijmy lepiej. - Charlie wychylił do dna. - I piwko do popicia jak za dawnych czasów. Pamiętasz to Boże Narodzenie w Long Island City? I tę zażywną blondynę w Bierstubie? Rany Jezusa, zawsze mi się wydawało, że kobiety mnie uważają za takiego koguta. Ale moja żona jest odmiennego zdania.

= Przecież się dorobiłeś dwójki udanych dzieciaków. Może masz za wielkie wymagania?

- Nie uwierzyłbyś, bracie. Dopuściła mnie do siebie jeden jedyny raz od urodzenia malej przylepki.

- Zwykle kobitki się rozpalają jak są jakiś czas mężatkami. Dlatego chłopcy są tacy cięci na tego waszego szefa produkcji.

- Na Staucha? Stauch to geniusz organizacji. -- Może i geniusz, ale nie zostawia chłopcom nic sił na reprodukcję. Bill się roześmiał, otarł piwo z ust.

= Poczciwy stary Bill = powiedział Charlie. -- Rany gorzkie, jeśli ja cię nie wciągnę do rady nadzorczej. Bill już się nie śmiał.

- Słowo daję, ja nie żartuję. Ten cholerny Szwab wypruwa z chłopaków żyły. Później w łóżku mają flaka, nie kutasa, baby im się buntują. Ja jestem podmajstrzym i też mnie uważają za sukinsyna, ale ci powiem, że mają świętą rację. Teraz Charlie się roześmiał.

- Sam jesteś kawał Szwaba, Bill. Ale co ja mogę na to poradzić? Też jestem tylko pracownikiem Towarzystwa. Musimy dbać o wydajność, inaczej konkurencja nas połknie. Wiesz, Ford zaczął budować aeroplany.

-- A tak stracimy najlepszych chłopców. Niewolnicza praca może przejść przy taśmie w fabryce automobilowej, ale montaż motorów lotniczych to jubilerska robota.

- Cholera jasna, szkoda, że już nie majstrujemy przy tym naszym motorku, co? Bankrut jestem, Bill, przez cały czas tylko łamię sobie głowę, skąd brać forszę. A, napijmy się jeszcze po jednym.

- Lepiej coś przegryźmy.

- Jasne, zamów kotlety czy co tam chcesz. Chodź, pójdziemy się odlać. To ostatnia rzecz, za którą nie każą człowiekowi bulić. Słuchaj, Bill, nie uważasz, że mi rośnie brzuszek? Jestem bankrut, mam brzuszek, w dodatku własna żona nie chce ze mną spać. Nie sądzisz, Bill, że się robi ze mnie za wielki bibuła? Czasami sobie myślę, że powinienem odstawić butelczynę na dobre. Dawniej, jak piłem, nigdy mi się nie zdarzało, żeby mnie kompletnie zamroczyło.

- Diabła tam, co ty? Jesteś rzutki młody facet, jeden z najbystrzejszych, mistrz w lądowaniu na trzy punkty, urodzony pokerzysta... Mój Boże!

- Co z tego, jak własna żona nie chce ze mną spać? Charlie nie mógł nic przełknąć, tak że Bill zjadł oba kotlety. Charlie pociągał za to raz po raz whisky z flaszki, którą trzymał pod stołem, i popijał piwem.

- P-powiedz mi, twoja żona ci daje, kiedy tylko chcesz? A ż-żony tych chłopaków z fabryki same się napraszają, n-no nie? Bill był też trochę pijany.

- Moja żona robi, co ja powiem.

Skończyło się na tym, że Bill musiał poprowadzić nowego Packarda Charliego do promu. W Detroit zaciągnął Charliego do drogerii i długo poił wodą sodową, ale wsiadłszy z powrotem do auta, Charlie osunął się bezwładnie za kierownicą, tak że Bill musiał jechać dalej do Grosse Pointe. Charlie słyszał, jak Bill się handryczy z kolejnymi stróżami na drodze. Każdy musiał na własne oczy zobaczyć pana Andersona nieprzytomnego na tylnym siedzeniu, nim przepuści Packarda z Billem przy kierownicy. Charlie miał gdzieś

stróżów, ale tak go to rozbawiło, że zaczął głośno rechotać. Jeszcze śmieszniej było w domu, kiedy lokaj musiał pomagać Billowi dygocować go na górę do sypialni.

- Szef się trochę kiepsko czuje, rozumie pan, z przepracowania-powtarzał Bill każdemu, po czym się pukał z powagą w czoło. - Za dużo pracy umysłowej. Na górze Charlie odzyskał na tyle przytomności, że zdołał wyseplenić:

- Jesteś boski, Bill. George, wezwij taksówkę, niech odwiezie pana Cermaka do domu. Sukinsyn szczęściarz z niego, wraca do żonki. Potem zwałił się na łóżko w jednym bucie i zasnął najspokojniej w świecie.

Wróciwszy z następnej podróży do Nowego Jorku i Waszyngtonu, zadzwonił do Billa do fabryki.

- Jak się masz, chłopie? Twoja żona w dalszym ciągu robi, co jej powiesz, ha-ha? Ja? Okropnie, bardzo męcząca podróż. Rozumiesz, interesy. Nigdy w życiu nie piłem tyle ani z tyloma śmierdzącymi hochsztaplerami. Słuchaj, Bill, nie przejmuj się nic, jak dostaniesz wymówienie, jesteś na mojej prywatnej liście płacy, kapujesz? Tak, zwalniamy całą bandę. Rany, jak im się nie podoba robota u nas, to może im się bardziej spodoba u kogo innego. To wolny kraj, nie będziemy nikogo trzymali na siłę. Uważaj, Bill, ile czasu potrzebujesz, żeby puścić w powietrze tę nową wersję Ćmy? Wiesz, numer 16 Moskita projektu niżej podpisanego? Ta-ak. Zrozum, jeśli go szybko wypchniemy, tak że go będą mogli wziąć za model, kapujesz, za podstawę do swoich specyfikacji... Rany Chrystusa, Bill, jeśli tego dopniemy, to możemy nie kiwnąć palcem do końca życia. Nie będziesz sobie musiał już głowy łamać, skąd wziąć na studia dla dzieciaków. Co tam dla dzieciaków, oboje z twoją panią będziecie mogli rzucić wszystko i iść do college'u. Do-obra, rozumiem.

Charlie odłożył słuchawkę. W drzwiach stała jego sekretarka, panna Finnegan. Miała rude włosy i piękną cerę z kilkoma piegami koło małego ostrego noska, była zawsze ubrana jak z igły. Przyglądała się swoimi piwnymi oczami, szeroko otwartymi i wilgotnymi, podczas gdy Charlie wydawał przez telefon rozporządzenia. Mimo woli wypiął pierś, wciągnął jak mógł brzuszek. Cholera, przemknęło mu przez myśl, a może by się dało przespać z Elsie Finnegan. Na biurku ktoś mu postawił doniczkę niebieskich hiacyntów, bił od nich zapach wiosny, który mu nagle przypomniał Barle-Duc* i wyprawy na pstrągi nad rzekę Czerwoną.

Było znowu wiosenne przedpołudnie pachnące kwiatami, gdy Charlie jechał z biura do fabryki, oblatąc nowego Moskita swojej konstrukcji. Na wychodnym udało mu się po raz pierwszy pocałować Elsie Finnegan; drżąca i przejęta odprowadziła go wzrokiem zza swego biurka. Bill Cermak zadzwonił z fabryki, że nowy aparat jest gotów, motor gra, wszystko zapięte na ostatni guzik. Charlie z ulgą wyszedł z biura, gdzie się miotał od paru godzin czekając na połączenie z firmą maklerską Nata Bentona w sprawie pewnych akcji, które telegraficznie kazał sprzedać korzystając z koniunktury. Pocałowawszy Elsie polecił jej skierować rozmowę na lotnisko fabryczne, gdyby dano połączenie w czasie jego nieobecności. Czuł się pysznie mknąc przez pół zabudowane miasto, aleją zatłoczoną ciężarówkami pełnymi materiałów budowlanych. Przemykając się między samochodami rozkoszował się mocą i blaskiem swego Packarda, bezbłędnym działaniem sprzęgła, lekką pracą biegów. Stróż przy bramie miał dla niego Nowy Jork, połączenie było klasa. Nat wpłacił mu do banku trzysta tysięcy. Odwiesiwszy słuchawkę Charlie pomyślał: Biedna mała Elsie, muszę jej kupić coś naprawdę ładnego.

- Co, wspaniały dzień, Joe? - powiedział do stróża. Bill czekał na niego koło nowego aparatu przy wejściu do hangaru. Ocierał wiązką pakulów smar ze swoich grubych paluchów. Bill poklepał go po plecach.

- Pocziwy stary Bill. Czyż to nie wspaniały dzień dla naszego rodzaju? Bill dał się wziąć na kawał.

- Jakiego rodzaju?

- Ludzkiego, zakuta pało. Wiesz, co ci powiem, Bill? ciągnął zdejmując rękawiczki i nienagannie skrojony paltot wiosenny. - Czuję się jak młody bóg. Zgarnąłem wczoraj trzysta tysięcy kawałków na giełdzie. Poszło jak z płatkami.

Nim Charlie naciągnął kombinezon, mechanicy wytoczyli nowy aparat na murawę lotniska i Bill przystąpił do ostatniego przeglądu.

- Rany, ale ładny!

Mały aluminiowy aeroplan błyszczał w słońcu na tle zieleni jak klejnot na wystawie u jubilera. W trawie rosły mlecze i koniczyna, a kiedy Bill ruszył z powrotem w stronę Charliego, spod jego czarnych buciorów uniosła się wirująca chmura białych motylek. Charlie mrugnął do niego, gdy Bill, w swoim granatowym ubraniu roboczym, zatrzymał się koło niego, tępo wpatrzony w swoje stopy.

- Uśmiechnąłbyś się, karawaniarzu jeden - powiedział Charlie. - Taka wspaniała pogoda, a ten ponury jak gradowa chmura. Bill obrócił ku Charliemu kanciastą słowiańską twarz.

- Niech pan posłucha, panie Anderson. Traktował mnie pan zawsze po ludzku, od samego początku, jeszcze w Long Island. Zna mnie pan, pracuję uczciwie, wracam prosto do domu, trzymam gębę na kłódkę.

- Co cię ugryzło, Bill? Chcesz, żebym ci wydebił nową podwyżkę? Do-obra, spróbuję.

Bill pokręcił ciężką kwadratową twarzą, poskrobał się czarnym palcem wskazującym w nos.

- Jak dotąd zakłady Terna to była solidna firma. Dobra praca, dobra płaca. Pan wie, panie Anderson, ja nie jestem żaden bolszewik. Ale pieskiem dyrekcji też nie będę.

- Niech to jasny gwint, Bill. Powiedziałbyś chłopcom, żeby wzięli trochę na wstrzymanie. Myślimy, żeby

ich z czasem dopuścić do udziału w zyskach. Sam pracowałem przy tokarce, objąłem się jako monter po całym cholernym kraju. Wiem, co chłopców gryzie, ale wiem także, z jakimi trudnościami musi się borykać dyrekcja. Rany, przecież to jest jeszcze przemysł w powiśkach, trzeba w niego inwestować i inwestować. Jesteśmy odpowiedzialni przed ludźmi, którzy nas finansują. Jak myślisz, gdzie pójdą te pieniądze, które wczoraj zarobiłem? Oczywiście na inwestycje. Wiem, w dawnych warsztatach pracowało się przyjemniej, wszyscy dowcipkowali, palili, opowiadali pieprzne kawały. Teraz konkurencja jest na to za wielka. Jeśli na każdym stanowisku wszystko nie będzie grało jak w zegarku, leżymy na obie łopatki. Jak chłopaki chcą założyć komórkę związkową, to my im nie będziemy robili wstrętów. Zwołaj zebranie, powiedz im, co o tym sądzimy, ale powiedz im również, że oczekujemy od nich odrobiny patriotyzmu. W końcu przemysł, w którym pracują, to jeden z filarów obronności kraju. Poślemy Eddiego Sawyera, porozmawia z nimi, przedstawi im nasze problemy. Bill Cermak pokręcił głową.

- Różni im już przedstawiali. Charlie zmarszczył czoło.

- Sprawdźmy lepiej, jak pracuje motor - uciał niecierpliwie. - To cacko, nie aeroplan.

Huk motoru nie pozwolił im na dalszą rozmowę. Mechanik wyszedł zza sterów, Charlie zajął jego miejsce, Bill Cermak usadowił się za nim. Aparat potoczył się szybko po zielonej murawie. Charlie ustawił go pod wiatr, włączył akcelerator. Przy pierwszym lotnym podskoku nastąpiło szarpnięcie. Lecąc głową do przodu Charlie zdążył jeszcze wyłączyć motor.

Ocknął się, gdy go nieśli na noszach przez lotnisko. Za każdym ich krokiem czuł, jak w nogę wbijają mu się z chrzęstem dwa szpikulce. Chciał im powiedzieć, że ma jakiś odłamek w udzie, ale zamiast głosu wydobyło się słabe rżenie. W cieniu hangaru spróbował się unieść na boku.

- Co się, cholera, stało? Bill cały?

Mężczyźni pokręcili głowami, ale zaraz ogarnęła go znowu ciemność, jakby wysiadła elektryczność. W ambulansie chciał spytać lekarza w białym kitlu o Billa Cermaka, chciał sobie dokładnie przypomnieć, co się stało, ale noga go tak bolała, że potrzebował całej siły woli, żeby nie krzyczeć.

- Doktorze-wykrztusił wreszcie - nie możecie mi wyciągnąć tego aluminium z nogi. Ten cholerny aparat skapotował czy co? Widać nie wytrzymały skrzydła, ale motor mogliście mi ściągnąć z piersi. Doktorze, niech ci ludzie się ruszą.

Potem poczuł w nozdrzach zapach szpitala. Krzątała się koło niego gromada mężczyzn w białych kitlach, rozmawiali szeptem. Szpital cuchnął nieznośnie eterem. Najgorsze, że nie może oddychać. Ktoś rozlał ten piekielny eter. Nie, nie na twarz. Motor huczał. Coś mu się musiało przywidzieć. Huk motoru przeszedł w równy warkot. Nie ma co, ładnie pracuje, płynnie, jak te wielkie stare bombowce. Kiedy się obudził, siostra pomagała mu wymiotować do basenu. Potem obudził się znowu, rany boskie, tylko nie dawajcie mi więcej eteru. Ale były to kwiaty, obok łóżka stała Gladys z bukietem groszku pachnącego. Twarz miała skurczoną.

- Cześć, Gład. Jak tam moja dziewczynka?

- Och, tak się martwiłam, Charlie. Jak się czujesz? Ale wiesz, Charlie, żeby człowiek na twoim stanowisku ryzykował życie przy oblatywaniu eksperymentalnych modeli! Słowo daję, czemu nie zostawisz tego zawodowym oblatywaczom? Charlie pamiętał, że ma o coś zapytać. Czegoś się bał.

- Jak tam dzieciaki? Zdrowe?

- Wheatley otarł kolano, a mała ma zdaje się trochę gorączki. Dzwoniłam do doktora Thompsona, ale to chyba nic poważnego.

- Czy Billowi Cermakowi nic się nie stało?

- Ależ nie - odparła zbyt gwałtownie i urwała. - Tylko z naszego wieczorku tańczącego będą nici. Mieli przyjść Edselowie Fordowie*.

- A to niby czemu? Nic nie odwołuj. W najgorszym razie twój ukochany wystąpi w wózku inwalidzkim. Ale mi nasadzili pancierz. Widać mam połamane zęba.

Gladys przytaknęła głową. Jeszcze bardziej zasznurowała i skurczyła usta i nagle się rozplakała. Weszła na to siostra.

- Oj, proszę pani - powiedziała z wyrzutem.

Charliemu właściwie ulżyło, gdy Gladys sobie poszła zostawiając go sam na sam z siostrą.

- Niech siostra poprosi doktora, dobrze? Proszę mu powiedzieć, że jestem zdrow i chcę obejrzeć uszkodzony aparat.

- Ależ, proszę pana, nie powinien pan sobie niczym zaprzętać głowy.

- Wiem. Niech siostra powie mojej żonie, żeby mnie skontaktowała z fabryką.

- Jest niedziela, proszę pana. Mnóstwo ludzi przychodziło pana odwiedzić, ale ordynator nie pozwolił wpuszczać nikogo na górę. Pielęgniarka miała świeżą dziewczęcą twarz i lekko szkocką wymowę.

- Założę się, że siostra jest z Kanady.

- Tym razem pan trafił - odparła.

- Znałem kiedyś wspaniałą pielęgniarkę, też była Kanadyjką. Gdybym miał trochę oleju w głowie, byłbym się z nią ożenił. Ordynator okazał się mężczyzną o pucołowatej twarzy i swobodnym jowialnym sposobie bycia, prawie jak maitre w wielkim hotelu.

- Panie doktorze, czy ta noga powinna tak cholernie boleć?

- Widzi pan, jest jeszcze nie złożona. Próbował pan sobie przebić płuco, szczęśliwie się panu nie udało. Ale musieliśmy usunąć kilka niewielkich odłamków żebra.

- Mam nadzieję, że nie z płuca?

- Na szczęście nie.

- A czemu. u diaska, za jednym zamachem nie złożyliście nogi?

- No, czekamy na doktora Roberta, ma przyjechać z Nowego Jorku. Pańska żona nie chciała się zgodzić na żadnego innego ortopedę. Właściwie jesteśmy wszyscy bardzo zadowoleni, bo to jeden z najwybitniejszych speców. Ale czeka pana jeszcze mała operacyjka. Dopiero gdy Charlie doszedł do siebie po drugiej operacji, powiedzieli mu, że Bill Cermak zmarł na skutek pęknięcia podstawy czaszki. Charlie leżał w szpitalu trzy miesiące z nogą na wyciągu. Połamane żebra zrastały się szybko, ale ciągle miał kłopoty z oddychaniem. Gladys załatwiała wszystkie rachunki domowe i wpadała codziennie po południu na minutkę. Zawsze się śpieszyła i zawsze była okropnie zmartwiona. Charlie musiał dać pełnomocnictwo swemu adwokatowi, Moemu Frankowi, który przychodził parę razy w tygodniu omówić bieżące sprawy. Charlie nie bardzo mógł z nim rozmawiać, w ogóle nie bardzo mógł rozmawiać, tak go ciągle bolało.

Najbardziej lubił, kiedy Gladys przysyłała w odwiedziny Wheatleya, który miał trzy latka i uważał, że w szpitalu jest cudownie. Szczególnie mu się podobało, gdy siostra manipulowała blokami i ciężarkami wyciągu.

- Tatuś mieszka w areoplanie - pisał zawsze w takich chwilach. Miał konopne włosy i noszek zaczynał mu się robić zadarty, więc Charlie uważał, że wdał się w niego.

Co do Marguerite, to była jeszcze za mała, żeby jej wizyty mogły mu sprawiać przyjemność. Gdy guwernantka przyprowadziła ją jeden jedyny raz, rozryczała się tak na widok przeraźliwej maszynerii wyciągu, że trzeba ją było czym prędzej zabrać do domu i Gladys nie pozwoliła jej więcej przyprowadzać. Wkrótce potem doszło między Gladys a Charliem do ostrej scysji o wizyty Wheatleya, bo Gladys sobie ubzduriała, że mały nie powinien zapamiętać ojca w szpitalu.

-- Ależ, Gład, będzie miał dosyć czasu, żeby o tym zapomnieć. Zapomni o całym niebie prędzej niż ja.

Gladys zasznurowała usta i nie odezwała się więcej. Kiedy poszła, Charlie leżał długo z nienawiścią do niej, zachodząc w głowę, jak w ogóle mogli mieć ze sobą dzieci.

Akurat gdy się ostatecznie utwierdził w przekonaniu, że wszyscy go już uznali za dożywotniego kalekę, zaczęło mu się widocznie polepszać. Ale zrobiła się zima, nim mógł wrócić o kulach do domu, i wciąż jeszcze miewał nerwowe napady duszności. Dom wydawał mu się obcy, gdy po nim kuśtykał bez celu. Podczas jego nieobecności Gladys przemeblowała wszystkie wnętrza i zmieniła całą służbę. Charlie nie miał zupełnie uczucia, że jest we własnym domu. Najbardziej lubił masaże, które mu robiono trzy razy tygodniowo. Poza tym spędzał dni na zabawie z dziećmi i rozmowie z panną Jarvis, ich sztywną starszą angielską guwernantką. Kiedy dzieci szły spać, siedział sam w swoim saloniku i popijał szkocką z wodą sodową, zapyziały i poirytowany. Niech to szlag trafi, robię się za gruby.

Gladys była teraz zimna jak ryba. Nawet gdy wpadał we wściekłość i zaczynał jej wymyślać, stała i patrzyła na niego z wyrazem chłodnego niesmaku na starannie umalowanej twarzy. Przyjmowała często, ale dała służbie do zrozumienia, że pan jest jeszcze zbyt słaby, by schodzić do gości. Charlie czuł się we własnym domu jak ubogi krewny. Raz, gdy mieli być na kolacji Farrellowie, nałożył smoking i pokuśtykał o kulach do jadalni. Na stole nie było dla niego nakrycia, a wszyscy wyłupili na niego oczy jak na ducha.

- To rozumiem! - pierwszy zakrzyknął Farrell swoim piskliwym głosem. -- Miałem zamiar zająć po kolacji na górę, żeby z tobą pogadać. Jak się okazało, Farrell chciał z nim rozmawiać, bo jakiś przeklęty kauzyperda namówił wdowę po Billu Cermaku do wytoczenia Towarzystwu sprawy o pół miliona odszkodowania. Farrell uważał, że gdyby Charlie poszedł i wziął ją pod włos, toby na pewno spuściła z tonu i zgodziła się na jakieś niewielkie dożywocie. Co to, to nie, odparł Charlie, on do tego ręki nie przyłoży. Przy kolacji się wstawił, w rezultacie zwałił kulą serwis do czarnej kawy i poszedł spać w szewskiej pasji.

Oprócz zabawy z dziećmi lubił jeszcze kupować i sprzedawać akcje oraz naradzać się z Natem przez międzymiastową. Nat uważał, że zaczyna wyczuwać fluktuacje rynku. Ostrzegał go, zresztą Charlie sam to dobrze wiedział, że jego pozycja w Towarzystwie Terna zaczyna się chwiać i że jeśli nie podejmie odpowiednich kroków, może niedługo zostać wyslizgany. Ale Charlie czuł się zbyt parszywie, żeby chodzić na zebrania rady nadzorczej, i poprzestał na tym, że sprzedał koło połowy swoich udziałów w niewielkich pakietach. Nat mu powtarzał, że gdyby się teraz dobrze zakreślił, mógłby przejąć kontrolę całego Towarzystwa. zanim Andy Merritt przeprowadzi swoją kolejną reorganizację, lecz Charlie był ciągle zbyt zdenerwowany i nieszczęśliwy, żeby się zdobyć na jakikolwiek wysiłek. Stać go było jedynie na utyskiwanie, wydzwanianie do Juliusa Staucha i pieklenie się o drobiazgi. Stauch przejął jego pracę nad nowym monoplanem i wypuścił aparacik cacko, który przeszedł brawurowo wszystkie próby. Odłożywszy słuchawkę Charlie nalewał sobie trochę szkockiej, sadowił się na kanapce przy oknie i mrucał do siebie:

- No, bracie, tym razem jesteś ugotowany. Któregoś wieczora przyszedł Farrell i długo rozmawiali. Farrell powiedział, że Charliemu dobrze by zrobiła wyprawa na ryby. Nigdy nie wyzdrowieje, jak będzie prowadził taki tryb życia. Farrell już rozmawiał z doktorem Thompsonem, który zalecił wyjazd na trzy miesiące i jak

najwięcej ruchu, jeśli Charlie chce w ogóle kiedykolwiek wyrzucić w diabły te kule. Gladys nie mogła jechać, bo stara pani Wheatley była chora, więc Charlie usadowił się sam na tylnym siedzeniu swego półotwartego Lincolna, z szoferem przy kierownicy, i ruszył na południe do Miami, opatulony mnóstwem pleców przed zimnem, z flaszką whisky i termosem gorącej kawy na drogę.

W Cincinnati poczuł się taki przegrany, że przeleżał cały dzień w hotelu. Posłał szofera do biura podróży po prospekty dotyczące Florydy i w rezultacie zadesperzował do Nata Bentona, czyby z nim nie spędził tygodnia w obozie wędkarskim w Key Largo. Następnego ranka wyruszył wcześniej w dalszą drogę. W nocy dobrze spał, samopoczucie miał lepsze, nawet podróż zaczęła mu sprawiać przyjemność. Tylko czuł się jak ostatni kiep wieziony tak na tylnym siedzeniu Lincolna, cały okutany w koce jak stara baba. Poza tym doskwierała mu samotność, bo szofer nie był typem, z którym można by pogadać Kanuk* o skwaszonej gębie, zaangażowany przez Gladys, która uważała za szczyt fasonu wydawanie szoferowi przez tubę poleceń po francusku. Charlie nie miał cienia wątpliwości, że w dodatku drań go kantuje przez całą drogę na benzynie, oleju i reperacjach, bo Lincoln zamienił się nagle w studnię bez dna.

W Jacksonville świeciło słońce. Charlie nie odmówił sobie przyjemności odprawienia szofera, gdy tylko zajechali przed hotel. Poszedł do łóżka z półliterkiem podłego samogonu kukurydzanego, który kupił od boya, i spał jak kłoda. Rano przebudził się późno, z zaschniętym gardłem, ale w świetnym humorze. Po śniadaniu zapłacił za hotel z zamiarem przejechania się trochę po mieście. Od razu się inaczej poczuł, gdy sam spakował walizę, usiadł za kierownicą i poprowadził własny automobil.

W blasku słońca, pod błękitnym niebem z wielkimi białymi chmurami, miasto robiło wrażenie niefrasobliwej prowizorki. Zatrzymał się koło stacji autobusowej i wszedł się czegoś napić w bufecie. Czuł się tak byczo, że wysiadł z auta bez kul i pokuszył się przez rozgrzany chodnik. Przed witryną wiatr poruszał kartkami rozłożonych pism oraz różowych i seledynowych gazet. Charlie się zasapał, nim dobiegł do wysokiego stołka przy kontuarze.

- Proszę napój limonowy, ale bez cukru - powiedział do barmana o szczurzym pyszczku.

Chłopak nie reagując gapił się w drugi koniec kontuaru. Charlie poczuł, jak mu krew nabiega do twarzy. Ja mu pokażę, przemknęło mu przez myśl, ale zaraz poszedł za wzrokiem barmana. Przy końcu kontuaru jadła sandwiczka młoda blondynka. Ładna bestyjka. Ubrana była w mały czarny kapelusik i szykowny błękitnopopielaty kostium przybrany białą koronką pod szyją i przy mankietach. Na twarzy miała wyraz zaskoczenia, jakby właśnie usłyszała coś wyjątkowo śmiesznego. Zapominając o chorej nodze Charlie przesiadł się o kilka stołków w jej stronę.

- Hej, chłopcze, co będzie z tym napojem limonowym? - zawołał wesoło przez kontuar.

Dziewczyna spojrzała na niego. Oczy miała doskonale błękitne. Odezwała się do Charliego.

- Może pan wie, jak długo jedzie autobus do Miami? Barmanowi zebrało się na dowcipy, nie mogę się od niego nic dowiedzieć.

- Sprawdźmy, zobaczymy - odparł Charlie.

- No, no, ludzie mają humor na tej Florydzie. Znalazł się jeszcze jeden dowcipniś.

- Ależ ja mówię serio. Jeśli pani się tylko zgodzi, zawiozę panią autem. Wyświadczy pani wielką łaskę choremu człowiekowi.

- A nie spotka mnie los gorszy od śmierci?

- Och, będzie pani ze mną zupełnie bezpieczna, moja panienko. Jestem prawie kaleką. Pokażę pani swoje kule, są w aucie.

- A co panu jest?

- Rozbiłem się w aeroplanie.

- Jest pan pilotem? Charlie kiwnął głową.

- No, nie ma pan żylastej sylwetki Lindbergha* - powiedziała mierząc go od stóp do głów. Charlie się zaczerwienił.

- Faktycznie rozryłem się trochę. Byłem unieruchomiony przez tę parszywą nogę.

- No, to chyba zaryzykuję. Jeśli wsiądę z panem do auta, a ocknę się w Buenos Aires, to już będzie moje pieskie szczęście. Charlie chciał zapłacić za jej sandwicz i kawę, ale mu nie pozwoliła. Miała coś takiego w sposobie bycia, że Charlie bez przerwy się śmiał. Kiedy wstał i zobaczyła, jak kuleje, wydeła wargi.

- Rzeczywiście kiepska sprawa - powiedziała. Ujrawszy automobil, stanęła jak wryta. - Coś takiego! - wykrzyknęła. - Widzę, że jesteśmy niepoprawnymi milionerami.

Chichocząc wsiedli do auta. Mówiła wszystko jakoś tak, że Charlie nie mógł się nie śmiać. Nie chciała mu powiedzieć swego nazwiska.

- Niech pan mnie nazywa madame X.

- Wobec tego pani będzie mnie musiała nazywać monsieur A. - odrzekł Charlie.

Śmieli się i chichotali przez całą drogę do Daytona Beach, gdzie zrobili postój, żeby się ochłodzić w oceanie. Idąc rozebrany przez plażę Charlie wstydził się swego brzuszka, białej skóry i kuszytkania, tym bardziej że ona była taka opalona i wyglądała tak smukło w niebieskim kostiumie kąpielowym. Miała zgrabną figurę, tylko trochę za szerokie biodra.

- Dobrze przynajmniej, że nie wyszedłem z tego z jedną nogą krótszą. Doktor mówi, że przy odpowiednich ćwiczeniach nie pozostanie żadnego śladu.

- Jasne, ani pan się obejrzy, jak pan będzie skakał. I pomyśleć, że w barze wzięłam pana w pierwszej chwili za podstarzałego lowelasa.

- Madame X., jest pani wspaniałą kobietą.

- Nie radziłabym panu dawać mi tego na piśmie, monsieur A. Noga bolała Charliego jak jasny gwint, kiedy wyszedł z wody, ale nie przeszkodziło mu to mieć wilczego apetytu po raz pierwszy od miesiący. Po obfitym obiedzie w restauracji rybnej ruszyli w dalszą drogę. Dziewczyna położyła mu małą główkę na ramieniu i zasnęła. Charlie czuł się bardzo szczęśliwy mknąc na południe prostą gładką asfaltową szosą, chociaż był już zmęczony. Kiedy wieczorem dotarli do Miami, kazała się zawieźć do małego hoteliku za torami kolejowymi i nie pozwoliła mu wejść ze sobą.

- Rany, ale chyba się zobaczymy?

- Oczywiście, może mnie pan zobaczyć co wieczór w Palmach. Będę tam występowała.

- Słowo daję, myślałem, że pani ma zacięcie artystyczne, ale nie sądziłem, że pani występuje.

- Wyświadczył mi pan wielką przysługę, monsieur A. Teraz mogę panu już powiedzieć. Byłam splukana do czysta, miałam dokładnie na ten sandwicz z szynką. Gdyby pan mnie tu nie przywiózł, straciłabym engagement. Opowiem panu o tym przy okazji.

- Niech pani mi lepiej powie, jak pani się nazywa, żebym mógł zatelefonować.

- Najpierw niech pan mi powie, jak pan się nazywa.

- Charles Anderson. Będę się śmiertelnie nudził w hotelu Miami Biltmore.

- Więc pan jest naprawdę monsieur A. Dobranoc monsieur A. Stokrotne dzięki. Z tym wbiegła do hotelu. Kiedy tydzień później zjawił się Nat Benton, był zaskoczony świetną formą Charliego.

- Nie ma to jak odmiana - powiedział Charlie ze śmiechem. Pojechali we dwóch dalej na południe, w kierunku wysepki koralowych*. Charlie miał w kieszeni fotografię reklamową Margo Dowling, przedstawiającą ją w kostiumie hiszpańskim, w którym występowała w Palmach. Bywał tam co wieczór, ale jak dotąd nie udało mu się jej namówić, żeby gdziekolwiek z nim poszła. Na każdą propozycję kręciła główką, marszczyła noski i mówiła: "Opowiem panu o tym przy okazji". Dopiero ostatniego wieczora podała mu numer telefonu, pod który może do niej zadzwonić.

Przez całą drogę Nat próbował nawiązać rozmowę o giełdzie i wielkiej reorganizacji Terna i Askewa-Merritta, na którą się puścił Merritt, ale Charlie uciszał go za każdym razem słowami: "Diabła tam, mówmy o czym innym". Obóz wędkarski był niczego sobie, tylko wściekle cięły moskity. Spędzili przyjemnie pierwszy dzień na rafie łowiąc barrakudy i graniki. Wzięli ze sobą na motorówkę gąsiorek Bacardi i siedzieli z wędkami, popijali, jedli sandwicze. Charlie opowiedział Natowi o swojej kraksie.

- To naprawdę nie była moja wina, tylko jeden z tych wypadków, których nie sposób przewidzieć. Ale mam takie uczucie, jakbym stracił ostatniego przyjaciela. Słowo honoru, oddałbym wszystko, żeby się nie stało to z Billem.

- W końcu to był tylko mechanik - skwitował jego słowa Nat. Wróciwszy pewnego dnia z wyprawy w morze, wstawieni, z rękami i spodniami przesiąkniętymi zapachem ryb, z twarzami czerwonymi od słońca i blasku, z głowami wirującymi od terkotu, spalin i krótkiego urywanego kołysania motorówki, zastali depeszę z biura Bentona.

KTOŚ WYPRZEDAJE TERNA STOP SPADEK CZTERY I PÓŁ PUNKTA STOP DEPEZOWAĆ INSTRUKCJE

- Instrukcje, dobre sobie - prychnął Nat wpychając swoje rzeczy do walizki. - Musimy wracać, zobaczymy na miejscu. Co byś powiedział, gdybyśmy wynajęli awionetkę w Miami.

- Wynajmuj, jak chcesz - odrzekł Charlie chłodno. - Ja jadę pociągiem.

W Nowym Jorku przesiadywał po całych dniach w gabinecie Nata Bentona, paląc zbyt wiele cygar, gapiąc się na aparat telegraficzny wystukujący najnowsze dane z giełdy, zzymając się i wściekając, albo rozjeżdżał się taksówkami po mieście zbierając zakulisowe informacje od rozmaitych wymoczkwatych informatorów Nata i Moego Franka. W rezultacie wyzbył się do końca tygodnia wszystkich akcji lotniczych, jakie tylko miał, tracąc na tym czterysta tysięcy dolarów. Ale przesiadując w biurze Nata i udając pochłoniętego interesami, naprawdę liczył przez cały czas minuty jak za sztubackich czasów, nie mogąc się doczekać, kiedy zamkną giełdę i będzie mógł z czystym sumieniem pojechać do knajpy na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie się spotykał z dziewczyną o włosach barwionych henną. Nazywała się Sally Hogan, a poznał ją wybrawszy się kiedyś z Natem do Dover Clubu. Prawdę mówiąc, była pierwszą dziewczyną, którą przygadał po przyjeździe do Nowego Jorku. Ani go ziębiła, ani grzała, ale przecież musiał mieć jakąś spódniczkę. Mieszkali razem w hotelu zameldowani jako państwo Smithowie.

Któregoś dnia, gdy jedli śniadanie w łóżku, rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał Charlie myśląc, że to kelner. Do pokoju wpakowały się dwa nędzne typki, a za nimi O'Higgins, adwokat spod ciemnej gwiazdy, z którym Charlie miał parę razy do czynienia w Detroit. Sally pisnęła i nakryła głowę poduszką.

- Sie masz, Charlie - powiedział O'Higgins. - Przykro mi, że się spotykamy w takich okolicznościach, ale rozumiesz, służba nie druźba. Nie będziesz chyba próbował zaprzeczać, że jesteś Charles Anderson? Uważałem, że przyjemniej ci to będzie usłyszeć ode mnie, niż dostać ni z tego, ni z owego pozwu. Bo trzeba ci wiedzieć, że twoja małżonka występuje o rozwód do sądu stanu Michigan. No, zabawa skończona, chłopcy. Nędzne typki wycofały się potulnie, w lansadach za drzwi.

- To najpodlejszy, najparszywszy numer, jaki...

- Nie wiesz, że szanowna małżonka kazała cię śledzić od momentu, gdy zwolniłeś jej szofera w Jacksonville?

Charliemu głowa pękała z bólu i miał taki obezwładniający katzenjammer, że nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Chciał wstać i rąbnąć tego sukinsyna O'Higginsa w szczękę, ale tylko leżał i patrzył.

- Nigdy mi nic takiego nie pisała. Przez cały czas dostaję od niej listy. Nigdy nie było między nami żadnych nieporozumień. O'Higgins pokręcił rudą kędzierzawą głową.

- Ot, przykrość - powiedział. -Może jeśli ci się uda z nią zobaczyć, dojdziecie do jakiegoś porozumienia. Ja w takich wypadkach zawsze radzę załatwić sprawę polubownie. No cóż, jest mi niewymownie przykro, chłopie, że postawiłem ciebie i twoją czarującą przyjaciółeczkę w fałszywej sytuacji. Chciałbym, żebyś nie miał do mnie żalu, stary druhu. Uważałem, że ci będzie różniej, jak się zjawię jawnie i otwarcie sam, jak zobaczysz, że tak powiem, przyjazną twarz. Jestem przekonany, że wszystko da się załatwić polubownie.

Stał chwilę zacierając ręce i kiwając głową, po czym ruszył na palcach do drzwi. Zatrzymał się z jedną ręką na klamce, a drugim wielkim łapskiem pomachał w stronę łóżka.

- Cześć, Sally. Zobaczmy się pewnie w biurze. Zamknął za sobą cicho drzwi. Sally wyskoczyła z łóżka jak oparzona i rzuciła się do drzwi z przerażoną twarzą. Mimo całego bólu głowy Charlie parsknął śmiechem.

- Nic się nie bój, mała - powiedział. - Jestem sam sobie winien, że się dałem wystrychnąć na dudka. Rozumiem, każdy musi żyć. Wracaj do łóżka.

KRONIKA LX

Czy winna była Celine? Młody Scotty traktował małżeństwo jak pyszny kawał, wyglup uchodzący w dobrym towarzystwie. Lecz kiedy Celine zaczęła się domagać pieniędzy i różnych zbytków, na które go nie było stać, czy dała się skłonić do jakichkolwiek ustępstw? Czy też zamknęła całkowicie serce na znaczenie świętego słowa: żona?

OSZUST POMINIĘTY PRZY PODZIALE AKCJI WYJAWIA PLANY MORDERSTWA

UCHYLENIE DECYZJI O LANYCH RURACH

*W malej hiszpańskiej mieścinie
Nocą taką jak ta*

na początku tygodnia przejaśnione horyzonty pobudziły ducha spekulacji. Sprzyjająca aura przyczyniła się zdecydowanie do usunięcia oznak pewnego niepokoju, które były ostatnio widoczne w niektórych branżach

*Znów jestem zakochany,
Gdy wiosny ciepłe dni-i
Nastają.
Znów jestem zakochany,
Mej duszy struny ci-i
Pieśń grają.*

SWĘDZENIE USTĄPIŁO W CIĄGU JEDNEJ NOCY

tysiące uszczęśliwionych, wzbogaconych kobiet, które zaczęły nagle zarabiać dwa, trzy razy tyle, ile wynosiły ich uprzednie pobory, a czasami nawet od razu

*Tak, to jest mo-oja pieszczotka,
To te-eraz mo-oja pieszczotka.!*

OFIARA MAŁPIEGO PROCESU KONFERUJE Z ADWOKATAMI*

Zeznawać ma tajemniczy pan Y.

wspaniała miniaturowa replika francuskiej rezydencji wiejskiej znad słonecznych brzegów Rodanu, śmiało odtworzona na grzbiecie Pasma Zachodzącego Słońca, górującym nad najpiękniejszym rejonem jezior w New Jersey, gdzie każde okno staje się ramą dla pejzażu oszałamiającej urody

*Usta me śpiewają:
Nie będę się pałętał jak jaki dzieciak,
Jak mały dzieciak w domu będę siedział*

SĄSIEDZI UZYSKUJĄ URZĘDOWY ZAKAZ NOCNYCH HAŁASÓW W ŁĄŻNI TURECKIEJ

CAŁA POLICJA MIEJSKA W POŚCIGU ZA BANDYTĄ

OTWARCIE GIELDY POD ZNAKIEM ZAŁAMANIA CONGOLEUM

szósty tydzień z rzędu krajowe przewozy towarowe zamykają się liczbą przekraczającą milion, dowodząc powszechnej koniunktury, która prowadzi do ustanawiania i obalania coraz to wyższych rekordów

*Żegnaj, wschodzie, i żegnaj, zachodzie,
I kraje wszystkie, co wabicie co dzień!
Witaj, Sewanee! Sewanee, witaj!*

MARGO DOWLING

Kiedy Margo wróciła do Nowego Jorku po wiośnie spędzonej w Miami, wszyscy wykrzykiwali na jej widok, jak pięknie wygląda, taka opalona przy swoich błękitnych oczach i włosach pojaśniałych od florydzkiego słońca. Uznała, że engagement było jak stworzone dla niej. Natomiast u Mandeville'ów zastała wszystko jak najgorzej. Frank leżał trzy miesiące w szpitalu, gdzie mu usunięto jedną nerkę, i wrócił do domu tak schorowany, że Agnes musiała rzucić pracę, by go pielęgnować. Oboje z Frankiem przeszli na scjentyzm* i nie chcieli więcej słyszeć o doktorach. Powtarzali bez przerwy, że trzeba mieć wzniosłe myśli i że Frankowi uratowała życie niejaka panna Jenkins, żarliwa scjentyistka, którą Agnes poznała w herbaciarni. Zaciągnęli pięćset dolarów długu na szpital i lekarzy, ale mówili tylko o Bogu. Całe szczęście, że nowy przyjaciel Margo, pan Anderson, był bardzo bogatym człowiekiem.

Pan A., jak go nazywała, proponował wielokrotnie, że jej wynajmie mieszkanie na Park Avenue, ale Margo z uporem odpowiadała, żeby sobie to wybił z głowy, nie sądzi chyba, że zostanie jego utrzymanką. Pozwalała mu jedynie grać trochę w swoim imieniu na giełdzie, kupować sobie toalety i biżuterię, zabierać się na weekendy do Atlantic City i Long Beach. Pan A. zaczynał karierę jako pilot, miał odznaczenia z wojny i wielkie udziały w przemyśle awiacyjnym. Tylko za dużo pił. Był postawnym rumianym mężczyzną, wyglądającym staro na swój wiek, gadał jak najęty i robił się niemożliwy, kiedy sobie podgazował, ale miał gest, lubił się śmiać i żartować, kiedy był w formie. Margo uważała go za morowego faceta.

- Zresztą, czy można się uskarżać, kiedy mężczyzna bierze za telefon i zarabiasz na tym okrągły tysiączek? - pytała, gdy chciała dokuczyć Agnes.

- Margo, kochanie, nie powinnaś tak mówić - odpowiadała Agnes. - Nie wolno być taką interesowną.

Agnes rozwodziła się teraz nieustannie o miłości, wzniosłych myślach, uczciwości i dobroci. Margo już wolała tyrady pana Andersona o szczęśliwych spekulacjach na giełdzie, aeroplanach, które zaprojektował, i o tym, jak zorganizuje sieć stałych połączeń lotniczych, przy których Kolej Pensylwańska* będzie przypominała podmiejską linię autobusową. Wieczór w wieczór przesiadywała z nim w knajpach między Pięćdziesiątą a Sześćdziesiątą Ulicą popijając whisky i wysłuchując monologów o takim czy innym interesie, wielkich transakcjach na Wall Street, planach dobrania się do gardła tej bandzie z Detroit, która go chce wyslizgać ze Standardowych Części Awiacyjnych, i o rozwodzie, który go tyle kosztuje. Któregoś wieczoru w klubie Pod Bocianem*, pokazując jej fotografie swoich dzieciaków, rozkleił się zupełnie i zaczął chlipać. Sąd właśnie przyznał opiekę nad dziećmi jego żonie. Faktycznie miał swoje kłopoty. W dodatku przyczepiła się do niego ruda dziwka, z którą nakryli go kiedyś w hotelu detektywi jego żony i która go teraz szantażowała, że mu wytoczy sprawę o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa i poda całą historię do prasy klearstowskiej*.

- Jakie to wstrętne - mówiła Agnes, gdy Margo jej o tym opowiadała nad filiżanką południowej kawy. - Gdyby tylko miał wznioślejsze myśli. Powinnaś z nim porozmawiać, spróbować go nawrócić. Jakby przejrzał, jestem pewna, że wszystko by się obróciło na dobre. Taki utalentowany człowiek powinien być pełen wzniosłych myśli.

- Na razie jest wiecznie pełen Kanadyjskiej Klubowej, w tym sęk. Powinnaś kiedyś zobaczyć, ile się muszę namordować, żeby go odstawić wieczorem do domu.

- Jesteś jedyną przyjazną duszą, jaka mu została - odpowiadała Agnes wznosząc oczy ku niebu. - To bardzo szlachetnie z twojej strony, że go nie opuszczasz.

Margo spłacała wszystkie długi domowe i na wszelki wypadek otworzyła sobie rachunek w Kasie Oszczędnościowej na Bowery. Uważała, że zaczyna się również wyznawać trochę na giełdzie. Mimo to czuła się parszywie nie pracując i nosem jej wyłaziło siedzenie po całych letnich dniach w domu i słuchanie, jak Agnes namaszczone głosem czyta Frankowi "Naukę chrześcijańską a zdrowie", tak że w końcu zaczęła obchodzić magazyny mód próbując się gdzieś zahaczyć jako modelka.

- Chcę się dowiedzieć czegoś o strojach - tłumaczyła na indagacje Agnes. - Moje wszystkie suknie wyglądają jak uszyte ze starych worków po mące.

- Nie sądzisz, że pan Anderson może mieć coś przeciwko temu? - spytała Agnes.

- Jak mu się nie spodoba, to niech się każe wypchać - odparła Margo podrzucając głowę.

Ostatecznie na jesieni przyjęto ją do świeżo otwartego magazynu z sukniami Francuza Piquota na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Wprawdzie praca była męcząca, ale wieczory Margo miała wolne. Jak wyznała Agnes, nie mogła spuścić pana A. z oka ani na jeden wieczór, bo jak amen w pacierzu wpadłby w szpony jakiejś lafiryndy. Agnes była zachwycona, że Margo zerwała z rewią.

- Zawsze uważałam, że to nie jest praca dla ciebie, a teraz widzę, że możesz wywrzeć zbawienny wpływ na pana Andersona - oświadczyła.

Ilekróć Margo im powiedziała, że pan Anderson się puścił na nową spekulację giełdową, Agnes i Frank wyczęli myśli, żeby mu pomóc. Jules Piquot był podstarzałym Francuzem o puciołowatej twarzy, chodził śmiesznie jak kaczka i wyobrażał sobie, że wszystkie dziewczęta za nim szaleją. Do Margo zapałał wielką sympatią albo może po prostu skądś się dowiedział, że jej protektor, jak go nazywał, jest milionerem. Mówił, że Margo powinna za wszelką cenę pielęgnować tę piękną złotą opaleniznę, i kazał jej się czesać gładko, a nie w fioki, jakie nosiła od czasu, gdy została girlsą.

- Po co robić ładni sukni dla Amerykanki, kiedy oni wyglądają taki zdrowy jak dójki do krowy? Szeby zrobić sukni interesujący, czeba mieć tutaj - mówił pukając się pulchną upierścienioną dłonią w gors jedwabnej plisowanej koszuli. - Czeba mieć drama. A wy w Ameryki myśli tylko o doskonali biust.

- Uważa nas pan zdaje się za bardzo niekulturalnych? - spytała Margo.

- Szeby ja miał trocha więcej kapitał - wzdychał Piquot i kręcąc głową wracał do swego kantorku na antresoli, który był cały mleczny i srebrny od szkła i aluminium. - Ja by zrobił Nowy Jork najwięcej elegancki miasto w świata.

Margo lubiła promenować po beżowych dywanach demonstrując paryskie modele i powłóczyste kreacje własne pana Piquota. Było to o niebo lepsze niż kręcenie tyłkiem w długim szeregu girlasek. Do magazynu nie musiała się zrywać skoro świt, salon sprzedaży był ciepły i jaśniał niepokalaną czystością, wisiała w nim leciutka gorzkawa woń nowych materiałów, barwników i kulek naftalinowych, niekiedy podszyta dymkiem perfumowanego egipskiego papierosa. Modelki miały mały pokójek na zapleczu, gdzie mogły siedzieć, czytać pisma i rajcować o salonach kosmetycznych, teatrach i rozgrywkach piłkarskich, gdy nie było klientek. Oprócz niej regularnie przychodziły jeszcze tylko dwie modelki, bo klientek nie było za wiele. Dziewczęta mówiły, że Piquot robi plajtę.

Kiedy po Bożym Narodzeniu ogłosił wyprzedaż, Margo kazała Agnes się zjawić w poniedziałek rano i kupić jej trzy oszalamiające toalety po trzydzieści dolarów każda. Uprzedziła ją, które ma wybrać, a później udawała, że jej nie zna, paradując przed nią w nowiutkich modelach wiosennych.

Nie było już wątpliwości, że Piquot plajtuje. Wierzyście z rachunkami szturmowali kantorek na antresoli, pracownikom należały się trzy kolejne tygodniówki, puciołowata twarz Piquota wydłużyła się tysiącem drobnych zmarszczek. Margo uznała, że najwyższy czas rozejrzeć się za inną pracą, tym bardziej że miała coraz większe kłopoty z nasilającym się pijaństwem pana A. Zawsze rano przeglądała teraz notowania giełdowe. Utraciła trochę początkową wiarę w jego rady po tym, jak kupiła akcje Sinclaira, wpłaciła wadium maklerowi i w rezultacie dołożyła do interesu trzysta dolarów.

Którejś soboty u Piquota zrobiło się wielkie poruszenie. Piquot zlatywał co chwila ze swego kantorku wymachując krótkimi rączkami, to zrzędny, to rechoczący i pohukujący, pędząc panny sklepowe i modelki we wszystkie strony jak nowy kogut w kurniku. Miał przyjść ktoś z "Vogue'u" i robić zdjęcia. Fotograf, który się w końcu zjawił, był młodym Żydkiem o zapadłych policzkach, ziemistej cerze i ciemnych sińcach pod oczami. Przydźwigał wielki stojący aparat z atelier i mnóstwo fleszów całych srebrnomaszczonech w środku, które Piquot z przesadną ostrożnością ujmował w palce i oglądał wykrzykując:

- Cudowni wynalazek. Nigdy by nie dałem robić fotografii z mahnezja, bo się boim eksplozjów i pożarów.

Był ciepły dzień lutowy i w magazynie ogrzewanym parą panował duszny upał. Młody fotograf ociekał potem, ilekróć się wynurzył spod czarnej płachty aparatu. Piquot nie odstępował go na krok. Kazał się fotografować w kantorku, przy rajzbrecie, na którym projektował, w otoczeniu modelek. Dziewczęta myślały, że nigdy nie przyjdzie ich kolej, fotograf się opędał.

- Pan mnie da spokój, panie Piquot - mówił. - Ja chcę zaaranżować coś artystycznego.

Wreszcie dziewczęta zaczęły się głośno chichotać i Piquot sobie poszedł, zamknął się nadąsany w kantorku. Widziały przez szklane przepierzenie, jak siedzi przy biurku z głową ukrytą w dłoniach. Po jego wyjściu wszystko się uspokoiło. Margo wyśmienie się rozumiała z fotografem. Szepnęła jej kilkakrotnie do

ucha, żeby się starała nie dopuścić starego kokieta z powrotem przed obiektyw, a odchodząc do pracowni na poddaszu, gdzie szyto suknie, wręczył jej swój bilet i poprosił, żeby wpadła któreś niedzieli do jego atelier, to jej zrobi serię zdjęć. Dla niego to będzie wielka rzecz, a jej nie będzie nic kosztowało. Na pewno uda mu się zaaranżować coś wysoce artystycznego. Wzięła bilet i obiecała przyjść następnego dnia po południu. Na bilecie było wydrukowane: "Margolies, Artysta Fotograf". Tej niedzieli pan A. zabrał ją na lunch do Hotelu Pensylwania, a potem zdołała go namówić, żeby ją zawiózł do atelier Margolies. Domyślała się, że młodemu Żydowi za dobrze się nie powodzi, więc uznała, że pan A. mógłby sfinansować tę serię zdjęć. Pan A. się krzywił, że musi z nią jechać do fotografa, bo ściągnął swój wielki automobil chcąc ją zabrać na przejażdżkę w górę Hudsonu, w końcu jednak się zgodził. Atelier Margolies miało zabawne urządzenie. Wielkie zakurzone poddasze z brudnym świetlikiem u góry pełne było czarnych aksamitnych draperii i różnej wielkości parawanów, czarnych, białych, żółtych, zielonych, srebrnych. Młody Żydek też się jakoś dziwnie zachowywał, zupełnie jakby ich się nie spodziewał.

- To już melodia przeszłości - oświadczył. - To atelier to własność mojego brata Lee, ja tylko obsługuję jego klientelę, kiedy on jest za granicą. Ja się interesuję prawdziwą sztuką przyszłości.

- Cóż to takiego? - fuknął pan A., który obciawszy koniuszek cygara rozglądał się, gdzie by usiąść.

- Kinematograf. Państwo jeszcze o mnie usłyszycie, jak się nazywam Sam Margolies. Jeśli państwo już nie słyszało. Pan A. usiadł naburmuszony na zakurzonej taborecie do pozowania.

- Na razie niech pan się pośpieszy. Wybieramy się na przejażdżkę. Sam Margolies zdawał się niezadowolony, że Margo przyszła w zwykłym stroju. Oglądał ją długo zasępionymi szarymi oczami.

- Nie wiem, czy mi się uda zaaranżować coś artystycznego. Ja nie umiem tworzyć, jak mnie się popędza. Ja panią widziałem w majestatycznej hiszpańskiej czerni. Margo się roześmiała.

- To nie bardzo w moim stylu.

- W stylu małej infantki Velasqueza. Jego obcy akcent uwydatniał się, gdy mówił serio.

- Miałam kiedyś męża Hiszpana i muszę powiedzieć, że mi wystarczy do końca życia hiszpańskich grandów i podobnych przyjemności.

- Chwileczkę, chwileczkę - powtarzał Sam Margolies obchodząc ją dokoła. - Już wiem. Najpierw w tej sukience, a potem... - Wybiegł z atelier i wrócił z czarnym koronkowym szalem. - Infantka na dworze hiszpańskim.

- Nie ma pan pojęcia, co to być żoną Hiszpana i mieszkać w domu pełnym szlachetnie urodzonych iberyjskich pociotków. Gdy Sam Margolies zaczął ją ustawiać w rozmaitych pozach, pan A. się zerwał i ją spacerować, nerwowo ściskając cygaro. Na dworze widać się zachmurzyło, bo świetlik nad głową był coraz czarniejszy. Potem zrobił się nagle niebieski jak na scenie, gdy Sam Margolies włączył reflektory. Kiedy przyszła kolej na hiszpański szal, kazał się Margo rozebrać, zdjąć nawet majtki, tak że została bez niczego, okryta tylko tym szalem od góry. Widziała, jak pan A. pożera ją wzrokiem, aż mu zgasło cygaro i tylko oczy świeciły w blasku reflektorów. Gdy Margolies skończył fotografowanie, pan A. schodząc z nią po chropowatych drewnianych schodach powiedział:

- Nie podoba mi się ten typ. Ma w sobie coś z alfonsa.

- Co ty, to artystyczna dusza - zaprotestowała Margo. - Ile wziął za zdjęcia?

- Kupę - odparł pan A. W nie oświetlonym korytarzu, pachnącym gotowaną gdzieś kapustą, przyciągnął ją i pocałował. Przez oszklone drzwi wejściowe Margo widziała w świetle latarni płatki śniegu wirujące na pustej ulicy.

- A, diabli z nim - powiedział pan A. rozpościerając palce na jej krzyżu. - Jesteś wspaniałą dziewczyną, wiesz? Rany, podoba mi się ten dom. Przypomina mi dawne czasy. Margo pokręciła głową, zamrugła.

- Nici z naszej przejażdżki - zauważyła. - Śnieg pada.

- Do diabła z przejażdżką - odrzekł pan A. - Spróbujmy spędzić ten wieczór tak, jakbyśmy byli zakochaną parą. Najpierw wstąpimy do Ruczaju coś przetrącić. Rany Jezusa, żałuję, że cię nie poznałem, zanim doszedłem do tej całej forszy, kiedy się jeszcze objąłem po różnych zapluskwionych norach. Położyła mu na chwilę głowę na piersi.

- Charlie, ty jeden się liczysz - szepnęła.

Wieczorem wymógł na niej obietnicę, że jak tylko Agnes wywiezie Franka do swojej siostry w New Jersey, bo nosiła się z takim zamiarem w nadziei, że świeże wiejskie powietrze dobrze mu zrobi, Margo się do niego przeprowadzi.

- Gdybyś wiedziała, jak mi już obrzydło to awanturnicze kawalerskie życie - wyznał. Spojrzała mu prosto w zamglone niebieskie oczy.

- Myślisz, że mnie ono się podoba, panie A.?

Tego wieczora była pełna tkliwych uczuć dla Charliego Andersona. Od niedzielnej sesji fotograficznej Sam Margolies wydzwaniał niemal codziennie do Piquota i do domu i przysyłał Margo jej fotografie, już oprawione, gotowe do zawieszenia, lecz ona nie chciała się z nim umówić. Miała dosyć na głowie, teraz gdy została sama, bo Agnes rzeczywiście wywiozła Franka na wieś z pomocą pewnej scjentyistki, po długotrwałych lekturach "Nauki chrześcijańskiej a zdrowia". Musiała myśleć o płaceniu rachunków i długów i

o codziennych listach Toniego, który jakoś zdobył jej adres i pisał, że jest chory, zebrał o pieniądze i o pozwolenie na przyjazd i zobaczenie się z nią.

Potem pewnego poniedziałku, gdy przyszła późno do Piquota, zastała sklep zamknięty, a przed drzwiami skłębioną gromadę histeryzujących dziewcząt. Biednego Piquota znaleziono nieżywego w wannie, otrutego cyjankiem potasu. Z zaległymi tygodniówkami mogły się oczywiście pożegnać.

Dreszcz ją przechodził na myśl o martwym Piquocie w wannie, tak że nie miała odwagi wrócić do domu. Poszła spacerkiem do Altmana* porobić trochę sprawunków, a w południe zadzwoniła do pana A. powiedzieć mu o Piquocie i zapytać, czyby z nią nie zjadł lunchu. Teraz gdy Piquot nie żyje i została bez pracy, nie ma innego wyjścia, jak naciągnąć pana A. na jakąś okrągłą sumkę. Dwa kawałki by ją urządziły, starczyłoby nawet na wykupienie z lombardu pierścionka z soliterem, który dostała od Tada. Może jak go weźmie umiejętnie pod włos, pan A. jej podsunie jakąś szczęśliwą spekulację na giełdzie. Kiedy jednak zadzwoniła, poinformowano ją, że pan Anderson będzie w biurze dopiero o trzeciej. Wobec tego weszła do Schraffta* i zjadła na lunch paszteciki z kurczędkiem, w tłumie chichoczących kobiet, które przyjechały do miasta na zakupy.

Miała już przedtem umówioną randkę z panem A. we francuskiej knajpie na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, dokąd często chodzili na kolację. Gdy wróciła od fryzjera ze świeżo umytą i zaondulowaną głową, było ciągle za wcześnie na szykowanie się, ale nie miała nic do roboty, a puste mieszkanie przygnębiało ją swoją ciszą i samotnością, tak że zaczęła się mimo wszystko bawić kieckami. Potem długo manikiurowała paznokcie i wreszcie zabrała się do przymierzania po kolei wszystkich sukien. Wkrótce całe łóżko było zasłane pogniecionymi kieckami, bo każda miała gdzieś plamę. Bliska płaczu wsunęła ostatecznie futro na cytrynową suknię wieczorową od Piquota, która też nie była pierwszej świeżości, i zjechała obskurną windą do smrodliwego hallu. Windziarz sprowadził jej taksówkę.

W westybulu staroświeckiej rezydencji rodzinnej przerobionej na restaurację były białe kolumny i ciepłe dostatnie różowawe światło osłoniętych lamp. Wszedłszy na miękki dywan poczuła się raźniej niż przez cały dzień. Maitre d'hôtel zaprowadził ją w lansadach do stolika, po czym siedziała sącąc cocktail staromodny, czując na sobie spojrzenia mężczyzn i zaśmiewając się w duchu na myśl, co by powiedziały koleżanki od Piquota o dziewczynie, która się zjawia na randkę z mężczyzną przed umówioną godziną. Marzyła o szybkim zjawieniu się pana A., żeby mu wszystko opowiedzieć i pozbyć się raz na zawsze natrętnego obrazu biednego starego Piquota, który otruty cyjankiem pływa w wannie. Miała całą relację na czubku języka. Zamiast pana A. wyrósł przy jej stoliku młodzieniec o długich rudoblonde włosach, końskiej szczęce i bezczelnej minie. Wyprostowała się na krześle, żeby go osadzić spojrzeniem, lecz w rezultacie musiała mu posłać uśmiech, gdy się poufnie nachylił i spytał brooklyńskim akcentem:

- Przepraszam, czy panna Dowling? Jestem sekretarzem pana Andersona. Musiał nagle polecieć do Detroit w ważnych interesach. Wiedział, jak bardzo pani pragnie być na premierze "Pozytywki"*, więc kazał mi załatwić bilety. Proszę bardzo. Znokautowałem niemal jednego faceta, żeby je zdobyć. Szef mówił, że może będzie pani chciała zabrać ze sobą panią Mandeville.

Mówił szybko, jakby w obawie, że mu przerwie. Na koniec zrobił głęboki wdech, uśmiechnął się do niej. Margo wzięła dwa zielone bilety, puknęła nimi z irytacją o obrus.

-Co za pech, pani Mandeville jest na wsi. Już tak późno, nie mam pojęcia, kogo wziąć.

- Rzeczywiście przykra sprawa. Nie sądzę, żebym ja mógł zastąpić szefa'?

- Bezczelność -zaczęła Margo i nagle mimo woli się roześmiała. ---Jest pan nieodpowiednio ubrany.

- O to niech panią głowa nie boli. Proszę spokojnie zjeść kolację, wrócę w smoku jak się patrzy, zabiorę panią do teatru. Punkt o ósmej był z powrotem, z przylizanymi włosami i w przyrudziałym smokingu o przykrótkich rękawach. W taksówce Margo go spytała, czy musiał z kolei znokautować jakiegoś kelnera, a on położył dłoń na wargach i szepnął:

-- Cicho sza, proszę pani. To najlepszy smok, jaki był w wypożyczalni.

Między aktami pokazywał jej wszystkie sławy obecne na premierze, zaliczając do nich samego siebie. Powiedział, że się nazywa Clifton Wegman, ale wszyscy mówią mu Cliff, że ma dwadzieścia trzy lata, gra niezłe na mandolinie i jak szatan w bilard. -- Widzę, Cliff, że jesteś obiecującym młodzieńcem - odrzekła Margo.

- Co obiecującym'? Że się wybiję?

- Wyjąłeś mi to z ust.

- Rzutki absolwent Nowojorskiej Szkoły Handlowej oczekuje propozycji.

Bawili się ze sobą szampańsko. Po przedstawieniu Cliff oznajmił, że umiera z głodu, nie jadł kolacji, bo najpierw uganiał się za biletami, później za tym smokiem, więc Margo zabrała go do Dover Clubu, żeby coś przegryzł. Faktycznie miał apetyt, przyjemnie było patrzeć, jak wsuwa befszytk z pieczarkami. Wypili kilka głębszych i zaśmiewali się, gdy na parkiecie rozpoczęto występy. W taksówce Cliff trochę za wiele sobie pozwalał, więc go trzepnęła po buzi, ale nie za mocno. Temu szczeniakowi wszystko uchodziło na sucho.

Gdy się zatrzymali przed jej bramą, zapytał, czy może wejść na górę, a ona ani się spostrzegła, jak powiedziała, dobrze, jeśli obieca się zachowywać jak džentelmen. Odrzekł, że to nie będzie łatwe przy takiej

dziewczynie jak ona, ale się postara. Pod jej drzwiami tak się chichotali i przepychali, że upuściła klucz. Schylili się po niego oboje. Wstając, rozpalona po całusie, którego jej ukradł, spostrzegła, że na schodach tuż koło windy siedzi skulony mężczyzna. Poznała Toniego.

- No, to dobranoc, Cliff - powiedziała wesoło. - Dzięki za odprowadzenie do domu zagubionej małej dziewczynki. Toni się podniósł i zatoczył w stronę otwartych drzwi mieszkania. Na twarzy miał zielonkawą bladłość, ubranie wyglądało na nim, jakby przespał noc w rynsztoku.

- To Toni - przedstawiła Margo. - Mój... k-kuzyn. Coś wygląda, że jest w nienajlepszej formie.

Cliff powiódł wzrokiem od niej do Toniego, zagwizdał cicho i zbiegł po schodach.

- Teraz może mi powiesz, po coś tu przylazł. Mam ochotę kazać cię aresztować za włóczęgostwo. Toni ledwo mógł mówić. Wargę miał rozkrwawioną i całą spuchniętą.

- Nie miałem gdzie iść - powiedział. - Pobili mnie. Chwiał się tak, że musiała go chwycić za rękaw brudnego płaszcza, żeby nie upadł.

- Och, Toni, wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Właz, ale jeśli mi wytniesz taki kawał jak ostatnim razem, to jak Boga kocham, połamię ci wszystkie kości.

Położyła go do łóżka. Rano był taki roztrzęsiony, że musiała wezwać lekarza. Ten orzekł, że Toni jest chory od narkotyków i z wycieńczenia, i zalecił sanatorium. Toni leżał w łóżku bladej i drżący. Płakał dużo, ale był potulny jak baranek i zaklinał się, że będzie słuchał wszystkich zaleceń konowała. Raz złapał ją za rękę i pocałował błagając, żeby mu wybaczyła to okradzenie jej ze wszystkich pieniędzy, bo inaczej nie będzie mógł umrzeć spokojnie.

- Ty nie umrzesz, Toni - odparła Margo odgarniając mu wolną ręką sztywne czarne włosy z czoła. - To by było za wiele szczęścia.

Wyszła spacerować się trochę po Riverside Drive, żeby coś postanowić. Od uporczywego słodkomdłącego zapachu paraldehydu, który konował zapisał Toniemu na uspokojenie, była bliska torsji. Po weekendzie, wróciwszy z Detroit, pan A. umówił się z nią na obiad w lokalu na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Zjawił się wymizerowany i przybity. Nie przyjął zbyt dobrze smutnej historyjki, z którą wystąpiła. Odrzekł, że sam nie ma gotówki, jego żona położyła na wszystkich łapę, a on w dodatku poniósł dotkliwe straty na giełdzie; wytrząśnie dla niej pięćset dolarów, oznacza to jednak konieczność zastawienia jakichś walorów. Powiedziała, że wobec tego będzie chyba musiała odnowić engagement Pod Palmami, na co odparł, że byczo, niech się tylko ma na bacności, bo gotów za nią pojechać do Miami i przejść na jej wyłączne utrzymanie.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy sobie wyobrażają, że jestem parszywym milionerem. A ja myślę tylko o tym, jakby wyjść z tego całego interesu z jakim takim kapitalikiem, gdzieś się zakopać i majstrować przy motorach. Gdyby nie ten cholerny rozwód, dawno bym się wycofał. Ale nic, może coś zarobię przez zimę, wtedy się wycofam. W końcu jestem tylko prostym mechanikiem.

- Ty chcesz się z tego wykręcić, a ja chcę się wkręcić - powiedziała Margo patrząc mu prosto w oczy i oboje się roześmieli.

- Wiesz co, nie ma twojej rodzinki, więc pojedźmy do ciebie. Mam dosyć tych cholernych knajp. Pokręciła głową, jeszcze się śmiejąc.

- Nie możemy. W domu się roi od hiszpańskich pociotków. Wstąpili po rzeczy do jego hotelu i pojechali taksówką do hotelu w Brooklynie, gdzie ich od dawna znano jako państwa Dowling. Po drodze w taksówce zdołała wydebić podwojenie obiecannej sumy do tysiąca.

Następnego dnia wywiozła Toniego do sanatorium w Catskillach. Jak grzeczny chłopiec robił wszystko, co kazała, rozprawiał o honorze i zachowaniu godnym mężczyzny i obiecywał, że jak tylko się wyleczy, poszuka sobie pracy.

Wróciwszy do miasta zadzwoniła do biura pana A. i dowiedziała się, że poleciał znowu do Detroit, ale zostawił sekretarzowi polecenie kupienia jej biletu, zarezerwowania przedziału i w ogóle zorganizowania całej podróży do Miami. Zamknęła mieszkanie, a biuro wzięło na siebie pakowanie, oddanie mebli do przechowania, wszystko. Kiedy przyjechała na dworzec, czekał na nią Cliff ze swoim szelmowskim uśmiechem, w kapeluszu zsuniętym na tył długiej wąskiej głowy.

- Aa, to bardzo ładnie z jego strony - powiedziała Margo przypinając do futra bukiet konwalii, który Cliff jej wręczył. Dwaj numerowi rzucili się do jej walizek.

- Ładnie z czyjej strony? - szepnął Cliff. - Szefa czy mojej? W przedziale były róże, Cliff przyniósł plik czasopism, "Teatr", "Variete" Tygodnik Zita", "Tematy Dnia", "Krainę Uludy".*

- Ojej, cudownie! - wykrzyknęła Margo. Cliff mrugnął.

- Szef kazał cię wyekspediować w wielkim stylu. - Wyciągnął z kieszeni paltota flaszkę. - Likier górski Teachera*. No, to do zobaczenia.

Sklonił się lekko i zniknął w głębi korytarza. Margo rozlokowała się w przedziale, niemal zawiedziona, że Cliff tak szybko sobie poszedł. Mógł się chociaż przywoicie pożegnać. Swoją drogą, bezczelny szczeniak. Ledwo pociąg ruszył, w drzwiach wyrósł z powrotem Cliff, z rękami w kieszeniach spodni. Minę miał niepewną, żuł gumę jak najęty.

- A to co znowu? - spytała Margo marszcząc brwi.

- Zafundowałem sobie bilet do Richmondu. Za mało się ruszam. Chwila wytchnienia od biurowej harówki.
- Wylecisz z pracy.
- Nie wylecę. Jest sobota, wrócę świeżutki w poniedziałek rano.
- Szef się dowie.

Cliff zdjął paltot, złożył go starannie, wsunął na górną półkę. Potem usiadł naprzeciwko niej i zamknął drzwi przedziału.

- Nie dowie się, jeśli ty mu nie powiesz. Margo uniosła się na kanapce.
- Bezczelny szczeniak!
- A ty mu nie powiesz - ciągnął Cliff tym samym tonem - i ja mu nie powiem o...
- Ty idioto! To był mój eks-mąż.

- Świetnie. A ja się nie mogę doczekać, żeby być kiedyś twoim eks-przyjacielem. Ale serio, Margo, na pewno mnie polubisz, wszystkie dziewczyny mnie lubią. - Pochylił się, ujął ją za rękę. Dłoń miał lodowatą. - Przecież nic się nie zmieniło od tamtego wieczoru. Nikt się nie dowie, zostaw to mnie. Margo zaczęła się chichotać.

- Wiesz co, Cliff, powinieneś nosić napis.
- Jaki napis?
- Ostrożnie, świeżo malowane.

Wstała i usiadła koło niego. Przez dudniące kołysanie pociągu czuła, jak cały drży.

- Zabawny dzieciak z ciebie - powiedziała. - Przez cały czas miałeś duszę na ramieniu.

KRONIKA LXI

*Wysoko, wysoko,
przyglądam się z góry,
Jak się po błękitach przemykają chmury*

geniusz, wytężona praca, wielkie nakłady oraz wola i determinacja osiągnięcia czegoś niezwykłego, czegoś piękniejszego i bardziej dostosowanego do wyrobionego gustu i smaku wyższych sfer niż elementy, które się złożyły na dzisiejsze Coral Gables*, tak by się one jutro stały większe, ładniejsze, nieodparcie atrakcyjne

Wysoko, wysoko, przyglądam się z góry

OLBRZYM POWIETRZNY ROZPADŁ SIĘ W LOCIE NA DWOJE

młodzi i starzy będą się tu pluskali w chłodnej orzeźwiającej wodzie morskiej albo zabawiali beztruskimi ploteczkami w loggiach wychodzących na roziskrzony basen, a wieczorami dźwięki muzyki będą ich kusily do spędzenia paru godzin na tańcach

Wyciągniętą dłonią niemal sięgam nieba

Kto zainwestuje wcześniej, skorzysta najbardziej w wielkiej i szybkiej zwwyżce wartości, jaka niechybnie nastąpi w wyniku tak rzucających się w oczy ulepszeń

*Cóż to za facet z gębą złota pełną?
I skąd przybywa? Z Południa na pewno.*

TERENY POD MIASTO JUPITER
SPRZEDANE ZA DZIESIĘĆ MILIONÓW DOLARÓW

jak Aladyn swoją czarodziejską lampą, Finansista, Akcjonariusz i Budowniczy przemienili niedawne bagniste bezludzie we wspaniałe miasto, połączone siecią błyszczących bulwarów

*Śpieszku, śpieszku,
Przetrzyj oczy,
Świt po troszku
Światłem broczy.
Dość ziewania,
Czas pogania*

AKRY ZŁOTA KOŁO TAMPY

barwne wody dolnego Atlantyku roztaczają tęczę nieprzemijającego czaru, jak cudowny szal z szafiru i

jadeitu, utkany miriadami różnokolorowych klejnotów, Miejsce, w którym wasza przyszła radość, przyjemność i szczęście są tak niewątpliwe, że ominąć je znaczyłoby odepchnąć najwspanialszą okazję w życiu

MAŻ WYSKAKUJE OKNEM W ŚLAD ZA ŻONĄ

WALKA Z MORDERCAMI OWŁADNIĘTYMI SZALEM NARKOTYCZNYM

*Lulu, Lulu zawsze chce,
Gdy jej chłopcy mówią: nie*

Pochód poprzedzał oddział policjantów na motocyklach, torujący drogę kolumnom przyodzianym w biel. Górował nad nimi jadący za policją wielki mistrz A.P. Schneider. Za nim kroczyła orkiestra pana Sparrowa oraz członkowie Związku Malarzy. Następnie szli operatorzy filmowi, a za nimi kolejno cygarnicy, szklarze, muzycy, malarze szyldów i członkowie Bractwa Kolejarzy. Zamykali pierwszą sekcję rozbieracze mięsa

Drugą sekcję tworzyło przeszło trzy i pół tysiąca cieśli. Trzecia, którą otwierała orkiestra clownów, składała się z elektryków, kowali, sztukatorów, drukarzy, dziennikarzy, monterów wind, pocztowców, instalatorów wodociągów i kanalizacji oraz instalatorów centralnego ogrzewania.

Czwartą sekcję stanowili zbrojarze, murarze, Bractwo Maszynistów Kolejowych, monterzy i operatorzy maszyn parowych, Związek Poligrafów, tokarze, dekarze, blacharze, krawcy i szwaczki

*Odczep się dziś od Lulu,
Dziś ja z nią idę lulu*

CHARLIE ANDERSON

- Zobaczysz, Cliff. rozłożymy wszystkich na obie łopatki - powiedział Charlie do swego sekretarza wychodząc z zatłoczonej windy do gwarnego hallu Gmachu Woolwortha*.

- Tak jest - przytaknął Cliff kiwając porozumiewawczo głową w brązowym pilśniowym kapeluszu. Miał długą twarz o przezroczystej pergaminowej skórze, napiętej na wystających kościach policzkowych, o cienkim nosie i wąskiej szczęce. Nigdy nie otwierał szerzej ust prawie pozbawionych warg. Powtórzył kącikiem ust: - Tak jest, szefie. Na obie łopatki.

Wyszli przez drzwi obrotowe w tłum płynący jak zwykle po piątej całą szerokością chodników dolnego Broadwayu i zanurzyli się w przenikliwą mżawkę lutowego zmierzchu. Charlie wyciągnął z kieszeni angielskiego waterproofu* plik grubych kopert i wręczył je Cliffowi.

Odnieś je do biura, tylko uważaj, żeby trafiły do osobistego szafy Nata Bentona. Niech je odeślą rano do banku. Jak to załatwisz, jesteś wolny. Bądź jutro o dziewiątej, rozumiesz? Dziś się trochę spóźniłeś. Ja do tego czasu nie będę myślał o niczym.

- Tak jest. Życzę panu spokojnej nocy - powiedział Cliff i zniknął w tłumie.

Charlie zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i osunął się na siedzenie. Przy takiej pogodzie noga ciągle mu dokuczała. Stłumił westchnienie. Który to, u licha, numer?

- Park Avenue do Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy! - zawołał szofera. Nie przypomni sobie numeru tej cholernej spelunki. Powiem gdzie się zatrzymać. - Usadowił się wygodniej na siedzeniu. - Rany boskie, ale jestem zmęczony - szepnął do siebie.

Oparty o poduszki, za każdym szarpnięciem hamującej i ruszając taksówki czuł, jak mu się wpija pasek od spodni. Rozluźnił go o dziurkę i zaraz mu ulżyło. Wyciągnął cygaro z kieszeni marynarki, odgryzł koniuszek. Trwało jakiś czas, nim je zapalił, bo za każdym razem, gdy przytykał zapałkę, taksówka nagle ruszała albo stawała. Zapaliwszy stwierdził, że mu wcale nie smakuje.

- Cholera, za dużo dziś paliłem - wymamrotał na głos. - Dobrze mi robi kieliszeczek czegoś.

Taksówka sunęła zrywami w górę Manhattanu. Od czasu do czasu dostrzegał kącikiem oka szare sylwetki mężczyzn w innych taksówkach lub prywatnych autach. Ledwo rozróżnił jedną grupę postaci, jej miejsce zajmowała inna. Na Lafayette Street pojazdy ruszyły płynniej. Potok metalu, szkła, obić, paltotów, konfekcji, ciał i kości ludzkich płynął w jednym kierunku.auta stawały, ruszały, zmieniały biegi równocześnie, jakby sterowane jednym mechanizmem. Charlie, rozparty na siedzeniu, czuł na brzuchu warstwę tłuszczu pod spodniami, tłuste fałdy podbródka pod sztywnym kołnierzykiem. Czemu, u jasnej cholery, nie może nigdy zapamiętać tego numeru? Jest tam przecież co wieczór od miesiąca. W lewej powiece pulsowała mu jakaś żyłka.

- Bonjour, monsieur - powitał go przy wejściu odźwierny bez liberii.

- Jak pan się ma, mon capitaine? - zapytał Freddie, właściciel o szcurzych zębach, kiwając przybliżoną czarną głową. - Czy monsieur będzie dziś jadł z mademoiselle?

Charlie pokręcił głową.

- Jestem umówiony z jednym facetem o siódmej.

- Bien, monsieur.

- Podaj mi tymczasem szkocką z wodą sodową. Tylko nie tę harc, którą mnie próbowałeś wczoraj raczyć. Freddie mdło się uśmiechnął.

- To było niedopatrzenie, proszę pana. Mamy prawdziwą szkocką. Niech pan sam zobaczy, w firmowych butelkach, opakowanie jeszcze wilgotne od wody morskiej.

Charlie chrząknął, opadł na fotel w rogu sali. Wypił whisky samą, dopiero potem pociągnął parę łyżków wody.

Hej, Maurice, podaj mi jeszcze jedną! - zawołał do kelnera, starego siwego Szwajcara o pomarszczonej twarzy. - Jeszcze jedna, niech będzie od razu podwójna. W przepisowej szklaneczce cocktailowej. Jestem dzisiaj zmęczony.

Whisky rozgrzała mu żołądek. Usiadł prościej, uśmiechnął się szeroko do kelnera.

- No, Maurice, nie powiedziałaś mi jeszcze, co sądzisz o dzisiejszych notowaniach.

- Nie wiem, co myśleć, proszę pana. Przecież pan jest bliżej giełdy. Pan by mi mógł powiedzieć, gdyby pan chciał.

Charlie wyciągnął nogi, roześmiał się.

- Żebyś ich mógł rozłożyć na łopatki, co? Diabła tam, trzeba się na to cholernie nakręcić głową. Wolę o tym nie myśleć.

Nim ujrzał Eddiego, przepychającego się ku niemu w perspektywie twarzy, garniturów biurowych i dłoni z kieliszkami opartych na barze, czuł się już zupełnie dobrze. Podniósł się z fotela.

- No, jak się masz, chłopie? Co tam słychać w pocziwym Detroit? Wszyscy mnie uważają za skończonego skurwysyna? Wał od razu prawdę, Eddie.

Eddie westchnął, osunął się na głęboki fotel koło niego.

- To długa historia, Charlie.

- Co byś powiedział na kieliszeczek Bacardi z odrobiną absyntu, Eddie? Dobra, niech będą dwa, Maurice.

Eddie miał twarz żółtą i pomarszczoną jak jabłko, które wisiało za długo na jabłoni. Gdy się uśmiechnął, głębokie zmarszczki rozbiegły mu się z kącików oczu i ust na policzki.

- No, Charlie, stary druhu, miło cię znowu zobaczyć. Wiesz, w Detroit uważają cię do dzisiaj za czarodzieja finansowego awiacji.

- Tylko tyle o mnie mówią? - Charlie strząsnął popiół zgasłego cygara o mosiężny kant popielniczki. - Słyszałem już o sobie gorsze rzeczy.

Nim skończyli trzeci cocktail, Charlie rozgadał się tak, że nie mógł przestać.

- Powiedz ode mnie Farrellowi, że był taki moment, kiedy go mogłem wykopać na zbity tyłek, ale tego nie zrobiłem. Czemu? Bo mi było wszystko jedno, i tak miałem dość udziałów. Tamci zastawiali, co się dało, ale ciągle nie mogli mnie pokryć, rozumiesz? Co tam, myślałem przecież to przyjaciele. Pocziwy stary J.Y. Niech im tam, mówiłem do Nata Bentona, kiedy mnie namawiał, żeby ich wymanewrować, póki czas. To moi przyjaciele, niech też coś z tego mają. I widzisz, teraz ci przyjaciele zmówili się z Gladys przeciwko mnie. Wiesz, ile sąd jej przyznał alimentów? Cztery tysiące dolarów miesięcznie. Sędzia jest przyjacielem starego Wheatleya, pewnie dostaje swoją dolę. Odebrali mi prawo do dzieci, położyli łapę na wszystkim, co miałem. Ładne, co, zabrać człowiekowi jego własne dzieci? Wiem, Eddie, ty nie miałeś z tym nic wspólnego, ale jak wrócisz do Detroit, jak zobaczysz tych parszywych tchórzy, co się chowają za babską spódnicę, co w żaden inny sposób nie mogli mnie przechytryć... jak zobaczysz drani, to im powiedz, że ich wszystkich puszcze w jednej koszuli. Już ich trochę "podskubałem. Czarodziej finansowy, ee? Więc niech wiedzą, że to wszystko nic, ja się dopiero zaczynam wprawiać w tym rzemiośle. Myślą, że trafili na frajera wynalazcę, na prostego mechanika jak biedny Bill Cermak?... Ee tam, lepiej coś zjedzmy.

Siedzieli przy stoliku, kelner nakładał Charliemu na talerz różnokolorowe hors d'oeuvre'y.*

- Zabierz to. Zjem kawałek befsztyka, nic więcej.

Eddie był pochłonięty jedzeniem. Podniósł wzrok na Charliego, twarz mu się zmarszczyła filuternie.

- Zdaje się, że jeszcze raz potwierdzi się maksyma: „Kobieta zawsze płaci”.

Charlie się nie roześmiał.

- Gladys nigdy w życiu za nic nie płaciła. Wiesz równie dobrze jak ja, co z niej za numer. Nieodrodna córeczka swojego papy. Wszyscy Wheatleyowie to kutwy. No, ale będę miał nauczkę na całe życie, nigdy więcej bogatych dziwek. Ostatnia lafirynda by tak nie postąpiła jak ta suka. Możesz to ode mnie powiedzieć swoim mocodawcom, jak wrócisz do Detroit. Wiem dobrze, po co cię przysłali. Żebyś się naocznie przekonał, czy stary moczymorda już do reszty stracił miarę. Co, może się nie mówi w Detroit, że Anderson zapija się na śmierć? Ale nic się nie bój, kochasiu, sam jeszcze prędzej wylądujesz pod stołem niż ja. Powiedz im, chłopie, że stary Charlie trzyma się jak zawsze, tyle że się teraz diablo schytryzył. Myśleli, że mnie tym rozwodem ująją na dobre? To niech H poczekają, zobaczą. A Gladys powiedz, że niech tylko robi fałszywy krok, jeden fałszywy kroczek... Niech sobie nie wyobraża, że moi ludzie nie mają na nią oka. Powiedz jej, że choćbym miał stanąć na głowie, odzyskam dzieci i odbiorę jej wszystko co do ostatniego centa. Żeby miała iść na ulicę, palcem nie kiwnę.

Eddie poklepał go po plecach.

- No, chłopie, muszę uciekać. Cieszę się, że nie straciłeś dawnej fantazji.

Rozłożył ich wszystkich na łopatki! - wrzasnął Charlie i wybuchnął śmiechem.

Eddie poszedł, knajpa się wyludniła na czas przedstawień teatralnych. Stary Maurice próbował go namówić do zjedzenia kawałka befsztyka, który odgrzał w kuchni. Charlie nie mógł nic przełknąć.

- Zabierz do domu dla żony i dzieciaków - powiedział Maurice'owi. - Albo lepiej przynieś mi butelkę szampitra, to może zjem kawałek. Tak się jada w starym kraju, ee? Tylko mi nie mów, że za dużo piję. Sam wiem. Jak wszyscy, którym się wierzyło, zaczynają człowieka rolować na równej drodze, to w końcu się gwizdże na wszystko, nie, Maurice?

Od baru przyglądał się Charliemu mężczyzna o krótkich czarnych włosach i krótkim czarnym wąsiku, pochylony nad cocktailem.

- Pan też na wszystko gwizdże! - zawołał do niego Charlie napotkawszy jego wzrok. - Może nie?

- A bo co? Nie podoba się? - odrzyknął mężczyzna przybierając postawę obronną.

- Maurice, podaj dla pana kieliszek.

Charlie wstał i balansując niepewnie, ukłonił się wytwornie przez stół. Wykidajło, który wycierając czerwone łapska o fartuch, wynurzył się z małych drzwiczek w głębi, wycofał się z powrotem z sali.

- Anderson się nazywam. Miło mi pana poznać, p-panie...

- Budkiewitz - powiedział czarny mężczyzna, który łypiąc spod oka i chwiejąc się lekko, podszedł do stolika.

Charlie wskazał mu fotel.

- P-pijany jestem. B-beaucoup szampitra. Może pan się napije kieliszeczek?

- Z przyjemnością, skoro pan tak stawia sprawę. Zawsze lepiej się napić niż brać za łby. Za dobre dawne czasy Tęczowej Dywizji*.

- Był pan we Francji?

- Jasne. Możemy sobie podać ręce, kolego.

- To były czasy.

- A teraz, jak człowiek wrócił, to tutaj nic, tylko jedna wielka szajka oszustów.

- Geszefciarze, niech ich jasny gwint. To banda łobuzów.

Pan Budkiewitz się podniósł, znów groźnie łypiąc.

- O jakiej branży pan mówi?

- Jakiej tam branży! Nie gorączkuj się pan tak.

Pan Budkiewitz usiadł z powrotem.

- Diabła tam! Podaj nam jeszcze butelczynę, Maurice, tylko żeby była zimna. Pił pan kiedy to wino z Saumur*, panie Budkibbitzer?

- Czy piłem Saumur? Co miałem nie pić? Byłem tam przez trzy miesiące na przeszkoleniu.

- Tak i myślałem - powiedział Charlie. - Od razu sobie myślę: facet na pewno służył w Europie.

- Mnie pan mówi?

- Czym pan się zajmuje, panie Buchanan?

- Jestem wynalazcą.

- Góra z górą się nie zejdzie. Słyszał pan kiedy o starterze Askewa-Merritta?

Nie, pan Budkiewitz nie słyszał nigdy o starterze Askewa-Merritta, a Charlie nie słyszał nigdy o pralce samopłuczącej, co im nie prze-szkodziło wkrótce przejść na ty. Paul miał również kłopoty z żoną, oświadczył, że prędzej pójdzie do kryminału, niż jej będzie płacił alimenty. Charlie odparł, że on też prędzej pójdzie do kryminału.

Na razie pojechali na dansing, gdzie poznali dwie szampańskie dziewczyny. Charlie wyłożył pięknym paniom, jak urządzi Paula, pocziwego starego Paula, w interesie, w samopłuczącym interesie pralniczym. Potem jeździli z dziewczynami po lokalach taksówką pod wiaduktami kolei nadziemnej. Wylądowali gdzieś w Greenwich Yillage. Charlie miał załatwić wszystkim dziewczynom, szampańskim słodkim dziewczynkom posady girlasek. Wyłuszczył im, w jaki sposób puści tych łobuzów z Detroit bez jednej koszuli na grzbiecie. A słodkim dziewczuszkom załatwi posady girlasek, żeby mogły też zdjąć koszulki. Była kupa śmiechu.

Ocknął się w świetle dziennym sam w jakimś lokalu z podartymi roletami. Pocziwy stary Paul zniknął, dziewczyny zniknęły, a on siedział przy stoliku zaśmieconym ogryzkami papierosów i zalany czerwonym cienkuszem, mrużąc oczy w kłującym blasku, który wpadał przez dziury w roletach. Nie był to hotel ani burdel, tylko jakaś spelunka z ceratą na stolikach, cuchnąca starymi cygarami, wczorajszym spa-ghetti, sosem pomidorowym i meksykańskim cienkuszem. Ktoś nim potrząsał.

Która godzina?

Potrząsał nim tłusty makaroniarz i młody przylizany makaroniarz, obaj w brudnych koszulach.

Czas płacić i zjeżdżać. Tu jest rachunek.

Na świstku papieru nagryzmołona była kupa różnych rzeczy. Charlie mógł czytać tylko jednym okiem na raz. Ogólna suma wynosiła siedemdziesiąt pięć dolarów. Makaroniarze wyglądali groźnie.

- Kazał pan dać tym girlaskom po dwadzieścia pięć dolarów a conto.

Charlie sięgnął po pieniądze. Jeden jedyny dolar. Gdzie się, u licha, podział pugilares? Młody makaroniarz bawił się pałką skórzaną, którą wyjął z tylnej kieszeni.

- Stowa nie byłaby za dużo za to, co pan wypił i te panienki. A jak pan się spróbuje rzucać, to będzie kosztowało więcej. Zegarek pan ma, może nie? To nie jest żadna spelunka.

- Która godzina?

- Która godzina, Joe?

- Muszę zadzwonić do biura, żeby przyjechał mój sekretarz.

- Jaki numer? Jak się facet nazywa? - Młody makaroniarz podrzucił i złapał pałkę. - Już ja z nim pogadam. Sam pan widzi, traktujemy pana ulgowo. Nie chcemy później żadnych pretensji.

Zadzwonili do biura, żeby ktoś zaraz przyjechał, bo pan Anderson jest chory, po czym mu dali kawy z rumem, po której się poczuł jeszcze gorzej. W końcu zjawił się Cliff, świeżutki, czysto wygolony.

- - Cóż, Cliff, nie mam już takiej głowy jak dawniej.

W taksówce zamroczyło go zupełnie. Obudził się w łóżku hotelowym.

- Musieli mi czegoś dolać do tej kawy - powiedział do Cliffa, który siedział z gazetą przy oknie.

- Martwiliśmy się o pana nie na żarty. Całe szczęście, że się w tej spelunce nie połapali, kim pan jest, boby nas to kosztowało z dziesięć tysięcy.

Dobrze się spisałeś, Cliff. Dostaniesz podwyżkę.

- Już to słyszałem, szefie.

Benton wie?

- Musiałem mu coś niecoś szepnąć. Powiedziałem, że to zatrucie pokarmowe, zjadł pan nieświeżą rybę.

- Nieżle jak na takiego młodego człowieka. Rany boskie, czyja się zrobiłem pijakiem? Co tam na gieldzie?

- Podle. Pan Benton wyskakiwał wczoraj ze skóry, żeby się z panem skomunikować.

- Cholera, ale mnie boli głowa! Powiedz, Cliff, uważasz, że się zrobiłem pijakiem?

- Tu jest lekarstwo, które zostawił ten konował.

- Jaki dziś dzień?

- Sobota.

- Chryste Panie, myślałem, że piątek.

Zadzwoił telefon. Cliff podszedł odebrać.

- Masażysta - oznajmił.

- Każ mu przyjść. Słuchaj, czy Benton jest w Nowym Jorku?

- Oczywiście. Usiłuje złapać Merritta, żeby położyć kres tej rzezi. Merritt...

- Dobra, dobra, zdążę się jeszcze dowiedzieć. Przyjdzie ten masażysta?

Po masażu, który był istną torturą - na dobitek punktowaną wesolutkimi uwagami o pogodzie i sezonie hokejowym, które masażysta, wielki kudłaty Szwed o wyglądzie wykidajły, wygłaszał teutońskim akcentem - Charlie poczuł się na tyle silnie, że poszedł do toalety i zrzucił trochę zielonej żółci. Potem wziął zimny tusz, a wróciwszy do łóżka zawołał na Cliffa, który wystukiwał w saloniku listy na maszynie, żeby kazał boyowi przynieść tłuczonego lodu do termoforu. Z gumowym workiem na głowie, wygodnie oparty na poduszkach, poczuł się odrobinę lepiej.

- Może byś wpuścił trochę światła, Cliff. Która godzina?

- Koło południa.

- O, rany! Słuchaj, Cliff, nie dzwoniły żadne kobiety?

Cliff pokręcił głową.

- Dzięki Bogu.

- Dzwonił tylko jakiś typ, mówił, że jest taksówkarzem i pan mu obiecał posadę w fabryce aeroplanów. Powiedziałem, że pan pojechał do Miami.

Charlie czuł się wyraźnie lepiej. Leżał na wznak w wygodnym miękkim łóżku na szeleszczących wykrochmalonych poduszkach i rozglądał się po przestronnym czystym pokoju hotelowym. Pokój był wysoki, przez szerokie okno wpadało srebrzyste światło. Między kotarami rozsuniętymi w kształt litery A widział kawałek lśniącego nieba z barankami jak jedwabisty dmuchawiec. Ogarnęło go nie- określone poczucie satysfakcji, jakby odpoczywał po dokonaniu czegoś pamiętnego, po forsownej podróży czy niebezpiecznej wspinaczce górskiej.

- Cliff, nie zrobiłbyś mi maleńkiego ginu z kropelkami i dużą ilością lodu? Czuję, że to by mnie postawiło na nogi.

- Doktor powiedział, że musi pan zupełnie skończyć z alkoholem. Kazał brać to lekarstwo, ilekroć przyjdzie panu ochota na jednego.

- Rzygać mi się chce, jak tylko wezmę to świństwo do ust. Co ten konował sobie wyobraża? Że jestem regularnym alkoholikiem?

- Jak pan sobie życzy - odparł Cliff sznurując wąskie usta. - Pan tu rządzi.

- To rozumiem. Potem się napiję trochę soku grapefruitowego, a jeśli go nie zrzucę, zjem dobre śniadanko i będzie po krzyku. Dlaczego nie dostałem gazet?

- Są tutaj, szefie. Otworzyłem wszystkie na kolumnie finansowej.

Charlie przebiegł sprawozdania giełdowe. Litery ciągle mu skakały przed oczami, widział lepiej z jednym okiem zamkniętym. W „Nowinach i Komentarzach” natknął się na akapit, od którego aż usiadł na łóżku.

- Hej, Cliff! - wrzasnął. - Widziałeś to?

- Jasne. Mówiłem panu, że sprawy wyglądają parszywie.

- Ale jest ruch w interesie. Merritt i Farrell jak amen w pacierzu działają przez podstawionych ludzi.

Cliff pokiwał mądrze głowę przekrzywioną trochę w jedną stronę.

- Gdzie, u licha, ten Benton?

- Dzwonił niedawno. Zaraz tu będzie.

- Więc daj mi ten gin, zanim się zjawi, a potem wszystko sprzątnij i zamów śniadanie.

Benton wkroczył do pokoju tuż za kelnerem z tacą. Miał na sobie brązowy garnitur i melonik. Przy fircykowatym stroju jego twarz Wyglądała jak wymięta ścierka. Charlie odezwał się pierwszy:

- Słuchaj, Nat, jestem już na bruku?

Benton powoli, metodycznie zdjął rękawiczki, melonik, paltot, ułożył Wszystko na mahoniowym stoliku pod oknem.

311

- Jeśli nawet, to bruk jest na razie mięciutko wyścielany.

- Dziękuję, Cliff. Możesz kończyć tę korespondencję.

Cliff zamknął za sobą cicho drzwi.

- Merritt nas zapędził w kozi róg?

- Spiknęli się we dwóch z Farrellem. Nie pozostaje ci nic innego, ja oddać tę rundę i szykować się do następnej.

- Ależ, u diabła ciężkiego, Nat...

Benton wstał i jął się przechadzać u stóp łóżka.

- Nic ci nie przyjdzie z wymyślenia. Dzisiaj ja cię powinienem" zdrowo objechać. Ciekaw jestem, co byś powiedział o facecie, który idzie w kurs w najkrytyczniejszym momencie. Że stehórzył, nie? Tak ja to przynajmniej oceniam. Więc masz, na co zasłużyłeś. Mogę ci tylko powiedzieć, że musiałem się dobrze nagimnastykować, żeby ratować własną skórę. Postawiłem na ciebie, Anderson, i nadal myślę, że możesz dojść do prawdziwych pieniędzy w ciągu najbliższych dziesięciu lat, jeśli skończysz z tymi błazeństwami. Ale pozwól sobie powiedzieć parę słów prawdy, młody człowieku. Na heroizmie wojennym już dalej nie zajedziesz, i tak zajechałeś dalej niż ktokolwiek. A co do wynalazków, to wiesz równie dobrze jak ja, że na tym się nie robi pieniędzy, chyba że ktoś umie je genialnie sprzedawać. Powiodło ci się na początek, więc się uznałeś za czarodzieja finansowego. Cudowne dziecko, któremu musi wyjść każdy numer.

- Hej, Nat, jak rany koguta! Nie uważasz, że mam dość oleju w głowie, żeby sam to wiedzieć? Ten cholerny rozwód i gnicie miesiącami w szpitalu, to mnie rozłożyło.

- Wymówki.

- Więc co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Powinieneś na jakiś czas zniknąć z Nowego Jorku. Może byś się chwilowo przyczaił w interesie tego brata w Minneapolis?

- Mam wracać na to zadupie, handlować blaszankami papy Forda? Ładna przyszłość, nie ma co!

- A jak myślisz, na czym Ford robi forszę?

- Wiem, wiem. Ale swoich sprzedawców utrzymuje na krawędzi bankructwa. Lepiej zrobię, jak pomyślę o swoim zdrowiu. Zawsze się świetnie czuję na Florydzie. Może tam pojedę, pogrzeję z miesiąc kości na słończku.

- Dobra, tylko nie wdawaj się w te ich spekulacje gruntowe.

- Jasne, Nat. Nie będę nawet grał w pokera. Wykuruję sobie do reszty nogę. A jak tu wrócę, to się posypią wióry. W końcu został jeszcze Standardowe Części Awiacyjne.

- Nie są już nawet notowane.

- Dobra, dobra.

- Hm, optymista z ciebie. No, żona czeka na mnie z lunchem. Przyjemnej podróży.

Po wyjściu Bentona Charlie zawołał przez zamknięte drzwi:

- Hej, Cliff, każ zabrać tę cholerną tacę! Nie posłużyło mi to śniadanie. I zadzwoń do Parkera, żeby wyszykował auto. Dopilnuj, żeby opony były w porządku. Jadę w poniedziałek na Florydę.

Po chwili w drzwiach ukazała się twarz Cliffa, cała czerwona.

- Czy będzie... będzie mnie pan potrzebował na Florydzie?

- Nie, będę cię potrzebował tutaj, żebyś kikował na tych bubków na giełdzie. Muszę tu mieć kogoś zaufanego. Ale wiesz, co? Chciałbym, żebyś pojechał do Trenton i przywiózł pannę Dowling do Norfolk. Zabiorę ją stamtąd. Jest u rodziny w Trenton, umarł jej staruszek czy ktoś tam. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Przewietrzysz się trochę.

Charlie obserwował bacznie twarz Cliffa, który ściągnął usta w jedną stronę i skłonił się jak fagas.

- Jak pan każe, szefie.

Charlie opadł z powrotem na poduszki. W głowie mu ciągle dudniło, żołądek miał ściśnięty jak w kleszczach. Gdy zamykał powieki, przed oczami wykwitwały mu wirujące czerwone płatki. Zaczął myśleć o Jimie, że mu nigdy nie zwrócił należnej części spadku po matce, zainwestowanej w salon samochodowy. Niech mu tam, ostatecznie nie ma własnej awionetki, dwu limuzyn, apartamentu w hotelu Biltmore, prywatnego sekretarza na każde skinienie, no i takiej dziewczyny jak Margo. Spróbował sobie przypomnieć jej twarz, wyraz niewinnego zdziwienia w szeroko otwartych oczach, gdy zamierzała rzucić jakiś żarcik. Ale nie mógł sobie nic przypomnieć, czuł tylko mdlą słabość w ciele, czerwone płatki wirowały mu przed oczami. Po krótkiej chwili zasnął.

Wyruszając na południe miał ciągle takie miękkie nogi, że wziął Parkera do prowadzenia auta. Siedział ponuro w nowym paltocie 'wielbłądziej sierści, z rękami bezwładnie zwieszonymi między kolana- mi, i gapił się tępo w dudniący mrok tunelu Hollanda*, rozmyślając o Margo i o Billu Edwardsie, rzeczniku patentowym, z którym miał się zobaczyć w Waszyngtonie w sprawie rozpoczynającego się procesu.

Zachodził w głowę, skąd wziąć pieniądze na pokrycie rachunków gromadzących się w biurku Cliffa i na opłacenie tego procesu patentowego przeciwko Askewowi-Merrittowi. A-a, tymczasem grunt, że ma! tysiączek gotówką w kieszeni. Rany boskie, pieniądze to wielka rzecz/ powiedział sobie.

Wyjechali z tunelu w deszczowoszary ranek, w warkot i stukot ciężarówek w Jersey City. Potem ruch stopniowo się zmniejszył, zaczęły się płaskie grunty orne New Jersey, słomiane i zimoworude. W Filadelfii Charlie kazał się zawieźć na Broad Street.

- Nie mam cierpliwości do jazdy autem, złapię popołudniowy pociąg. Zgłoś się w hotelu Waldman Park w Waszyngtonie.

Wziął osobny przedział z trzema łózkami i położył się zaraz w nadziei, że zaśnie. Ale pociąg tak rzucał i łomotał, a szare niebo za oknami, lawendowe pola, żółte pastwiska, gałązki drzew złociejące, zieleniejące i różowiejące już zapowiedzią wiosny przyprawiły go o taką chandrę, że chciało mu się wyc jak pies. W końcu miał tak dość zamknięcia w tym cholernym przedziale, że wstał i poszedł do wagonu klubowego na cygaro. Wyciągnawszy się w skórzanym fotelu jął grzebać w kamizelce w poszukiwaniu gilotynki, gdy w sąsiednim fotelu podniósł głowę zażywny jegomość pochylony nad plikiem akt prawnych w niebieskiej teczce. Charlie zajrzał w czarne oczy, popatrzył na gładko wygoloną fizjonomię o obwisłych granatowych policzkach, na łysiejącą głowę z czarną pożyczką równo przylizaną w kształt ptasiego skrzydła - i nie od razu uderzyło go w tej twarzy coś znajomego.

- Oho, Charlie! Jesteś widać zakochany, mój chłopcze.

Charlie się wyprostował, wyciągnął dłoń.

- W-witam, p-panie senatorze - powiedział z lekkim zająknięciem jak za dawnych lat. - J-jedzie pan, widzę, do stolicy?

- Taki już mój nieszczęsny los. - Oczki senatora Planeta zlustrowały Charliego od stóp do głów. - Słyszałem, że miałeś wypadek'

- Całą serię wypadków - odparł Charlie i oblał się rumieńcem.

Senator pokiwał głową ze zrozumieniem, cmoknął parę razy językiem.

- Niedobrze, niedobrze. Sporo wody upłynęło, odkąd byłeś u mnie w Waszyngtonie na obiedzie z młodym Merrittem. No cóż, nikt nie staje się młodszy.

Charlie doznał wrażenia, że w czarnych oczkach senatora Planeta odmalowała się satysfakcja na widok zwiotczałych fałdów jego skóry wylewającej się z kołnierzyka oraz wypukłości brzuszka pod kamizelką.

Tak, nikt nie staje się młodszy - powtórzył senator.

Pan i owszem, senatorze. Przysięgam, że wygląda pan młodziej, niż kiedy pana ostatni raz widziałem.

Senator się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz tę uwagę, chłopcze, ale zrobiłeś jedną z najbliyskotliwszych karier, jakich miałem szczęście być świadkiem podczas mojej długoletniej służby publicznej.

- Cóż, w nowym przemyśle wypadki toczą się szybko.

- Bezprzykładnie szybko. Żyjemy w erze bezprzykładnego postępu. Wszędzie, tylko nie w Waszyngtonie. Powinieneś częściej odwiedzać tę naszą prowincjonalną dziurę, masz tam wielu przyjaciół. Dowiaduję się z kuriera, jak zwykł był mawiać niezapomniany pan Dooley*, że przeprowadziliście w tym swoim Detroit zasadniczą reorganizację. Pewnie potrzebna była szersza baza kapitałowa?

- Po prostu paru facetów dostało kopniaka w swoje osobiste bazy kapitałowe - odparł Charlie.

Myślał, że senator nigdy nie skończy się śmiać. Wyciągnął wielką jedwabną chustkę z inicjałami, żeby otrzeć łzy, po czym położył Charliemu małą pulchną dłoń na kolanie.

- Jak Boga kocham, musimy się pod to napić.

Senator zamówił u posługacza piwo imbirowe i konspiracyjnie zakropił je kilkoma miarkami dobrej żytniówki, którą wyjął ze swego sakwojaża. Charlie zaraz poczuł się lepiej. Senator tymczasem perorował o nader zachęcających perspektywach, które się według wszelkiego prawdopodobieństwa otworzą po wytyczeniu szlaków powietrznych. Dość powszechnie uznaje się już konieczność znacznych subsydiów, jeśli

kraj ma nadrobić zapóźnienie w transporcie lotniczym. Oczywiście pozostaje pytanie, który z konkurujących koncernów awiacyjnych pozyska zaufanie rządu. Bo nie ulega wątpliwości, że organizacja szlaków powietrznych to znacznie większy interes niż budowa okrętów czy jakiegokolwiek dotychczasowe zamówienia rządowe.

- Wszystko zależy od zaufania rządu. - Przy słowie „zaufanie” czarne oczka senatora Planeta zalsniły. - Dlatego się cieszę, że cię tu widzę, mój chłopcze. Trzymaj się blisko naszej zatęchłej dziury nad Potomakiem.

- Ja-asne - odrzekł Charlie.

- A jak będziesz w Miami, odwiedź mojego starego kompana.

Homera Cassidy'ego. Ma klasa jacht, zabierzecie na ryby. Napiszę o tobie, Charlie. Jeśli mi się uda wyrwać, może sam tam wpadnę tydzień w przyszłym miesiącu. Ludzie robią teraz na Florydzie kolosalne pieniądze.

- Oczywiście, odwiedzę go, senatorze. To bardzo ładnie z pańskiej strony.

Wysiadając na Stacji Połączonych Kolei obaj byli w różowych humorach. Zdążyli wytyczyć szlaki transkontynentalne i linie lokalne, omówić sprawę lotnisk i zabezpieczenia terenów pod ich budowę. Charlie sam nie wiedział, czy to on kaptuje senatora Planeta do urabiania gruntu w Waszyngtonie, czy senator jego. Rozstali się niemal czule na postoju taksówek.

Następnego dnia Charlie wyruszył z Parkerem w dalszą drogę. Było ładne słoneczne popołudnie, na osłoniętych zboczach Wirginii zaczynały czerwono kwitnąć judaszowce. Charlie miał ze sobą dwie butelki doskonałej żywności, które mu przysłał do hotelu senator Planet. W miarę jazdy ogarniała go coraz większa wściekłość na Parkera, który do każdego wydatku doliczał sobie słoną prowizję - do części zamiennych, benzyny, oleju. Przez ostatni miesiąc kazał Charliemu bulić za osiem nowych opon. Diabli wiedzą, co z nimi robił. Chyba je zjadał. Gdy się zatrzymali dla zapłacenia myta przy wjeździe na most do Norfolk, Charlie był zły jak chrzan. Z ledwością się powstrzymywał, żeby nie wstać i nie zajechać sukinsyna pięścią w wygoloną szczękę szarej lokajskiej facjaty. Przed hotelem wybuchnął:

- Wymawiam ci, Parker. Masz tu miesięczną pensję i pieniądze na powrót do Nowego Jorku. Jeśli jutro zobaczę twoją gębę w tym mieście, każę cię aresztować za kradzież. Wiesz dobrze, o czym mówię. Wam, szoferakom, się wydaje, że jesteście diabło przebiegłi, ale ja znam wasze sztuczki. Tak samo ciężko pracuję na chleb jak ty. Żeby ci tego dowieść, poprowadzę dalej sam.

Gładka niewzruszona fizjonomia tego typu doprowadzała Charliego do pasji.

- Jak pan sobie życzy. Czy mam panu zwrócić uniform?

- Możesz go sobie wsadzić, wiesz gdzie!

Charlie urwał. Cały czerwony miotał się na chodniku przed hotelem, otoczony wianuszkami chichoczących czarnych boyów.

- Dobra, dobra, chłopcy. Bierzcie walizy, a auto każcie odstawić do garażu. Ty, Parker, otrzymałeś już instrukcje.

Wpadł do hotelu i zażądał największego apartamentu dwuosobowego. Zarejestrował się własnym nazwiskiem.

- Zaraz przyjedzie moja żona.

Znalazłszy się na górze, zaczął wydzwaniać po liotelach, bo nie wiedział, gdzie się zatrzymała Margo.

- Serwus, mała - powiedział, gdy w końcu usłyszał w telefonie jej głos. - Przyjeżdżaj tutaj, nikt cię nie będzie o nic pytał. A, niech ich wszyscy diabli! Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić, z kim się spotykać, na co wydawać własne pieniądze. Koniec z tym! Przyjeżdżaj zaraz, nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Kiedy wkroczyła, eskortowana przez boya z walizkami, wyglądała ładniej niż kiedykolwiek.

- No, no, Charlie - powiedziała po wyjściu boya - to rzeczywiście szczyt szczytów. Musiałeś odkryć żyłę złota. - Obiegłszy cały apartament, wróciła i przytuliła się do niego. - Co, obskubałeś wszystkich na giełdzie?

- Próbowali mnie wykołować, ale nie ze mną takie sztuczki, możesz mi wierzyć. Chodź, Margo, napijemy się po jednym. Podgazujemy sobie dzisiaj we dwoje. Rany, tak się bałem, że nie przyjedziesz.

Margo poprawiała makijaż przed lustrem.

- Ja? Przecież wiesz, że przylatuję na każde skinienie - powiedziała tym swoim niskim gardłowym tonem, od którego ciarki mu przebiegały po krzyżu.

- Słuchaj, a gdzie Cliff?

- Nasz przyjaciel o końskiej twarzy, który był uprzejmy towarzyszyć mi na spotkanie z panem i władcą? Odjechał pociągiem o szóstej.

- Niech go cholera. Mam dla niego polecenia.

- Powiedział, że mu kazałeś być jutro w biurze i że się stawi, choćby miał lecieć aeroplanem. Wiesz, Charlie, jeśli wszyscy twoi pracownicy są tacy jak on, to ci można pozazdrościć. On cię ubóstwia, bez przerwy tylko opowiada, jaki z ciebie wspaniały facet.

- No, wiedzą, że jestem swój chłop. Sam nieraz dostawałem tęgo w kość, więc ich rozumiem. Jeszcze nie tak dawno pracowałem przy obrabiarce.

Charlie był w znakomitym humorze. Dolał żywności, ale Margo wzięła jego szklaneczkę i odlała połowę z powrotem do butelki.

- Żebyśmy sobie za bardzo nie podgazowali, panie A. - powiedziała tym nowym gruchającym tonem.

Charlie przyciągnął ją i pocałował mocno w usta.

- Rany, żebyś ty wiedziała, jak ja pragnąłem mieć taką szampańską dziewczynę wyłącznie dla siebie. A trafiały mi się same wydry. Gładys, Boże, co to była za wydra! O mały włos byłaby mnie puściła z torbami! Chciała położyć łapę na ostatnim cencie, jaki mi został przy duszy. Spiknęła się przeciwko mnie z facetami, których uważałem za przyjaciół. Ale uważaj dobrze, moja panienko, ja im jeszcze pokażę. Za pięć lat będą się przede mną czołgali na brzuchach. Nie wiem, na czym to polega, ale ja mam dryg do robienia pieniędzy. Nat Benton mówi, zresztą sam to wiem, że zawsze zwęszę, gdzie jest grubsza forsa. Daleko zajadę dzięki swojemu nosowi. A tamci wszyscy dranie zaczynali z ciężką forszą.

Kiedy zamówili kolację i czekając nalali sobie jeszcze po maciupieńkiej żytnióweczce na apetyt, Margo wyjęła z torebki jakieś rachunki.

- Oczywiście, załatwię to od ręki.

Charlie bez oglądania wsunął papiery do kieszeni.

- Sam rozumiesz, panie A., nie zwracałabym ci głowy takimi drobiazgami, gdybym miała własne konto.

- Co byś powiedziała na dziesięć tysięcy w Pierwszym Banku Narodowym, jak tylko dotrzemy do Miami?

- Jak uważasz, Charlie, ja się na tym nie znam. Nigdy nie rozporządzałam sumami większymi niż aktualna tygodniówka. Skąd biedna girlsa może się wyznawać na finansach? Wiem jedno: że się doszczętnie splukałam w Trenton. Musiałam pomóc rodzinie. Śmierć to kosztowna zabawa w tym kraju.

Charlie poczuł łzy w oczach.

- To umarł twój tatuś, Margery?

Zrobiła głupią minę.

- Ee, nie. Mój staruszek wykitował, kiedy byłam jeszcze smarkulą z warkoczykami. Za bardzo się przejął kuracją Keeleya*. Teraz umarł drugi mąż mojej macochy. Może cię to zaskoczy, ale ja jestem bardzo przywiązana do macochy. To jedyna przyjazna dusza, jaką miałam na tym świecie. Kiedyś ci o niej opowiem. Jest co opowiadać.

- Ile cię to kosztowało? Chętnie pokryję.

Margo pokręciła głową.

- Nigdy nie miałam zwyczaju zwałać mężczyznom na kark swojej rodzinki.

Oswobodziła się z ramion Charliego, bo do pokoju wszedł kelner z tacą pełną dużych srebrnych półmisek, a za nim drugi pchający nakryty stolik na kółkach.

- To się nazywa życie - szepnęła w taki sposób, że Charlie parsknął śmiechem.

Dalsza jazda była jedną wielką kupą śmiechu. Utrzymywała się piękna pogoda. W miarę jak się zagłębiali coraz dalej na południe, lasy pokrywały się zielonym meszkiem wiosny. Na sosnowych nieużytkach wschodziły kwiaty. Śpiewały ptaki. Auto sunęło jak marzenie. Charlie utrzymywał na betonowych szosach równe sześćdziesiąt mil, prowadził ostrożnie, z przyjemnością, rozkoszując się hamulcami na wszystkie cztery koła i równym szumem motoru pod maską. Obok niego siedziała Margo, klasa dziewczyna zakochana w nim po uszy, i rzucała co chwila komiczne uwagi. Pili akurat tyle, ile trzeba dla zachowania humoru.

Późnym wieczorem dotarli do Savannah w pysznym nastroju i tak się zaprawili, że dyrektor chciał ich wyrzucić z wielkiego starego hotelu. To wtedy Margo cisnęła popielniczką przez świetlik nad drzwiami. Położyli się zbyt pijani, żeby mieć wiele przyjemności w łóżku, a rano obudzili się ze smakiem metalu w ustach i przeokropnym bólem głowy.

Margo miała zieloną wymizerowaną twarz i worki pod oczami, kiedy szła wziąć kąpiel. Charlie przyprawił jej na śniadanie surowe jajko, tak jak to zawsze robili po pijaństwie angielscy lotnicy w Europie, ale ledwo je przełknąwszy, natychmiast zrzuciła, tak że nawet żółtko pozostało całe. Zawołała go do łazienki, żeby je pokazać, zanim spuści wodę. Leżało w muszli i patrzyło na nich świeże i okrągłe, jakby dopiero co wybite ze skorupki. Nie mogli pohamować śmiechu mimo całego bólu głowy.

Zanim wyjechali, zrobiła się jedenasta. Charlie prowadził ulgowo krętą szosą przez leśne okolice południowej Georgii, pocięte rozlewiskami i słonymi bagnami, z których się podrywały żurawie, a raz wleciało białe stadko czapli. Do Jacksonville dojechali zupełnie skonani. Żadne z nich nie było w stanie zjeść nic prócz kotleta baraniego, popijanego parszywym ginem po osiem dolarów za litr, kupionym od czarnego boya, który im wmawiał, że to najlepszy angielski gin przeschmuglowany z Nassau nie dalej niż ostatniej nocy. Wysuszywszy gin z kropelkami, poszli spać.

Następnego dnia, gdy jechali z Jacks do Miami, zdrowo przypiekało słońce. Charlie chciał odsłonić budę, żeby był większy przewiew, ale Margo nie chciała o tym słyszeć. Nie mógł się nie śmiać, gdy powiedziała:

- Dziewczyna poświęci dla mężczyzny wszystko oprócz cery.

Przez całą drogę nie mogli nic jeść, tylko Charlie popijał wciąż gin. W Miami pojechali prosto Pod Palmy, gdzie Margo kiedyś występowała i gdzie im wielką owację zgotowali Joe Kantor, Eddy Palermo i chłopcy z orkiestry. Wszyscy zgodnie orzekli, że wyglądają jak młoda para w podróży poślubnej, i zaczęli się naprzykrzać o pokazanie im świadectwa ślubu.

- Ależ to tylko przygodny znajomy - opędzała się Margo. - Przygadałam go na stacji autobusowej w Jacks.

Charlie zamówił najlepszą kolację, jaką mieli w Palmach, i cocktaile dla wszystkich, a potem szampitra. Przetkańczyli cały wieczór mimo jego bolącej nogi. Kiedy go w końcu zamroczyło, zanieśli go na górę do prywatnego numeru Joego Kantora i jego żony. Gdy zaczął przecierać oczy, na brzegu łóżka siedziała Margo ubrana od stóp do głów i świeżutka jak róża. Był biały dzień. Margo przyniosła mu sama śniadanie na tacy.

- Posłuchaj no, panie A. - powiedziała. - Przyjechałeś tu na odpoczynek, więc na jakiś czas koniec z knajpami. Wynajęłam domek nad morzem, ale ty będziesz mieszkał dla niepoznaki w hotelu. Nie życzę sobie skandalu. Zobaczysz, spodoba ci się to. Dobrze nam zrobi domowe życie. I od dzisiaj nie pijemy, ani ty, ani ja.

Domek był w hiszpańskim stylu misyjnym i kosztował kupę, ale faktycznie bawili się klasa w Miami Beach. Grali na wyścigach psów i w ruletkę, a Charlie dostał się ponadto do całonocnej partyjki pokera dzięki przyjacielowi senatora Planeta, Homerowi Cassidy'emu, postawnemu uśmiechniętemu światowemu południowcowi o siwej czuprynie i w workowatym płóciennym ubraniu, który go odszukał w hotelu. Po dłuższej rozmówce o tym i owym Cassidy przeszedł wreszcie do rzeczy - że gromadzi prawa pierwokupu do terenów pod nowe lotnisko i byłby gotów dopuścić Charliego do spółki ze względu na jego koneksje, ale potrzebuje szybko gotówki. W pokerze Charliemu dopisywało szczęście, tak że miał stale w kieszeni gruby plik banknotów, lecz z gotówką na koncie był mortus, więc zaczął bombardować Nata Bentona w Nowym Jorku.

Margo robiła wszystko, żeby go powstrzymać od picia, tak że mógł sobie łyknąć tylko, gdy wypływał z Cassidym na ryby. Margo nie chciała z nimi pływać, mówiła, że ciarki ją przechodzą, kiedy ryby, wyciągane z wody, tak na nią patrzą. Któregoś dnia Charlie wyszedł na przystań,

320 żeby wypłynąć z Cassidym, ale się okazało, że północny wiatr, który się zerwał rano, dmie za silnie. Szczęśliwie się złożyło, bo kiedy wracał z przystani, nadjechał na rowerze posłaniec z Western Union*. Wiatr, który się wzmagał z każdą chwilą, miótł Charliemu w oczy zimnym piaskiem, gdy czytał telegram, który był od senatora.

RZĄD PRZYGOTOWUJE OWIES DLA PEGAZA

Wróciwszy do domku Charlie natychmiast zamówił międzymiastową do Bentona. Następnego dnia rozeszła się wiadomość, że do Kongresu wpłynął projekt ustawy o subsydiach dla Hnii lotniczych, i akcje awiacyjne skoczyły w górę. Charlie sprzedał po najwyższym kursie wszystko, co miał, pokrył koszty i był górą, gdy popołudniowe gazety zdementowały pogłoskę. W tydzień później zaczął z powrotem skupować o dwadzieścia punktów niżej. Różnica wystarczyła na spłacenie pożyczek i spółkę z Cassidym w gromadzeniu praw pierwokupu na tereny pod lotnisko.

Gdy oznajmił Cassidy'emu, że jest gotów przystąpić do spółki, wypłynęli w morze omówić szczegóły. Czarny steward przyrządził im cocktaile miętowe. Siedzieli na rufie z wędkami, w szerokich słomkowych kapeluszach ocieniających oczy od słońca, a cocktaile stały na stoliku za nimi. Wypłynawszy na skraj niebieskiej głębi, spuścili do wody błyszczki na żaglice. Niebo było tego dnia błękitne, z dryfującymi w słońcu wielkimi miękkimi różowobiałymi chmurami podszytymi fioletem. Na golfsztromie wiał pod prąd wiatr wystarczająco silny, by ostre zbite fale wydawały się zielone na grzbietach, a liliowe w za- głębieniach. Płynęli wzdłuż długich smug musztardowych wodorostów, ale nigdzie nie natrafili na żaglice. Cassidy złapał delfina, natomiast Charliemu delfin się urwał. Łajba tak bujała, że Charlie musiał bez przerwy pociągać cocktail miętowy dla uspokojenia żołądka, który mu podjeżdżał do gardła.

Przez większą część przedpołudnia krążyli tam i z powrotem u ujścia rzeki Miami. Za stromymi ciemnymi falami widzieli w słońcu spokojne brązowe wody zatoki na tle nowych białopółskliwych gmachów w pajęczynie czerwonych rusztowań.

- Buduje się, lubię na to patrzeć - powiedział Homer Cassidy wskazując w stronę miasta pożyczkową dłońią z wielkim starym sygnetem na palcu. - A to dopiero początek. Pamiętam, chłopcze, kiedy Miami było jeszcze forpoczta cywilizacji, zbieraniną walących się drewniaków między koleją a rzeką. Jak wtedy wściekle cięły moskity! Było trochę białych osadników, próbowali żyć z hodowli wczesnych pomidorów, ale połowę czasu leżeli w łóżkach szcękając zębami z febrą. A teraz sam popatrz. I to ma być niezdrowa koniunktura, jak usiłują ludziom wmawiać w Nowym Jorku.

Charlie przytaknął głową bez słowa. Szamotał się z rybą na haczyki Twarz miał całą czerwoną, ręka mu drętwiała od kołowrotka.

- To tylko mała pelamida - zauważył Cassidy. - Usiłują wam na dodatek wmówić, że tu nie ma ryb. Wszystko to robota tych z zachodniego wybrzeża. Muszę sobie pochlebić, chłopcze, że ja tę koniunkturę przewidziałem przed laty, kiedy jeszcze pracowałem ze starym Flaglerem*. To był człowiek o szerokich horyzontach. Jechałem z nim pierwszym pociągami, kiedy dociągnięto linię do Key West. Byłem jednym z adwokatów Kolei Wschodniego Wybrzeża*. Kiedy szedł od auta do salonki, uczniowie przez całą drogę rzucali mu róże pod nogi. Huragany porwały nam blisko tysiąc robotników, nim zostało ukończone to przedłużenie oceaniczne. A teraz mamy nowe Miami. I Miami Beach. Właśnie, jak ci się podoba Miami Beach? To ziszczenie marzeń Flaglera.

- Jeśli czegoś pragnę... - zaczął Charlie i urwał, żeby łyknąć zdrowo z nowej szklaneczki, którą mu podał czarny steward.

Zaczął się czuć pysznie, lekkie mdłości przeszły mu jak ręką odjął. Instruktor rybacki Cassidy'ego zabrał wędkę Charliego, żeby na pokładzie założyć nowy haczyk, więc Charlie siedział na rufie, czując na plecach palące słońce, a na twarzy zasychające słone bryzgi, i mógł nic nie robić, o niczym nie myśleć, tylko popijać cocktail miętowy.

- To jest życie, Cassidy! Czemu człowiek nie może robić, co chce na tym świecie? Zacząłem właśnie mówić, że jeśli czegoś pragnę, to rzucić w diabły te wszystkie kombinacje, inwestycje, całe to gówno. Wycofał- bym się z małym kapitalikiem, kupił sobie chałupę, urządził się i zabrał do majstrowania przy motorach, projektowania aeroplanów i takich różnych cudeniek. Zawsze marzyłem, że jak mi się uda wycofać z interesów z wystarczającym kapitałem, to sobie wybuduję własny tunel aerodynamiczny. Wie pan, to takie urządzenie do badania modeli aeroplanów.

- Jasne - odrzekł Cassidy. - Aeroplan to przyszłość Miami. Pomyśl tylko, chłopcze, osiemnaście, czternaście, dziesięć godzin z Nowego Jorku. Nie muszę ci zresztą mówić. A ty, ja, senator będziemy wśród ojców założycieli tutejszego lotniska. Rozumiesz, ja przez całe życie czekałem na talią gratkę. Przez całe życie służyłem innym jako sędzia, radca prawny kolei i tak dalej. Chyba najwyższa pora, żebym się dorobił własnego kapitaliku.

- A co jeśli wybiorą inne tereny pod lotnisko i zostaniemy z pakietem bezwartościowych praw pierwokupu? - spytał Charlie. - Takie rzeczy się zdarzały.

- Nie mogą tego zrobić, chłopcze. Sam wiesz, to idealne miejsce, a poza tym... Nie powinienem ci może tego mówić, ale i tak się połapiesz prędzej czy później. Wiesz, że nasz waszyngtoński przyjaciel to jeden z najbardziej przewidujących ludzi w kraju. Otóż pieniądze, które inwestuje Homer Cassidy, nie pochodzą bynajmniej z jego kasy, bo Homer Cassidy jest goły. To mnie właśnie bez przerwy gryzie. Występuję tylko jako agent. Ale mogę ci przysiąc na wszystkie świętości, że jak pracuję dla senatora Planeta przez te wszystkie lata, nie widziałem, żeby zainwestował dolara, jeśli sprawa nie jest stuprocentowo pewna.

Charlie uśmiechnął się szeroko.

- To stary drań.

Cassidy się roześmiał.

- Jak to mówią, mądrej głowie dość dwie słowie, nie? Co byś powiedział o kanapce z prawdziwą wirgińską szynką?

Do kanapek wypili jeszcze po cocktailu. Charliemu zbierało się na zwierzenia. Dzień był morowy, Cassidy swój chłop. Czuł się jak młody bóg.

- Śmieszne - powiedział - ale pierwszy raz widziałem Miami od strony morza tak jak teraz. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że będę tu kiedyś nabijał kabzę. Nie było jeszcze tych wszystkich gmachów. Płynąłem do Nowego Jorku linią nadbrzeżną. Byłem szczeniakiem. Zapędziłem się do Nowego Orleanu na ostatki i nie miałem złamanego centa przy duszy. Na statku pokumałem się z jednym farmerem z Florydy, zabawny był facet, też płynął do Nowego Jorku. Uważał, że trzeba koniecznie zobaczyć tę wojenkę, więc jak skończeni durnie zaciągnęliśmy się do jednej z tych ochotniczych kolumn sanitarnych. Potem się przetrucilem do lotnictwa i dzięki temu wylądowałem po wojnie w przemyśle awiacyjnym. Nie miałem wówczas pojęcia o istnieniu Miami.

- Ja zawdzięczam swój start Flaglerowi - powiedział Cassidy. - Wykupywałem dla niego tereny pod Kolej Wschodniego Wybrzeża, nie wstydzę się tego. Dzięki Flaglerowi wypłynąłem na szerokie wody, tak jak Miami.

Wróciwszy wieczorem, spieczeni i lekko pijani po dniu spędzonym na golfsztromie, schowali papiery do safe'u w kancelarii sędziego Cassidy'ego i poszli Pod Palmy, żeby się oderwać od interesów. Margo, w swojej srebrnej sukni, wyglądała naprawdę oszałamiająco. Do Cassidy'ego przyłączyła się szczupła czarna dziewczyna o wyglądzie Irlandki, która miała na imię Eileen i znała go zdaje się od niepamiętnych czasów. Zjedli we czwórkę kolację, przy której Cassidy się wtrąbił i otwierając usta jak ryba jął perorować o wielkim nowym lotnisku i obiecywać dziewczynom, że je dopuści do spółki, jak przyjdzie do wykupu parceli pod budowę. Charlie był pijany, ale nie tak pijany, by nie wiedzieć, że Cassidy powinien trzymać gębę na kłódkę. Tańcząc z Eileen zaczął jej szeptać do ucha, że jej przyjaciel miele językiem jak najęty i żeby go mitygowała, póki cała sprawa nie zostanie podana oficjalnie do wiadomości. Margo ich zobaczyła z przytulonymi głowami i zamieniła się w zazdrosną dziwkę. Mizdrzyła się do Cassidy'ego jak ostatnia pinda, a kiedy Charlie ją wyciągnął do tańca, nabrała wody w usta i nie chciała odpowiadać na jego pytania. Odprowadził ją do stolika, a sam poszedł się napić przy barze. Przemówił się tu z chudym typkiem o wyglądzie kmiotka, ale zaraz podbiegł ich rozdzielać Eddie Palermo z uśmiechem przyklejonym do twarzy o barwie i kształcie oliwki.

- Ależ, panie Anderson, nie będzie pan się chyba sprzeczał z panem Pappym. To nasz prokurator okręgowy. Jestem przekonany, że panowie się zaprzyjaźnią. Panie prokuratorze, pewnie pan nie wie, że pan Anderson był podczas wojny jednym z asów naszego lotnictwa.

Opuścili pięści łypiąc na siebie nad głową małego Italiańca, który z wyszczerzonymi zębami miotał się od jednego do drugiego. CharUe wyciągnął dłoń.

- Dobra, dawaj pan łapę - powiedział.

Prokurator posłał mu mściwe spojrzenie i schował ręce do kieszeni.

- Gówniarz, nie prokurator - mruknął Charlie.

Chwiał się na nogach. Musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Odwrócił się i ruszył do drzwi. W westybulu natknął się na Eileen, która wyszła z toalety i poprawiała gładkołśniące włosy przed lustrem garderoby. Dusił się od whisky, dymu cygarowego, dudniącego łomotu orkiestry i szurgotania nóg po parkiecie. Musiał wyjść na dwór.

Chodź, dziewczynko, przejdziemy się, łykniemy trochę świeżego powietrza.

Nim zdążyła otworzyć usta, wywlókl ją na parking.

- Nie wypada zostawiać towarzystwa - powtarzała.

- Są tacy wlani, że nawet nie zauważą. Za pięć minetek wrócimy.

Świeże powietrze dobrze robi małym dziewczynkom, szczególnie takim uroczym małym dziewczynkom.

Biegi zazgrzytały, bo nie wcisnęła sprzęgła. Motor zgasł, więc zapalił znowu i ruszył od razu na trzecim biegu. W motorze stukąło przez chwilę, ale po trochu auto zaczęło nabierać szybkości.

- Widzisz, niczego sobie bryka. - Prowadząc mamrotał kącikiem ust do Eileen. - Ostatni raz moja noga postąła w tej mordowni. Nie pozwolę się obrażać jakiemuś zasmarkanemu urzędniczynie, ciemnemu kmiotkowi, od którego jeszcze zalatuje terpentyną*. Takich jak on mogę kupować i sprzedawać na pęczki. To taki sam gnojek jak ten łobuz Farrell. Jego też jeszcze kupię i sprzedam. Nie wiesz, kto to Farrell, ale wystarczy, jak ci powiem, że to oszust, jeden z największych w kraju. Wydawało mu się, wszystkim im się wydawało, że mnie wymanewruje, tak jak wymanewrowali biednego Joe Askewa. Ale nie można wymanewrować kogoś, kto się zna na rzeczy tak jak ja, kto im wymyśla te wszystkie nowe cudenka. Ja ich jeszcze przechytrzę w ich własnej grze. Nie śniło im się o czymś takim, jak my tutaj szykujemy. Waszyngton jest już urobiony. To będzie wielki numer, moja panienko, nie widziałaś jeszcze takiego numeru. Nic się nie bój, dopuszczę cię do interesu, będziemy sobie oboje dobrze żyli. Tylko że jak już będziesz bogata, pewnie zapomnisz biednego starego Charlie Andersona, dzięki któremu się obłowiłaś.

- Okropnie mi zimno - jęknęła Eileen. - Wracajmy, cała drzę.

Charlie się pochylił i objął ją ramieniem. Auto zarzuciło, gdy się do niej obrócił. Szarpnął je z powrotem na betonową szosę.

- Och, niech pan uważa, błagam pana. Jedzie pan osiemdziesiąt pięć mil. Niech pan mnie nie straszy, błagam.

Charlie się roześmiał.

- Czarująca mała dziewczynka. Widzisz, już zwolniliśmy do czterdziestu mil. Jedziemy spacerkiem czterdziestkę na godzinę. Zawrócimy teraz i pojedziemy z powrotem. Najwyższy czas, żeby nasze małe cipcie poszły lulu. I nie wolno się nigdy bać, kiedy ja prowadzę. Jeśli coś umiem robić, to prowadzić auto. Ale nie przepadam za prowadzeniem auta. Co innego, gdybym tu miał swój aparat. Co, przeleciałabyś się ze mną aeroplanem? Ściągnąłbym go już dawno, ale go zajęli, bo nie miałem na opłacenie remontu. Trzeba było wstawić nowy motor. Ale teraz, kiedy się odkułem, każę go tu przyprowadzić któremuś z chłopców. Dopiero się zabawimy! Ty, ja, Margo. Margo to kława dziewczyna, tylko okropna złoźnica. Co jak co, ale dobierać dziewczuszki, to już sobie umiem.

Kiedy zawrócili w stronę Miami, na horyzoncie ujrzeli cienką smug brzasku podszywającego rozległy krajobraz nieużytków popstrzonych suchymi sosnami, nie wykończonymi domami o elewacjach imitujących kamień, zamkniętymi stacjami benzynowymi, smaźalniami hamburgerów.

- Mamy teraz wiatr z tyłu. Ani się obejrzysz, jak będziemy z powrotem. - Jechali wzdłuż torów, doganiali dwa ruchome czerwone światła. - Czy to przypadkiem nie ekspres nowojorski?

Zbliżyli się powoli do pociągu, minęli jasnoświetlony wagon widokowy, potem jeden za drugim kilka ciemnych slipingów, ze światłem tylko za matowymi szybami garderób na końcu każdego wagonu. Sunęli teraz wzdłuż wagonu bagażowego, ambulansu pocztowego, wielkiej wysokiej czarnej lokomotywy, z falistą poświatą reflektorów Charliego odbijającą się na ciemnym tle. Ekspres przesłonił im czerwoną smugę brzasku.

- Rany, ale się wloką. - Gdy mijali kabinę maszynisty, rozległ się przeraźliwy gwizd. - Diabła tam, będę pierwszy na przejeździe.

Przed nimi było widać latarnie przejazdu, reflektory lokomotywy dosięgały go jasnym snopem światła, przy którym czerwonopomarańczowa smuga brzasku obrzeżająca chmury wydawała się bardzo daleka i błada. Szlaban na przejeździe był spuszczone. Charlie dodał gazu. Przebili się przez zaporę, tłukąc reflektory. Auto obróciło się bokiem. Oślepił ich blask lokomotywy, uszy przeszył gwizd.

- Nic się nie bój, przejeździemy! - krzyknął Charlie do dziewczyny.

Auto utknęło tyłem na szynach, motor zgasł. Charlie kopnął starter, raz, drugi. Zderzenie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Oprzytomniawszy wiedział od razu, że jest w szpitalu. Pierwszym, co mu przyszło do głowy, była myśl, czy nie będzie miał kaca. Nie mógł się ruszyć. Dookoła panowała ciemność. Z dna głębokiego szybu widział sufit. Potem zobaczył czubek czepka pielęgniarskiego. Pochyliła się nad nim siostra. Przez cały czas mówił. Nie mógł przestać mówić.

- Myślałem, że koniec z nami. Gdzie myśmy się właściwie rozbili, siostrzo? Na lotnisku? Zaraz bym się lepiej poczuł, jakbym sobie przypomniał. To było tak, siostrzo. Wziąłem tę małą, żeby jej pokazać, jak się leci tym nowym Boeingiem. Zna siostra to cholerne pudło? Byłem na kogoś wściekły jak jasna cholera. Pewnie na tę biedną idiotkę Gladys, nioją żonę. Zrobiła mi jakieś nowe świństwo czy co? Ale teraz, po tym interesie z pierwokupem, mogę przehandlować tę ich całą bandę. Co się właściwie stało, siostrzo? Czy to było na lotnisku?

Spod białego czepka patrzyła na niego żółta twarz, okolona żółtymi włosami. Twarz była chuda, dłonie, które się przesunęły przed jego oczami poprawiając przykrycie pod brodą, też były chude.

- Proszę leżeć spokojnie i odpoczywać - powiedziała siostra.- W przeciwnym razie będę panu musiała zrobić jeszcze jeden zastrzyk.

- Czy siostra jest Kanadyjką? Na pewno siostra jest Kanadyjką.

- Nie, pochodzę z Tennessee. Co panu przyszło do głowy.

- Tak mi się ubrało. Bo widzi siostra, zawsze jak leżałem w szpitalu, siostry były Kanadyjkami. Co tu jest tak ciemno? Gdybym mógł sobie tylko przypomnieć, jak to było. Czy zadzwonili do mnie do biura? Może rzeczywiście za dużo piję. Odtąd będę myślał wyłącznie o interesach. W tej zabawie człowiek musi mieć ciągle otwarte oczy. Nie mogłaby mi siostra dać trochę wody?

- Jest noc, proszę pana. Mam nocny dyżur. Niech pan się postara zasnąć.

- Chyba zadzwonili do biura. Chciałbym, żeby Stauch obejrzał aparat, zanim cokolwiek ruszą. To śmieszne, siostrzo. Prawie mnie nie boli, a czuję się tak okropnie.

- To po zastrzykach - dobiegł go energiczny cichy głos siostry. - Niech pan spokojnie zaśnie, obudzi się pan rano znacznie zdrowszy. Nie wolno panu pić, tylko trochę zwilżyć usta.

- Dobra. - Nie mógł przestać mówić. - Widzi siostra, to było tak. Poprzytykałem się z jednym facetem. Słucha siostra? Jestem pewno zanadto drażliwy, odkąd wszyscy się tak na mnie zmówili. Dawniej uważałem każdego za przyjaciela, teraz wiem, że wszyscy są oszustami. Nawet Gladys, ta się okazała najgorsza z całej paczki. Mam chyba kaca i dlatego tak mnie okropnie suszy.

Znowu wyrosła nad nim siostra.

- Widzę, że będziemy musieli dać panu jednak na sen, mój panie.

No, niech pan się rozluźni, pomyśli coś miłego. O, tak, grzeczny chłopie^

Czuł, jak mu pociera rękę czymś zimnym i mokrym. Potem poczuł ukłucie. Twarde łóżko, na którym leżał rozbudzony, zaczęło się pod nim wolno zapadać. Osuwał się nie czując nic ze słodczy nadchodzącego snu, osuwał się w ciemność.

Tym razem stała nad nim tęga wykrochmalona kobieta. Był dzień, cienie padały zupełnie inaczej. Kobieta podtykała mu pod nos jakieś papiery. Miała twardy energiczny głos.

- Dzień dobry panu. Niczego pan nie potrzebuje?

Charlie tkwił jeszcze w głębokiej studni. Pokój, tęga wykrochmalona kobieta, papiery, wszystko wirowało gdzieś wysoko nad nim. Gdzie; spojrzał, czuł piekący żar.

- Mam zupełnie takie wrażenie, jakby mi brakowało części ciała, siostrzo.

- Jestem zarządzającą. Chciałabym załatwić parę formalności, jeśli! pan pozwoli. O ile pan się czuje na siłach.

- Nie miała pani nigdy uczucia, że to się już kiedyś raz zdarzyło? Gdzie ja właściwie... to znaczy, w jakim mieście? Zresztą mniejsza o to, już sobie wszystko przypominam.

- Jestem zarządzającą. Dyrekcja chciałaby otrzymać od pana czek za tydzień pobytu z góry. I są jeszcze inne koszty.

- Niech pani się nie martwi, mam pieniądze. Na miłość Boską, niech pani mi da coś do picia.

- Przykro mi, ale takie są przepisy.

- W mojej marynarce musi być książeczka czekowa. Albo niech pani się porozumie z Cliffem... z panem Wegmanem, moim sekretarzem. Wystawi czek w moim imieniu.

- Niech pan sobie tym nie zaprzęta głowy. Biuro przygotowało czek, muszę tylko wpisać nazwę banku i uzyskać pański podpis. Czek jest na dwieście pięćdziesiąt dolarów a conto.

- Trust Bankierów, Nowy Jork. Rany, może mi się uda jakoś podpisać.

- Kwestionariusz wypełni później siostra. Musimy mieć pańskie dane do akt. Na razie do widzenia. Życzę panu przyjemnego pobytu u nas i szybkiego powrotu do zdrowia.

Tęga wykrochmalona kobieta znikła.

- Siostrzo! - zawołał Charlie. Ogarnął go nagle strach. - Co to za trupiarnia? Gdzie ja jestem? Hej, siostrzo, siostrzo!

Krzyczał na cały głos. Pot zalewał mu twarz, szyję, wpadał do oczu i uszu. Mógł poruszać głową i rękami, ale brzucha jakby wcale nie miał. nóg też nie czuł. W ustach mu zasychało z pragnienia. Pochyliła się nad nim nowa ładna różowa siostra.

- Czego pan sobie życzy?

Otarła mu twarz, pokazała, gdzie wisi dzwonek, tuż przy jego dłoni.

- Okropnie mi się chce pić, siostrzyczko - powiedział słabym głosem.

- Może pan tylko popłukać usta. Doktor nie pozwolił panu nic jeść ani pić, dopóki nie zlokalizuje perforacji.

- Gdzie ten cały doktor? Czemu go tu nie ma? Dlaczego się tu od razu nie zjawił? Niech lepiej uważa, bo go pošlę na zieloną trawkę, sprowadzę innego na jego miejsce.

- O, właśnie jest doktor Snyder - oznajmiła siostra przerażonym szeptem.

- No, Anderson, o mało pan się nie przejechał na tamten świat. Myślał pan zdaje się, że leci aeroplanem. Zabawne, nie spotkałem jeszcze pilota, który by umiał prowadzić auto. Nazywam się Snyder, doktor Ridgely Snyder z Nowego Jorku. Ordynator, doktor Booth, ściągnął mnie na konsylium. Niewykluczone, że będziemy pana musieli trochę połatać w środku. Rozumie pan, kiedy pana znaleźli, podobno spora część auta przygniatała panu jamę brzuszną. Miał pan cholerne szczęście, że pana nie rozgniotła na miejscu. Rozumie pan?

Doktor Snyder był zwalistym mężczyzną z płaskimi gładko wygolonymi policzkami i kwadratowymi dłońmi zakończonymi kwadratowymi paznokciami. Przez mętny umysł Charliego, gdy tak patrzył na zwalistego kwadratowego doktora z wydatnym brzuszkiem pod białym kitem, przemknęła piosenka, którą niegdyś wyśpiewywał stary Vogel. Wygląda jak ten rzeźnik kajzer Wiluś, chociaż się nie znają.

- To pewnie te zastrzyki, ale zupełnie nie mogę zebrać myśli. Niech pan robi, co się tylko da, doktorze. Mniejsza o koszty. Właśnie ubiłem taki interes, że wszyscy pozielenieją z zazdrości. Aha, doktorze, co z tą dziewczyną? Nie było ze mną w aucie takiej małej czarnulki?

- Och, niech pan się o nią nie martwi. Nic jej się nie stało. Wyleciała z auta jak z katapulty. Lekki wstrząs, trochę potłuczeń. Niedługo będzie zdrowa.

- Bałem się zapytać.

- Będziemy panu musieli zrobić małą operacyjkę. Zszywanie jelit, bardzo interesujący przypadek. Teraz najważniejsze, żeby pan o niczym nie myślał, Anderson. Założymy parę szwów i po krzyku. Zobaczmy co się da zrobić. Właściwie jestem akurat na urlopie, ale w nagłych wypadkach nigdy nie odmawiam pomocy.

- Dziękuję, doktorze, dziękuję za wszystko, co pan może zrobić.. Pewnie nie powinienem tak chlać. Właściwie dlaczego nie pozwala mi się pan napić trochę wody? Zabawne, kiedy tu odzyskałem przytomność, w pierwszej chwili myślałem, że jestem w jakiejś mordowni. O, Doris to nie lubi, jak używam takich wyrażansów. Gminny język nie przystoi dżentelmenowi i oficerowi. Ale wie pan, doktorze, jak człowiek dojdzie do tego, że może kupować i sprzedawać ludzi na pęczki jak cebulę, to już go ani ziębi, ani grzeje, co sobie kto pomyśli. Wie pan, to może i dobrze, że sobie tu trochę poleżę. Będę miał okazję odzwyczaić się od kieliszka, przemyśleć różne sprawy... Próbował pan kiedyś przemyśleć sprawy, doktorze?

- Teraz to przemyśliwam tylko o jednym, Anderson. Co zrobić, żeby pan zachował całkowity spokój.

- Już dobrze, doktorze. Niech pan robi swoje, a mnie przyśle tę ładną siostrzyczkę. Pogadam sobie z nią. Chciałbym jej opowiedzieć o Billu Cermaku. To był jedyny naprawdę przyzwoity facet, jakiego znałem. On i Joe Askew drugi. Ciekawe, co myślał umierając. Wie pan, kiedy poprzednim razem byłem, no, nazwijmy to, uszkodzony na ciele, to było potem, jakeśmy się we dwóch rozbili w tym nowym Moskwie. Teraz ten model jest wart milion, ale te skurwysyny wyrolowały mnie ze wszystkich udziałów. Pan, doktorze, pewnie jeszcze nie umierał, co?

Nad sobą miał tylko sufit, jaśniejszy w miejscu, gdzie padał blask z okna. Charlie przypomniał sobie dzwonek koło ręki. Dzwonili i dzwonił, ale nikt nie przychodził. W końcu szarpnął tak, że poczuł, jak! wrywa sznur. Jak zbliżenie w filmie wykwitła nad nim ładna różowa buzia siostry, poruszyły się młode rzadko całowane wargi. Widział, jak j siostra cmoka na niego karcąco, ale w uszach miał szum jak na linii międzymiastowej, tak że nie słyszał, co do niego mówi. Nie bał się tylko, j gdy sam mówił.

- Moja panienko - usłyszał swój głos. Sprawilo mu przyjemność, że słyszy swój głos. - Płacę słone rachunki w tym szpitalu i żądam, żeby wszystko było tak, jak sobie życzę. Chcę, żeby siostra przy mnie usiadła] i słuchała, co mówię, jasne? Co to ja mówiłem temu mądrali? Może on i jest doktorem, ale wygląda zupełnie jak ten rzeźnik kajzer Wiluś. Siostra jest za młoda, żeby znać tę piosenkę.

- Ktoś do pana przyszedł. Chce pan, żeby panu trochę odświeżyć twarz?

Charlie odwrócił wzrok. Parawan w nogach był rozsunięty, w szarym prostokącie drzwi stała Margo. Ubrana była na żółto. Patrzyła na niego okrągłymi oczami ptaka.

- Gniewasz się na mnie, Margery?

- Gorzej. Martwię się o ciebie.

- Wszystko będzie dobrze, Margo. Mam klasa konowała z Nowego Jorku. Połata mnie i będzie po krzyku. Wygląda jak ten rzeźnik kajzer Wiluś, brak mu tylko wąsów. Coś takiego, zapomniałem na śmierć o wąsach. Nie patrz na mnie tak dziwnie. Nic mi nie jest, zrozum. Tyle że się lepiej czuję, jak mówię. Jestem pewnie

najgadatliwszym pacjentem, jakiego mieli w tym szpitalu. Wiesz co, Margo, zrobiłby się ze mnie pewno ostatni bibuła, gdybym dalej pił jak dotąd. Może to i szczęście, że trochę polezę.

- Słuchaj, Charlie, czujesz się na siłach, żeby mi wystawić czek? Muszę mieć jakąś flotę. Pamiętasz, obiecałeś mi procent od tego interesu z pierwokupem. I muszę wziąć adwokata, bo rodzina Eileen chce ci wytoczyć proces. Ten prokurator wziął od niej zeznanie pod przysięgą i na tej podstawie wydał nakaz aresztowania. Przyniosłam twoją nowojorską książeczkę czekową.

- Rany Chrystusa, Margo, zarobiłem trochę forsy, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem Bankiem Anglii.

- Obiecałeś, Charlie, że mi otworzysz konto.

- Pozwól mi najpierw wyjść ze szpitala.

- Charlie, mój biedny nieszczęśliwy panie A. Nie przypuszczasz chyba, że mi sprawia przyjemność męczenie cię o to w takiej chwili. Ale muszę jeść jak wszyscy ludzie. I gdybym miała trochę floty, tobym zatkała gębę temu prokuratorowi, nie dopuściła do opisanego wszystkiego w gazetach. Wyobrażasz sobie, jaką z tego zrobią sensację? Ale muszę mieć szybko flotę.

- Dobra, wypisz czek na pięć tysięcy. Masz szczęście, że nie złamałem ręki.

Ukazała się znowu ładna różowa siostra. Głos miała twardy, ostry, lodowaty.

- Niestety, już najwyższa pora - oznajmiła.

Margo się pochyliła, pocałowała go w czoło. Charlie miał wrażenie jakby był w szklanej gablocie. Dotknięcie jej warg, woń sukni, włosów perfum, wszystko było niby jak zawsze, ale on nic nie czuł. Jakby oglądał scenę z filmu, patrzył, jak pod obcisłą sukienką falują jej biodra, jak trzepocze nerwowo czepkiem pod brodą, żeby wysuszyć atrament.

- Widziała siostra, istny run na bank? Wszyscy zdaje się uważają, że to niezbyt pewna instytucja. Aleja mam tu jeszcze coś do powiedzenia. Proszę zawiadomić recepcję, że nie życzę sobie więcej wizyt. Siostra, ja, doktor kajzer Wiluś to wystarczy, zrozumiano?

- Na razie czeka pana przejażdżka na drugi koniec korytarza - oznajmiła ładna różowa pielęgniarka wesołym głosem, jakby go zabierała na przedstawienie czy na mecz baseballowy.

Zjawił się sanitariusz i pokój zaczął odjeżdżać od łóżka, potem po obu stronach odjeżdżał w przestrzeń szary korytarz. Ruch przeszywał go ślepych spazmami bólu promieniującymi do nóg. Charlie zapadał się w kwaśną mdłą ciemność. Kiedy się znowu pojawiło światło, był gdzieś bardzo daleko. Język miał zaschnięty, chciało mu się okropnie pić. Wszystko okrywała czerwona mgła. Coś mówił, ale gdzie bardzo daleko. Czuł słowa wydobywające się z gardła, ale nic nie słyszał! Potem dobiegł go głos doktora, mówiący, że zapalenie otrzewnej, tai jakby chodziło o najwspanialszy bal pod słońcem, jak dziecko mówi o Gwiazdce. Były i inne głosy. Oczy miał otwarte i słyszał inne głosy. Coś mu się roilo. Niemożliwe, żeby to siedział Jim z niepewną kwaśną ponurą miną, z jaką w niedzielne popołudnia śleczął nad książkami jako szczeniak.

- To ty, Jim? Skąd się tu wziąłeś?

- Przylecieliśmy - odparł Jim.

Charliego zaskoczyło, że ktoś go słyszy, jego głos dochodził z takiej dali.

- Wszystko w porządku, Charlie. Nie wolno ci się forsować pod żadnym pozorem. Ja się wszystkim zajmę.

- Słyszysz mnie, Jim? Mam takie wrażenie, jakbym rozmawiał przez zepsuty telefon na wielką odległość.

- Nic się nie przejmuj, Charlie. O wszystkim myślimy. Ty leż, odpoczywaj. Słuchaj, na wszelki wypadek chciałbym wiedzieć, czy sporządziłeś testament.

- Jim, czy mnie się wydawało, czy ktoś tu mówił o zapaleniu otrzewnej? To poważna sprawa, prawda?

Jim zbladł, twarz mu się jeszcze wydłużyła.

- Och, to tylko... tylko drobny zabieg. Może dobrze by było, żebyś mi dał generalne pełnomocnictwo anulujące wszystkie dotychczasowe. Rozumiesz, po prostu żeby mieć spokojną głowę. Wszystko jest przygotowane, sprowadziłem sędziego Greya na świadka, Hedwig też zaraz przyjdzie. Powiedz, czy ty się ożeniłeś z tą kobietą?

- Ja? Czy się ożeniłem? Nigdy więcej. Poczciwy stary Jim, zawsze chce, żeby mu coś podpisywać. Szkoda, że nie złamałem ręki. No, i co teraz powiesz o aeroplanach? Nie mają znaczenia praktycznego, tak? Ale można na nich zarobić więcej, niż ty kiedykolwiek zarobisz na tych swoich blaszankach. Och, nie sierz się, Jim. Słuchaj, ściągnij mi najlepszych doktorów. Jestem bardzo chory, wiesz? Aż z tego zachryp-łem. Zrób coś, żeby mi się pozwolili napić wody. Na doktorach nie ma co oszczędzać. Chciałbym z tobą pogadać jak dawniej, kiedy ryby nie brały nad Rzeką Czerwoną, pamiętasz? Wybierzemy się tutaj na ryby. U ujścia Miami są wspaniałe okazy. Czuję, że zaraz znowu zemdleję. Powiedz, żeby ten konował mi coś dał. To był zastrzyk? Dziękuję, siostrzo, zaraz mi się zrobiło lepiej. Rozjaśniło mi to w głowie. Mówię ci, Jim, różne nowinki piszczą tutaj w trawie. Subsidia rządowe na awiację, nowe stałe linie, lotniska. A my wśród ojców założycieli tego wszystkiego. Myśleli, że mnie wykopali na zbity tyłek, a ja ich jednak przechrzyłem. Rany, Jim, żeby ja mógł przestać gadać i zasnąć. Bo te omdlenia to nie sen, to coś... coś niedobrego.

Nie mógł przestać mówić, choć nic z tego nie wynikało. Za bardzo był schrypnięty. Zamiast głosu wydobywało się z gardła słabe rżenie. Wszystko dlatego, że tak mu się chce pić. Nie słyszą go. Musi coś zrobić, żeby go usłyszeli. Jest za słaby. Spada wirując, wsysany w głąb, w... i

GWIAZDY ZWIASTUJĄ COOLIDGEOWI NIEPOWODZENIE

*Jeśli nie możesz rozwiązać ich trwogi.
Że córka schodzi na śliskie drogi,
To lepiej już nie mów nic.
Lepiej nie mów nic.*

starszy Way próbował od lat wprowadzić na rynek nowy płyn c opryskiwania cykorii. Śledztwo w sprawie pobicia go ujawniło, że Way otrzymywał ostrzeżenia przed rozsyłaniem listów reklamowych, a ta że wydobyło na światło dzienne fakt, że czołowi plantatorzy cykorii używają do opryskiwania płynów zawierających śmiertelną truciznę

*Lecz jeśli swoich błędów żałuje.
Na zrozumienie zasługuje*

GÓRNICY ODMALOWUJĄ OKROPNOŚCI SZYBU ŚMIERCI

z powodu trudności, jakie przeżywają obecnie banki na Florydzie nie realizuje się tam czeków tak szybko, jak to powinno mieć miejsce Dla zapobieżenia zwłoce prosimy więc o przesyłanie nam, zamiast czeków, ekspresowych przekazów pocztowych

*Jak kruchy motyl przy niepogodzie.
Pomny aromatów
Słodkich ziół i kwiatów
W zalanym wczoraj słońcem ogrodzie*
TURYSŃCI OBRABOWALI STACJĘ BENZYNOWĄ

WYPRZEDAŻ AKCJI NIE ZDOŁAŁA ZAPOBIEC HOSSIE

sam klimat sprzyja optymizmowi, bo pesymistyczne nastroje nie mogą się oprzeć ciepłemu słońcu i balsamicznej bryzie wiejącej od Zatoki Meksykańskiej i od Atlantyku

Nie będzie już padało
HURAGAN SPUSTOSZYŁ POŁUDNIOWĄ FLORYDĘ
POŁUDNIOWA FLORYDA ZRÓWNANA Z ZIEMIĄ
TYSIĄC ZABITYCH, TRZYDZIEŚCI OSIEM TYSIĘCY
BEZDOMNYCH

POBITO PIĘKNOŚĆ BROADWAYU

*Lisek ma puszystą kitę,
Ogon goły u oposów.
Królik ma zamiast ogonka*

Tylko małą kępkę włosów.

FUNDUSZ POMOCY FLORYDZIE O WIELE ZA MAŁY

GROZI STAN WYJĄTKOWY

Ach, nie będzie padało

edług policji całe towarzystwo spędziło sobotnie popołudnie w Parku na Wzgórzu, wielkim lunaparku w Belleville, i około północy udało się do wynajętego domku. Panny Bagley się położyły, jak zeznały policji, a kiedy mężczyźni wtargnęli do ich pokoju, jedna z nich wyskoczyła oknem

*Lecz jak, u diabła, stara wiedźma zgadła.
Że już nie będzie padało?*

MARGO DOWLING

Agnes wysiadła ze slingu spowita od stóp do głów w czarną krepe. Przytyła, jej twarz miała szary zmięty wygląd, jakiego Margo u niej nigdy nie widziała. Margo położyła jej głowę na ramieniu i wybuchnęła płaczem nie bacząc, że są na zatłoczonym, zalanym słońcem peronie stacji w Miami. Potem wsiadły w Buicka i pojechały do willi nad morzem. Agnes nawet nie zauważyła limuzyny, szofera w liberii, nic. Ujęła Margo za rękę i tak siedziały patrząc każda w swoją stronę, na upalne ulice pełne wolno poruszających się ludzi w letnich strojach. Margo ocierała oczy koronkową chusteczką.

- Czy nie powinnaś nosić żałoby?- spytała Agnes. -Nie byłoby ci lżej na duszy, gdybyś się ubrała na czarno? Dopiero gdy niebieski Buick zatrzymał się na- podjeździe willi i Raymond, szofer Mulat o chudej twarzy, rzucił się w uśmiechach i ukłonach do wnoszenia walizek, Agnes zaczęła coś dostrzegać.

- Jaka wspaniała limuzyna! - wykrzyknęła. Margo pokazała jej dom, potem wyprowadziła ją na osłoniętą werandę pod palmami, z widokiem na fioletowawy ocean, zielone wody przybrzeżne i białe fale przyboju.

- To wprost cudowne - powiedziała Agnes i osunęła się z westchnieniem na wiszącą kanapkę. - Jestem taka zmęczona. Zaczęła znowu płakać. Margo wyszła poprawić makijaż w wysokim lustrze w hallu.

- No - spytała wróciwszy świeżo upudrowana i rumiana -jak ci się podoba dom? Niegorsza chałupa, co?

- Nie możemy tu zostać. Co my teraz poczniemy? - jęła chlipać Agnes. - Wszystkiemu winna grzeszna nierealność materii. Och, gdyby pan Anderson miał wznioślejsze myśli.

- Na razie mamy opłacone komorne za miesiąc z góry - odrzekła Margo.

- Ale te wydatki - lamentowała Agnes.

Margo patrzyła przez siatkowe drzwi na wielki czarny tankowiec w dali. Obróciła głowę i powiedziała z irytacją przez ramię:

- W każdym razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym się trochę zakręciła koło praw pierwokupu. Możesz mi wierzyć, tu jest prawdziwa koniunktura. A nuż uda nam się zarobić trochę floty. Znam wszystkich ludzi, którzy się liczą w tym mieście. Poczekaj, Agnes, zobaczysz. Czarna pokojówka Eliza wniosła srebrny serwis do kawy, filiżanki i talerz tostów na srebrnej tacy nakrytej koronkową serwetką. Agnes odsunęła welon, upiła małymi łyżkami trochę kawy i zaczęła skubać kawałek tosta.

- Weź sobie na tost konfitur - powiedziała Margo zapalając papierosa. - Zdawało mi się, że oboje z Frankiem nie uznawaliście żałoby.

- To było silniejsze ode mnie. W żałobie czuję się jakoś różnie. Och; Margo, nie pomyślałaś nigdy, że gdyby nie ta nasza okropna niewiara, może obaj byłiby teraz z nami. - Otarłszy oczy wróciła do kawy i to-sta. - Kiedy pogrzeb?

- Pogrzeb odbędzie się w Minnesocie. Rodzinka wzięła wszystko w swoje ręce. Traktują mnie jak zarazę.

- Biedny pan Anderson. Moje nieszczęśliwe dziecko, musisz być zupełnie załamana.

- Szkoda, że ich nie widziałas. Ten jego brat Jim to by zabrał centy z powiek umarłego. Grozi, że wytoczy proces o akcje, które jego zdaniem stanowiły własność Charliego. Niech wytacza, jak chce. Moim adwokatem jest Homer Cassidy, a co on powie, to tutaj święte. Słuchaj, Agnes, musisz rzucić ten wdowi strój i zacząć się zachowywać jak człowiek. Co by powiedział Frank, jakby cię zobaczył w takim stanie?

- Ależ on tu jest - pisnęła Agnes, wybuchnęła szlochem i znowu cała się rozkleiła. - Patrzy na nas w tej chwili. Wiem to na pewno.-Otarła oczy, pociągnęła nosem. - Ale, Margo, jadąc tutaj myślałam sobie w pociągu, że możecie się po cichu pobrali z panem Andersonem. Zostawił pewnie krociowy spadek.

- Większa część jest zamrożona. Ale Charlie był morowy, zabezpieczał mnie po trochu.

- Pomyśleć tylko, żeby dwa takie okropne nieszczęścia przydarzyły się jednej zimy.

- Agnes - powiedziała Margo wstając - jeśli będziesz tak bez przerwy stękać, odeślę cię z miejsca do Nowego Jorku. Uważasz, że jeszcze jestem za mało zgnębiona? Masz cały czerwony nos, wyglądasz okropnie. Posłuchaj, rozgość się tymczasem w domu, bo ja mam interes do załatwienia na mieście.

-- Och, nie zostanę tutaj sama - zachlipała Agnes. - Czuję się tak obco.

- Możesz pojechać ze mną pod warunkiem, że zdejmiesz ten okropny welon. Tylko się pospiesz, mam się z kimś spotkać. Kazała Agnes poprawić włosy i włożyć białą bluzkę. W czarnej sukni było jej właściwie bardzo do twarzy. Margo leciutko ją umalowała.

- No, moja droga, teraz wyglądasz ślicznie-powiedziała i pocałowała ją.

- To naprawdę twoje auto? - spytała Agnes opadając na poduszki niebieskiej limuzyny. - Nie chce mi się wierzyć.

- Mam ci pokazać papiery?- odparła Margo. - Możemy jechać, Raymond. Wiesz, gdzie jest biuro maklerskie.

- Oczywiście, panienko - przytaknął Raymond dotykając błyszczącego daszka czapki.

Po chwili pod niepokalanym lakierem maski równiutko zagrał motor. Ławki w biurze maklerskim wypełniał zwykły tłumek eleganckich starszych osób w sportowych strojach, mężczyźni z panamami na kolanach letnich garniturów i płóciennych pump, kobiety w różach i seledynach, w świeżych kremowych i

białych sukienkach. Na Margo robiło to zawsze trochę kościelne wrażenie, te szepty, uprzedzająca grzeczność, szybcy uważni chłopcy przy długich tablicach zapisanych kolumnami symboli, stukot telegrafu, mocny głos zza kontuaru w głębi odczytujący z taśmy ostatnie notowania. Wszedłszy Agnes załknionym głosem szepnęła Margo do ucha, że może lepiej poczeka w aucie, aż Margo załatwi sprawę.

- Nie, zostań - odparła Margo. - Widzisz, ci chłopcy wypisują na tablicach najświeższe transakcje giełdowe. Zaczynam się w tym trochę wznawać.

Dwaj starsi panowie o siwych włosach i żydowskich nosach z szerokimi chrapami zrobili im z uśmiechem miejsce na ławce w tyle sali. Kilka osób się obróciło i odprowadziło Margo wzrokiem. Usłyszała, jak jedna z kobiet syczy coś o tym Andersonie do mężczyzny siedzącego obok. Powstał lekki szumek szepków i szturchania łokciami. Margo wiedziała, że jest doszykowana, więc nie przejęła się tym zbytnio.

- Jak tam, moja miła panienko - rozległo się za nią mruknięcie sędziego Cassidy'ego - kupujemy dzisiaj czy sprzedajemy? Margo obróciła głowę. Sędzia błysnął złotym zębem w uśmiechu, który mu rozpromienił szeroką twarz pod strzechą srebrnych włosów tego samego odcienia, co szare płócienne ubranie, przekreślone drugim błyskiem złota podwójnej dewizki zwisającej na pokaźnej wypukłości kamizelki. Margo potrząsnęła głową.

- Nic ciekawego się dzisiaj nie dzieje - powiedziała. Sędzia dał głową znak i skierował się ku drzwiom. Margo wstała i ruszyła za nim ciągnąc za sobą Agnes. Wyszedłszy w wietrzny blask krótkiej ulicy, która prowadziła do plaży miejskiej, przedstawiła Agnes jako swego anioła opiekuńczego.

- Mam nadzieję, że nie zrobi nam pani dziś takiego zawodu jak wczoraj, moja droga panienko -- zaczął sędzia Cassidy. - A może uda się namówić i panią Mandeville...

-- Niestety nie - przerwała mu Margo. - Sam pan rozumie, biedaczka jest taka zmęczona, przed chwilą przyjechała z Nowego Jorku. Agnes, kochanie, my jedziemy obejrzeć pewne parcele. Raymond odwiedzi cię do domu. Lunch będzie gotowy, potem odpocznij sobie przyzwoicie.

- O, tak, dobrze mi zrobi trochę odpoczynku - odrzekła Agnes oblewając się rumieńcem.

Margo wsadziła ją do Buicka, który Raymond zdążył właśnie podprowadzić z parkingu, pocałowała ją na pożegnanie, po czym ruszyła z sędzią ulicą do miejsca, gdzie w gorącym południowym słońcu stał wypucowany i lśniący jego otwarty Pierce Arrow. Sędzia prowadził sam. Margo usiadła koło niego na przednim siedzeniu. Gdy tylko auto ruszyło, zapytała:

- No, i co z czekiem?

- Moja droga panienko, niestety brak pokrycia to znaczy brak pokrycia. Przypuszczalnie uda nam się to wyegzekwować z masy spadkowej.

- Będzie jak znalazł, żeby sobie opłacić miejsce na cmentarzu.

- Faktycznie, postępowanie spadkowe musi trochę potrwać. Tym bardziej że nieborak zostawił swoje interesy w dużym nieporządku.

- Biedny Charlie - westchnęła Margo i odwróciwszy głowę popatrzyła przez rząd palm na brunatne połacie zatoki Biscayne. Tu i tam na zielonych wysepkach sterczała nowa surowa budowla o stiukowej fasadzie, jak dekoracja teatralna wystawiona w dzień na chodnik. - Niech pan mi wierzy, że robiłam, co mogłam, żeby go mitygować.

- Oczywiście, oczywiście. Miał faktycznie bardzo znaczny portfel akcji. Tylko to zwariowane życie nowojorskie. My tutaj żyjemy znacznie swobodniej, czekamy, aż owoce same dojrzeją na drzewie.

- Pomarańcze - powiedziała Margo - i cytryny. Zaczęła się śmiać, lecz sędzia jej nie zawtórował. Przez jakiś czas milczeli oboje. Dojechali do końca estakady nadbrzeżnej i skręcili koło żółtych drewnianych zabudowań przystani w gęsty ruch dzielnicy portowej Miami. Z rusztowań i zaśmieconych placów budowy wynurzały się wszędzie wielkie nowe gmachy lukrowane jak torty. Z dudnieniem przejechali po prowizorycznym drewnianym moście przez rzekę Miami. Wśród łoskotu betoniarek i chmury pyłu nawiewanego z budów Margo obróciła do sędziego chłodną twarz z niewinnymi okrągłymi oczami.

- Zdaje się, że nie będę miała innego wyjścia, jak zastawić swoje błyskotki. Sędzia się roześmiał.

- Zapewniam panią, że bank pójdzie pani we wszystkim na rękę. Nie musi pani sobie o nic łamać ślicznej główki. O ile się nie mylę, jest pani obecnie w posiadaniu pokaźnego pakietu praw pierwokupu.

- A nie mógłby mi pan przypadkiem na ich konto pożyczyć paru tysięcy?

Jechali nową szeroką betonową szosą wśród gęstych zarośli tropikalnych.

- Moja miła droga panienko - wycedził sędzia Cassidy w swój jowialny sposób - nie wolno mi tego zrobić dla pani własnego dobra. Niech pani pomyśli, jak opacznie by to mogło zostać zrozumiane, jakie by mogło spowodować niewczesne plotki. My tutaj jesteśmy dosyć staroświeccy. Zachowujemy się na pozór swobodnie, ale jak coś ma najłżejszy posmak skandalu... O, nawet przejażdżka z taką czarującą osobką po ulicach Miami to szaleństwo z mojej strony, bardzo miłe szaleństwo. Musi pani wiedzieć, moja droga panienko, że człowiek na moim stanowisku nie może sobie pozwolić... Proszę źle nie rozumieć moich motywów, nigdy nie odmówiłem przyjacielowi w potrzebie. Niestety moja pomoc byłaby zupełnie inaczej interpretowana. Tylko mąż albo...

- Czy to oświadczy, panie sędzio? - przerwała mu ostro Margo. Oczy ją paliły, z trudem powstrzymywała

ły.

- Jedynie porada adwokata dla klientki. - Sędzia westchnął. Pech chce, że jestem żonaty.
- Jak długo pana zdaniem potrwa ta koniunktura?
- Nie muszę pani przypominać, jakie wypadki chodzą po ludziach.
- Nie musi pan - odburknęła Margo.

Wjechali właśnie na parking za wielkim nowym karmelkowym hotelem. Wsiadłszy z auta Margo powiedziała:

- Są osoby, które mogą sobie pozwolić na straty. Nas na to po prostu nie stać, prawda, panie sędzio?

- Moja droga panienko, słowo strata nie powinno w ogóle istnieć w optymistycznym słowniku młodości. - Sędzia w swój ojcowski sposób wprowadził ją do jadalni. - O, są nasi chłopcy. Przy okrągłym stoliku pośrodku zatłoczonej jadalni siedziało dwóch młodych ludzi o nalanych twarzach i szerokich ustach, ubranych w pasiaste koszule, niebieskawozielone spieralne krawaty i białe garnitury. Wstali z pełnymi ustami i energicznie potrząsnęli dłonią Margo, gdy sędzia ich przedstawił. Byli bliźniakami. Usiadłszy z powrotem jeden z nich mrugnął i pogroził Margo tłustym palcem.

- Widywaliśmy panią w Palmach. Niegrzeczna z pani dziewczynka, oj, niegrzeczna.

- No, chłopcy, jak tam interesy? - spytał sędzia.

- Nie można się uskarżać - odparł jeden z bliźniaków pełnymi ustami.

- Bo widzicie - podjął sędzia - nasza młoda przyjaciółka chciałaby porobić jakieś niewielkie inwestycje, na których można szybko zarobić.

Bliźniacy przytaknęli mruknięciem nie przerywając żucia. Po lunchu sędzia zawiózł ich wszystkich pod Basen Wenecki, na którym siedział w fotelu na tratwie pod pasiastą markizą William Jennings Bryan i przemawiał do tłumu. W miejscu, gdzie się zatrzymali, nie było słyhać słów, tylko śmiech i oklaski słuchaczy, ilekroć zrobił pauzę. -- Wie pan co, sędzio? - powiedział jeden z bliźniaków, gdy się przepychali skrajem ciżby dokoła basenu. - Staruszek byłby kapitalnym licytorem, gdyby sobie nie zawracał głowy polityką. Margo zaczynała się czuć zmęczona i nieświeża. Weszła za bliźniaka-mi do biura sprzedaży nieruchomości, pełnego spoconych mężczyzn bez marynarek. Sędzia wystarał jej się o krzesło. Usiadła z plikiem prospektów na kolanach i postukiwała białym giemzowym pantofelkiem o kafle posadzki. Ceny były niemożliwe. Czowała się zagubiona, żalowała, że nie ma przy niej pana A. On by jej doradził, co kupić. Przed budynkiem zajęły się ławki ustawione na murawie, zewsząd dochodziły okrzyki. Zaczęła się licytacja. Bliźniacy na podium wymachiwali ramionami, stukali młoteczkami w stolik. Sędzia spacerował tam i z powrotem za krzesłem Margo zachwalając koniunkturę każdemu, kto chciał słuhać. Gdy się zatrzymał dla złapania tchu, Margo uniosła ~głowę i poprosiła:

- Panie sędzio, czy nie mógłby mi pan sprowadzić taksówki?

- Ależ, moja droga panienko, sam panią odwiozę. Nie odmówi mi pani tej przyjemności?

- Dobrze - odrzekła Margo.

- Bardzo rozsądnie pani postępuje - szepnął jej sędzia Cassidy do ucha.

Zaczęli się przepychać skrajem tłumu, gdy jeden z bliźniaków, z którymi jedli lunch, zeskoczył z podium licytatorów i dał za nimi nura przez ciżbę.

- Panno Dowling - zawołał - czy możemy obaj z Alem panią odwiedzić?

- Oczywiście - odparła Margo z uśmiechem. - Numer jest w książce telefonicznej pod moim nazwiskiem.

- Stawimy się.

Z tym zawrócił biegiem w stronę podium, na którym jego brat stukał młoteczką w stolik. Margo poczuła, jak z twarzy znika jej grymas irytacji. A już była w strachu, że nie zrobiła na bliźniakach wrażenia. Znalazłszy się w domu zdjęła kapelusz, kazała Raymondowi, który po południu pełnił funkcje lokaja, przyrządzić parę Martini, znalazła sędziemu cygaro, po czym go przeprosiła na chwilę. Na górze zastała w swoim pokoju Agnes siedzącą w lawendowym negligu przed toaletką i robiącą manikiur. Bez słowa rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Agnes wstała, zażywna, zwiotczała i opiekuńcza, i podeszła do łóżka.

- Co się stało, Margie? Nigdy nie płakałaś.

- Wiem - zanosila się Margo - ale to wszystko takie okropne. - Sędzia Cassidy czeka na dole, zjeżdż go pobawić.

- Moje biedne maleństwo. Dobrze, zjeżdż, ale on przecież czeka na ciebie. Za dużo się na ciebie wali.

- Nie zostanę znowu girlsą, nie chcę - szlochała Margo.

- O nie, mnie by się to też nie podobało - przytaknęła Agnes. - Zjeżdż do niego, czuję się wypoczęta po raz pierwszy od miesiący. Zostawisz sama, Margo od razu przestała beczeć.

- Jestem taka sama beznadziejna jak Agnes - mruknęła do siebie wstając.

Napuściła wody na kąpiel. Zrobiło się późno, nim się przebrała w popołudniową sukienkę i zeszła na dół. Sędzia miał dość ponurą minę. Siedział ssąc nerwowo koniuszek cygara i sącząc cocktail ze szklanki, a Agnes rozwodziła się o wierze. Ożywił się na widok schodzącej Margo. Margo nastawiła muzykę taneczną na gramofonie.

- Czuję się w pani domu jak ten sławny grecki mędrzec wśród syren - powiedział sędzia ruszając w jej

stronę krokiem one-stepa*. Zapominam o domu, klientach, wszystkim. Zaczęli tańczyć. Agnes wróciła na górę. Margo czuła, że sędzia zaczyna się do niej za chwilę dobierać. Zastanawiała się, jak zareagować, gdy Raymond niespodzianie wprowadził do salonu Cliffa Wegmana. Sędzia zmierzył młodzieńca spłoszonym podejrzliwym spojrzeniem. Obbleciał go strach, że to wstęp do szantażu, zorientowała się Margo.

- A, to pan. Nie wiedziałam, że pan jest w Miami. - Zdjęła igłę z płyty, zatrzymała gramofon. - Pan Wegman, sędzia Cassidy.

- Miło mi pana poznać, panie sędzio. Pan Anderson często o panu mówił. Byłem jego sekretarzem osobistym. - Cliff wyglądał mizernie, robił wrażenie zdenerwowanego. - Dopiero co przyjechałem wyjaśnić. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. - Posłał Margo szeroki uśmiech. - Powierzono mi uporządkowanie masy spadkowej po panu Andersonie.

- Biedaczysko - westchnął sędzia Cassidy wstając. - Miałem zaszczyt trochę się zaprzyjaźnić z porucznikiem Andersonem. - Kręcąc głową ruszył po miękkim śliwkowym dywanie ku Margo. - No, moja droga panienko, będzie mi pani musiała wybaczyć. Obowiązki wzywają. Było naprawdę uroczo.

Margo odprowadziła go do auta. Różowy zachód przechodził w zmierzch. Na drzewie pieprzowym koło domu śpiewał drozd przedrzeźniacz.

- Kiedy mogę przynieść biżuterię? - spytała Margo pochylając się ku sędziemu nad przednim siedzeniem auta.

- Może pani wpadnie jutro koło południa do mojej kancelarii.

Pojedziemy razem do banku. Oczywiście będzie pani musiała pokryć kosztą wyceny.

- Dobrze, a pan tymczasem może pomyśli dla mnie o jakiejś szybkiej inwestycji. Co komu po koniunkturze, jeśli nie ma się z niej żadnej korzyści.

Sędzia się uniósł, żeby ją pocałować. Odsunęła głowę, tak że jego mokre wargi musnęły jej tylko ucho.

- Niech pan się zachowuje jak na statecznego człowieka przystało - powiedziała.

Cliff krążył po salonie jak tygrys w klatce. Zatrzymał się i ruszył w jej stronę z zaciśniętymi pięściami, jakby ją chciał uderzyć. Żuł gumę, długie szczęki poruszające się z boku na bok nadawały mu wygląd owcy.

- Widzę, że szef zdążył zabezpieczyć małą sierotkę Anię*.

- Jeśli przyjechałeś, żeby mi tylko to powiedzieć, możesz od razu wsiadać w pociąg i wracać.

- Co ty, Margo, przyjechałem w interesie.

- W interesie? - Margo opadła na zbyt miękki różowy fotel. - Siadaj, Cliff. Ale wszystko jedno, nie musiałeś wpadać tutaj jak komornik. Chodzi o spadek po Charliem?

- Do licha ze spadkiem. Chcę, żebyś została moją żoną. Wprawdzie dochody mam na razie mizerne, ale jestem u progu wielkiej kariery. Margo pisnęła i odrzuciła głowę na oparcie fotela. Zaczęła się śmiać tak, że nie mogła przestać.

- Coś podobnego, Cliff-wykrztusiła. - Ależ ja nie mam zamiaru wychodzić za męża. Oj, Cliff, słodki dzieciaku, mogłabym cię ucałować. Podszedł i chciał ją objąć, ale się zerwała, odepchnęła go. -- Nie pozwolę takim bzdurom stawać mi na drodze do kariery. Cliff się naburmuszył.

Nie ożenię się z aktorką. Musiałabyś to rzucić. Margo ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Nawet z gwiazdą filmową?

-- Do diabła, ty sobie stroisz żarty, a ja za tobą szaleję. Usiadł na kanapie, ukrył twarz w dłoniach. Margo podeszła, usiadła obok niego.

-- Wybij to sobie z głowy, Cliff. Cliff zerwał się na równe nogi.

- Powiem ci tylko jedno. Do niczego cię nie doprowadzą konszachty z tym szakalem Cassidym. Jest żonaty i taki załgany, że sam się nabiera na swoje kanty. Napuścił szefa na kupno tych idiotycznych terenów pod lotnisko. Rany, a może dla ciebie to nie nowina? Może sama w tym maczałaś palce i pierwsza zgarnęłaś swoją dolę? A teraz uważasz, że to byczy kawał, kiedy człowiek tłucze się na drugi koniec świata, żeby ci zaofiarować swoją pomoc i swoje nazwisko? Jak tak, to koniec z nami. Do wi-dze-nia!

Wyszedł trzaskając oszklonymi drzwiami do hallu, tak że wyleciała i rozbiła się z brzękiem o podłogę jedna z szybek. Z jadalni wpadła Agnes.

- Och, to okropne! Słuchałam pod drzwiami. Myślałam, że biedny pan Anderson zostawił ci może spadek.

-- Temu chłopakowi brak piątej klepki - zawyrokowała Margo. Po minucie zadzwonił telefon. Był to Cliff, jękał się przez łyżę, przeproszał, zaklinał, żeby mu pozwoliła wrócić, pomówić o wszystkim.

- O, nie! - odparła Margo i odłożyła słuchawkę. - No, Agnes --powiedziała wracając od telefonu - widzisz, jak się sprawy mają. Będziemy musiały sobie same radzić. Cliff ma rację co do tego bęcwała Cassidy'ego. Zresztą nigdy nie traktowałam go poważnie.

- Taki dystyngowany pan - westchnęła Agnes i cmoknęła językiem.

Raymond obwieścił obiad. Margo i Agnes jadły we dwie, na dwu krańcach długiego mahoniowego stołu, nakrytego srebrami na małych ozdobnych serwetach. Zupa była zimna i przesolona.

- Sto razy mówiłam tej cholernej dziewczynie, żeby nie doprowadzała zupy, tylko wylała z puszki i zagrzała-irytowała się Margo. -- Błagam cię, Agnes, zajmij się gospodarstwem. Ci ludzie nic nie potrafią zrobić, jak należy.

-- Z rozkoszą - odparła Agnes - tylko że nigdy nie prowadziłam domu na taką skalę.

- Z tym skończymy - oświadczyła Margo. - Musimy się ograniczać.

- Może powinnam napisać do panny Franklyn, czyby się dla mnie nie znalazła jakaś nowa posada?

- Jeszcze z tym poczekaj. Możemy tu posiedzieć parę miesięcy. Przyszło mi do głowy, że pobyt na Florydzie świetnie by zrobił Toniemu. A gdybyśmy mu tak posłały bilet? Myślisz, żeby go spieniężył i znowu poszedł w kurs?

--- Ależ on jest wyleczony. Sam mi powiedział, że zupełnie odstawił narkotyki. - Agnes zaczęła chlipać nad talerzem. - Jaka z ciebie szlachetna dziewczyna, Margo, całkiem jak twoja matka. Zawsze tylko myślisz o innych.

Gdy Tony przyjechał do Miami, wyglądał jak wymoczek, ale wystarczyło parę dni plażowania na słońcu i kilka kąpeli w oceanie. żeby doszedł do formy. Był słodki, że go do rany przyłóż, wydawał się bardzo wdzięczny, pomagał Agnes przy gospodarstwie, bo odprawiły obie dziewczyny. Agnes oświadczyła, że nie może przy nich nic robić. woli już wziąć na siebie całą harówkę. Kiedy do Margo przychodzili znajomi mężczyźni, przedstawiała Toniego jako swego kubańskiego krewniaka. Ale zazwyczaj ani on, ani Agnes się nie pokazywali, gdy miała gości. Toni o mało nie wyskoczył ze skóry, kiedy Margo zaproponowała, żeby się nauczył prowadzić auto. Okazało się, że ma do tego dryg, tak że mogli zwolnić Raymonda. Pewnego dnia, gdy szycował wóz, żeby ją zawieźć do Cocanut Grove na spotkanie z paroma rekinami handlu nieruchomościami, Margo zapytała żartem, czyby nie przymierzył liberii, która została po Raymondzie, może będzie na niego pasowała. Faktycznie leżała na nim jak ulana. Lecz gdy zaproponowała, żeby ją w niej zawiózł na spotkanie, zrobił wielką scenę wykrzykując o honorze i godności męskiej. Uspokoila go, że to tylko tak, dla draki, na co oświadczył, że jak dla draki, to dobrze, może pojechać w liberii. Widziała, że nawet mu się to podoba, bo go podejrzala, jak się przegląda w wielkim lustrze w hallu. W Miami koniunktura w handlu nieruchomościami się kończyła i chociaż na papierze Margo zdołała zarobić na prawach pierwokupu sto tysięcy dolarów, nie mogła za nie dostać ani centa gotówką. Bliźniacy, których poznała w Coral Gables, dawali jej mnóstwo rad, ale Margo miała się na bacności, bo na radach się kończyło. Przesiadali u niej całe wieczory i całe niedziele, wyjadali wszystko, co Agnes miała w lodówce, wypijali cały alkohol, który był w domu, i tylko opowiadali, jakie to oni im wszystkim nastroją okazje. Agnes mawiała, że nie może wysypać piasku z pantofli plażowych, żeby z nich nie wytrząsnąć kóregoś z bliźniaków. Nie rewanżowali się żadnymi zaproszeniami, nigdy nie przynieśli nawet butelki szkockiej, lecz Agnes miała do nich słabość, bo Al jej cały czas nadskakiwał, podczas gdy Ed próbował uwieść Margo.

Pewnej niedzieli, po całodniowym plażowaniu i popijaniu cocktaili, Ed wdarł się do pokoju Margo, gdy wrócili zdjąć kostiumy kąpielowe i jeszcze się nie zdążyła ubrać. Zaczął z niej zrywać szlafrok, więc mu dała w nos, ale był solidnie zawiany i rzucił się na nią jeszcze wścieklej. Musiała wrzasnąć na Toniego, żeby odegrał zazdrosnego męża. Tony wpadł błąd jak ściana i cały drżący, lecz zdołał chwycić krzesło i chciał nim ukoronować Eda, gdy nadbiegli Al i Agnes zobaczyć, co to za harmider. Al ujął się za Edem i zdzielił Toniego w ucho wykrzykując, że Toni jest alfonsem, a one parą nędznych kurw. Margo była przerażona. Nigdy by ich nie wyrzuciły z domu, gdyby Agnes nie pobiegła do telefonu i nie zagroziła wezwaniem. policji. Bliźniacy odwrzasnęli, że mogą sobie wzywać, kogo chcą, policja jest od tego, żeby przepędzać z miasta takie dziry jak one, ale wskoczyli w ubrania, czmychnęli i więcej ich Margo nie widziała.

Po ich wyjściu Toni dostał spazmów, histeryzował, że przecież nie jest alfonsem, że nie zniesie dłużej takiego życia, że się zabije, jeśli Margo mu nie da pieniędzy na powrót do Hawany. Żeby go zatrzymać, musiały mu obiecać, że wyjadą z Miami, jak tylko Margo zlikwiduje swoje sprawy.

- Przecież chciałeś koniecznie zobaczyć Kalifornię - powtarzała Agnes głaszcząc go jak chłopca.

- Muszki na plaży robią się już nieznośne - powiedziała Margo. Poszła po mikser do salonu i przyrządziła wszystkim jeszcze po cocktailu. -- Koniunktura i tak się skończyła w tej dziurze, czas pakować manatki. Ja mam dosyć.

W suchy skwarny dzień załadowali rzeczy do Buicka i ruszyli szosą federalną numer jeden z Tonim, nie w liberii, lecz w nowym wciętym białym płóciennym ubraniu, za kierownicą. Buick był tak zapchany walizami i utensyliami domowymi, że Agnes ledwo się wcisnęła na tylne siedzenie. U sufitu wisiała gitara Toniego, kufer Margo jechał przypasany z tyłu.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Agnes wróciwszy z toalety na stacji benzynowej w Zachodnim Palm Beach, gdzie się zatrzymali dla zatankowania paliwa. - Wyglądamy zupełnie jak trupa wędrowna. Wszyscy razem mieli w sumie około stu dolarów, które Margo dała Agnes do schowania w jej czarnej torebce. Przez cały pierwszy dzień podróży Toni przechwalał się, jaką to on robi karierę w filmie.

- Mógł Valentino, to i ja nie będę miał trudności - powtarzał przekrzywiając szyję, żeby widzieć swój czysty smagły profil w wąskim lusterku nad przednią szybą.

Na noc zatrzymywali się w obozowiskach turystycznych, spali wszyscy w jednym domku i jedli z puszek, żeby zaoszczędzić pieniędzy. Agnes była w swoim żywiole. Mówiła, że przypomina jej to tournees po teatrach Keitha, gdy Margo była jeszcze cudownym dzieckiem. Cudownym dzieckiem, dobre sobie, odpowiadała Margo, czuję się teraz jak stara dziewiątka. Jakoś po południu Toni zaczynał co dzień narzekać na nieznośny

ból w przegubach i Margo musiała siadać za kierownicą. Szosa biegnąca wzdłuż Zatoki Meksykańskiej przez Alabamę, Missisipi i Luizjanę była okropna. Z ulgą wjechali do Teksasu, chociaż zaczęły raz po raz przelatywać deszcze. Ale zdawało się, że nigdy nie wyjadą z tego Teksasu. Agnes nie mogła się nadziwić, że istnieją na świecie takie przestrzenie obsiane lucerną. W El Paso musieli kupić dwie nowe opony i reperować hamulce. Twarz Agnes się wydłużyła, gdy przeliczyła banknoty, które jej zostały w torebce. Ostatnie parę dni jazdy przez pustynię do Yumy nie mieli w ustach nic prócz puszek pieczonej fasolki i pęta parówek. Było przeraźliwie gorąco, a Agnes nie pozwalała im się napić nawet Coca-Coli w zakurzonych drogeriach rzadko rozsianych miścin, bo jak mówiła, muszą oszczędzać każdego centa, jeśli nie chcą dobić do Los Angeles splukani do nitki. Przed Yumą, gdy się trzęśli w chmurze pyłu po nie dokończony szosie, dogonił ich błyszczący ekspres Kolei Południowego Pacyfiku*, wielka nowa roślina lokomotywa, pulmany, wagon restauracyjny, wagon klubowy z dziewczętami i mężczyznami w jasnych garniturach rozpartymi na pomoście widokowym. Pociąg wyprzedził ich powoli, szeroko uśmiechnięci czarni posługacze wychylali się z pulmanów i machali do nich. Margo westchnęła, bo przypomniły jej się podróże na Florydę, gdy miała do swojej dyspozycji całe coupe.

- Nie smuć się, Margie - zagruchała Agnes z tylnego siedzenia. - Już dojeżdżamy.

- Dojeżdżamy? Chciałabym tylko wiedzieć, dokąd - westchnęła Margo i w oczach zakręciły jej się łzy.

- Czy to ważne? - powiedział Toni. - Niech się tylko zakręcę, będę zarabiał parę tysięcy tygodniowo. Będziemy mogli podróżować salonką. W Yumie musieli stanąć w hotelu, bo obozowiska turystyczne zastali przepełnione do ostatniego miejsca, co bardzo nadszarpięło ich fundusze. Wszyscy troje upadali ze zmęczenia, a w nocy Margo obudziła się z wysoką gorączką z upału, kurzu i przemęczenia. Do rana gorączka jej ustąpiła, tylko oczy miała całe zapuchnięte i czerwone. Wyglądała jak czupiradło, bo i włosy prosiły się o umycie, były suche jak słoma i całe w strąkach.

Nazajutrz ruszyli w dalszą drogę zbyt znużeni, by się rozkoszować, gdy przejechali wysokie balsamiczne góry i znaleźli się w dolinie San Bernardino pełnej świetnie utrzymanych drzew owocowych, gajów pomarańczowych jeszcze z resztkami kwiecia i rowów irygacyjnych, od których szedł przyjemny chłód. W San Bernardino Margo oświadczyła, że musi iść do fryzjera, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Zostało im ostatnie dwadzieścia pięć dolarów, które Agnes zaoszczędziła na życiu jeszcze w Miami i o których im dopiero teraz powiedziała. Margo i Agnes poszły do salonu piękności, a Toniego z paroma dolarami posłały, żeby pojechał umyć auto. Wieczorem zjedli prawdziwy pięćdziesięciocentowy obiad, a potem wybrali się do kinematografu. Nocowali w przyjemnym przestronnym domku w obozowisku przy drodze do Pasadeny, o którym im powiedziała kobieta w salonie piękności, a następnego dnia wyruszyli wcześniej, nim się podniosła biała lepka mgła. Szosa była dobra, biegła długie mile między gajami pomarańczowymi. Nim dojechali do Pasadeny, wyszło słońce i Agnes z Margo zgodnie orzekły, że to najpiękniejsze miejsce, jakie widziały w życiu. Ilekroć mijali jakąś szczególnie ładną rezydencję, Toni wskazywał ją palcem i mówił, że tutaj zamieszkają, jak tylko się dorobi. Widzieli drogowskazy prowadzące do Hollywood, ale ani się spostrzegli, jak przejechali miasto. Zatrzymali się dopiero przed małym biurem wynajmu w Santa Monica. Jednakże wszystkie umeblowane domki, jakie właściciel miał do zaoferowania, były dla nich za drogie, w dodatku facet żądał komornego za miesiąc z góry, więc w rezultacie pojechali dalej. Wylądowali na ulicze zaniedbanych bungalowów ze stiukowymi elewacjami na przedmieściu Venice, gdzie ich niebieski Buick z przypasanym kufrem zrobił takie wrażenie, że właściciel ich przyjął, mimo że mogli zapłacić komorne tylko za tydzień z góry. Margo uważała, że dom jest obskurny, natomiast Agnes była w siódmym niebie. Powiedziała, że Venice przypomina jej lunapark Hollanda za dawnych lat.

- Dlatego mi się właśnie mdło robi - odrzekła Margo. Toni wszedł do środka i padł z miejsca na tapczan, tak że Margo musiała ściągnąć sąsiadów, żeby im pomogli wnieść walizy i kufer. Mieszkali na tej obskurnej ulicze parterowych domków przez tyle miesięcy, że Margo wołała ich nie liczyć wtedy ani potem. Margo zarejestrowała się w agencji aktorskiej pod nazwiskiem Margo de Garrido i została zaraz zaangażowana jako statystka do scen towarzyskich dzięki swoim eleganckim strojom i umiejętności ich noszenia, której nabyła u starego Piquota. Toni przesiadywał w agencji albo kręcił się pod bramą któregoś atelier, gdzie akurat kompletowano obsadę do filmu o tematyce hiszpańskiej czy południowoamerykańskiej, w szerokoskrzydłym kordobańskim kapeluszu, który kupił u kostiumera, w dopasowanych spodniach, a niekiedy również w kowbojskich butach z ostrogami, ale jak na złość statystów w typie latynoskim było zawsze zatrzęsienie. Zrobił się ponury i drażliwy, obwoził autem po mieście mizdrzących się młodych mydłków, których nie wiadomo skąd brał, aż Margo tupnęła nogą, że auto jest jej i niczyje więcej, i zabroniła mu również sprowadzać koleżków do domu. Obraził się i poszedł sobie, chociaż Agnes, która prowadziła gospodarstwo i zarządzała pieniędzmi przynoszonymi przez Margo, nie chciała mu dać nic na drobne wydatki. Nie było go dwa dni, po czym wrócił zgłodniały z miną zbitego psa. Od tej pory Margo kazała mu wkładać starą liberię szoferską, gdy ją odwoził na plan. Wiedziała, że nie pojedzie w niej nigdzie więcej, tylko wróci do domu przebrać się, a tu Agnes zabierze mu kluczyki od wozu. ; Wróciwszy zmęczona po dniu na planie stwierdziła, że objął się cały czas po domu brzdąkając na gitarze "Nie będzie już więcej padać", śpiąc i ziewając na wszystkich łózkach, śmiejąc wszędzie popiołem z papierosów. Uważał, że Margo łamie mu karierę.

Najbardziej mierziło ją ; w nim to jego ziewanie.

Pewnej niedzieli - po trzech latach mieszkania na różnych przedmieściach Los Angeles, przenoszenia się z jednego domku do drugiego, trzech latach, w ciągu których Margo dość regularnie pracowała na planie jako statystka, ale nigdy nie zwróciła uwagi żadnego reżysera, zawsze zdołała odłożyć dość pieniędzy na odsetki, ale nigdy zebrać dość gotówki na wykupienie biżuterii z banku w Miami - pewnej niedzieli wybrali się na przejażdżkę do Altadeny i w drodze powrotnej musieli się zatrzymać w przygodnym garażu, żeby naprawić przebitą dętkę. Przed garażem stało kilka używanych aut na sprzedaż. Margo zaczęła się przechadzać tam i z powrotem dla zabicia czasu.

- Nie reflektowałaby pani przypadkiem na Rolls-Royce'a? - zapytał półzartem mechanik wyjmując lewarek spod koła. Margo wsiadła do wielkiej czarnej limuzyny z czerwonym herbem na drzwiczkach, wypróbowała siedzenie. Rzeczywiście było wygodne. Wychyliła się i spytała:

- Ile za niego chcecie?

- Tysiąc dolarów. To darmo za takie auto.

- No, połowa tego to by może było tanio - powiedziała Margo. Agnes wysiadła z Buicka, podeszła do niej.

- Czy ty oszalała, Margie?

- Może - odrzekła Margo i zapytała, ile by jej opuścili, gdyby im oddała Buicka.

Mechanik zawołał szefa, młodego człowieka o twarzy ropuchy, w jedwabnej koszuli z monogramem. Margo targowała się z nim o cenę przez bitą godzinę. Toni tymczasem wypróbował auto i orzekł, że chodzi jak marzenie. Był okropnie podekscytowany myślą o prowadzeniu Rolls-Royce'a, nawet używanego. W końcu właściciel wziął Buicka i zgodził się na pięćset dolarów w dziesięciodolarowych ratach tygodniowych. Spisali od ręki kontrakt, przy czym Margo podała jako poręczycieli sędziego Cassidy'ego i Tada Whittlesea. Zmienili tablice rejestracyjne i wrócili wieczorem Rollsem do Santa Monica, gdzie w tym czasie mieszkali. W Beverly Hills, skręcając w bulwar Santa Monica, Margo spytała od niechcienia:

- Czy ta stalowa dłoń z mieczem nie przypomina do złudzenia herbu hrabiów de Garrido?

- Ludzie tutaj to tacy ignoranci, że i tak się na tym nie poznają-odparł Toni.

- Więc ją zostaw na drzwiczkach - powiedziała Margo.

- Jasne - zgodził się Toni. - Ładnie wygląda. Wszyscy statyści zrobili wielkie oczy, gdy Toni w swojej schludnej szarej liberii podwiózł ją następnego dnia na plan, lecz Margo ani drgnęła powieka.

- To tylko stara bryka rodzinna - odparła na pytanie jednej ze statystek. -- Była zastawiona.

- A to twoja matka? - indagowała dalej dziewczyna wskazując kciukiem Agnes odjeżdżającą na tylnym siedzeniu wielkiego błyszczącego samochodu w najlepszej czarnej sukni, z głową dumnie podniesioną do góry.

- Ale skądże -powiedziała chłodno Margo. - Dama do towarzystwa.

Mnóstwo facetów chciało się z Margo umawiać, ale byli to co najwyżej statyści, operatorzy, rekwizytorzy czy stolarze, więc obie z Agnes uważały, że niewiele jej przyjdzie z takiego towarzystwa. Życie wydawało jej się okropnie samotne po wirze znajomych, mężczyzn, którzy za nią szaleli, transakcji handlowych i Bóg wie czego w Miami. Wieczorami przeważnie grała z Agnes w garibaldkę albo w brydża z dziadkiem, jeśli Toni nie był zbyt poirytowany i rządził się do nich przyłączyć. Czasem wybierali się do kina albo na plażę, gdy było ciepło. Kiedy w Kinoteatrze Chińskim Graumana* odbywała się premiera, przejeżdżali wolno przez zatłoczony Hollywood Boulevard. Rolls prezentował się klasa, a Margo miała szykowną suknię wieczorową na tyle jeszcze modną, że wszyscy brali je za gwiazdy filmowe.

Pewnego niedzielnego popołudnia w środku zimy, gdy wiatr miótł tumany pyłu, Margo była szczególnie przygnębiona, bo moda tak się ostatnio zmieniła, że nie mogła już nosić starych toalet, a na nowe nie miała pieniędzy. Zerwała się z krzesła rozsypując na podłogę talię kart pasjansowych i zawołała do Agnes, że muszą się zabawić, bo inaczej oszaleje. Agnes powiedziała, że może w takim razie przejadą się do Palm Springs obejrzeć nowy hotel. Mogliby tam zjeść obiad, jeśli to za bardzo nie nadwerży ich budżetu, a potem zanoć w jakimś obozowisku turystycznym nad Zalewem Saltońskim*. Wygrzaliby sobie trochę kości po przejmujących mgłach Los Angeles.

Znalazłszy się w Palm Springs Agnes uznała, że wszystko wygląda zbyt luksusowo i chciała jechać dalej, lecz Margo z miejsca poczuła się w swoim żywiole. Toni był w liberii szoferskiej, więc musiał zostać w aucie. Miał minę jak gradowa chmura i Margo myślała, że pęknie ze złości, gdy mu powiedziała, żeby poszedł coś przegryźć w bufecie na kółkach, ale nie śmiał jej odszczeknąć, bo tuż obok stał szwajcar. Poszły do toalety odświeżyć twarze, a potem jęły się przechadzać pod wielkimi palmami daktylowymi wypatrując, czy nie poznają jakichś aktorów filmowych, gdy Margo usłyszała znajomy głos. Przyglądał jej się ciemny mężczyzna o chudej twarzy, w białym szarszowym garniturze. Zostawił imponującego łysiego pana o semickich rysach, z którym gawędził, i podszedł do niej. Miał sztywny krok oficera, który dokonuje przeglądu kompanii przęcej się na bacność.

- Panna Dowling - powiedział. - Co za szczęśliwe spotkanie dla obu stron.

Margo zajrzała z uśmiechem w ziemistą twarz z tikiem i ciemnymi workami pod oczyma.

- Pan jest tym fotografem - odrzekła. Zmierzył ją ostro.

- Jestem Sam Margolies - oznajmił. - Szukałem pani po całej Ameryce i Europie. Proszę się zgłosić jutro o dziesiątej do mego biura na zdjęcia próbne. Irwin poda pani szczegóły. - Kiwnął niedbale na tęgiego Żyda. - Pan Harris, panna Dowling. Proszę mi wybaczyć, nigdy nie pozwalałem sobie na takie prezentacje, ale chciałem, żeby Irwin panią zobaczył. Irwin, to jedna z najpiękniejszych kobiet Ameryki. - Przesunął dłoń tuż przed twarzą Margo poruszając palcami, jakby modelował w glinie. - Normalnie byłoby niemożliwością sfilmować taką twarz. Tylko ja mogę ją wprowadzić na ekran. Margo poczuła chłód w plecach. Usłyszała, jak Agnes za nią wciąga powietrze szeroko otwartymi ustami. Rozciągnęła powoli kąciki ust w kpiącym uśmiechu.

- Popatrz tylko, Irwin! - wykrzyknął Margolies chwytając tęgiego pana za ramię. - Przecież to wcielenie zmysłu komediowego. Ale czemu pani się do mnie nie zgłosiła? - Mówił z silnym akcentem cudzoziemskim, którego Margo nie potrafiła umiejscowić. - Czym sobie zasłużyłem na pani niełaskę?

Margo zrobiła znużoną minę.

= To pani Mandeville, moja... towarzyszka. Zwiedzamy trochę Kalifornię.

- Co tu jest do zwiedzania oprócz atelier filmowych?

- Właśnie, może pan by pokazał pani Mandeville atelier filmowe. Biedaczka tak chce obejrzeć atelier, a ja nie znam żywej duszy w tym kącie świata. Żywej duszy.

- Oczywiście, każę komuś pokazać pani wszystko, co pani zechce. Ale tu jest tylko nuda i wulgarność. Irwin, to twarz, której mi było potrzeba do roli tej małej blondyneczki, pamiętasz? Zawracasz mi głowę agencjami, statystkami, bzdurami, a ja nie chcę aktorek. Ale gdzie pani się podziewała, panno Dowling? Miałem cichą nadzieję, że panią spotkam latem w Baden-Baden. Jakoś mi pani pasowała do Baden-Baden. Oczywiście, to idiotyczne miejsce, ale gdzieś trzeba w końcu jeździć. Gdzie pani właściwie była?

- Na Florydzie, w Hawanie. W różnych miejscach. Margo pomyślała w duchu, że kiedy ostatni raz widziała Margoliesa, nie używał jeszcze szerokiego brytyjskiego "a".

- Rzuciła pani scenę? Margo wzruszyła lekko ramionami.

- Rodzina tak mi zatruwała życie.

- Nigdy mi się nie podobało, że występuje na scenie! - wykrzyknęła Agnes, która tylko czekała na okazję wtrącenia słówka.

- Spodoba się paniom praca w filmie - odezwał się pojednawczo tęgi pan.

- Droga Margo - podjął Margolies - to niezbyt wielka rola, ale jak dla pani stworzona, jak stworzona. Wydobędę drzemiacą w pani tajemnicę. A nie mówiłem ci, Irwin, że trzeba wyjść z atelier, rozejrzeć się po świecie, otworzyć księgę żywota? I co, w tym idiotycznym karawan-seraju odkrywamy taką twarz, wcielenie zmysłu komediowego, uśmiech Mony Lizy. To słynny obraz w Paryżu, wart podobno pięć milionów dolarów. Nie pytaj mnie, skąd wiedziałem, że ją tutaj spotkam, ale wiedziałem. Oczywiście, z całą pewnością będziemy mogli powiedzieć dopiero po zdjęciach próbnych. Nigdy z góry nie podejmuję zobowiązań.

- Ale nie wiem, proszę pana, czy ja będę mogła - odparła Margo z trzepocącym sercem. - Właściwie się śpieszymy. Mamy ważne interesy w Miami. Sprawy rodzinne, rozumie pan.

- To bez znaczenia. Znajdę pani agenta, pošlemy tam kogoś. Takie drobiazgi nie mają dla mnie znaczenia. Pewnie nieruchomości? Margo zrobiła nieokreślony ruch głową.

- Parę lat temu taki piękny dom, w którym mieszkaliśmy, został cały zmyty przez morze - powiedziała Agnes bez tchu.

- Kupią panie ładniejszy. W Malibu Beach albo w Beverly Hills. Nie lubię domów. Jestem niegrzeczny, zatrzymuję panie. Ale zapomną panie o Miami. Tutaj mamy wszystko. Pamięta pani, droga Margo, powie-działem pani tamtego dnia, że kino ma kolosalną przyszłość. Była pani... wie pani, z tym wielkim potentatem automobilowym, zapomniałem jego nazwiska. Powiedziałem, że usłyszy pani o mnie w kinematografie. Rzadko pozwalałem sobie na przepowiednie, ale nigdy się nie mylę. Opieram je na wierze w szósty zmysł.

- Otóż to - przerwała Agnes -- święte słowa. Jak ktoś naprawdę wierzy w sukces, nie może mu się nie powieść. Zawsze to powtarzam Margie.

- Bardzo pięknie powiedziane, droga pani. A więc kochana panno Dowling, w atelier Rozrywki Kontynentalnej o dziesiątej. Każę komuś czekać przy bramie, żeby pozwolili pani szoferowi podjechać aż pod moje biuro. Nie sposób mnie złapać telefonicznie. Nawet Irwina ze mną nie łączą, kiedy pracuję na planie. To będzie dla pani prawdziwe przeżycie, zobaczyć mnie przy pracy.

-- Dobrze, jeśli tylko zdążę i mój szofer nie zabłądzi.

-- Och, przyjedzie pani -- powiedział Margolies.

Złapał Irwina Harrisa za krótką rękę w białej flaneli i pociągnął do jadalni. Elegancko ubrani goście odprowadzili ich wzrokiem. Potem zaczęli się gapić na Margo i Agnes.

- Chodźmy do tego bufetu powiedzieć Toniemu -- - szepnęła Mar-go do ucha Agnes. - Pomyślą, że jesteśmy po prostu ekscentryczne. Słowo daję, nigdy nie przypuszczałam, że ten sławny Margolies to on.

- Czyż to nie cudowne? - odrzekła Agnes.

Były takie podekscytowane, że nie mogły jeść. Wrócili jeszcze tego wieczora do Santa Monica i Margo poszła prosto do łóżka, żeby być następnego dnia wypoczęta.

Kiedy rano podjechali za kwadrans dziesiąta pod atelier oświadczone im, że pan Margolies nie zostawił żadnego polecenia. Nikt nic nie wiedział o żadnych zdjęciach. Czekali pół godziny. Agnes z ledwością powstrzymywała łzy. Margo się śmiała.

- Facet był pewno zaprawiony i o wszystkim zapomniał. Ale wewnątrz czuła się jak sparalizowana.

Toni właśnie zapalił motor i mieli odjechać, bo Margo nie chciała, żeby ją widziano czekającą tak pod bramą, gdy obok zatrzymał się biały otwarty nieseryjny pierce arrow. Na tylnym siedzeniu samotnie tkwił Margolies w białym Banelowym garniturze i w białym berecie. Rzucił okiem na Rolls-Royce'a i Margo zauważyła, jak drgnął poznawszy ją. Zastukał laską o porcelanowej gałce w szybę dzielącą go od szofera. Potem wysiadł, wsunął rękę do Rolls-Royce'a i ujął Margo za dłoń.

- Nie mam zwyczaju przepraszać. Często każe ludziom czekać. Zabieram panią ze sobą. Może przyjaciółka przyjedzie po panią o piątej. Mam pani mnóstwo do powiedzenia i do pokazania. W długim budynku o niepozornym frontonie wsiedli do windy. Na górze Margolies przeprowadził ją przez kilka pokoi biurowych, w których przy rajzbretach pracowali młodzi mężczyźni bez marynarek, stenotypistki stukały na maszynach, na ławkach czekali aktorzy.

- Frieda, zdjęcia próbne dla panny Dowling, tylko zaraz - powie-dział mijając sekretarkę za wielkim biurkiem w ostatnim pokoju. Wprowadził ją do swojego gabinetu, obwieszzonego chińskimi malowidłami, z wielkim samotnym gotyckim fotelem ustawionym w blasku małego reflektora naprzeciw wielkiego rzeźbionego gotyckiego biurka.

- Niech pani siada

, Margo kochana. Nie wiem, jak wyrazić rozkosz oglądania twarzy nie skalanej przez kamerę. Nie ma na niej napięcia. Widać, że na pani to nie robi wrażenia. Celtycka świeżość połączona z beztroską szlachetnej Hiszpanii. Od razu wiadomo, że pani nigdy nie stała przed kamerą, przepraszam na chwilę.

Opadł na głęboki fotel za biurkiem i zabrał się do telefonowania. Od czasu do czasu wzywał stenotypistkę, której coś dyktował cichym głosem. Margo siedziała i siedziała. Myślała, że Margolies o niej zapomniał. W pokoju było gorąco i duszno, oczy zaczynały jej się kleić. Walczyła z ogarniającą ją sennością, gdy nagle Margolies zerwał się z biurka i zawołał:

- Chodź, kochana~ zejdziemy na dół.

Przez pewien czas Margo pozowała przed kilkoma kamerami w suterenie pachnącej tynkiem, po czym Margolies zabrał ją na lunch w zatłoczonej restauracji przy atelier. Czuła, jak wszyscy zerkają ukradkiem znad talerzy co to za nową dziewczynę przyprowadził Margolies. Przy jedzeniu wypytywał ją o jej dzieciństwo na wielkiej plantacji trzciny cukrowej na Kubie i lata pensjonarskie w Nowym Jorku. Potem się rozgadał o Karlsbadzie, Baden-Baden i Marienbadzie oraz o tym, jak południowa Kalifornia powoli się otrząsa ze swojej dawnej pożałowania godnej wulgarności.

- Mamy tu już wszystko, co istnieje na świecie - powiedział. Po lunchu poszli do sali projekcyjnej obejrzeć świeże zdjęcia próbne. Zjawił się również pan Harris z cygarem w zębach. Wszyscy patrzyli w milczeniu na wielkie białoszare zbliżenia Margo, która się obracała, uśmiechała nieszczerze, podrzucała głowę, robiła miny, otwierała i zamykała usta, pokazywała zęby, wywracała oczy. Margo czuła się okropnie oglądając siebie. Lubiła się na fotografiach, tutaj wszystko wydawało jej się takie wyolbrzymione. Pan Harris chrząkał od czasu do czasu i w jego ustach czerwono rozbłyskało cygaro. Margo doznała ulgi, gdy taśma się skończyła i znowu zaległy ciemności. Potem zapaliły się światła i wszyscy ruszyli do wyjścia, obok rumianego operatora bez marynarki, który otworzył na całą szerokość drzwiczki kabiny projekcyjnej, żeby obejrzeć przechodzącą Margo. Margo na próżno próbowała wyczytać z jego twarzy, jak wypadła. Na podeście zewnętrznej klatki schodowej Margolies wyciągnął do niej chłodno dłoń i powiedział:

- Do widzenia, najdroższa Margo. Czekam na mnie sto osób. Margo myślała, że to koniec, ale on ciągnął:

- Stronę finansową omówicie we dwoje z Irwinem. Ja się nie wyznaję w tych sprawach. Życzę przyjemnego popołudnia. Z tymi słowy, wymachując laseczką, zawrócił do sali projekcyjnej. Pan Harris wyjaśnił, że Margolies zawiadomi, kiedy jej będzie potrzebował na planie, a tymczasem podpiszą kontrakt. Czy Margo ma agenta? Nie? Więc poleca jej swojego przyjaciela, pana Hardbeina, który już będzie umiał dbać o jej interesy. Gdy się zjawił Hardbein i zasiedli w gabinecie Harrisa, on za biurkiem, a oni dwoje naprzeciwko, Margo stwierdziła, że podsuwają jej do podpisu trzyletni kontrakt z wynagrodzeniem trzystu dolarów tygodniowo.

- Ojej - wykrzyknęła - obawiam się, że mnie to okropnie znudzi na tak długą metę! Nie będą panowie mieli nic przeciwko temu, że zadzwonię po moją przyjaciółkę, panią Mandeville? Nie znam się zupełnie na tych sprawach.

Czekali długo na Agnes zabijając czas rozmową o pogodzie. Ale Agnes stanęła na wysokości zadania. Rozgadała się o wcześniejszych zobowiązaniach, napiętych interesach, nieruchomości, której muszą doglądać, powiedziała, że nie warto, żeby panna Dowling rezygnowała z projektowanej podróży dookoła świata dla takich marnych pieniędzy, prawda, kochanie?, i że jeśli zgodzi się w ogóle zagrać w tym filmie, to tylko przez wzgląd na dawną przyjaźń z panem Margoliesem. Oczywiście, panna Dowling zawsze ponosiła ofiary na rzecz swojej pracy, ona zresztą też i teraz jest również gotowa urobić sobie ręce po łokcie, byleby

zapewnić pannie Dowling taki sukces, na jaki zasługuje i jaki, Agnes jest o tym święcie przekonana, osiągnie, bo kiedy się w coś mocno wierzy niezbrukany sercem, Bóg zawsze sprawi, że wszystko układa się po myśli. Następnie zaczęła się rozwodzić o tym, jaką okropną rzeczą jest niewiara, i w rezultacie wyszły od Harrisa punkt o piątej, akurat gdy w atelier się kończyła praca, ze starannie schowanym w torebce Agnes trzymiesięcznym kontraktem na pięćset dolarów tygodniowo.

- Mam nadzieję, że magazyny będą jeszcze otwarte - powiedziała Margo. - Muszę sobie sprawić parę toalet.

Na przednim siedzeniu Rolls-Royce'a siedział koło Toniego żylasty mężczyzna z szarą twarzą i konopną czupryną, ubrany w kostium do konnej jazdy. Wsiadając do auta Margo i Agnes zmierzyły złym okiem jego płaską potylicę.

- Do Taskera i Hardinga na Hollywood Boulevard, Paryskie Stroje - poleciła Agnes. - Jej, to cudownie, że sobie sprawisz trochę nowych toalet - szepnęła Margo do ucha. Kiedy Toni wysadził nieznanego na rogu Hollywood Boulevard

i Bulwaru Zachodzącego Słońca, ten skłonił się sztywno i ruszył szerokim chodnikiem.

- Toni - zaczęła Margo - ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie obwoził swoich znajomych moim autem.

Tak długo gderwały obie z Agnes, że Toni dojechał do domu w szewskiej pasji i oznajmił, że jutro się wyprowadza.

- Ciągłe mnie tylko wykorzystujecie. Stoicie mi na drodze do kariery. To był Max Hirsch. Jest austriackim hrabią i słynnym graczem w polo.

Następnego dnia Toni faktycznie spakował swoje rzeczy i wyniósł się z domu.

Okazało się, że pięćset dolarów tygodniowo nie starcza wcale na tak wiele, jak sobie wyobrażały Agnes i Margo. Po pierwsze, agent, pan Hardbein, potraçał z tego dziesięć procent dla siebie, po drugie, Agnes obstawała przy wpłacaniu pięćdziesięciu dolarów na poczet długu w Miami, tak by Margo odzyskała wreszcie swoją biżuterię. Przeprowadzka do nowego domu w eleganckiej dzielnicy Santa Monica też kosztowała mnóstwo. Do tego dochodziła pensja kucharki i pokojówki, a trzeba było zaangażować i szofera, gdy zabrakło Toniego. Dużo pieniędzy szło również na toalety, agenta reklamowego, różnego rodzaju składki dobroczynne i datki w atelier, od których nie sposób się było wymówić. Agnes była cudowna. Wszystkim się zajmowała. Ilekroć wyływała jakaś sprawa finansowa, Margo ścisnęła palcami skronie, zamykała na moment oczy i wydawała cichy jęk.

- To okropne, ale ja zupełnie nie mam głowy do interesów. To właśnie Agnes wyszukała nowy dom, willę w stylu portorykańskim z przeuroczymi balkonami, pełną hiszpańskich antyków. Wieczorami Margo siadywała w wielkim fotelu przed kominkiem w przestronnym salonie i grała z Agnes w garibaldię. Otrzymały parę zaproszeń od aktorów i innych ludzi, których Margo poznała w atelier, lecz postanowiła, że nigdzie nie będzie chodziła, dopóki się nie zorientuje, kto się naprawdę liczy w Hollywood.

- Inaczej gotowaliśmy się wpakować w towarzystwo, które nam bardziej zaszkodzi, niż pomoże - mawiała.

- Święta prawda - potakiwała Agnes. - Tak jak wpadliśmy z tymi okropnymi bliźniakami w Miami.

Toniego nie widziały aż do czasu, kiedy się zjawił pijany pewnej niedzieli koło szóstej, akurat gdy oczekiwały pierwszej wizyty Sama Margoliesa. Oznajmił, że chce do spółki z Maxem Hirschem założyć szkołę gry w polo i musi mieć natychmiast tysiąc dolarów.

- Ależ, Toni - obruszyła się Agnes - skąd Margo ci weźmie taką sumę. Przecież wiesz dobrze, jakie mamy wydatki. Toni zrobił wielką awanturę, rzucił się i wrzeszczał, powtarzał, że Agnes i Margo złamały mu karierę sceniczną, a teraz chcą mu uniemożliwić karierę filmową.

- Byłem za cierpliwy! - wykrzykiwał bijąc się w piersi. - Pozwoliłem babom doprowadzić się do ruiny. Margo zerkała co chwila w stronę kominka, na którym stał zegar. Dochodziła siódma. W końcu wysupłała dwadzieścia pięć dolarów i kazała Toniemu przyjść w połowie tygodnia.

- Znowu się narkotyzuje - powiedziała po jego wyjściu. - Prędzej czy później doprowadzi się do obłędu.

- Biedny chłopiec - westchnęła Agnes. - Nie jest zły, tylko słaby.

- Boję się, że ten Szwab go weźmie w swoje obroty i napyta nam biedy. Facet ma gębę kryminalisty. Muszę chyba znaleźć dobrego adwokata i wystąpić o rozwód.

- Wyobrażasz sobie, jaki by się zrobił huczek? - jęknęła Agnes.

- Tak czy inaczej, Toni musi zniknąć ze sceny - odparła Margo. - Nie pozwolę, żeby nędzny makaroniarz siedział mi na karku do końca życia.

Margolies spóźnił się o godzinę.

- Jak tu spokojnie - powiedział. - Czy to możliwe w febrycznym Hollywoodzie?

- Cóż, Margo jest prostą, ciężko pracującą dziewczyną - odrzekła Agnes i zebrawszy szycie do koszyczka zaczęła się wycofywać boczkiem z salonu.

Margolies, nie zdjęwszy nawet białego beretu, osunął się na fotel i wyciągnął do ognia kabłąkowane nogi.

- Nie podoba mi się tylko ta pretensjonalność.

- Nie podoba się panu? - spytała Agnes od drzwi. Margo zaproponowała cocktail, ale Margolies odparł, że nie pije, a gdy pokojówka podała obiad, który Margo przygotowywała cały dzień, zjadł tylko grzanekę i sałatę.

- Nigdy nie jem i nie piję w towarzystwie. Przychodzę tylko patrzeć i rozmawiać.

- Dlatego wyschłeś na wiór - zażartowała Margo.

- Pamiętasz, jak wyglądałem za dawnych czasów? W okresie nowojorskim? Nie mówmy o tym. Ja jestem pozbawiony pamięci. Żyję teraźniejszością. Obecnie myślę o filmie, w którym zagrasz główną rolę. Nigdy nie chodzę na przyjęcia, ale dzisiaj musisz ze mną pójść do Irwina Harrisa. Będzie mnóstwo ludzi, których powinnaś poznać. Pokaż mi swoje suknie. Powiem ci, którą włożyć. Odtąd musisz mnie zawsze zabierać, kiedy będziesz sobie sprawiać nowe toalety. - Wspinając się za nią po skrzypiących schodach do sypialni, dorzucił: - I musisz ci znaleźć inne lokum. To nie jest dla ciebie odpowiednie tło. Zbyt peryferyjne.

Margo dziwnie się czuła jadąc obok Sama Margoliesa szerokimi palmowymi alejami Beverly Hills. Kazał jej włożyć starą .żółtą suknię wieczorową kupioną przed laty u Piquota, którą Agnes niedawno dała do przeróbki i podłużenia krawcowej Francuzeczce odkrytej w Los Angeles. Margo miała lodowate dłonie i drżała, że Margolies usłyszy, jak jej się w piersiach tłucze serce. Chciała powiedzieć coś komicznego, lecz nic jej nie przychodziło do głowy, zresztą i tak nie na wiele by się to zdało, bo Margolies nigdy się nie śmiał. Zastanawiała się, o czym może myśleć. Siedział koło niej sztywno, z dłońmi na kolanach, widziała jego twarz, wąskie czoło z czarną grzywką, wydęte wargi, krogulczy profil taki ciemny na tle latarni ulicznych. Miał na sobie ciągle to samo białe flanelowe ubranie, do tego biały fontaż z brylantową szpilką w kształcie kija golfowego. Kiedy auto skręciło na podjazd i sunęło między drzewami ku rzędowi wysokich oświetlonych okien sięgających aż do ziemi, Margolies powiedział:

- Jesteś w strachu, że się będziesz nudziła? Otóż czeka cię niespodzianka. Zobaczysz, mamy tutaj, w Kalifornii, coś, co wcale nie ustępuje salonom nowojorskim i zagranicznym, do których przywykłaś. - Obrócił ku niej twarz i w blasku okien załśniły białka jego oczu, obwisłe worki pod nimi i wilgotne szerokie wargi. Ścisnął jej dłoń i podjął szeptem, pomagając jej wysiąść z auta: - Będziesz tu najelegantszą kobietą, ale tylko w takim sensie, w jakim jedna gwiazda świeci jaśniej od innych. Kierując się w stronę lokaja przy drzwiach Margo z trudem pohamowała chichot.

- Ależ ty umiesz czarować - powiedziała. - Mówisz jak... jak natchniony.

- Wszyscy mnie uważają za natchnionego - odrzekł głośno Margolies ściągając łopatki i stając sztywno na baczność, żeby ją przepuścić przez szerokie oszklone drzwi do hallu. Najgorsze było wejście do szatni i zdjęcie płaszcza. Kobiety, które poprawiały twarze i dokonywały ostatnich muśnięć fryzury, obróciły się jak na komendę i zmierzyły ją szybkimi spojrzeniami rozpoczynając od pantofelków, przebiegając po pończochach, nie omijając ani jednej haftki na sukience, badając szyję, czy nie ma na niej zmarszczek, i kończąc na włosach, czy nie są farbowane. Margo od razu wiedziała, że powinna mieć pelerynkę z gronostajów. Szczególnie jedna stara wiedźma w sukni całej jak z tłuczonego lodu, stojąca z papierosem koło drzwi toalety, przewierciła ją wzrokiem iście rentgenowskim. Margo miała wrażenie, że odczytuje cenę na jej figach. Poczuli się nieco lepiej, gdy czarna pokojówka, przerzucając sobie przez ramię jej płaszcz, posłała jej szeroki życzliwy uśmiech. Ale gdy Margo się odwróciła, znowu wszystkie spojrzenia zbiegły się na jej plecach i zawisły jak blaszanka przywiązana psu do ogona. Głowa do góry, przecież cię nie zjedzą, powtarzała sobie zamykając za sobą drzwi do toalety. Żałowała, że nie ma przy niej Agnes, która by z pewnością była cała wniebowzięta, że wszyscy są tacy czarujący. Margolies czekał na nią w hallu pełnym skrzących się kandelabrow. W wielkiej sali grała orkiestra i kręciły się pary taneczne. Margolies poprowadził ją w stronę kominka na przeciwległym krańcu. Podeszli się z nimi przywitać Irwin Harris i pan Hardbein, podobni jak bliźniaki w obcisłych frakach. Margolies nie patrząc uściśnął im dłonie, po czym usiadł plecami do sali przed kominkiem, w wielkim rzeźbionym fotelu, identycznym jak ten, który miał w studio. Pan Harris poprosił ją do tańca i wszystko potoczyło się tak, jak w każdym światowym towarzystwie. Przynajmniej do momentu, kiedy się znalazła na parkiecie w ramionach Rodneya Cathcarta.

Poznała go od razu z filmów, zaskoczyło ją tylko, że na twarzy ma rumieńce, a pod dandysowskim frakiem ciepłe ciało i silne mięśnie. Był wysokim opalonym młodym mężczyzną o włosach jak łuski złotych rybek i angielskim zwyczajem mamrotania pod nosem. Margo czuła się zmarznięta i drżąca, dopóki nie zaczęła z nim tańczyć. Po pierwszym tańcu poprosił ją o następne, a w przerwach prowadził do bufetu na końcu sali i namawiał do picia. Margo ścisnęła w ręce wysoką niebieską szklankę, ledwo maczając wargi w szkockiej z wodą sodową, on natomiast za każdym razem wychylał kilka nie rozcieńczonych szkockich i zjadał kopiasty talerzyk sałatki z kurczęcia. Był lekko wstawiony, ale nic nie wskazywało, by się upijał bardziej. Nie odzywał się, więc i ona milczała upajając się tańcem z nim.

Od czasu do czasu, gdy dotarli w tańcu na koniec parkietu, widziała całą salę w wielkim lustrze nad kominkiem. Raz, znalazłszy się pod odpowiednim kątem, spostrzegła oczy Margoliesa wpatrzony w siebie z wysokiego rzeźbionego oparcia fotela obróconego do bierwion na kominku. Odniosła wrażenie, że ją bacznie obserwuje. Migoczące odbłaski ognia nadawały jego twarzy ciepły żywy wyraz, którego nigdy na niej nie widziała. Lecz zaraz przedzieliły ich blond głowy, kędzierzawe głowy, łyse głowy, nagie ramiona, ramiona w czerni - i Margo straciła z oczu ten koniec sali.

Dochodziła pewnie północ, kiedy przy stoliku ze szkocką wyłonił się Margolies.

- Serwus, Sam - powitał go Rodney Cathcart. - Jak tam wszystkie dzienne sprawy?

- Czas na nas, Rodney. Musisz puścić pannę Dowling, biedaczce pęka już pewno głowa od tego hałasu.

- Dobrze, staruszkę - odparł Rodney Cathcart i odwrócił się plecami, żeby sobie nalać jeszcze jedną szklarkę. Odebrawszy płaszcz z szatni Margo zastała czekającego na nią w hallu pana Hardbeina. Skłonił się ściskając jej dłoń.

- Mogę pani zdradzić, że zrobiła pani prawdziwą furorę. Wszystkie kobiety się dopytują, czego pani używa do farbowania włosów. Śmiech zabulgotał pod jego szeroką kamizelką. - Czy nie wstąpiłaby pani któregoś dnia do mnie do biura? Zjedlibyśmy razem lunch i porozmawiali przy okazji o naszych sprawach. Margo lekko się wstrząsnęła.

- To miło z pana strony, ale ja z zasady nie chodzę do biur. Nie znam się na interesach. Może pan raczej do nas zadzwoni, dobrze?

Kiedy wyszła na werandę w stylu kolonialnym, zobaczyła, że w długim białym samochodzie na podjeździe siedzi obok Margoliesa Rodney Cathcart. Uśmiechnęła się i usiadła między nimi tak obojętnie, jakby przez cały czas niczego innego nie oczekiwała. Auto ruszyło. Nikt się nie odzywał. Margo nie mogła się zorientować, dokąd jadą-palmowe aleje z szeregiem latarni wyglądały wszędzie jednakowo. Zatrzymali się przed wielką restauracją.

- Pomyślałem sobie, że dobrze by było coś przegryźć - powiedział Margolies ściskając jej dłoń, gdy wysiadała. - Nic nie jadłaś przez całą wieczór.

- To rozumiem - wymamrotał Rodney Cathcart, który wyskoczył z auta pierwszy. - Człowiek nabiera wilczego apetytu, jak się tak wyhasa.

Maitre d'hôtel uklonił się prawie do ziemi i poprowadził ich przez salę pełną świdrujących oczu do stolika zarezerwowanego dla nich na skraju parkietu. Margolies jadł kruszone pszenne suchary, które popijał mlekiem, Rodney Cathcart spałaszował befszytki, a Margo dziobnęła parę razy widelcem pasztecik z homarem.

- Mężczyzna musi się napić po czymś takim - mruknął Rodney Cathcart odsuwając talerz, który wymazał do czysta frytkami. Margolies podniósł dwa palce.

- Tutaj to zabronione. Jacy my jesteśmy głupi w tym kraju! Jacy oni głupi!

Wywrócił oczy do Margo. Margo w ostatniej chwili powstrzymała mrugnięcie, którym już, już miała mu odpowiedzieć, tak że drgnęła jej tylko powieka. Zamiast tego posłała mu ten powolny półuformowany uśmiech, nad którym się tak rozplywał w Palm Springs. Margolies się podniósł.

- Chodź, kochana. Mam ci coś do pokazania. Idąc za nim z Rodneyem Cathcartem po czerwonym dywanie czuła szmerek podniecenia przebiegający po sali, taki sam, jaki się robił zawsze w Miami, gdy się pokazała gdzieś po śmierci Charliego Andersona. Margolies zawiózł ich do wielkiego kremowego budynku mieszkalnego. Wjechali windą na górę i Margolies otworzył kluczykiem zatrzask.

- To moja skromna kawalerska garsoniera - powiedział wprowadzając ich do środka.

Był to obszerny ciemny pokój z antresolą pod sufitem za haftowanymi kotarami. Na ścianach wisiało mnóstwo najrozmaitszych płócien olejnych, każde z osobną lampką u góry. Na podłodze pod ścianami stały tapczany przykryte skórą zebra i lwów.

- Och, jak tu cudownie! - wykrzyknęła Margo. Margolies obrócił się do niej z uśmiechem.

- Prawda, królewskie urządzenie? Pewno widywałeś często podobne wnętrza w zamkach kastylijskich grandów?

- Z ust mi to wyjąłeś - przytaknęła Margo. Rodney Cathcart wyciągnął się jak długi na jednym z tapczanów.

- Sam, stary druhu - powiedział - nie masz przypadkiem tego wspaniałego kanadyjskiego piwka? Tylko dolej do niego trochę Guinnessa*, dobrze?

Margolies wyszedł do pokoiku kredensowego i zamknęły się za nim wahadłowe drzwi. Margo kręciła się po pokoju oglądając barwne obrazy i półki powykręcanych chińskich figurek, od których widoku przeszedł ją zimny dreszcz.

- Co tam robisz, Margo, chodź tu! - zawołał Rodney Cathcart z tapczanu. - Podobasz mi się. Mów mi Sid, wszyscy przyjaciele mnie tak nazywają. To brzmi bardziej po amerykańsku.

- Czemu nie? - odparła Margo podchodząc od niechcienia do tapczanu. Rodney Cathcart wyciągnął do niej rękę.

- Łapa - powiedział. - Bądźmy przyjaciółmi. - Ścisnął dłoń,

którą mu podała, i spróbował ją pociągnąć do siebie na tapczan. - Nie chciałaś mnie pocałować, Margo?

Miał piekielny uścisk, z ledwością opierała się jego sile. Do pokoju wrócił Margolies z butelkami i szklaneczkami na tacy, którą postawił na hebanowym stolczku koło tapczanu. = Tutaj zawsze pracuję - oznajmił. - Natchnienie wymaga odpowiedniego otoczenia. Siadaj, Margo. - Wskazał tapczan, na którym leżał Rodney Cathcart. - Sam zastrzeliłem tego lwa. Przepraszam was na chwilę.

Wszedł po schodkach na górę i na antresoli zapaliło się światło. Potem zamknęły się jakieś drzwi i światło znikło. Pokój oświetlały teraz tylko lampki nad obrazami. Rodney Cathcart usiadł na brzegu tapczanu.

- Na miłość Boską, mała, napij się czegoś. Margo wyrwał się chichot.

- Już dobrze, Sid, nalej mi żdziebko ginu - powiedziała i usiadła obok niego na tapczanie.

Był taki przystojny. Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła się z nim całować. Ale zaraz poczuła dłoń sunącą w

górze pod sukienką, więc musiała się poderwać i uciec na drugi koniec pokoju, znowu oglądać obrazy.

- Och, niemądra jesteś - westchnął Rodney Cathcart opadając z powrotem na tapczan.

Z góry nie dochodził żaden dźwięk. Margo obleciał lekki strach, co Margolies tam robi. Wróciła do tapczanu nalać sobie jeszcze odrobinę ginu. Raptem Rodney Cathcart się poderwał, chwycił ją z tyłu i ugryzł w ucho.

- Skończ z tymi sztubackimi numerami - powiedziała nieruchomiejąc; nie chciała się z nim mocować, żeby jej nie podarł sukienki.

- Taki już jestem - szepnął jej do ucha. - Podniecasz mnie do białej gorączki.

Przed nimi stał Margolies z jakimiś papierami w ręku. Margo nie miała pojęcia, jak dawno wszedł. Rodney Cathcart opadł z powrotem na tapczan, zamknął oczy.

- Margo, usiądź tutaj, kochana - odezwał się Margolies, jakby nigdy nic. - Chcę ci opowiedzieć pewną historię. Zobaczmy, czy ci przemówi do przekonania.

Margo poczuła, jak się rumieni. Rodney Cathcart oddychał za jej plecami równo i głęboko, jakby już spał.

- Jesteś zmęczona zawrotnym kołowrotkiem europejskich stolic-zaczął Margolies. - Jesteś córką starego oficera, twoja matka nie żyje. Bywasz mnóstwo, na zabawach, obiadach, przyjęciach. Mężczyźni starają się o twoją rękę. Twój ojciec jest francuskim albo może hiszpańskim generałem. Ojczyzna go wzywa. Mają go posłać do Afryki, żeby stłumił bunt barbarzyńskich Berberów. Chce cię zostawić w klasztorze, ale ty nie chcesz o tym słyszeć. Jedziesz za nim.

- Oczywiście - wtrąciła Margo skwapliwie. - Przeszwarcowałam się na okręt, żeby z nim popłynąć na wojnę.

- Tym samym statkiem płynie młody amerykański student, który uciekł, żeby wstąpić do Legii Cudzoziemskiej. Będzie to twój przyjaciel Sid. Poznacie się, wszystko układa się między wami cudownie. Ale twój ojciec zapada na ciężką chorobę. W tym czasie jesteście już w glinianym forcie obleganym przez tubylców, hordę wyjących krwiożerczych dzikusów. Sid przedziera się przez blokadę, żeby przywieźć lekarstwo konieczne do ocalenia życia twemu ojcu. Po powrocie zostaje aresztowany jako dezertor. Ty pędzisz co tchu do Tangieru, żeby skłonić konsula amerykańskiego do interwencji. Życie twego ojca jest ocalone. Wracasz w ostatniej chwili, gdy Sid już stoi przed plutonem egzekucyjnym. Szczęśliwie jest obywatelem amerykańskim, otrzymuje order. Generał całuje go w oba policzki, oddając swoją uroczą córkę w jego silne ramiona... Nie chcę, żebyś o tym teraz mówiła. Niech ci to zapadnie głęboko w umysł. Oczywiście to tylko pierwszy szkic. Historia jest bzdurna, ale daję reżyserowi pole do popisu. Już widzę, jak ryzykujesz wszystko, opinię, nawet życie, żeby ocalić człowieka, którego kochasz. No, a teraz odwiozę cię do domu. Patrz, Sid już śpi. Jest jak zwierzę, prymitywna blond bestia.

Podawszy jej płaszcz, Margolies położył jej na moment dłonie na ramionach.

- Jest jeszcze jedna sprawa, chciałbym, żeby ci zapadła głęboko w serce. Nie w umysł, tylko w serce. Nie odpowiadaj mi od razu, omów to ze swoją czarującą przyjaciółką. Za jakiś czas, gdy skończymy ten film, chciałbym, żebyś została moją żoną. Jestem wolny. Przed laty, w innym świecie, miałem jak każdy mężczyzna żonę, ale uzgodniliśmy, że do siebie nie pasujemy i każde poszło swoją drogą. Teraz będę za bardzo zajęty. Nie masz pojęcia, ile absorbujących szczegółów trzeba rozstrzygać. Kiedy reżyseruję film, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, ale kiedy wysiłek twórczy się skończy, za jakieś trzy miesiące, chcę, żebyś została moją żoną. Nie odpowiadaj teraz. Nie rozmawiali przez całą drogę powrotną do Santa Monica. Margolies prowadził, Margo siedziała obok niego, jechali w gęstej lepkiej białej mgłę porannej. Gdy auto się zatrzymało przed jej drzwiami, pochyliła się i pogłaskała go po policzku. Sam, to był cudowny wieczór - powiedziała. Agnes była okropnie niespokojna, że Margo tak długo nie wraca. Spacerowała nerwowo w szlafroku, w domu paliły się wszystkie światła.

- Nękało mnie nieokreślone uczucie, kiedy wyszłaś. Zadzwoiłam do madame Estery spytać, co o tym myśli. Okazało się, że ma dla mnie wiadomość od Franka. Pamiętasz, powiedziała ostatnim razem, że Frank stara się przewyciężyć niekorzystne fluidy.

- Co to za wiadomość, Agnes?

- Że osiągniesz sukces, jeśli tylko będziesz stanowcza. Och, Margie, musisz za niego wyjść. Frank to nam właśnie usiłował przekazać.

- Rety! - powiedziała Margo padając na łóżko, gdy tylko się znalazła w sypialni na górze. - Ledwo żyję. Bądź aniołem i powieś moje ubranie, Agnes.

Z podniecenia Margo nie mogła zasnąć. W pokoju było widno, przez zamknięte powieki widziała czerwone światło. Musi się przespać, będzie wyglądała jak zmora, jeśli się nie prześpi. Zawołała na Agnes, żeby jej dała aspirynę. Agnes jedną ręką uniosła jej głowę na poduszce, drugą przechyliła do ust szklankę z wodą. Tak samo podawała jej lekarstwa, kiedy Margo była małą dziewczynką i leżała chora. Ni z tego, ni z owego przysniło jej się, że właśnie kończy występ we "Wszyscy to robią", różowa czeluść twarzy huczy okłaskami, ona się odwraca i wybiega za kulisy, prosto w rozpostarte ramiona Franka Mandeville'a, który na nią czeka w swojej czarnej pelerynie, oplatają ją czarne ramiona, ona się osuwa na ziemię, peleryna ją dusi, nad nią wisi Frank, szarpie na niej sukienkę, przez jego ramię widzi śmiejącego się Toniego, jest ubrany cały

na biało, w białym berecie, w fontaziu z brylantową szpilką w kształcie kija golfowego, podskakuje i klaszcze w ręce. Widać krzyczała przez sen, bo nad nią wyrosła Agnes. Nie, Agnes próbuje jej coś powiedzieć. Margo drżąca usiadła na łóżku. Agnes była cała podekscytowana.

-- Okropna historia, Margie. Toni jest na dole, chce się z tobą koniecznie widzieć. Już wie z gazet. Trąbią wszystkie, że będziesz grała z Rodneyem Cathcartem w nowym filmie pana Margoliesa. Toni się wścieka. Mówi, że jest twoim mężem, więc powinien doglądać twoich interesów. Że to jego święte prawo.

- A to menda - powiedziała Margo. - Przyprawdź go na górę. Która godzina?

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do toaletki poprawić twarz. Słyszając, że wchodzi po schodach, narzuciła różową koronkową lizeskę i wskoczyła z powrotem do łóżka. Była bardzo rozespana, gdy Toni wkroczył do pokoju.

- Stało się coś, Toni? - spytała.

- Ja tu głoduję, a ty zarabiasz trzy tysiące tygodniowo. Wczoraj nie mieliśmy z Maksem na obiad. Chcą nas wyrzucić z mieszkania. Prawnie należy mi się wszystko, co zarabiasz. Jestem za miękki, pozwalam się oszukiwać. Margo ziewnęła.

- Nie jesteśmy na Kubie, mój drogi. - Uniosła się na łóżku. - Słuchaj, Toni, rozstańmy się jak przyjaciele. Kontrakt nie został jeszcze podpisany. Co gdybyśmy po podpisaniu wyasygnowały ci jakąś sumkę, tak żebyś mógł wrócić do Hawany i założyć ze swoim przyjacielem szkołę gry w polo? Twoim nieszczęściem jest oderwanie od domu.

- To by było wspaniale! - przyklasnęła Agnes. - Kuba to wymarzone miejsce na taką szkołę. Tyle tam turystów i w ogóle.

Toni wyprostował się sztywno.

- Jesteśmy wierzącymi chrześcijanami, Margo. Oboje wiemy, że Kościół zabrania rozwodów. Agnes tego nie rozumie.

- Jestem o całe niebo lepszą chrześcijanką od ciebie. Dobrze to wiesz, ty... ty... - zaczęła Agnes piskliwie.

- Mniejsza o to, Agnes. Nie będziemy dyskutować o religii przed śniadaniem. - Margo usiadła i pod kołdrą przyciągnęła kolana do brody. -- Widzisz, Toni, obie z Agnes wierzymy, że Mary Baker Eddy głosiła prawdę. Usiądź tutaj, Toni. Tyjesz, mój drogi, przestaniesz się podobać chłopcom, jak utracisz swoją dziewczęcą figurę. Toni usiadł na łóżku, zapalił papierosa. Margo odgarnęła mu z czoła sztywne czarne włosy.

- Zrozum, przeżyliśmy razem różne ciężkie chwile. Mam nadzieję, że mi nie pokrzyżujesz szyków w momencie, gdy się przede mną otwiera życiowa szansa.

- Jestem nicpoń, wesz - wybuchnął Toni. - co gdybyś mi płaciła tysiąc miesięcznie? To tylko trzecia część tego, co zarabiasz. Ty to roztrwonisz. Kobietom niepotrzebne pieniądze.

- Aha, niepotrzebne! Jakbyś nie wiedział, ile trzeba inwestować, żeby zarabiać w tym zawodzie.

- Dobrze, więc niech będzie pięćset. Wiesz, że się nie rozumiem na rachunkach. Jestem jak dziecko.

- Ja też się nie rozumiem. Zejdźcie na dół oboje z Agnes i omówcie sprawę, a ja się tymczasem wykąpię i ubiorę. Niedługo przychodzi krawcowa i fryzjer. Po południu mam ze sto rozmaitych spotkań. Bądź grzecznym chłopcem, Toni.

Poklepała go po policzku i Toni wyszedł z Agnes potulny jak baranek. Wróciwszy na górę, gdy Margo się wykąpała, Agnes powiedziała cierpko:

- Margie, powinnaś była się już dawno rozwieść z Tonim. Ten Szwab, który go wziął w swoje łapy, to niebezpieczny typ. Wiesz, co by powiedział na skandal pan Hays*?

- Wiem, byłam skończoną idiotką.

- Muszę się poradzić w tej sprawie Franka. Jestem po południu umówiona z madame Esterą. Może Frank nam podsunie jakiegoś godnego zaufania adwokata.

- W każdym razie nie możemy z tym iść do Vardamana. Jest adwokatem i pana Hardbeina, i Sama. Musiałam być niespełna rozumu, żeby sobie tak związać ręce.

Zadzwoił telefon. Był to pan Hardbein w sprawie kontraktu. Margo posłała Agnes do jego biura dla omówienia warunków. Przez całe popołudnie, stojąc przed wysokim tremem, obskakiwana przez krawcową z ustami pełnymi szpilek, zachodziła w głowę, co począć. Kiedy koło piątej przyszedł Sam obejrzyć suknie, siedziała jeszcze z włosami pod suszarką.

- Bardzo pociągająco wyglądasz z głową w tym aparacie -powie-dział - w tym powiewnym negliżu, z rąbkiem koronki brukselskiej między kolanami. Zapamiętam to. Mam pamięć absolutną. Nigdy nie zapomnę nic, co widziałem. To cały sekret wyobraźni wzrokowej. Gdy Agnes wróciła po nią Rollsem, Margo nie mogła się pozbyć Sama. Chciał je wieźć swoim autem bez względu na to, dokąd jadą.

- Nie powinnaś mieć przede mną sekretów, kochana - tłumaczył łagodnie. - Przekonasz się, rozumiem wszystko, wszystko. Znam cię lepiej niż ty sama. Stąd moja pewność, że cię potrafię poprowadzić przed kamerą. Zgłębiłem wszystkie tajniki twojej twarzy i twojej pięknej dziewczęcej duszyczki, takiej pełnej porywów. Nie zaskoczy ani nie zgorszy mnie nic, co zrobisz.

- To się świetnie składa - odparła Margo. Sam odjechał obrażony.

- Och, Margie, nie możesz tak traktować pana Margoliesa -jęknęła Agnes.

- Łatwiej mogę się obejść bez niego niż on beze mnie - odparła Margo. - Musi mieć nową gwiazdę. Mówi się, że jego akcje bardzo spadły.

- Zdaniem pana Hardbeina, to dlatego, że wylał swego agenta reklamowego.

W rezultacie wyruszyły późno z domu. Madame Estera mieszkała w obskurnej dzielnicy w centrum Los Angeles. Kazały się szoferowi zatrzymać dwie przecznice wcześniej i poszły dalej pieszo uliczką wyblakłych parterowych domków przypominających przedmieście Venice, na którym mieszkały z Tonim przed laty po przyjeździe na zachodnie wybrzeże. Margo szturchnęła Agnes.

- Nic ci to nie przypomina? Agnes obróciła się do niej zaszepiona.

- Powinno się pamiętać tylko piękne przyjemne rzeczy, Margie. Madame Estera mieszkała w wielkim starym drewniaku z szerokimi werandami i popękany gontowym dachem. Za brudnymi oknami spuszczone były wszystkie rolety. Agnes zapukała od tyłu, do drzwiczek z matową szybą. Otworzyła je natychmiast chuda siwa kobieta o staro-panieńskim wyglądzie, ostrzyżona na pazia.

- Spóźniłyście się - syknęła. - Madame jest w transie. Oni nie lubią czekać. Trudno będzie się teraz włączyć.

- Ma wiadomość od Franka? - spytała szeptem Agnes.

- Jest bardzo zagniewany. Wątpię, czy się ponownie odezwie. Proszę mi podać rękę.

Ujęła Agnes, Agnes ujęła Margo i weszły gęsiego do ciemnego korytarza oświetlonego tylko małą czerwoną żaróweczką, a stamtąd do kompletnie ciemnego pokoju pełnego oddechów ludzkich i szurgotu przesuwanych stóp.

- Myślałam, że to będzie seans prywatny - szepnęła Margo.

- Cii - syknęła jej Agnes w ucho.

Gdy oczy jej przywykły do ciemności, Margo dostrzegła przez olbrzymi okrągły stół kołyszącą się wielką nalaną twarz madame Estery, a wkoło stołu niewyraźne plamy innych twarzy. Zrobiono im miejsce i Margo usiadła z dłonią w czyjejs gorącej mokrej dłoni. Na stole przed madame leżało mnóstwo białych kartek. Panowała zupełna cisza, tylko obok niej oddychała ciężko Agnes.

Zdawało się, że mijają godziny, nim cokolwiek zaczęło się dziać. Nagle Margo spostrzegła, że madame Estera ma szeroko otwarte oczy, widać jednak tylko jej białka. Z jej ust wydobył się głęboki baryton przemawiający językiem, którego nie rozumiała. Ktoś z kręgu włączył się w tym samym języku, najwidoczniej zadając pytania.

- To Hindus Sidi Hassan - szepnęła Agnes. - Czasami udziela nieocenionych porad giełdowych.

- Cisza! - pisnęła raptem madame Estera wysokim kobiecym głosem, od którego Margo mało nie zamarło serce. - Frank czeka. Nie, już go odwołano. Kazał powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Że jutro przekaże wiadomość, na którą czekają zainteresowane osoby. I żeby jego mała dziewczynka pod żadnym pozorem nie podejmowała żadnych kroków bez zasięgnięcia rady swojej ukochanej Agnes. Agnes wybuchnęła histerycznym łkaniem. Czyjaś dłoń stuknęła Margo w ramię, po czym ta sama siwa kobieta poprowadziła je do tylnego wyjścia. Miała sole trzeźwiące, które podsunęła Agnes do powąchania. Przed otwarciem drzwiczek z matową szybą oznajmiła:

- Należy się pięćdziesiąt dolarów. Po dwadzieścia pięć od osoby. Madame kazała powiedzieć, żeby ta piękna panienska więcej tu nie przychodziła. Może to być dla niej niebezpieczne, bo otaczają nas wrogie siły. Natomiast pani Mandeville niech przyjdzie po wiadomości. Madame mówi, że jej nic nie grozi, bo ma duszę dziecka. Gdy wyszły na ulicę, okazało się, że jest już ciemny wieczór i wszędzie palą się światła. Margo podniosła kołnierz futra, żeby jej przypadkiem ktoś nie poznał.

- Widzisz, Margie - powiedziała Agnes, kiedy się usadowiły na miękkich poduszkach starego Rollsa - wszystko będzie dobrze, Frank nad nami czuwa. Daje ci do zrozumienia, że powinnaś jak najprędzej wyjść za pana Margoliesa.

- Cóż, chyba to nie bardziej straszne niż trzyletni kontrakt - odparła Margo.

Kazała szoferowi wracać jak najszybciej, bo Sam miał ją zabrać na premierę do Kinoteatru Graumana. Zajechawszy wkoło podjazdu przed drzwi willi spostrzegły od razu na marmurowej ławce w ogrodzie Toniego i Maksa Hirscha.

- Ja się z nimi rozmówię - oświadczyła Agnes. Margo wbiegła na górę i zabrała się do przebierania. Siedziała w figach przeglądając się w lustrze, kiedy do sypialni wpadł Toni. W świetle lampki nad toaletą Margo zobaczyła, że ma podbite oko.

- Co to, zacząłeś się bawić w boks, Toni? - spytała nie obracając się.

- Maks mi podbił oko za to, że nie chciałem tu iść - rzucił Toni bez tchu. - Margo, on mnie zabije, jak nie dostanę od ciebie tysiąca. Nie wyjedziemy stąd, póki nam nie dasz czeku. I musimy mieć trochę gotówki, bo Maks urządza przyjęcie, a drań handlarz nie chce dostarczyć alkoholu, dopóki nie zobaczy pieniędzy. Maks mówi, że występujesz o rozwód. Jak możesz? Kościół nie uznaje rozwodów. Nie chcę mieć takiego grzechu na sumieniu. Nie dam ci rozwodu. Margo wstała, obróciła się do niego przodem.

- Podaj mi szlafrok z łóżka, Toni. Nie mam zamiaru zaziębić się na śmierć. Nie uważasz, że za bardzo utylam? Przybyło mi od zeszłego tygodnia dwa funty. Posłuchaj, Toni, ten Szwab doprowadzi cię do zguby. Pozbądź się go, wyjeżdż gdzieś znowu na kurację. Nie chciałabym, żeby cię capnęli federalni za zażywanie

narkotyków. Nie dalej jak wczoraj zrobili w San Pedro wielką obławę. Toni wybuchnął płaczem.

- Musisz mi dać ten czek. On mi połamie wszystkie kości. Margo zerknęła na swój zegarek na toaletce koło wielkiego pudła z pudrem. Ósma. Lada chwila zjawi się Sam.

- Dobrze - powiedziała - ale od dziś będą pilnowali domu dwaj detektywi, rozumiesz, co to znaczy? Spróbujcie jeszcze raz swoich numerów, a wylądujecie obaj w kryminale. Jeśli wam się zdaje, że Sam Margolies nie potrafi utracić w gazetach każdej kompromitującej wzmianki o nas, to się głęboko mylicie. A teraz zejdź na dół i powiedz Agnes, żeby wam wypisała ten czek i dała wszystkie pieniądze, jakie są w domu.

Z tymi słowy zabrała się do ubierania. Po paru minutach przybiegła na górę zapłakana Agnes.

- Co my teraz pocniemy? Dałam im czek i dwieście dolarów gotówką. Och, to okropne! Czemu Frank nas nie ostrzegł? Wiem, patrzy na nas z góry, ale czemu nam nie poradzi, co zrobić z tym strasznym człowiekiem?

Margo weszła do garderoby, wciągnęła nowiuteńką suknię wieczorową.

- Przede wszystkim z samego rana wstrzymamy wypłatę czeku. A jeszcze dzisiaj, zaraz, zadzwonimy do biura detektywistycznego, żeby przysłali dwu ludzi do pilnowania domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Trzeba z tym raz skończyć. Wściekła, przeszła wielkimi krokami po pokoju, w białej cekinowej sukni z przybraniem ze strusich piór. Sposzregła swoją sylwetkę w wielkim trójskrzydłowym lustrze między łózkami. Zbliżyła się, obejrzała swoje trzy odbicia w białej mieniącej się sukni. W oczach miała błękitne iskierki, policzki zaróżowione. Z tyłu zbliżyła się Agnes z diademem ze sztucznych diamentów, który Margo zamierzała włożyć na głowę.

- Och, Margie - wykrzyknęła - wyglądasz oszalamiająco! Zapukała pokojówka z wiadomością, że pan Margolies już czeka. Całując Agnes na pożegnanie Margo spytała:

- Teraz, kiedy domu pilnują detektywi, nie będziesz się już chyba, bała, kochanie?

Narzuciła na ramiona pelerynkę z gronostajów, przysłała po południu do obejrzenia, i wyszła na podjazd. Na tylnym siedzeniu auta siedział rozparty Rodney Cathcart we fraku. W jego ogorzalej pociągłej twarzy błysnęła rząd doskonałych zębów, kiedy się do niej uśmiechnął. Sam wysiadł, żeby jej pomóc.

- Margo, kochana, twój widok zapiera dech. Wiedziałem, że to dla ciebie wymarzona suknia. - Oczy świeciły mu się bardziej niż zwykle. - Dziś jest bardzo ważny wieczór, tak orzekły gwiazdy. Powiem ci o tym później. Kazałem nam obojgu postawić horoskopy. W rojnym tłoczonym westybulu, przeciskając się wśród natrętnych spojrzeń w oślepiającym blasku reflektorów do sali, Margo i Rodney Cathcart musieli się zatrzymać i powiedzieć do mikrofonu parę słów o nowym filmie i swojej współpracy z Samem Margoliesem. Kiedy mistrz ceremonii spróbował skłonić do powiedzenia czegoś również jego, Sam odwrócił się gniewnie i wszedł do kinematografu nie patrząc w prawo ani w lewo, jakby dokoła nie było żywej duszy. Po spektaklu pojechali do restauracji i siedzieli jakiś czas przy stoliku. Rodney Cathcart zamówił cynaderki.

- Nie jedz za dużo, Sid - powiedział Margolies. - W domu czeka piece de resistance*.

Rzeczywiście, kiedy w restauracji zaczęło się przersedzać i pojechali do garsoniery Sama, zastali stół nakryty na trzy osoby i kelnera Filipińczyka, który podał na zimno łososia i sałatkę z homarów ~ otworzył dla nich butelkę szampana. Tym razem Margo postanowiła sobie pofolgować, jadła i piła do woli. Rodney Cathcart sprzątnął prawie całego łososia mrużąc, że jest piramidalny, a nawet Sam, choć uważał, że go to zabije, zjadł talerzyk sałatki z homarów. Margo, cała w szampańskich wirach i chichotach, ani spostrzegła, kiedy Filipińczyk i Sam Margolies się ulotnili, a ona i Sid wylądowali na tapczanie nakrytym lwią skórą.

- Więc wychodzisz za Sama - stwierdził Sid wychylając duszkiem kieliszek szampana. Kiwnęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Sid zdjął frak i kamizelkę, powiesił je starannie na krześle. - Nie cierpię ubrań - oświadczył. - Musisz mnie odwiedzić na moim ranczo. To jest coś.

- Ale tak cudownie wyglądasz we fraku - powiedziała Margo.

- Fakt - przytaknął. Przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach.

- Ależ, Sid, nie możemy tego robić tutaj. Nie na lwiej skórze Sama. Sid znalazł jej wargi, zaczął ją całować.

- Prawda, jaki jestem podniecający? Poczekaj, jak się rozbiorę.

- Co ty? Co ty? - powtarzała Margo. Nie mogła mu się oprzeć, był za silny. Czowała jego ręce coraz głębiej pod sukienką. - A, co mi tam-powiedziała sobie.

Sid wstał i przyniósł jej jeszcze kieliszek szampana. Dla siebie napełnił po brzegi faskę, w której na początku wieczora był lód. .

- A co do tego lwa, to była śmierdząca granda. Sam go rzeczywiście zastrzelił, ale to był lew z zoo. Wystawili do odstrzału stare sztuki na jednej z tych parszywych lwich farm. Nie sposób było spudłować. Urządzili regularną jatkę.

Wychylił szampana i nagle rzucił się na nią. Upadła na tapczan przygniatana jego ramionami.

Wirowało jej w głowie. Przespacerowała się po pokoju próbując złapać dech.

- Dobranoc, ślicznotko - powiedział Sid, włożył ostrożnie kamizelkę i frak i zniknął w drzwiach.

Margo wirowało w głowie. Wrócił Sam z arkuszem papieru i jął jej demonstrować mnóstwo obliczeń. Nie spuszczał z jej twarzy błyszczących wypukłych oczu, gdy próbowała czytać. Ręce mu się trzęsły.

- To dziś w nocy - powtarzał - dziś w nocy przecinają się linie naszego życia. Jesteśmy małżeństwem, czy tego chcemy, czy nie. Ja nie wierzę w wolną wolę, a ty, kochana? Margo wirowało w głowie. Nie mogła

wykrztusić słowa.

- Chodź, dziecko, jesteś zmęczona.

Jego głos szemrał jej uspokajająco nad uchem. Pozwoliła się Samowi zaprowadzić do sypialni, delikatnie rozebrać i ułożyć w czarnej jedwabnej pościeli w wielkim łożu z filarkami.

Był biały dzień, gdy ją odwiózł do domu. Detektyw pilnujący posesji przytknął dłoń do kapelusza, kiedy skręcali na podjazd. Widok jego szerokiej twarzy mopsa podniósł ją na duchu. Agnes, już na nogach, krążyła po salonie w kwiecistym pikowanym szlafroku, z gazetą w ręce.

- Gdzieś ty była? - wykrzyknęła. - Och, Margie, zaprzepaścisz całą urodę, jak będziesz się tak prowadziła. Przecież to dopiero początki twojej kariery. Przeczytaj to, tylko się nie zdenerwuj. Pamiętaj, że ci to wyjdzie na dobre. - Podała Margo "Los Angeles Timesa" wskazując ostromanikiurowanym różowym paznokciem nagłówek. - Nie mówiłam, że Frank nad nami czuwa?

ZABÓJSTWO STATYSTY PODCZAS LIBACJI

Zniknięcie Znanego Gracza w Polo

Aresztowanie Marynarzy

George Cook i Fred Costello, dwaj umundurowani rekruci z pancernika "Kenesaw", oszołomieni alkoholem lub narkotykami, zostali zatrzymani do wyjaśnienia w suterenie kamienicy czynszowej przy Higuera Drive 2234 w San Pedro, gdzie według zeznań mieszkańców przez całą noc trwała pijatyka. Obok nieprzytomnych marynarzy znaleziono ciało młodego mężczyzny z czaszką zmiażdżoną uderzeniem tępego narzędzia. Mężczyzna, zidentyfikowany jako Kubańczyk nazwiskiem Antonio Garfido, swego czasu statysta w kilku czołowych Hollywoodzkich atelier filmowych, oddychał jeszcze, gdy policja się włączyła do suterenu w odpowiedzi na telefoniczne skargi mieszkańców. Czwarty uczestnik libacji, obywatel niemiecki nazwiskiem Maks Hirsch, który dzielił z przystojnym młodym Kubańczykiem elegancki bungalow w Mimosie i uchodził w oczach niektórych za austriackiego arystokratę, zbiegł, nim policja przybyła na miejsce tragedii. Do wczesnych godzin rannych nie udało się ustalić miejsca jego pobytu.

Pokój zawirował szerokimi kręgami przed oczami Margo.

- Mój Boże! - jęknęła.

Wchodząc na górę musiała się z całej siły trzymać poręczy, żeby nie spaść. Zerwała z siebie ubranie, napaściła wody do wanny i wyciągnęła się z zamkniętymi oczami w gorącej kąpieli.

- Och, Margie - doszedł ją z pokoju lament Agnes - twoja wspianiała nowa suknia wygląda jak szmata.

Sam Margolies i Margo polecieli wziąć ślub w Tucson. Zaprośili tylko Agnes i Rodneya Cathcarta. Po ceremonii ślubnej Margolies wręczył sędziemu pokoju nowiutki banknot studolarowy. W drodze powrotnej było dość burzliwie i wielki warkotliwy trzymotorowy Ford rzucał solidnie przy przelocie nad pustynią. Margolies, w swoim białym berecie, mienił się na twarzy, ale z uporem twierdził, że jest rozkosznie. Rodney Cathcart i Agnes wymiotowali bez żenady do tekturowych pojemników. Margo czuła, jak jej śliczny uśmiech zamienia się w rozpaczliwy skurcz, ale udało jej się jakoś utrzymać śniadanie ślubne. Gdy aeroplan wylądował i dotoczył się pod budynek lotniska, kazali fotoreporterom czekać pół godziny, nim się odważyli zejść po schodkach, zarumienieni i uśmiechnięci, obrzucani przez personel konfetti i serpentynami, wśród terkotu kamer filmowych. Rodney Cathcart musiał wysuszyć prawie do dna półlitrową butelkę szkockiej, żeby nogi się pod nim nie ugiwały. Margo demonstrowała swój uśmiech nad burzą żółtych orchidei, które na nią czekały w lodówce na lotnisku, Agnes zaś była nieprzytomna z podniecenia, bo Sam jej też zafundował orchidee, tyle że lawendowe, i kazał ze wszystkimi zejść z aeroplanu prosto w obiektywy kamer. Po blasku pustyni i dziurach powietrznych, w które się zapadał aeroplan, przyjemnie było się znów znaleźć w garderobie w atelier. O trzeciej mieli już oboje zrobioną charakterystycję i Margolies bez wstępów przystąpił w małej salce na parterze do filmowania zbliżeń Margo i Rodneya Cathcarta w uścisku na tle narożnika glinianego fortu. Sid był rozebrany do połowy, miał tylko na piersi dwa skrzyżowane pasy z nabojami, a na głowie płócienne kepi Legii Cudzoziemskiej. Margo była w białej sukni wieczorowej i w aksamitnych pantofelkach na wysokim obcasie. Pasy z nabojami przeszkadzały i uścisk nie bardzo im wychodził. Margolies, wymachując przed sobą laseczką o porcelanowej gałce, co chwila zeskakiwał z małej skrzynki, na której stał za kamerą, i wybiegał w blask kliega*, przed którym Margo i Sid padali sobie raz po raz w objęcia, nim wreszcie trafili na pozę, która mu odpowiadała.

- Sid, mój drogi, musisz ich porwać. Z każdego drgnienia twoich ramion musi emanować namiętność. Nie możesz być sztywny jak kukła. Wszyscy ją ubóstwiają, to piękne kruche pulsujące krwią wcielenie kobiecości, gotowe poświęcić wszystko dla mężczyzny, którego kocha. Margo, najdroższa, mdlejesz, musisz się zrobić zupełnie bezwładna. Gdyby cię nie podtrzymywały jego silne ramiona, osunęłabyś się na ziemię. Sid, mój chłopcze, nie jesteś instruktorem, który uczy młodą pannę pływania, tylko zrozpaczonego kochankiem w obliczu śmierci. Wszyscy będą się z tobą utożsamiać, muszą czuć, że ją kochasz ich miłością, miłością wszystkich łaknących uczucia, piękna, silnych wrażeń, ale zapomnij o tym, rozluźnij się, mój drogi, zapomnij o mnie, o kamerze, jesteście sami we dwoje, chwytaacie rozpaczliwie chwilę, jesteście sami, biją tylko wasze dwa serca, ty i najpiękniejsza dziewczyna świata, najnowsza ulubienica mas... Tak, dobrze! Nie ruszajcie się! Kamera!

KRONIKA LXIII

ale parę minut później urojony ląd znikł równie szybko i tajemniczo, jak się pojawił, i znów miałem przed sobą bezmiar cichego oceanu bez śladu życia

*Lelek wrzeszczy,
Nockę wieszczy,
Ja w te pędy
Kraść jej względy*

LINDBERGH W NIEBEZPIECZEŃSTWIE ZASKOCZONY FAŁĄ WZBURZONĄ PRZEZ DZIÓB KRAŻOWNIKA

*Wysoko w górach Tennessee,
Z dala od pokus świata tego,
Wsparty na dwururce, o Turnera córce
Śnił syn starego papy Kelly'ego.*

NIEPRZEBRANE TŁUMY WYLEGLY NA POWITANIE LINDBERGHA

reporter pstryka zdjęcia zawieszony karkołomnie na rei

*Z młodego Dana był wielki zuch,
Co nie zwykł nosa spuszczać na kwintę*

MIASTO ROZENTUZJAZMOWANE ŚMIAŁYM WYCZYNEM
WITA Z GŁĘBI SERCA

PILOT WYKONUJE AKROBACJE POWIETRZNE

*Do córki Turnera żar w nim ciągle wzbiera~
Więc załadował dwustrzelną flintę.*

LUMINARZE ŻYCIA PUBLICZNEGO WITAJĄ LOTNIKA WYBUCEM ENTUZJAZMU

ZAMIESZANIE W HOTELU
lotnik omal nie wypadł z auta,
które nagle skoczyło w lukę otwierającą się w tłumie

*Nieodrodny, Kelly'ego syn,
Po górach gonił do bitki gotów,
Z płomieniem w oku i flintą u boku
Szukając Zeba Turnera pomiotu.*

SANKTUARIUSZE* MASZERUJĄ W ULEWNYM DESZCZU

papierowa nawałnica zasypała Broadway

*Strzały się niosły wierchami śród chmur,
Wiatry daleko gnały ich echa*

LINDY STANIE NA CZELE WIELKIEJ LINII POWIETRZNEJ

*Po świecie się rozszedł szumny hyr,
Szeroko Dan Kelly zasłynął,
Wybił do nogi Turnerów klan mnogi
I zeszedł się z Zeba dziewczyną.*

spośród stłoczonych ludzi, wśród których stał dotąd ukryty, wybiegł niski łysawy mężczyzna z twarzą stężalą z przejścia i wspiał się szybko do aeroplanu, jakby w obawie, że ktoś może go zatrzymać. Był z gołą głową, w zwykłym ubraniu, tylko zamiast marynarki miał skórzaną kurtkę. Wcisnął się na siedzenie obok Chamberlina*, nie patrząc ani na tłum, ani na swoją własną żonę, która stała trochę z boku przed aeroplanem,

z oczami okrągłymi z podziwu. Zawarczał motor i aparat potoczył się po runwayu, zatrzymał się, zawrócił, po czym wzniosł się popisowo.

ARCHITEKT

Pewnego parnego późnowiosennego dnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego do Chicago przyjechał wysoki osiemnastoletni młodzieniec o pięknych oczach i dumnej rasowej głowie. W kieszeni miał siedem dolarów, które (po kupnie biletu z Madison) pozostały mu z sumy uzyskanej w lombardzie za "Żywoty" Plutarcha, "Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego" Gibbona oraz stary paltot z futrzanym kołnierzem.

Przed wyjazdem z domu na poszukiwanie praktyki w biurze architektonicznym (na Uniwersytecie Stanu Wisconsin nie było studium architektury, które by mu zamuliło głowę zwietrzalymi koncepcjami spod znaku Beaux-Arts*) młody człowiek był świadkiem, jak z powodu źle ułożonego dzikiego muru w filarach, skąpienia materiałów przez nieuczciwych budowniczych celem wygospodarowania łąpówek dla polityków oraz być może jakiegoś drobnego, ale krytycznego błędu w obliczeniach architektonicznych zawaliła się kopuła kapitolu stanowego w Madison;

długo nie mógł zapomnieć huku pękających sklepień, walących się murów, wzbijanych tumanów pyłu, zmasakrowanych ciał zabitych i umierających, które wynoszono z gruzów, zastygłych twarzy sinych od kurzu.

Wędrując po centrum Chicago, przechodząc tam i z powrotem przez rzekę, w zgiełku i turkocie pojazdów, w dudnieniu ładownych platform i furgonów, w stukocie kopyt tęgich perszeronów, w buczeniu holowników ciągnących barki, w basowych syrenach parostatków czekających na podniesienie zwodzonych mostów,

rozmyślał o wielkim kontynencie ciągnącym się tysiąc mil na wschód, na południe i na północ, trzy tysiące mil na zachód, o kontynencie, na którym wszędzie, wokół kopalni, na nadbrzeżach nowozakładanych portów, wzdłuż biegu rzek, dokoła węzłów kolejowych, wyrastają

baraki, parowozownie, wieże szybowe, elewatory zbożowe, składy, magazyny, kamienice czynszowe, pyszne rezydencje bogaczy okolone przestronnymi ocienionymi trawnikami, zwieńczone kopułami kapitolu stanowego na wzgórzach, hotele, kościoły, opery, audytoria.

Długim energicznym krokiem zmierzał

ku wszechmożnej przyszłości otwierającej się w każdej stronie kontynentu przed młodym człowiekiem zdecydowanym nie szczędzić trudu rąk ani wysiłku twórczej myśli.

Jeszcze tego dnia dostał pracę w biurze architektonicznym.

Frank Lloyd Wright był wnukiem walijskiego kapelusznika i kaznodziei, który osiadł w żyznej dolinie wisconsinskiej, Spring Valley, i dochował się licznego potomstwa farmerów, pastorów i nauczycielek. Ojciec Wrighta był również kaznodzieją, niespokojnym niezrównoważonym Nowoangielczykiem, który parał się medycyną, głosił słowo Boże w kościele baptystów w Weymouth, w stanie Massachusetts, a potem w kościołach unitariańskich na Środkowym Zachodzie, uczył muzyki, studiował sanskryt i w końcu rzucił rodzinę.

Młody Wright urodził się na farmie dziadka, chodził do szkół w Weymouth i w Madison, pracował latem na farmie wuja w Wicon-sinie.

Jego studia architektoniczne ograniczyły się do lektury Viollet-le-Duca*, bałwochwalcy trzynastego wieku i czystych geometrycznych form gotyckich budowli kamiennych, oraz do siedmiu lat terminowania u Louisa Sullivana w chicagowskiej firmie Adler i Sullivan*. (To Louis Sullivan był tym, który po Richardsonie* wymyślił wszystko, cokolwiek nowego wymyślono w dziewiętnastowiecznej architekturze amerykańskiej.)

Opuszczając Sullivana, Frank Lloyd Wright miał już wykrystalizowany własny charakterystyczny styl, który nazwał architekturą prerii*. Wznosił w Oak Parku* przestronne wille podmiejskie dla bogaczy, pierwsze budowle, które rozrywały okowy wielowiekowej tradycji krępującej wyobraźnię architektów amerykańskich, odrzucały wysłużone plinty, kapitele i tympanony przywleczone przez stulecia z Akropolu, przeżyte szablony rzymskiej murarki, półzatarłe seksterny palladiańskie*.

Frank Lloyd Wright torował drogę do śmigłych konstrukcji ze szkła i stali, kładł podwaliny pod dzień dzisiejszy.

Entuzjastycznie sięgał po nowe materiały, stal sprężoną, szkło, beton, milion nowych metali i stopów.

On, syn i wnuk kaznodziejów, głosił swoją ewangelię na kalce technicznej, projektując z myślą o Ameryce przyszłości, nie o Europie przeszłości. On, wynalazca rzutów poziomych, prawodawca przyszłościowego języka dźwigarów,

naucza młodych ludzi dochodzących do dojrzałości w czasach ucisku, wtłoczonych w papierowe przegródki uświęconego porządku finansowego, który ogranicza ich życie i plany feudalnymi daninami pasożyt-niczego pieniądza, kładącego się cieniem na każdym naturalnym procesie, odrzucającego postęp na rzecz obcinania kuponów:

Obywatel należycie mieszczałały staje się maklerem frymarczącym głównie ludzkimi słabościami lub też pomysłami i wynalazkami innych, poruszającym dźwignie i naciskającym guziki nie swojej potęgi, danej mu mocą mechanizacji... A obok niego i pod nim, a nawet w jego sercu, gdy śpi, tyka nieprzerwanie licznik

kosztów najmu, w taki czy inny sposób dopingujący tego niezmordowanego konsumenta do nieustającej walki o mniej czy bardziej ogłędny czy bezwzględny przyrost kapitału lub też przeciwko niemu.

Młodym ludziom, którzy trawią dni i noce nad planami nowych klitek czynszowych w blokach czynszowych ustawianych sztorcem na kamiennym bruku,

głosi

horyzonty swoich lat chłopięcych,

przyszłość, która się nie zasadza na hossie stu wybranych akcji o parę punktów ani na wzroście przewozów, ani na powiększeniu salda kredytowego w banku, ani na wyższości stopy procentowej od pożyczek krótkoterminowych,

lecz jest czystą nową konstrukcją wznoszoną od fundamentów, nastawioną na użyteczność i zaspokajanie potrzeb,

zwróconą ku nowej Ameryce, nie ku starej Europie i Azji splugawionej cierpieniem. Nazwał Usonią* szeroki rojny pas, którym nowy naród przewiąże olbrzymi kontynent między Atlantykiem a Pacyfikiem. Propaguje ideę Usonii:

Łatwo pojąć, w jaki sposób gmatwanina prymitywnych budowli użytecznych, na podobieństwo prymitywnych rusztowań na wspaniałym gmachu, zadawała gwałt krajobrazowi w niemowlęctwie naszego rozwoju mechanicznego... Prymitywne cele wieku pionierskiego zostały osiągnięte, może więc teraz rozebrać rusztowania, aby się ukazało prawdziwe dzieło, wytwór kultury narodu.

Jak wielu pionierów, proroków, reformatorów, Frank Lloyd Wright miał burzliwe życie. Użerał się z dziećmi, kłócił z żonami, łamał rozliczne tabu, popadał w konflikty z prawem, prowadził procesy rozwodowe, bankrutował, a prasa brukowa cały czas deptała mu po piętach, popołudniówki trąbiły wielkimi tytułami o jego nieszczęściach, rozgłaszały jego romanse, zachłystywały się koszmarem pożaru jego domu w Wisconsinie*.

Jak na ironię,

budynkiem, który może nazwać najbardziej swoim, jest Hotel Imperialny* w Tokio, jeden z niewielu gmachów, które przetrwały bez szwanku trzęsienie tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego (dzień, w którym nadeszła depesza zawiadamiająca go, że budynek wytrzymał oszczędzając życie tyłu a tyłu ludziom, był, jak pisze, jednym z jego najszcześniejszych dni),

a o jego projektach większość Amerykanów dowiedziała się po raz pierwszy z publikacji niemieckich.

Jego kariera jest pełna śmiałych projektów, które nie zostały zrealizowane. (Jakże często kaznodzieje słyszą swój głos obijający się głuchym echem w pustych ścianach, konstruktorzy śledzą pokłady kurzu nawarstwiającego się na ich przemysłnych projektach, architekci patrzą, jak ich plany żółkną i kruszą się zwinięte w rulony na półkach!)

Dwukrotnie odbudowywał dom, w którym mieszka w dolinie swego dziadka w Wisconsinie, po pożarach i kataklizmach, które by na resztę życia złamały większość ludzi*.

Pracuje w Wisconsinie, prosty szczupły siwowłosy mężczyzna, którego synowie są architektami i do którego pracowni zjeżdżają się praktykanci z całego świata*,

pracuje nad projektem nowego miasta (nazwał je Miastem Rozległych Pól*).

Bliskie i Dalekie zostało przezwyciężone (dla wyobrażenia sobie nowego miasta trzeba wymazać wszystkie zakorzenione przyzwyczajenia przeszłości, budować wspólnotę nowymi narzędziami od fundamentów). Dla architekta liczą się tylko zastosowania:

niewiarygodne zwielokrotnienie funkcji, naprężenie i wytrzymałość metalu,

dynamo, cewka elektryczna, radio, fotokomórka, motor spalinowy,

szkło,

beton;

oraz potrzeby. (Powiedzcie nam, doktorowie filozofii, jakie są potrzeby człowieka. Na pewno człowiek winien być przynajmniej nie więziony, nie straszony, niegłodny, niezmarznięty, nie pozbawiony miłości, winien nie musieć pracować dla mocy, których nigdy nie widział

i które się nic a nic nie liczą z możliwościami i potrzebami mężczyzn, kobiet i dzieci.)

Budowa domu to organizacja życia jego budowniczych i mieszkańców.

Budowle kształtują cywilizacje, tak jak komórki plastra kształtują obyczaje pszczół.

I może w końcu zadufany projektant, fuszer w betonie i cygan plastik na usługach bogatych pań pragnących sobie kupić poklask ekscentrycznym urządzeniem mieszkania, zostaną mimo woli zmuszeni przez logikę możliwości i potrzeb, przez nie kończącą się walkę z podskórnym nurtem dziedzicznego pieniądza

do proponowania rozwiązań, których realizacja będzie kształtowała nowe życie;

bo tylko w wolności możemy wybudować miasto Usonię. Wizje Franka Lloyda Wrighta przyoblekają się w ciało. Jego projekty, jak niegdyś słowa Walta Whitmana, porywają młodych.

Frank Lloyd Wright,

arcykapłan nowego budownictwa,
nie cierpi na brak uznania nigdzie z wyjątkiem własnej ojczyzny.

KRONIKA LXIV

NIESAMOWITĄ RYBĘ WYŁOWIONO Z MORZA SARGASSOWEGO

w nocy, kiedy resztę fabryki spowijała cisza, w długim niskim budynku za laboratorium badawczym
krzątały się niewyraźne postacie, odrażające w maskach gazowych

PRZEMYT ALKOHOLU ZBLIŻA NARODY

*Na górskiej stacyjce złapałem pociąg,
Przysiadłem w wagonie przy oknie*

ŻONA ZAMORDOWANA, ZATRZYMANO MĘŻA

nadchodzące wybory nie odbierają snu ludziom interesu*

ZŁOWROGIE PRZECZUCIA PORUSZAJĄ MOSKWĘ

PRZYWÓDCY ZWIĄZKOWI NIE DOPUSZCZENI NA AMBONY

wyobraźnia wzdryga się na sprawozdania dochodzące z Moskwy. Owi mordercy postawili się poza
nawiasem społeczeństwa. Okazali się wściekłymi psami cywilizowanego świata

PRACODAWCY Z WALL STREET ROZPRASZAJĄ GRATYFIKACJAMI TROSKI GWIAZDKOWE

*Patrzyłem, jak moja najmilsza stoi
Samiutka na deszczu i moknie*

ZAPEWNIENIE O NASZEJ SUPREMACIE POWIETRZNEJ

KRAINA TAK GÓRZYSTA, JAKBY STANEŁA DĘBA

*Wpakowałem się w niezłą kabałę,
Szeryfa kulką poczęstowałem*

Czy nie słyszeliście miękkich kroków, skradających się ku wam w ciszy nocnej?

TROCKI PRZYPUSZCZA ATAK NA STALINA

człowiek uduszony na ulicy

*... chlipię po kryjomu,
Mój miły musi uchodzić z domu*

POSZUKIWANIA KOBIETY, KTÓRA SIĘ RZUCIŁA Z SIEKIERĄ NA PANIĄ Z TOWARZYSTWA

WSZYSCY ŚCISKAJĄ DŁONIE BOHATEROM

ŚMIERĆ DZIEWCZYNY W ZAGADKOWYM SKOKU Z WYSOKOŚCI

*To jest mężczyzna, co potrzebuje
Kobiety takiej jak ja*
kompletnie zagubiony we mgłę nad Meksykiem

POTWIERDZA SIĘ, ŻE ROSJA POWSTAJE

Tańczę, lecz oczy mam pełne łez,

Nie ciebie do piersi przyciskam

SZEŚĆSET OSÓB STRACONYCH NA RAZ W KANTONIE

ZAPOWIADA SIĘ ROK KONIUNKTURY

w ramach naszej służby konsultacji inwestycyjnych przyjmujemy zlecenia na ekspertyzy, sprawdzamy wszelkie papiery wartościowe, jakie państwo posiadają, i dostarczamy ich bezstronnej oceny i ewaluacji. W ciągu całego roku informujemy państwa okresowo o wszelkich istotnych zmianach, a w razie nagłego pojawienia się jakichkolwiek niepokojących symptomów natychmiast zawiadamiamy

OKO KAMERY (49)*

piechotą z Plymouth do North Plymouth w ostrym powietrzu zatoki Massachusetts za każdym krokiem cienkie zimne ciurknięcie przez podeszwę jednego pantofla

patrzysz na szare drewniane domki pod gołąbkowoblękitnym niebem kwietniowym na białe płaskodenne łodzie rybackie zakotwiczone na butelkowoprzejrzystej płyciźnie na ławicę żółtego piasku i na łupkową zatokę niebieskomarszczoną ku wschodowi

to tutaj wylądowali pierwsi przybysze Okrągłe Łby* łupieżcy zamków królobójcy wrogowie ucisku to tutaj stali zbici w gromadkę po zejściu z zatłoczonego okrętu cuchnącego zębą na plaży która była niczyja między oceanem który był niczyj a olbrzymim borem który był niczyj ciągnął się za góry którymi biegły tropy jelenie w głąb zielonych dolin którymi spływały rzeki tam gdzie Czerwonoskórzy uprawiali swoje poletka wysokiego zboża* dalej i dalej na zachód

przez trzy stulecia przybysze brnęli mozolnie na niewiarygodny zachód
aż dzisiaj

w drodze z Plymouth do North Plymouth wychodząc zza zakrętu za małym jeziorkiem i wierzbami o żółtych gałązkach powlekających się zielenią widzisz Fabrykę Lin wielkie szopy i hale zabudowania fabryczne wszystkie jednego rozmiaru wszystkie poczerńiałe na jeden brudny odcień wysoki kwadratowy komin długie dachy równe proste czworoboki zagradzające morze Plymouthska Fabryka Lin

to tutaj pracował niedawny przybysz wróg ucisku który pragnął niegrodzonego świata kiedy go wyrzucili z fabryki handlował rybami znali go inni przybysze mieszkający w poczerńiałych drewnianych domkach kupowali u niego ryby słuchali jego słów chodzili za jego wózkami od domu do domu pytasz ich Jaki był? czemu się boją wspominać Barta boją się że go znali spłoszone

oczy zwięzają im się zachodzą strachem? fryzjer mężczyzna w sklepiku spożywczym kobieta u której wynajmował pokój spłoszonym szeptem pytają Czemu nam nie wierzą? My go znali Co dzień go widzieli Czemu nie wierzą że tego dnia my u niego kupowali węgorz?

nie boi się tylko chłopak

gryzmołę ołówkiem w notesie strzępy wspomnień urwane zdania mozolę się żeby pozbierać rozsypane słowa złożyć wypowiedzi zrekonstruować porwane obrazy w niepodważalną (o Poncjuszu Piłacie) prawdę piwnooki chłopak odprowadza mnie nieśmiało na stację opowiada jak Bart mu pomagał odrabiać lekcje chce dojść do czegoś w życiu czemu miałyby mu zaszkodzić to że znał Barta? chce iść na Uniwersytet Bostoński ściskamy sobie dłonie Nie dajcie się zastraszyć

jak zwykle wagon dla palących jak zwykle podskakujące twarze usypiające dudnienie w gęstniejącym mroku do Bostonu jak do domu jak mogę im przypomnieć naszych ojców dziadów wrogów ucisku którzy przybyli do tego brzegu jak powiedzieć Nie dajcie się zastraszyć jak im uświadomić kto cię ciemnieży Ameryko

jak oczyścić splugawione słowa wytarte ustami adwokatów prokuratorów rektorów sędziów bez odwiecznych słów przybysze wrogowie ucisku przygnani do Plymouth jak możecie wiedzieć kto cię zdradził Ameryko

albo że ten handlarz ryb więziony w Charlestown jest jednym z twoich założycieli Massachusetts?

KRONIKA LXV

BURZA UNIERUCHOMIŁA METRO
WODA I PIORUN POZBAWIŁY MIASTO ŚWIATŁA

*Miłość, ach, miłość, ach, niebaczna miłość,
Co nocą jak złodziej się skrada*

WIDZOWIE ZAKRZYKNĘLI "ALLELUJA", GDY WYLĄDOWAŁ
GOŁĄBEK POKOJU; ROZDZIELONO PODOBNO STO
TYSIĘCY DOLARÓW

KRACH WSTRZĄSA GIEŁDĄ

W Chicago postępujący spadek kursów odbija się
na transakcjach pozagiełdowych

*Dajcie mi piernat pod kości zbolale
Lub nóż mi dajcie do podcięcia gardła,
Bo wódka zdrowie zupełnie mi zżarła,
A od łajdactwa fijoła dostałem.*

NADZIEJA W ŁODZIACH GUMOWYCH

Bo nie przestanę kochać mej milej,

Dopóki morze nie wyschnie całkiem

Światło tego wielkiego nowego reflektora opala na odległość dwóch
mil

*Góry się w piaski nie skruszą miałkie...
Oby mi tylko starczyło siły!*

Według pozwu, Smythe był od 12 lipca 1924 zatrudniony przy testowaniu kleistości smarów w zakładach towarzystwa w Okmulgee. Do jego obowiązków należało między innymi nalewanie benzolu do gorącej kadzi, w której go następnie odparowywano, aby poddać badaniu osad. W trakcie tego wdychał dzień po dniu bynajmniej nieprzykre opary z kadzi.

Mniej więcej po roku pracy Smythe zaciął się pewnego dnia przy goleniu i stwierdził, że skaleczenie nie przestaje obficie krwawić przez wiele godzin. Dziaśła także zaczęły mu krwawić przy czyszczeniu zębów, a ponieważ krwawienie nie ustawało przez kilka dni, Smythe zasięgnął porady lekarskiej. Orzeczenie brzmiało, że opary benzolu uszkodziły ścianki jego naczyń krwionośnych.

Po półtora roku spędzonym w łóżku, w którym to czasie Smyther zasypiał tylko pod działaniem opium, usunięto mu śledzionę i migdałki. Stosowano mu przy tym okresowe transfuzje dla utrzymania w organizmie poziomu krwi zbliżonego do normy.

W sumie wprowadzono mu ponad siedemnaście litrów krwi przez żyły rąk, a kiedy te uległy zniszczeniu, musiano się operacyjnie dostawać do żył wewnątrz ciała. Przez cały ten czas, jak stwierdza pozw, pacjent bardzo cierpiał, a przytomność utracił dopiero na osiem godzin przed śmiercią.

MARY FRENCH

Pierwsze zajęcie w Nowym Jorku dostała Mary French przez jedną z przyjaciółek Ady. Polegało ono na siedzeniu przez cały dzień w galerii sztuki na Ósmej Ulicy, gdzie wystawiano rzeźby, i odpowiadaniu na pytania dam w powiewnych batikach, które przychodziły popołudniami pokazać się w roli koneserek sztuki. Skończyło się to po dwu tygodniach, gdyż wróciła dziewczyna, którą zastępowała, więc Mary, która wyrzucała sobie przez cały czas, że traci kontakt z prawdziwym życiem, poszła do Bloomingdale'a* i dostała się na sklepową do działu strojów dla pań i panien. Kiedy ją zwolniono w toku letnich redukcji, pojechała do Colorado Springs i napisała do "Człowieka Wolnego"* artykuł o pracownikach domów towarowych, który jej utorował drogę do posady dokumentarzystki przy badaniach zarobków, kosztów utrzymania oraz różnic cen hurtowych i detalicznych w przemyśle konfekcyjnym, prowadzonych przez Międzynarodowy Związek Pracowników Damskiego Przemysłu Odzieżowego. Lubiła wielogodzinne grzebanie się w statystykach, rozmowy z działaczami związkowymi, z dowcipkującymi radykałami, z robotnikami i robotnicami przychodzącymi do brudnego ciasnego pokoiku biurowego, który dzieliła z dwiema lub trzema innymi dokumentarzystkami. Tutaj wreszcie czuła, że się znajduje w wirze prawdziwego życia.

Ada pojechała z rodziną do Michiganu zostawiając Mary samą w mieszkaniu na Madison Avenue. Mary powitała z ulgą jej wyjazd; niby nadal ją lubiła, lecz zanadto się różniły zainteresowaniami i wiecznie toczyły idiotyczne kłótnie o większą wagę sztuki czy sprawiedliwości społecznej, po których obie były wyczerpane i takie na siebie złe, że czasami nie rozmawiały po parę dni; a już wręcz nie cierpiały nawzajem swoich znajomych. Mimo to Mary nie mogła jej nie lubić. W końcu nie od dzisiaj się przyjaźniły, przy tym Ada tak hojnie łożyła na różne komitety obrony strajkujących, fundusze pomocy prawnej, wszystko, o czym Mary tylko napomknęła. Miała naprawdę szeroki gest mimo swoich beznadziejnie burżujskich poglądów i braku elementarnej świadomości społecznej. Mieszkanie też denerwowało Mary swoimi pastelowymi bibelotami, prawdziwym Whistlerem, zbyt grubymi dywanami, za miękkimi materacami sprężynowymi i okropnymi atlasowymi chwaścikami na wszystkim, lecz tak mało zarabiała, że niepłacenie komornego było jej ogromnie na rękę. Mieszkanie Ady bardzo się przydało w dniu wielkiego mitingu w~ Madison Square Garden na powitanie bohaterów wojny klasowej zwolnionych z Atlanty*. Mary, którą zaproszono do prezydium, usłyszała przypadkiem, jak członkowie komitetu organizacyjnego się zastanawiają, gdzie zamelinować Bena Comptona. Szukali jakiegoś spokojnego lokalu, gdzie by mógł odpocząć w ukryciu przed szpiclami

Departamentu Sprawiedliwości, którzy mu deptają po piętach od powrotu do Nowego Jorku. Mary podeszła i szeptem zaproponowała swoje mieszkanie. W rezultacie czekała po mityngu w żółtej taksówce na rogu Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i Madison Avenue, aż się zjawił wysoki blady mężczyzna w kraciatej czapce ściągniętej na oczy i usiadł roztrzęsiony koło niej. Gdy taksówka ruszyła, nałożył z powrotem okulary w stalowej oprawce.

- Obejrzyjcie się, towarzyszko, czy nie jedzie za nami zamknięte szare auto - powiedział.

- Nic nie widzę - odparła Mary.

- Nie poznalibyście go, nawet gdybyście widzieli - burknął. Na wszelki wypadek wysiedli na dworcu Grand Central, przeszli kawałek Park Avenue w górę Manhattanu, po czym wrócili jedną z przecznic i znowu Madison. Przed swoją bramą Mary musiała go przytrzymać za rękaw. W mieszkaniu kazał jej zamknąć zasuwę i opadł na fotel nie zdjawszy czapki ani paltota. Nie odzywał się, ramiona mu drżały. Mary starała się na niego nie patrzeć. Nie wiedziała, co robić. Pokręciła się trochę po salonie, podpaliła gazowe bierwiona na kominku, wypaliła papierosa, poszła do kuchenki nastawić kawę. Kiedy wróciła, Ben bez paltota i czapki grzał przy kominku dłonie o grubych knykciach.

- Musicie mi wybaczyć, towarzyszko - odezwał się suchym chrapliwym głosem. - Jestem zupełnie wykończony.

- Och, nie krępujcie się mną - powiedziała Mary. - Myślałam, że może napijecie się trochę kawy.

- Kawy nie, gorącego mleka - rzucił śpiesznie. Szczękał zębami, jakby mu było zimno. Mary wróciła z kubkiem gorącego mleka.

- Mógłbym dostać do tego trochę cukru? - poprosił i prawie się uśmiechnął.

- Oczywiście. Mielicie wspaniałe przemówienie, powściągliwe, a zarazem takie płomienne. To było najlepsze wystąpienie na całym mityngu.

- Nie zauważyliście po mnie zdenerwowania? Byłem w strachu, że się załamie i nie dokończę. Jesteście pewni, że nikt nie zna tego adresu ani telefonu? Na pewno nikt nas nie śledził?

- Z całą pewnością nikt was nie znajdzie na Madison Avenue. To ostatnie miejsce, w którym będą szukali.

- Wiem, że za mną chodzą - powiedział i wstrząsnawszy się opadł z powrotem na fotel.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Mary słyszała syczenie bierwion na kominku i krótkie świszczące łyki, jakimi pił gorące mleko.

- Musiało wam tam być okropnie - odezwała się w końcu. Wstał i pokręcił głową, jakby nie chciał o tym mówić. Był młodym mężczyzną smukłej budowy, lecz gdy zaczął się przechadzać przed kominkiem, powłóczył nogami w dziwnie starczy sposób. Twarz miał bladą jak płótno, z workami brązowej skóry pod oczami.

- Rozumiecie - powiedział - jestem jak człowiek, który po ciężkiej chorobie uczy się na nowo chodzić. Nie zwracajcie na to uwagi. Wypiwszy parę kubków gorącego mleka poszedł do łóżka. Mary zamknęła drzwi sąsiedniej sypialni i ułożyła się na posłaniu ze stosem książek i broszur. Miała do sprawdzenia kilka szczegółów prawnych. Oczy zaczęły jej się kleić i właśnie się wsunęła pod koce, gdy ją zbudziło pukanie. Złapała szlafrok, zerwała się i pobiegła otworzyć. W drzwiach stał Ben Compton, cały drżący, w długich kalesonach stanowiących jedną całość z podkoszulkiem. Był bez okularów, na grzbiecie nosa pozostał mu czerwony ślad od oprawki. Włosy miał potargane, kościste stopy bose.

- T-towarzyszko - wyjąkał - c-cobyście... c-cobyście na to... na to p-powiedzieli, gdybym się koło was położył? Nie mogę zasnąć. Nie chcę być sam.

- Biedny chłopiec... Wskakujcie do łóżka, cali drżycie - odrzekła. Położyła się koło niego w szlafroku i pantoflach rannych. - Zgasić światło? - spytała. Przytaknął skinieniem.

- Chcecie aspiryny?

Pokręcił głową. Podciągnęła mu koce pod głowę, jakby był dzieckiem. Leżał nieruchomo na wznak, z szeroko otwartymi czarnymi oczyma

wbitymi w sufit. Zęby miał zaciśnięte. Przytknęła mu dłoń do czoła jak chłopcu, żeby zobaczyć, czy nie ma gorączki. Wstrząsnął się i odsunął.

- Nie dotykajcie mnie - powiedział.

Mary zgasiła światło i próbowała się odprężyć, żeby móc zasnąć koło niego. Po chwili schwycił jej dłoń i ścisnął mocno. Leżeli w ciemności jedno obok drugiego, wpatrzni w sufit. Po jakimś czasie Mary poczuła, jak uścisk jego palców się rozluźnia; zapadał w sen. Leżała koło niego z otwartymi oczyma, bojąc się, że najmniejszym poruszeniem go obudzi. Ilekroć zasypiała, śniło jej się, że tajniacy wyłamują drzwi, i budziła się gwałtownie, wstrząsana dreszczem.

Kiedy rano wychodziła do biura, Ben jeszcze spał. Zostawiła mu klucz od zatrasku i kartkę z informacją, że jedzenie i kawa są w lodówce. Gdy po południu wracała do domu, już w windzie zaczęło jej walić serce. Otworzywszy drzwi myślała przez moment, że się wyniósł. W sypialni go nie było. Dopiero po chwili zauważyła, że drzwi do łazienki są zamknięte, i usłyszała dochodzące ze środka mruczando. Zapukała.

- To wy, towarzyszku Compton?

- Już wychodzę.

Głos miał silniejszy, bardziej przypominający głęboki gromki bas, którym przemawiał na mityngu. Wyszedł uśmiechnięty; długie białe nogi z najeżonymi czarnymi włoskami wystawały mu śmiesznie spod lawendowego szlafroka Mary.

- Cześć! Zrobiłem sobie kąpiel, już trzecią dzisiaj. Doktor mówi, że to dla mnie wskazane. Rozumiecie, na odprężenie. - Wyciągnął spod pachy wydanie "Doriana Greya" Oskara Wilde'a oprawne w różową skórę i zamachał nim przed nosem Mary. - Czytałem te elukubracje. Lepiej się czuję. Słuchajcie, towarzyszeko, czyje to jest właściwie mieszkanie?

- Mojej przyjaciółki, skrzypaczki. Wróci dopiero na jesieni.

- Gdyby była, to by nam zagrała. Chętnie bym posłuchał dobrej muzyki. A może wy też gracie? Mary pokręciła głową

- Zjecie kolację? Zrobiłam trochę zakupów.

- Spróbuję. Tylko nic ciężkiego. Cierpię ostatnio na niestrawność. Więc uważacie, że dobrze mówiłem?

- Uważam, że wspaniale - odrzekła.

- Po kolacji przejrzy gazety, któreście przynieśli. Żeby tylko ta sprzedajna prasa nie przekręcała tak zawsze wszystkiego, co mówimy. Mary przygrzała trochę grochówki, zrobiła tosty i jaja na boczku. Ben zjadł wszystko, co mu podała. Jedząc prowadzili miłą ciepłą rozmowę o ruchu związkowym. Mary opowiedziała mu o swoich przeżyciach podczas wielkiego strajku hutników. Widziała, że zaczyna się nią interesować. Ledwo skończyli jeść, nagle cały zbladł. Pobiegł do łazienki i zrzucił wszystko.

- Ben, mój biedaku - powiedziała, gdy wrócił wymęczony na uginających się nogach. - To okropne.

- Dziwne - odrzekł słabym głosem. - Przecież już raz siedziałem w więzieniu hrabstwa Bergen w New Jersey i wyszedłem w dobrej formie. A tym razem tak mnie wzięło.

- Źle was traktowali?

Zacisnął zęby, aż mu się napięły mięśnie szczęk, ale potrząsnął głową. Nagle chwycił Mary za rękę, a oczy napełniły mu się łzami.

- Towarzystwo French, jesteście dla mnie za dobrzy. Mary niewiele myśląc zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła go do piersi.

- Nie wiecie, co to dla mnie znaczy znaleźć taką... taką słodką towarzyszkę - powiedział odsuwając ją delikatnie. - Teraz pozwólcie mi zobaczyć, jak gazety pokieroszowały moje przemówienie. Ukrywał się w jej mieszkaniu przeszło tydzień, nim w sobotę wieczorem wyznali sobie miłość. Mary nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Przez całą niedzielę baraskowali jak dzieci, a wieczorem

poszli do Central Parku posłuchać orkiestry. Później rzucali w siebie gąbkami w łazience i droczyli się przy rozbieraniu. Spali spleceni w objęciach.

Mimo że Ben wychodził tylko po ciemku, w ciągu następnych paru dni jego policzki zaczęły nabierać rumieńców, a krok zrobił się sprężysty.

- Przy tobie poczułem się znowu mężczyzną - powtarzał jej po kilkanaście razy dziennie. - Widzę, że będę mógł jeszcze coś zdziałać. W końcu rewolucyjny ruch związkowy dopiero raczkuje w naszym kraju. Ale fala się odwróci, zobaczysz. Wszystko się zmieniło po zwycięstwach Lenina i Trockiego w Rosji.

W sposobie, w jaki wymawiał te trzy słowa: "Lenin, Trocki, Rosja" -było dla Mary coś wzruszającego.

Po kilku tygodniach jął wychodzić na spotkania z radykalnymi liderami. Mary nigdy nie wiedziała, czy po przyjściu z biura zastanie go w domu. Zdarzało się, że wracał wymęczony, z zapadłymi policzkami o trzeciej albo czwartej nad ranem. Kieszenie miał zawsze wypchane bibułą i ulotkami. Wypieszczony salon Ady wypełniał się powoli tandetnie drukowanymi gazetkami i broszurami oraz tekstami powielanymi na mimeografie. Na kominku, między dreźnieńskimi porcelanowymi figurynkami muzyków grających na różnych instrumentach, oczkiem w głowie Ady, leżały trzy tomy "Kapitału" z ołówkami po-wtykanymi dla zaznaczenia potrzebnych miejsc. Wieczorami Ben odczytywał Mary fragmenty broszury wzorowanej na Leninowskim, "Co robić?"*, nad którą pracował, i ze zmarszczoną brwią dopytywał, czy jasno się wyraża, czy rozumieją jego wywód prości robotnicy. Którejś sierpniowej niedzieli zabrał ją ze sobą na Coney Island, gdzie się umówił ze swoją rodziną. Uważał, że bezpieczniej będzie się z nimi spotkać w ludnym miejscu publicznym. Nie chciał, żeby szpicle trafili za nim do domu rodzinnego i później nachodzili starszków oraz siostrę, która miała dobrą posadę jako sekretarka znanego handlowca. Kiedy się spotkali, Comptonowie z początku nie zwracali wcale uwagi na Mary. Siedzieli przy wielkim okrągłym stole u Staucha i pili młode piwko. Potem jednak wszyscy jak na komendę wbili w nią wzrok, tak że miała się ochotę zapaść wraz z krzesłem pod ziemię. Starsi państwo byli bardzo uprzejmi i delikatni w obejściu, ale czuła, że woleliby się spotkać z Benem bez niej. Siostra Bena, Gladys, zmierzyła ją jednym złym wrogim spojrzeniem i więcej jej nie zauważała. Brat Bena, Sam, tęgi Żyd o zamożnym wyglądzie - Ben zdążył jej powiedzieć, że prowadzi jakiś mały interes, zdaje się warsztat, w którym z pewnością wyciska ostatnie poty z pracowników-- był gładki i ugrzecznony. Tylko Izzy, najmłodszy brat, przypominał trochę robotnika, ale i on kierował się chyba raczej na gangstera. Traktował ją z żartobliwą poufałością; czuła, że ją uważa za kochanicę Bena. Widziała, że wszyscy Bena podziwiają: był tym najbystrzejszym, najuczeńszym w rodzinie. Wprawdzie kiwali z pożałowaniem głowami nad jego radykalizmem, tak jakby kiwali nad wstydliwą chorobą, którą się zaraził, ale

mimo wszystko imponowało im jego nazwisko w gazetach, owacje w Madison Square Garden, przemówienia, w których go wysławiano jako bohatera klasy robotniczej. Kiedy pożegnawszy się z Comptonami wracali do metra. Ben szepnął Mary z goryczą do ucha:

- No, więc taka jest ta żydowska rodzinka. Co o nich myślisz? Zupełnie człowieka paralizują, prawda? Czuję się w ich obecności jakbym zabił człowieka albo prowadził sieć burdela. Nawet w ruchu nie można się wyzwolić spod ich wpływu.

- Ależ, Ben, ma to swoją dobrą stronę. Oni by się dali za ciebie zabić, a ja z moją matką po prostu się nienawidzimy. Ben potrzebował ubrania, Mary także. Z tygodniówki biurowej nigdy jej nic nie zostawało, więc po raz pierwszy w życiu zwróciła się do matki z prośbą o pięćset dolarów. Matka przysłała jej w odpowiedzi czek wraz z dosyć miłym listem, w którym pisała, że weszła do Stanowego Komitetu Wyborczego Partii Republikańskiej; że podziwia niezależność Mary, bo zawsze uważała, iż kobiety mają takie samo prawo do zarabiania na siebie jak mężczyźni, a w polityce będą może wywierały bardziej zbawienny wpływ, niż kiedyś sądziła; że Mary wykazała prawdziwy charakter obierając sobie sama drogę życiową, oby jednak rychło przejrzała na oczy i stwierdziła, iż może równie dobrze kontynuować tę samą interesującą drogę życiową, jeśli wróci do Colorado Springs i zajmie pozycję towarzyską, do jakiej ją predysponuje sytuacja majątkowa matki. Ben był taki zachwycony widokiem czeku, że nawet nie spytał, na co te pieniądze.

- Pięćset dolarów, akurat tyle mi potrzeba - powiedział. - Nie chciałem ci mówić, ale mam poprowadzić strajk włóknarzy w Bayonne. Wiesz, dawne fabryki broni przestawiły się tam na produkcję sztucznego jedwabiu. To trudne miasto. Robotnicy są tacy biedni, że nie stać ich nawet na płacenie składek, ale mają świetny radykalny związek. Ważne, żebyśmy umocnili swoje pozycje w nowych przemysłach, gdzie zawodzą stare sprzedajne organizacje Amerykańskiej Federacji Pracy. Pięćset dolarów pokryje akurat rachunki w drukarni.

- Ależ, Ben, jeszcze nie wydobrzałeś całkowicie. Boję się, że cię znowu aresztują. Pocałował ją.

- Spokojna głowa.

- Chciałam, żebyś sobie kupił nowe ubranie.

- A to jest złe? Brak mu czegoś? Zafundował mi je przecież wujcio Sam. Jak sprawy się zaczną ruszać, ściągniemy cię do poprowadzenia naszej kampanii prasowej. Poszerzysz swoją znajomość przemysłu odzieżowego. Och, Mary, jesteś cudowną dziewczyną, że wystraszyłaś te pieniądze.

Na jesieni, kiedy wróciła Ada, Mary się wyprowadziła do dwu małych pokoiów, które wynajęła na Czwartej Zachodniej Ulicy w Greenwich Village, żeby Ben miał się gdzie zatrzymywać przyjeżdżając do Nowego Jorku. Przez całą zimę wściekle tyrała łącząc dotychczasowe zajęcia z kampanią prasową na rzecz strajków, które Ben prowadził w kilku miastach New Jersey.

- To nic w porównaniu z tym, jak będziemy musieli harować, kiedy już stworzymy w Ameryce sowiety - odpowiadał na jej pytania, czy nie uważa, że mogliby znacznie więcej zdziałać nie robiąc zawsze tylu rzeczy na raz.

Nigdy nie wiedziała, kiedy Ben się zjawi. Czasami przez tydzień wracał co wieczór do domu, czasami nie było go przez miesiąc i dowiadywała się, co się z nim dzieje, tylko z komunikatów prasowych o mityngach, rozpędzaniu pikietujących, antystrajkowych nakazach sądowych. Raz postanowili się już pobrać i mieć dziecko, gdy akurat towarzysze zaczęli alarmować Bena, żeby przyjechał organizować miasta w rejonie Passaiku. W rezultacie oświadczył, że odrywałoby go to od pracy, że są młodzi i będą mieli dosyć czasu na te sprawy po rewolucji, a teraz pora walczyć. Oczywiście, jeśli Mary chce, może urodzić dziecko, tylko że uczyni ją to na kilka dobrych miesięcy bezużyteczną dla ruchu, a on naprawdę nie sądzi, żeby moment był po temu odpowiedni. Pierwszy raz się pokłócili. Mary powiedziała mu, że jest bez serca, on zaś odpalił, że trudno, uczucia osobiste trzeba poświęcić dla klasy robotniczej, i wypadł wściekły z domu. Skończyło się tym, że Mary zrobiła sobie skrobankę, mimo że musiała się znowu zwrócić o pieniądze do matki.

Rzuciła się jeszcze gorliwiej w wir działalności komitetu strajkowego. Niekiedy całymi tygodniami sypiała po cztery, pięć godzin dziennie. Zaczęła mnóstwo palić. Na stoliku koło maszyny do pisania miała zawsze papierosa, prószyla popiołem na powielone stronicie wyskakujące z mimeografu. Ilekroć mogli się bez niej obejść w biurze, chodziła zbierać pieniądze od bogatych pań, skłaniać wybitnych liberałów, by się dali aresztować podczas pikietowania, żebrać o artykuły u wpływowych dziennikarzy; jeździła również po kraju w poszukiwaniu litościwych filantropów, którzy by się zobowiązali do wpłacania kaucji za aresztowanych. A cały czas, w trakcie bezustannego stukania na maszynie, powielania, pisania listów i układania petycji, tej ciągłej znużającej roboty biurowej, która ją pochłaniała dzień i noc, przesuwali się przed jej oczami jak senne widziadła na zamglonej scenie strajkujący, dorośli i dzieci obojga płci pikietujący fabryki, czekający w ogonku na dobroczynną waserzupkę, magłowani przez intruzów w obskurnych salonikach domków ogołoconych z mebli, za które nie zdołali wpłacić ostatniej raty, łamistrajki dowożone do pracy pełnymi autobusami, policjanci i siepacze szeryfa uzbrojeni w dubeltówki z odpiłowanymi lufami, pilnujący nieskończenie długich niemych prostokątów hal fabrycznych o czarnych oknach ślepiących przez wysokie sztachety. Z Benem nie prowadziła już żadnego wspólnego życia. Na mityngach serce zaczynało jej szybciej bić jak wszystkim, gdy w burzy oklasków i tupotów wychodził na podium i zaczynał przemawiać, dobitnie, z

pałającymi policzkami i błyszczącymi oczyma, tak jakby się zwracał do każdego z osobna, ostrzegając go, wyjaśniając mu sytuację ekonomiczną i dodając ducha. Wszystkie robotnice za nim szalały. Mary wbrew sobie dostawała mdłącego ssania w dołku widząc, jakim wzrokiem na niego patrzą albo jak na korytarzu biurowym zastępuje mu drogę jakaś postawna piersiasta apetyczna kobieta i kładzie mu dłoń na ramieniu, żeby musiał na nią zwrócić uwagę. Pracując gorączkowo przy biurku, z goryczą w ustach i językiem zaschniętym z przepalenia, spoglądała na swoje poźółkłe od nikotyny palce i odgarniała z czoła nie umyte, nie zaondulowane włosy, czując się źle ubrana, wyblakła, nieporęczająca. Była do końca dnia szczęśliwa, ilekroć posłał jej choćby jeden uśmiech przeznaczony tylko dla niej, nawet jeśli zaraz potem zwymyślał ją przy całym biurze, że ulotki niegotowe. Ale najczęściej zdawał się zupełnie nie pamiętać, że byli kiedykolwiek kochankami.

Kiedy działacze Amerykańskiej Federacji Pracy, którzy przyjechali z Waszyngtonu w kosztownych paltach i jedwabnych szalikach, palili dwudziestopięciocentowe cygara i pluli w biurze na podłogę, przejęli strajk z rąk Bena i poszli na ugodę, któregoś dnia późnym wieczorem, akurat gdy Mary kładła się do łóżka, Ben zjawił się w mieszkanku na Czwartej Ulicy. Powieki miał czerwone z niewyspania, policzki wpadnięte i szare.

- Och Ben - powiedziała i wybuchnęła płaczem. Ben był zimny, rozgoryczony, zrozpaczony. Siedział parę godzin na brzegu jej łóżka i opowiadał ostrym jednostajnym głosem o zdradzie, o niesnaskach między radykałami, socjalistami starej daty i przywódcami związkowymi, o tym, że teraz, kiedy strajk się skończył, czeka go sprawa o obrazę sądu.

- Tak mi wstyd, że na moją obronę idą pieniądze robotnicze. Wolałbym już więzienie, tylko że rozprawa jest precedensowa. Musimy walczyć z każdym oskarżeniem. To jedyny pożytek, jaki mamy z tych liberalnych adwokatów, parszywych krętaczy. Ale ile to kosztuje! Związek jest splukany, nie chcę, żeby tracił na mnie pieniądze. Jednakże towarzysze uważają, że jak wygramy moją sprawę, tamci wycofają oskarżenie przeciw innym chłopcom.

- Wiesz, co powinienesz zrobić? - spytała odgarniając mu włosy z czoła. - Odpocząć trochę.

- Co ty powiesz? - odparł i zabrał się do odsznurowywania butów. Długo trwało, nim jej się udało zapakować go do łóżka. Siedział po ciemku, pół rozebrany, drżący z zimna, i rozprawiał o błędach popełnionych w toku strajku. Kiedy w końcu ściągnął koszulę i spodnie i wstał, żeby je odłożyć na krzesło, wyglądał jak szkielet w szerokim

snopie szarej poświaty padającej przez szerokość pokoju od latarni ulicznej. Wybuchnęła znowu płaczem na widok jego zapadłej piersi i pustych wgłębień koło obojczyków.

- Co z tobą, dziewczyno? - burknął. - Ryczysz, że nie Rudolf Valentino kładzie się z tobą do łóżka?

- Bzdura, Ben. Pomyślałam tylko, że trzeba cię odżywić. Zapracujesz się na śmierć, biedaku.

- Prędeż czy później puścisz mnie w trąbę dla jakiegoś przystojnego maklera. Nie darmo flirtowałaś z różnymi gogusiami w Colorado Springs. Wiem, czego się spodziewać. I gównu mnie to obchodzi. Potrafię walczyć dalej sam.

- Ależ, Ben, nie mów tak. Wiesz, że jestem duszą i ciałem... Przyciągnęła go do piersi. Niespodziewanie ją pocałował. Jednakże rano podczas ubierania pokłócili się śmiertelnie o sensowność jej pracy w charakterze dokumentarzystki. Powiedziała mu, że kto jak kto, ale on nie ma prawa jej się czepiać; w końcu strajk nie zakończył się takim oszałamiającym sukcesem. Wybiegł bez śniadania, a ona popędziła do miasta w furii dławionej rozpaczą i wymówiła pracę. Parę dni później pojechała do Bostonu włączyć się w akcję podjętą przez nowo utworzony komitet obrony Sacco i Vanzettiego. Nigdy dotąd nie była w Bostonie. Przy utrzymującej się słonecznej zimowej pogodzie miasto miało czerwonocegłany urok dawnych stalorytów, który jej przypadł do gustu. Wynajęła mały pokój na skraju slumsów za Beacon Hill i zaczęła planować, że po szczęśliwym zakończeniu sprawy napisze powieść o Bostonie. W małej zatęchłej papeterii kupiła kilka kajetów szkolnych i zabrała się do robienia na gorąco notatek do powieści. Zapach nowiutkiego kajetu w bladoniebieskie linie napelniał ją uczuciem świeżości i siły. Odtąd będzie obserwowała życie i nie da się już wziąć na lep żadnemu mężczyźnie. Na Boże Narodzenie matka przysłała jej czek, więc kupiła sobie trochę nowej garderoby i wcale twarzowy kapelusik. Zaczęła znowu ondulować włosy.

Jej praca polegała na utrzymywaniu kontaktów z dziennikarzami i próbach inspirowania przychylnych artykułów w prasie. Było to niewdzięczne zadanie. Chociaż dziennikarze, którzy mieli jakkolwiek styczność ze sprawą, przyznawali na ogół, że obaj oskarżeni zostali skazani niesłusznie, prawie wszyscy dodawali, że obaj są makaroniarzami i anarchistami, więc o co tyle krzyku. Odwiedziwszy Sacco w więzieniu w Dedham i Vanzettiego w więzieniu w Charlestown Mary usiłowała przekazać swoje uczucia korespondentowi United Press, który ją zabrał pewnego sobotniego wieczora na kolację do włoskiej restauracyjki na Hanover Street.

Ze wszystkich poznanych dziennikarzy zaprzyjaźniła się naprawdę tylko z nim. Był okropnym pijanicą, ale widział w życiu mnóstwo i miał do wszystkiego trzeźwy pobłażliwy stosunek, który jej się podobał. Zapalał do niej sympatią nie wiadomo czemu, co mu nie przeszkadzało drwić niemiłosiernie z jej młodzieńczego fanatyzmu, jak to określał. Gdy ją brał na kolację i wlewał w nią morze czerwonego wina, powtarzała sobie, że nie jest to strata czasu, przecież ma za zadanie utrzymywać przyjazne kontakty z prasą. Nazywał się Jerry Burnham.

- Ależ, Jerry, jak ty możesz to brać tak lekko? Jeśli stan Massachusetts zamorduje tych dwóch niewinnych ludzi wbrew protestom całego świata, to już nigdy nie będzie sprawiedliwości w Ameryce.

- A czy kiedykolwiek była? - zapytał z niewesołym śmieszkiem, pochylając się, żeby jej napełnić kieliszek.

- Słyszałaś o Tomie Mooney*?

Żółte kędzierzawe włosy nadawały jego nalanej twarzy dziwnie młodzieńczy wygląd.

- Jest w nich taki spokój, taka prawość. Odnosi się wrażenie niekłamanej wielkości. To naprawdę wspaniali ludzie.

- Po tym, co mówisz, można się tylko dziwić, że ich nie stracono już parę lat temu.

- Robotnicy, prości ludzie nigdy do tego nie dopuszczą.

- Prości ludzie czerpią najwięcej uciechy z torturowania i uśmiercania ludzi wielkich. Jeśli nie byłoby to cofaniem się zbyt daleko w przeszłość, mógłbym cię zapytać, kto jak nie oni domagał się uśmiercenia naszego przyjaciela Jezusa Chrystusa. To Jerry Burnham nauczył ją pić. Sam żył w wiecznym oszołomieniu alkoholowym, poruszając się po paru głębszych godnie i ostrożnie jak akrobata stąpający po linie z tacą pełną naczyń na głowie. Do tego stopnia przywykł do dwudziestoczworgodzinnej służby korespondenta, że załatwiał depesze i wszystkie sprawy redakcyjne od niechcienia, tak jakby płacił rachunek w jednej knajpie przed przeniesieniem się za róg do drugiej. Miał kłopoty z nerkami i twierdził, że wolno mu pić tylko wino, lecz wchodząc do jego gabinetu Mary często czuła od niego whisky. Był taki irytujący, iż po każdym spotkaniu z nim przysięgała sobie, że to ostatni raz, nie stać jej na marnotrawienie czasu, gdy każda chwila jest na wagę złota. Jednakże gdy ją zapraszał następnym razem, miękkła od razu, mówiła z uśmiechem tak i marnotrawiła następny wieczór na picciu wina i wysłuchiowaniu jego bezładnej gadaniny.

- I tak wszystko się skończy ślepotą i nagłą śmiercią - powiedział któregoś dnia wysadzając ją z taksówki na rogu jej ulicy. -Ale kogo to obchodzi? Kogo, u diaska, to obchodzi? Kto na tym parszywym zafajdanym globie dba o to choćby mikroskopijną symboliczną krzywkę?

W miarę jak stęchła bostońska wiosna przechodziła w letni skwar i jak jedna po drugiej zapadały niekorzystne decyzje sądowe, aż w końcu wrogie orzeczenie wydała komisja gubernatorska i jedyną nadzieją pozostało ułaskawienie przez samego gubernatora, Mary pracowała coraz rozpaczliwiej. Pisała artykuły, rozmawiała z politykami i duchownymi, wyklócała się z redaktorami, przemawiała w salach związkowych. Zasypywała matkę żalonymi upokarzającymi listami, byle wyżebrać od niej pieniądze pod jakimkolwiek pretekstem, i każdego zdobytego centa pakowała w potrzeby komitetu. Wszystkiego było mało na opłacenie materiałów piśmiennych, marek pocztowych, depesz, telefonów. Spędzała długie wieczory na skłanianiu komunistów, socjalistów, anarchistów i liberałów do wspólnego działania. Biegając po kamiennych brukach ulic szeptała sama do siebie:

- Musimy ich uratować, musimy.

Kiedy wreszcie kładła się do łóżka, w snach piętrzyły się przed nią coraz to nowe niewykonalne zadania. Próbowwała zlepić zbity czajniczek do herbaty, ale ledwo skleila jedną stronę, pękała druga; usiłowała zszyć rozdartą spódnice, lecz kiedy dochodziła do dołu, góra pruła się od nowa; biedziła się, żeby złożyć kawałki podartego arkusza, depeszy najwyższej wagi, jednakże nic nie widziała, wszystko rozplątywało jej się przed oczami; miała w ręku zeznanie, które by zmusiło sąd do wznowienia przewodu, lecz wzrok jej odmawiał posłuszeństwa, nim z pęczniejących pulsujących liter odcyfrowała jedno słowo, zapomniała poprzedniego; wspinała się po ruchomym zboczach, między czarnymi, jakby wypalonymi domkami hutników kołyszącymi się pod obłądnym kątem, ale za każdym krokiem się ślizgała, było zbyt stromo, wołała o pomoc, krzyczała, zsuwała się. Potem odzywały się ciepłe uspokajające głosy, jak głos Bena Comptona, kiedy był w dobrym humorze, i tłumaczyły jej, że opinia publiczna nie dopuści do egzekucji, że przecież Amerykanie nie utracili jeszcze całkiem poczucia uczciwości i sprawiedliwości, że klasa robotnicza powstanie; widziała tłumne mityngi, sztandary, hasła, jaskrawe tablice z literami uciekającymi w dal, wołającymi "Robotnicy wszystkich krajów, łączcie się", maszerowała w pochodach protestacyjnych, otoczona cizbą ludzką. Nie Po-zwo-li-my Im Um-rzeć! Budziła się gwałtownie, kąpała i ubierała w pośpiechu, i pędziła do komitetu łykając po drodze szklankę soku pomarańczowego i filiżankę kawy. Była zawsze pierwsza. Ilekroć zwolniła na chwilę tempo pracy, odzywały w jej pamięci ich twarze, ostrorzeźbiona blada twarz szewca o płomiennych oczach oraz filozoficzne wąsy i myślące nieustraszone oczy handlarza ryb. Za nimi widziała krzesło elektryczne tak wyraźnie, jakby stało przed jej stolikiem w dusznym ciasnym pokoju biurowym. Lipiec zleciał zbyt szybko. Nadszedł sierpień. Przez lokal komitetu zaczęło się przewijać coraz więcej rozmaitych ludzi: dawni znajomi, wobbliści przybyli autostopem z Zachodniego Wybrzeża, politycy ubiegający się o głosy włoskich wyborców, adwokaci z pomysłami nowych apelacji, pisarze, bezrobotni dziennikarze, różnego pokroju pomyślnicy i naciągacze zwabieni pogłoskami o fantastycznych funduszach na obronę. Któregoś popołudnia, wróciwszy po przemówieniu na mityngu w sali związkowej w Pawtucket, Mary zastała przy swoim biurku G.H. Barrowa, który już zdążył wysmażyć wielki plik osobistych depesz do senatorów, kongresmenów, pastorów i przywódców związkowych wzywając ich w imię sprawiedliwości, cywilizacji i klasy robotniczej do uczestnictwa w akcji protestacyjnej. Depesze i kablogramy były sążniste, po nieznizonych cenach, tak że rejestrując je Mary z przerażeniem obliczała koszt. Nie miała pojęcia, z czego komitet pokryje taki wydatek,

jednakże przekazała cały plik gońcowi czekającemu na korytarzu. Nie mieściło jej się w głowie, że jeszcze kilka tygodni temu krew zaczynała jej pulsować w skroniach na dźwięk tych samych słów. Ze zgrozą uświadamiała sobie iż brzmią jej teraz w uszach równie pusto jak horoskopy z centowego automatu. Minęło pół roku, odkąd pisze i odczytuje te słowa dzień w dzień.

W ferworze nie miała nawet czasu na zakłopotanie wizytą G.H. Barrowa. Wskoczywszy razem na talerz zupy do pobliskiej jadłodajni rozmawiali całutki czas o sprawie, jakby się nigdy przedtem nie znali. Właśnie zostało wznowione pikietowanie Kapitolu Stanowego, więc kiedy wyszli z jadłodajni, Mary zaproponowała:

- Co, George, może byś się tak dał aresztować podczas pikietowania? Trafiłoby to jeszcze do wieczornych gazet, a twoje nazwisko wyciągnęłoby znowu akcję na pierwsze stronicie. George poczerwieniał, zatrzymał się w południowym tłumie przed jadłodajnią i stał tak w swoim nieskazitelnym popielatym garniturze, wysoki, speszony, z wytrzeszczonymi oczami.

- Ależ, moje d-drogie dziecko, g-gdybym choć przez chwilę wierzył, że to cokolwiek pomoże, d-dałbym się aresztować, przejechać przez ciężarówkę, co tylko chcesz. Ale to by mnie tylko pozbawiło tej odrobiny wpływu, jaką jeszcze mam. Mary spojrzała mu prosto w oczy, z twarzą pobladłą z wściekłości.

- Przypuszczałam, że będziesz się bał ryzyka -- powiedziała wybijając każde słowo i rzucając mu je w twarz.

Odwróciła się i popędziła z powrotem do biura. Doznała niemal ulgi, gdy sama została aresztowana. Pilnowała się stale, żeby nie włączyć w oczy glinom, bo wszyscy ją napominali, że jest zbyt potrzebna w komitecie. By się narażać na aresztowanie. Musiała jednak pobiec na Beacon Hill z transparentami, których nie wzięła ostatnia grupa pikietujących. Nie miała ich akurat przez kogo posłać. Przechodziła przez Beacon Street, gdy po obu jej bokach wyrosli postawni uprzejmi policjanci. -- Proszę spokojnie z nami - powiedział jeden z nich i poprowadzili ją do ciemnej karetki policyjnej.

Podczas jazdy na komisariat ogarnęło ją rozkoszne uczucie niemocy i uwolnienia od wszelkiej odpowiedzialności. Po raz pierwszy od tygodni mogła się odprężyć. W komisariacie na Joy Street spisano jej dane, ale nie wsadzono jej do celi. Siedziała na ławce naprzeciw okna, wraz z dwiema żydowskimi robotnicami tekstylnymi oraz elegancką panią w kwiecistej sukni letniej i ze sznurem pereł na szyi, i przyglądała się, jak odprowadzają do cel mężczyzn aresztowanych podczas pikietowania.

Policjanci byli grzeczni i wszyscy wydawali się pogodni, jakby uczestniczyli w jakiejś zabawie towarzyskiej; trudno było uwierzyć, że gra idzie o realną stawkę.

W grupie wysadzonej z karetki na stromej uliczce przed komisariatem Mary dostrzegła wysokiego mężczyznę, w którym z fotografii widzianej w "Daily Workerze"* poznała Donalda Stevensa. Koszulę miał rozdartą na piersi, za krawat ktoś go widać szarpał, bo wisiał mu jak postronek na szyi. Prowadziło go pod ramiona dwóch czerwonych policjantów. Mary od razu pomyślała, jak on się prosto trzyma. Miał stalowe włosy, brunatną ogorzałą cerę oraz promienne szare oczy nad wysokimi kośćmi policzkowymi. Pobiegła wzrokiem za jego szerokimi barami, kiedy od biurka dyżurnego odprowadzano go w mrok cel. Siedząca obok pani szepnęła jej przejętym głosem, że go oskarżono o podżeganie do rozruchów, nie jak wszystkich o zakłócenie porządku publicznego. Wysokość kaucji ustalono na pięć tysięcy. Próbował zorganizować demonstrację na bostońskich plantach.

Mary siedziała tak może pół godziny, gdy w komisariacie zjawił się mały pan Feinstein z komitetu, w towarzystwie wysokiego mężczyzny w eleganckim płóciennym ubraniu, który wpłacił za Mary kaucję. Równocześnie wykupił Donalda Stevensa, tak że wyszli wszyscy czworo razem z komisariatu i zaczęli schodzić stromą uliczką ze wzgórza. Na rogu mężczyzna w płóciennym ubraniu powiedział:

- Jesteście oboje zbyt potrzebni, nie mogliśmy wam pozwolić gnić przez cały dzień w areszcie. Może zajrzycie do hotelu Bellevue. Apartament D na pierwszym piętrze.

Pomachał im ręką i oddalił się w swoją stronę. Mary tak było śpieszno do rozmowy z Donaldem Stevensem, że zapomniała zapytać choćby o jego nazwisko. Wypadki toczyły się zbyt szybko, nie miała czasu uporządkować myśli. Złapała Donalda Stevensa za rękaw, bo ani ona, ani pan Feinstein nie nadążali za jego długim krokiem.

- Jestem Mary French - powiedziała. - Co jeszcze możemy zrobić? Musimy coś zrobić.

Obrócił się do niej z szerokim uśmiechem, jakby ją po raz pierwszy dostrzegł.

- Słyszałem o was - odparł. - Dzielna z was dziewczyna. Walczycie naprawdę, wbrew temu waszemu liberalnemu komitetowi.

- Co wy? Komitet zrobił wszystko, co w jego mocy.

- Trzeba wyprowadzić na ulic całą klasę robotniczą Bostonu-oświadczył swoim niskim wibrującym głosem.

- Udało nam się porwać robotników tekstylnych, to wszystko. Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- A co z Włochami? Co z Północną Stroną? Co tam działał wasz komitet? Wiecie, czego myśmy dokonali w Nowym Jorku. Czemu wy byście nie mieli dokonać tego tutaj?

Pochylił się do niej w poufny pieszczotliwy sposób. Uczucie zmęczenia i osaczenia opuściło ją, jak ręką odjął. Nie zastanawiając się wsunęła mu dłoń pod ramię.

- Pójdziemy pogadać z waszym komitetem - ciągnął. - Potem pogadamy z komitetem włoskim. Potem porwiemy związki zawodowe.

- Ależ, Don, zostało nam wszystkiego trzydzieści godzin - wtrącił pan Feinstein suchym zmęczonym głosem. - Ja tam pokładam większe nadzieje w nacisku politycznym na gubernatora. Wiesz, że ma aspiracje do prezydentury. Myślę, że ich ułaskawi. W biurze czekał na Mary Jerry Burnham.

- Witaj, Joanno d'Arc - powiedział. - Właśnie wybierałem się wpłacić za ciebie kaucję, ale widzę, że już cię wyciągnęli. Jerry i Donald Stevens najwyraźniej się znali z dawnych czasów.

- No, Jerry - rzucił z furią Donald - nie wytrąciło cię to ani trochę z twojej cynicznej pozy?

- Niby dlaczego miało mnie wytrącić? Nie od dzisiaj wiem, że rektorzy to nędzne kreatury.

Donald Stevens cofnął się pod ścianę, jakby w obawie, że nie wytrzyma i zdzieli Jerry'ego w szczękę.

- Nie rozumiem, jak człowiek, który zachował choćby resztki sumienia, może się w naszych czasach nie stać czerwonym. Nawet taki drobnomieszczański pismak jak ty.

- Mój drogi Donie, powinieneś do tej pory wiedzieć, że pisarze sprzedali resztki sumienia za garść srebrników jeszcze w okresie wojny. To znaczy, jeśli je w ogóle mieli, bo i co do tego zdania są podzielone. Lecz Donald Stevens odwrócił się plecami i po chwili znikł w drzwiach do gabinetu w głębi. Mary została sam na sam z Jerryem, który aż cały poczerwieniał ze złości. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- No, Mary, gdybyś poczuła w ciągu dnia potrzebę kropnięcia czegoś dla kurażu, a myślę, że poczujesz, to mnie znajdziesz w zwykłym miejscu.

- Och, nie będę miała na to czasu - odrzekła zimno. Słyszała z gabinetu donośny głos Donalda Stevensa. Pobiegnęła w ślad za nim.

Adwokaci zawiedli na całej linii. Tłumacząc, dyskutując, wyklócając się o sposoby zorganizowania na gwałt jeszcze jednej akcji protestacyjnej, Mary czuła, jak ulatują ostatnie godziny życia tych dwóch ludzi. Czuła każdą upływającą minutę, jakby to były krople krwi z jej własnych żył. Była słaba i chora, nie mogła zebrać myśli. Z ulgą wybiegła truchtem na ulicę, żeby nadążyć za wielkimi krokami Donalda Stevensa. Rozpoczęli obchód komitetów. Minęło południe, a nic nie zostało zrobione. Na Hanover Street zawołał do nich z odrapanego zamkniętego Forda Włoch o bladej twarzy. Stevens otworzył drzwiczki auta.

- Towarzyszko French, to jest towarzysz Strozzi. Powozi nas trochę po mieście.

- Ma pan obywatelstwo amerykańskie? - spytała Mary z zatroskaną miną. Strozzi pokręcił głową, uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Co, mogą mnie odstawić gratis do Italii - powiedział. Mary nigdy nie mogła sobie przypomnieć, co robili przez resztę dnia. Na pewno mnóstwo jeździli po biedniejszych przedmieściach Bostonu. Ludzi, których szukali, nie było często w domu. Dużo czasu zmarnowała na dzwonienie z budek telefonicznych pod niewłaściwe numery. Nic, co próbowała zdziałać, jakoś jej nie wychodziło. Szeroko otwartymi otępiętymi oczami, spod powiek szorstkich jak glaspapier patrzyła na gromadę mężczyzn i kobiet tłoczących się w biurze. Stevens wyzbył się swego początkowego niecierpliwego zgryźliwego tonu. Z wyniosłym sarkastycznym chłodem dyskutował z działaczami związkowymi, socjalistami, pastorami, adwokatami.

- To w końcu dzielni ludzie - powtarzał. - Nie chodzi już o to, czy ich uratujemy, czy nie. Chodzi o prestiż klasy robotniczej. Wszędzie panowało to samo przekonanie, że dalsze demonstracje musiałyby doprowadzić do rozlewu krwi i przekreśliłyby szanse ułaskawienia w ostatniej chwili przez gubernatora. Mary utraciła całą swoją inicjatywę. Niepostrzeżenie stała się sekretarką Donalda Stevensa. Czuła się mniej nieszczęśliwa biegając z jego zleceniami. Późnym wieczorem obeszła wszystkie włoskie restauracje na Hanover Street w poszukiwaniu pewnego anarchisty, z którym Stevens chciał się koniecznie zobaczyć. Wszędzie było pusto, wszędzie panowała ta sama śmiertelna cisza. Ludzie stronili od siebie jak w obliczu nieznannej zarazy. W kącie zakonspirowanej knajpki na piętrze zobaczyła Jerry'ego Burnhama, który siedział sam przy stoliku, nad angielską wódką i butelką piwa imbirowego. Twarz miał białą jak płótno, chwiał się lekko na krześle. Obok stał pochylony kelner próbując nim potrząsać. Jerry wybałuszył na nią nie widzące oczy, pijany w sztok. Mary była rada, że może uciec z powrotem do biura, gdzie Stevens wciąż jeszcze próbował montować strajk powszechny. Zmierzył ją badawczo, gdy weszła.

- Jeszcze jedno niepowodzenie - powiedziała z goryczą. Stevens odłożył słuchawkę telefoniczną, wstał, podszedł do rzędu wieszaków na brudnej żółtej ścianie, zdjął swój płaszcz i kapelusz.

- Towarzyszko French, jesteście śmiertelnie zmęczeni. Odprowadzę was do domu.

Musieli iść naokoło bocznymi uliczkami, żeby ominąć kordon policji otaczający Kapitol Stanowy.

- Bawiliście się kiedy w przeciąganie liny, towarzyszko? - spytał Don. - Zapieracie się ze wszystkich sił, ale tamta drużyna jest mocniejsza i czujecie, jak was ciągnie w swoją stronę. Ciągnie coraz bardziej i bardziej, a wy nie jesteście w stanie się oprzeć... Och, plotę jak defetysta. Nie jesteśmy bandą niedowarzonych liberałów - rzucił i parsknął suchym śmiechem. - Czy wy też tak nie znosicie adwokatów?

Zatrzymali się przed ceglana kamienicą z wykuszowymi oknami. w której Mary wynajmowała pokój.

- Dobranoc, Don - powiedziała.

- Dobranoc, Mary. Postaraj się zasnąć.

Poniedziałek był jak druga niedziela. Mary obudziła się późno. Wstanie było męką. Zmuszała się, żeby coś

na siebie narzucić, pójść do biura, spojrzeć w oczy, w których się malowała kłęska. Zdawało jej się, że ludzie mijani na ulicy odwracają od niej wzrok jak w obliczu śmierci. Chodniki były wyludnione, nawet ruch uliczny wydawał się ściszony, jakby całe miasto żyło w oczekiwaniu, że wieczorem umrze. Dzień minął w jednostajnym zamęcie słów, artykułów w gazetach, rozmów telefonicznych. Oczekiwanie na egzekucję. Wieczorem Mary przeżyła chwile płomiennej emocji, gdy we dwójkę z Donem wyruszyli do Charlestown wziąć udział w pochodzie protestacyjnym pod więzieniem. Nigdy nie przypuszczała, że zbierze się taki tłum. Strzępy śpiewu, ulotne takty "Międzynarodówki", wznosiły się i opadały nad głowami ludzi stłoczonych między ślepyimi oknami brudnych kamienic. Pochód śmierci. Po jej jednej stronie szedł niski mężczyzna w okularach, który się przedstawił jako nauczyciel muzyki, po drugiej młoda Żydówka, członkini Związku Trykotarek Damskich. Wzięli się pod ręce. Don maszerował nieco przed nią, w pierwszym szeregu. Minęli most. Szli teraz po kocich łbach źle oświetlonej ulicy pod wiaduktem kolei nadziemnej. Nad głową huczały pociągi. Jakiś głos krzyknął:

- Już niedaleko do więzienia.

Tym razem gliny użyły pałek. Słychać było stukot kopyt końskich o bruk i świst-lup, świst-lup twardych gum. A gdzieś dalej dyń-dyń karetok policyjnych. Mary okropnie się bała. Prosto na nią waliła wielka ciężarówka. Uskoczyła za dźwigar wiaduktu. Dopadło jej dwóch policajów. Uchwyciła się z całej siły brudnego metalu. Jeden z policajów zaczął ją okładać pałką po ręce. Nawet nie bardzo bolało, ale szybko wylądowała w karetce. Zgubiła kapelusz, włosy jej się rozsypały. Złapała się na myśli, że musi je obciąć całkiem krótko, jeśli ma częściej uczestniczyć w takich imprezach.

- Może ktoś wie, co z Donem Stevensenem? Z ciemności w przodzie karetki odezwał się trochę drżący głos Dona:

- To ty, Mary?

- Nic ci nie jest, Don?

- Co mi ma być? Zarobiłem parę guzów i tyle.

- Krwawi okropnie - wtrącił inny męski głos.

- Towarzysze, zaśpiewajmy! - rozległ się okrzyk Dona. Mary, zapominając o wszystkim, przyłączyła się do jego śpiewu, do śpiewu aresztantów w karetce, do śpiewu tłumu spychanego z powrotem za most:

Wyklęty, powstań, ludu ziemi, Powstańcie...

KRONIKA LXVI

HOLMES ODMAWIA ODROCZENIA EGZEKUCJI*

Ruszymy z posad bryłę świata

Małeńkie osy sprowadzone z Korei toczą śmiertelny bój z chrząszczem azjatyckim
CHŁOPIEC PORWANY PRZEZ ŚCIEKI W KANAŁE
WYRZUCONY ŻYWY O MILE DALEJ

ZAKAZ MITYNGÓW W CHICAGO

Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata

Waszyngton ma na oku radykałów

Wyklęty, powstań, ludu ziemi

PARYŻ, BRUKSELA, MOSKWA I GENEWA DOŁĄCZAJĄ SWÓJ GŁOS

*Bój to będzie ostatni,
Krwawy skończy się trud*

Geolog przez sześć dni uwięziony w jaskini

Gdy związek nasz bratni

SACCO I VANZETTI MUSZĄ UMRZEĆ

Ogarnie ludzki ród

Bezustannie myślę o was leżcie tutaj, w celi śmierci - o śpiewie, o słodkich kochanych głosach dzieci dochodzących z placu zabaw~, gdzie się skupiało całe życie i cała radość wolności, o jeden mały kroczek od tych murów, za którymi zamknięto na męki trzy skazane dusze. Wszystko mi stale przypomina ciebie i twoją

siostrę i pragnąłbym was mieć bez przerwy, przed oczami, ale zarazem czuję ulgę, że nie przyjdziecie do celi śmierci i nie zobaczycie straszliwego widoku trzech ludzi żyjących w męce oczekiwania egzekucji na fotelu elektrycznym.

OKO KAMERY (50)

rozpędzili nas pałkami są silniejsi są bogaci kupują i sprzedają polityków redaktorów starych sędziów małych ludzi z nazwiskami rektorów piesków partyjnych (słuchajcie biznesmeni rektorzy sędziowie Ameryka nie zapomni swoich zdrajców) zajmują ludzi z karabinami żonglują mundurami wozami policyjnymi karetkami więziennymi w porządku zwyciężyliście dzisiejszej nocy uśmiercicie tych dzielnych ludzi naszych przyjaciół

nie więcej nie możemy zrobić zostaliśmy pokonani my pokonany tłum zebrany w starych brudnych klasach szkoły na Salem Street

kręcimy się po skrzypiących zapiaszczonych schodach siedzimy zgarbieni ze spuszczonej głowami w ławkach i słuchamy odwiecznych słów wrogów ucisku które się dzisiaj odradzają w pocie i męce

nasza kampania skończona pisane naprędce artykuły noce spędzone na wystukiwaniu apeli woń drukarni ostry zapach świeżo odbitych ulotek bieganie do Western Union nianie zdań depeš dobieranie żarliwych słów żeby ci uświadomić kto jest twoim ciemniźcicielem Ameryko

Ameryka nasza ojczyzna została podbita przez obcych którzy przeniecowali nasz język przywłaszczyli sobie czyste słowa naszych ojców i splugawili je mieszała z błotem

kupieni przez nich ludzie zasiadają za stołami sędziowskimi rozpierają się z nogami na biurkach pod kopułą Kapitolu Stanowego nie obchodzą ich nasze przekonania mają dolary karabiny armie elektrownie zbudowali krzesło elektryczne i najęli kata żeby włączył prąd w porządku należymy do dwu różnych narodów

Ameryka nasza ojczyzna została podbita przez obcych którzy kupili prawo ogrodzili prerie wycięli lasy na papier zamienili nasze piękne miasta w slumsy wycisnęli fortuny z narodu i kiedy tylko chcą zajmują kata żeby włączył prąd

ale czy wiedzą że odwieczne słowa przybyszów odradzają się dzisiaj we krwi i męce? czy wiedzą że dawna amerykańska mowa wrogów ucisku odżywa dzisiaj na ustach starej kobiety z Pittsburgha na ustach krzepkiego kotlarza z Frisco który się szwarcował pociągami towarowymi przez cały kontynent żeby tu być na ustach społecznicy ze Starej Zatoki* na ustach włoskiego drukarza na ustach trampa z Arkansas? język pokonanego narodu odżywa dzisiaj w naszych uszach

skazańcy z celi śmierci odrodzili odwieczne słowa nim oddali życie

Gdyby nie te wydarzenia, mógłbym strawić swoje dni na przemawianiu do szydzących słuchaczy na rogach ulic. Mógłbym umrzeć nieznanym, nie zauważonym, nic nie działywszy. Ta sprawa to nasza szansa i nasz tryumf. Nigdy przy' najdłuższym życiu nie moglibyśmy marzyć o uczynieniu tyle na rzecz tolerancji, sprawiedliwości i zrozumienia człowieka przez człowieka jak wskutek tego przypadku

i

ch misja dobiegła końca przybysze wrogowie ucisku leżą teraz nieruchomo w czarnych garniturach w małym zakładzie pogrzebowym na Północnej Stronie miasto zamarło przedstawiciele zwycięskiego narodu nie pokazują się na ulicach zwyciężyli więc czemu boją się pokazać na ulicach? w mieście widać tylko zgnębione twarze pokonanych ulice aż do cmentarza na którym ciała przybyszów mają zostać spalone należą do pokonanego narodu w mżącym deszczu stoimy przy krawężnikach tłoczmy się łokieć przy łokciu na mokrych trotuarach milczący bladzi z przerażony-mi oczami wpatrzonymi w trumny stoimy pokonani Ameryko

KRONIKA LXVII

Kiedy porządek rzeczy zostanie naruszony, zawsze powstaje chaos, oświadczył p. Ford. Ale praca działa cuda i potrafi przezwyciężyć stan chaosu. Kiedy masy rosyjskie nauczą się chcieć więcej, niż mają, kiedy zapragną nosić białe kołnierzyki i mieć mydło, lepszą odzież, lepsze obuwie, lepsze mieszkania, lepsze warunki życiowe

*Podnoszę palec i mówię niu-niu,
sza-sza,
cii-cii,
pa pa*

PRZEGŁOSOWANO FUZJĘ TOWARZYSTW STALOWYCH
REPUBLICAŃSKIEGO I TRUMBULLA

*Nad Amazonki sennymi brzegami
Znów los zgotował nam spotkanie.
Choć już skończone wszystko między nami*

SPRZEDAŻ PSZENICY PONAD ZGROMADZONE ZAPASY OSIĄGA NIE NOTOWANE ROZMIARY

Czar wspólnych wspomnień ciągle mam

natychmiast po przybyciu ochotnicza straż pożarna otworzyła okna dla wypuszczenia dymu. Spowodowało to przeciąg i ogień, podsycany wiatrem wiejącym od oceanu z szybkością dobrych trzydziestu mil, dokończył spustoszenia

NIESPOTYKANE OBROTY AKCJAMI ASEKURACYJNYMI W GORĄCZCE SPEKULACJI

na zewnątrz zrobił się istny dom wariatów. Eleganckie panie biegały tam i z powrotem, załamując ręce w bezsilnej rozpacz, że nie mogą ocalić swoich rzeczy, a z okien wyższych pięter sypał się grad kufrów, waliz i ubrań wyrzucanych, jak popadło. Na trawniku gapie zbierali biżuterię i drobiazgi wartości wielu tysięcy dolarów i ulatniali się ukrywszy je pod płaszczami

POŻYCZKI MAKLERSKIE OSIĄGAJĄ NOWE SZCZYTY

*Smutną szarość nieba zmień,
Zmieć z księżycą pajęczynę,
Niechaj wstanie jasny dzień
OPTYMIZM NA GIELDZIE*

Poznajcie nowe zastosowania cementu. Dowiedzcie się, jak rozwinąć zyskowną produkcję betonu. Jak szacować materiały budowlane. Jak kalkulować robociznę. Jak zbroić beton. Jak budować szalunki, drogi, chodniki, stropy, fundamenty, piwnice, kanały od-pływowe

*Mimo że zdaniem Niemców i Czechów
Wszystko to warte jest kupy śmiechu,
Francuzi lepiej się na tym znają*

BANDYCI W GWIAZDZISTYCH SZTANDARACH OBRABOWALI BIESIADNIKÓW

ZABÓJSTWO OBNAZIŁO ROJENIA STANU KWAKIERSKIEGO*
pochwała mordercy z pogrzebaczem

*Nieszczęsna, kochana Róża Hollywoodu
została sama jedna.
Każdy w Hollywoodzie zgaduje bez trudu,
czemu jest taka biedna.*

TRANSAKCJA BANKOWA NA SUMĘ PIĘCIUSET MILIONÓW

*Kocham twoją siwiznę upiętą w koronę
I bruzdy, które biegną w poprzek twoim czołem,
Całuję twoje oczy znojem przygaszone
I twoje biedne ręce zniszczone mozołem.*

CARBONIC WYKUPUJE SUCHY LÓD

MARATON KRASOMÓWCZY O ZŁOTE TROFEUM NA BROADWAYU

szeroko rozreklamowane hossy, rozprzestrzenianie się służb dalekopisowych, wyposażenie filii firm maklerskich w aparaty wystukujące najnowsze notowania, wielkie świetlne tablice notowań, wszystko to rozbudziło naturalnie w całym kraju zainteresowanie giełdą.

BIEDNY MAŁY BOGATY CHŁOPIEC

William Randolph Hearst był jedynakiem, jedynym pisklęciem w bogatomoszczonym gnieździe George'a i Phebe Hearstów. George Hearst porzucił w tysiąc osiemset pięćdziesiątym rodzinną farmę w hrabstwie Franklin w Missouri i puścił się wolim zaprzęgiem do Kalifornii. (W czterdziestym dziewiątym* niebosiężny

miraż złota rozświetlił nagle Zachód;

młodzi ludzie tracili serce do orki, do mieszania pomyj dla świń, do młócenia pszenicy,

gdy złota pożoga ogarniała stoki nad Pacyfikiem. Kolejami wolicz zaprzęgów szła za nimi cholera, dopadała ich przy ogniskach obozowych i w śpieszniekleconych zapluskwionych budach, wystrzelili ich wrodzy Indianie, sami rozwalali sobie nawzajem łby w bijatykach.)

George Hearst należał do nielicznych, którym się poszczęściło; miał żyłkę rasowego poszukiwacza,

wyrobił sobie niezawodne oko do wynajdywania złotorodnych żył kwarcu;

po siedmiu latach w hrabstwie ElDorado* był milionerem; rodziła się Anaconda*, kopalnia Ofir* należała w jednej szóstce do niego, miał udział w złożach Comstocka*.

W sześćdziesiątym pierwszym wrócił do Missouri z kieszeniami pełnymi złotych samorodków i poślubiwszy Phebe Apperson zabrał ją ze sobą statkiem i łodem przez Panamę do San Francisco (nowej pagórkowatej stolicy poszukiwaczy, którzy się dorobili milionów), gdzie jej zafundował rezydencję koło Złotej Bramy* na rozległym mglistym wybrzeżu Pacyfiku.

Był właścicielem olbrzymich obszarów, na swoich ranczach hodował bydło i konie wyścigowe, prowadził poszukiwania w Meksyku, w swoich kopalniach i majątkach zatrudniał pięć tysięcy ludzi, tracił i zyskiwał krocie na spekulacjach kopalnianych, grał w pokera po stówce za szton i nigdy nie wychodził bez woreczka srebrnych monet do rozdawania starym kompanom, którzy robili bokami,

aż umarł w Waszyngtonie j

ako senator,

kanciasty samorodek, krzepki starzec z siwą brodą, krogulczym nosem i sokolimi oczami pioniera, w czarnym kapeluszu o szerokich skrzydłach ściągniętych na krzaczaste brwi weterana dawnych szlaków.

Chłopak pani Hearstowej urodził się w sześćdziesiątym trzecim.

Nie było rzeczy za dobrej dla jedynaka.

Hearstowie nie widzieli świata poza synem,

który wyrastał na szczupłego wysokiego chłopca, smętnookiego i samowolnego, otoczony lokajami, guwernerami, totumfackimi, oficjalistami, rezydentami, starymi sługami na dożywociu; dziadkowie go psuli, robił, co tylko chciał. Synek pani Hearstowej musiał mieć wszystko, co najlepsze.

Nie mogło zabraknąć złotych samorodków, złotych dwudziestodolarówek, wielkich srebrnych dolarów.

Miał niewielu kolegów; był za bogaty, nie pasował do brukowej demokracji chłopców dorastających w tym czasie w San Francisco. Był zbyt nieśmiały i zbyt pyszny; nie lubiano go. Matka mogła mu zawsze kupić kolegów lodami, importowanymi łakociami, kosztownymi zabawkami, kucykami, fajerwerkami w każdej chwili gotowymi do wystrzelenia. Ale on gardził kolegami, których można było kupić, garnął się do tych innych.

Przepadał za kawałami, za płataniem psich figlów dorosłym; kiedy na otwarciu Palace Hotelu urządzono bankiet dla generała Granta*, miał z kolegą kupę uciechy bombardując szklany dach westybulu śrutem ku przerażeniu zebranych pod nim nadętych dygnitarskich kukieł.

Hearstów było stać na podróżowanie w królewskim stylu, gdziekolwiek się wypuszczali,

na północ czy południe kalifornijskich wybrzeży, po ranczach i osadach górniczych,

do Nevady czy Meksyku,

do pałacu Porfiria Diaza*;

papa Hearst obijał się po świecie za młodych lat, ocierał się o bogatych i o biednych, trawił czas w górniczych szulerniach, tłukł się z juczym mułem po bezdrożach. Synek pani Hearstowej tęsknił przez całe życie do owego świata,

który mu przesłaniała mgiełka milionów;

miał rozum, zdrowe apetyty, władczą wolę,

ale jakoś nie potrafił się wyswobodzić spod złotej kurateli;

wielką przygodą były wypadki do dzielnic nędzy.

Wysłano go do internatu przy szkole Świętego Pawła w Concord, w stanie New Hampshire. Swoimi wybrykami stawał szkołę raz po raz na równe nogi, dopóki go nie wyrzucano.

Nauczyciele prywatnie przygotowali go na Uniwersytet Harvarda, gdzie dał się poznać jako kierownik handlowy "Paszkwilanta"* i jako niestrudzony organizator rozlicznych hulatyk; sam nie pił wiele, był cichy i małomówny; za to upijał kolegów i płacił za nich rachunki, urządzał fajerwerki dla uczczenia wyboru Clevelanda*, angażował orkiestry dęte, kupował ciastka z kremem do obrzucania aktorów z łoża teatru Old

Howard*

petardy do tłuczenia latarni dorożek,

zampana dla chórzystek.

Zawieszono go, a w końcu relegowano, jak wieść niesie, za posłanie pewnej liczbie profesorów po nocniku

z gustownie wyrytym portretem odnośnego delikwenta.

Pojechał do Nowego Jorku. Pasjonowały go gazety. Już w Bostonie kręcił się po redakcjach. W Nowym Jorku zafascynował go nowomodny żurnalizm Pulitzerowski*. Nie pragnął sam pisać; pragnął być redaktorem i wydawcą. (Dziennikarze należeli do owego trójwymiarowego świata, który chciał oglądać z bliska, do realnego świata, który widywał tylko niewyraźnie przez mgiełkę milionów, do nie retuszowanego świata nizin amerykańskiej demokracji.)

Syn pani Hearstowej chciał być dziennikarzem i demokratą. (Dziennikarze patrzyli, słuchali, jedli, pili, macali, łajdaczli się, błaznowali, kpili, ocierali się o prawdziwych ludzi; to było życie.)

Wrócił do rodzinnej Kalifornii jako małomówny młody człowiek o łagodnym uśmiechu i smętnym spojrzeniu,

ubrany podług najnowszej londyńskiej mody.

Kiedy ojciec go spytał, co chce zrobić ze swoim życiem,

odparł, że chce wydawać "Examinera"; była to suchotnicza sanfranciskańska gazeta, którą ojciec przejął zamiast spłaty nieściągalnego długu. Nie wydawało się to wygórowanym żądaniem. Wprawdzie starszy pan nie bardzo mógł pojąć, dlaczego Willie prosi o tę nędzną szmatę zamiast o jakąś kopalnię czy rancho, ale syn pani Hearstowej zawsze dostawał to, czego chciał.

Młody Hearst zjawił się pewnego dnia w redakcji "Examinera" i przewrócił wszystko do góry nogami. Miał dar wynajdywania i kaptowania błyskotliwych młodych ludzi i dar wykorzystywania własnej lubieżnej fascynacji żądzami i zawiściami prostych niezamożnych mężczyzn i kobiet z nizin (zwiedzający dzielnicę nędzy widzi tylko ulicznice, spelunki narkomanów i pokazy golizny, po czym wraca do śródmieścia i opowiada, że widział dzielnicę robotniczą); najniższy wspólny mianownik;

pożywka dla kariery,

mierzwa demokracji. Na niej wybujało cuchnące imperium prasowe. (Być może W.R. lubił sobie wyobrażać, że jest młodym Kajusem Juliuszem* trwoniącym miliony, wdeptującym w ziemię symbole i tradycje, pokazującym język uprzywilejowanym w togach, oligarchom, nadętym kukłom na urządach;

życot Cezara był jak jego własny milionerskim żartem. Być może W.R. czytał o republikach doprowadzonych do upadku przed wiekami;

w końcu Alcybiades* też był kawalarzem.

Sanfranciskański "Examiner", schlebując lubieżnym ciągotom nie-zamożnych, zwiększał coraz bardziej nakład, aż stał się Królem Gazet.

Kiedy papa Hearst umarł, pani Hearstowa sprzedała udziały w Anacondzie za siedem i pół miliona dolarów. W.R. wziął od niej te pieniądze, żeby za nie wejść na rynek nowojorski; kupił "Morning Journal"

i rozpoczął wyścig z Pulitzerami o to,

kto więcej zbije

na wielkookiej sensacji.

W polityce był ludowym demokratą; w dziewięćdziesiątym szóstym opowiedział się za Bryanem; na Zachodnim Wybrzeżu zwalczał Kolej Południowego Pacyfiku, towarzystwa użyteczności publicznej, adwokatów kolejowych, którzy wydzierali stan Kalifornia z rąk pierwszych osadników; w dniu elekcji dziewięćdziesiątego szóstego jego trzy gazety nowojorskie wypuściły łączny nakład przeszło półtora miliona egzemplarzy, rekord,

w wyniku którego "New York World" poczuł się zmuszony obniżyć cenę do centa za egzemplarz.

Kiedy brak wiadomości, twórcie wiadomości. "Dostarcz ilustracji, ja dostarczę wojnę" - zadeszował ponoć do.; Remingtona* w Hawanie. Awantura na Kubie okazała się żyłą złota dla prasy, kiedy Mark Hanna* przesądził bieg polityki amerykańskiej osadzając w Białym Domu McKinleya*. Hearst polecił jednemu ze swoich błyskotliwych młodych ludzi zorganizować ucieczkę z więzienia Ewangeliny Cisneros, pięknej rewolucjonistki kubańskiej wsadzonej do ciupy przez Weylera*, po czym urządził dla niej wielkie przyjęcie w Madison Square Garden.

*Pamiętajcie pancernik "Maine "**.*

Kiedy McKinley został zmuszony do wypowiedzenia wojny Hiszpanii, W.R. miał gotowy plan nabycia brytyjskiego parowca i zatopienia go w Kanale Sueskim,

ale flota hiszpańska obrała inną drogę.

Wynajął dwa statki, "Sylwię" i "Pirata", i popłynął sam na Kubę z przenośną prasą, w asyście flotylli holowników;

dobiwszy barkasem przez przybój do brzegu, wymachując sześciostrzałowym rewolwerem, wziął do niewoli dwudziestu sześciu nie uzbrojonych majtków hiszpańskich, którzy cudem uniknęli utonięcia, i zmusił ich, by uklękli na plaży i ucałowali flagę amerykańską

przed obiektywem aparatu fotograficznego.

Zatoka Manilska* podniosła nakład "Morning Journal" do miliona sześciuset tysięcy egzemplarzy.

Po zwycięstwie nad Hiszpanami pozostała mu już tylko nagonka na mormonów. Nic tak nie ekscytowało zwykłych zjadaczy chleba jak poligamia; niezmienny dreszczyk wzbudzało także życie seksualne bogaczy, piórkowe rysunki kobiet w dezabilu i prehistoryczne potwory w czterech kolorach. Wymyślił płaczki: Annie Laurie, Dorothy Dix, Beatrice Fairfax*. Nie żałował pieniędzy na komiksy: "Małych Katzenjammerów", "Zabijakę Browna", "Szalonego Kota"*. Emocjonujcie się tym, co emocjonuje czytelników;

jego wstępniaki gromiły z taką furią występnych bogaczy, trusty, Wielką Starą Partię, Marka Hannę i McKinleya, że kiedy ten ostatni padł z ręki zamachowca, większość republikanów uważała, iż jakąś część winy za jego śmierć ponosi Hearst.

W odpowiedzi W.R. zmienił nazwę "Morning Journal" na "American"

i pojawił się w blasku jupiterów,

w czarnym anglezie i szerokoskrzydłym kowbojskim kapeluszu, jako mąż opatrnościowy w wyścigu do fotela prezydenckiego, milioner kandydujący w interesie prostego człowieka.

Bryan zrobił go przewodniczącym Narodowego Stowarzyszenia Klubów Demokratycznych i poradził mu założyć gazetę w Chicago. Po drugiej przegranej Bryana Hearst związał się z Charlesem F. Murphym* w Nowym Jorku i został wybrany do Kongresu. Swoją kwaterę główną założył w Hotelu Hollanda*. W dniu swego wyboru urządził w Madison Square Garden wielki otwarty pokaz ogni sztucznych, podczas którego rozsądziło moździerz i zabitych lub ranionych zostało coś około stu osób; była to jedyna sensacja autorstwa ludzi Hearsta, której gazety Hearstowskie nie wybiły wielkim drukiem na pierwszych stronach.

W Izbie Reprezentantów nie cieszył się popularnością; powtarzały się lata szkolne. Wśród jowialnych waszyngtończyków poklepujących się nawzajem po ramionach nie na miejscu był miękki uścisk dłoni, smętne spojrzenie oczu osadzonych blisko długiego nosa i wiotki wzgardliwy uśmiezek. W.R. czuł się niepewnie bez bandy swoich najemników.

W swoim żywiole był podejmując w Hotelu Hollanda premierową publiczność i gwiazdy sceny. W owych latach, kiedy Broadway kończył się jeszcze na Czterdziestej Drugiej Ulicy,

w "Paryżance"* tańczyła niejaka Millicent Willson; miała numer wspólnie ze swoją siostrą: zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie popularności redakcji "Morning Telegraph"

oraz rękę

Williama Randolpha Hearsta.

W tysiąc dziewięćset czwartym zapłacił furę pieniędzy, żeby jego nazwisko widniało wypisane żaróweczkami elektrycznymi na zjeździe nominacyjnym w Chicago; ale nominację Partii Demokratycznej sprzątnął mu sprzed nosa sędzia Parker* i Wall Street. W tysiąc dziewięćset piątym kandydował na burmistrza Nowego Jorku jako orędownik własności municypalnej. W tysiąc dziewięćset szóstym o mało nie sprzątnął urzędu gubernatora Hughesowi* o smętnych faworytach. W całym kraju powstawały kluby zwolenników Hearsta na prezydenta. W.R. piął się do góry inwestując w karierę polityczną miliony pod melodię "Zatańcz ze mną znowu, Willie".

Udało mu się pociągnąć przed sąd konkurenta Jamesa Gordona Bennetta* pod zarzutem publikowania w nowojorskim "Heraldzie" gorszących reklam i doprowadzić do ukarania go grzywną dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, sukces, który bynajmniej nie przysporzył mu popularności w pewnych kręgach.

W tysiąc dziewięćset ósmym ogłosił serię rewelacji o Standard Oil* listy Archbolda* dowodzące, że trusty smarują grubo łapy politykom. Kandydował z ramienia Partii Niezależnej*, złożonej prawie wyłącznie, jak głosili wrogowie, z jego własnych pracowników.

(Koledzy milionerzy uważali, że jest zdrajcą swojej klasy, ale kiedy mu zarzucali zdradę, odpowiadał:

Wiecie, że jestem zwolennikiem własności prywatnej, i wiecie, jaki jest mój majątek osobisty, a więc czyż nie lepiej, żebym ja występował w imieniu niezadowolonych Ameryk i, aniżeli miałby to czynić ktoś inny, kto może nie wykazywałby takiego stosunku do własności jak ja?)

W tysiąc dziewięćset czternastym, jakkolwiek był nadal właścicielem największego imperium prasowego w kraju oraz posiadaczem setek mil kwadratowych terenów ranczerskich i górniczych w Kalifornii i Meksyku, jego interesy znalazły się w takim impasie, że miał kłopoty z pożyczaniem głupiego miliona dolarów, a na gruncie politycznym unikano go jak zarazy.

Mimo wszystkich wyasygnowanych milionów,

mimo całej wirtuozerii we wbijaniu własnych poglądów

w głowy zwykłych zjadaczy chleba,

nie udało mu się przekroczyć wąskiego Rubikonu między amatorsztwem a zawodowstwem w polityce (może zbyt łatwo się pocieszał po każdym zawodzie skaptowaniem jeszcze jednego pierwszorzędnego pióra

czy zakupem wyszywanego trzewika, który miał jakoby należeć do Karola Wielkiego, lub pozłacanego łoża, w którym miała rzekomo spać jakaś metresa królewska).

Czasami umiał się wznieść dostatecznie wysoko, aby jasnym widzeniem ogarnąć teatr zmagania. Podczas pierwszej wojny światowej zaangażował całą potęgę swoich gazet i całą swoją redaktorską inwencję w próbę ratowania zdrowego rozsądku i neutralności Ameryki;

sprzeciwiał się pożyczkom dla aliantów, popierał Bryana w jego samotnej walce przeciw stawianiu interesów banków Morgana* i anglofilskich kupców ze Wschodniego Wybrzeża ponad fundamentalnymi interesami Stanów Zjednoczonych jako całości;

za jego starania okrzyczano go germanofilem,

a po wypowiedzeniu wojny podstawiono mu tajniaków jako lokai,

kazano agentom kontrwywiadu przetrząsać jego prywatne papiery i wkradać się do jego jadalni na Riverside Drive dla zbadania prawdziwości pogłosek o dziwnych kolorowych światełkach widywanych w jego oknach.

Sprzeciwiał się pokojowi wersalskiemu i lidze zwycięskich narodów,

ale ostatecznie dowiódł, że jest równie dobrym patriotą jak inni,

opowiadając się za przymusowym poborem,

wydając swoje gazety w czerwono-biało-niebieskich obwódkach i z chorągiewkami amerykańskimi po obu stronach daty, ustawicznie rozdmuchując konflikt za Rio Grande*

i wymachując starym jankeskim straszakiem

największej floty świata.

Poparli go nowojorczyki wybierając na burmistrza Hearstowskiego kandydata, Uczciwego Johna Hylana*, ale kiedy Hearst spróbował się sam ponownie wspiąć na demokratyczną trybunę wyborczą, dał mu po łapach Al Smith*, który wówczas był jeszcze bożyszczem ulicy.

Mimo olbrzymich wydatków na sfałszowane dokumenty nie udało mu się wywołać wojny z Meksykiem.

Mimo pompowania setek tysięcy dolarów w studia filmowe nie udało mu się wykreować swojej ukochanej gwiazdy filmowej* na ulubienicę Ameryki.

I tak dyktator prasy zaczął się coraz bardziej zaszywać w swoim udzielnym księstwie San Simeon* nad Pacyfikiem, gdzie urządził sobie zoo, bawił się nadal filmem, zapełniał całe składy gobelinami, mek-sykańskimi siodłami, antykami, porcelaną, brokatami, zabytkowymi komodami, stołami i krzesłami, pozostałościami martwej europejskiej świetności,

gdzie wybudował pałac w stylu andaluzyjskim i salę bankietową w stylu mauretańskim i gdzie dożywa swoich lat wśród usypiających pochlebstw gwiazd filmowych, macherów od reklamy, scenarzystów, szefów biur prasowych, felietonistów i wydawców-milionerów,

jako imperator tego nowego ElDorado,

w którym odgrzewane sny wszystkich gett

rozdmuchuje się w opiumiczną mgiełkę,

straszliwiej ogłupiającą biednych zjadaczy chleba

i szybciej przynoszącą miliony

niż worki brzęczących złotych dwudziestodolarówek,

które papa Hearst wyciskał dawnymi laty z hrabstwa ElDorado (imperium słowa drukowanego utrzymuje swoją potęgę samym bezwładem swojej wielkości; lecz jego panowanie nad marzeniami

niedorostków całego świata

rozrasta się i zatruwa jak rak).

Z mgły zachodnich wybrzeży dochodzi czasami zrzędny głos starca, domagający się podatku od sprzedaży, sączący jad wyzwisk na orędowników praw obywatelskich dla czarnoroboczych

(do więzienia czerwonych),

wychwalający zalety Baden-Baden pod krwawymi rządami pałkarzy Pięknego Adolfa (ukochane dziecko samego Hearsta, najniższy wspólny mianownik, wyniesione do władzy

przez mierzwę demokracji),

utyskujący na kalifornijskie podatki dochodowe,

gardlujący o niebezpieczeństwach wolnej myśli w college'ach.

Deportować, wsadzać do więzień!

Wspaniałe wiecznie obracające się prasy będą dla niego wyrzucały zadrukowane stronicę, terkożące wszędobylskie projektory będą dla niego wypluwały obrazy,

dopóki nie umrze,

utrudzony cesarz, który strawił swoje lata na wydawaniu pieniędzy, a nigdy nie był na tyle mężczyzną, aby przekroczyć Rubikon.

RICHARD ELLSWORTH SAVAGE

Dick Savage szedł Lexington Avenue do biura w Gmachu Towarzystwa Graybar*. Grudniowy ranek

przenikał jak stal, w oczy razily błyski światła odbitego od witryn sklepowych, okularów przechodniów, chromowanych opraw reflektorów automobilowych. Dick nie był pewien, czy to początki kaca. Mignęło mu odbicie własnej twarzy na czarnym atlasowym tle wystawy jubilerskiej. Pod oczami miał alkoholiczne worki jak książę Walii* na fotografiach w gazetach. Czuł się skwaśniały i pusty w środku jak zgniła gruszka. Wstąpił do drogerii i poprosił o bromoselcer. Stanąwszy przy saturatorze przejrzał się w lustrze za szklaną półką z butelkami piwa imbirowego. Mimo wszystko prezentuje się dobrze w nowym palcie z granatowej wełny. Poczul na sobie czarne oczy subiekta.

- Miał pan ciężki wieczór, co?

Dick kiwnął głową, spróbował się uśmiechnąć. Subjekt przesunął chudą dłoń o czerwonych knykciach po włosach lśniących jak lakiery.

- Ja też wyszedłem stąd o wpół do drugiej nad ranem, a mam godzinę metrem do domu. Sam pan rozumie...

- Spóźnię się do biura - przerwał mu Dick.

Zapłacił i, czkając lekko, wyszedł na roziskrzoną ulicę. Ruszył różnym krokiem, wdychając głęboko powietrze. Jadąc na górę windą z grupką korpulentnych czterdziestolatków na kierowniczych stanowiskach, tak jak on spóźnionych do biur w Gmachu Towarzystwa Graybar, miał już wyraźny paraliżujący ból głowy. Ledwo wyciągnął nogi pod biurkiem, zabrzączał telefon wewnętrzny. Dick poznał głos panny Williams.

- Dzień dobry, czekamy na pana. Pan Moorehouse prosi, żeby pan do niego zaszedł. Chce z panem chwilę porozmawiać przed naradą. Dick podniósł się zza biurka i stał chwilę z zaciśniętymi wargami, kołysząc się na palcach i patrząc przez okno na popielate kwartały kamienic ciągnące się rzędami frontonów zdobionych żeliwem ku wschodowi, aż po kominy elektrowni, most, pasmo rzeki iskrzącej się stalowo pod stalowobłękitnym niebem. Na nowym drapaczu wznoszonym dźwigar po dźwigarze na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy stukotały wściekle nitownice. Dick miał wrażenie, że mu się wwiercają w czaszkę jak świder dentysty. Wstrząsnął się, beknął i ruszył korytarzem do przestronnego gabinetu w narożniku.

J.W. siedział wpatrzony w sufit, wielką twarz o mięsistych szczękach miał wypraną z wszelkiego wyrazu jak gęba krowy. Bez uśmiechu zwrócił w stronę Dicka blade oczy.

- Zdajesz sobie sprawę, że w Ameryce żyje siedemdziesiąt pięć milionów ludzi, którzy w wypadku choroby nie mają ochoty albo możliwości zasięgnięcia porady lekarskiej? Dick przywołał na twarz wyraz żywego zainteresowania. Oho, rozmawiał z Edem Griscolmem, pomyślał.

- Wszyscy ci ludzie powinni sięgać po specyfiki Benghama. Jak dotąd udało mu się podbić zaledwie małą część tego wielkiego potencjalnego rynku.

- Musi ludzi przekonać, że używając jego lekarstw wykazują więcej rozumu niż szychy, które jeżdżą się leczyć do Battle Creek* - powie-dział Dick.

J.W. zmarszczył brwi w namyśle. Do gabinetu wszedł Ed Griscolm, chudy dryblas o ziemistej cerze i entuzjastycznym błysku w oku, zapalającym się i gasnącym jak neon. Miał dziwny sposób trzymania rąk, jakby się szykował do uniesienia ich za chwilę ruchem dyrygenta.

- Cześć - powitał go Dick bez zapału.

- Bajeczny ranek, co, Dick? O, zdaje się, że masz trochę kaca? Fatalnie, chłopie, fatalnie.

- Mówiłem właśnie, Ed - podjął J.W. powolnym głosem - że w negocjacjach z Binghamem musimy położyć nacisk na dwie sprawy: primo, że ledwo zaczyna wchodzić ze swymi specyfikami na wielki rynek siedemdziesięciu pięciu milionów potencjalnych klientów, i secundo, że właściwie poprowadzona kampania reklamowa może wykorzystać uprzedzenie wielu ludzi do leków ogólnie dostępnych, a nawet obudzić dumę z ich używania.

- Mądry oszczędza, coś w tym rodzaju! - wykrzyknął Ed.

- Raczej, że można się leczyć samemu - powiedział Dick. - Trzeba ludzi przekonać, że przeciętny drogista wie dzisiaj więcej o medycynie niż lekarz domowy dwadzieścia pięć lat temu.

- Ludzie uważają, że leki patentowane są dobre dla ciemnych kmiotków! - zawołał Ed Griscolm. - Musimy je wprowadzić na Park Avenue.

- Nie leki patentowane - rzekł z dezaprobatą J.W. - Specyfiki. Dickowi udało się powstrzymać uśmiech.

- Musimy rozłożyć cały problem na czynniki pierwsze - powiedział.

- Właśnie.

J.W. wziął rzeźbiony nóż z kości słoniowej do cięcia papieru i zaczął go oglądać pod różnymi kątami. W gabinecie zaległa taka cisza, że słycać było szum ruchu ulicznego i świst wiatru między stalową futryną a stalową ramą okienną. Dick i Ed Griscolm wstrzymali oddech. J.W. zaczął mówić.

- Publiczność amerykańska jest dziś bardziej wymagająca. Kiedy byłem chłopcem w Pittsburgu, nikomu się nie śniło nic poza reklamą wizualną. Przemawiało się tylko do oczu. Obecnie, wraz ze wzrostem kultury, trzeba myśleć o innych sposobach oddziaływania, o wykorzenieniu uprzedzeń. Weźmy takie Bingo, nazwa jest całkowicie fałszywa, nie z naszej epoki. Wstyd zasiąść do lunchu w Klubie Metropolitalnym z flaszką Bingo na stoliku. To wszystko musimy podkreślać w rozmowach. Wczoraj pan Bingham wydawał się już skłonny do ugody. Przeraził go trochę koszt kampanii...

- Nie ma smartwienia - zaskrzeczał Ed Griscolm. - Przygwoździ-my starego kutwę.

- Myślę, że trzeba go urabiać delikatnie jak pan wczoraj sugerował, szefie - powiedział Dick cichym ujmującym głosem. - Słyszę, że Halseya od Halseya i O'Connora doprowadził swoimi fanaberiami do choroby nerwowej.

Ed Griscolm prychnął cienkim rechotem. J.W. podniósł się ze słabym uśmieszkiem. Kiedy J.W. się uśmiechał, Dick uśmiechał się także.

- Myślę, że potrafimy go przekonać o korzyściach płynących z renomy naszej firmy, z rozgałęzionych stosunków. Ciągłe mówiąc J.W. poprowadził ich korytarzem do dużej sali z długim owalnym mahoniowym stołem pośrodku, gdzie już się zgromadziło całe biuro. J.W. wszedł pierwszy ze swoim okazałym brzuszkiem kołysząc się lekko z boku na bok, a Dick i Ed Griscolm postępowali krok za nim, każdy z plikiem błękitnych teczek zawierających przepisane na maszynie projekty reklamowe. Gdy po zwykłej dozie pokasywania i pochrząkiwania wszyscy się wreszcie usadowili i J.W. zaczynał mówić o siedemdziesięciu pięciu milionach potencjalnych klientów, Ed Griscolm wybiegł nagle, by powrócić ze schludnym diagramem ujmującym całą kampanię w siatkę niebieskich, czerwonych i żółtych symboli. Dokoła stołu przebiegł szmerek podziwu. Dick pochwycił tryumfalne spojrzenie Eda Griscolma. Rzucił kątem oka na J.W. który oglądał diagram z nic nie mówiącą miną. Potem wstał, podszedł do Eda i poklepał go po ramieniu. -- Pierwszorzędna robótka, chłopie - szepnął. Zaciśnięte wargi Eda rozluźniły się w uśmiechu.

- No, panowie, poproszę teraz o rzeczową dyskusję = powiedział J.W. ze złośliwym ognikiem w błękitnym oku, które się zaiskrzyło na moment jak brylanciki w jego spinkach.

Podczas gdy inni mówili. Dick patrzył tępo na dłonie J.W. rozpostarte na pliku maszynopisów leżących przed nim. Z rękawów doskonale skrojonej szarej dwurzędowej marynarki wyglądały staroświeckie krochmalone mankiety, a z nich sterczały dwie sękaty. dziwnie prostackie dłonie z plamami wątrobowymi. Przez cały czas dyskusji Dick wpatrywał się w te dłonie kreśląc jednocześnie jakieś zdania w notatniku. a następnie je zamazując. Nie mógł zebrać myśli, mózg miał jak wyżęty. Gryzmolił ołówkiem zdania bez najmniejszego sensu. Popijawę miał w Ritzu, tonik Bingham jest bez picu. Było po pierwszej, kiedy narada się wreszcie skończyła. Wszyscy rzucili się wieszować Edowi Griscolmowi diagramu. Nieoczekiwanie dla samego siebie Dick oświadczył głośno, że pomysł był rzeczywiście kapitalny, ale całość trzeba ująć pod trochę odmiennym kątem.

- Dobrze - powiedział J.W. - więc znajdźcie przez niedzielę ten odmienny kąt. Chcę, żeby wszyscy się nad tym zastanowili. Jestem w poniedziałek umówiony z panem Binghamem na lunch, muszę mu przedstawić poprawiony projekt.

Dick wrócił do swego gabinetu, gdzie zastał plik listów, które sekretarka mu zostawiła do podpisu. Skończywszy przypomniał sobie nagle, że się umówił w Sześćdziesiątce Trójce na lunch z Reggie Talbotem, który chciał mu przedstawić swoją dziewczynę. Wybiegł w pośpiechu, dopiero w windzie zawiązał granatowy szal. W kłębach falującego dymu dostrzegł ich głowy pochylone ku sobie w tyle zakonspirowanej knajpki zatłoczonej przy sobotnim popołudniu. -- Cześć, Dick! -- wykrzyknął Reggie podrywając się ze swoim łagodnym uśmieszkiem. Złapał Dicka za rękę i pociągnął do stolika.-Nie czekałem na ciebie w biurze, bo byłem umówiony z tą oto panią. Jo, to pan Savage. Jedyne człowiek w Nowym Jorku, który na wszystko gwizdże. Czego się napijesz, Dick?

Dziewczyna rzeczywiście była klasa. Usadowiwszy się obok niej na czerwonej skórzanej kanapce, vis a vis szczupłej popielatoblond głowy Reggiego o wielkich badawczych piwnych oczach, Dick poczuł się przepity i zmęczony.

- Och, proszę pana, jak się zakończyła sprawa kontraktu Bingham? Tak się tym emocjonuję. Reggie nie potrafi o niczym innym mówić. Wiem, że to niedyskretne pytanie.

Zajrzała mu z przejęciem w twarz swoimi czarnymi oczami o długich rzęsach. Rzeczywiście była z nich urodziwa para.

- Właśnie. Choćby' cię smażyli w smole, nie mów, co się dzieje w' szkole - powiedział Dick biorąc chrupiący rogalik i odłamując kawalek.

= Rozumiesz, Dick, my z Jo rozmawiamy o wszystkim. Nigdy nic więcej nie robimy. Jeśli chcesz znać prawdę, wszyscy młodzi w biurze zachodzą w głowę. Dlaczego szef nie przyjął twojego pierwotnego projektu. Griscolm zaprzepaści ten kontrakt, jeśli J.W. mu zostawi wolną rękę. W jego projekcie coś nie sztymuje. Szef ma chyba rozmiękczenie mózgu, że tego nie widzi.

--- Wiesz, Reggie, mnie się też ostatnio kilkakrotnie wydawało, że J.W. jakby podupada na zdrowiu. To byłoby okropne. W całym świecie reklamy nie ma drugiej takiej tęgiej głowy. - Dick dosłyszał w swoim głosie fałszywą nutkę i zawstydzony się dwojga młodych zamilkł raptownie. - Hej, Tony - zawołał opryskliwie do kelnera - podaj nam cocktaile! Dla mnie Bacardi z kapką absyntu, wiesz, jak zwykle. Rany, czuje się, jakbym miał sto lat.

- Nie za bardzo sobie pozwalasz? = spytał Reggie. ----- Przeginasz trochę pałkę.

Dick wykrzywił ironicznie twarz.

- Co do tej pałki - powiedział - to sprawia mi ostatnio mnóstwo kłopotu.

Wszyscy się zaczerwienili. Dick zachichotał.

- Jak Boga Kocham, nie wiem, czy są w Nowym Jorku jeszcze trzy osoby, które się potrafią rumienić jak my. Zamówili nowe cocktaile. Kiedy pili, Dick czuł na sobie czarne poważne oczy dziewczyny. Podniosła ku niemu szklaneczkę.

- Reggie mówi, że był pan dla niego diablo życzliwy w biurze. Podobno gdyby nie pan, już by wyleciał z pracy.

- Jak można być nieżyczliwym dla Reggiego? Niech pani na niego spojrzy. Reggie poczerwieniał jak burak.

- Chłopak ma urodę - powiedziała dziewczyna. - Ale czy ma także trochę pomysłu? "

Po zakupie cebulowej i trzecim cocktailem Dick poczuł się lepiej. Jął opowiadać, jak im zazdrości, że są tacy młodzi i że się pobierają. Obiecał być drużbą na ich ślubie. Na pytanie, czemu sam się nie ożeni, pociągnął w zakłopotaniu kilka łyków ze szklaneczki, zanim odrzekł, że całe jego życie jest jednym wielkim nieporozumieniem. Zarabia piętnaście tysięcy rocznie, ale wiecznie brak mu pieniędzy. Zna kilkanaście pięknych kobiet, ale jak potrzebuje dziewczyny, nigdy jej nie ma. Mówiąc układał równocześnie przez cały czas w myśli komunikat dla prasy o potrzebie swobodnego leczenia się samemu. Nie mógł ani na chwilę zapomnieć o tym cholernym kontrakcie Binghama.

Ściemniało się, kiedy wyszli z Sześćdziesiątki Trójki. Wsadziwszy młodych do taksówki Dick poczuł ukłucie zazdrości. Był roztkliwiony i podochocony, delektował się miłym ciepłem jedzenia i alkoholu promieniującym z żołądka. Stał przez chwilę na rogu Madison Avenue obserwując zaaferowany przedgwiadzkowy tłumek przewalający się chodnikiem na jaskrawym tle wystaw. Różnorodne twarze przesuwane się w skośnym świetle latarni miały wreszcie zdrowy wygląd, zaróżowione od ostrego wieczornego chłodu. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć na Dwunastą Ulicę. Otworzyła mu czarna pokojówka w ładnym koronkowym fartuszkach.

- Cześć, Cyntia.

- Dobry wieczór panu.

Spacerując długo po nierównym starym parkiecie salonu Dick czuł niecierpliwe pulsowanie w skroniach. Ewelina wynurzyła się uśmiechnięta z pokoju w głębi. W pośpiechu nałożyła na twarz za dużo pudru, który podkreślał bruzdy biegnące od jej nozdrzy do ust i tworzył na nosie mączystą skorupę. Jej głos zachował swoją melodyjność. Myślałam, że o mnie zapomnieliś, Dick.

- Haruję jak wół. Mózg mi już odmawia posłuszeństwa. Spotkanie z tobą dobrze mi zrobi.

Ewelina podała mu chińskie porcelanowe pudełko z papierosami. Usiedli obok siebie na rachitycznej staroświeckiej kanapie z włosia końskiego.

- Jak tam Jeremy? -- spytał wesoło Dick. Głos Eweliny stracił swoją dźwięczność.

- Paul zabrał go na Zachód na Boże Narodzenie.

- Musi ci go brakować. Lubię szkraba. Żałuję, że go nie ma.

- Zdecydowaliśmy się z Paulem ostatecznie na rozwód. Oczywiście na przyjacielskiej stopie.

- Przykro mi, Ewelino.

- Czemu? -- Bo ja wiem. To jakoś głupio. Zawsze lubiłem Paula.

- Sytuacja zrobiła się już niemożliwa. Tak będzie dla niego lepiej.

Dick czuł w niej jakąś chłodną gorycz, gdy tak koło niego siedziała w nieco zbyt strojnej sukience popołudniowej. Miał wrażenie, że ją widzi po raz pierwszy. Ujął jej długą niebieskożyłkową dłoń, położył na małym stoliczku przed kanapką i pogłaskał.

- Ja w każdym razie.. będę cię lubił jeszcze bardziej. -Zabrzmiało mu to fałszywie jak frazes przeznaczony dla klienta. Zerwał się na nogi. - Słuchaj, Ewelino, co byś powiedziała, gdybym zadzwonił do Settignana i kazał mu przysłać ginu? Muszę się napić. Nie mogę oderwać myśli od spraw biurowych.

- Jeśli się przespacerujesz do lodówki, znajdziesz zupełnie przyzwoity cocktail. Przed chwilą własnoręcznie go przyrządziłam. Ma później wpaść parę osób.

- Później to znaczy kiedy?

- Koło siódmej. Czemu?

Odprowadziła go drwiącym spojrzeniem do szklanych drzwi. W pokoju kredensowym czarna pokojówka wkładała kapelusz.

- Cyntio, pani Johnson utrzymuje, że gdzieś tu jest cocktail.

- I owszem, proszę pana. Zaraz podam szklaneczkę.

- Masz dzisiaj wychodne?

- Tak, proszę pana. Idę do kościoła.

- W sobotę po południu?

- Tak, w naszym kościele zawsze jest msza w sobotę po południu. Mnóstwo ludzi nie ma teraz wolnego w niedzielę.

- Ja już nie mam żadnego wolnego dnia.

- To bardzo niedobrze, proszę pana.

Dick wrócił chwiejnie do salonu balansując mikserem. Szklaneczki podzwaniały na tacy.

- Dick, będę cię musiała wziąć pod kuratelę. Ręce ci się trzęsą jak siwowłosemu staruszkowi.

- Cóż, jestem siwowłosym staruszkim. Zadręczam się niepewnością, czy ten wredny król lekarstw złoży w poniedziałek swój cenny podpis pod kontraktem.

- Nie waż się o tym wspominać. To wstrętne. Ja też jestem okropnie zajęta. Chcę wystawić sztukę.

- Ewelino, to pysznie! Czyją?

- Charlesa Edwarda Holdena. Pokazał lwi pazur. Jestem tym taka podekscytowana. Chyba wiem, jak to powinno być wystawione. Może miałbyś ochotę zainwestować parę tysięcy w inscenizację, Dick?

- Ewelino, jestem całkowitym bankrutem. Wierzyście weszli mi na pensję, mamę muszę utrzymywać na stopie, do której przywykła, braciszek Henry ma w Arizonie farmę z beznadziejnie zabagnioną hipoteką... Ale wydawało mi się, że Charles Edward Holden jest felietonistą?

- Tak, ta nowa strona jego talentu jest dotąd nie znana. Moim zdaniem, to niezrównany piewca Nowego Jorku naszej doby. Poczekaj, zobaczysz. Dick nalał sobie jeszcze jeden cocktail.

- Pomówmy chwilę o nas, Ewelino. Jestem taki skrachowany. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Tak się kiedyś przyjaźniliśmy. - Pozwoliła mu się wziąć za rękę, ale nie odwzajemniła jego uścisku. - Wiesz, że zawsze byliśmy dla siebie pociągający fizycznie. Czyż nie mogłaby to być najwspanialsza rzecz na świecie? - Przynął się do niej na kanapce, cmoknął ją niezręcznie w policzek, spróbował obrócić do siebie jej twarz. - Nie czujesz już nic a nic do nieszczęsnego grzesznika?

- Dick, nie mogę. - Ewelina poderwała się na nogi. Wargi jej drżały, wyglądało, że lada chwila wybuchnie płaczem. - Jest ktoś, kogo bardzo lubię. Bardzo, bardzo lubię. Postanowiłam wreszcie nadać jakiś sens swojemu życiu.

- Kto to taki? Ten przeklęty felietonista?

- Mniejsza o to, kto.

Dick ukrył twarz w dłoniach. Po chwili je opuścił, wstrząsany śmiechem.

- To już takie moje parszywe szczęście. Zawsze będę tylko chłopcem na posyłki. Kogo obchodzi, że mi się zebrało na sobotnie pijackie amory?

- Och, Dick, z pewnością ci nie braknie pocieszycielek.

- Dzisiaj braknie. Zostaję sam z własnym piekłem. Moje życie jest jednym wielkim nieporozumieniem.

- Cóż za literackie wyrażenia!

- Osobiście wydawało mi się całkiem niezłe. Ale fakt, że się czuję naprawdę zagubiony. Coś dziwnego przydarzyło mi się tej nocy. Opowiem ci kiedyś, jak będziesz dla mnie lepsza.

- Dick, a może byś poszedł do Eleonory? Urządza przyjęcie dla tych swoich bojarów.

- Czy ona rzeczywiście wychodzi za tego okropnego księcia? Ewelina kiwnęła głową z tym samym zimnym gorzkim spojrzeniem w oku.

- No tak, tytuł arystokratyczny to najlepsza reklama dla dekoratorki wnętrz. A czemu Eleonora nie wyasygnuje jakiejś okrągłej sumki na tę twoją sztukę?

- Nie chcę jej prosić, chociaż faktycznie pławi się w pieniądzu. Miała bardzo pomyślny sezon. Widać wszyscy robimy się zachłanni na starość. A co myśli o tym księciu biedny Moorehouse?

- Ba, gdybym wiedział, co on myśli o czymkolwiek. Pracuję u niego od lat, a do dziś nie wiem nawet, czy jest geniuszem, czy nadętym zerem. Ciekawe, czy będzie u Eleonory. Chciałbym go wieczorem złapać na chwilę. Wiesz, miałaś świetny pomysł, Ewelino. Zawsze mi pomożesz, nie tak, to inaczej.

- Lepiej zadzwoń, zanim tam pójdziesz. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Eleonora cię nie wpuściła, jeśli się zjawisz nie proszony, kiedy dom będzie pełen rosyjskich arystokratek w diademach. Dick podszedł do telefonu. Czekał długo, zanim poproszono Eleonorę. Jej głos w słuchawce zabrzmiał ochryple i piskliwie. W pierwszej chwili powiedziała, żeby lepiej przyszedł na kolację w przyszłym tygodniu. Dick przybrał przymilny ton.

- Proszę cię, pozwól mi zobaczyć słynnego księcia, Eleonoro. Poza tym muszę się cię poradzić w bardzo ważnej sprawie. Zawsze byłaś moim aniołem opiekuńczym. Jeśli nie mogę już do ciebie przyjść w potrzebie, to do kogóż mam się zwrócić?

W końcu Eleonora zmiękła i powiedziała, że może przyjść, tylko żeby nie siedział długo.

- Porozmawiasz trochę z J. Wardem. Jest jakiś nie w sosie. Zakończyła skrzekliwym śmiechem, od którego w słuchawce tak brzęknęło, że Dicka zabolowało ucho. Kiedy wrócił na kanapkę, Ewelina leżała na poduszkach chichocząc bezgłośnie.

- Dick - powiedziała - jesteś prawdziwym mistrzem w czarowaniu.

Dick zrobił do niej minę, pocałował ją w czoło i wyszedł. Salon Eleonory jarzył się od kandelabrow i rżniętego szkła. Eleonora powitała go przy drzwiach. Jej mała wąska twarz miała gładką kruchą fakturę porcelanowej figurki w obramowaniu starannie zaondulowanych włosów i wielkiej broszy z imitacji diamentów spinającej koronkowy kołnierzyk. Zza jej pleców dochodziły gromkie głosy Rosjan i świegotliwe Rosjanek oraz wonie herbaty i węgla drzewnego.

- No, jesteś, Richard - zasyczała śpiesznym szeptem Eleonora. --Nie zapomnij pocałować wielkiej księżny

w rękę. Miała takie straszne życie, warta jest tego drobiazgu, który jej sprawi przyjemność, prawda? ~, Richard, i martwię się o Warda. Sprawia wrażenie zupełnie wyczerpanego. Mam nadzieję, że to nie zapowiedź jakiegoś załamania. Należy do gatunku ludzi, którzy gasną jak zdmuchnięta świeca. Wiesz, jak to bywa z takimi apoplektycznymi blondynami. Na inkrustowanym stoliku przed marmurowym kominkiem stał wielki srebrny samowar, a obok siedziała zażywna podstarzała kobieta w szalu z cekinami, z włosami uczesanymi w pompadurkę i pudrem

luszczącym się na zmęczonej plamistej twarzy. Była bardzo ujmująca, w oczach miała wesole ogniki. Z kopiałej salaterki ze rżniętego szkła nakładała sobie grubo kawioru na kromkę czarnego chleba, śmiejąc się przy tym pełnymi ustami. Otaczała ją grupka Rosjan w różnym wieku i różnych stadiach rozkładu, część w rubaszkach, część w tanich garniturach, oraz kilka nieapetycznych młodych kobiet i paru młodzieńców o przyzylanych włosach i twarzach ministrantów. Wszyscy pili herbatę albo wódkę z małych kieliszków, wszyscy nakładali sobie czubatymi łyżkami kawior. Dick został przedstawiony księciu, który się okazał młodym mężczyzną o oliwkowej cerze, czarnych brwiach i szpiczastych czarnych wąsikach, ubranym w czarną rubaszkę o nieprawdopodobnie wąskiej talii i miękkie czarne wysokie buty. Wszyscy byli weseli jak skowronki, grzmieli lub szczebiotali po rosyjsku, angielsku i francusku. Eleonora faktycznie się dla nich wysadziła, pomyślał mimo woli Dick zanurzając łyżkę w masę granatowego gruboziarnistego kawioru.

J.W. z bladą wymęczoną twarzą stał w kącie pokoju, plecami do ikony, przed którą się paliły trzy świece. Dick jasno pamiętał, że kilka tygodni temu widział tę samą ikonę na wystawie sklepu Eleonory, zawieszoną na kawałku fioletowego brokatu. J.W. rozmawiał z duchownym w czarnej sutannie z fioletowymi obszyciami, który jak się okazało, gdy Dick do nich podszedł, mówił soczystym irlandzkim akcentem.

- Poznaj archimandrytę O'Donnella, Dick - powiedział J.W. - Nie przekreśliłem nazwiska? Archimandryta kiwnął głową pokazując zęby w szerokim uśmiechu.

- Dowiaduję się od niego ciekawych rzeczy o greckich klasztorach.

- Tych, do których się wciąga ludzi w koszach? - spytał Dick. Archimandryta podrzucił raz i drugi głową, pokazując znowu zęby między wiotkimi wargami.

- Będę miał honor i przyjemność wprowadzenia drogiej Eleonory w tajniki prawdziwej wiary. Opowiedziałem właśnie panu Moorhouse'owi historię mego nawrócenia.

Dick poczuł, jak archimandryta go obmacuje beczelnymi ruchliwymi oczkami.

- Może i pan miałby ochotę wpaść któregoś dnia, posłuchać naszego chóru? Niewiarra topnieje w śpiewie jak kostka cukru w szklance gorącej herbaty.

- Bardzo lubię rosyjskie chóry - powiedział J.W.

- Nie uważają panowie, że nasza droga Eleonora odzyskała młodość i szczęście dzięki wierze?

Rozpromieniony archimandryta powiódł wzrokiem po zatłoczonym salonie. J.W. z powątpiewaniem pokiwał głową.

- Och, jaka to urroczna wdzięczna kobietka! A jaka mądra! Może byście panowie przyszli obaj na mszę i zjedli potem ze mną lunch? Mam pomysł książeczki o moich przeżyciach na górze Athos*. Urządzili-byśmy sobie małe przyjątko.

Dick ze zdumieniem poczuł, że archimandryta szczypie go w pośladek. Cofnął się śpiesznie o krok, zdążył jednak pochwycić energiczne porozumiewawcze mrugnięcie jego lewego oka. Wielki salon rozbrzmiewał toastami i dźwięczał trącanymi o siebie kieliszkami, od czasu do czasu rozlegał się szcęk tłuczonego szkła. Grupa młodszych Rosjan śpiewała gromkimi basowymi głosami, aż kryształowy kandelabr pobrzękiwał w górze. Kawior się skończył, ale dwie jednakowo ubrane pokojówki wniosły stół z hors d'oeuvre'ami i ustawionym pośrodku wielkim gotowanym łososiem. J.W. trącił Dicka łokciem.

- Może byśmy poszli gdzieś spokojnie pogadać?

- Tylko na to czekam. Zdaje się, że znalazłem ujęcie, o jakim pan myślał. Mam nadzieję, że tym razem wszystko będzie grało. Nim zdążyli się dopchać do drzwi, dogoniła ich młoda Rosjaneczka w czerni, z pięknymi czarnymi oczami i wysoko sklepionymi brwiami.

- Niech pany jeszcze nie idzie. Leokadia Pawłowna bardzo was lubi. Ona w ogóle bardzo tutaj lubi. Tak tu swobodno, tak boheme. Dlatego my lubi Leonora Iwanowna. Ona jest boheme, my jest boheme. Kochamy ją.

- Niestety wzywają nas interesy - powiedział J.W. z powagą. Rosjaneczka strzeliła palcami.

-- Interesy, interesy! To niesmaczno. Ameryka jest taka miła, żeby nie ty interesy. Wyszedłszy na ulicę J.W. westchnął:

- Biedna Eleonora będzie się miała z pyszna. Ci Rosjanie puszcza ją z torbami. Myślisz, że naprawdę wyjdzie za tego księcia Mingrazialego? Przeprowadziłem o nim wywiad. Jest rzeczywiście wszystkim, za co się podaje. Ale mój Boże!

- Została już wyznaczona data - odparł Dick. - Ślub ma być z koronami* i wszystkimi szykanami.

- Miejmy nadzieję, że Eleonora wie, co robi. W końcu w interesach wykazuje wielką zręczność.

Przed domem stał półotwarty samochód J.W. Szofer wysiadł z pędem do owinięcia kolan przewieszonym przez rękę. Chciał zatrzaskać drzwiczki za J.W., gdy Dick się odezwał:

- Ma pan parę minut, żeby porozmawiać o kontrakcie Bingham'a?

- Oczywiście, na śmierć zapomniałem - odrzekł J.W. zmęczonym głosem. - Jedź ze mną na kolację do Great Neck. Jestem sam z dziećmi. Dick wskoczył z uśmiechem do wielkiego czarnego samochodu i szofer zatrzasnął za nim drzwiczki.

Podczas kolacji w jadalni Moorehouse'ów nastrój był isticie pogrzebowy. Lokaj z podręcznym krzątał się bezszelestnie w półmroku między malowanymi włoskimi panneaux a długim stołem oświetlonym świecami, przy którym zasiedli tylko Dick, J.W. i panna Simpson, wielce dystyngowana guwernantka dzieci, o długiej końskiej twarzy. Dick dziękował swojej gwiazdzie, kiedy przeszli potem we dwóch do gabinetu J.W., żeby zapalić i pogadać o kontrakcie Bingham, a za nimi wsunął się stary lokaj z butelką szkockiej whisky, lodem i szklaneczkami.

- Skąd to wytrzasnąłeś, Thompson? - spytał J.W.

- Stoi w piwnicy od przedwojny, proszę jaśnie pana. Z tych skrzynek, które jaśnie pani kupiła jeszcze w Szkocji. Wiem, że pan Savage lubi wypić kieliszek. Dick się roześmiał.

- Oto dobra strona złej reputacji - powiedział.

- Nie wątpię, że to najlepsza whisky, jaka istnieje - wycedził J.W. poważnie. - Wiesz, Dick, alkohol nigdy nie sprawiał mi specjalnej przyjemności, tak że przestałem pić jeszcze przed prohibicją. - Zapalił sobie cygaro, po czym nagle cisnął je do płonącego kominka. - Nie będę już chyba dzisiaj palił. Wprawdzie doktor twierdzi, że trzy cygara dziennie mi nie zaszkodzą, ale czuję się tak piesko przez cały tydzień! Powinienem się wycofać z giełdy. Mam nadzieję, że ty się trzymasz od niej z daleka, Dick?

- Tego, co mi zostawiają wierzyciele, nie starczyłoby na kupno losu na loterię fantową.

J.W. przeszedł kilka kroków po małym pokoju, pełnym półek z niepokalanymi wydaniem zbiorowymi czołowych autorów oprawnymi w marokini, i stanął plecami do florenckiego kominka, z rękami splecionymi z tyłu.

- Bez przerwy mi zimno. Przypuszczam, że coś jest nie w porządku z moim krążeniem. A może to po tym widzeniu z Gertrudą? Lekarze

ostatecznie uznali, że sprawa jest beznadziejna. Był to dla mnie wielki wstrząs.

Dick się podniósł, odstawił szklaneczkę.

- Przykro mi, J.W. Jednakże i w chorobach mózgowych zdarzają się zaskakujące uzdrowienia.

J.W. stał z wargami zaciśniętymi w cienką linię, wydatne szczęki drżały mu lekko.

- Nie w schizofrenii. Wszystko w życiu mi się układało, tylko to jedno nie. Jestem samotnym człowiekiem. I pomyśleć, że kiedyś chciałem pisać piosenki. Uśmiechnął się. Dick także się uśmiechnął, wyciągnął dłoń.

- Możemy sobie podać ręce. Ma pan przed sobą niedosłzłego poetę.

- Dobrze, że przynajmniej dzieci będą miały wszystko, czego mnie brakowało - podjął J.W. - Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy zajrzeli na górę powiedzieć im dobranoc? Chciałbym, żebyś je zobaczył.

- Oczywiście, że nie. Uwielbiam dzieci - odrzekł Dick. - Na dobrą sprawę sam do tej pory czuję się niezupełnie dorosły. U szczytu schodów czekała na nich panna Simpson z palcem przy wargach.

- Gertruda już śpi.

Przeszli na palcach bielutkim korytarzem. Dzieci leżały w łóżeczkach, każde w oddzielnym pokoiku o szpitalnym wyglądzie, wyziębionym, bo okna były otwarte. Na każdej poduszce spoczywała główka o lnianych włosach.

- Staple jest najstarszy, skończył dwanaście lat - szepnął J.W. - Potem idzie Gertruda, potem Johnny.

Staple powiedział im grzecznie dobranoc. Mała Gertruda się nie obudziła, kiedy zapalili światło. Johnny, trąpiony przez zły sen, poderwał się na łóżeczku, szeroko otwierając bardzo niebieskie oczki i cienkim przestraszonym głosem wołając: "Nie, nie". J.W. usiadł na brzegu łóżka i tulił go, dopóki malec nie zasnął z powrotem.

- Dobranoc pani - powiedział J.W. do panny Simpson, po czym zaczęli schodzić na palcach ze schodów. - No, i co o nich myślisz? - zwrócił się rozpromieniony do Dicka.

- Przyjemnie na nie popatrzeć - odparł Dick. - Zazdroszczę panu.

- Dobrze, że cię tu ściągnąłem. Bez ciebie czułbym się samotnie. Muszę częściej zapraszać ludzi.

Usadowili się w fotelach przy kominku i przystąpili do przeglądania planu kampanii reklamowej specyfików Bingham. Gdy zegar wybił dziesiątą, J.W. zaczął ziewać. Dick podniósł się z fotela.

- Chce pan znać moje prawdziwe zdanie?

- Mów śmiało, chłopcze. Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

- Więc dobrze. - Dick wychylił ciepłą resztkę whisky. - Uważam, że w morzu szczegółów straciliśmy z oczu brzeg. Zagabiliśmy się w detal. Sam pan mówi, że Bingham to uparty staruch, jeden z tych, co się o własnych siłach wybili z pucybuta na milionera. Otóż nie sądzę, żeby ten elaborat dostatecznie przekonująco wytoczył plan kampanii, który pan nam nakreślił przed miesiącem.

- Jeśli mam być szczerzy, samego mnie zbytnio nie zachwyca.

- Czy w domu jest maszyna do pisania?

- Myślę, że Thompson albo Morton powinien ci gdzieś znaleźć maszynę.

- Mam nadzieję, że uda mi się bardziej uwypuklić pańską myśl przewodnią. Na mój rozum to jedna z największych idei kiedykolwiek wysuniętych w świecie interesu.

- Nie zapominaj, że to dzieło całego biura.

- Spróbuję do poniedziałku rozłożyć wszystko na czynniki pierwsze, a następnie złożyć w nową całość. Ostatecznie nie mamy nic do stracenia. Musimy starszego pana znokautować, bo w przeciwnym razie sprzątnie nam go Halsey.

- Tak, opadli go jak stado wilków - potwierdził J.W. wstając z ziewnięciem. - Pozostawiam sprawę w twoich rękach. - Doszedłszy do drzwi zatrzymał się i obrócił. - Oczywiście towarzysko rosyjscy arystokraci to są szczyty. Dla Eleonory to wielka rzecz. Ale wolałbym, żeby się w to nie płątała. Wiesz, Dick, z Eleonorą łączyła mnie bardzo piękna przyjaźń. Mnóstwo dla mnie znaczyła życzliwość i rady tej małej kobietki. Więc wolałbym, żeby się w to nie płątała. No, idę spać.

Dick także poszedł na górę, do wielkiej sypialni z angielskimi scenami myśliwskimi na ścianach. Thompson przyniósł mu nowiutką cicho-piszącą maszynę oraz napoczętą butelkę whisky. Dick siedział całą noc w piżamie i szlafroku pracując, pijąc i paląc. Nim skończył, okna zaczęły błękitnieć od wstającego dnia i między ciężkimi zasłonami jał się wyłaniać czarny koronkowy gąszcz mokroośnieżonych koron drzew, które stały rozrzucone grupkami na rozmięklej murawie. Dick czuł w ustach niesmak przepalenia. Poszedł do łazienki ozdobionej malowidłami delfinów i pogwizdując napuścił gorącej wody do wanny. Był oczadziały i głowa mu wirowała, ale miał nowy projekt. Kiedy J.W. z dziećmi wrócił w południe z kościoła, Dick ubrany i ogolony spacerował w przenikliwym powietrzu po płytach tarasu. Oczy jakby mu ktoś wyłupywał, skronie mu pulsowały, ale J.W. był zachwycony jego projektem.

- Oczywiście samowystarczalność, niezależność, indywidualizm to hasła, które wam podsunąłem na samym początku. Ale to będzie coś więcej niż kampania reklamowa, zrobimy z tego kampanię amerykańizmu. Po lunchu poślę auto po pannę Williams, żeby nam postenografowała. Z tego można jeszcze wiele wydobyć, Dick.

- Jasne - odparł Dick czerwieniejąc. - Ja tylko przywróciłem pańską pierwotną koncepcję, J.W.

Do lunchu zasiadły z nimi dzieci i Dick miał wiele uciechy wyciągając je na rozmówki i opowiadając im o królikach, które jako mały chłopiec hodował w Jersey. J.W. promieniał. Po lunchu usunął się na drzemkę do swego gabinetu, a Dick zszedł do sali bilardowej w suterenie i grał w ping-ponga z panną Simpson, Staplem i Gertrudą, podczas gdy mały Johnny podnosił im piłeczki. Potem zabrali się z J.W. do szlifowania prospektu kampanii reklamowej, tak by panna Williams mogła go przepisać na czysto. Siedzieli we troje przed kominkiem w ferworze pracy, gdy w drzwiach stanął Thompson i zapytał z namaszczeniem, czy pan Moorehouse życzy sobie rozmawiać z panem Griscolemem.

- Dobrze, przełącz tutaj - odrzekł J.W.

Dick zeszytywniał w fotelu. Słyszał podniecony nosowy głos dobiegający ze słuchawki.

- Nic się nie martw, Ed - wycedził J.W. - Wypocznij porządnie, chłopcze, żebyś miał rano umysł świeży jak wiosenny wietrzyk. Będę chciał, żebyś sprawdził, czy nie ma jakichś luk w ostatecznej wersji projektu, nad którą siedzę z panną Williams od wczoraj wieczór. Wpadło mi do głowy parę nowych pomysłów. Wiesz, sen to najlepszy doradca. A ty może byś sobie pograł w piłkę? Nie ma to jak dobrze się wypocić. Sam bym dzisiaj zaliczył z osiemnaście dołków na torze golfowym, gdyby nie było tak mokro. W porządku, Ed, do zobaczenia w biurze. J.W. odłożył słuchawkę.

- Wiesz, co, Dick - powiedział. - Odnoszę wrażenie, że Edowi Griscolemowi przydałoby się parę tygodni urlopu w Nassau czy jakimś podobnym miejscu. Zaczyna zdaje się w piętę gonić. Chyba mu to zaproponuję. Był zawsze nieocenionym pracownikiem, dobrze wiesz.

- To jeden z najbłyskotliwszych umysłów na polu reklamy - przytaknęła Dick sucho. Powrócili do pracy.

Rano Dick pojechał do Nowego Jorku z J.W., ale wysiadł na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, żeby wskoczyć do mieszkania matki na Pięćdziesiątej Szóstej i zmienić koszulę. Gdy wchodził do biura, telefonistka przy centralce w hallu powitała go szerokim uśmiechem. Wszyscy byli podekscytowani sprawą Bingham. W korytarzu nadział się na niezniszczalną pannę Williams. Jej kwaśna pomarszczona staro-panieńska twarz ułożyła się w cukierkowy uśmiech.

- Pan Moorehouse prosi, żeby pan był taki dobry czekać na niego o wpół do pierwszej w hotelu Plaza. Przyjdzie na lunch z panem Binghamem.

Dick spędził przedpołudnie na załatwianiu bieżących spraw. Koło jedenastej zadzwoniła Ewelina Johnson, że chce się z nim zobaczyć. Powiedział, że może pod koniec tygodnia.

- Ależ ja jestem w gmachu - odrzekła urażonym tonem.

- A, to przyjeżdżaj na górę. Wprawdzie jestem bardzo zajęty. Rozumiesz, jak to w poniedziałki.

W jaskrawym przenikliwym świetle, bijącym od okna mimo zachmurzonego nieba, na twarzy Eweliny widoczne było napięcie. Miała na sobie szary płaszcz z nieco wytartym kołnierzem futrzanym i ciasno przylegający zmechacony szary kapelusz słomkowy o zeszlórocznym wyglądzie. Linie biegnące od jej nozdrzy do kącików ust wżynały się głębiej i ostrzej niż kiedykolwiek. Dick wstał i ujął jej obie dłonie.

- Ewelino, wyglądasz na przemęczoną.

- Mam chyba początki grypy. - Mówiła szybko. - Wpadłam tylko, żeby zobaczyć przyjazną twarz. Jestem umówiona z J.W. kwadrans po jedenastej. Myślisz, że go przekonam? Jeśli uda mi się zmobilizować dziesięć tysięcy, Shubertowie* wyasygnują resztę. Ale musi to być już, bo nasza opcja wygasa jutro. Och, tak mi już zbrzydła beczynność. Holden ma cudowne pomysły inscenizacyjne, a mnie pozostawia dekoracje i kostiumy. Jeśli to weźmie w ręce jakiś producent z Broadwayu, to położy przedstawienie. A to naprawdę wspaniała sztuka, Dick. Dick zmarszczył czoło.

- To nienajszczęśliwsza chwila. Jesteśmy dziś wszyscy bardzo zaabsorbowani.

- Nie będę ci dłużej przeszkadzała. - Stali w oknie. - Jak ty możesz znieść ten hałas przez cały dzień?

- Ależ, Ewelino, stukot nitownic to muzyka dla naszych uszu. Pobudza nas jak burza kanarki do śpiewu. Wróży koniunkturę. Jeśli J.W. posłucha mojej rady, przeniesiemy tam biuro, gdy tylko gmach zostanie ukończony.

- To do widzenia. - Wyciągnęła do niego dłoń w zniszczonej szarej rękawiczce. - Nie wątpię, że szepniesz za mną słówko. Jesteś beniaminkiem J.W.

Wyszła pozostawiając w gabinecie lekką zwiewną znajomą woń wody kolońskiej i futra. Dick ze zmarszczonym czołem przeszedł się kilka razy przed biurkiem. Ogarnął go nagle niepokój i irytacja. Postanowił wyjść, żeby łyknąć przed lunchem trochę świeżego powietrza i może jakiś kieliszek.

- Gdyby ktoś dzwonił - zapowiedział sekretarce - niech mnie próbuje łapać po trzeciej. Mam coś do załatwienia na mieście, a potem jestem umówiony z panem Moorehousem.

W windzie nadział się na J.W., który także zjeżdżał na dół, w nowym paltocie z wielkim futrzanym kołnierzem i w nowym szarym kapeluszu pilśniowym.

- Dick, jeśli się spóźnisz na lunch, skręcę ci kark. Liczę, że zawojujesz starszego pana.

- Mam wystąpić w charakterze Amora i ugodzić go strzałą prosto w serce? Od szybkiego ruchu windy Dick poczuł ucisk w uszach. J.W.

z uśmiechem pokiwał głową.

- Aha, między nami mówiąc, co sądzisz o projekcie pani Johnson wystawienia sztuki? Ewelina jest uroczą kobietą. Kiedyś były z Eleonorą wielkimi przyjaciółkami. A propos, Dick, czemu ty się właściwie nie żenisz, chłopcze?

- Z kim? Z Eweliną? Jest już mężatką.

- Tak mi się przypomniało. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Wysiedli z windy i w wirze południowego tłumy ruszyli przez halę dworca Grand Central. Nad przestronnym niebieskim sklepieniem rozstąpiły się chmury i do środka wpadały długie ukośne promienie słońca, pełne pyłków.

- Więc co myślisz o tym przedsięwzięciu teatralnym? Bo rozumiesz, gotówkę mam całą zaangażowaną na giełdzie i musiałbym pewnie wziąć pożyczkę z banku.

Teatr to zawsze ryzyko - odpowiedział Dick. - Ewelina jest wspaniałą kobietą, bardzo utalentowaną i tak dalej, ale nie wiem, jaką ma głowę do interesów. Finansowanie sztuki łączy się zawsze z ryzykiem.

- Lubię pomagać starym przyjaciółom - podjął J.W. - ale uderzyło mnie, że gdyby Shubertowie widzieli w tym interes, to sami by wystawili sztukę. Pani Johnson to oczywiście wysoce artystyczna dusza.

- Oczywiście - zawtórował Dick.

O wpół do pierwszej czekał na J.W. w hallu hotelowym, żując goździki, żeby zabić zapach trzech głębszych, które wychylił po drodze u Tony'ego. Za kwadrans pierwsza ujrzał wynurzającą się z szatni ciężką gruszkowatą sylwetkę J.W. o wyblakłych niebieskich oczach i gładkich siwoblond włosach, a obok niego wysokiego chudego mężczyznę o niechlujnej białej czuprynie spadającej na uszy i zaczesanej z tyłu w kaczki ogon. Ledwo obaj weszli do hallu, Dicka dobiegł chrypliwy apodyktyczny bas wysokiego osobnika.

- ...nigdy jednym z tych, którzy potrafią patrzeć spokojnie na niesprawiedliwość rządzącą naszym rynkiem. Mam za sobą długą walkę i z perspektywy owych siedemdziesięciu lat przyobiecanych przez biblijnych proroków człowiekowi na tym padole muszę wyznać, że walkę w znacznej mierze ukoronowaną sukcesem materialnym i moralnym. Może wynika to z mojego przygotowania w młodości do zawodu duchownego, ale zawsze uważałem, a nie jest to, drogi panie, bynajmniej pogląd odosobniony wśród czołowych ludzi interesu w naszym kraju, otóż zawsze uważałem, że sukces materialny to nie wszystko. Ważniejsza jest świadomość służenia ludziom. Dlatego właśnie przyznaję szczerze, że zasmucił i dotknął mnie do żywego ten ponury spiszek. Kto mi kradnie sakiewkę, kradnie proch i pył, ale kto by mi ukradł... Co to ja chciałem powiedzieć? Pamięć nie służy mi już tak jak dawniej... kto by mi ukradł dobre imię... A, dzień dobry. Pan Savage, prawda? Dicka zaskoczyła siła uścisku, który o mało mu nie zmiażdżył ręki. Miał przed sobą tyczkowatego starca o luźno przytwierdzonych kończynach i wielkiej kudłatej czaszce z wystającą szczęką, pod którą zwisały jak u wyzła fałdy opalonej skóry. J.W. robił przy nim wrażenie małego i potulnego.

- Miło mi pana poznać - huknął E.R. Bingham. - Często powtarzam swoim dziewczętom, że gdybym należał do pańskiego pokolenia, znalazłbym pewnie pozytywne zajęcie i zadowolenie na polu reklamy. Niestety za moich czasów trudniejsza była droga młodego człowieka wchodzącego tak jak ja w życie jedynie z zarem moralnym i przyrodzoną wiarą, którą wyssałem z mlekiem matki, że tak powiem. W tamtych latach musieliśmy dobrze wyteżać mięśnie, żeby koła nie przestały się obracać, a były to koła starych ubłoconych

wózków zaprzężonych w muły, nie koła luksusowych samochodów. Perorując gromkim głosem pan Bingham wkroczył do jadalni, gdzie go otoczyła gromadka kelnerów o bladych twarzach, wysuwając

krzesła, poprawiając nakrycia, podtykając menu.

- Bezcelowe jest podawanie mi karty, chłopcze - huknął pan Bingham na maitre d'hôtel. - Żyję podług praw natury. Zjadam tylko garść orzechów i odrobinę jarzyn, piję surowe mleko. Dajcie mi trochę gotowanego szpinaku, talerz tartej marchwi i szklankę nie pasteryzowanego mleka. Dzięki temu, moi panowie, udawszy się parę dni temu do znanego lekarza na żądanie jednego z wielkich nowojorskich towarzystw ubezpieczeniowych, wprawilem go w osłupienie. Zbadawszy mnie nie chciał wierzyć, że mam siedemdziesiąt jeden lat. Był pewien, że go nabieram. "Drogi panie - powiedział - ma pan konstytucję zdrowego czterdziestokilkuletniego sportowca". Niech pan pomaca, młody człowieku.

Podsunał Dickowi pod nos zgięte ramię. Dick szturchnął dwoma palcami napięty muskuł.

- Młot kowalski - orzekł kiwając głową. Tymczasem pan Bingham perorował dalej:

- Bo ja, widzicie panowie, praktykuję to, co głoszę, i tego samego oczekuję od innych. Z dumą mogę oświadczyć, że w całym arsenale leków i medykamentów firmowanych przez Zakłady Bingham'a i przez Towarzystwo Tężyzny Fizycznej nie ma ani jednego, który by zawierał jakiś minerał, narkotyk czy inny niebezpieczny składnik. Po wielokroć poświęcałem setki tysięcy dolarów dla wyeliminowania z naszej listy tej czy innej mikstury, którą doktor Gorman i pozostali wybitni specjaliści i specjalistki z naszych laboratoriów badawczych uznali za szkodliwą bądź groźną zgubnym nałogiem. Nasze specyfiki, jak również nasze systemy leczenia i odżywiania to remedia stworzone przez samą przyrodę, rośliny i zioła zbierane w puszczech czterech stron świata przy wykorzystaniu zarówno tradycyjnej mądrości narodów, jak i najnowszych odkryć wiedzy medycznej.

- Przepraszam, kawę będzie pan pił teraz czy później?

- Kawa to śmiertelna trucizna, tak samo jak alkohol, herbata i tytoń. Gdyby te dzisiejsze emancypantki i pięknoduchowie, do spółki z zaciętrzewionymi maniakami z akademii medycznych, którzy chcą ograniczyć prawo Amerykanów do troszczenia się samemu o własne zdrowie i dobre samopoczucie, ograniczyli swoją działalność do wyrugowania tych niebezpiecznych trucizn, które podkopują męskość młodych Amerykanów i płodność uroczych młodych Amerykanek, nie miałbym im nic do zarzucenia. Przeciwnie, uczyniłbym wszystko, żeby ich wspomagać, żeby z nimi współdziałać. Zamierzam pewnego pięknego dnia zapisać cały swój majątek na rzecz takiej akcji. Wiem, że prości ludzie w Ameryce myślą tak jak ja, bo jestem jednym z nich, urodzonym i wychowanym na farmie skromnych bogobożnych rolników. Naszym obowiązkiem jest chronić Amerykę przed szarlatanami.

- To właśnie myśl przewodnia kampanii, którą dla pana opracowaliśmy - wtrącił J.W.

Kelnerzy przynieśli akurat miseczki do opłukania palców. -- Niech mi wolno będzie stwierdzić -- powiedział J.W. wstając -- że był to uroczy lunch. Niestety będę musiał panów teraz pożegnać, bo czeka mnie dość ważne posiedzenie rady nadzorczej na mieście, ale pan Savage zna całą sprawę na wylot i potrafi wyśmienicie odpowiedzieć na ewentualne dalsze pytania. A o piątej mamy, zdaje się, spotkanie z pańskim działem handlowym. Ledwie zostali sami, pan Bingham przechylił się przez stół do Dicka.

- Młody człowieku, potrzebuję się teraz koniecznie rozerwać. Może wybrałyby się pan ze mną jako mój gość na jakieś przedstawienie. Zna pan ten wierszyk? Ciągła praca bez spoczynku zrobi z ciebie durnia, synku. Moją kwaterą główną jest Chicago, a kiedy przyjadę do Nowego Jorku, jestem zawsze zbyt zajęty, żeby gdzieś pójść. Może pan proponuje jakiś teatrzyk czy kabaret? Jestem prostym człowiekiem, chcę

iść gdzieś, gdzie chodzą prości ludzie.

Dick pokiwał głową ze zrozumieniem.

-- Zastanówmy się chwilę. Poniedziałek po południu. Będę chyba musiał zadzwonić do biura. Powinno być czynne jakieś variete. ale w tej chwili nie przychodzi mi do głowy nic prócz teatrzyków burleski.

- O to właśnie chodzi. Muzyka i młode kobiety. Mam wielki szacunek dla ciała ludzkiego. Moje córki są dzięki Bogu wspaniałymi okazami fizycznymi. Widok pięknego ciała kobiecego odpręża i koi. Chodźmy, jest pan moim gościem. Pomoże mi to podjąć decyzję w wiadomej sprawie. Między nami mówiąc, pan Moorehouse to niezwykle człowiek. Myślę, że potrafi zapewnić należytą powagę naszej kampanii. Ale nie można zapominać, że przemawiamy do prostych ludzi.

- Prości ludzie nie są już dziś tacy prości jak kiedyś, proszę pana. Lubią także trochę pieprzyku - odparł Dick pośpieszając za długim krokiem pana Bingham'a do szatni.

- Nigdy nie noszę kapelusza ani paltota, panienko, tylko ten szal - huknął pan Bingham do szatniarki. - Ma pan dzieci? - spytał Dicka, kiedy się usadowili w taksówce.

- Niestety, nie jestem jak dotąd żonaty - odrzekł Dick niepewnie i sięgnął po papierosa.

- Mógłbym być pańskim ojcem, więc nie obrazi się pan, że panu zwrócę uwagę? - Dwoma długimi sękatymi palcami pan Bingham wyjął Dickowi papierosa z ust i wyrzucił go przez okno taksówki. - Drogi panie, truje się pan narkotykami i podkopuje swoją męskość. Kiedy miałem koło czterdziestki, popadłem w poważne tarapaty finansowe. Moja wielka organizacja handlowa znajdowała się jeszcze w powijakach. Byłem ruiną człowieka, niewolnikiem tytoniu i alkoholu. Rozstałem się ze swoją pierwszą żoną, ale gdybym nawet

miał żonę, nie byłbym w stanie... spełniać wobec niej swojej małżeńskiej powinności. Aż pewnego dnia powiedziałem sobie: "Doktorze Bingham - bo przyjaciele nazywali mnie w owych czasach doktorem - czy chcesz jak dawni chrześcijanie skończyć w Mieście Zagłady*, gdzie nie uroni po tobie łyż dziewczyna ani dziecko?" I zacząłem należycie dbać o kulturę fizyczną, bo kulturę duchową, mogę śmiało rzec, miałem wyrobioną od młodości dzięki obcowaniu z klasykami oraz pamięci, którą wielu uważało za nadludzką. W rezultacie uzyskałem sukces we wszystkich swoich poczynaniach. Pozna pan pewnego dnia moją rodzinę i przekona się naocznie, ile piękna i słodyczy może gościć w zdrowym domu amerykańskim.

Nie przestał perorować nawet w teatrze, gdy już się przeciskali między rzędami do miejsc koło wybiegu dla girelasek. Nim Dick się zdążył przyzwocić usadowić, nad głowami zamigotał im szereg zadartych gołych nóg dziewczęcych, tu i ówdzie poznaczonych śladami po szczepieniu ospy. Orkiestra grzmiała i huczała, dziewczęta śpiewały, kręciły tyłkami i rozbierały się w tumanach pyłu, w zaduchu potu, pudru i szminki, w blasku ruchomego reflektora, który co chwila oświeślał siwą

głowę pana Bingham. Pan Bingham wpadł w szczególny zachwyt, kiedy jedna z girelasek pochyliła się i zagruchała w jego stronę: "Brawo, dziadziu!", po czym zaśpiewała mu przed nosem i strzeliła parokrotnie przepaską między nogami. Szturchnął Dicka łokciem i szepnął: "Weź jej numer telefonu". A kiedy dziewczyna się oddaliła, wykrzyknął kilkakrotnie: "Czuję się znowu jak młody chłopak!" W przerwie Dickowi udało się zadzwonić do panny Williams, żeby ostrzegła wszystkich przed paleniem podczas konferencji.

- Proszę powiedzieć szefowi, że stary cap uważa papierosy za gwoździe do trumny - oznajmił.

- Ależ, proszę pana! - wykrzyknęła panna Williams z naganą w głosie.

O piątej Dick chciał wyciągnąć pana Bingham z teatryku, ten się jednak uparł zostać do końca przedstawienia.

- Niech pan się nic nie martwi, poczekają na mnie - oświadczył. Po przedstawieniu, kiedy jechali taksówką do biura, zarechotał z uciechy.

- Co, przyjacielu, miło popatrzeć na dziewczuszki? Boskie są kształty ciała! Ale, mój drogi, może lepiej, żebyśmy zachowali przy sobie historię tego popołudnia. - Trzepnął Dicka z rozmachem w udo. - Nie ma to jak taki maleńki wyskok!

Podczas konferencji Zakłady Bingham gładko podpisały kontrakt. Pan Bingham na wszystko się zgadzał i w ogóle nie bardzo słuchał, co się mówi. W połowie dyskusji oświadczył, że jest zmęczony i idzie do domu spać, po czym wyszedł ziewając. Dla uzgodnienia szczegółów projektowanej kampanii zostawił niejakiego pana Goldmarka oraz przedstawiciela firmy J. Winthrop Hudson i Spółka, która mu do tej pory prowadziła reklamę. Dick nie mógł wyjść z podziwu dla spokojnego autorytatywnego sposobu, w jaki J.W. przez cały czas panował nad sytuacją.

Po konferencji Dick się upił i próbował się dobrać w taksówce do pewnej znajomej dziewczyny. Nic mu z tego nie wyszło i wrócił do pustego mieszkania czując się okropnie. Rano zasnął. Obudził go telefon z biura. Dzwoniła panna Williams, żeby spakował walizkę i kazał ją odesłać na dworzec. Ma z panem Moorehousem jechać Kongresowym* do Waszyngtonu.

- I niech mi wolno będzie panu pogratulować - dodała na zakończenie. -- Wszyscy w firmie uważają, że tylko dzięki panu uzyskaliśmy ten kontrakt. Pan Moorehouse mówi, że chyba pan zahipnotyzował pana Bingham.

- Dziękuję, to bardzo miło z pani strony - odparł Dick słodziutkim głosem.

W ekspresie mieli we dwóch z J.W. osobny przedział. Jechała z nimi również panna Williams i przez większą część drogi pracowali. Dick przez całe popołudnie umierał z pragnienia, ale nie śmiał sobie łyknąć, chociaż wioził w walizce butelkę szkockiej. Wiedział, że panna Williams by to zauważyła i nie omieszkała skomentować na swój niewinny zaborczy sposób, a J.W. i bez tego uważał, że Dick za dużo pije. Ze zdenerwowania palił papierosa za papierosem, a gdy mu zasechł język, przerzucił się na żucie gumy. Zajmował J.W. coraz to nowymi pomysłami reklamowymi, dopóki ten nie oświadczył, że czuje się nieszczególnie, i nie wyciągnął się na drzemkę. Dick wziął pannę Williams do wagonu restauracyjnego na herbatę i opowiadał jej komiczne historyjki, które kwitowała parkosyzmami śmiechu. Kiedy wjeżdżali w zadymione tunele Baltimore, Dick poczuł, że jeszcze chwila, a dostanie ataku szału i wyląduje w wyścielanej celi. Zaczęłyby pewnie opowiadać, że jest Napoleonem, zanim dojechali do Waszyngtonu, gdyby nie łyknął paru zdrowych haustów korzystając, że panna Williams poszła do toalety, a J.W. jest pochłonięty lekturą dostarczonej przez pana Bingham korespondencji między jego firmą a jego waszyngtońskim lobbystą na temat grożącej ustawy o kontroli artykułów spożywczych.

Schroniwszy się wreszcie w swoim pokoju w narożnym apartamencie, który J.W. zawsze zajmował w hotelu Shoreham, Dick nalał sobie solidną porcję whisky, żeby ją wypić spokojnie z wodą i lodem, układając przy tym dowcipną depeszę do dziewczyny, z którą był umówiony tego wieczora na kolację w Klubie Kolonialnym*. Zdążył zanurzyć wargi, gdy zadzwieczał telefon. Dzwoniła z hotelu Willard sekretarka pana Bingham, czy Dick mógłby dzisiaj zjeść kolację z nim oraz jego żoną i córkami.

- Idź koniecznie - odparł J.W. na pytanie, czy Dick nie będzie mu już potrzebny. - Ani się obejrzyj, jak

przypieczętujemy naszą

transakcję zeniąc cię z jedną z czarujących Binghamówien. Czarujące Binghamówny okazały się trzema roslymi młodymi kobietami imieniem Hygeia, Althea i Myra*, pani Bingham zaś tęgą wyblakłą blondyną o płaskiej twarzy i w okrągłych stalowych okularach. Jediną członkinią rodziny, która nie nosiła okularów i nie miała końskich zębów, była najmłodsza córka, Myra, która poszła bardziej w ojca. Jak jemu, buzia nie zamykała jej się ani na chwilę. Pan Bingham, spacerujący wielkimi krokami po pokoju, w staroświeckich dywanowych papuciach i rozpiętej koszuli, spod której wyglądał mu kawałek czerwonego flanelowego podkoszulka, przedstawił ją jako artystyczną duszę. Myra z wielkimi chichotami opowiedziała, że się wybiera do Nowego Jorku na studia malarskie. Dick, orzekła, wygląda, jakby miał również ciągoty artystyczne.

Kolacja przebiegła w wielkim zamieszaniu, gdyż pan Bingham odsyłał jedno danie po drugim, wściekał się, że kapusta jest przegotowana, a surówka z niedojrzałej marchwi, kłął i lżył kelnerów, aż w końcu posłał po kierownika. W rezultacie zdołali zjeść jedynie kartoflanę, gotowaną cebulę posypaną łupanymi orzechami laskowymi i trochę grahama posmarowanego masłem fistaszkowym, zapijając to wszystko Coca-Colą, po czym kolację przerwało zjawienie się dwóch młodych ludzi z mikrofonem, przed którym pan Bingham miał wygłosić swoją pogadankę zdrowotną nadawaną o ósmej na fali NBC*. Pan Bingham natychmiast się rozpromienił i zrobił znowu kordialny. Pani Bingham, która jakiś czas temu uciekła do sypialni chlipiąc i zatykając sobie uszy, żeby nie słyszeć rynsztokowego języka męża, wróciła z czerwonymi oczyma i flaszeczką soli trzeźwiących w ręce, w samą porę, by zostać ponownie przepędzona przez starszego pana, który huknął, że baby przeszkadzają mu się skupić przed mikrofonem. Jednakże Dickowi kazał zostać i wysłuchać do końca audycji o zdrowiu, ze wskazówkami dietetycznymi i gimnastycznymi oraz zapowiedzią dorocznego marszu przelajowego z Waszyngtonu do Louisville, urządzanego przez redakcję "Teżyzny Fizycznej", organ Zakładów Bingham, który to marsz pan Bingham miał sam prowadzić przez pierwsze trzy dni, żeby poddać młodym tempo, jak się wyraził.

Po audycji wróciły do salonu panie i panny Bingham, uszminekowane, wypudrowane, w brylantowych koleczykach, naszyjnikach z pereł i futrach z szynszyli. Zaprosiły Dicka i młodych radiowców ze sobą do Teatru Keitha, Dick się jednak wymówił pracą, którą musi skończyć. Pani Bingham kazała mu wobec tego obiecać, że ich odwiedzi w ich domu w Eurece.

- Przyjeżdżaj na miesiąc, młodzieńcze - przerwał jej gromko pan Bingham. - Zrobimy z ciebie człowieka. Przez pierwszy tydzień soczek pomarańczowy, płukanie jelit, masaże, odpoczynek. Potem cię wzmocnimy tłuczoną pszenicą, obfitością mleka i śmietanki, odrobiną boksu i biegów, długimi marszami w słońcu bez nadmiaru krępującej odzieży. Tak, zrobimy z ciebie na powrót człowieka. Wrócisz do miasta jako ten najdoskonalszy twór natury, paragon niedościgły zwierząt. Znasz te słowa nieśmiertelnego barda*? Zapomnisz o zabójczym życiu nowojorskim, które ci rujnuje zdrowie. Przyjeżdżaj, przyjeżdżaj. A teraz dobranoc. Nim skończę swoje ćwiczenia oddechowe, zrobi się pora snu. Kiedy jestem w Waszyngtonie, wstaję zawsze o szóstej i biegnę kruszyć lód w Basenie Pływowym*. A ty byś nie reflektował na małą kąpiel w przeręblu? Ma być kronika filmowa Pathego*. Byłaby to świetna reklama dla twojej firmy.

- Może innym razem - wymówił się Dick śpiesznie. W Shorehamie zastał J.W. kończącego kolację w towarzystwie senatora Planeta i pułkownika Judsona, różowutkiego jegomościa o gładkiej skórze, twarzy ropuchy i przymilnie uprzejmym sposobie bycia. Senator podniósł się od stołu i uściśnął Dickowi serdecznie dłoń.

- Myśleliśmy, że wrócisz w tygrysiej skórze, chłopcze. Jak tam, stary pajac demonstrował ci już obwód klatki piersiowej? J.W. zmarszczył brwi.

- Na razie do tego nie doszło - odparł Dick spokojnie.

- Tutaj chodzi o zasadę, panie senatorze - powiedział J.W. z nutką zniecierpliwienia, najwidoczniej podejmując wątek przerwany wejściem Dicka. - Jeśli raz pozwolimy rządowi stworzyć precedens ingerencji w sprawy rynkowe, możemy się w Ameryce pożegnać z wolnością i inicjatywą prywatną.

- Rozpocznie się czerwona tyrania na wzór rządów bolszewickich w Rosji - wtrącił z gniewną emfazą pułkownik Judson. Senator Planet się roześmiał.

- Czy to nie za ostre słowa, Joel?

- Ta ustawa ma na celu pozbawienie Amerykanów prawa do samodzielnego leczenia się. Banda leniwych urzędników państwowych i rozmaitych pociotków na synekurach będzie mogła decydować, jakiej pigułki przeczyszczającej wolno człowiekowi używać, a jakiej nie. Jak zawsze w takich wypadkach, sprawa znajdzie się w rękach maniaków i zawodowych uszczęśliwaczy ludzkości. Chyba obywatelom tego kraju przysługuje jeszcze prawo wyboru produktów, które chcą kupować? To policzek dla inteligencji Amerykanów.

Senator przechylił filiżankę, żeby wysączyć z dna resztkę wieczornej kawy. Dick zauważył, że panowie piją brandy z pękatych kieliszków.

- No cóż - odrzekł powoli senator - może to i prawda, co panowie mówicie, ale ustawa cieszy się znacznym poparciem społecznym, więc chyba sami rozumiecie, że nie mam w tej sprawie wolnej ręki. Muszę się liczyć z życzeniami wyborców i...

- Moim zdaniem - przerwał pułkownik Judson - cała ta heca z kontrolą artykułów spożywczych i

medykamentów to typowe ustawodawstwo kasowe na usługach profesji lekarskiej. Oczywiście doktorzy nie mieliby nic przeciwko temu, żebyśmy ich się radzili przed każdym zakupem szczoteczki do zębów czy torebki lukrecji.

- Wzrost produkcji naukowo opracowanych specyfików - podjął przerwana myśl J.W. - ma na celu zapewnienie samowystarczalności i swobody zwykłym ludziom, umożliwienie im leczenia drobnych dolegliwości bez uciekania się do pomocy doktorów. Senator dopijał w milczeniu brandy.

- Bowie - powiedział pułkownik Judson sięgając po flaszkę, żeby mu dolać - wiesz równie dobrze jak ja, że prości ludzie w twoim stanie bynajmniej nie życzą sobie ograniczenia swoich swobód przez nieproszone waszyngtońskie reformatorów. A my ze swej strony mamy pieniądze i organizację, żeby ci wydatnie pomóc w najbliższych wyborach. Pan Moorehouse dla upowszechnienia prawdy o lekach gotowych rozpoczyna właśnie zarówno w okręgach miejskich, jak i wiejskich, jedną z największych kampanii reklamowych w dziejach Ameryki. Poruszy potężną falę opinii publicznej, z którą Kongres będzie się musiał liczyć. Nie pierwszy raz to robi.

- Wspaniała brandy - odezwał się senator. - Stary armaniak jest od lat moim ulubionym trunkiem. - Odchrząknął, wziął cygaro z pudełka stojącego pośrodku stołu, zapalił je bez pośpiechu. - Spotykam się ostatnio z uporczywą krytyką, oczywiście ze strony nieodpowiedzialnych elementów, za moje, jak to określają, reakcyjne powiązania z wielkim kapitałem. Znacie panowie tę demagogiczną retorykę.

- Właśnie w takim momencie najbardziej potrzebne człowiekowi na stanowisku publicznym jest poparcie inteligentnie prowadzonej organizacji - zauważył serio pułkownik Judson. Senator Planet, z błyskiem w czarnym oku, przesunął dłonią po paśmie sztywnych czarnych włosów, które mu się zsunęło na niskie czoło, odsłaniając kawałek łysiny na czubku głowy.

- Myślę, że wszystko będzie zależało od tego, jak dalekie poparcie wchodziłoby w rachubę - powiedział wstając od stołu. - Rozumieją

panowie, gra sił.

Pozostali panowie wstali także. Senator strząsnął popiół z cygara.

- Potęga opinii publicznej, panie senatorze - oświadczył uroczyście J.W. - Oto czym dysponujemy.

- Musi mi pan wybaczyć, ale mam jeszcze do przygotowania parę przemówień. Kolacja była wspaniała. Dick, wpadnij koniecznie któregoś wieczora, póki jesteś w Waszyngtonie. Bardzo nam ciebie brak przy naszych wieczornych posiłkach. Dobranoc, Joelu, do jutra. Lokaj J. W. podał senatorowi futro.

- Pan Bingham jest silnie ożywiony duchem obywatelskim - powiedział znacząco J.W. - Gotów jest przeznaczyć na to bardzo okazałą sumę.

- Tak, to będzie konieczne - odparł senator. Gdy drzwi się za nim zamknęły, pozostali panowie siedzieli przez chwilę w milczeniu. Dick nalał sobie kieliszek armaniaku.

- Pan Bingham może się nie martwić - odezwał się pułkownik Judson. - Ale będzie go to słono kosztowało. Bowie i jego kompania próbują po prostu podbić stawkę. Czytam w ich myślach jak w otwartej książce. Rozumie pan, nie darmo siedzę w Waszyngtonie od piętnastu lat.

- To absurdalne i upokarzające, żeby uczciwa firma musiała się uciekać do takich środków - oburzył się J.W.

- Jasne, wyjął mi pan to z ust. Jeśli pan jest ciekaw mego zdania, Ameryce potrzeba silnego człowieka, który by posłał na grzybki tych wszystkich polityków. Już ja ich dobrze znam. Ale ta dzisiejsza kolacyjka bardzo nam się opłaci. Stanowi pan nowy element sytuacji. Wniósł pan cenną aurę szacowności. No, ja muszę uciekać. J.W. stał już koło stołu z wyciągniętą dłonią. Twarz miał białą jak papier.

- Dobranoc - powiedział pułkownik Judson. - Może pan zapewnić swego klienta, że ta ustawa nigdy nie przejdzie. Życzę dobrego odpoczynku. Dobranoc, panie kapitanie.

Równoczesnym gestem obu dłoni pułkownik Judson klepnął J.W. i Dicka kordialnie po ramionach i nie wyjmując cygara, z szerokim uśmiechem wysunął się z pokoju. Został po nim obłok cuchnącego niebieskiego dymu. Dick obrócił się do J.W., który opadł na czerwony pluszowy fotel.

- Czy pan się dobrze czuje?

- To tylko lekka niestrawność - odrzekł J.W. słabym głosem, z twarzą wykrzywioną bólem i dłońmi zaciśniętymi na poręczach fotela.

- Myślę, że powinniśmy się obaj kłaść - powiedział Dick. - Ale może warto by wezwać rano lekarza, żeby pana porządnie zbadał?

- Zobaczymy. - J.W., z zamkniętymi oczami, mówił z trudem. - Dobranoc.

Ledwo Dick zasnął, poderwało go stukanie do drzwi. Poszedł otworzyć na bosaka. Był to Morton, wiekowy angielski lokaj J.W.

- Przepraszam, że pana budzę - powiedział swoim londyńskim akcentem. - Niepokoję się o naszego pana. Jest u niego doktor Gleason. Obawiam się, że to atak serca. Ma okropne bóle, proszę pana. Dick narzucił fioletowy jedwabny szlafrok, wsunął pantofle ranne i pobiegł do salonu, gdzie napotkał wychodzącego lekarza.

- To pan Savage, panie doktorze - przedstawił lokaj. Doktor miał siwe włosy, siwe wąsiki i złowróżbną

minę. Spojrzał Dickowi groźnie w oczy.

- Pan Moorehouse musi zachować przez parę dni absolutny spokój

- oświadczył. - To bardzo lekki atak anginy pectoris, tym razem niegroźny, ale wskazane jest kilka miesięcy całkowitego odpoczynku. Powinien się poddać dokładnym badaniom, niech pan go rano do tego nakłoni. Jeśli dobrze rozumiem, jest pan współnikiem pana Moorehouse'a? Dick oblał się rumieńcem.

- Tylko jednym z jego współpracowników.

- Tak czy inaczej, niech pan mu zdejmie z barków, ile pan może. Dick pokiwał głową. Wrócił do swego pokoju i przez resztę nocy przewracał się z boku na bok nie mogąc zasnąć. Kiedy rano poszedł odwiedzić J.W., zastał go siedzącego w łóżku, podpartego poduszkami. J.W. miał bladą wymiętą twarz i sińce pod oczami.

- Najadłem się strachu, Dick.

Głos miał taki słaby i drżący, że niewiele brakowało, a Dickowi zakręciłyby się łyzy w oczach.

- A jakiego strachu pan nam napędził.

- Wiesz, Dick, będę ci chyba musiał zwalić na głowę kampanię Binhgama i parę innych spraw. Zastanawiam się, czy nie powinienem przekształcić całej struktury firmy. Co byś powiedział na firmę Moorehouse, Griscolm i Savage?

- Uważam, że zmiana nazwy byłaby błędem. Firma J. Ward Moorehouse to już niemal instytucja narodowa. J.W. musiał co chwila odchrząkiwać, ale jego głos brzmiał teraz trochę silniej.

- Może masz rację, Dick. Chciałbym jeszcze trochę pożyć, żeby wyprowadzić swoich chłopców na ludzi.

- O zakład, że jeszcze będzie się pan musiał wystróić w cylinder na mój pogrzeb. A w ogóle mógł to być tylko ostry atak niestrawności, tak jak pan początkowo myślał. Nie wolno poprzestawać na opinii jednego lekarza. Co by pan powiedział na małą przejażdżkę do kliniki braci Mayo*? Potrzeba panu pewnie tylko drobnego przeglądu. Uszczelnienia zaworów, oczyszczenia karburatora, takich rzeczy. A propos, byłoby chyba niewskazane, aby pan Bingham się dowiedział, że reklamę jego ukochanych specyfików ma prowadzić pętał zarabiający zaledwie piętnaście tysięcy rocznie. J.W. roześmiał się słabo.

- Pomyślmy o tym. Na razie uważam, że powinieneś niezwłocznie wrócić do Nowego Jorku, zając się biurem. My z panną Williams będziemy tutaj pilnować interesów. Ona ma swoje humory, ale to skarb, powiadam ci.

- Nie lepiej, żebym tu został, przynajmniej dopóki pana nie obejrzy jakiś specjalista?

- Doktor Gleason nafaszerował mnie narkotykami, tak że czuję się teraz całkiem znośnie. Zresztą zadeszowałem już do mojej siostry, Hazel, która jest nauczycielką w Wilmington. Z nią jedną z rodziny utrzymuję bliższe kontakty, odkąd umarli rodzice. Przyjedzie tu po południu. Ma akurat ferie świąteczne.

- Czy Morton przyniósł panu ranne notowania?

- Kolosalna hossa. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale wiesz co, Dick, postanowiłem się wyprzedać i zawiesić na kołku spekulacje giełdowe, przynajmniej na jakiś czas. Nie masz pojęcia, jak takie doświadczenie podcina człowiekowi skrzydła.

- Przejął się pan krakaniem Paula Warburga*? - spytał Dick.

- Może to po prostu starość - odrzekł J.W.

Zamknął na chwilę oczy i Dick miał wrażenie, że twarz oplotła mu nagle sieć szarosinych zmarszczek.

- Niech pan się niczym nie przejmuje - powiedział i wyszedł na palcach z pokoju.

Złapał ekspres o jedenastej i zdążył w samą porę, żeby zrobić porządki w biurze. Mówił wszystkim, że J. W. ma lekką influencę i musi poleżeć parę dni w łóżku. Nagromadziło się tyle spraw, że dał swojej sekretarce, pannie Hilles, dolara na kolację i polecił jej wrócić o ósmej. Sam kazał sobie przysłać z garmazerii parę kanapek i karton kawy. Nim wszystko załatwił, zrobiła się północ. W pustym korytarzu słabo oświetlonego gmachu spotkał dwie zmęczone stare kobiety, które z wiadrami i szczotkami do szorowania szły sprzątać biuro. Nocny

windziarz był też stary i miał ziemistą cerę. Na dworze spadł śnieg, który się zamienił w bryję nadając Lexington Avenue brudny rozjeżdżony wygląd ulicy miasta widma. Kiedy Dick skręcił w górę Manhattanu, po twarzy i uszach smagnął go tnący wiatr. Przypomniało mu się mieszkanie na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy, pełne mebli mamusi, połączanych krzeseł w salonie, przygnębiających sprzętów, które pamiętał od wczesnego dzieciństwa, z "Jeleniem osaczonym" i szychami Forum Romanum w jego pokoju, z klonowymi łóżkami o słojach w kształcie ptasich oczek. Brnąc pod wiatr widział to wszystko tak wyraźnie, jakby tam był. Ponury dom, nawet gdy jest mamusia, a już gdy wyjedzie do St. Augustine, wręcz przerażający.

- Niech to wszyscy diabli - zaklął w duchu. - Najwyższy czas się dorobić i jakoś urządzić sobie życie.

Wsiadł w pierwszą napotkaną taksówkę i pojechał do Sześćdziesiątki Trójki. Było tu ciepło i przytulnie. Odbierając od niego palto i szalik platynowowłosa szatniarka podjęła kunsztowne przekomarzanie prowadzone z nim przez całą zimę na temat rzekomej obietnicy Dicka zabrania jej do Miami i wygrania dla niej fortuny na wyścigach w Hialeah*. W drzwiach Dick przystanął na chwilę rozglądając się po niskiej sali pełnej starannie uczesanych głów, stolików, szkła, dymu papierosowego wirującego na tle różowych lamp. Zobaczył czarną grzywkę Pat Doolittle siedzącej w łożu z Reggie i Jo. Zacierając ręce podbiegł do niego włoski kelner.

- Dobry wieczór panu. Brakowało nam pana.
- Byłem w Waszyngtonie.
- Zimno tam?
- Tak sobie - odparł Dick wsuwając się na czerwoną skórzaną kanapkę obok Pat.
- No, no, patrzcie, kto się zjawił - powiedziała. - Myślałam, że siedzisz pod kopułą Kapitolu pochłonięty planami zatruwania umysłów prostych Amerykanów.
- Jeśli chodzi o trucie, to chętnie bym podtruł niektórych kongresmanów z zachodnich stanów - odrzekł Dick. Reggie wyciągnął dłoń.
- Możemy sobie podać ręce, Aleksie Borgio. Jesteś pewnie na kukurydźoweczce, skoro się obracałeś wśród naszych ojców zakazywaczy.
- Nigdy nie gardzę kukurydźówką. Zmęczony jestem, kochani. Muszę coś przekąsić. Nie jadłem kolacji, idę prosto z biura. Reggie robił wrażenie solidnie wstawionego, Pat również. Jo była wyraźnie trzeźwa i wściekła. Muszę ich pogodzić, pomyślał Dick i objął Pat ramieniem.
- Dostałaś moją depezę? - zapytał.
- Turlałam się ze śmiechu - odrzekła Pat. - Miło cię powitać z powrotem w towarzystwie pijących.
- Słuchaj, Dick - odezwał się Reggie - jest coś w tej plotce, że stary ledwo zipie?
- J.W. miał ostry atak niestrawności, ale czuł się już lepiej, kiedy wyjeżdżałem - odparł Dick tonem, który jemu samemu zabrzmiał zbyt oficjalnie.
- Niepicie zawsze się w końcu zemści - powiedział Reggie. Dziewczęta się roześmiały. Dick wychylił jedną po drugiej trzy kukurydźówki, ale jakoś nic go nie podochociły. Był skonany i głodny. Mało nie wykręcił sobie szyi rozglądając się za kelnerem, żeby spytać, co u licha z tym jego filet mignon*. Raptem usłyszał, jak Reggie cedzi:
- J. Ward Moorehouse to już nie człowiek, to instytucja. Trudno się zbyt rozczulać, kiedy zachoruje instytucja. Dick poczuł, jak krew mu uderza do głowy.
- J.W. to jeden z sześćdziesięciu najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Pomijając już fakt, że bierzesz jego pieniądze, Reggie.
- Rany Boskie! - wykrzyknął Reggie. - Zebrało się facetowi na kazanie. Pat obróciła się ze śmiechem do Dicka.
- Strasznie zasadniczy zrobiłeś się w tym Waszyngtonie.
- Nonsens, dobrze wiecie, że lubię żarty niemniej niż wy. Ale kiedy zachoruje ktoś taki jak J.W., który, może wam się to podobać lub nie, zrobił więcej niż ktokolwiek dla ukształtowania opinii publicznej kraju, uważam, że sztubackie żarty są w cholernie złym guście. Reggie był ululany. Zaczął niezbyt udatnie udawać Południowca.
- Rety, nie wiedziałem, żeś, bratku, pan Moorehouse we własnej osobie. Myślałem, żeś taki sam najemny łachmyta jak my wszyscy, nieboraki. Dick czuł, że powinien zamilknąć, ale nie mógł się pohamować.
- Może wam się to nie podobać, ale kształtowanie opinii publicznej to dla Ameryki jedna z najżywniejszych kwestii. Handel byłby bez tego w nielichych opałach. Choćbyście najbardziej dezaprobowali politykę amerykańskiej finansjery, jest ona takim samym faktem jak istnienie Himalajów i nie zmienia tego żadne śmichy chichy. Jedyne działanie poważnych agencji reklamowych chroni przedsiębiorców przed zakusami niepoczytalnych maniaków i demagogów, którzy tylko patrzą, jakby wsadzić łom w tryby maszyny przemysłowej.
- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołała Pat.
- Pierwsza byś podniosła krzyk, gdyby ci się urwały dochody z listów zastawnych twego ojca - zauważył kosztownie Dick.
- Senatorze - zaczął przemowę Reggie podbudowany jeszcze jednym cocktailem staromodnym - niech pan sobie pozwoli pogratulować, tak, na honor i sumienie, niech pan sobie pozwoli pogratulować nieoszacowanych zasług dla naszego potężnego kraju, który się rozpościera od niezmiernego Atlantyku do niezmiernego Pacyfiku.
- Zamknij dziób, Reggie - powiedziała Jo. - Pozwól mu zjeść spokojnie.
- Słowo daję, zebrało ci się na bogoojczyźniane kazania, Dick - odrzekła Pat. - Ale między nami mówiąc, masz trochę racji.
- Trzeba być realistą - odparł Dick.
- Zdaje się - powiedziała Pat Doolittle odrzucając głowę ze śmiechem - że starszy pan szarpnął się wreszcie na tę podwyżkę dla ciebie.
Dick mimo woli przytaknął pokazując zęby w uśmiechu. Po zjedzeniu poczuł się od razu lepiej. Zamówił jeszcze jedną kolejkę, po czym ją wszystkich ciągnął do Harlemu, żeby pohasać trochę w Raju Małego*. Jest zbyt zmęczony, żeby iść do łóżka, tłumaczył, musi się odprężyć. Pat Doolittle odrzekła, że też by chętnie pojechała do Harlemu, ale nie wzięła pieniędzy.
- Ja funduję - oświadczył Dick. - Mam wypchany portfel. Pojechali z płaską flaszczką whisky w torebce każdej z dziewcząt oraz w tylnych kieszeniach Dicka i Reggiego. W taksówce Reggie i Pat śpiewali "Brander",

a Dick popijał ostro, żeby dogonić towarzystwo. Do Raju Małego schodziło się po schodkach, jakby człowiek zstępował pod wodę, między bujne wodorosty ciepłego stawu. Powietrze było gęste od piżmowego zapachu pudru, perfum, szminki oraz sukien Mulatek i pulsowało jak żywe ciało równo odmierzonym dyszeniem jazzbandu. Dick i Pat ruszyli z miejsca w taniec, ciasno ze sobą spleceni. Zdawali się sunąć gładko jak po maśle. Dick odnalazł jej usta, całował ją, a ona mu odpowiadała. Kiedy muzyka umilkła, zatoczyli się nieco. Z pijacką godnością wrócili do stolika. Potem orkiestra znów zagrała i Dick ruszył do tańca z Jo. Ją też zaczął całować. Odepchnęła go lekko.

- Nie powinieneś tego robić, Dick.

=- Reggie nie miałby nic przeciwko temu. Jesteśmy jedną rodziną. Tańczyli tuż obok Reggiego i Pat, uwięzieni w gęstwie drgających par.

Dick puścił dłoń Jo, położył rękę na ramieniu Reggiego.

- Reggie, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że na twoje konto pocałuję twoją przyszłą jeden jedyny razik?

- Nie krępuj się, senatorze - odparł Reggie. Język mu się plątał, Pat z trudem utrzymywała go na nogach. Jo rzuciła Dickowi mordercze spojrzenie i tańczyła do końca z odwróconą twarzą. Gdy tylko wrócili do stolika, oznajmiła Reggiego, że chce wracać do domu. Jest już po drugiej, a ona w odróżnieniu od innych musi być rano w pracy. Zostawszy sam na sam z Pat, Dick zaczął się do niej czulić, gdy nagle się do niego obróciła.

- Dick, kochany, zabierz mnie do jakiejś prawdziwej spelunki. Nigdy nie byłam w żadnym naprawdę zakazanym lokalu.

- Na mój rozum to wystarczająco zakazany lokal dla panienki z dobrego domu.

- Ależ tu jest przyzwoiciej niż na Broadwayu. Zresztą nie jestem panienką z dobrego domu, jestem kobietą wyzwoloną. Dick parsknął śmiechem. Śmieli się długo, potem pod to wypili i ogarnęła ich wzajemna tkliwość, aż Dick raptem spytał, czemu właściwie nie zwiążą się ze sobą na dobre.

- Jesteś wstrętny. To nie miejsce do oświadczyń. Miałabym potem do śmierci pamiętać, żeśmy się zaręczyli w Harlemie? Chcę poznać prawdziwe życie.

- Dobrze, moja panienko, zabiorę cię gdzieś. Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli się zrobi gorąco.

- Nie jestem dzieckiem - odparła Pat ze złością. - Nie wierzę już w bociana.

Dick zapłacił, po czym wykończyli rozpoczętą flaszkę. Na dworze padał śnieg. Ulice, ganki, chodniki były białe, ciche, niewinne, błyszczały w świetle latarni świeżym puchem. Dick zapytał czarnego portiera z bardzo białymi oczami o mordownię, którą znał ze słyszenia, i portier podał taksiarzowi adres. Dick czuł się teraz prima.

- Rany, Pat, klawo jest! - pokrzykiwał.

- Te szczeniaki nie umieją się bawić. Do tego trzeba być dorosłym jak my. Słuchaj, Reggie za wiele sobie pozwala, wiesz?- Pat ścisnęła mu silnie dłoń. Na policzkach miała wypieki, na twarzy wyraz napięcia. -Nareszcie coś emocjonującego.

Taksówka zatrzymała się przed nie malowanymi drzwiami, oświetlonymi gołą żarówką w aureoli płatków śniegu. Z ledwością ich wpuszczono. W środku nie było ani jednego białego. Lokal mieścił się w kotłowni urządzonej prostymi kuchennymi stołami i krzesłami. W górze, na rurach z gorącą wodą, wisiały kolorowe serpentyny. Postawna brązowa kobieta w różowej sukni, wywracająca wielkimi oczami osadzonymi luźno w ciemnych oczodołach i ściągająca kurczowo wargi, poprowadziła ich do wolnego stolika. Zapalała wyraźną sympatią do Pat.

- Chodź, kochana - powtarzała. - Że też cię dotąd nie znałam. Zapas whisky im się skończył, więc zamówili gin. Dickowi wirowało już w głowie. Nie mógł przestać mówić o tym, jaki jest cięty na tego pętaka Reggiego. Tutaj Dick go holuje od roku w biurze, a ten go teraz chce uczyć rozumu. Znalazł się mądrała. Jedynym instrumentem w lokalu było pianino, którego klawisze trącał Murzyn o smukłej kibici. Dick z Pat tańczyli do upadłego, Dick nią wywijał i wywijał tak, że czarne szuwaksy i podpalane burasy klaskały i wiwatowały. W końcu się potknął, puścił ją. Pat poleciała na stolik, przy którym siedziało kilka dziewczyn. Czarne głowy pojechały do tyłu, różowe gumowe wargi się rozciągnęły, usta otworzyły. Spomiędzy białych i złotych zębów dobył się pisk.

Pat tańczyła z ładną bladą Mulatką w żółtej sukience. Dick tańczył z brązowym chłopakiem o miękkich dłoniach, wbitym w obcisłe ubranie tego samego koloru co jego skóra. Chłopak szeptał mu do ucha, że jest

Glorią Swanson*. Nagle Dick wyrwał się chłopakowi, podszedł do Pat i odciągnął ją od dziewczyny. Zamówił dla wszystkich kolejkę, która przywróciła uśmiechy na skwaszonych twarzach. Miał kłopot z włożeniem Pat futra, ale bardzo mu pomogła postawna kobieta.

- No, no, kochana - powtarzała - dość picia na dzisiaj. Musisz dbać o śliczną buzię.

Dick ją uściskał i dał jej banknot dziesięciodolarowy. W taksówce Pat dostała hysterii. Więził ją w objęciach, bo chciała otwierać drzwiczki i skakać w śnieg, a ona go okładała i gryzła.

- Wszystko musisz zepsuć. Myślisz tylko o sobie - piszczala. -Nigdy niczego nie doprowadzisz do końca.

- Ależ, Pat, słowo daję, uważałem, że dosyć tego dobrego - bąkał. Kiedy taksówka się zatrzymała przed wielką kamienicą na Park Avenue, Pat już tylko szlochała na jego ramieniu. Dick wpakował ją do windy, a

potem długo całował w hallu na górze, nim jej pozwolił wsunąć klucz do zamka. Stali na chwiejnych nogach uczepli siebie, przywarci ciałami przez ubrania, aż Dick usłyszał zgrzyt ruszającej windy, otworzył drzwi do jej mieszkania i wepchnął Pat do środka. Wyszedszy na ulicę zastał czekającą taksówkę. Zapomniał zapłacić taksiarzowi. Nie mógł znieść myśli o powrocie do domu. Nie czuł się pijany, tylko niezmiernie pewny siebie, chłodny, niewinnie podekscytowany. Patrycji Doolittle nienawidził jak nikogo w świecie.

- Suka - powtarzał na głos.

Przyszło mu do głowy, jak byczo by było wrócić do tej mordowni, zobaczyć, co tam się dzieje. I już się znajdował w objęciach postawnej kobiety, która go obcałowywała, tuliła do drgających piersi i nazywała swoim kochanym synkiem, z butelką w ręku nalewał wszystkim gin, tańczył policzek w policzek z Głorią Swanson, która mu nuciła do ucha: "Czy dasz mi zaraz teraz, czy każesz czekać". Było rano. Dick wołał, że zabawa nie może się skończyć, wszyscy muszą z nim iść na śniadanie. Ale towarzystwo gdzieś zniknęło, wsiadał do taksówki z Głorią i barczystym szuwaksem, którego Gloria przedstawiła jako swoją przyjaciółkę Florencję. Nie mógł potem ani rusz trafić kluczem do zamka. Potknął się i poleciał w błękitne światło sączące się przez koronkowe firanki mamusi. Coś bardzo miękkiego pacnęło go w tył głowy.

Obudził się rozebrany we własnym łóżku. Był biały dzień. Dzwonił telefon. Niech sobie dzwoni. Usiadł na łóżku. W głowie mu się kręciło, ale nie miał młodości. Sięgnął do ucha i stwierdził że dłoń jest cała we krwi. Musieli go zdzielić pończochą z piaskiem. Spróbował się podnieść. Nogi miał miękkie, ale jakoś chodził. Głowa łupnęła go jak jasny gwint. Sięgnął na stolik, gdzie zawsze kładł zegarek. Zegarka nie było. Ubranie wisiało porządnie na krześle. Portfel znalazł w kieszeni, ale paczka banknotów zniknęła. Usiadł na brzegu łóżka. Idiota skończony. Nigdy, nigdy więcej takiej lekkomyślności. Znają teraz jego nazwisko, adres, telefon. Szantaż, o, Boże! Co będzie, jak z Florydy wróci mamusia i dowie się, że jej synalek, młodszy wspólnik firmy J. Ward Moorehouse, z pensją dwudziestu pięciu tysięcy rocznie, jest szantażowany przez dwóch czarnych pedziów, męskie prostytutki obsługujące mężczyzn? Rany Boskie! A Pat Doolittle i Binghamówny? Złamię mu to karierę. Prze-mknęło mu przez myśl, czyby nie pójść do kuchenki i nie otworzyć gazu. Wziął się w garść, zrobił sobie kąpiel. Potem ubrał się starannie, nałożył palto, kapelusz i wyszedł. W witrynie jubilera na Lexington Avenue była dopiero dziesiąta. W głębi wystawy znajdowało się lustro. Dick się przejrzał. Nie wygląda tak źle, później będzie gorzej. Musi się tylko ogolić i zrobić porządek z krwią zakrzepłą na uchu. Nie miał ani centa, ale została mu książeczka czekowa. Doszedł do łaźni tureckiej koło dworca Grand Central. Łazienki zaczęły z niego pokpiwać, w jaką to się wdał bójkę. Dickowi przeszedł już trochę strach, więc odpowiedział przechwałkami, jak urządził tamtego faceta. Przyjęli

od niego czek, sprokurowali mu nawet klina do wypicia przed śniadaniem. Kiedy dotarł do biura, głowa mu ciągle pękała, ale poza tym czuł się znośnie. Musiał tylko pamiętać, żeby nie wyjmować rąk z kieszeni, bo panna Hilles na pewno by zauważyła, jak mu drżą. Dzięki Bogu, nie miał przed południem żadnych listów do podpisu. Przyszedł Ed Griscolm, usiadł na jego biurku i zaczął rozmowę o zdrowiu J.W. i kampanii Bingham. Dick był dla niego słodki jak miód. Ed nie omieszkał się pochwalić propozycją, jaką otrzymał od Halseya, na co Dick odrzekł, że oczywiście nie może mu nic radzić, lecz jeśli o niego samego chodzi, to siedzi akurat na tym jedynym stołku w Ameryce, na którym chce siedzieć, szczególnie teraz, gdy się zanoszą na wielkie sprawy, o czym właśnie długo rozmawiali z J.W. w drodze do Waszyngtonu.

- Niewątpliwie masz rację - odparł Ed. - Ale nie obyło się pewnie i bez gorzkich pigułek? Dick wstał z za biurka.

- Słowo daję, Ed. Nie myślisz chyba, że J.W. nie ceni wysoko twojej pracy? Napomknął coś o podwyżce.

- Dziękuję, żeś się za mną wstawił, bracie - odrzekł Ed i uściśnął mu serdecznie dłoń. Na wychodnym obrócił się i powiedział: - Aha, Dick, chciałbym, żebyś zmył głowę temu młodemu Talbotowi. Wiem, że to twój przyjaciel, więc wolałbym się w to nie wtrącać, ale, rany Boskie, znów dzisiaj zadzwonił, że ma influencję i musi zostać w łóżku. Trzeci raz w tym miesiącu. Dick zmarszczył brwi.

- Nie wiem, co z nim robić, Ed. Sympatyczny z niego chłopiec, ale jeśli się nie weźmie solidnie do roboty, to... to będziemy musieli go chyba zwolnić. Fakt, że jest dobrym kompanem do kieliszka, ale to nie powód do przemykania oczu na niedociągnięcia w biurze. Ci młodzi w ogóle za dużo piją.

Po wyjściu Eda Dick znalazł na biurku dużą fiołkową kopertę z adnotacją: "Do rąk własnych". Kiedy ją odpieczętował, rozszedł się silny zapach perfum. Było to zaproszenie na nowosiedliny Myry Bingham w atelier koło Central Parku. Nim skończył czytać, rozległ się telefon od panny Hilles.

- Dzwoni pan Henry B. Furnace z firmy Furnace i Spółka. Mówi, że musi się bezzwłocznie porozumieć z panem Moorehousem.

- Niech pani go połączy ze mną. Ja się z nim rozmówię. Aha, i niech pani wpisze do mego terminarza przyjęcie u panny Myry Bingham. Piętnastego stycznia, godzina piąta, Central Park South 36.

KRONIKA LXVIII

OSŁUPIENIE NA WALL STREET

To już nie śmieszny stary samowarek,

To nowoczesna lokomotywa.

W Center nastawiać będą zegarek

RYNEK Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ OTRZAŚNIE SIĘ PO KRACHU

Spadek liczby umów

POLICJA W COLORADO OTWORZYŁA OGIEŃ Z KARABINÓW MASZYNOWYCH DO STRAJKUJĄCYCH GÓRNIKÓW PIĘCIU ZABITYCH, CZTERDZIESTU RANNYCH

sympatycy zjawili się dokładnie w chwili, gdy z budynków zaczęły się wylewać na przerwę obiadową tysiące biuralistów. Kiedy rozwinęli transparent i rozpoczęli swój chaotyczny przemarsz z jednej strony w drugą, towarzyszyły im gwizdy i krzyki nie tylko urzędników, lecz także robotników wznoszących w pobliżu gmach

ZARYSOWUJĄ SIĘ NOWE METODY SPRZEDAŻY

w oczekiwaniu na pontony ekipy ratowniczej
próbują podnieść niefortunny statek

*Spojrzał na swego czarnego palacza,
" Węgla - powiedział - pod kocioł wal śmiało.
Szlak się za Górą Białych Dębów stacza,
Parowóz szybkość rozwinie całą ".*

Uważam pańską rubrykę za interesującą i pragnę zasięgnąć pańskiej porady. Mam zaoszczędzone cztery tysiące dolarów, które chciałbym korzystnie zainwestować. Czy uważa pan za wskazane lokowanie ich w papierach wartościowych?

RUSZAJĄC Z DRŻENIEM W OSTATNIĄ DROGĘ, ZABÓJCA POLICJANTA WYRZUCA PAPIEROSA

AGENCJE TEATRALNE OGNIWEM HANDLU
BIAŁYMI NIEWOLNICAMI

kochliwy adwokat usunięty z palestry

*Prawicowi włókniarze,
Socjaliści kanciarze,
Rychło ich robociarze
Prześwięcą.*

*Żądają socja-lizmu,
Zmierzają do fa-szyzmu,
Na rzecz kapita-lizmu
Coś kręcą.*

KONGRES MOSKIEWSKI USUWA OPOZYCJĘ

*Z Lynchburga do Danville tor pnie się kręto
Serpentynami po stromym stoku.
Na tym wzniesieniu utracił przeciętną,
Więc do nowego sprzężył się skoku.*

MORDERCZE NAJŚCIE ZBIRÓW ZE STRAŻY FABRYCZNEJ

oto najdrastyczniejszy przykład tego, jak ideologia burżuazyjna łamie w krytycznym momencie solidarność klasową, przemieniając wczorajszego przyjaciela klasy robotniczej w dzisiejszego nędznego chwalcę imperializmu

CZERWONI UKARANI GRZYWNĄ ZA PIKIETOWANIE NA NASZYM TERENIE

*Całujemy dziecińcy,
Do roboty pędzimy*

WŁADZE MAJĄ NADAL NADZIEJĘ NA URATOWANIE LUDZI

*Mil dziewięćdziesiąt rozwijał od nowa,
Aż nagle włączył gwizdek alarmowy...
W rozbitym wraku jeszcze hamował,*

RADYKAŁOWIE POBILI SIĘ KRZESŁAMI
NA MITYNGU JEDNOŚCI

POLICJA OCHRONIA CZERWONYCH
FEDERALNA IZBA HANDLOWA WZYWA DO UFNOŚCI

PRAWDZIWE WARTOŚCI NIENARUSZONE

*My na panów tyramy,
Dzieci płaczą do mamy.
Ledwie starczy dochodu
Na opędzenie głodu.*

PREZYDENT PRZEPOWIADA KONIUNKTURĘ

*Za co odziać rodzinę?
Co na czarną godzinę?*

WALEC PAROWY W AKCJI PRZECIWKO BOJOWCOM

GÓRNICY WALCZĄ Z ŁAMISTRAJKAMI

*Nasza płaca jest taka,
Że smyk nie zna lizaka.*

*A więc, ludu roboczy,
Niechaj walka się toczy!
Bój dla dziatwy o strawę
To bój o świętą sprawę.*

ROZEBRZMIAŁ CARILLON NA WIEŻY ŚPIEWAJĄCEJ

Prezydent oświadczył, że trudno pomyśleć o wprowadzanych dobrodziejstwach powszechnych bez uśmiechu nad obawami tych, którzy jeszcze nie tak dawno wyrażali poważny niepokój, czy nasz kraj nie dostanie się pod kontrolę kilku osobników o kolosalnych fortunach

ODŚWIĘTNE TŁUMY PRZYBYŁY NA UROCZYSTOŚĆ

spełniając marzenie małego imigranta, Prezydent uczestniczył dzisiaj w uroczystym otwarciu rezerwatu ptasiego i grającego carillonu na maleńkiej wysepce, umiejscowionej jak zielony klejnot na jeziorze, w którym się przegląda Wieża Śpiewająca

OKO KAMERY (51)*

w mroku wzgórz u szczytu doliny na popękanej podłodze koślawej rudery półleży półsiedzi mężczyzna podtrzymywany przez starą kobietę i dwie pomarszczone dziewczyny podobno młode w piecu migocą węgielki grają światełkami na jego twarzy białej i obwisłej jak ciasto wyjęte z dzieży pozostawiają w cieniu wpadnięte usta napięte gardło brzuch wzdęty do olbrzymich rozmiarów od rany odniesionej przy pracy na kopalnianym wywrocie

bosa dziewczyna przynosi mu wody w cynowym kubku kobieta obciera brudnym drelichowym rękawem pot ciekący strumyczkami po twarzy w jego źrenicach rozszerzonych gorączką migoce blask ognia zapala się w przerażonych oczach kobiety na poblądłych twarzach obcych

w dolinie zamkniętej wzgórzami oniemiałymi strajkiem mężczyzna umrze bez pomocy (mój ojciec umarł wiemy co to patrzeć na umierające-go) kobiety go ułożą na rachitycznym wyrku górnicy go pogrzebią w więzieniu jest jasno zbyt gorąco syczy para w radiatorach rozmawiamy przez zielonomalowane żelazne kraty z wysokim siwowąsym mężczyzną w starszym wieku z paroma uśmiechniętymi górnikiem w koszulach z chłopakiem twarze białe od pracy pod ziemią pokrywają się już więzienną szarością cóż my obcy możemy powiedzieć umarłym? cóż my obcy możemy powiedzieć uwięzionym? agitator partii politycznej mówi szybko przez kraty wstąpcie do naszego związku będziecie mieli zapewniony tytoń słodczyce poparcie nasi adwokaci będą was bronili przed sądem na mityngach mówcy będą wykrzykiwali wasze nazwiska pikietujący będą je obnosili wypisane na transparentach aresztanci wzruszają ramionami uśmiechają się blado wymieniamy z nimi spojrzenia przez kraty cóż mogę im powiedzieć? (na innym kontynencie widziałem za butami obdartego strażnika twarze wyglądające przez zakratowane okienka sutereny widziałem kulejących więźniów pędzonych przed świtem ulicą wlokących się między bagnetami słyszałem salwę

widziałem trupy leżące w tamtych odległych głębszych dolinach) cóż możemy powiedzieć uwięzionym?

stoimy pod ścianą w gabinecie przedstawiciela prawa prawo jest postawnym mężczyzną o dużej

puciołowatej twarzy który siedzi i patrzy na nas nieproszonych gości gniewnymi oczyma przez drzwi zaglądają jego ludzie z karabinami to oni pilnują kopalni nie dopuszczają górników do kuchni po waserzupkę blokują drogę w górę doliny oni najemnicy z karabinami gotowymi do strzału (to oni zrobili z nas cudzoziemców w kraju w którym się urodziliśmy oni są armią okupacyjną która niepostrzeżenie opanowała naszą ojczyznę oni cichcem obsadzili szczyty wzgórz oni nakładają myta oni strzegą dostępu do szybów pilnują lokali wyborczych asystują gdy komornicy wynoszą na ulicę rzeczy rodzin eksmitowanych z wielkomięjskich czynszówek gdy bankierzy zajmują zadłużone farmy oni czatują w zasadzce gotowi do strzału gdy strajkujący maszerują ze sztandarem pod górę wijącą się drogą do kopalni oni pakują do więzień tych których nie dosięgły kule)

prawo mierzy nas zza biurka gniewnymi oczami na twarz występują mu plamy czerwone jak korale indora do głowy uderza siła karabinów maszynowych strzelb z odpiłowanymi lufami gazów łzawiących i wymiotnych władza nakarmienia cię lub zagłodzenia

siedzi niedbale za biurkiem wie że ma zabezpieczone tyły czuje się mocny poparciem prokuratora sędziego który sam jest właścicielem kopalni miejscowego kacyka dyrektora kopalni rady nadzorczej prezesa towarzystwa użyteczności publicznej szarej eminencji towarzystwa holdingowego

podnosi dłoń do telefonu

jego ludzie tłoczą się w drzwiach

my mamy tylko słowa sprzeciwu

POTĘGA, WSZECHPOTĘGA

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym agent Thomasa Edisona, który zakładał w Londynie pierwsze telefony, umieścił w kurierze inserat, że poszukuje sekretarza i stenografa. W odpowiedzi zgłosił się młody zapaleniec, który mówił cockneyem i zapuszczał bokobrody. Utracił właśnie posadę chłopca na posyłki w pewnym biurze. W wolnych chwilach uczył się buchalterii i stenografii, wieczorami stenografował pod dyktando redaktora magazynu "Targowisko próżności"*, spisywał także mowy parlamentarne dla gazet. Pochodził z abstynenckiej rodziny sklepikarskiej; próbował już twardą głową przebijać nieustępliwy mur przesądów kastowych, które chłopców z jego klasy skazywały na żywot gryziopiórków i biuralistów w al-pagowych marynarkach. Posada w firmie amerykańskiej była pierwszym szczeblem wspinaczki po drabinie prowadzącej na wyżyny.

Tak usilnie zabiegał, by się stać niezbędnym, że mu pozwolono obsługiwać centralkę przez pierwsze pół godziny po uruchomieniu telefonów. Edison zwrócił uwagę na jego cotygodniowe raporty o produkcji energii elektrycznej w Anglii

i kazał go ściągnąć na sekretarza osobistego.

Samuel Insull wylądował w Ameryce pewnego słotnego dnia marcowego w osiemdziesiątym pierwszym. Zawieziono go niezwłocznie do Menlo Parku*, gdzie go oprowadzono po skromnym kompleksie laboratoriów i gdzie zobaczył sznury żarówek jarzących się w równych odstępach nad zaśnierzonymi dziedzińcami, zasilanych przez pierwszą elektrownię w świecie. Edison zasadził go z miejsca do roboty, od której nowo przybyły nie wstał do północy. Następnego dnia stawił się w biurze o szóstej rano; dla Edisona nie istniały takie wymysły jak godziny pracy czy urlopy. Od tej chwili Insull tyrał bez przerwy do siedemdziesiątego roku życia; nie istniały dla niego takie wymysły jak godziny pracy czy urlopy. Elektryczność przemieniła mozolną wspinaczkę po drabinie społecznej we wjazd windą. Młody Insull nie ustawał w wysiłkach, by się uczynić niezbędnym Edisonowi, i stopniowo przejmował kontrolę nad jego operacjami finansowymi. Był niestrudzony, bezwzględny, niezawodny niczym przyływy i odpływy morza, jak mawiał Edison, i zdecydowany piąć się w górę za wszelką cenę.

W dziewięćdziesiątym drugim nakłonił Edisona, żeby go wysłał do Chicago na prezesa Chicagowskiego Towarzystwa Edisonowskiego. *Moja inżynieria*, oświadczył w jednym z przemówień, kiedy już czuł się na tyle królem Chicago, że mógł sobie pozwolić na luksus szczerości, *jest przede wszystkim inżynierią wyciskania, ile się da, z każdego dolara*. Był pysznym wyniosłym mężczyzną o czerwonej twarzy i krótko przyciętym wąsiku; mieszkał na Lake Shore Drive*, ale zjawiał się codziennie w biurze o siódmej dziesiąć. Piętnaście lat zajęło mu połączenie pięciu towarzystw elektrycznych w Zjednoczone Towarzystwo Edisonowskie. *Bardzo szybko się zorientowałem, że jak we wszystkich przedsięwzięciach użyteczności publicznej, tak i tutaj podstawową regułą jest działanie na zasadzie monopolu*.

Umocniwszy się w dziedzinie elektryczności, przechwycił gaz i przy-stąpił do opanowywania północnego Illinois. Przekupywał polityków, którzy mu mieszały szyki, przekupywał przywódców związkowych,

którzy mu bruździli. Jego potęga rosła niepomierne. Gardził bankierami, adwokatów uważał za najmitów. Podstawił swojego człowieka na radcę prawnego magistratu i za jego pośrednictwem trząśł Chicago. Przekonawszy się ku swemu zdumieniu, że są jeszcze w mieście ludzie nieprzekupni (i to kto? Dwóch młodych kauzyperdów, Richberg i Ickes*), postanowił urządzić przedstawienie dla zamydlenia oczu publiczności;

Wielki Bill Thompson*, Budowniczy:

prztyczka w nos królowi Jerzemu,
polowanie na ryby wspinające się po drzewach,
Opera Chicagowska*.

Było to aż nazbyt łatwe; publika miała pieniądze, co minuta rodził się nowy naiwny. Od założenia Towarzystwa Użyteczności Publicznej Środkowego Zachodu w tysiąc dziewięćset dwunastym Insull zaczął się posługiwać pieniędzmi publicznymi dla poszerzania swego imperium. Jego towarzystwa urządziły teraz otwarte zebrania udziałowców i hałaśliwie reklamowały swoje usługi; drobny akcjonariusz mógł przez cały dzień siedzieć i słuchać przemówień grubych ryb. Przyjemnie jest się dawać nabijać w butelkę. Związki zakładowe czarowały pracowników; wszyscy musieli kupować akcje jego przedsiębiorstw, pracownicy musieli je sprzedawać na mieście, każdy chłopiec na posyłki, monter linii elektrycznych, konduktor tramwajowy. Bał się go sam Owen D. Young*. *Doświadczenie mnie uczy, że tym, co najbardziej podnosi wydajność pracy, jest długa kolejka bezrobotnych przed bramą.*

Wojna zamknęła usta progresywiście (koniec z bredniami o rozbijaniu trustów, kontroli monopolów, dobru publicznym) i wyniosła Samuela Insulla na szczyty.

Został przewodniczącym Komisji Obrony Stanu Illinois. Teraz, oświadczył tryumfalnie, *mogę robić, co zechcę.* Ze stanowiskiem łączył się niegasnący blask jupiterów i smak cesarskiej purpury. Jeśli komuś się nie podobało to, co robi Samuel Insull, był zdrajcą. Więc Chicago trzymało diablo starannie język za zębami. Towarzystwa akcyjne Insulla mnożyły się i zlewały, wypychały konkurentów z rynku, aż ostatecznie Samuel Insull wspólnie z bratem figurantem Martinem opanował za pośrednictwem towarzystw holdingowych, rad zarządzających i grup mniejszościowych udziałowców

światło i siłę, kopalnictwo węgla i transport miejski

w Illinois, Michiganie, obu Dakotach, Nebrasce, Arkansas, Oklahomie, Missouri, Maine, Kansas, Wisconsinie, Wirginii, Ohio, Północnej Karolinie, Indianie, Nowym Jorku, New Jersey, Teksasie, w Kanadzie, Luizjanie, Georgii, na Florydzie i w Alabamie.

(Obliczono, że jeden dolar Towarzystwa Użyteczności Publicznej Środkowego Zachodu kontrolował tysiąc siedemset pięćdziesiąt dolarów zainwestowanych przez akcjonariuszy w podległych towarzystwach, które faktycznie wytwarzały energię elektryczną. Za pomocą czulej dźwigni maszyny do głosowania rządzącej udziałami dwóch głównych towarzystw holdingowych Samuel Insull kontrolował jedną dwunastą produkcji energii elektrycznej w Ameryce.)

Wydawało mu się, że wszystko to stanowi jego prywatną własność, którą może rozporządzać tak jak zwitkiem banknotów noszonym w tylnej kieszeni spodni.

Zawsze gardził bankierami. Kupował ich do woli w Chicago. Ale uwzięli się na niego bankierzy nowojorscy, którzy go uważali za parweniusza i szeptali, że jego imperium finansowe to kolos na glinianych nogach. Ręce ich świerzbiły, żeby się dorwać do dźwigni, którą tak niezawodnie sprawował rządy nad tysiącami istnień;

Insull lubił mawiać, że czyni go ona wszechpotężnym.

Dawidem, który obalił tego Goliata, stał się niejaki Cyrus Eaton*, eks-pastor Kościoła Baptistów. Nie wiadomo, czy tak rzeczywiście było, ale Insull uwierzył, że za Eatonem stoi Wall Street.

Eaton zaczął skupować akcje trzech chicagowskich towarzystw użyteczności publicznej. Insull, w strachu przed utratą kontroli, rzucił się również do kupowania. Ostatecznie wieloletni Eaton pozwolił mu odkupić swoje udziały, ale oskubał przy tym starego lisa na dwadzieścia milionów dolarów.

Przyszedł krach na giełdzie.

Akcje leciały na łeb, na szyję. Przedsiębiorstwa Insulla były powiązane płataniną interesów, których żaden buchalter nie zdołał nigdy rozwikłać.

Z dziurawego balonu uchodził gaz. Insull odłożył na bok imperatorską dumę i poszedł na kolanach do bankierów.

Bankierzy tylko na to czekali. Wspaniałomyślnie uczynili chwiejące-go się cara kuratorem masy upadłości jego własnych przedsiębiorstw, pozwalając mu w ten sposób zachować twarz. Ale starszy pan nie potrafił się wyzbyć złudzenia, że pieniądze są jego wyłączną własnością. Kiedy wyszło na jaw, że z funduszy udziałowców zapłacił rachunki maklerskie swego brata, nawet sędzia federalny nie mógł przymknąć oczu. Insulla zmuszono do ustąpienia.

Zasiadał w zarządach osiemdziesięciu pięciu towarzystw, był przewodniczącym rad nadzorczych sześćdziesięciu pięciu, prezesem jedenastu: trzy godziny zajęło mu samo podpisywanie rezygnacji.

W nagrodę za zasługi dla monopolu podległe towarzystwa złożyły się dla niego na emeryturę w wysokości osiemnastu tysięcy rocznie. Ale opinia publiczna domagała się postawienia go przed sądem. Kiedy urwały się łapówki, rzucili się na niego pismacy i politycy. Nagonka na rekinów finansowych od dawna wisiała w powietrzu. Samuel Insull zwałchał pismo nosem i uciekł z żoną do Kanady.

Wdrożono postępowanie ekstradycyjne. Insull uciekł do Paryża. Kiedy władze zaczęły go osaczać i tu,

wymknął się do Włoch, wsiadł w samolot do Tirany, przesiadł się w drugi do Salonik, następnie w pociąg do Aten. Tutaj stary lis się zaszył. Pieniądz roztaczał równie czarowne wonie w Atenach, jak dawnymi czasy w Chicago.

Ambasador amerykański wszczął starania o ekstradycję. W odpowiedzi Insull zaangażował chór helleńskich adwokatów i polityków i popijał spokojnie kawkę w westybulu hotelu Grande Bretagne, podczas gdy oni oplatali ambasadora pajęczyną szykan również skomplikowanych, jak buchalteria Insullofskich towarzystw holdingowych: Potomkowie Demostenesa* byli w siódmym niebie. Dziedziczne świerzbie niejednej helleńskiej dłoni zostało na jakiś czas uśmierzone. Samuel Insull urządził się wygodnie w Atenach, entuzjazmował się widokiem Partenonu, przyglądał kozom pasącym się na zboczach Pantelikonu, odwiedzał Aeropag, podziwiał resztki rzeźb przypisywanych Fidiaszowi, omawiał z miejscowymi bankierami reorganizację greckich przedsiębiorstw użyteczności publicznej, reklamował jakoby macedoński lignit*. Ateńczycy go rozrywali, a niejaka madame Kouryoumdjougrou, wesoła żona bagdadzkiego hurtownika daktyli, poświęciła się bez reszty umilaniu mu życia. Po wygraniu pierwszej sprawy o ekstradycję starszy pan, wyswobodziwszy się z objąć swoich czterech adwokatów, oświadczył publicznie w sądzie: Grecja jest małym, ale wielkim krajem.

Idyllę przerwały wzmagające się naciski rządu Roosevelta na greckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Adwokaci federalni, którzy zgromadzili w Chicago całe ciężarówki materiału dowodowego, wytaczali coraz poważniejsze oskarżenia.

Ostatecznie, po długiej serii odroczeń (oprócz jurystów Insull opłacił lekarzy, którzy podnieśli pod niebo krzyk, że pozbawienie go dobrodziejstw łagodnego klimatu równiny attyckiej to wyrok śmierci),

nakazano starszemu panu jako niepożądanemu cudzoziemcowi opuszczenie Grecji, ku wielkiemu oburzeniu bałkańskiej socjety z madame Kouryoumdjougrou na czele.

Insull wynajął mały brudny frachtowiec grecki "Maiotis" i wymknął się w nieznanym kierunku ku rozpaczy międzynarodowych agencji telegraficznych.

Rozeszły się pogłoski, że płynie do Adenu, że płynie na wyspy południowe, że został zaproszony do Persji. Ale po paru dniach odnalazł się dość wymęczony chorobą morską w Bosforze, w drodze, jak mówiono, do Rumunii, gdzie madame Kouryoumdjougrou poradziła mu szukać opieki u swojej przyjaciółki, pani Lupescu*.

Na żądanie ambasadora amerykańskiego Turcy z niemałą satysfakcją zwlekli go z greckiego frachtowca i osadzili w więzieniu, nie komfortowym. Znowu w tajemniczy sposób nadeszły z Anglii pieniądze i zaczął się rozlewać kojący balsam: interweniowali adwokaci, wyklócali się tłumacze, stawiali diagnozy lekarze;

ale ostatnie słowo miała Ankara,

więc Insulla wyekspediowano do Smyrny i przekazano zastępcy prokuratora federalnego, który przyjechał taki szmat drogi specjalnie po to, żeby go aresztować.

Madame Kouryoumdjougrou powracającej z Bukaresztu, gdzie poczyniła przygotowania na jego przyjazd, Turcy nie pozwolili nawet zejść na ląd, żeby z nim porozmawiać. W szamotaninie, do której doszło na pokładzie, niefortunną damę wypchnięto za burtę

i następnie z trudem wyłowiono z Bosforu.

Skoro go już aresztowano, starszy pan pozwolił się bez oporu wsadzić na "Exilencę", na której przystąpił do pisania pamiętników i robił wszystko dla oczarowania współpasażerów. Wysadzono go w Sandy Hook i odstawiono ciupasem do Chicago, gdzie na niego czekał akt oskarżenia.

W Chicago rząd przetrzymał go złośliwie kilka nocy w areszcie; ludzie, których nawet nie znał - tak przynajmniej pisały gazety - składali się dla niego na ćwierćmilionową kaucję. Przeniesiono go wkrótce do szpitala, który sam niegdyś wyposażył. Solidarność. Reporterzy fotografowali czołowych biznesmenów, którzy go odwiedzali. Złożył mu wizytę sam Henry Ford.

Proces potoczył się nad wyraz pięknie. Oskarżyciel gubił się w zawłościach finansowych. Sędzia nie był nieprzychylny. Insullofowie stali się bohaterami.

Byli zwykłymi ludźmi, uśmiechali się do reporterów, pozwolili fotografom, do sądu przyjeżdżali autobusem. Wprawdzie akcjonariusze zostali zrujnowani, ale Insullofowie także, wcale się z tym nie kryli; kapitan szedł na dno wraz ze statkiem.

Stary Samuel Insull, powołany przez obronę na świadka, rozgadał się jowialnie i opowiedział historię swego życia: z chłopca na posyłki na potentata energetyki, lata zmagania, żeby do czegoś dojść, miłość do domu i dzieciaków. Nie przeczył, że popełnił błędy, któż ich nie popełnia; ale były to uczciwe błędy. Popłakał się na ławie dla świadków. Popłakał się brat Martin. Popłakały się stare wygi sądowe. Wezwani na świadków luminarze chicagowskiego biznesu jeden po drugim opowiadali głosami załamującymi się ze wzruszenia, jak wiele Insull uczynił dla rozwoju miasta. Ani jedno oko nie pozostało suche na ławie przysięgłych.

Przyparty przez prokuratora do muru, Insull w końcu wystękał, że i owszem, pomylił się w rachunkach o jakieś dziesięć milionów dolarów, ale była to uczciwa pomyłka.

Wyrok: niewinny.

Uśmiechając się przez łzy, uszczęśliwieni Insullofowie wśród wiwatów tłumu wsiedli do swojej półotwartej

limuzyny. Tego wieczora - tak przynajmniej pisały gazety - tysiące zrujnowanych akcjonariuszy, którzy utracili oszczędności całego życia, rozczuli się nad kolumnami popołudniówek czytając o cierpieniach pana Insulla. Bankierzy mogli sobie gratulować: położyli łapę na jego przedsiębiorstwach. Obecnie zdetronizowany król energetyki, chłopak na posyłki, który

do czegoś w życiu doszedł, korzysta z przyjemności wieku sędziwego wydając dwadzieścia jeden tysięcy dolarów rocznej emerytury, którą mu usłużnie przywrócili dyrektorowie jego dawnych przedsiębiorstw. *Po pięćdziesięciu latach pracy, powiedział, zostałem bez zajęcia.* *

MARY FRENCH

Mary musiała do późna siedzieć w biurze, tak że mityng już się kończył, kiedy weszła do audytorium. Nie było wolnych miejsc, więc stanęła w tyle. Przed nią stała taka gromada ludzi, że nie widziała Dona, słyszała tylko jego donośny ostry głos i czuła skupione napięcie słuchaczy, gdy robił pauzę i na chwilę zalegała cisza. Kiedy po ostatnich słowach buchnął grzmot oklasków i sala wypełniła się nagle gwarem oraz szurgotem nóg, Mary wybiegła przed tłumem i zaułkiem dotarła do tylnego wyjścia. Don ukazał się właśnie w czarnych drzwiach obitych blachą stalową mówiąc coś przez ramię do dwóch delegatów górniczych. Przystanął na moment przytrzymując długą ręką drzwi, dopóki nie wyjdą. Na rozgrzanej twarzy miał uśmiech, oczy mu błyszczały jak często po publicznych wystąpieniach. W takich razach Mary nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wygląda jak mężczyzna wracający z randki z ukochaną dziewczyną. Nie od razu ją zauważył w grupie, która się zebrała w zaułku. Nie patrząc przygarnął ją ramieniem i szybko ruszył w towarzystwie obu górników w stronę rogu. Biegły za nimi spojrzenia robotnic futrzarskich i odzieżowych stojących grupkami przed audytorium. Mary poczuła ciepły dreszcz dumy z posiadania Dona Stevensa, którego wszyscy odprowadzają wzrokiem. Dopiero kiedy usiedli w małej jadłodajni pod wiaduktem kolei nadziemnej, Don się obrócił i uściśnął jej rękę.

- Zmęczona? Przytaknęła głową.

- A ty nie, Don? Roześmiał się przeciągając słowa:

- Nie-e, nie zmęczo-ony, tylko gło-odny.

- Towarzyszko French, zdawało mi się, że dostaliście zadanie pilnowania, żeby towarzysz Stevens jadał regularnie powiedział

Rudi Goldfarb z błyskiem zębów w smagłej twarzy o włoskim wyglądzie.

- Nigdy nie bierze nic do ust, kiedy ma przemawiać - odrzekła Mary.

- Później sobie to wynagradzam-wyjaśnił Don. -Słuchaj, Mary, liczę, że masz jeszcze coś pieniędzy. Bo ja nie mam ani centa. Mary się uśmiechnęła, pokiwała głową.

- Mama znowu coś wysupłała - szepnęła.

- Pieniądzy - włączył się Steve Mestrovich. - Musi kompinować pieniądze, bo inaczej z nami krewa.

- Wyekspediowałam dziś ciężarówkę z rzeczami - oznajmiła Mary. - Dlatego tak się spóźniłam na mityng. Mestrovich przesunął masywną poczerniałą dłoń po ziemistej twarzy z ostro zadartym nosem pocętkowanym ciemnymi porami.

- Żeby go tylko łapsy nie chycili.

- Eddie Spellman to sprytny chłopak. Przemyka się jak cień. Zachodzę w głowę, jak mu się to udaje.

- Nie wicie, co ty rzeczy znaczy dla naszy kobitów i dzieciów. Wy słuchacie, panna French, nie wyrzucacie żadny rzecz, że za duży łach. Żadny rzecz nie taki łach, jak naszy kobity i dzieci nosi na grzbiecie.

- Eddie wiezie pięć skrzynek mleka skondensowanego. Postaramy się o więcej, jak tylko wróci.

- Słuchaj, Mary - odezwał się nagle Don podnosząc wzrok znad zupy. - Może byśmy zadzwonili do Sylwii? Zapomniałem spytać, ile zebrali podczas mityngu.

Młody Goldfarb poderwał się na nogi.

- Ja zadzwonię, wy jesteście zmęczeni, towarzyszko. Ma ktoś pięciocentówkę?

- Ja mam - powiedział Mestrovich. Odrzucił ze śmiechem głowę do tyłu. - Kupa śmicha. Górnik i ma pińciu centów. U nas górnik, jak ma pińciu centów, to oprawi w ramki i posyła panowi Carnegie do muzeum. Bar-zo rzadki. - Wstał ciągle rechocząc, naciągnął na głowę czarną górniczą czapkę z długim daszkiem. - Dobranoc, towarzysz, ja idzie Brooklyn. Komitet pomocy dziewiąty godzina, prawda, panna French? Od tupotu jego czarnych buciorów zabrzączały na stolikach cukiernice, kiedy szedł przez salę.

- O, Boże - jęknęła Mary i oczy wezbrały jej nagle łzami. - To było jego ostatnie pięć centów.

Wrócił Goldfarb z wiadomością, że zbiórka nie wypadła za dobrze. Sześćdziesiąt dziewięć dolarów i kilka obietnic.

- Rozumiecie, Boże Narodzenie za pasem. Przed Gwiazdką nikt nie ma za dużo pieniędzy.

- Henderson palnął wredną mówkę - mruknął Don. - Z każdym dniem robi się coraz bardziej socjalfaszystą.

Mary czuła zmęczenie we wszystkich fibrach ciała, gdy tak przycupnięta na krześle czekała, aż Don zdecyduje się wracać do domu. Była nazbyt śpiąca, by słuchać, co mówią, ale od czasu do czasu zgrzytały jej w uszach słowa: komitet centralny, opozycjoniści, frakcje, wykluczenia. Ocknęła się czując, że Don trąca ją w ramię. Po chwili szła obok niego ciemnymi ulicami.

- To śmieszne - zauważyła - zawsze zasypiam, kiedy zaczynacie mówić o dyscyplinie partyjnej. Może

dlatego, że nie chcę o tym słyszeć.

- Nie ma się nad czym rozczulać - warknął wściekle Don.

- Czy to rozczulanie, że bardziej mi zależy na ratowaniu organizacji górniczych? - zapytała, nagle znowu całkiem trzeźwa.

- Oczywiście, wszystkim nam na tym zależy, ale musimy się trzymać linii partyjnej. A tymczasem wielu z tych chłopców... Goldfarb jest jednym z nich, Ben Compton drugim... wielu sobie wyobraża, że partia to kółko dyskusyjne. Muszą się mieć diablo na baczności, bo inaczej wylecą na zbity łeb. Zobaczysz.

Kiedy się wreszcie wdrapali pięć piętér do swego brudnego mieszkanka, w którym Mary ciągle sobie obiecywała zawiesić firanki i nigdy nie miała na to czasu, Dona nagle zmogło zmęczenie, padł na tapczan i zasnął w ubraniu. Mary próbowała go budzić, ale dała za wygraną. Rozsznurowała mu tylko buty, narzuciła na niego koc i położyła się sama do łóżka. Ale nie mogła zasnąć. Leżała z szeroko otwartymi oczami, licząc w myśli stare spodnie, podarte zmiany wełnianej bielizny, wysłużone koszule wojskowe z obciętymi rękawami, dziurawe skarpetki bez pary. Wciąż widziała rachityczne dzieci z rozdętymi brzuskami wyglądającymi spod łachmanów, wynędzniałe kobiety z rozczochranymi włosami i rękami zniekształconymi od pracy, chłopców z głowami pokiereszowanymi i krwawiącymi od pałek Policji Węgla i Stali*, ciało górnika z fotografii podziurawione przez karabin maszynowy. W końcu wstała i łyknęła dwa czy trzy hausty ginu z butelki, którą trzymała w szafeczce na lekarstwa w łazience. Gin zapiekł ją w gardle. Kaszląc wróciła do łóżka i zapadła w gorący sen bez widziadeł. Obudził ją Don wsuwając się nad ranem do jej łóżka. Pocałował ją.

- Kochanie, nastawiłem budzik na siódmą. Obudź mnie koniecznie. Mam bardzo ważne zebranie w komitecie. Pamiętaj. Natychmiast zasnął z powrotem jak dziecko. Leżała koło jego chudego grubokościstego ciała i słuchała jego regularnego oddechu, szczęśliwa i bezpieczna razem z nim w łóżku. Eddie Spellman również tym razem dojechał do celu i rozdzielił dary między kilka strajkujących komórek Związku Górników* w rejonie

Pittsburgha, chociaż o mały włos nie wpadł w zasadzkę, którą na niego zastawili siepacze szeryfa koło Greensburga. Capnęliby go jak nic, gdyby go nie ostrzegł w porę znajomy handlarz samogonu. Ten sam handlarz mu pomógł, gdy Eddie w drodze powrotnej zjeżdżając z góry do Johnstown wpadł w poślizg i wylądował w zaspie. Eddie śmiał się z tego pakując z Mary następny transport.

- Chciał mi dawać samogonki. To swój chłop, panno Mary, twardy, bo twardy, musi taki być w tym fachu, ale dusza człowiek, jak go poznać bliżej. "Co ty, Ed! -mówię do niego, bo też mu Eddie na imię. a wtyka mi te pół literka. -- Przysiągłem sobie, że nie wezmę wódki do ust, aż po rewolucji, a wtedy też mi ona na lichu, bo i tak będę w siódmym niebie". Mary się roześmiała.

- Wszyscy powinniśmy brać z ciebie przykład. Eddie. Ale czasami wieczorem jestem taka zmęczona i przybita...

- Jasne - odparł Eddie poważniejąc. - Głupio się robi człowiekowi na myśl, że oni mają tę całą broń i pieniądze, a my nie mamy nic.

- Ale jedną rzecz będziecie mieli przed następnym kursem. towarzyszu Spellman: ciepłe rękawice i porządne palto. Jego piegowata twarz oblała się rumieńcem po korzonki rudych włosów. '

- Kiedy mnie nie zimno, słowo daję, panno Mary. Prawdę mówiąc, motor tak grzeje w tym sakramenckim pudle, że mi ciepło w największy mróz. Gorzej, że po tym kursie trzeba będzie dać nowe sprzęgło i diabli wezmą kupę forsy, którą będziemy musieli urwać na mleku. Mówię pani, sprawy kiepsko wyglądają w zagłębiu przy tym zimnie.

- Ależ górnicy mają taki wspaniały hart! - powiedziała Mary.

- Tak, tylko bida, panno Mary, że hartu starcza na ograniczony czas, kiedy żołądek piszczy z głodu.

Wieczorem wpadł do biura Don zabrać Mary na kolację. Był wyjątkowo wesół, mizerną kościstą twarz miał rumianą jak nigdy.

- No, moja mała, co byś powiedziała na przeprowadzkę do Pittsburgha? Po plenum może pojedę trochę na robotę do zachodniej Pensylwanii i Ohio. Mestrovich mówi, że potrzebują tam na gwałt kogoś, kto by ich podniósł trochę na duchu. Eddie Spellman spojrzął znad beli odzieży, którą wiązał.

- Święta racja, towarzyszu, potrzebują, jeszcze jak. Mary poczuła paralizujący chłód. Don widać spostrzegł bladłość na jej twarzy.

- Nie bój się, nie będziemy się narażać - dorzucił śpiesznie.-Zresztą górnicy opiekują się tam człowiekiem jak nigdzie, prawda, Eddie?

- Święta racja, towarzyszu. Wszędzie, gdzie mają mocną organizację związkową, będziecie bezpieczniejsi niż w Nowym Jorku.

- Nie ma o czym mówić - rzekła Mary czując suchość w zdławionym gardle. - Musisz jechać i koniec.

- Idźcie, towarzysze, coś zjeść - powiedział Eddie. - Ja tutaj skończę. I tak będę tu spał; zaoszczędzę na noclegu. Nakarmcie porządnie pannę Mary, towarzyszu Stevens, żeby nam się nie po-chorowała. Gdyby wszyscy rzeczywiści członkowie partii harowali tak jak ona, to... rany, to byśmy mieli najwspanialszą rewolucję przed nastaniem wiosny.

Wyszli zaśmiewając się i dotarli spacerkiem na Bleecker Street, gdzie usiedli szczęśliwi we włoskiej

restauracyjce i zamówili siedemdziesięcio-pięciocentowy obiad oraz butelkę wina.

- Masz w Eddiem wielkiego wielbiciela - powiedział Don uśmiechając się do niej przez stół.

Kilka tygodni później, wróciwszy do domu pewnego lodowatego wieczora, Mary zastała Dona pakującego swoje manatki. Nie zdołała powstrzymać okrzyku; z coraz większym trudem panowała nad nerwami.

- Och, Don, nie wybierasz się chyba jeszcze do Pittsburgha? Don pokręcił głową i pakował dalej. Zamknąwszy wiklinowy kuferek podszedł i objął ją ramieniem.

- Muszę popłynąć na tamtą stronę z to... no, wiesz, z kim. Zasadnicze problemy partyjne.

- Och, Don, chciałabym też popłynąć. Nie byłam nigdy w Rosji ani nigdzie.

- Nie będzie mnie wszystkiego miesiąc. Odplywamy o północy. Ale, Mary, kochanie, gdyby ktoś o mnie pytał, to jestem w Pittsburghu, rozumiesz? Mary się rozplakała.

- Będę mówić, że nie wiem, gdzie jesteś. Zaraz bym się wyspała, gdybym zaczęła kłamać.

- Mary, kochana, to tylko kilka dni. Nie bądź małym głuptaskiem. Mary uśmiechnęła się przez łzy.

- Kiedy jestem... jestem beznadziejnym małym głuptasem. Pocałował ją, poklepał delikatnie po plecach. Potem wziął kuferek i wyszedł szybko, w wielkiej kraciastej czapce nasuniętej głęboko na oczy.

Mary zaczęła spacerować tam i z powrotem po wąskim pokoiku. Wargi jej drżały, z trudem hamowała histeryczny szloch. Dla zajęcia czymś myślała sobie planować, jak urządzi mieszkanie, żeby nie wyglądało tak obskurnie, kiedy wróci Don. Wyciągnęła na środek tapczan i ustawiła go jak kanapkę pod oknem. Potem przed tapczan wysunęła stół i dookoła rozmieściła krzesła. Postanowiła pomalować stolarkę na biało, a w oknach zawiesić koralowe zasłony. Następnego dnia piła poranną kawę z pękniętej filiżanki bez spodeczka, boleśnie odczuwając samotność w pustym mieszkaniu, kiedy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili nie mogła poznać głosu. Zmieszana wyjąkała do słuchawki:

- Ale kto mówi? Kto mówi?

- Co ty, Mary, już mnie nie poznajesz? - Głos w słuchawce brzmiał nutką irytacji. - No, Ben Compton. Be-e-en, Ben. Mam do ciebie sprawę. Gdzie moglibyśmy się zobaczyć? Byle nie u ciebie. Mary starała się, żeby jej głos nie zabrzmiał sztywno i chłodno.

- Muszę być dziś w mieście. Jestem umówiona na lunch z kobietą, która może dać coś na górników. Okropna strata czasu, ale co robić. Nie wysupła ani centa, póki nie wysłucham jej smutnej historii. Mogłabym się z tobą spotkać o wpół do trzeciej przed Biblioteką Publiczną.

- To już może raczej w środku. Jest prawie dwadzieścia stopni mrozu, a ja dopiero co wstałem po influency.

Mary ledwo go poznała, tak się postarzał. We włosach wymykających mu się niechlujnie spod czapki połyskiwała siwizna. Pochylił się i przez grube okulary zajrzał jej wojowniczo w twarz. Ręki jej nie podał.

- Powiem ci lepiej od razu. I tak się dowiesz prędzej czy później, jeśli jeszcze nie wiesz. Wywalili mnie z partii. Za opozycjonizm, indywidualizm, różne takie brednie. Ale to nieważne, nie przestałem przez to być rewolucjonistą. Będę nadal działał poza partią.

- Och, Ben, tak mi przykro. - Mary nie mogła znaleźć słów. - Rozumiesz, ja wiem tyle, ile przeczytam w "Daily Workerze". To wszystko takie okropne.

- Wyjdźmy stąd. Woźny nas obserwuje.

Na dworze Ben zaczął się trząść z zimna. Czerwone przeguby długich rąk wystawały mu z mocno przykrótkich rękawów obstrzępionego zielonego palta.

- Gdzie my pójdziemy? Gdzie my pójdziemy? - zastanawiała się Mary.

Skończyło się na restauracji samoobsługowej w suterenie. Usiedli z kubkami kawy przy stoliku i rozmawiali przyciszonymi głosami.

- Nie chciałem przychodzić do ciebie, żeby się nie nadziać na

Stevensa. Nigdy nie byliśmy wielkimi przyjaciółmi, sama wiesz. On teraz trzyma z kominternowcami. Awansuje do Komitetu Centralnego, jak się pozbęda wszystkich ludzi z pomysłu.

- Ależ, Ben, można mieć różne zdania, a mimo to...

- Partia potakiwaczy, to będzie coś pięknego. Musiałem się z tobą zobaczyć, Mary, bo się poczułem nagle okropnie samotny, rozumiesz, odcięty od wszystkiego. Wiesz, byliśmy głupi, żeśmy się nie zdecydowali wtedy na dziecko. Kochalibyśmy się do tej pory. Byłaś dla mnie taka dobra, kiedy wyszedłem z więzienia. A właśnie, co się dzieje z Adą, tą twoją przyjaciółką muzyczką, która miała to burżujskie mieszkanie?

- Jest ciągle taką samą wariatką. Prowadza się z jakimś idiotą skrzypkami.

- Zawsze lubiłem muzykę. Powinienem być cię zatrzymać, Mary.

- Wiele wody upłynęło od tego czasu - odparła zimno Mary.

- Jesteś szczęśliwa ze Stevensem? Nie mam prawa pytać.

- Co za sens odgrzebywać stare dzieje, Ben?

- Wiesz, młody chłopak często myśli: "Poświęcę wszystko". A potem, kiedy się odetnie od całej prywatnej sfery życia, nie jest już tym samym człowiekiem co przedtem, rozumiesz? Po raz pierwszy w życiu nie mam zaczeplenia, więc przyszło mi do głowy, że może ty mnie urządzisz w akcji opiekuńczej. W organizacjach pomocy dyscyplina nie jest taka surowa.

- Nie sądzę, żeby Międzynarodówka Obrony*, chciała się narażać na wpływy rozłamowe - powiedziała

Mary.

- Więc dla ciebie też jestem rozłamowcem. Cóż, klasa robotnicza kiedyś rozstrzygnie, kto miał rację.

- Nie mówmy już o tym, Ben.

- Może byś przedstawiła sprawę Stevensowi i poprosiła go o wysondowanie czynników miarodajnych. Nie żądam chyba zbyt wiele?

- Ale Dona nie ma w tej chwili. Wygadała się nie wiedząc kiedy. Ben spojrzał jej szybko, ostro w oczy.

- Nie popłynął przypadkiem z grupą towarzyszy do Moskwy?

- Pojechał w tajnej misji partyjnej do Pittsburgha, ale na miłość Boską, zachowaj to dla siebie. A-a, więc zwabiłeś mnie tutaj, żeby mnie pociągnąć za język? - Poderwała się od stolika z płonąca twarzą. - Żegnam, towarzyszu Compton. Czyżbyście byli nie tylko rozłamowcem, ale i konfidentem?

Twarz Bena zmieniła się nagle jak buzia dziecka, które ma wybuchnąć płaczem. Siedział gapiąc się na nią szeroko otwartymi oczami i bezsensownie skrobiąc łyżeczką w pustym kubku. Mary, wszedłszy do połowy schodków, zawróciła pod wpływem impulsu. Stała chwilę patrząc z góry na jego zwieszoną głowę.

- Ben - powiedziała łagodniejszym tonem - nie powinnam była tego mówić... nie mając dowodów. Nie wierzę w to. Ben Compton nie podniósł głowy. Mary wyszła po schodkach w siekący wiatr, pobiegła w popołudniowym tłumie Czterdziestą Drugą Ulicą do metra i wsiadła w pociąg jadący na Union Square. W Sylwestra dostała w biurze depezę od Ady Cohn.

BŁAGAM ODEZWIJ SIĘ STOP TWOJA MATKA W HOTELU PLAZA STOP PŁYNIE DO EUROPY STOP CHCE CIĘ KONIECZNIE ZOBACZYĆ NIE ZNAM ADRESU STOP CO JEJ POWIEDZIEĆ?

W Nowy Rok nic się nie działo w biurze. Nikt prócz niej się nie zjawił, więc w połowie przedpołudnia Mary zadzwoniła do hotelu Plaza i poprosiła o połączenie z panią French. Nikogo takiego nie ma, odpowiedziano jej w recepcji. Wobec tego zatelefonowała do Ady, która zaczęła jej terkotać i terkotać: że jej matka wyszła ponownie za męża za niejakiego sędziego Blake'a, emerytowanego sędziego federalnego sądu okręgowego, bardzo wpływowego człowieka i takiego przystojnego

mężczyznę z hiszpańską bródką; że ona i Mary muszą się koniecznie zobaczyć; że pani Blake była dla niej taka słodka, zaprosiła ją na obiad do hotelu i obydwójce chcieli się dowiedzieć wszystkiego o Mary; że Ada musiała przyznać, iż jej wcale nie widuje, chociaż jest jej najbliższą przyjaciółką; że była na przyjęciu sylwestrowym i teraz tak ją okropnie ~boli głowa, nie może zupełnie ćwiczyć; że zaprosiła na popołudnie takich cudownych ludzi, więc może Mary też przyjdzie, na pewno będzie nimi zachwycona.

Mary miała ochotę rzucić słuchawkę, Ada wydawała jej się taka beznadziejnie głupia, ale obiecała, że zadzwoni do niej jeszcze raz, jak tylko się porozumie z mamusią. Skończyło się na tym, że wróciła do domu, przebrała się w najlepszą sukienkę i pojechała w górę Manhattanu na spotkanie z mamusią i sędzią Blakem. Wiedziała, że mamusia zaraz na wstępie wykrzyknie: "Wyglądasz jak strach na wróble!" - więc próbowała znaleźć jakiś zakład, gdzie by jej zaondulowali włosy, ale wszystko było zamknięte z powodu Nowego Roku. Sędziostwo zasiadali akurat do lunchu w wielkim narożnym salonie swego apartamentu z oknami wychodzącymi na faliste zaśnieżone garby Central Parku, najeżone gołymi gałęziami drzew i przeplatane wartkimi połyskliwymi strumykami ruchu kołowego. Mamusia nie postarzała się ani o dzień; była ubrana na ciemnozielono i wyglądała naprawdę oszałamiająco, gdy tak siedziała z całkowitą swobodą, w białym marszczonym kołnierzyku pod szyją i z pierścionkami skrzącymi się na palcach w popielatym świetle wpadającym przez wielkie okna. Sędzia miał dyskretny pieszczotliwy głos. Rozwodził się kwiecicie o marnotrawnej córce i tuczonym cielcu*, dopóki mamusia nie przerwała mówiąc, że jadą się rozerwać do Europy; obojgu powiodły się tego samego dnia wielce zyskowne spekulacje na giełdzie, więc uważają, że należy im się trochę wypoczynku i odmiany. Potem jęła opowiadać, jak się zamartwiała, gdy wszystkie listy wysyłane na ostatni adres Mary wracały, jak pisała raz po raz do Ady, która jej wiecznie odpowiadała, że Mary pracuje społecznie to w Pittsburghu, to w Fall River, to jeszcze w jakimś innym okropnym miejscu; najwyższy czas, żeby Mary przestała wreszcie robić wszystko dla biednych i nieszczęśliwych, a poświęciła nieco uwagi swoim najbliższym.

- Słyszę, że jesteś dosyć przerażającą młodą osobą, droga Mary-powiedział sędzia dobrotliwie, nalewając jej łyżkę wazową kremu z selerów na talerz. - Mam nadzieję, że nie przyniosłaś ze sobą bomby: Uznali to oboje za wspaniały dowcip i zaśmiewali się bez końca.

- Mówiąc serio - podjął w końcu sędzia - przyznaję, że niesprawiedliwość społeczna to rzecz straszna, plama na dobrym imieniu demokracji amerykańskiej. Jednakże w miarę jak się robimy starsi, moja droga, uczymy się sami korzystać z życia i pozwalają korzystać innym, wraz z dobrem akceptować trochę zła.

- Mary, kochanie, a może byś tak pojechała z Adą Cohn za granicę i raz porządnie wypoczęła? Znalazłabym na to pieniądze. Na pewno by ci to dobrze zrobiło. Wiesz, że nigdy nie aprobowałam twojej przyjaźni z Adą Cohn. W Kolorado jesteśmy może w tych sprawach trochę konserwatywni, ale tutaj zdaje się wszyscy ją akceptują. Mało tego, zna chyba wszystkie wybitne osobistości świata muzycznego. Oczywiście nie jestem w stanie ocenić, jak dobrą jest sama skrzypaczką...

- Moja droga Hildo - wtrącił się sędzia - Ada Cohn ma złote serce. Uważam ją za bardzo słodką dziewczynę. Jej ojciec był wybitnym jurystą. A przecież postanowiliśmy odłożyć trochę na bok przesady.

prawda, kochanie?

- Sędzia próbuje mnie przerabiać - zaśmiała się sztucznie matka Mary.

Mary była już taka poirytowana, że miała ochotę krzyczeć. Dławiły ją ciężkie potrawy podlane masłem, ugrzecznione nadskakiwanie kelnera, ojcowiska jowialność sędziego.

- Posłuchaj, mamó - powiedziała - jeśli naprawdę masz trochę pieniędzy na zbyciu, może byś mi coś dała na nasz fundusz mleczny. W końcu dzieci górników nie są niczemu winne.

- Moja droga, wpłaciłam już pokaźne sumy na Czerwony Krzyż. Zresztą w Kolorado mieliśmy także strajk górników, i to znacznie gorszy niż w Pensylwanii. Zawsze uważałam, że jeśli już koniecznie chcesz się zajmować kwestią społeczną, powinnaś to robić u nas, w Colorado Springs. Nie było najmniejszej potrzeby jechania na Wschód, skoro chciałaś się poświęcić tym sprawom.

- Nawet IWW podnosi u nas znowu swoją szpetną głowę - dorzucił sędzia.

- Nie pochwalam taktyki IWW, jeśli pan chce wiedzieć - odparła Mary.

- No, myślę - powiedziała matka Mary.

- Ale, mamó, czy naprawdę nie mogłabyś mi dać kilkuset dolarów?

- Na tych okropnych agitatorów? Może nie są takimi nierobami jak wobblisi, ale nie są wcale lepsi*.

- Obiecuję, że wszystko co do centa pójdzie na mleko dla dzieci.

- Przez to właśnie górnicy nabierają się na lep tych nędznych agitatorów rosyjskich. Fakt, że są w stanie zapewnić dzieciom mleko, przysparza im popularności, pozwala jeszcze bardziej mącić w głowach biednym zdezorientowanym cudzoziemcom. Sędzia nachylił się przez stół i położył niebieskożyłkową rękę w białym krochmalonym mankencie na dłoni matki Mary.

- Nie mówimy tego z braku zrozumienia dla ciężkiego losu żon i dzieci górników ani dlatego, że nie znamy oplakanych warunków w całym górnictwie, nie, bo wiemy o tym aż za wiele, prawda, Hildo? Mówimy dlatego...

Mary nie wytrzymała, złożyła porywczo serwetkę i poderwała się cała drżąca z krzesła.

- Nie widzę powodu dalszego przedłużania tej dyskusji, która musi być równie bolesna dla ciebie, mamó, jak dla mnie...

- Pozwólcie mi spróbować mediacji - powiedział sędzia z uśmiechem i podniósł się z serwetką w ręce.

Obezładniające uczucie rozpaczy ścisnęło Mary czoło jak stalowa obręcz.

- Muszę iść, mamusiu. Nie czuję się zbyt dobrze. Życzę przyjemnej podróży. Nie chcę się z wami sprzeczać.

Nim mogli ją zatrzymać, wybiegła na korytarz i po chwili zjeżdżała windą w dół.

Była tak wytrącona z równowagi, że musiała z kimś porozmawiać, więc znalazła budkę telefoniczną i zadzwoniła do Ady. Ada przyjęła telefon głosem przerywanym szlochami i oznajmiła, że stało się coś strasznego, tak że odwołała przyjęcie, ale niech Mary natychmiast przyjeżdża. Już przez drzwi mieszkania na Madison Avenue Mary poczuła zapach perfum Foret Vierge*, których Ada zaczęła używać wkrótce po pierwszej wizycie w Nowym Jorku. Ada otworzyła jej w kwiecistym zielono-różowym jedwabnym szlafrocisku ozdobionym różnokolorowymi chwaścikami. Rzuciła się Mary na szyję. Miała czerwone oczy, mówiąc pociągała nosem.

- Co się stało, Ado? - zapytała Mary chłodno.

- Kochana, miałam przeokropną awanturę z Hjalmarem. Rozstaliśmy się na zawsze. Musiałam oczywiście odwołać przyjęcie, bo urządziłam je dla niego.

- Kto to jest Hjalmar?

- Ktoś bardzo piękny... i bardzo okropny. Ale mówmy o tobie, kochana. Mam nadzieję, że się dogadałaś z mamą i sędzią Blakem?

- Wysłałam w połowie lunchu. Szkoda sobie strzępić język. Stoimy po dwu przeciwnych stronach barykady. Ada przeszła się tam i z powrotem po pokoju.

- Nie cierpię takiego gadania. Rozstraja mnie zupełnie. Przynajmniej napij się ze mną kieliszek. Muszę sobie dzisiaj wypić, że zdenerwowania nie mogłam przez cały dzień ćwiczyć. Mary siedziała u Ady przez resztę popołudnia pijąc gin z wodą sodową i sokiem limonowym, jedząc tartinki i małe ciasteczka przygotowane w kuchence na przyjęcie i rozmawiając o dawnych czasach i niefortunnym romansie Ady. Ada dała jej do przeczytania wszystkie listy Hjalmara i Mary orzekła, że to skończony dureń i Ada może sobie powinszować zerwania. Ada się na to rozbeczała, więc Mary powiedziała, że powinna się wstydzić, nie ma najmniejszego pojęcia, co to prawdziwe nieszczęście. Ada przyjęła to bardzo potulnie, podeszła do swego biurka i drżąca ręką wypisała czek na sto dolarów na fundusz mleczny dla dzieci górników. Potem kazała sobie przysłać kolację na dwie osoby od Longchamps* i oświadczyła, że od lat nie przeżyła takiego szczęśliwego popołudnia. Mary musiała jej obiecać, że przyjedzie w przyszłym tygodniu na jej koncert w sali kameralnej Teatru Eolskiego*. Kiedy Mary wychodziła, Ada wcisnęła jej parę dolarów na taksówkę. Chwiały się obie lekko, czekając w korytarzu na windę.

- Wtrąbiłyśmy się obie jak dwie stare pijaczki - powiedziała Ada wesoło.

Całe szczęście, że Mary miała za co wziąć taksówkę, bo nogi jej się plątały, gdy wyszła na ulicę.

W ciągu zimy sytuacja górników w rejonie Pittsburgha pogarszała się coraz bardziej. Zaczęły się eksmisje. Rodziny z małymi dziećmi mieszkaly w namiotach i naprędcie kleconych, nie ogrzewanych budach objanych papą. Mary żyła jak w koszmarze. Pisała listy, powielala odezwy na mimeografie, wygłaszała przemówienia na mityngach robotników odzieżowych i futrzarskich, kaptowała bogatych liberałów. Zebranych funduszków nigdy nie starczało. Mary już w ogóle nie pobierała pensji, tak że musiała pożyczyć od Ady na komorne. Była chuda i mizerna, bez przerwy kaszlała. Za dużo pali, tłumaczyła. Eddie Snellman i Rudi Goldfarb zamartwiali się o nią. Zdecydowali widać, że ~i mało je, bo raz po raz znajdowała na rogu biurka to torbę z sandwichami, to karton kawy przyniesiony przez któregoś z nich. Pewnego dnia Eddie przyniósł jej dużą paczkę białego sera roboty jego matki mieszkającej gdzieś pod Scranton. Mary nie mogła go przełknąć; miała wyrzuty sumienia, ilekroć zobaczyła, jak się pokrywa zielonym nalotem w lodówce, do której nie kupowała teraz lodu, bo od wyjazdu Dona przestała gotować.

Ktoregoś wieczora Rudi przyszedł do biura cały rozpromieniony. Eddie, schylony, pakował jak zwykle starą odzież w bele przed następnym kursem do Pensylwanii. Rudi kopnął go lekko w tyłek.

- Ejże, ty trockisto! - zawołał Eddie doskakując do niego i łapiąc go za krawat.

- Odszczekaj to - powiedział Rudi okładając go pięściami. Obaj się śmiali. Mary poczuła się jak stateczna nauczycielka patrząca na dwu chłopców biorących się za czuby przed jej katedrą.

- Spokój w klasie! - zawołała.

- To nie żarty, próbowali mnie w to wrobić, tylko im się nie udało-powiedział zdyszany Rudi poprawiając krawat i potargane włosy.-Ale nie o tym chciałem mówić, towarzyszek French. Może was zainteresuje wiadomość, że jutro przyżyłwa na "Akwitaniu" pewien znajomy towarzyszek. Klasą turystyczną.

- Rudi, jesteś pewien?

- Widziałem depeszę.

Mary przyjechała na przystań za wcześnie i musiała czekać dwie godziny. Próbowała czytać popołudniowe gazety, ale nie mogła utrzymać wzroku na rządach liter. W poczekalni było za gorąco, na dworze za zimno. Kręciła się bez celu, póki wreszcie w otworach obudowanego pirsu nie zobaczyła przesuwającej się olbrzymiej czarnej stalowej ściany

z rzędami oświetlonych iluminatorów. Dłonie i stopy miała lodowate, ciało przenikał jej dreszcz niecierpliwości, kiedy się wreszcie znajdzie w jego ramionach i usłyszy jego basowe chrypienie tuż nad uchem. Lecz w głębi mózgu kołatał jej się ćmiący niepokój, dlaczego przez cały czas nieobecności nie napisał do niej ani słowa. Nagle go zobaczyła schodzącego samotnie po trapie, ze starym wiklinowym kuferekiem w dłoni. Miał na sobie nowy niemiecki płaszcz nieprzemakalny z paskiem, ale tę samą kraciatą czapkę na głowie. Znalazła się z nim twarzą w twarz. Uścisnął ją, ale jej nie pocałował. Jego głos zabrzmiał jakoś nienaturalnie.

- Serwus, Mary. Nie spodziewałem się ciebie tutaj. Nie chcę, żeby mnie zauważono, rozumiesz? - W przyciszonym głosie, jakim mówił, było coś ukradkowego. Kuferek przekładał nerwowo z ręki do ręki.-Zobaczymy się za parę dni. Będę bardzo zajęty. Odwróciła się bez słowa i pognęła wzdłuż pirsu. Bez tchu przebiegła w poprzek Manhattanu do kolei nadziemnej na Dziewiętej Alei. Kiedy otworzyła drzwi mieszkania, nowe koralowe zasłony uderzyły ją jak biczem w twarz.

Nie mogła wrócić do biura. Nie wyobrażała sobie, jak spojrzy w oczy chłopcom i wszystkim znajomym, którzy ich widywali razem. Zadzwońiła, że ma ciężką influencę i musi poleżeć parę dni w łóżku. Spędziła popołudnie w czarnej melancholii wąskiego pokoiku. Pod wieczór zdrzemnęła się trochę na tapczanie. Poderwała się gwałtownie, pewna, że słyszy kroki na korytarzu. Nie był to jednak Don, lecz ktoś wchodzący na wyższe piętro. Potem już nie spała. Następnego dnia obudził ją rano telefon, ledwo się położyła do łóżka i trochę przysnęła. Dzwoniła Sylwia Goldstein z wyrazami ubolewania, że Mary ma influencę, i pytaniem, czy jej niczego nie potrzeba. Ależ nie, ma wszystko, musi tylko poleżeć dzień w łóżku, odparła Mary martwym głosem.

- Pewnie wiedziałaś cały czas o towarzyszu Stevensie i towarzyszkę Lichfield. Oczywiście, przecież byliście ze sobą tak blisko. Wzięli ślub w Moskwie. Ona jest Angielką. Przemawiała wczoraj na mityngu w Kasynie w Bronxie. Ma wspaniałe rude włosy, fantastyczne, chociaż część dziewcząt uważa, że są farbowane. Wielu towarzyszy nic nie wiedziało, żeście ze sobą zerwali. Czy to nie smutne, że takie rzeczy muszą się dziać w ruchu?

- Och, to było dawno. Do widzenia, Sylwio - powiedziała Mary chrapliwie i odłożyła słuchawkę.

Potem zadzwoniła do znajomego handlarza alkoholu i kazała sobie przysłać butelkę ginu.

Następnego dnia usłyszała po południu lekkie pukanie i uchylwszy drzwi zobaczyła w szparze Adę otuloną srebrnym lisem i roztaczającą dokoła obłok Foret Vierge.

- Och, Mary, moja kochana, wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Mówię ci, czasami mam taką niesamowitą intuicję. Kiedy nie przyszłaś na mój koncert, z początku byłam wściekła, ale potem powiedziałam sobie, biedaczka musi być chora. Pojechałam prosto do twego biura i rozmawiałam z takim przystojnym chłopcem. Kazałam sobie po prostu podać twój adres. Powiedział mi, że leżysz na influencę, więc natychmiast przybiegłam. Ale czemu ty nie jesteś w łóżku, moja droga? Wyglądasz jak z krzyża zdjęta.

- N-hic mi n-hie jest - wymamrotała Mary zdrętwiałymi wargami, odgarniając z twarzy strąki włosów. - Ch-chciałam tylko p-hrzemyśleć sytuację... ż-heby lepiej zaplanować akcję pomocy.

- Zabieram cię z miejsca do siebie, odchuchać cię trochę. Nie wygląda mi to jakoś na influencę, raczej na przemęczenie. Wykończysz się nerwowo, jak nie zaczniesz bardziej o siebie dbać.

- M-hoże masz r-hację. Mary z trudem wymawiała słowa. Była zupełnie pozbawiona woli, robiła wszystko, co Ada jej kazała. Ułożywszy ją w swoim czystym pokoju gościnnym, z bielizną pościelową pachnącą lawendą, Ada posłała po barbitał, po którym Mary zasnęła. Leżała tak przez parę dni, jedząc posiłki przynoszone przez służącą Ady, pijąc tyle, ile Ada jej pozwoliła, i słuchając nieprzerwanego rzępolenia skrzypiec Ady, które dochodziło przez całe przedpołudnie z sąsiedniego pokoju. Jednakże wieczorami nie mogła nadal zasnąć, dopóki się nie naszpikowała środkami nasennymi. Była zupełnie bezwolna. Zbierała się pół godziny, żeby wstać i wyjść do toalety.

Po tygodniu leżenia u Ady poczuła, że powinna wracać do domu. Zaczynały ją irytować chytre wzmianki Ady o nieszczęśliwych miłościach, złamanych sercach i satysfakcjach wyrzeczenia. Skakała jej do oczu, ilekroć Ada zaczynała swoją śpiewkę.

- Świetnie - mówiła wówczas Ada - zaczynasz odzyskiwać swoją zadziorność.

Od pewnego czasu Ada napomykała o jakimś znajomym, który szaleje za Mary od lat i marzy, żeby ją znowu zobaczyć. W końcu Mary uległa namowom i zgodziła się pójść z Adą na przyjęcie do Eweliny Johnson, u której ten ktoś miał być.

- Ewelina urządza boskie przyjęcia. Nie wiem, jak to robi, bo nigdy nie ma pieniędzy, a ściągą najciekawszych ludzi Nowego Jorku. Także radykałów. Ewelina nie może żyć bez swojej grupki czerwonych. Mary ubrała się w suknię Ady, nie bardzo na nią pasującą. Z rana poszła sobie zrobić ondulację u Saksa, gdzie się zawsze czesała Ada. Przed wyjściem z domu wypily parę cocktaili. W ostatniej chwili Mary oświadczyła, że nie pójdzie, bo udało jej się w końcu wyciągnąć z Ady, że osobą, która ma być na przyjęciu, jest George Barrow. Jednakże Ada zrobiła jej jeszcze jeden cocktail, po którym Mary ogarnęło uczucie bez troski.

- Niech ci będzie, jak mamy iść, to chodźmy - powiedziała. Otworzyła im uśmiechnięta czarna pokojówka w fantazyjnym koronkowym czepeczku i fartuszkę i poprowadziła je korytarzem do sypialni pełnej palt i futer. Korzystając, że Ada poprawia twarz przed toaletką, Mary szepnęła jej do ucha:

- Pomyśl, ilu ludziom mógłby pomóc nasz komitet za pieniądze, które ta kobieta wyrzuca na bezsensowne przyjęcia.

- Ale jest taka kochana - odpowiedziała Ada podekscytowanym szeptem. - Zobaczysz, na pewno ci się spodoba. Za ich plecami otwarły się drzwi wpuszczając zgiełk rozmów, śmiechów i brzęku szklaneczek oraz wiew perfum, tostów, dymu papierosowego i ginu.

- O, Ada - rozległ się dźwięczny głos.

- Kochana Ewelino, cudownie wyglądasz. To jest Mary French, mówiłam ci, że ją przyprowadzę. Moja najdawniejsza przyjaciółka. Mary uściśniła dłoń wysokiej szczupłej kobiety w perłowej sukni. Gospodyni miała bardzo bladą twarz, bardzo czerwone usta i bardzo wielkie podłużne oczy podkreślone tuszem.

- Ładnie, żeście przyszły - powiedziała Ewelina Johnson i nieoczekiwanie usiadła wśród futer i palt na łóżku.

- Zapowiada się boskie przyjęcie! - wykrzyknęła Ada.

- Nie cierpię przyjęć, nie wiem, po co je urządza - odrzekła Ewelina. - Ale muszę chyba wracać do swojej menażerii. Och, Ado, jaka ja jestem zmęczona!

Mary przyjrzała się uważnie głębokim ostrym bruzdom pod makijażem dokoła ust pani Johnson, napiętym wiązadłom jej szyi. Wychodzi im wszystkim bokiem idiotyczne życie, jakie prowadzą, pomyślała.

- A co ze sztuką, którą lansowałaś? - spytała Ada. - Byłam cała zelektryzowana, kiedy o tym usłyszałam.

- To już stare dzieje - ucięła sucho Ewelina. - Noszę się teraz z zamiarem sprowadzenia baletu, przekształcenia go w instytucję

amerykańską. Opowiem ci o tym kiedyś.

- Ewelino, a przyszła ta gwiazda filmowa? - spytała Ada.

- Przyszła, przyszła, takie zawsze przychodzą - westchnęła Ewelina. - Jest naprawdę piękna. Musisz ją poznać.

- Oczywiście, każdy pod słońcem przyjdzie na twoje przyjęcie.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie właściwie przychodzą. Mnie się już tak nudzą te przyjęcia.

Ewelina wprowadziła je przez rozsuwane drzwi do wysoko sklepionego salonu zasnutego kłębam dymu w mętnym świetle osłoniętych lamp. Zanurzyły się w ścisłości eleganckich osób ze szklaneczkami cocktailowymi, dyskutujących, strojących miny, potrząsających głowami. Mary nie bardzo miała gdzie stanąć, więc usiadła na rożku kanapy koło stoliczka z marmurowym blatem. Goście na kanapie przekrzykiwali się nie zwracając na nią uwagi, Ada z gospodynią zniknęły za ścianą garniturów i sukien wizytowych. Mary zdążyła wypalić całego papierosa, nim Ada wróciła prowadząc George'a Barrowa, który miał swoją chudą twarz jakby zaróżowioną, a jabłko Adama sterczące jeszcze bardziej nad kołnierzykiem. W obu dłoniach piastował cocktaile.

- No, no, no, mała Mary nie widziana od lat - powitał ją z wymuszoną wesołością. - Gdybyś wiedziała, ile trudu kosztowało nas przeciśnięcie się ze szklaneczkami przez ten tłum.

- Cześć, George - odrzekła Mary obojętnie. Wzięła cocktail, który jej podał, i wychyliła duszkiem. Po tym, co wypła w domu, zakręciło jej się w głowie. George i Ada zdołali jakoś przycupnąć na kanapie po jej obu bokach.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego o strajku węglowym - odezwał się George marszcząc brwi. - Niestety, że rozłamowe organizacje terenowe musiały wybrać akurat najnieodpowiedniejszy moment, kiedy strajk jest na rękę właścicielom. Mary ogarnęła wściekłość.

- Mogłam się spodziewać czegoś podobnego po człowieku twojego pokroju. Gdybyśmy chcieli czekać na odpowiednie momenty, nie byłoby w ogóle strajków. Dla robotników nie ma nigdy odpowiedniego momentu.

- Jaki to jest człowiek mojego pokroju? - spytał George Barrow z pokorą, nieszczerą, jak oceniła Mary. - Często sobie stawiam to pytanie.

- Nie chcę z tobą dyskutować, nosem mi już wychodzą dyskusje. Lepiej mi przynieś jeszcze jeden cocktail, George. Wstał posłusznie i jął się przepychać na drugi koniec salonu.

- Nie kłóć się z biednym Georgem, Mary, jest taki kochany. - Ada, przysunawszy jej wargi do ucha, mówiła scenicznym szeptem. - Wiesz, faktycznie jest Margo Dowling. Z mężem i Rodneyem Cathcartem, wszędzie bywają razem. Zatrzymali się w drodze na Riwierę.

- Mam dosyć oglądania gwiazd filmowych na afiszach - odparła Mary. - Nie chcę oglądać ich jeszcze w życiu. Ada zniknęła. Wrócił George z dwoma nowymi cocktailami oraz talerzem zimnego łososia i ogórków. Mary nie mogła nic przełknąć.

- Nie sądzisz, że powinnaś coś zjeść przy takiej ilości alkoholu? Potrząsnęła głową.

- Wobec tego ja zjem. Wiesz co, Mary - ciągnął - często się teraz zastanawiam, czy nie byłbym szczęśliwszym człowiekiem, gdybym pozostał przez całe życie agentem spedycyjnym w Południowym Chicago, ożenił się z jakąś miłą robotnicą i miał gromadkę dzieciaków. A już na pewno byłbym dzisiaj szczęśliwszy. no i bogatszy. gdybym został człowiekiem interesu.

- Nie wyglądasz znowu na takiego biednego - wtrąciła Mary.

- Nie wiesz, jak to boli, kiedy wy, czerwoni, traktujecie mnie jak zdraycę klasy robotniczej. Owszem, szedłem czasami na kompromis, ale odniosłem dzięki temu wiele istotnych zwycięstw wymiernych w dolarach i centach. Wy, komuniści, nie chcecie dostrzec, że sprawa ma często dwie strony.

- Nie należę do partii - powiedziała Mary.

- Wiem, ale pracujesz z komunistami. Na jakiej podstawie uważasz, że macie lepsze rozeznanie, co jest korzystne dla górników, od ich własnych oddanych i wypróbowanych przywódców?

- Gdyby górnicy mogli raz swobodnie głosować w związkach, przekonałbyś się, co naprawdę myślą o twoich sprzedajnych przywódcach. George Barrow pokiwał głową.

- Oj, Mary, Mary! Ciągłe ta sama nieprzejednana dziewczyna o gorącym sercu.

- Brednie, nie mam już ani odrobiny uczucia w piersi. Napatrzyłam się, jak sprawy wyglądają w terenie. Nie potrzeba gorącego serca, żeby wiedzieć, w którą stronę są wymierzone lufy karabinów.

- Mary, jestem bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

- Przynieś mi jeszcze jeden cocktail, George.

Mary zdążyła wypalić dwa papierosy, nim George wrócił. Kołyszące się głowy, nie zamykające usta, mieniące suknie, gestykulujące dłonie, wszystko falowało jej przed oczami w obłokach dymu. Tłum zaczynał się trochę przeredzać, gdy nadszedł George.

- Miałem przyjemność zamienić parę słów z Margo Dowling. Była czarująca. Ale wiesz, co mówi Red Haines? Ciekawym, czy to prawda. Podobno jej kariera jest skończona. Wielka gwiazda nie nadaje się do filmu dźwiękowego, jej głos brzmi przez megafon jak krakanie zachrypniętej wrony. - Zachichotał trochę po pijacku. - O, patrz, właśnie wychodzi.

W salonie zaległa nagle cisza. W wirujących kłębach dymu Mary zobaczyła małą kobietkę o niebieskich powiekach, regularnych rysach porcelanowej lalki i bujnych jasnoblonde włosach, która się na chwilę obróciła w ich stronę, żeby komuś posłać uśmiech, po czym znikła w rozsuwanych drzwiach. Miała na sobie żółtą suknię i mnóstwo wielkich szafirów. Za nią szedł wysoki aktor opalony na brąz i mały człowieczek o ziemistej cerze i kabłąkowatych nogach, a na końcu sunęła Ewelina Johnson trąkająca bez przerwy w swój gorączkowy zdyszany sposób. Mary widziała to wszystko przez szmerzący opar, jakby oglądała w teatrze sztukę z paradyzu pełnego dymu. Podeszła Ada i stanęła przed nią wywracając oczami i otwierając szeroko usta przy każdym słowie.

- Czyż to nie boskie przyjęcie? Poznałam ją, ma wspaniałe maniery. A wyobrażałam sobie, że będzie nieokrzesana. Chodzą słuchy, że wyszła z rysztoła.

- Nic podobnego - zaprotestował George. - Wywodzi się z hiszpańskiej szlachty osiadłej na Kubie.

- Ado, chcę wracać do domu - powiedziała Mary.

- Chwileczkę, nie miałam jeszcze okazji pogadać z Ewelina. Biedaczka robi wrażenie okropnie zmęczonej

i rozstrojonej. Przesunął się koło nich młody człowiek blady jak lilia śmiejąc się przez ramię do idącej za nim starszej kobiety w sukni ze srebrnej lamy, z wysuniętą chudą szyją pofałdowaną pod warstwą pudru, z drżącym haczykowatym nosem i nieudolnie zatuszowanymi workami pod wytrzeszczonymi oczyma.

- Ado, chcę wracać do domu.

- Myślałam, że pójdziemy gdzieś z Georgem na kolację. Mary widziała nieostre twarze olbrzymiejące w miarę zbliżania się, zmieniające kształty, gdy się przesuwały obok, niknące w mroku jak ryby, które otwierają i zamykają pyszczki w akwarium.

- Właśnie, moglibyśmy gdzieś pójść. Panno Ado, nie widziała pani

dziś Charlesa Edwarda Holdena? Należał zawsze do głównych atrakcji na przyjęciach Eweliny. - Mary z niesmakiem patrzyła na wylupiastooką psią twarz George'a Barrowa, kiedy tak perorował. - To jest zdrowo myślący inteligentny facet, jeśli pani chce wiedzieć. Mogę z nim rozmawiać przez całą noc. Ada mrużąc powieki pochyliła się i szepnęła mu piskliwie do ucha:

- Zaręczył się z inną. Ewelina jest zupełnie złamana. Goni resztkami nerwów.

- George, j-heśli m-hamy zostać-odezwała się Mary -p-hrzynieś m-hi jeszcze jeden cocktail.

Kobieta o szerokiej twarzy i bardzo czerwonych policzkach, cała w błyskotkach, która siedziała na kanapie koło Mary, pochyliła się i powiedziała scenicznym szeptem:

- Czy to nie okropne? To czarna niewdzięczność ze strony Holdy,ego po tym wszystkim, co Ewelina dla niego zrobiła, jeśli chodzi o pozycję społeczną. Jest wszędzie przyjmowany, odkąd się nim zajęła. A ta dziewczyna! Znam ją, zwykła mała dziwka, nawet nie bogata.

- Cii - syknęła Ada -- wraca Ewelina. Co-o, kochana, królowie i dostojnicy odchodzą? Niedługo zostaną tylko takie drobne płatki jak my.

-- Sprawila na mnie wrażenie niezbyt rozgarniętej - powiedziała Ewelina opadając koło nich na krzesło.

- Może ci przynieść cocktail, Ewelino? -- zaproponowała Ada. Ewelina pokręciła głową.

- Wiesz, co by ci dobrze zrobiło, droga Ewelino? - odezwała się kobieta o szerokiej twarzy, znowu się przechylając przez Mary.-Dłuższy wyjazd za granicę. Nowy Jork staje się nieznośny w styczniu. Ja nie mam zamiaru tu siedzieć, rozchorowałabym się na nerwy.

- Chciałabym się kiedyś wybrać do Maroka, jeśli mi się uda wskrobać dosyć gotówki - odrzekła Ewelina.

- Lepiej do Tunisu, moja droga. Tunis jest boski. Wypiwszy cocktail, który George jej przyniósł, Mary widziała twarze i słyszała głosy jak przez natrętną mleczną mgłę. Potrzebowała całej siły woli, żeby się nie chwiać na brzeżku kanapy.

- Muszę naprawdę iść.-Przemaszerowała przez pokój uwieszona ramienia George'a. Szło jej się zupełnie dobrze, natomiast nie bardzo mogła mówić. W sypialni Ada pomogła jej włożyć palto. Obok wyrosła Ewelina Johnson ze swymi wielkimi piwnymi oczami i ironicznym śpiewnym głosem.

- Och, Ado, taka jestem wdzięczna, żeście przyszli. Pewnieście się okropnie wynudziły. Panno Mary, chciałam z panią porozmawiać o górnikach. Jakoś nigdy nie mam czasu na porozmawianie o tym, co mnie naprawdę obchodzi. Wiesz, Ado, już więcej chyba nie urządzę przyjęcia. To takie nudne. - Położyła dłoń na skroni, przesunęła długimi palcami wolno po czole. - Mam nadzieję, że wszyscy się niedługo rozejdą. Okropnie mnie boli głowa.

- Weź proszek.

- Wezmę, wezmę. Mam wspaniałe proszki od bólu głowy. Daj mi znać, jak będziesz następnym razem grała Bacha, Ado. Zrobisz mi wielką przyjemność. Wiesz, idiotyczne jest to salonowe życie, spraszanie kupy ludzi, których nic nie łączy i którzy sobie nawzajem grają na nerwach.

Ewelina odprowadziła ich aż na koniec korytarza, jakby się nie mogła z nimi rozstać. Stała w cienkiej sukience w porywie zimnego wiatru, który wpadł z ulicy, gdy George wychodził sprowadzić z rogu taksówkę.

- Ewelino, wracaj, zaziębisz się na śmierć - powiedziała Ada.

- To do widzenia. Kochane jesteście, żeście przyszli. Nim drzwi się za nimi zamknęły, Mary zobaczyła jeszcze raz w perspektywie korytarza wąskie ramiona Eweliny, która się oddalała

wstrząsana dreszczem. W zimnym powietrzu Mary poczuła się nagle pijana. Zatoczyła się tak, że Ada musiała ją objąć ramieniem.

- Ach, Mary, dlaczego ludzie są tacy nieszczęśliwi? - szepnęła jej do ucha.

- Wszystko przez to marnotrawstwo - odpaliła wściekle Mary odzyskując raptem mowę. - Wyrzucają jedzenie, trwonią pieniądze, a tu nasi górnicy zdychają z głodu i zimna w budach objanych papą.

- Sprzeczości kapitalizmu - powiedział George Barrow z uśmiechem wyższości, pomagając jej wespół z Adą wsiąść do taksówki.

- Co, wstąpimy gdzieś coś zjeść?

- Najpierw odwiedźcie mnie do domu - niemal krzyknęła Mary.-Nie, nie do Ady! Mam po czubek głowy pasożytniczego życia. Wracam jutro do biura. Muszę jeszcze dziś zadzwonić, czy transport mleka skondensowanego dotarł cało na miejsce. - Złapała Adę za rękę i ścisnęła, nagle owładnięta dawną czułością do niej. - Ada, byłaś cudowna, uratowałaś mi życie, słowo daję.

- Ada jest idealną odtrutką na histerie takich typów jak my-powiedział George Barrow.

Taksówka zatrzymała się koło rzędu kubłów na śmieci przed kamienicą, w której mieszkała Mary.

- Dziękuję, poradzę sobie sama! - krzyknęła ostro Mary, znów ogarnięta złością. - Poczulałam się nie bardzo po paru głębszych, bo jestem przemęczona, to wszystko. Dobranoc. Jutro wpadnę do ciebie po rzeczy, Ado.

Ada i George odjechali papląc i chichocząc z przytulonymi głowami. Już o mnie zapomnieli, pomyślała Mary wspinając się po schodach. Jakoś się wdrapała na górę, ale w żaden sposób nie mogła trafić kluczem do zamka. Kiedy drzwi wreszcie ustąpiły, padła od razu na tapczan w pierwszym pokoju i zasnęła kamiennym snem. Rano obudziła się wypoczęta jak nigdy w ostatnich latach. Wyszła wcześniej, po drodze zjadła u Childsa obfite śniadanie z jajami na boczku. W biurze zastała już Rudiego Goldfarba, siedzącego na jej miejscu. Podniósł się i przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa. Oczy miał czerwone i przekrwione, zwykle gładko zaczesane włosy opadały mu na czoło.

- Co się stało, Rudi?

- Towarzyszko French, przyuważyli Eddiego Spellmana.

- Aresztowali go?

- Żeby to aresztowali. Kropnęli.

- Zabili go?

Mary poczuła w gardle falę mdłości. Pokój zawirował jej przed oczami. Zaciśnęła pięści i po chwili wszystko wróciło na swoje miejsce. Rudi tymczasem opowiadał, jak górnicy znaleźli ciężarówkę rozbita w rowie. Z początku myśleli, że to wypadek, ale gdy wyciągnęli Eddiego z szoferki, zauważyli na jego skroni dziurkę od kuli.

- Musimy zorganizować wiec protestacyjny. Czy w partii już wiedzą?

- Jasne, starają się załatwić Madison Square Garden. Towarzyszko French, fajny był z niego chłop, nie? Mary drżała na całym ciele. Zadzwoił telefon. Rudi przyjął.

- Towarzyszko, proszę, żebyście zaraz przyjechali. Chcą was na sekretarkę komitetu organizacyjnego akcji protestacyjnej. Mary osunęła się na krzesło za swoim biurkiem i zaczęła spisywać organizacje, które należy zawiadomić. Nagle podniosła wzrok i spojrzała Rudiemu prosto w oczy.

- Wiesz, co trzeba zrobić? Przenieść biuro do Pittsburgha. Przez cały czas czułam, że komitet pomocy powinien mieć siedzibę w Pittsburghu.

- To ryzykowne.

- Od początku powinniśmy byli działać w Pittsburghu - powtórzyła spokojnie, lecz stanowczo.

Znowu zadzwonił telefon.

- Ktoś do was, towarzyszko.

Ledwo Mary przyłożyła słuchawkę do ucha, rozległ się podekscytowany trajkot Ady. Z początku Mary nie mogła zrozumieć, o co chodzi.

- Mary, co ty, nie czytałaś gazet?

- Mówię ci, że nie czytałam. Chodzi o Eddiego Spellmana?

- Nie, kochanie, to takie straszne. Pamiętasz, byliśmy tam wczoraj na przyjęciu. Przecież nie mogłaś zapomnieć. Ewelina Johnson, to takie przerażające. Kazałam kupić wszystkie gazety. Oczywiście brukowce twierdzą, że to samobójstwo.

- Ada, ja nic z tego nie rozumiem.

- Ależ, Mary, przecież ci tłumaczę. Ledwo mówię ze wzburzenia. Taka urocza kobieta, taka utalentowana, można powiedzieć, artystka. I patrz, kiedy służąca weszła rano do pokoju, znalazła ją nieżywą w łóżku. A przecież byliśmy tam wszystkiego dwanaście godzin temu. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl. Część gazet pisze, że zażyła za dużo środków nasennych. Nie wierzę, żeby to zrobiła rozmyślnie. Gdybyśmy były wiedziały, może by nam się udało jakoś temu zapobiec. Pamiętasz, skarżyła się na ból głowy. Nie mogłabyś do mnie przyjechać? Czuję się tak okropnie, nie wytrzymam tutaj sama.

- Niestety, Ado. Coś bardzo poważnego wydarzyło się w Pensylwanii. Mam mnóstwo roboty, muszę zorganizować akcję protestacyjną. Do widzenia, moja droga. Mary odłożyła słuchawkę, zmarszczyła czoło.

- Słuchaj, Rudi, gdyby jeszcze raz dzwoniła Ada Cohn, powiedz jej, że wyszłam. Mam za dużo na głowie, żeby w takim dniu tracić czas na niańczenie histerycznych bab.

Włożyła kapelusz, zebrała swoje papiery i pobiegła na posiedzenie komitetu organizacyjnego.

WŁÓCZĘGA

Młody człowiek czeka na skraju asfaltu, w jednej ręce trzyma wytartą walizkę z imitacji skóry, drugą, zaciśniętą niemal w pięść, z podniesionym kciukiem,

przesuwa ledwo dostrzegalnym ruchem, ilekroć obok przemknie samochód, przewali się z klekotem ciężarówka; podmuch przelatujących aut burzy mu włosy, bije piaskiem w twarz. Młodemu człowiekowi kręci się w głowie, głód ściska mu trzewia, podarta skarpetka otarła mu piętę, bolą go stopy w dziurawych butach, pod wyświechtanym garniturem, otrzępanym starannie dłońią z kurzu, lepią się do ciała przetarte gatki, przypominają noce przespane w ubraniu; w nozdrzach czuje jeszcze zaduch apatycznych wraków ludzkich stłoczonych w obozowisku włóczęgów, karboliczny fetor więzienia, zapadłe policzki pali mu rumieniec mieszania pod przenikliwym wzrokiem policajów, pomagierów szeryfa, łapsów kolejowych (ci jedzą trzy

solidne posiłki dziennie, paradują w dobrze skrojonej odzieży, śpią z żonami w łóżkach, bawią się z dziećmi po kolacji, wysługują się moźnym, którzy im płacą, chodzą z piersią wypiętą poczuciem siły, która za nimi stoi). Wynos się, bratku, zjeżdżaj stąd do diabła! Zniknij mi z oczu, jeśli ci życie miłe! Stawiasz się, co? Myślisz, że ci to ujdzie na sucho?

I pięścią w szczękę, pałąk przez łeb, łapskiem za przegub, żeby wykręcić rękę, grubym kolaniem celnie w krocze; więc śpieszny wymarsz z miasta na otartych nogach, stanie i wyczekiwanie na skraju asfaltu, obok sznura aut przelatujących ze świstem, w wyziewach eteru, ołowiu i benzyny mieszających się z niemym trawiastym zapachem ziemi.

Oczami matowymi z biedy młody człowiek szuka wzroku kierowców, zebrze o podwiezienie, choćby o jedno sto mil.

W błękitach nad głową brzęczy samolot. Oczy odprowadzają srebrzystego Douglasa, który rozbłyska krótko w słońcu i wwiercając się gładko

w niebo znika w oddali.

(Pasażerowie transkontynentalni siedzą wygodnie, zażywni panowie z kontami bankowymi i dobrze płatnymi posadami; takim jak oni kłaniają się portierzy, telefonistki mówią pierwsze dzień dobry. Wczoraj wieczorem, po dobrej kolacji i kilku głębszych w gronie przyjaciół, wystartowali z Newark na zachód. Ryk motorów wspinających się ukośnie w atramentowy opar, światła niknące w dole. Godzinka przyglądania się wielkiemu samotnemu księżycowi na czubku srebrzystego skrzydła w zbełtanej pianie chmur. Za Ohio błyska sznur światełek sygnalizacyjnych.

W Cleveland samolot opuszcza się w przechyle łagodnej spirali, rząd latarni wzdłuż jeziora zatacza koło. Potem znów ryk wspinających się motorów; pasażerowie wyciągnięci w miękkich fotelach drzemią niepomi białej księżycowej nocy.

Chi. W przelocie miga Wielka Niedźwiedzica. Znowu spiralne zejście z chłodu w gorące powietrze, gęste od kurzu i duchoty spalonych prerii.

Za Missisipi, z mroku nad wielkimi równinami, wypełza w tyle błady świt. Nad pagórkami Iowy bieleją kałuże mgły, pod nimi farmy, płoty, stalowy błysk jakiejś rzeki. Mrugające oczy sygnałów świetlnych czerwienią się w brzasku. Żyły rzek wiją się między poźłobionymi pagórkami.

Omaha. Wielkie kumulusy, od kłębiastomiedzianych do kremowych i srebrzystobiałych, ciągną nad gorącymi równinami brunatne grzywy deszczu. Rude i żółte nieużytki, małe rogate sylwetki bydła. Cheyenne. Chłodne górskie powietrze pachnie słodkimi trawami.

Ciasnozbite chmury pękają na zachodzie i pierzchają strzępiasto nad słomiane wzgórza. Szpiczasto sterczą fioletoawe skały. Samolot pokonuje olbrzymią rozstępującą się ławicę chmur i zjeżdża po wyboistym powietrzu nad zielonymi i szkarłatnymi stokami w oślepiający blask Słonego Jeziora.

Pasażer transkontynentalny myśli o kontraktach, zyskach, wywczasach za granicą, potężnym kontynencie między Atlantykiem a Pacyfikiem, władzy, drutach telegraficznych rozświetlonych melodią dolarów, przeludnionych miastach, pustych preriach, indiańskich ścieżkach przemienionych w drogi polne, przemienione w tłuczniowe gościńce, przemienione w asfaltowe szosy; o kolejach i samolotach: kamieniach milowych miliardowego przyśpieszenia, i w burzliwym powietrzu nad pustynnymi wzgórzami przed Las Vegas dostaje mdłości i wymiotuje do tekturowego pojemnika befszytek z grzybkami, który zjadł w Nowym Jorku. Nieważne, ma w kieszeni srebrne monety, w portfelu banknoty, książeczkę czekową, papiery wartościowe, a w L. A. nie brak restauracji.)

Młody człowiek czeka na skraju asfaltu; samolot dawno zniknął mu z oczu. Zatacza kciukiem ledwo dostrzegalny łuk, ilekroć ze świstem nadleci samochód. Oczami szuka wzroku kierowcy. Podjechać choćby sto mil. W głowie mu się kręci, trzewia ścisną kurcz, po ciele biegają mrówki łaknienia:

chodził do szkoły, książki zachwalały możliwości, reklamy obiecywały powodzenie, dorobisz się własnego domku, będziesz błyszczał bardziej od sąsiada, refrenista nucił w radio o dziewczętach, z ekranu wabiły cienie platynowych bóstw, na tablicach w biurach maklerskich wypisywano kredą milionowe zyski, dla chętnych do pracy były cotygodniowe czeki, perspektywa wakującego dyrektorskiego biurka z trzema telefonami;

młody człowiek czeka koło sznura przelatujących aut; w głowie mu się kręci, kurcz ścisną trzewia, drętwieją beczynne ręce.

Podjechać choćby sto mil.

PRZYPISY TŁUMACZA

Tout de suite (fr.) - zaraz.

Labrume (fr.) - mgła.

Ef awek di beka (francuszczyzna w zapisie fonetycznym zamiast: Oeufs avec du bacon) jaja na bekonie.

Cieśnina (Narrows) to przesmyk wodny szerokości około 1,5 km pomiędzy Staten Island u Long Island, prowadzący z Dolnej do Górnej Zatoki Nowojorskiej i dalej do przystani transatlantyków na zachodnim brzegu Manhattanu. W miejscu, które kursowały wówczas promy między Staten Island a Brooklynem,

wznosi się od 1964 roku

Most Verrazana. w momencie otwarcia najdłuższy most wiszący świata.

Komisja Żeglugi Stanów Zjednoczonych (United States Shipping Board to agenda rządowa powołana w 1916 roku w celu szybkiej rozbudowy floty handlowej USA, które w momencie wybuchu wojny w Europie korzystały w znacznej mierze z frachtowców obu wojujących stron. W rezultacie ogromnego wysiłku organizacyjnego i produkcyjnego amerykański tonaż handlowy wzrósł między rokiem 1914 a 1918 z jednego do dziesięciu milionów ton wyporności. Obszernie jest o tym mowa w przypisie do s.126 "Roku 1919".

Czarny Tom (Black Tom Island) to część Jersey City w stanie New Jersey u zachodniego brzegu Hudsonu, naprzeciwko Manhattanu, gdzie w czerwcu 1916 roku została wysadzona w powietrze fabryka amunicji. Był to jeden z aktów sabotażu dokonywanych wówczas przez niemieckich szpiegów w amerykańskich zakładach zbrojeniowych oraz na statkach wiozących zaopatrzenie wojenne dla państw Ententy, co między innymi doprowadziło wkrótce potem do wydalenia z Waszyngtonu niemieckiego attache morskiego oraz wojskowego, a następnie do wypowiedzenia przez USA wojny państwom centralnym. Stany Zjednoczone wytoczyły Niemcom w 1922 roku sprawę o odszkodowanie za ten sabotaż i postępowanie ciągnęło się przez blisko dwadzieścia lat, nim wreszcie w 1940 roku sąd międzynarodowy na podstawie nowych dowodów przyznał USA reparacje w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów od hitlerowskich już Niemiec.

Battery to park na południowym cyplu Manhattanu, w miejscu, gdzie łączą się dopływają do oceanu dwie nowojorskie rzeki, Hudson i East River. nazwany tak od stojącego tu niegdyś brytyjskiego fortu, wybudowanego w 1693 roku na miejscu wcześniejszych fortyfikacji holenderskich. Główną atrakcją Battery było w latach 1896-1941 największe wówczas na świecie Akwarium, rozebrane w związku z budową tunelu prowadzącego pod dnem East River do Brooklynu. Na północnym skraju parku znajdują się przystanie komendy policji portowej i portowej straży pożarnej, przy południowym zaś - przystanie promów kursujących między Manhattanem a pobliskimi wyspami, między innymi Bedloe Island, na której stoi Statua Wolności.

Jankes Duda ("Yankee Doodle") to osiemnastowieczna pieśń marszowa, popularna w oddziałach amerykańskich w okresie wojny o niepodległość. Pochodzenie tytułu, melodii ani słów nie zostało nigdy definitywnie ustalone, wiadomo jednak, że była ona znana już około 1755 roku. Według tradycji napisana została przez Brytyjczyków dla wyszydzenia niedyscyplinowanych oddziałów kolonialnych, ale przeszła do historii jako pieśń walczących o wolność Amerykanów, którzy zaanektowali postać mądrego głupka Jankesa Dudy i tworzyli o nim coraz to nowe przyspiewki na wiejską modłę. Już bohater pierwszej komedii powstałej na kontynencie amerykańskim, wystawionej w roku 1787, powiada, że zna tylko sto dziewięćdziesiąt wierszy pieśni, ale w domu jest ktoś, kto „potrafi ją zaśpiewać całą”. Jednakże przewijający się w Kronice XLIV fragment patriotycznego kupletu o Jankesie Dudzie nosi wszelkie cechy parafrazy tej pieśni datującej się z okresu pierwszej wojny światowej.

Edward Mandell House (1858-1938), noszący honorowy teksaski tytuł pułkownika, był przyjacielem i szarą eminencją rządów prezydenta Woodrowa Wilsona, który w latach 1914-1919 używał go wielokrotnie jako osobistego wysłannika na delikatne negocjacje z mocarstwami europejskimi, na rokowania o zawieszenie broni, a następnie na konferencję pokojową. Obszernie jest o nim mowa w przypisie do s. 228 "Roku 1919".

Prezydent Woodrow Wilson (1853-1924) doznał apopleksji 26 września 1919 roku w drodze do Wicity w stanie Kansas podczas objazdu kraju, który nie bacząc na ostrzeżenia lekarzy podjął dla przeprowadzenia daremnej jak się miało okazać, kampanii na rzecz ratyfikacji Traktatu Wersalskiego i przystąpienia USA do Ligi Narodów. Wbrew optymistycznym relacjom prasowym Wilson nigdy już nie powrócił do zdrowia, jednakże pozostawał na urzędzie jeszcze przez półtora roku, do 4 marca 1921, kiedy to jego funkcje po upływie ustawowej kadencji objął nowo obrany prezydent Warren Harding. Wilsonowi poświęcił Dos Passos rozdział "Mi-ister Wi-ilson" w "Roku 1919" (strony 226-234).

Charles Michael Schwab (1862-1939) rozpoczął karierę jako hutnik, by w roku 1897 zostać prezesem trustu stalowego Andrew Carnegiego (por. przypis do s. 317 "Roku 1919"). Przeprowadziwszy w 1901 transakcję sprzedaży udziałów Carnegiego J.P. Morganowi, pełnił do roku 1903 funkcję pierwszego prezesa utworzonej przez Morgana Korporacji Stali (por. przypis do s. 44). Dos Passos wspomina o nim dalej w rozdziale "System amerykański" (s. 22) nieprecyzyjnie jako o człowieku, który już w 1901 kupił Bethlehemskie Towarzystwo Stalowe (Bethlehem Steel Company). W rzeczywistości Towarzystwo Bethlehemskie stanowiło część Korporacji Stali do 1904, kiedy to Schwab przejął je całkowicie i uczynił z niego konkurencję i wkrótce największego niezależnego producenta stali. W roku 1917 Schwab stanął na czele utworzonej przy Komisji Żeglugi (por. przypis do s. 12) rządowej agencji do skupu, budowy i eksploatacji statków. Nierozważne inwestycje poza przemysłem stalowym doprowadziły go w latach wielkiego kryzysu do niewypłacalności.

Według źródeł amerykańskich **palmy** to liście palmowe doczepione do wstążeczki orderu, kiedy ktoś zostaje nim odznaczony nie po raz pierwszy. Jak się dalej okazuje, orderem tym w przypadku Charliego Andersona jest francuski Krzyż Wojenny (Croix de Guerre), odznaczenie za waleczność ustanowione specjalnym dekretem 9 kwietnia 1915 roku. Jest to brązowy krzyż na zielonej wstążeczce o siedmiu wąskich czerwonych pionowych paseczkach. Źródła francuskie jednakże podają, że brązowym liściem palmowym

ozdabiana jest dodatkowo wstążeczką, jeśli krzyż został nadany nie tyle ponownie, co za wyczyn najwyższego rzędu, cytowany w rozkazie dziennym sił lądowych, morskich lub powietrznych.

Manhattan to cocktaile z whisky i wermutu, niekiedy z dodatkiem gorzkich kropli, skórki cytrynowej lub czereśni.

Germantown to willowa dzielnica Filadelfii.

James Buchanan (1791-1868) został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych w roku 1856 i piastował najwyższy urząd w latach 1857-1861.

Exeter to zasłużona Phillips Exeter Academy, założona w 1783 roku przez finansistę Johna Phillipsa (1719-1795) w Exeter w stanie New Hampshire. Jest to jedna z najbardziej renomowanych tak zwanych preparatory schools, czyli szkół przygotowujących do studiów wyższych. Taylor ukończył ją w roku 1874.

Uniwersytet Harvarda (Harvard University) nazwany tak w trzy lata po założeniu (1636) na cześć kolonisty Johna Harvarda, który mu zapisał połowę swego majątku i bibliotekę złożoną z 400 woluminów, jest najstarszą uczelnią na kontynencie Ameryki Północnej. Jeden z najbardziej renomowanych i ekskluzywnych uniwersytetów amerykańskich, mieści się w Cambridge, Massachusetts, które już od drugiej połowy 19 stulecia, kiedy to zaczął się okres prawdziwego rozkwitu uniwersytetu, stanowi część Bostonu.

Instytut Stevensa (Stevens Institute of Technology) został założony w Hoboken w stanie New Jersey w 1871 roku z zapisu Edwina Augustusa Stevensa (1795-1868), wynalazcy, magnata kolejowego i stoczniowego. Instytut był pierwszą wyższą uczelnią w Stanach Zjednoczonych nadającą tytuły naukowe w zakresie inżynierii mechanicznej. Taylor uzyskał dyplom inżyniera mechanika w roku 1883.

Grover Cleveland (1837-1908) był dwukrotnie prezydentem USA z ramienia Partii Demokratycznej, w latach 1885-1889 i 1893-1897. Panika na giełdzie nowojorskiej, która wybuchła 26 czerwca 1893, niedługo po objęciu przez niego po raz drugi prezydentury, miała za bezpośrednią przyczynę zniesienie przez Indie, w ślad za kilkoma krajami europejskimi, parytetu srebra na rzecz wyłączności parytetu złota, co pociągnęło za sobą katastrofalny spadek wartości monet srebrnych w stosunku do złotych. Był to jednak tylko ostateczny element, który spowodował załamanie się niezdrowej sytuacji finansowej i gospodarczej kraju, pogłębiającej się już od kilku lat. Rzeczywistymi przyczynami krachu były spadek cen rolnych, nadmierna ekspansja przemysłowa, wybujałe spekulacje finansowe, masowa wyprzedaż obligacji amerykańskich przez zaniepokojonych obcych inwestorów oraz wywołane tym katastrofalne obniżenie się federalnych rezerw złota. Doprowadziło to do największego kryzysu 19 stulecia w Stanach Zjednoczonych, w wyniku którego zbankrutowały tysiące firm, a liczba bezrobotnych urosła do czterech milionów. Por. również przypis do s. 316 "Roku 1919".

Carl Georg Barth (1864-1939), inżynier mechanik pochodzenia norweskiego, współpracujący z Taylorem przy pomiarach eksperymentalnych w Bethlehemskich Zakładach Stalowych, skonstruował suwak rachunkowy do obliczania optymalnych parametrów skrawania metali. Mimo że uwzględniał on dwanaście zmiennych, był na tyle prosty, że mógł się nim posługiwać każdy tokarz. Suwak Bartha pozwalał skracać dotychczasowy czas obróbki od dwu i pół raza do dziewięciu razy.

Chestnut Hill jest przedmieściem Bostonu.

Chat eau - Thierry to miasteczko nad Marną, pod którym pierwsze ciężkie walki toczyły w czerwcu i lipcu 1918 roku nieostrzelane oddziały Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych podczas ostatniej wielkiej ofensywy niemieckiej, która o mało nie doprowadziła do zdobycia Paryża. Jest o tym obszernie mowa w przypisie do s. 201 "Roku 1919".

Facet był z Missouri to aluzja do znanego powiedzonka: "Jestem z Missouri, musicie mnie przekonać" ("I'm from Missouri, you've got to show me"), znaczącego tyle, co: "Nie jestem głupi, nie dam się nabrać". Po raz pierwszy użył tego zwrotu w pewnym przemówieniu w roku 1899 kongresmen ze stanu Missouri, Willard Vandiver.

Agailowie, pisał Dos Passos w swoim "nieformalnym pamiętniku" "Najlepsze czasy" ("The Best Times", 1966), to "jak się dorozumiałem, konfederacja plemion trudniących się przeprowadzaniem karawan przez pustynię". W grudniu 1921 roku Dos Passos przebył pod opieką Agailów na wielbłądzie w ciągu trzydziestu dziewięciu dni około siedmiusetkilometrową trasę przez Pustynię Syryjską z Bagdadu do Damaszku. Był to przedostatni etap jego szaleńczej wyprawy z Rosyjską Komisją Pomocy dla Bliskiego Wschodu (Russian Committee of the Near East Relief, rozpoczętej w sierpniu w Konstantynopolu. Nielegalnie w tę podróż inspekcyjną zabrał Dos Passosa jego starszy znajomy, przewodniczący Komisji, Paxton Hibben, któremu poświęcony jest rozdział "Donkiszot z Indiany" na stronach 167-172 "Roku 1919". Bez paszportu i prawie bez pieniędzy, o głodzie i chłódzie, zapadając po drodze na malarię, najrozmaitszymi środkami transportu, niekiedy w okropnych warunkach, przejechał Dos Passos południowe republiki Związku Radzieckiego, ogarnięte jeszcze wojną domową, trasą Batumi - Tyflis - Erywań - Nachiczewań, a następnie, już na własną rękę, przez Tabriz i Teheran w Persji, Bagdad w Iraku i Damaszek w Syrii dotarł do Bejrutu w Libanie. Podróż tę, pełną przygód i niebezpieczeństw, opisał w 1927 roku w tomie reportażowym "Orient Express".

Tfójiasto to zniekształcone w niemieckiej wymowie starego Vogla słowo Dwójmiasto, czyli przyległe do siebie miasta Minneapolis i Saint Paul w stanie Minnesota, oddzielone rzeką Missisipi.

Legion Amerykański (American Legion) to związek kombatanów pierwszej wojny światowej, powołany do życia w roku 1919 w Paryżu, obecnie grupujący uczestników wszystkich późniejszych wojen, w których Stany Zjednoczone brały udział. Jest to organizacja stawiająca sobie za cel głównie samopomoc, słynąca jednak szczególnie we wcześniejszym okresie ze swego ultrakonserwatyizmu. Jest o niej obszerniej mowa w przypisie do s. 103 "42 równoleżnika".

Dziękczynienie (Thanksgiving Day) to święto amerykańskie przypadające na czwarty czwartek listopada. Po raz pierwszy obchodzili je w roku 1621 purytańscy osadnicy z pierwszej stałej kolonii w Nowej Anglii (w Plymouth koło dzisiejszego Bostonu), na znak wdzięczności za przetrwanie srogiej, głodowej zimy. Wznowił zwyczaj świętowania tego dnia prezydent Washington w roku 1787, a od czasów prezydenta Lincolna (1863) jest ono oficjalnym świętem narodowym.

Łosie to Dobroczytny i Opiekuńczy Zakon Łosi (Benevolent and Protective Order of Elks), stowarzyszenie powstałe w roku 1868, szeroko rozgałęzione w Ameryce, formalnie o charakterze świeckiego zakonu, faktycznie koncentrujące się bardziej na działalności towarzyskiej niż charytatywnej.

Narodziny narodu ("The Birth of a Nation") to sławny w historii kinematografii film Davida Griffitha (1875-1948), wyprodukowany w roku 1915. Oparty na powieści reakcyjnego południowego pisarza Thomasa Dixona pod tytułem "The Clansman" ("Członek klanu, 1905), film stanowi apoteozę Ku-Klux-Klanu, segregacji rasowej i dawnych "patriarchalnych" ideałów Południa. Pomimo oburzenia i protestów, jakie wywołał wśród światlejszej części opinii publicznej, cieszył się ogromnym powodzeniem ze względu na atrakcyjną fabułę i ogromne walory widowiskowe. Przeszedł do historii jako pierwszy długometrażowy obraz posługujący się konsekwentnie filmowymi środkami narracji i wprowadzający wiele rewelacyjnych wówczas innowacji technicznych.

Mein Schatz (niem.) - mój skarbie.

24 kwietnia 1917 roku, w niespełna trzy tygodnie po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, Kongres upoważnił sekretarza skarbu Williama McAdoo (notabene zięcia prezydenta Wilsona) do rozpisania na pokrycie wydatków wojennych tak zwanej Pożyczki Wolności (Liberty Loan) na sumę dwóch miliardów dolarów oprocentowanych zaledwie na 3,5 procent. Do roku 1919 rozpisano jeszcze trzy następne Pożyczki Wolności oraz Pożyczkę Zwycięstwa (Victory Loan) podnosząc za każdym razem nieznacznie stopę aż do 43/4 procent. W rezultacie obligacje na ogólną sumę dwadzieścia jeden i pół miliarda dolarów zakupiło ponad sześćdziesiąt pięć milionów Amerykanów. Była to suma na owe czasy kolosalna, niemal dwukrotnie przewyższająca sumę ściągniętych przez cały okres wojny podatków (jakkolwiek wydatnie podwyższonych), i ona to w lwiej części pokryła koszt udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie.

Warunki, jakie Henry Ford narzucił w lutym 1920 roku swoim przedstawicielom, były faktycznie drakońskie i doprowadziły wielu z nich do ruiny. Jest o tym obszerniej mowa w rozdziale biograficznym poświęconym Fordowi, zatytułowanym "Błaszana Liza" (s. 46).

Korporacja Stali (United States Steel Corporation) została założona w roku 1901 przez Johna Pierponta Morgana seniora (por. przypis do s. 419), który przejął kontrolę nad udziałami Carnegiego w przemyśle stalowym płacąc mu czterysta czterdzieści siedem milionów dolarów w akcjach nowego towarzystwa. Korporacja wypuściła akcji na miliard czterysta milionów dolarów, jakkolwiek jej faktyczny majątek oceniany był zaledwie na sześćset osiemdziesiąt dwa miliony. Jednakże koniunktura oraz fakt, że Korporacja zapewniła sobie prawie całkowitą kontrolę nad przemysłem stalowym Ameryki, sprawił, że nie doszło do bankructwa i towarzystwo było w stanie płacić dywidendy od nie mających początkowo pokrycia akcji nominalnej wartości ponad siedemset milionów. Korporacja Stali była pierwszym towarzystwem na świecie, którego kapitał zakładowy przekroczył miliard dolarów.

Olive Thomas (1898-1920), urodzona jako Olive Elaine Duffy w skromnej rodzinie pensylwańskiej, była panną sklepową, nim nieprzeciętna uroda otworzyła jej drogę do zespołu Florenza Ziegfelda (por. przypis do s. 81). W latach 1917-1920 zagrała kilka ról komediowych w filmach niemych. Jej śmierć 10 września 1920 roku w Szpitalu Amerykańskim w Neuilly pod Paryżem stała się sensacją ze względu na mocno podejrzaną okoliczność, jakie do niej doprowadziły. Ponadto wiadomo było powszechnie, że Olive, chociaż występuje pod nazwiskiem swego pierwszego męża, Thomas, jest żoną aktora komediowego, Jacka Pickforda (1896-1933), brata sławnej Mary. Jack i Olive spędzali w Europie miesięczne wakacje, które miały przypieczętować ich pogodzenie się po uprzednim zerwaniu. 7 września wrócili nad ranem z dansingu do paryskiego hotelu Ritz, gdzie mieszkali (a jak fama niosła, urządzali także orgie kokainowo-alkoholowe), i według późniejszych ustaleń sędziego śledczego, Jack poszedł spać, a Olive, nie mogąc zasnąć, wypila zapewne przez pomyłkę preparat zawierający dwuchlorek rtęci, który wzięła za środek nasenny. Ze straszliwie poparzoną przetykiem przewieziono ją do szpitala, gdzie po trzech dniach zmarła, Jacka zaś w stanie załamania nerwowego umieszczono w hotelu Crillon, gdzie lekarze nikogo do niego nie dopuszczali. I prasa, i policja podejrzewały oczywiście samobójstwo, a nawet zabójstwo, szczególnie że Olive ubezpieczyła się kilka miesięcy wcześniej na bardzo wysoką sumę. Dzienniki rozpisywały się przez tydzień po tragedii i mimo oficjalnego orzeczenia, że była ona wynikiem niefortunnego przypadku, nad całą sprawą pozostał do dziś cień niejasności. (Por. również przypis do s. 55.)

Jest to fragment trzyszpaltowego artykułu, który się ukazał 4 lutego 1900 w gazecie "Detroit News-Tribune" pod sensacyjnym tytułem "Szybciej niż koń wyścigowy mknął automobil po oblodzonych ulicach" ("Swifter Than a Race-Horse It Flew over Icy Streets"). Nie była to pierwsza wzmianka prasowa o trzydziestosiedmioletnim wówczas Henry Fordzie (1863-1947), ale pierwszy o nim obszerniejszy artykuł, rezultat pokazu możliwości jego automobilu przed reporterem gazety. Ten pełnosprawny już model, którym Ford jeździł po mieście za specjalnym zezwoleniem burmistrza, był prawdopodobnie trzecim z kolei przez niego skonstruowanym (na pewno tego nie wiadomo), i którego seryjną produkcję zdecydowała się już finansować grupka przemysłowców. Niemiecki wynalazca i przemysłowiec Nikolaus Otto (1832-1891) skonstruował i opatentował w 1876 roku czterotaktowy motor spalinowy tłokowy na gaz świetlny, ze sprężaniem mieszanki i zapłonem elektrycznym, o 150 do 180 obrotach na minutę. Motor ten służył za wzór do udoskonalień nie tylko Fordowi, ale i wielu innym konstruktorom, szczególnie Niemcom Daimlerowi i Benzowi.

Holenderski farmer z Pensylwanii (Pennsylvania Dutchfarmer) to potomek członków jednej z dysydenckich sekt protestanckich (mennonitów, anabaptystów, braci morawskich), licznie tu szukających schronienia przed prześladowaniami religijnymi w Europie w latach 1683-1741. Nie byli to jednak bynajmniej Holendrzy, lecz Niemcy, a nieporozumienie wynikało stąd, że pytani o narodowość przedstawiali się jako "Deutsche" (Niemcy), co wcześniej tu osiadła ludność anglosaska rozumiała jako "Dutch" (Holendrzy). Niektóre odłamy tych dysydentów przestrzegają po dziś dzień rygorystycznych przepisów religijnych i wyróżniają się prostotą życia, gospodarnością oraz specyficzną obyczajowością, kuchnią i rękodziełem.

Towarzystwo Motoryzacyjne Forda (FordMotorCompany), z kapitałem zakładowym dwudziestu tysięcy dolarów, zostało zarejestrowane 16 czerwca 1903 roku. Henry Ford, który wniósł do niego swoje modele, swoje patenty i swoją wiedzę, otrzymał w nim początkowo 25,5 procent udziałów. Była to czwarta kolejna spółka zawarta przez Forda dla produkcji jego samochodów. Pierwsze dwie, założone w 1899 i 1901, szybko się rozleciały na skutek tarć między wynalazcą a finansistami, których interesowały głównie szybkie zyski, a nie konstrukcja modelu zdolnego do masowej produkcji. Tę zaczął w roku 1902 finansować detroicki kupiec węglowy Alexander Malcolmson i po paru miesiącach konstruktor i kupiec założyli spółkę, która wypuściła akcje. W ciągu następnego pół roku do interesu przystąpiło dziesięciu dalszych finansistów i tak powstało Towarzystwo Motoryzacyjne Forda. Ażeby mieć w nim głos decydujący, Ford za zarobione pieniądze wykupywał coraz więcej akcji. W roku 1906 miał już 51 procent udziałów, następnie 58,5, wreszcie w 1919 wykupił resztę, o czym jest mowa dalej.

Na torze wyścigów konnych w Grosse Pointe koło Detroit Henry Ford ścigał się w październiku 1901 z bardziej znanym od niego wówczas konstruktorem i automobilistą Alexandrem Wintonem (1860-1932). Wygrana przyniosła Fordowi nagrodę dziesięciu tysięcy dolarów oraz reklamę potrzebną do zorganizowania jego drugiej spółki. Ford jednak był zawsze wrogiem ryzykowania życia w wyścigach i pogoni za rekordami. w październiku następnego roku przeto, mimo że współnicy zgłosili samowolnie jego udział, posadził zamiast siebie za drążkiem kierowniczym swego nowego modelu wyścigowego 999 niedoświadczonego, ale nieustraszonego Barneya Oldfielda (1878--1946), który ówczesną wygraną zapoczątkował swoją świetną karierę kierowcy wyścigowego, ukoronowaną w marcu 1910 przejechaniem mili na plaży w Daytona Beach na Florydzie z szybkością 132 mil, czyli 212 km na godzinę. Sześć lat wcześniej rekord szybkości na dystansie mili krótko należał do samego Henry Forda, który wbrew swoim zasadom pokusił się o niego przynaglony potrzebą pchnięcia opornie idącej sprzedaży nowo wypuszczonego modelu B. W publikacji reklamowej zakładów Forda tak opisano ten wyczyn: "FORD KRÓLEM. Światowy rekord szybkości na dystansie mili pobity przez maszynę Forda. 12 stycznia 1904 na posypanym żużlem torze lodowym na jeziorze St. Clair koło New Baltimore w stanie Michigan Henry Ford przejechał w swojej słynnej 999 dystans mili w najkrótszym czasie osiągniętym kiedykolwiek przez automobil na jakimkolwiek torze wyścigowym, obniżając rekord świata o 6,25 sekundy. Oficjalny czas: 999 Forda = 39,25 sekundy. Poprzedni rekord 46 sekund". Równało się to szybkości ponad 91 mil, czyli 147 km na godzinę. Nawiasem można wspomnieć, że Dos Passos podaje czas o 2 j s sekundy dłuższy niż reklama Forda.

W rzeczywistości pierwszy Model T został wprowadzony na rynek 1 października 1908 i auto to było produkowane z niewielkimi udoskonaleniami konstrukcyjnymi przeszło dziewiętnaście lat. 26 maja 1927 z taśmy zjechał piętnastomilionowy egzemplarz Modelu T i równocześnie Ford ogłosił, że jego zakłady przerywają produkcję tego modelu i przystępują do konstrukcji nowego. Ten rekord produkcji jednego typu samochodu utrzymał się ponad czterdzieści lat i został pobity dopiero przez popularnego "Garbusa" Volkswagena. Model T stał się w krótkim czasie prawdziwym wozem rodzinnym, traktowanym niemal z czułością, opatrywanym wieloma pieśczożliwymi imionami, z których jedna, Błaszana Liza (Tin Lizzie) weszła do języka potocznego. Cena samochodu, która nie była początkowo wcale mała, bo wynosiła osiemset pięćdziesiąt dolarów, ulegała obniżce w miarę umasowienia i mechanizacji produkcji osiągając swoje minimum, dwieście dziewięćdziesiąt dolarów, w 1924 roku.

HighlandPark to miasteczko nad jeziorem Michigan stanowiące dziś część wielkiego Detroit. Jego burzliwy rozkwit zaczął się od chwili, gdy Ford zbudował tu w 1909 roku swoją fabrykę.

System amerykański (American Plan) zakładał między innymi zasadę niedopuszczania na terenie fabryk działalności związków zawodowych i nieangażowania albo zwalniania robotników w nich zrzeszonych. Henry Ford nie tolerował u siebie działalności związkowej dłużej niż większość przedsiębiorców i dopiero w roku 1941, po dwuipółmiesięcznym strajku, którego nie udało mu się złamać siłą był zmuszony przystać na rokowania ze związkami i na ostateczne podpisanie z nimi 19 czerwca umowy zbiorowej. Z drugiej strony nie sposób jednak nie zauważyć, że jego paternalistyczna polityka wysokich wynagrodzeń i dbałości o zdolnych i potulnych robotników cieszyła się w społeczeństwie znacznym poparciem, skoro jeszcze w marcu tego roku (1941), już w okresie narastającego konfliktu z robotnikami, Amerykański Instytut Badania Opinii Publicznej stwierdził, że 58 procent ankietowanych popiera odmowę Forda uznania związków, 29 procent potępia, a 13 procent nie ma w tej sprawie zdania.

Jukon (Yukon) to rzeka na pograniczu Kanady i Alaski oraz nazwane od niej terytorium w północno-zachodniej Kanadzie. Dos Passos używa tu tej nazwy jako synonimu sławnego regionu Klondike, który w latach 1896-1899 był terenem głośnej gorączki złota. Rzeka Jukon stanowiła wówczas główny szlak, którym poszukiwacze docierali na pola złotodajne.

William Holmes McGuffey (1800-1873), profesor języków i filozofii na kilku uniwersytetach, był autorem elementarza i serii czytanek oraz podręczników ortografii i retoryki, ogłaszanych w latach 1836--1857, a następnie wznawianych masowo aż do roku 1920. Osiągnęły one astronomiczny na owe czasy ogólny nakład około stu dwudziestu dwóch milionów egzemplarzy i służyły niezliczonym rzeszom uczniów amerykańskich. Jeszcze w roku 1961 głośna była kontrowersja wokół posługiwania się wypisami McGuffeya z roku 1879 w jednej ze szkół Wisconsinu. Czytanka McGuffeya, ostrożnie dobierające teksty z literatury anglosaskiej do celów staroświeckiej konserwatywnej moralistyki, wywarły wielki wpływ na kształtowanie umysłowości przeciętnych Amerykanów. W końcowym kolekcjonerskim okresie swego życia Henry Ford należał do namiętnych zbieraczy wczesnych wydań McGuffeya.

Rosika Schwimmer (1877-1948), publicystka i działaczka społeczna pochodzenia węgierskiego, w rzeczywistości została zaproszona do domu państwa Fordów za pośrednictwem redaktora naczelnego gazety "Detroit News". Przybyła tam w listopadzie 1915, w towarzystwie drugiego pacyfisty, byłego sekretarza Międzynarodowej Federacji Studentów, Louisa Lochnera, ażeby pozyskać Forda dla planu tak zwanej nieustającej mediacji pokojowej. Plan ten, cieszący się już dość dużym poparciem w Ameryce, wysunięty został przez sufrażystkę i pacyfistkę Jane Addams, założycielkę słynnego chicagowskiego Domu Hullu (por. przypis do s. 109 "Roku 1919"), która właśnie wróciła z Hagi, gdzie przewodniczyła zjazdowi Międzynarodowej Kobiecej Ligi Pokoju. Chodziło o utworzenie na neutralnym terenie stałego komitetu złożonego z wybitnych osobistości, który by tak długo wysuwał inicjatywy pokojowe, aż wreszcie któraś z nich zostałaby zaakceptowana przez strony wojujące. Ta właśnie idea przyświecała zorganizowanemu przez Forda, tyleż szlachetnemu, co nierealistycznemu rejsowi do Europy tak zwanego Statku Pokoju (por. przypis do s. 324 "42 równoleznika"), który wiozł osiemdziesięciu trzech delegatów do przyszłego komitetu i pięćdziesięciosobowy sekretariat.

Biedny Ryszard to Richard Saunders, rzekomy autor i bohater almanachów ("Poor Richard's Almanacks"), wydawanych w latach 1733-1758 w Filadelfii przez Benjamina Franklina, który w jego usta wkładał ludowe mądrości, aforyzmy, przysłowia, żartobliwe prognozy, porady i tym podobne. Postać Biednego Ryszarda, zaczerpnięta jak i wiele jego mądrości z tradycji Starego Świata, weszła na trwałe do świadomości amerykańskiej.

William Jennings Bryan (1860-1925), najwybitniejszy przedstawiciel lewego skrzydła Partii Demokratycznej na początku stulecia, jest bohaterem biograficznego rozdziału "Młody mówca z nad rzeki Platte" w "42 równolezniku" (strony 170-173). Trzykrotny kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta, przegrał wybory na rzecz kandydatów republikańskich, Williama McKinleya w roku 1896 i 1900 oraz Williama Tafta w roku 1908. Jednym z istotnych punktów jego programu politycznego było nieograniczone bicie monet srebrnych, w czym upatrywał panaceum na złą sytuację materialną farmerów i innych ludzi pracy. Głównie dzięki jego poparciu Wilson otrzymał nominację w wyborach roku 1912 i zostawszy prezydentem mianował Bryana sekretarzem stanu. Bryan, konsekwentny pacyfista, ustąpił z tego stanowiska 9 czerwca 1915 roku na znak protestu przeciw drugiej nocie Wilsona do Niemiec w sprawie zatopienia pasażerskiej "Lusitania", słusznie przewidując, że ostry ton noty musi w konsekwencji wciągnąć Stany Zjednoczone w wojnę. W późniejszych latach odegrał kluczową rolę w uchwaleniu dwu poprawek do konstytucji - przyznającej prawo wyborcze kobietom oraz wprowadzającej prohibicję. Jest o nim również mowa w przypisach do s.169 „42 równoleznika” i s. 278 "Roku 1919" oraz na stronach 341, 415, 417 i 419 "Ciężkich pieniędzy".

Osobnik, który się rzucił do Rzeki Północnej (dzisiejszego Hudsonu) w Hoboken, skąd odpływał "Oskar II", wyłowiony przedstawił się prasie jako pan Zero (Mr. Zero), jednakże niezgodnie z interpretacją Dos Passosa wyjaśnił: "Nie myślcie, że chciałem dogonić ten statek. Rzuciłem się do rzeki, żeby przemówić do opinii publicznej. Wojna musi się skończyć".

W Chautauqua, w stanie Nowy Jork, odbywały się doroczne obozy Kościoła episkopalnego, od roku 1874

przekształcone w zjazdy dla nauki religii. Później program został rozszerzony o dziedziny wykształcenia świeckiego i tak zwany ruch Chautauqua pokrył cały kraj wakacyjnymi obozami dokształcającymi.

Ścigacze łodzi podwodnych klasy „Orzeł” weszły do produkcji w Zakładach Forda na początku roku 1918, gdy nie chciała się tego podjąć żadna ze stoczni. Miały one być holowane wielkimi jeziorami i Rzeką Świętego Wawrzyńca do Atlantyku, jednakże do dnia zawieszenia broni spuszczone ich na wodę zaledwie siedem, a tylko dwa dopłynęły do oceanu. Z początkowo zamówionych stu pięćdziesięciu wyprodukowano ostatecznie sześćdziesiąt, zawieszając produkcję w maju 1919. Minitanków zamówiono u Forda piętnaście tysięcy, jednakże ani jeden nie dotarł do Europy przed zakończeniem wojny. Natomiast Zakłady Forda dostarczyły dla sił amerykańskich i alianckich sześć tysięcy ambulansów, trzydzieści trzy tysiące samochodów osobowych i ciężarowych. Produkowały również hełmy, przodki do dział, detektory łodzi podwodnych i płyty pancerne.

Protokoły Mędrców Syjonu, opublikowane w 1905 roku w Rosji, to sfabrykowane przez policję carską rzekome sprawozdania z tajnych spotkań syjonistów w 1897 w Bazylei, na których miano ułożyć żydowsko-masoński plan przechwycenia władzy nad światem przez podkopanie moralności chrześcijańskiej, życia rodzinnego, zdrowia społecznego, opanowanie finansów et cetera. "Protokoły" zostały po raz pierwszy zdemaskowane jako fałszerstwo w 1921 roku przez korespondenta "Timesa" w Konstantynopolu, Philipa Gravesa, co zostało później oficjalnie potwierdzone w wyniku sprawy sądowej, która się toczyła w latach 1934-1935 przed sądem w Bernie. Mimo to były przez długie lata wykorzystywane jako oręż w kampaniach antysemickich.

Ford kupił Dearborn Independent, prowincjonalny tygodnik wydawany w miejscu jego urodzenia, Dearborn, stolicy hrabstwa Wayne nieopodal Detroit, pod koniec roku 1918 i finansował jego publikację w latach 1919-1927. Zaangażował rutynowanych dziennikarzy i próbował bez większego powodzenia uczynić z pisma konkurencję dla takich popularnych tygodników ogólnokrajowych, jak "Saturday Evening Post", "Collier's" czy "Harper's Weekly". Wprawdzie w latach 1923-1927 "Independent" miał ponad pół miliona nakładu, ale zawdzięczał to w znacznej mierze wymuszonej prenumeracie, której akwizycja została narzucona wszystkim sprzedawcom samochodów Forda. Niepoczytalną kampanię antysemicką prowadził od maja 1920 do stycznia 1922, po czym wznowił ją w kwietniu 1924. Tym razem zakończyło się to procesem o oszczerstwo wytoczonym Fordowi i jego publikacji przez wybitnego adwokata chicagowskiego, Aarona Sapiro. Ford, któremu już wcześniej, podczas procesu przeciwko "Chicago Tribune", prasa nadała przydomek idealisty-ignoranta, zdaje się rzeczywiście wierzył, że Żydzi są winni wszystkiemu, co obrażało jego zaściankową moralność i wykraczało poza jego ciasne horyzonty, i że oddaje społeczeństwu przysługę demaskując ich rzekomy spisek. Ta aberracja kosztowała go wiele również finansowo na skutek bojkotu jego aut przez niektóre środowiska nie tylko żydowskie, co było nie bez wpływu na wyciszenie pierwszej kampanii antysemickiej w 1922. Kiedy oskarżenie Aarona Sapiro przeciwko "Dearborn Independent" weszło wreszcie na wokandę sądu w Detroit, co nastąpiło dopiero w marcu 1927, całą winę za nagonkę antysemicką wziął na siebie redaktor naczelny, William Cameron, utrzymując nieprawdziwą i nieprawdopodobną wersję, że Ford właściwie o niczym nie wiedział, bo pismem zupełnie się nie interesował. Sam Ford uniknął zeznawania w sądzie wykorzystując fakt, że akurat miał niegroźny wypadek samochodowy, i wkrótce potem zawarł z Sapiro ugodę pozasądową, a 7 lipca ogłosił sensacyjny list otwarty, w którym się całkowicie odżegnywał od żydożerczych poglądów, głoszonych od siedmiu lat przez jego pismo, i prosił o przebaczenie wszystkich, których uczucia obraził. Jak przypuszcza jego biograf, David Lewis, w książce "The Public Image of Henry Ford" ("Wizerunek publiczny Henry Forda", Detroit 1976), nie musiało to być pociągnięcie wyłącznie taktyczne, gdyż powszechne oburzenie towarzyszące procesowi wywarło jednak wrażenie na Fordzie i mogło wpłynąć na pewną zmianę jego poglądów.

Proces o milionowe odszkodowanie za oszczerstwo wytoczył Ford hurrapatriotycznej i ultrakonserwatywnej Chicago Tribune w 1916 roku. Po głośnym napadzie Pancho Villi na miasteczko Columbus w Nowym Meksyku (por. przypis do s. 419) gazeta ta zwróciła się do pewnej liczby wielkich przedsiębiorców z pytaniem, czyby wsparli finansowo swoich pracowników powołanych do służby w Gwardii Narodowej na granicy meksykańskiej. Skarbnik Towarzystwa Motoryzacyjnego Forda, Frank Klingersmith, odpowiedział nieopatrznie, że nie, na co "Chicago Tribune" zareagowała artykułem redakcyjnym zatytułowanym "Ford jest anarchistą". Ford zażądał zadośćuczynienia, a wobec odmowy wydawcy gazety, zadzierzystego pułkownika Roberta McCormicka, oddał sprawę do sądu. Przewód rozpoczął się dopiero 12 maja 1919 i trwał do 14 sierpnia. Dla ochrony swojego dobrego imienia Ford założył własną agencję informacyjną w małym kurorcie, gdzie się toczył proces, Mount Clemens pod Detroit. Zajmowała ona całe piętro biurowca naprzeciwko gmachu sądu i rozsyłała gratis codzienne sprawozdania z procesu do dwustu sześćdziesięciu dzienników oraz dwu- i pół tysiąca tygodników, a okresowe omówienia i artykuły do trzynastu tysięcy pism w całych Stanach. Informacje miały być wyczerpujące i obiektywne, ale nie zawsze takie były, szczególnie kiedy na ławie dla świadków zasiadł sam Ford i przyciskany przez adwokatów ośmieszał się raz po raz swoją ignorancją, złośliwie wybijaną przez wielkie dzienniki wielkomięskie, a dyskretnie przemilczaną lub tuszowaną przez Agencję w Mount Clemens. Ostatecznie ława przysięgłych, złożona z

jedenastu farmerów i jednego drogowca, uznała, że nazwanie Forda anarchistą było wprawdzie oszczerstwem, ale nie zaszkodziło zbytnio jego interesom, wobec czego zasądzono od gazety symboliczne odszkodowanie w wysokości sześciu centów, co umożliwiło obu stronom ogłoszenie tryumfalnego zwycięstwa.

Calvin Coolidge (1872-1933), adwokat z Massachusetts, rozpoczął karierę polityczną jako burmistrz miasta Northampton, kongresmen i senator stanowy, wice-gubernator, wreszcie gubernator swego stanu. W 1920 roku został republikańskim wiceprezydentem USA u boku prezydenta Warrena Hardinga (por. przypis do s. 136), a gdy ten zmarł, przejął po nim urząd 3 sierpnia 1923 i pełnił go przez następną kadencję, do 1928, kiedy to nie chciał więcej kandydować i wysunął na swego następcę Herberta Hoovera (por. przypis do s. 383). Dos Passos nazywa go tu domorosłym filozofem, gdyż pewne jego wypowiedzi publiczne nabrały charakteru obiegowych mądrości. Kiedy w roku 1919, jako gubernator, użył milicji stanowej do złamania strajku policji bostońskiej, wypowiedział zdanie, które weszło do historii: "Nikt, nigdzie i nigdy, nie ma prawa strajkować przeciwko bezpieczeństwu publicznemu". Nominowany na kandydata Partii Republikańskiej do prezydentury w 1924 oświadczył: "Jestem za gospodarnością (economy). Poza tym jestem za jeszcze większą gospodarnością. W chwili obecnej i w obecnych warunkach to jest moje wyobrażenie o służbie narodowi". Pełniąc swój urząd w okresie koniunktury, nie wplątany w skandale prezydentury Hardinga, uczciwy, bezpośredni i swojski, cieszył się dużą popularnością. Swoje credo polityczne sformułował w sloganie: "Interesem Ameryki jest interes". I rzeczywiście popierał wielki biznes, sprzeciwiał się interwencjonizmowi państwowemu i subsydiom dla farmerów, głosił leseferyzm gospodarczy i nieangażowanie się USA w działalność organizacji między-narodowych.

Kiedy Dos Passos publikował "Ciężkie pieniądze" w 1936 roku, Henry Ford żył jeszcze. Umarł w roku 1947 w wieku blisko osiemdziesięciu czterech lat.

Samobójczyni, która była przyjaciółką Olive Thomas (por. przypis do s. 45), to niejaka Anna Daly, która zażyła 16 września 1920 roku śmiertelną dawkę weronalu w nowojorskim hotelu Seville i zmarła przewieziona do szpitala Bellevue (por. przypis do s. 223). Anna chodziła wraz z Olive do szkoły i wraz z nią rozpoczęła pracę, odmiennie od Olive jednak pozostała do śmierci panną sklepową. Zarejestrowała się w hotelu pod fikcyjnym nazwiskiem, wskutek czego policja zidentyfikowała jej zwłoki dopiero po sześciu dniach. Anna pozostawiła list wyjaśniający samobójstwo zawodem miłosnym, ale prasa po odkryciu jej związków z Olive dopatrywała się oczywiście ubocznej przyczyny jej desperackiego kroku w depresji spowodowanej tragiczną śmiercią dawnej przyjaciółki.

Gnojodłubami (muckrakers) nazwał prezydent Teodor Roosevelt w 1906 roku grupę publicystów i pisarzy zajmujących się demaskowaniem korupcji, wyzysku i skandalicznych warunków panujących w różnych dziedzinach życia gospodarczego, społecznego i politycznego Ameryki. Fala demaskatorskich publikacji, która weszła do historii kultury amerykańskiej pod nazwą ruchu gnojodłubów, rozpoczęła się w roku 1902 i została zahamowana dopiero w 1917 przez wprowadzenie cenzury po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny. Jest o tym obszerniej mowa w przypisie do s. 227 "Roku 1919" (por. również przypisy do stron 106, 418).

Greenwich Village to nowojorska dzielnica cyganerii na Dolnym Manhattanie. Al Johnson czyni tutaj aluzję do pierwotnego sensu słowa "village", które znaczy "wieś, miasteczko". Obszerniej o Greenwich Village jest mowa w przypisie do s.17 "Roku 1919".

Washington Square Players to niekomercyjna trupa teatralna, utworzona w 1914 roku, która wzięła swoją nazwę od centralnego placu Greenwich Village. Jej działalność zapoczątkowała burzliwy rozwój amerykańskiego teatru artystycznego lat dwudziestych, z ambitnym repertuarem, nowatorskimi inscenizacjami i wieloma wybitnymi indywidualnościami.

Joie de vivre (fr.) - (... nie miały odrobiny) radości życia.

Meble w stylu misyjnym, popularne w Ameryce na początku stulecia, miały imitować wyposażenie dawnych hiszpańskich misji w Kalifornii. Były robione z ciemnego drewna o wyraźnych słojach, najczęściej z dębiny, i odznaczały się ciężkością oraz skrajną prostotą.

Escadrille Lafayette (fr.) to eskadra nazwana imieniem markiza de Lafayette (1757-1834), francuskiego bohatera amerykańskiej wojny o niepodległość, który stał się symbolem amerykańsko-francuskiego braterstwa broni. Eskadra została utworzona 20 kwietnia 1916 przez siedmiu amerykańskich pilotów-ochotników, po przystąpieniu USA do wojny w rok później pozostała jeszcze przez dziesięć miesięcy częścią lotnictwa francuskiego i dopiero w lutym 1918 przekształcono ją w 103 Eskadrę Służby Powietrznej Stanów Zjednoczonych. Stworzona przez młodych ludzi z wyższych sfer, była do końca jednostką elitarną. Nigdy nie liczyła więcej niż piętnastu pilotów na raz, a w sumie przez dwadzieścia dwa miesiące jej istnienia przewinęło ich się zaledwie trzydziestu ośmiu. Piloci latali na jednoosobowych aparatach myśliwskich typu Nieuport, a prasa amerykańska była pełna barwnych opisów ich wyczynów. As eskadry, Raoul Lufberry, zestrzelił siedemnaście aeroplanów niemieckich, nim sam został zestrzelony w maju 1918. Por. również przypis do s. 179, Roku 1919"

York Harbor to elegancki kurort nad Atlantykiem, na południowym krańcu wybrzeża stanu Maine, stanowiący część jednego z najstarszych miast Ameryki Północnej, siedemnastowiecznego Yorku.

Awiaterr... (łamana francuszczyzna w zniekształconej pisowni fonetycznej zamiast: "aviateur, lieutenant, Croix de Guerre, coucher, oui, oui") - lotnik, porucznik. Krzyż Wojenny, przespać się, tak, tak.

Nowojorska Biblioteka Publiczna, wybudowana kosztem dziewięciu milionów dolarów w 1911 roku w modnym wówczas eklektycznym stylu neoklasycyżnym, mieści się na Piątej Alei między Czterdziestą a Czterdziestą Drugą Ulicą. W tym czasie była to druga co do wielkości biblioteka USA, ustępująca tylko Bibliotece Kongresu (Congress Library) w Waszyngtonie. W budynku na Piątej Alei zgromadzono dwa i pół miliona woluminów zajmujących ponad sto dwadzieścia km półek, dalsze półtora miliona dostępne było za pośrednictwem pięćdziesięciu jeden filii.

Czerwony kundel(red dog) to prymitywna gra hazardowa, w której każdy z uczestników wpłaca kolejno stawkę do banku i wygrywa, jeśli ma w ręku starszą kartę tego samego koloru, co ta, która zostanie otwarta z nie rozdanej części talii.

Bo-ku (francuszczyzna w pisowni fonetycznej zamiast: "beaucoup")-dużo.

Florenz Ziegfeld (1867-1932) wstąpił się w 1907 roku wystawiając w Nowym Jorku "Szaleństwa 1907" ("Follies of 1907"), nowy typ widowiska rozrywkowego powtarzany następnie corocznie z niesłabnącym powodzeniem do 1927. W widowiskach tych przeplatał dowcipne monologi, skecze i scenki nawiązujące do aktualnych wydarzeń z występami tanecznymi skąpo odzianych girls. Ziegfeld, który w latach dwudziestych był dyktatorem teatru rewiowego, wylansował wiele gwiazd i wielu komików oraz nowy ideał urody kobiecej - smukłych, długonogich, wysportowanych dziewcząt. Od momentu dostania się do jego baletu rozpoczyna się kariera fikcyjnej bohaterki dalszych rozdziałów "Ciężkich pieniędzy", Margo Dowling (por. s. 226 i następne).

Jest to aluzja do osoby Thomasa Clarka Duranta (1820-1885), budowniczego kolei i finansisty, głównie dzięki którego energii i uporowi został w latach 1862-1869 wybudowany najtrudniejszy, przeszło tysiąc milowy odcinek pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej Union Pacific na trasie z Omahy w Nebrasce do Sacramento w Kalifornii. W 1872 roku wybuchł skandal o milionowe nadużycia poczynione przez towarzystwo budowy kolei, Credit Mobilier of America, które kontrolował właśnie Durant, chociaż nominalnie był tylko przez pewien czas jego wiceprezesem, jednakże dochodzenie prowadzone przez specjalną komisję kongresową nie pociągnęło za sobą właściwie żadnych konsekwencji, być może dlatego, że w aferę było wplątane zbyt wiele wysoko postawionych osobistości życia politycznego.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (Department of the Interior) ma w Stanach Zjednoczonych zupełnie odmienny zakres działania niż ministerstwa o tej nazwie w państwach europejskich. Do jego kompetencji należy między innymi administrowanie terytoriami zamorskimi i wyspami parkami narodowymi, rezerwatami przyrody i Indian, terenami państwowymi, zasobami naturalnymi i wodnymi, poszukiwania geologiczne, ochrona przyrody i środowiska.

Przesłuchania baseballistów toczyły się w związku ze skandalem jaki wybuchł w 1919 roku, kiedy wyszło na jaw, że chicagowska drużyna White Sox rozmyślnie przegrywała w meczach pucharowych, przekupiona przez gangi. Dla ratowania nadwerężonego prestiżu obu ogólnonarodowych lig mianowano 8 listopada 1920 roku sędziego federalnego Kenesawa Mountaina Landisa (1866-1944) komisarzem do spraw baseballu, którym pozostawał aż do śmierci. 3 sierpnia następnego roku Landis, któremu nadano przydomek cara baseballowego, wydał wyrok wykluczający drużynę chicagowską z rozgrywek ligowych. Wysokie wymagania etyczne, jakie stawiał graczom i działaczom, szczegółowe przepisy i surowe kary za wszelkie wykroczenia wkrótce przywróciły wiarygodność rozgrywkom tego narodowego sportu amerykańskiego. Jest o tym również mowa w przypisie do s. 103 "42 równoleżnika".

Elbert Henry Gary (184(~1927), prawnik z wykształcenia, był jednym z najbliższych współpracowników J.P. Morgana seniora (por. przypis do s. 419). Z jego polecenia zorganizował w roku 1898 Federalne Towarzystwo Stalowe, a w 1901 dokonał wykupu udziałów Carnegiego i utworzył Amerykańską Korporację Stali, którą kierował jako prezes rady nadzorczej od ustąpienia Schwaba w 1903 aż do śmierci. Prowadził długotrwały proces z rządem federalnym, który dążył do rozwiązania Korporacji jako monopolu, zakończony w 1919 niekorzystnym dla rządu orzeczeniem Sądu Najwyższego. W 1905 założył nazwane jego imieniem miasto Korporacji, Gary w Indianie, które w roku 1920 liczyło już blisko sto tysięcy mieszkańców. Jakkolwiek na swój sposób dbały o dobrobyt i warunki pracy robotników, był równocześnie zaciekle wrogiem związków zawodowych i trwał z uporem przy horrendalnie długim dniu roboczym, co doprowadziło na przełomie lat 1919-1920 do gwałtownego strajku w przemyśle stalowym. Mimo zdławienia strajku Gary musiał wkrótce pod naciskiem opinii publicznej wprowadzić ośmiogodzinny dzień pracy. **Harald Pięknowłosa** (Harald Haarfager, około 853-933) uważany jest za pierwszego historycznego króla Norwegii. W roku 872 zjednoczył Norwegię, pokonawszy licznych lokalnych władców, czyli jarłów, i ukracając łupiestwo Wikingów, którzy zaczęli masowo migrować do Islandii, Szkocji, Normandii oraz na Orkady i Szetlandy.

Święty Olaf (Olaf Haraldson, około 995-1030), jeden z następców Haralda na tronie norweskim, ostatecznie zjednoczył kraj i wprowadził chrześcijaństwo, jednakże opuszczony przez wielmożów został w 1028 roku wypędzony z kraju przez króla duńskiego Kanuta II i znalazł schronienie na Rusi. Kanonizowany w 1164, stał się patronem Norwegii i został uznany za bohatera walk przeciw panowaniu duńskiemu.

Winlandia (Vinland) to kraina na wschodnim wybrzeżu Ameryki, do której miał według sag skandynawskich dotrzeć około 1000 roku żeglarz Leif Ericsson. Nazwa pochodzi jakoby od winnej latorośli, którą tam odkrył, co jednak nie pasuje do klimatu Nowej Fundlandii, z którą się najczęściej utożsamia Winlandię. Toteż, w miarę odkrywania coraz nowych śladów przypuszczalnej bytności Wikingów na wybrzeżach amerykańskich umiejscowiano mityczną krainę w różnych regionach, aż po Wirginię na południu, bądź też wywodzono etymologię nie od winorośli, lecz od nazwy terenów pastewnych i przesuwano domniamaną lokalizację Winlandii na północ, aż do Labradoru.

Prawo pierwokupu stu sześćdziesięciu akrów, czyli prawie sześćdziesięciu pięciu hektarów ziemi państwowej przed wystawieniem jej na licytację nadawała tak zwana Ustawa o Pierwokupie (Preemption Act) z roku 1841 potencjalnym osadnikom, którzy wnieśli odpowiednie roszczenia i uzdatnili upatrzoną działkę do celów rolniczych. Następną farmę w Minnesocie, o czym jest mowa nieco dalej, Veblenowie uzyskali już na podstawie tak zwanej Ustawy o Nadaniach Osadniczych (Homestead Act) z roku 1862, która przyznawała bezpłatnie prawo własności również stu sześćdziesięciu akrów-ziemi na nowo zasiedlanych terenach zachodnich przybyszom po pięciu latach gospodarowania. Obie ustawy zostały przeforsowane w Kongresie przy silnym oporze stanów wschodnich, które się obawiały odpływu taniej siły roboczej, oraz ziemian z Południa, którzy słusznie przewidywali, że nowi osiedleńcy okrzepłszy wzmocnią szeregi abolicjonistów walczących przeciwko niewolnictwu. Szczególnie druga ustawa przyczyniła się do ogromnej migracji na zachód przybyszów, którzy zagospodarowali prawie czternaście milionów akrów do roku 1870, a ponad osiemdziesiąt milionów do końca stulecia.

Carleton College, wraz z przygotowawczą Carleton Academy, zostały założone w 1867 roku w prowincjonalnym Northfield w Minnesocie, początkowo pod nazwą Northfield College. Za wzór posłużyły ortodoksyjne protestanckie uczelnie w Nowej Anglii, a ciało profesorskie zostało w większości utworzone z duchownych kongregacjonalistycznych, sprowadzonych ze wschodnich stanów. Nazwę zmieniono w 1872 roku, kiedy przebojowy rektor, pastor James Strong, nakłonił kupca współwyznawcę z Massachusetts, Williama Carletona, do zapisania college'owi dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Veblen został wysłany do Akademii wkrótce potem, w 1874, a ukończył College w 1880 roku. Buntował się oczywiście w latach studiów przeciwko sztywnemu programowi i purytańskiej atmosferze uczelni, jednakże bliższą znajomość z autorami, których Dos Passos antycypując wymienia nieco dalej jako formatywnych dla kształtowania jego postawy intelektualnej, zawarł dopiero później, już na Wschodzie.

Uniwersytet Johnsa Hopkinsa (Johns Hopkins University), nazwany imieniem wielkiego finansisty i filantropa, z którego zapisu powstał w roku 1867, mieści się w Baltimore w stanie Maryland. W tym okresie jeden z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych uniwersytetów amerykańskich, słynął szczególnie z wydziału medycznego: do jego mocnych stron należała również ekonomia i historia.

Uniwersytet Yale'a (Yale University) jest po Uniwersytecie Harvarda w Massachusetts i College'u Williama i Mary w Wirginii najstarszą uczelnią amerykańską. Założony w 1701 roku jako szkoła kolejalna kolonii angielskiej Connecticut, mieści się od 1716 w New Haven i nosi od 1718 imię Elihu Yale'a, kupca brytyjskiego, który mu zapisał bibliotekę i majątek. Jest to jedna z najbogatszych i najbardziej renomowanych uczelni USA. W latach 1871-1886 jej rektorem był Noah Porter (1811-1892), pastor Kościoła kongregacyjnego, potem profesor filozofii moralnej i metafizyki, który położył znaczne zasługi dla rozwoju nowoczesnej psychologii. Natomiast jako rektor zapisał się purytańską ortodoksją, zwalczaniem darwinizmu i wszelkich nowych prądów oraz uporczywym obstawaniem przy uświęconych programach studiów.

Saga rodu z Laxdalu (Laxdaela Saga) to jedna z obszerniejszych islandzkich sag rodowych, spisana około roku 1250, licząca siedemdziesiąt siedem rozdziałów i wraz z dodaną na końcu genealogią obejmująca okres od końca jedenastego do końca dwunastego wieku. Niemal połowę sagi zajmuje wprowadzenie historyczne, dopiero w trzydziestym drugim rozdziale pojawia się bohaterka zasadniczej akcji, Gudrun, kobieta demoniczna, która swoimi intrygami, mściwością i głupotą doprowadza do zguby otaczających ją mężczyzn, wśród nich ukochanego Kjartana. Do walorów tej sagi należy szczególnie interesujące tło historyczne - przełomowy okres ścierania się dawnych wierzeń pogańskich z nowo wprowadzoną religią chrześcijańską. **Spojrzenie w przeszłość** ("Looking Backward: 2000-1887") to powieść Edwarda Bellamy'ego (1850-1898), wydana w 1888 i niezmiernie popularna w środowiskach postępowych. Pisana z pozycji utopijnego socjalizmu, maluje kolektywistyczne społeczeństwo Bostonu, widziane oczami bohatera, który się budzi po stu trzynastu latach snu hipnotycznego. Po polsku utopia Bellamy'ego ukazała się pod tytułem "W roku 2000" już w dwa lata po wydaniu oryginału.

Henry George (1839-1897) to radykalny ekonomista i publicysta amerykański, który się wslawił głównie swoimi dociekaniem przyczyn postępującej pauperyzacji szerokich rzesz przy jednoczesnym wzroście majątku narodowego. Panaceum na wszystkie bolączki społeczne upatrywał w anachronicznej teorii jednego podatku od własności ziemskiej, do której prawo chciał zapewnić wszystkim. O jego głównym dziele, "Postęp i nędza" ("Progress and Poverty", 1879), jest obszernie mowa w przypisie do s. 406 "Roku 1919".

Uniwersytet Cornella (Cornell University) został otwarty w 1868 roku w miejscowości Ithaca w stanie Nowy Jork, za sprawą i za pieniądze Ezry Cornella (1807-1874), który się dorobił majątku jako twórca i

główny udziałowiec Towarzystwa Telegraficznego Western Union (por. przypis do s. 321). Cornell zadbał o wprowadzenie do statutu uczelni wielu innowacji programowych, rewolucyjnych na owe czasy. Na Uniwersytecie Cornella wykładał w 1891 profesor James Laurence Laughlin (1853-1933), który się pierwszy poznał na talencie Veblena, a zostawszy w rok później dziekanem Wydziału Ekonomii Politycznej na otwieranym właśnie (głównie za pieniądze Johna D. Rockefellera) Uniwersytecie Chicagowskim (University of Chicago) wystarał się Veblenowi o wykłady zlecone.

Tak zwana Kolumbijska Wystawa Światowa (World's Columbian Exposition) została oficjalnie otwarta dla publiczności dopiero 1 maja 1893, jednakże obchody inauguracyjne dla uczczenia czterechsetlecia odkrycia Ameryki przez Kolumba odbyły się na jej terenach już w dniach 20-23 października 1892. Wystawa, która była rzeczywiście wydarzeniem na skalę światową, trwała do 8 stycznia 1894 roku, kiedy to prawie wszystkie wspaniałe budynki oraz zgromadzone w nich eksponaty i dzieła sztuki spłonęły w wielkim pożarze.

Teoria klasy próżniaczej ("The Theory of the Leisure Class"), pierwsza książka Veblena, opublikowana w roku 1899 (wydanie polskie w tłumaczeniu Janiny i Krzysztofa Zagórskich, PWN 1971), wywołała ogromne poruszenie swoją miazdzącą krytyką warunków ekonomicznych i społecznych. W namiętej sarkastycznej formie dowodził w niej Veblen, że współczesne stosunki amerykańskie są kontynuacją feudalnego podziału społeczeństwa na klasę, której jedyną rację bytu stanowi "pokazowe próżniactwo i pokazowa konsumpcja" ("conspicuous leisure and conspicuous consumption"), oraz klasę, która swoją pracą utrzymuje całe społeczeństwo. Oczywiście pochwalna recenzja pióra Williama Deana Howellsa (1837-1920), opublikowana na pierwszych stronach dwu kolejnych numerów tygodnika "Literature", miała dla rozgłosu książki nie byle jakie znaczenie, pisarz ten bowiem, pamiętany dzisiaj właściwie tylko jako autor jednej czy dwóch powieści, był w tym czasie czymś w rodzaju dyktatora literatury amerykańskiej.

Tezaurus Rogetato skrócony tytuł "Tezaurusu słów i zwrotów angielskich" ("Thesaurus of English Words and Phrases"), opublikowanego po raz pierwszy w roku 1852 przez angielskiego lekarza i leksykografa, Petera Marka Rogeta (1779-1869), który zbierał do niego materiały blisko przez pięćdziesiąt lat. Dzieło to, aktualizowane okresowo najpierw przez jego syna i wnuka, a następnie przez innych leksykografów, stanowi do dziś nieprześcigniony słownik synonimów i antonimów, używany przez wszystkich piszących po angielsku. Rzecz jasna, zawiera on również wiele słów uczonych i rzadko używanych, które mogły być trudno zrozumiałe dla słuchaczy Veblena.

Uniwersytet Lelanda Stanforda Juniora (Leland Stanford Junior University) w Palo Alto w Kalifornii został ufundowany w roku 1891 przez magnata kolejowego i byłego gubernatora Kalifornii, Lelanda Stanforda seniora, ku pamięci jego syna, którego imię nosi. Obdarowany na początek dotacją dwudziestu milionów dolarów, stał się od razu najważniejszą prywatną uczelnią na zachód od Missisipi. Jest koedukacyjny i słynie z prowadzonych na szeroką skalę prac badawczych.

PhiBetaKappa to najstarsza korporacja akademicka o zasięgu ogólnokrajowym, założona w 1776 roku w College'u Williama i Mary w Wirginii jako (teoretycznie tajne) honorowe stowarzyszenie grupujące wybijających się studentów. Przynależność do niego stanowiła często decydujący atut w dalszej karierze. **Akademios** był attyckim herosem, którego grób, otoczony gajem platanów i oliwek, mieścił się na przedmieściu Aten. Tu około 387 roku przed naszą erą Platon założył swoją szkołę filozoficzną nazwaną od imienia herosa Akademią. Gaj Akademoso to dzisiaj górnolotne określenie wyższej uczelni.

Przyjaciół Davenport to Herbert Joseph Davenport (1861-1931), profesor ekonomii, wówczas na Uniwersytecie Stanu Missouri (University of Missouri) w mieście Columbia, najstarszym uniwersytecie stanowym na zachód od Missisipi, otwartym w roku 1841. Veblen wykładał tu w latach 1911-1918.

Teoria przedsiębiorstwa kapitalistycznego ("The Theory of Business Enterprise") ukazała się w roku 1904, Instynkt dobrej roboty ("The Instinct of Workmanship") - w 1914, Uświęcone interesy a prosty człowiek ("The Vested Interests and the Common Man") - w 1919.

Eugene Victor Debs (1855-1926) był jednym z najwybitniejszych działaczy robotniczych Ameryki na początku stulecia. Palacz na kolei Indianapolis-Terre Haute od piętnastego roku życia, w roku 1880 został sekretarzem-skarbnikiem Bractwa Palaczy Kolejowych, a w 1893 przewodniczącym zorganizowanego przez siebie Związku Kolejarzy (American Railway Union). W roku 1898 był wspólnie z Victorem Bergerem założycielem Amerykańskiej Partii Socjaldemokratycznej, przekształconej w 1901 w Partię Socjalistyczną. Kandydował pięciokrotnie z ramienia socjalistów na stanowisko prezydenta USA, uzyskując za każdym razem większą liczbę głosów (95 tysięcy w 1900, 402 - w 1904, 421 - w 1908, 897 - w 1912 i 920 - w 1920). W tych ostatnich wyborach kandydował z więzienia w Atlancie, do którego wtrącono go w roku 1918 na dziesięć lat z paragrafu o działalności wyrotowej (za wygłaszanie mów antywojennych). W 1921 roku został ułaskawiony przez prezydenta Hardinga, jednak nigdy nie przywrócono mu praw obywatelskich. Por. również przypisy do stron 94 i 389.

Wobblisami (wobblies) nazywano członków IWW, założonej w roku 1905 wpływowej radykalnej organizacji związkowej pod nazwą Industrial Workers of the World (Robotnicy Przemysłowi Świata), stawiającej sobie za cel zrzeszenie zarówno wykwalifikowanych, jak i niewykwalifikowanych oraz sezonowych robotników wszystkich branż. Biografie dwu spośród założycieli związku, Eugene Debsa

("Miłośnik ludzkości") i Williama Haywooda ("Wielki Bill"), przedstawił Dos Passos na stronach 41-43 i 101-104 "42 równoleżnika", gdzie fikcyjnym członkiem i działaczem IWW jest Fainy McCreary (Mac). Na stronach 396-397 i 428-432 "Roku 1919" mają swoje biografie dwaj głośni męczennicy organizacji, Joe Hill (w rozdziale pod takim tytułem) oraz Wesley Everest ("Paul Bunyan"), a trzeci, Frank Little, wspomniany jest przez fikcyjnego powieściowego wobblistę Bena Comptona (por. przypis do s. 422 "Roku 1919"). Zob. także przypis do s. 479.

Cesarstwo niemieckie a rewolucja przemysłowa ("Imperial Germany and the Industrial Revolution") ukazało się w roku 1915, a Natura pokoju ("An Inquiry into the Nature of Peace") - w 1917.

Wielki pokazowy proces stu jeden wobblistów rozpoczął się w Chicago 1 kwietnia i trwał do końca sierpnia 1918 roku. Piętnastu oskarżonych z sekretarzem generalnym "Wielkim Billem" Haywoodem otrzymało po dwadzieścia lat więzienia, trzydziestu trzech dalszych - po dziesięć, trzydziestu pięciu - po pięć, reszta - poniżej pięciu. Główną podstawą oskarżenia była tak zwana ustawa o szpiegostwie. W 1920 roku, gdy sprawa znajdowała się w apelacji, dziesięciu wypuszczonych za kaucją oskarżonych z samym Haywoodem zbiegło do Związku Radzieckiego; pozostałych zwolniono na podstawie amnestii w latach dwudziestych, gdy histeria wojenna i antysocjalistyczna nieco ustąpiła.

Tarcza ("The Dial", 1880-1926) wychodziła początkowo w Chicago jako konserwatywny miesięcznik krytycznoliteracki, jednakże zmieniła zupełnie charakter po przeniesieniu redakcji w 1918 roku do Nowego Jorku, gdzie do współpracy wciągnięta została cała plejada najświetniejszych postępowych myślicieli i publicystów. Było to w znacznej mierze zasługą dziedzica milionowej fortuny, Scofielda Thayera, który pismo finansował i redagował w latach 1919-1925 i uczynił z niego jeden z najbardziej cenionych periodyków literackich Stanów, lansujący nowe prądy artystyczne i prezentujący prawie wszystkich wybitnych autorów lat dwudziestych, zarówno amerykańskich, jak obcych.

Nowa Szkoła Nauk Społecznych (New School for Social Research) została założona w 1919 roku w Nowym Jorku przez grupę liberalnych naukowców i publicystów jako koedukacyjna uczelnia dokształcająca dorosłych w zakresie ekonomii, socjologii, politologii, później także filozofii i psychologii. W roku 1933, korzystając z napływu europejskich uczonych szukających w Ameryce schronienia przed prześladowaniami rozmaitych totalizmów, utworzono przy niej Podyplomowe Studium Nauk Politycznych i Społecznych, nazywane popularnie Uniwersytetem na Wygnaniu.

Federacja Techniczna (The Technical Alliance) była efemerydą, która istniała niespełna rok (1921-1922) i umarła śmiercią naturalną wskutek kłopotów finansowych oraz niesnasek wśród organizatorów. Została utworzona według pomysłu Veblena jako rodzaj sovietu techników, mającego za zadanie śledzenie stosunków gospodarczych i społecznych i próbę ich uzdrawiania, przy czym pojęciu technika nadawał Veblen bardzo szerokie znaczenie fachowca w jakiegokolwiek dziedzinie wiedzy. I tak w skład komitetu organizacyjnego wchodziło dwóch lekarzy, dwóch architektów, trzech inżynierów elektryków, ekspert od spraw mieszkaniowych, statystyk, buchalter, leśnik, Fizyk, chemik oraz dwóch pedagogów. W krótkim okresie swojej działalności Federacja zdołała opracować raporty o sytuacji w przemyśle drzewnym i kopalnictwie węgla oraz o zaopatrzeniu rynku w mleko i przedmioty zbytku.

Brytyjski strajk generalny wybuchł 3 maja 1926 roku i chociaż trwał zaledwie dziesięć dni, odbił się głośnym echem na całym świecie. Powodem był lokaut zarządzony przez właścicieli kopalń wobec górników, którzy się sprzeciwiali obniżkom płac i przedłużeniu czasu pracy. Kongres Związków Zawodowych, który ogłosił strajk generalny, by uzyskać odnowienie dotychczasowych subsydiów rządowych dla górników, wycofał się przerażony chaosem, jaki ogarnął kraj, górnicy jednakże strajkowali jeszcze do listopada, nim ulegli przyjmując nowe gorsze warunki pracy.

Warren Gamaliel Harding (1865-1923), jako kandydat Partii Republikańskiej, prowadził kampanię przed wyborami prezydenckimi 1920 roku pod hasłem "Powrotu do normalki" ("Back to Normalcy"). Słowo "normalcy" było wówczas w języku angielskim mniej więcej takim samym nowotworem-potworkiem jak "normalka" w polskim (zamiast przyjętego słowa "normality", czyli "normalność") i wywoływało wiele sprzeciwów, ale okazało się chwytliwe, bo Harding wybory wygrał ogromną większością głosów. Jednakże jego prezydentura trwała krótko, bo po dwu- i pół roku zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Jako prezydent zapisał się zresztą wyjątkowo niechlubnie, swoją naiwnością dopuścił bowiem do skandalicznych afer korupcyjnych w najwyższych sferach rządowych, o czym jest obszernie mowa w przypisie do s. 101 "Roku 1919". Por. również przypis do s. 136.

Medycznego terminu dementia praecox (łac.), otępienie wczesne, używał Veblen w artykułach wstępnych pisanych do "Tarczy" w latach 1919-1920 na określenie starczego uporu, z jakim skostniałe instytucje kapitalistyczne broniły swoich przywilejów przed wszelkimi próbami reform.

Ivanhoe to jedna z najgłośniejszych powieści historycznych sir Waltera Scotta, wydana w 1819 roku.

Yellowstone to pierwszy na świecie park narodowy, założony w 1872 roku w Górach Skalistych na pograniczu stanów Wyoming, Montana i Idaho. Obfituje we wspaniałe kaniony, wodospady i gejzery oraz w liczne gatunki żyjących wolno zwierząt, które się znajdują pod ścisłą ochroną.

Pikes Peak to szczyt w Górach Skalistych, dwadzieścia parę kilometrów na zachód od Colorado Springs.

Chociaż nie najwyższy w tym masywie (ma 4301 metrów), stanowi szczególną atrakcję, gdyż jest widoczny z daleka z wielkich prerii. Został dla Amerykanów odkryty w 1806 roku przez Zebulona Pike'a (1779-1813), oficera, który na zlecenie armii prowadził rozpoznanie dzikich terytoriów zachodnich, i nazwany jego imieniem chociaż oczywiście był znacznie wcześniej znany nie tylko Indianom, ale i Hiszpanom, którzy mieli dla niego swoje nazwy.

Ramona (1884) to najgłośniejsza powieść bardzo wówczas popularnej pisarki, Helen Hunt Jackson (183~1885). Wykorzystując swoje doświadczenia z udziału w rządowej komisji do badania warunków życia Indian, zaprezentowała ona w romansowej formie miażdżące oskarżenie nieludzkiego traktowania zarówno ich, jak i Meksykanów przez zachłannych amerykańskich osadników w południowej Kalifornii.

był pierwszą uczelnią w tym regionie Stanów, założoną w 1874 w Colorado Springs.

John Davison Rockefeller (1839-1937), syn wędrownego sprzedawcy patentowanych lekarstw, stał się w powszechnym odczuciu zniechęconym uosobieniem bezwzględnie kapitalisty. W 1870 roku założył Standard Oil Company i dzięki różnym genialnym machinacjom zapewnił sobie w ciągu dekady pozycję faktycznego dyktatora amerykańskiego przemysłu naftowego. Był pierwszym miliarderem w dziejach USA i uchodził za najbogatszego wówczas człowieka świata. Już w owym okresie znaczną część swojej fortuny przeznaczał na cele społeczne, jak na przykład założenie wspomnianego wcześniej Uniwersytetu Chicagowskiego. Później, w 1913 roku, stworzył sławną Fundację Rockefellera. Por. również przypis do s. 418.

Ogród Bogów (Garden of the Gods) to około pięciusetakrowy teren między Colorado Springs a Manitou Springs, z fantastycznymi formacjami różnokolorowego piaskowca, przypominającymi olbrzymie mrowiska i noszącymi indywidualne pomysłowe nazwy.

Urwiska Austin (Austin Bluffs) to niewysokie formacje górskie na północ od Colorado Springs. **Chartgoriczynie bios** ("The Hound of Heaven", 1893) to sławny wiersz poety angielskiego, Francisca Thompsona (1859-1907), dostępny w polskim przekładzie Stanisława Helsztyńskiego w trzecim tomie antologii "Poeci języka angielskiego" (PIW 1974). Wśród zaskakujących obrazów kosmicznych przedstawia tu poeta jakby swoją autobiografię uciekiniera od zbawczej miłości Boga.

Miasto straszliwej nocy ("The City of Dreadful Night", 1817) to głośny długi wiersz poety szkockiego, Jamesa Thomsona (1834-1882), utwór, który swoim pesymistycznym nastrojem wywarł znaczny wpływ na twórczość autorów fin-de-siècle'u. Maluje w nim Thomson obraz imaginacyjnego miasta grozy i rozpacz, dantejskiego piekła ziemskiego, nad którym panuje wyniosłe i posępne uosobienie Melancholii.

Człowiek z motyką ("The Man with the Hoe", 1899) to retoryczny wiersz poety amerykańskiego Edwina Markhama (1852-1940), dostępny w polskim tłumaczeniu Czesława Miłosza w tomie jego przekładów poetyckich "Mowa wiązana" (PIW 1986). Wiersz ten, napisany pod wpływem obrazu o tym samym tytule pędzla malarza francuskiego Jeana Francois Milleta (1813-1875), jest namiętnym oskarżeniem degradacji duchowej, na jaką skazuje człowieka praca fizyczna ponad siły.

Vassar College w miejscowości Poughkeepsie na wschodnim brzegu Hudsonu w stanie Nowy Jork jest jedną z najbardziej renomowanych prywatnych uczelni dla dziewcząt. Nazwana imieniem Matthew Vassara, bogatego miejscowego piwowara, z którego inicjatywy i funduszy powstała w 1861 roku, uczelnia otworzyła pionierskie wydziały muzyki i wychowania fizycznego oraz pierwsze w Stanach Zjednoczonych studium tak zwanej euteniki (euthenics), mającej przyczynić się do polepszenia warunków egzystencji człowieka przez oparte na naukowych zasadach kształtowanie jego otoczenia.

Dom Hulla (Hull House), tak zwany dom opiekuńczy (por. przypis do s. 248 "Roku 1919"), założony został w 1889 roku przez dwie chrześcijańskie społeczniczki, Jane Addams (1860-1935) i Ellen Gates Starr (1859-1940), w starej czynszowej kamienicy niejakiego Hulla (stąd nazwa) przy South Halstead Street na chicagowskiej Zachodniej Stronie (West Side), dzielnicy slumsów zamieszkaną wówczas w znacznej części przez europejskich imigrantów. Dom Hulla prowadził szeroką działalność społeczną (pomoc lekarska, poradnictwo rodzinne, opieka nad dziećmi i kobietami), oświatową (kursy zawodowe i dokształcające oraz językowe dla imigrantów) i rekreacyjną. Jane Addams, która położyła później również ogromne zasługi w walce o ustawodawstwo społeczne i prawa kobiet oraz w międzynarodowym ruchu na rzecz pokoju (była laureatką pokojowej nagrody Nobla w roku 1931), opisała historię kierowanej przez siebie placówki w dwóch klasycznych tomach: "Dwadzieścia lat w Domu Hulla" ("Twenty Years at Hull House", 1910), i "Drugie dwadzieścia lat w Domu Hulla" ("The Second Twenty Years at Hull House", 1930).

Port ("The Harbor") to bestseller roku 1915 (miał sześć wydań w ciągu miesiąca po ukazaniu się) i jedna z ważniejszych demaskatorskich powieści społecznych swojej epoki. Jej bohater, młody człowiek o ambicjach literackich, wychowuje się w cieniu portu nowojorskiego, którego przemiany nieuchronnie wyznaczają etapy jego życia: spod wpływów ojca, przedstawiciela dziewiętnastowiecznej patriarchalnej gospodarki morskiej, dostaje się on pod wpływ teścia budującego dwudziestowieczną monopolistyczną maszynę portową, by ostatecznie zwrócić się ku opozycyjnemu światopoglądowi swego dawnego kolegi uniwersyteckiego, który jako radykalny działacz związkowy organizuje zdławiony brutalnie strajk robotników portowych. Siłę powieści stanowi jej autentyzm wyrosły z osobistych doświadczeń autora, Ernesta Poole'a (1884-1950), który

po ukończeniu Princetonu w 1902 roku osiadł na trzy lata w pierwszym nowojorskim domu opiekuńczym, pomagał Uptonowi Sinclairowi w zbieraniu materiałów do jego sławnego "Grzędawiska", pisał demaskatorskie artykuły do redagowanego przez Lincolna Steffensa "McClure's Magazine" i innych podobnych czasopism oraz był korespondentem radykalnych pism amerykańskich w Rosji podczas rewolucji 1905, a następnie 1917 roku, jak również korespondentem wojennym w Niemczech i Francji w latach pierwszej wojny światowej.

Grzędawisko ("The Jungle", 1906) Uptona Sinclaira (1878-1968), wielokrotnie wznawiane w Polsce przed wojną i po wojnie w przekładzie Andrzeja Niemojewskiego, jest bodajże najslawniejszą powieścią wyrosłą z ruchu tak zwanych gnojodłubów (por. przypis do s. 61). Przerazający obraz stosunków panujących w chicagowskich rzeźniach i fabrykach konserw, jaki Sinclair tu odmalował, skłonił prezydenta Teodora Roosevelta do zarządzenia specjalnych dochodzeń, które doprowadziły do wydania tak zwanej Ustawy o Czystej Żywności i Lekach (Pure Food and Drug Act).

Perspektywy życia amerykańskiego ("The Promise of American Life", 1909) to traktat polityczno-społeczny, który rozślawił nazwisko ówczesnego redaktora fachowego pisma "Architectural Record", Herberta Croly'ego (1869-1930). Croly rozważa tu sposoby dostosowania demokracji amerykańskiej do nowych warunków ekonomiczno-społecznych epoki industrializacji i głosi potrzebę większej ingerencji rządowej w działalność prywatnych przedsiębiorstw, jakiej jego zdaniem wymaga dobro publiczne. Jego poglądy wywarły pewien wpływ na doktrynę polityczną prezydentów Teodora Roosevelta i Woodrowa Wilsona ukróćcia wszechwładzy i samowoli trustów i monopolów. Croly jest dzisiaj pamiętany głównie jako założyciel (w 1914 roku) i dożywotni redaktor wpływowego liberalnego tygodnika "Nowa Republika" ("The New Republic").

Doktor Muck to niemiecki dyrygent Karl Muck (1859-1940), który uzyskał tytuł doktora filozofii w 1880 w Heidelbergu, poświęcił się jednak karierze muzycznej i dyrygował czołowymi orkiestrami w Niemczech, Austrowęgrzech i Szwajcarii. W latach 1906-1908 i 1912-1917 był dyrygentem Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej (Boston Symphony Orchestra), jednej z najstarszych (założonej w 1881 roku) i najbardziej renomowanych w Ameryce. Jako obywatel wrogiego państwa został internowany po przystąpieniu USA do wojny, a po jej zakończeniu powrócił do Niemiec.

Ekscesy niemieckich U-Bootów, czyli łodzi podwodnych, były stałym tematem prasy amerykańskiej od chwili, kiedy 7 maja 1915 roku niemiecki U-Boot zatopił bez ostrzeżenia koło wybrzeży Irlandii "Lusitanię", brytyjski statek pasażerski z tysiącem dziewięciuset dwudziestoma czterema osobami na pokładzie. Blisko tysiąc dwieście osób poniosło śmierć, w tym stu czteremastu obywateli amerykańskich. Wywołało to w Stanach Zjednoczonych ogromne oburzenie i spowodowało wymianę not między prezydentem Wilsonem a ambasadorem niemieckim w Waszyngtonie von Bernstorffem, która trwała do lutego następnego roku, kiedy Niemcy zgodziły się ostatecznie wypłacić odszkodowania rodzinom ofiar. Oczywiście nie rozstrzygnęło to meritum sprawy, gdyż Stanom Zjednoczonym chodziło o bezpieczeństwo i wolność żeglugi handlowej w ogóle, a stanowisko Niemiec w tej sprawie było zmienne i wykrętne, incydenty z łodziami podwodnymi zaś nie ustawały. Wreszcie w styczniu 1917 roku Niemcy oficjalnie oznajmiły wznowienie działalności łodzi podwodnych, tym razem przeciwko wszystkim statkom alianckim i neutralnym. Wojna podmorska była jednym z najważniejszych czynników, które zmobilizowały amerykańską opinię przeciwko Niemcom i przypięczętowały w rezultacie ich klęskę, kiedy Stany Zjednoczone włączyły się do walki po stronie państw Ententy.

Chodzi o wybory prezydenckie, które się odbyły 4 listopada 1916 roku i otworzyły drogę do drugiej kadencji prezydentowi Wilsonowi. Jego kontrkandydatem z ramienia partii republikańskiej był sędzia sądu najwyższego Charles Evans Hughes (1862-1948), o którym wspomina matka Mary French parę stron dalej. Obszernie o tych wyborach jest mowa w przypisie do s. 88 "Roku 1919".

Hiszpanką nazywano grypę, której światowa epidemia rozpoczęła się w roku 1917 w Hiszpanii i do roku 1920 wędrowała z kraju do kraju, pochłaniając w sumie, jak się szacuje, około dwudziestu milionów ludzi. Dos Passos, umiejscawiając ją na wiosnę 1917 roku, antycypuje prawdziwy przebieg wydarzeń o blisko półtora roku, gdyż epidemia ogarnęła Stany Zjednoczone dopiero we wrześniu 1918. Spowodowała prawdziwą panikę i dezorganizację życia i pociągnęła za sobą śmierć czterystu do pięciuset tysięcy Amerykanów, nie licząc osób zmarłych następnie w wyniku powikłań.

Cribbage to gra w karty popularna w krajach anglosaskich, w której może brać udział różna liczba osób. Celem gry jest zgromadzenie określonej ilości punktów za różnie wykładane kombinacje kart.

Audytorium (The Auditorium) to jeden z najslawniejszych budynków Chicago, wzniesiony w latach 1887-1889 na rogu Congress Street i Michigan Avenue według projektu architektów Dankmara Adlera i Louisa Sullivana (por. przypis do s. 379). Ten potężny dziesięciopiętrowy gmach mieścił przede wszystkim hotel i operę, a w dwudziestopiętrowej części wieżowej także liczne biura. Był na owe czasy cudem inżynierii (dzieło Adlera), jak również wystroju zewnętrznego i wewnętrznego (dzieło Sullivana). Sala operowa, obliczona na cztery tysiące osób, słynęła z absolutnej widzialności i słyszalności z najdalszego miejsca wszystkiego, co się działo na scenie. Na inauguracji 9 grudnia 1889 roku, którą zaszczycił swoją obecnością

między innymi nowo wybrany prezydent Benjamin Harrison, śpiewała wielka Adelina Patti, otwierając długą listę sław, które tu występowały. Audytorium ze swymi restauracjami, cukierniami i salami wystawowymi stanowiło modne miejsce spotkań mieszkańców Chicago do 1929 roku, kiedy to Chicagowska Opera Komunalna przeniosła się do nowej siedziby (por. przypis do s. 465). W 1946 roku gmach Audytorium przeszedł na własność niedawno powstałego Uniwersytetu Roosevelta.

Pętla (The Loop) to główna dzielnica handlowa w centrum Chicago, obejmująca siedem kwartałów wokół pryncypalnej State Street. Nazwa wywodzi się od otaczającej ten obszar pętlą linii kolei nadziemnej.

Spumoni (wł.) to lody w warstwach o różnych barwach, smakach i konsystencji, podawane niekiedy z kandyzowanymi owocami i orzechami.

Przyjacielska Brygada Odbudowy (Friends Reconstruction Unit) to jedna z organizacji pomocy powojennej dla zniszczonych krajów, prowadzona przez kwaków, którzy nazywają się oficjalnie Towarzystwem Przyjaciół (Society of Friends). Szerzej o ich działalności jest mowa w przypisie do s.126 "Roku 1919".

Oponentami moralnymi (conscientious objectors nazywano ludzi, którzy odmawiali służby wojskowej i udziału w wojnie ze względów religijnych i moralnych. 31 maja 1918 roku sekretarz wojny, Newton D. Baker, wydał rozporządzenie, mocą którego oponenti moralni mieli być zwalniani od służby wojskowej pod warunkiem, że przystąpią bezpłatnie do prac rolnych. Dotyczyło to jednak w praktyce tylko poborowych, którzy mogli się wykazać przynależnością do sekt zabraniających posługiwania się bronią, a więc kwaków, mennonitów, badaczy Pisma Świętego i tym podobnych. Natomiast pacyfistów i radykałów protestujących przeciwko wojnie i poborowi traktowano bezwzględnie, skazując ich na wieloletnie częstokroć więzienie. Oponentem moralnym jest jeden z głównych bohaterów "Roku 1919", Ben Compton.

Ywka (Y.W.C.A.) to ukonstytuowane w latach 1875-1877 Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet (Young Women's Christian Association), żeński odpowiednik bardziej znanej Ymki, czyli Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn (Young Men's Christian Association).

Instytut Carnegiego to otwarty w 1905 roku Instytut Technologii imienia Carnegiego (Carnegie Institute of Technology), uczelnia ufundowana przez przemysłowca milionera, Andrew Carnegiego (1835-1919, któremu Dos Passos poświęcił rozdział "Książę pokoju" w "42 równoleżniku" (strony 254-255). Oprócz wydziałów inżynierskich, szczególnie górniczych i hutniczych, Instytut miał także wydziały architektury, sztuk pięknych, dramaturgii, bibliotekarstwa oraz opieki społecznej.

Fanny Sellins (nie Sellers, jak pisze omyłkowo Dos Passos), czterdziestodziewięcioletnia działaczka Związku Górników (United Mine Workers, por. przypis do s. 473), próbowała powstrzymać pijanych ludzi szeryfa, którzy 29 sierpnia 1919 roku zaczęli strzelać do górników pikietujących Towarzystwo Stalowe Allegheny (Allegheny Steel Company) w miejscowości West Natrona w Pensylwanii niedaleko Pittsburgha. Powalono ją i zastrzelono, po czym jeden z oprawców zmiażdżył jej czaszkę. Jej ciało wciągnięto za nogi do ciężarówki, wraz z trupem zabitego górnika. Winnych nie próbowano nawet postawić przed sądem, chociaż fotografia pani Sellins na marach, z głęboko wklęsniętym od uderzenia czołem, była szeroko kolportowana przez organizacje robotnicze.

Naród ("The Nation") to tygodnik poświęcony polityce, literaturze i sztuce, założony w Nowym Jorku w 1865 roku. Jakkolwiek przechodził przez różne etapy organizacyjne i redakcyjne, utrzymywał niezmiennie liberalne, a w niektórych okresach radykalne oblicze. Kupiony w roku 1908 przez właściciela nowojorskiej gazety „Evening Post”, Oswalda (Harrisona Villarda (1872-1949, stał się pod jego redakcją (1918-1933) jednym z czołowych organów liberalnych intelektualistów. Zabierał głos we wszystkich istotnych sprawach politycznych i społecznych, a także lansował nowe kierunki literackie i artystyczne i drukował wielu najwybitniejszych pisarzy epoki.

William Zebulon Fosler (1881-1961), urodzony w Massachusetts, był od młodych lat robotnikiem wędrownym. W 1900 roku wstąpił do Socjalistycznej Partii Ameryki (por. przypis do s. 404 "Roku 1919"), w 1909 - do IWW (por. przypis do s. 93 "Ciężkich pieniędzy"), w 1919 był jednym z organizatorów Komunistycznej Partii Ameryki, a od 1921 do 1932 i od 1945 do 1957 przewodniczącym jej Komitetu Centralnego. W latach 1924, 1928, 1932 kandydował z jej ramienia na prezydenta USA, a w 1930 - na gubernatora stanu Nowy Jork. W latach 1916-1921 działał z ramienia Amerykańskiej Federacji Pracy (por. przypis do s. 131) wśród robotników przemysłu stalowego i mięsnego oraz pracowników kolei, a w 1919 był jednym z przywódców głośnego, lecz przegranego strajku przeciwko Amerykańskiej Korporacji Stali (por. przypis do s. 44).

John Fitzpatrick (1877-1946), przybyły z Irlandii w wieku dwunastu lat, pracował za młodu jako kowal i do końca życia pozostał członkiem Związku Zawodowego Kowali. W roku 1902 wybrany po raz pierwszy na przewodniczącego Chicagowskiego Oddziału Amerykańskiej Federacji Pracy, od roku 1906 wybierany był na to stanowisko jeszcze czterdziestokrotnie. Po swojej początkowej kadencji stał się jednym z pierwszych płatnych działaczy związku. W roku 1919 należał obok Foster'a do głównych przywódców strajku w przemyśle stalowym Pensylwanii, później jednakże ich drogi całkowicie się rozeszły, Fitzpatrick bowiem opowiedział się zdecydowanie przeciwko komunizmowi i do końca życia zwalczał jego wpływ w Federacji.

Zapisał się chlubnie czynną pomocą w zwalczaniu gangsteryzmu, w jaką zaangażował związek w latach trzydziestych.

Burleska (burlesque) to typowo amerykański rodzaj teatru rewiowego o dwuznacznej reputacji, wprowadzonego w połowie dziewiętnastego wieku w Nowym Jorku. Obok występów komików, scenek ślapstickowych, skeczów, parodii popularnych przed-stawień i aktualnych wydarzeń - główną atrakcją dla męskiej publiczności stanowiły występy girelasek rozebranych do granic dopuszczalności. To właśnie z burleski wywodzi się strip tease.

Urzednicy z Partii Demokratycznej wynosili się z Waszyngtonu, kiedy po drugiej kadencji prezydenta Wilsona objął 4 marca 1921 rządy Warren Harding, przedstawiciel Partii Republikańskiej, który naturalnie wprowadzał na urzędy swoich ludzi.

Chili (zamiast: chile) concarne (hiszp.) - papryka z mięsem. Potrawa popularna szczególnie w Ameryce Południowej, rodzaj pikantnego gulaszu wołowego z mieloną lub sproszkowaną papryką i zwykle z fasolą.

Bouilla baisse (fr.) to specjalność prowansalska, danie o konsystencji gęstej zupy z różnych gatunków ryb i skorupiaków morskich gotowanych w wodzie lub białym winie i przyprawionych czosnkiem, pomidorami, oliwą i szafranem.

Ksiądz Kaziński był to słowacki proboszcz rzymskokatolickiej parafii Świętego Michała w Braddock: w Pensylwanii, siedzibie dawnych stalowni Carnegiego (por. przypis do s. 317 "Roku 1919"). Źródła podają jego nazwisko w rozmaitej formie, bądź to zniekształconej przez angielskojęzycznych autorów, bądź też już uprzednio dziwacznie zamerykanizowanej. W książce Williama Zebulona Fostera (por. przypis do s.124) "The Great Steel Strike and Its Lessons" ("Wielki strajk w przemyśle stalowym i nauki z niego płynące", 1920) figuruje on jako ksiądz Adelbert Kazincy. "Raport o strajku roku 1919 w przemyśle stalowym, sporządzony przez Komisję Śledczą Światowego Ruchu Międzykościelnego" ("Raport on the Steel Strike of 1919 by the Commission of Inquiry, the Interchurch World Movement". 1920), przed którą to Komisją proboszcz z Braddock zeznawał w charakterze świadka, podaje jego nazwisko w formie Kazinci. Etykietkę "czerwonego" przylepiono mu dlatego, że nieustraszenie bronił racji strajkujących hutników, wspierany w tym przez pastora również Słowackiego Kościoła Luterańskiego w tymże Braddock, wielbnego Charlesa Molnara. Foster pisze: "W ciemnej nocy ucisku jasny promień wolności świecił z Braddock (... , gdzie) czoło Trustowi Stalowemu i jego pacholkom stawiał bohaterski ksiądz Słowak (...) Trzymał on bramy swego kościoła otwarte dla strajkujących, przekształcał nabożeństwa w mityngi i nie zaniedbywał niczego, by zachęcić ludzi do wytrwania. Strajkujący hutnicy schodzili się do jego kościoła z odległości wielu mil, i to zarówno protestanci, jak katolicy. Okoliczni duchowni, którzy się sprzeciwiali strajkowi, tracili wiernych..." I dalej: "Postawa księdza Kazincy'ego wywoływała wściekłą wrogość towarzystw stalowych. Nie miały one odwagi zaatakować go cieleśnie ani zamknąć jego kościół zwykłymi <<legalnymi>> metodami, ale próbowały wszystkiego innego". Kiedy nie poskutkowała interwencja u miejscowego biskupa ani rozliczne groźby, towarzystwa spowodowały cofnięcie parafii przez bank zaciągniętej pożyczki hipotecznej. Uratowali parafię głodujący górnicy, którzy od razu po nabożeństwie samorzutnie zebraли między sobą potrzebne natychmiast tysiąc dwieście dolarów, a następnego dnia donieśli jeszcze kilkaset.

Samuel Gompers (1850-1924), urodzony w Londynie i w wieku trzynastu lat przywieziony przez rodziców do Ameryki, poszedł od razu do pracy w wytwórni cygar. W wieku dwudziestu czterech lat stanął na czele komórki związkowej pracowników swojej branży, a w roku 1886 był jednym ze współorganizatorów Amerykańskiej Federacji Pracy (American Federation of Labor), której został wybrany przewodniczącym (pozostawał nim z roczną przerwą aż do śmierci). Federacja pod jego kierownictwem luźno zrzeszała niezależne związki branżowe wyłącznie wykwalifikowanych robotników, co ją radykalnie odróżniało od IWW. Gompers przez całe życie odżegnywał się także od wszelkiej działalności ideologicznej, zabiegając natomiast o organizację i umocnienie związków poszczególnych branż oraz zapewnienie im odpowiedniego zaplecza finansowego do prowadzenia walki strajkowej, jednakże tylko o charakterze ekonomicznym. Był przeciwny strajkowi hutników w 1919 roku zarówno ze względu na jego rewolucyjny charakter, jak i na słabość organizacyjną robotników tej branży.

Carnegie Hall, mieszcząca ponad dwa i pół tysiąca osób najsławniejsza sala koncertowa Ameryki na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Siódmej Alei na nowojorskim Manhattanie, został wybudowany w 1891 roku kosztem dwóch milionów dolarów wyasygnowanych przez króla stali Andrew Carnegiego i gościł od tej pory chyba wszystkie największe sławy muzyczne świata (między innymi już w roku otwarcia dyrygował tutaj wykonaniem własnych utworów Czajkowski i swój pierwszy koncert w Ameryce dał Paderewski). Przybudówkę Carnegie Hall stanowi piętnastokondygnacyjny wieżowiec, w którym mieści się sto pięćdziesiąt studiów muzycznych, atelier malarskich, galeria sztuki itp. Por. również przypis do s. 118.

Union Square na Dolnym Manhattanie, przy Broadwayu między Siedemnastą a Czternastą Ulicą, stanowiący centrum handlowe i rozrywkowe dzielnicy wówczas głównie robotniczej, był od lat poprzedzających pierwszą wojnę światową znany również jako ośrodek wszelkiego rodzaju działalności radykalnej oraz miejsce mityngów, akcji protestacyjnych i pochodów.

Biblioteka Loeba (Loeb Classical Library) to seria około trzystu klasycznych tekstów greckich i łacińskich

w kieszonkowych wydaniach zaopatrzonych w przekłady angielskie. Biblioteka ta została założona w 1910 roku przez amerykańskiego filantropa Jamesa Loeba (1867-1933), związanego (w latach 1888-1901) z wpływowym nowojorskim domem bankowym Kuhn, Loeb Co. (por. przypis do s. 125 "Roku 1919"). James Loeb powołał również do życia kilka innych instytucji oraz fundacji w dziedzinie studiów klasycznych i muzycznych oraz psychiatrii i archeologii.

Latem 1923 roku prezydent Warren Harding, w obliczu skandalicznych nadużyć niektórych członków jego gabinetu, rozpatrywanych właśnie przez specjalną podkomisję senacką (obszernie jest o tym mowa w przypisie do s. 101 "Roku 1919"), udał się w towarzystwie żony i sztabu sześćdziesięciu pięciu współpracowników w transkontynentalną podróż inspekcyjną. W jej toku, 28 lipca w miejscowości Grants Pass w Oregonie, uległ, jak podano, zatruciu ptomainą. W pięć dni później, 2 sierpnia, zmarł w hotelu w San Francisco na apopleksję, jak ogłoszono po sekcji zwłok. Wywołało to oczywiście uporczywe pogłoski o próbie samobójstwa czy nawet zabójstwa. Wspomniany w następnym wierszu Harry Micajah Daugherty (1860-1941) był w rządzie Hardinga prokuratorem generalnym i z tego tytułu czasowo przejął ster po jego śmierci. Właściwym następcą został jednak wiceprezydent Calvin Coolidge, już 3 sierpnia zaprzysiężony na nowego prezydenta w Vermoncie, gdzie się akurat znajdował. Daugherty, któremu Harding głównie zawdzięczał swój wybór, był szarą eminencją i jedną z najbardziej dwuznacznych osobistości w rządzie naiwnego prezydenta. W 1924, pod naciskiem Coolidge'a, złożył urząd, a w 1927 został postawiony przed sądem i uniewinniony tylko dzięki rozbieżności zdań wśród członków ławy przysięgłych.

John Joseph Pershing (1860-1948) był w 1917 roku dowódcą Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych w Europie i to głównie jego energii i talentowi nieostrzelane jednostki amerykańskie zawdzięczały swoje sukcesy w bojach z Niemcami. Po wojnie Kongres specjalnym aktem przywrócił dla niego w 1919 rangę generała armii (General of the Armies), którą przed nim nosił tylko George Washington. W latach 1921-1924 Pershing był szefem sztabu sił lądowych a w roku 1925 przewodniczącym Komisji Rozjemczej w sporze granicznym między Chile a Peru, które przystały na arbitraż amerykański. Dla przygotowania gruntu do tej ostatniej misji prezydent Coolidge (por. przypis do s. 52) wysłał go w podróż dobrej woli po kilku krajach Ameryki Południowej, trwającą od listopada 1924 do marca 1925 roku. Okazją była obchodzona uroczystość w stolicy Peru, Limie, setna rocznica wielkiego zwycięstwa nad Hiszpanami, odniesionego 9 grudnia 1824, przez Antonia de Sucre pod Ayacucho, które przesądziło o niepodległości Ameryki Południowej. Z Limy przejechał Pershing wysokogórską koleją andyjską przez Chile i dalej konno, łożdżą, autem i koleją przez Argentynę do Urugwaju, a stamtąd pancernikiem "Utah" do Brazylii, Wenezueli, Guantano i na Kubę. Wszędzie witały go zarówno entuzjastyczne tłumy, jak dygnitarze lokalni i państwowi. Jak doniósł w wielkim nagłówku "New York Times" z 19 stycznia 1925, tango tańczył Pershing z córką swego rodaka, właściciela rozległego rancza na pampach zachodniej Argentyny, u którego się zatrzymał na nocleg w drodze do Buenos Aires. Sensacyjność tej depechy polegała na tym, że tango argentyńskie było wówczas uważane za taniec nieco gorszący i niezbyt licowało z godnością sławnego generała i wysłannika prezydenta. Porównaj również przypis do s. 419.

Matka Izadory nazywała się naprawdę Mary Dora Gray Duncan. Pomyłka Dos Passosa wzięła się zapewne stąd, że pod przybranym nazwiskiem O'Gormanów płynęli Duncanowie w 1899 na bydłym statku do Europy, a następnie występowali w Londynie. Biograf Izadory, Walter Terry ("Isadora Duncan: Her Life, Her Art, Her Legacy", New York 1963), pisze, że było to nazwisko występujące w rodzinie matki Izadory (lecz nie jej nazwisko panieńskie). Ojciec Izadory, John Charles Duncan, ponoć czarujący mężczyzna, był człowiekiem zupełnie nieodpowiedzialnym w interesach i nazbyt, zdaje się, czułym na wdzięki kobiece.

Bob (czyli Robert) Ingersoll (1833-1899), adwokat, polityk i publicysta, wywarł duży wpływ na amerykańskie życie intelektualne końca 19 stulecia swoimi głośnymi i skandalicznymi odczytami, które mu zyskały przydomek wielkiego agnostyka i doczekały się kilku wydań książkowych. W swojej wieloletniej kampanii o wolność myśli szczególnie ostro, z pozycji racjonalizmu, atakował Biblię i dogmaty teologii chrześcijańskiej.

Augustin Daly (1838-1899) był dramaturgiem, adaptatorem popularnych melodramatów niemieckich i francuskich oraz dyrektorem sławnej trupy teatralnej. Począwszy od 1879 roku prowadził na nowojorskim Broadwayu własny Teatr Daly'ego (Daly's Theatre), a w 1893, po kilku tryumfalnych wizytach w Europie, otworzył również Daly's Theatre w Londynie. Obok cieszących się niesłychanym powodzeniem melodramatów zasłynął w obu stolicach również jako twórca świetnych przedstawień komedii Szekspirowskich, z największymi ówczesnymi gwiazdami w głównych rolach. Jedną z tych gwiazd była właśnie córka irlandzkich imigrantów Ada Rehan (1860-1916), która należała do jego zespołu od dziewiętnastego roku życia aż do śmierci dyrektora. Izadora, jak pisze w swoim pamiętniku ("Moje życie", przełożył Karol Bunsch, Wydawnictwo Literackie 1959), została dopuszczona przed oblicze wielkiego Daly'ego po wystawianiu "przez wiele popołudni i wieczorów przy wejściu dla aktorów" podczas występów gościnnych jego trupy w Chicago w 1897 roku.

Ethelbert Woodbridge Nevin (1862-1901) był to zmarły w niewiele lat potem pianista i kompozytor piosenek oraz cenionych wówczas, choć dość bezpretensjonalnych utworów fortepianowych. Jak pisze

Izadora w swoich wspomnieniach, wpadł on któregoś dnia do jej atelier z awanturą, że ośmiela się tańczyć do jego kompozycji. Jednakże obejrzawszy jej interpretacje, wyszedł tak rozentuzjasmowany, że zaaranżował wspólne występy w małej sali Carnegie Hall, podczas których sam akompaniował Izadorze do tańca.

Newport w stanie Rhode Island nad Atlantykiem było wówczas najmodniejszym kąpieliskiem wschodniego wybrzeża USA. Izadorę zaprosiła tam pani Caroline Astor, wdowa po zmarłym w 1892 milionerze Williamie Astorze, uznawana aż do śmierci (w 1908 roku) za niekoronowaną królową nowojorskiego "towarzystwa". Jak to ujmuje sama Izadora, pani Astor "była dla amerykańskiej socjety tym, czym królowa Wiktoria dla angielskiej". Izadora tańczyła w Newport w kilku milionerskich rezydencjach między innymi do tekstów recytowanych przez jej siostrę Elizabeth lub brata Augustyna rubajjatów (epigramatycznych czterowierszy) jedenastowiecznego poety perskiego Omara Chajjama, wydanych w angielskich parafrazach poety brytyjskiego Edwarda Fitzgeralda w 1859 roku i niesłychanie popularnych w całym świecie anglosaskim na przełomie 19 i 20 stulecia. Jakkolwiek występy Izadory spotkały się w Newport, tak jak uprzednio w Nowym Jorku, z dużym aplauzem plutokratycznej śmietanki towarzyskiej, artystka skarży się w swoich wspomnieniach, że milionerzy nie kwapili się do godziwego wynagrodzenia jej, tak że Duncanowie mieli ledwo na opędzenie bieżących wydatków.

Kensington, a jeszcze bardziej Mayfair były wówczas (i częściowo pozostały do dziś) dzielnicami rezydencji bogatych londyńczyków.

Książe Edward (1841-1910), któremu Izadora została przedstawiona po występie w jednym z arystokratycznych domów, to syn królowej Wiktorii, wówczas już blisko sześćdziesięcioletni następca tronu, a później (od 1901) król Edward VII.

Loie Fuller (1862-1928), aktorka teatrów objazdowych, wpadła w roku 1891 przypadkiem na pomysł tańca z serpentynami, który przy zastosowaniu odpowiednich efektów świetlnych i przesuwanych draperii stał się sensacją i przyniósł jej sławę, szczególnie w Europie. W późniejszych latach prowadziła w Paryżu szkołę tańca, głosząc harmonię ruchu, barw i światła.

Ów pierwszy romans miała Izadora z węgierskim aktorem, Oskarem Beregi (1878-1965), którego w swoich pamiętnikach nazywa Romeem, w tej bowiem roli ujrzała go po raz pierwszy na deskach budapeszteńskiego teatru Urania, gdzie sama dała swój pierwszy pokaz solowy w 1903 roku. Romans ten był równie burzliwy, jak późniejsze, dość jednak krótkotrwały, jakkolwiek Romeo odwiedzał ją jeszcze później w Niemczech. **Blagalnice** ("Hiketides") to najstarsza z zachowanych tragedii Ajschylosa, napisana około 490 roku przed naszą erą, a stanowiąca pierwszą część trylogii (dwie pozostałe się nie dochowały) osnutej wokół mitu o Danaidach.

Późnobarokowy Pałac Zimowy w Petersburgu był do rewolucji lutowej 1917 roku rezydencją carów. W tak zwaną Krwawą Niedzielę 22 (9 starego stylu) stycznia 1905 roku wojsko otworzyło przed nim ogień do bezbronnego tłumu manifestantów, który szedł pod przewodem duchownego prawosławnego G.A. Hapona, by złożyć carowi petycję. Oblicza się, że w rezultacie masakry zginęło ponad tysiąc, a rannych zostało około dwa tysiące ludzi. Dało to początek rewolucji 1905.

Trzydziestodwuletni wówczas **Edward Gordon Craig** (1872-1966) był już międzynarodową sławą, gdy poznał dwudziestosześcioletnią Izadorę. Przed córeczką Deirdre, którą miał z Izadorą, spłodził już siedmioro starszych dzieci z trzema innymi kobietami. Związek tych dwóch nieokiełzanych indywidualności nie mógł oczywiście być trwały, ciągnął się jednak z przerwami przez kilka lat, a ogłoszona po śmierci Craiga ich korespondencja świadczy, że pozostawali w przyjaźni aż do śmierci Izadory. O Craigu jest obszernie mowa w przypisie do s. 111 "Roku 1919".

Owym **milionerem był Paris Singer** (1867-1932), jeden z przeszło dwadzieścioro dzieci wynalazcy maszyny do szycia, Isaaca Singera, i jeden z głównych dziedziców jego fortuny, gdyż przeważająca część potomstwa pochodziła z nieprawego łoża i otrzymała tylko większe czy mniejsze zapisy. Zjawił się on w roku 1908 w paryskiej garderobie Izadory, ofiarowując jej swój majątek i serce akurat w momencie, gdy wraz z siostrą Elizabeth jawnie wdychała do bogatego mecenasa, który by im pomógł finansować kosztowną szkołę tańca, utrzymywaną z honorariów Izadory. Okazało się, że się poznali już osiem lat wcześniej, podczas pierwszego pobytu Izadory w Paryżu, na pogrzebie popierającego ją kompozytora i mecenasa, księcia Edmonda Melchiora de Polignaca (1837-1901), ożenionego ze starszą siostrą Parisa, którego niecodzienne imię pochodziło nie od trojańskiego księcia, jak lubił się przechwalać, lecz od angielskiej nazwy miasta jego urodzenia, Paryża. Romans Izadory z Lohengrinem, jak ochrzciła Singera (bo jej przypominał Wagnerowskiego bohatera), trwał z przerwami dziesięć lat, (jakkolwiek opowiadała ona już wówczas wszem wobec, że się brzydzi jego wulgarnym bogactwem) i Paris był ojcem jej drugiego dziecka, synka Patryka.

Teatr Grecki (The Greek Theater) w San Francisco stanowi część zabudowań uniwersytetu Stanu Kalifornia w Berkeley. Otwarty na zakończenie roku akademickiego 1903, kiedy był dopiero w jednej trzeciej gotowy, został wzniesiony z funduszy Williama Randolpha Hearsta (por. przypis do s. 290). Jest pierwszą z piętnastu budowli zaprojektowanych w Berkeley przez architekta Johna Galena Howarda (1867-1942), który został jednym z dwóch laureatów konkursu na projekt kompleksu uniwersyteckiego, sfinansowanego w 1896 roku przez matkę Williama Randolpha, Phebe Hearst.

Teatr Grecki, wierna imitacja antycznego pierwowzoru w Epidaurusie, ma kształt naturalnego amfiteatru, częściowo ukrytego w gaju eukaliptusowym. Olbrzymią scenę, ponad czterdziestometrowej szerokości i blisko dziesięciometrowej głębokości, zamyka mur wysokości trzynastu metrów i rząd kolumn doryckich. Obok koncertów i przed-stawień dramatycznych (na otwarcie studenci wystawili fragmenty "Ptaków" Arys-tofanesa) w Teatrze Greckim odbywają się również zebrania i wiece uniwersyteckie.

Głośny incydent w bostońskim Symphony Hallu miał w rzeczywistości miejsce później, gdy Izadora odbywała (wraz z Jesieninem) swoje ostatnie tournée po USA na przełomie lat 1922-1923, a więc już po pierwszym pobycie w Związku Radzieckim.

Marche Slave (1876) należał, wraz z kilkoma innymi kompozycjami Czajkowskiego, do stałego repertuaru Izadory. Jest to marsz koncertowy na orkiestrę, w którym kompozytor wykorzystał tradycyjne melodie rosyjskie z przedrewolucyjnym hymnem narodowym włącznie. Jak wspomina słynny impresario Sol Hurok, organizator owego tournée, w "Marszu słowiańskim" Izadora "właściwie stała ze związanymi rękami. Prawie się nie poruszając potrafiła w jakiś sposób opowiedzieć całą historię buntu ludu przeciwko niewoli. Była niezwykła". Dopiero w Bostonie, jak pisze Walter Terry (za którym przytoczono powyższą opinię Huroka), "zaczęła wywijać czerwonym szalem przed snobistyczną publicznością i wykrzykiwać, że jest tak czerwona jak ten szal".

Siergieja Jesienina poznała Izadora latem 1921 roku w Moskwie. Miała wówczas czterdzieści trzy lata, on dwadzieścia sześć. Ona prawie nie rozumiała po rosyjsku, on nie znał żadnego obcego języka, tak że chcąc się bliżej porozumieć, musieli rozmawiać przez tłumacza. Mimo to zapłoneli do siebie gwałtownym uczuciem, wkrótce zamieszkali razem, a w maju 1922 się pobrali. Izadora była przez całe życie przeciwniczką instytucji małżeństwa i czynną orędowniczką wolnych związków. Sprzeniewierzyła się dotychczasowemu credo zapewne, aby silniej związać ze sobą młodszego o siedem-naście lat ukochanego i móc go zabrać za granicę. Podróżowali przez piętnaście miesięcy odwiedzając Niemcy, Belgię, Francję, Włochy i USA. Jesienin, wyrwany z rodzinnego środowiska, zepchnięty w cień przez międzynarodową sławę żony, czuł się głęboko nieszczęśliwy. Obce kraje nic go nie obchodziły, jego stan fizyczny i psychiczny coraz się pogarszał. Jak pisze Walter Terry, "był nieobliczalny w zachowaniu, skłonny do napadów gniewu, chandry, namiętności, okrucieństwa, nieuczciwości i pijaństwa, bliski obłądu". Wspomniane wybuchy pijackiego szału miały rzeczywiście miejsce, tyle że drugi z nich wydarzył się w superluksusowym paryskim Crillonie, nie zaś w Continentalu, jak chce Dos Passos. Wreszcie w sierpniu 1923 Izadora wróciła z Jesieninem do Rosji, gdzie wkrótce ją rzucił dla innej kobiety. Był już ciężko chory psychicznie, kilkakrotnie przebywał w szpitalu. Skończył ze sobą 28 grudnia 1925 wieszając się w hotelu Angleterre w Leningradzie.

Adieu, mes amis... (fr.) - Żegnajcie, przyjaciele, odchodzę do chwały.

Graphic była to nowojorska popołudniówka, wydawana w latach 1924-1929 przez zdolnego, ale pozbawionego skrupułów dziennikarza i publicystę Emile'a Gavreau (1891-1956). Pismo żerowało na wszelkiego rodzaju sensacjach i skandalach, a także dla zdobycia czytelników prowadziło szeroko reklamowane akcje (jak wspomniane tu prezentowanie kandydatów na Apollów), obliczone na niewybredne gusty. (Por. również przypis do s. 210).

Tytuł wielkiego księcia, z którym się łączyły między innymi apanaże w wysokości dwustu trzydziestu tysięcy rubli rocznie, przysługiwał synom i wnukom carów Wschodniej Rosji. Spośród siedemnastu wielkich książąt, którzy żyli w 1917 roku, ośmiu uratowało się z zawieruchy rewolucyjnej i mieszkało po wojnie w Europie Zachodniej. Ich nadzieje na upadek rządów komunistycznych w Rosji, spory o następstwo tronu po zamordowanym Mikołaju II, rewelacje dotyczące niedawnej przeszłości oraz niekiedy ekstrawagancki styl życia sprawiały, że głośno o nich było w prasie po obu stronach Atlantyku. W USA najlepiej dał się poznać wielki książę Aleksander Michaelowicz (186(~)1933), wnuk Mikołaja I i szwagier Mikołaja II, który objeżdżał w latach dwudziestych miasta amerykańskie z odczytami głosząc tołstoizm i kontrewolucję. Wielkim księciem, który przyjechał tylko dla przyjemności, był natomiast najprawdopodobniej Dymitr Pawłowicz (1893-1942), syn najmłodszego brata cara Aleksandra III. 22 listopada 1926 roku poślubił on w Biarritz amerykańską dziedziczkę z Nowego Jorku, pannę Audrey Emery, w prawosławnej ceremonii ślubnej, szeroko opisywanej ze względu na jej barwność i przepych. Młoda para udała się następnie w podróż poślubną do Londynu i Ameryki. Zainteresowanie osobą księcia Dymitra było tym większe, że należał on do trójki spiskowców, którzy w 1916 roku zamordowali złowrogiego mnicha Rasputina, do czego prasa zachodnia powracała przy różnych okazjach. Wielką sensacją stało się całkowite zaćmienie słońca, które można było obserwować w Nowym Jorku 24 stycznia 1925 roku. Zjawisko to nie miało tutaj miejsca od przeszło trzystu lat.

Côte de cheval(fr.) - dosłownie: końskie żebro; tkanina o wypukłych prążkach.

Peggy (a właściwie: Margaret) Hopkins Joyce, z domu Upton (1893-1957), była blond pięknoscią, której nazwisko w latach dwudziestych i trzydziestych pojawiało się często na szpaltach gazet, głównie w związku z jej głośnymi małżeństwami, rozwodami i romansami, z jej szczegółowo opisywanymi toaletami i klejnotami, z jej ekstrawaganckimi apartamentami w Nowym Jorku i rezydencjami na Lazurowym Wybrzeżu. Urodzona w średnio zamożnej rodzinie w Norfolk w stanie Wirginia, uciekła w wieku piętnastu lat z domu z akrobatą

rowerowym i występowała wraz z nim w rewii w Denver, jak ujawniła w swoim pamiętniku zatytułowanym "Men, Marriage and Me" ("Mężczyźni, małżeństwo i ja"). W Denver też zawarła pierwsze ze swoich sześciu małżeństw, wkrótce anulowane. Wysłana następnie przez rodziców do prywatnej szkoły w Waszyngtonie, wysłała po raz drugi za mąż za niejakiego Sherburne'a Hopkinsa, osobistość znaną w tamtejszych kręgach towarzyskich. Po rozwodzie z nim rozpoczęła w Nowym Jorku niezbyt błyskotliwą karierę aktorską. Występowała w rewiach, między innymi Ziegfelda (por. przypis do s. 81), grała w kilku lekkich sztukach, w dwu filmach, po raz ostatni w 1928 roku we francuskiej farsie wystawionej na Broadwayu. Bodajże najszerzej opisywanym epizodem z jej życia stał się rozwód z trzecim mężem, Stanleyem Joycem, przemysłowcem drzewnym z Chicago, w wyniku którego ujawniono, że ofiarował on jej w czasie trwania małżeństwa biżuterię wartości miliona czterystu tysięcy dolarów. Była potem jeszcze trzykrotnie zamężna, ze szwedzkim hrabią, angielskim inżynierem oraz amerykańskim bankierem. Jest o niej również wzmianka w biografii fikcyjnej Margo Dowling. (Porównaj s. 233).

Piaskarz (Sandman) to postać z wierzeń ludowych i baśni, rzekomo sprowadzają-ca na dzieci sen przez zaproszenie im oczu piaskiem.

FireIsland to blisko pięćdziesięciokilometrowa mierzeja u południowych wybrzeży Long Island, na której znajduje się kilka miejscowości lotniskowych, rezerwat przyrody oraz latarnia morska wybudowana w 1858 roku.

Białe wonne kwiecie pomarańczowe jest w Ameryce tradycyjnie używane na bukiety ślubne dla panien młodych.

Złotowłosa (Goldilocks) to nieposłuszna dziewczynka ze znanej opowiadki o "Trzech niedźwiadkach" ("The Three Bears", 1837), napisanej przez popularnego poetę angielskiego Roberta Southeya (1774--1843), a następnie wielokrotnie modyfikowanej i uzupełnianej przez licznych autorów. Młoda bohaterka trafia w lesie do domku zamieszkanego przez rodzinę niedźwiadków i zaczyna tam gospodarować pod ich nieobecność.

Grobowiec Granta (Grant's Tomb) to monumentalne mauzoleum w stylu rzymskim, usytuowane na wzgórku w rozwidleniu Riverside Drive, alei biegnącej z południa na północ wzdłuż Hudsonu, na wysokości Sto Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Zostało ono ukończone w 1897 roku, a koszt jego budowy wynosił sześćset tysięcy dolarów, zebranych z wpłat dziewięćdziesięciu tysięcy osób. W krypcie pod podłogą znajdują się sarkofagi ze zwłokami generała Ulyssesa Granta (1822-1885), dowódcy wojsk Unii podczas wojny secesyjnej, a następnie prezydenta USA w latach 1869-1877, oraz jego żony. (Por. również przypis do s. 413).

Benjamin Franklin Keith (1846-1914) zorganizował począwszy od 1883 sieć teatrów rewiowych, obejmującą cały kraj. Teatry Keitha, obsługiwane przez trupy objazdowe, odznaczały się niskimi cenami biletów przy stosunkowo dobrym repertuarze i wykonawstwie.

Hazel Dawn, urodzona w 1891 roku, zapisała się w pamięci publiczności pierwszą rolą, w jakiej wystąpiła w 1911 w Ameryce po powrocie z Europy, gdzie się uczyła śpiewu oraz gry na skrzypcach i gdzie debiutowała na scenie londyńskiej. Była to rola "wilgotnookiej blondyneczki" ("deweyed blonde") z francuskiego półświatka, w komedii muzycznej "The Pink Lady" ("Różowa pani") opartej na farsie francuskiego autora Georges'a Berra "Le Satyre". Śpiewała tu, akompaniując sobie na skrzypcach, kilka piosenek, wśród nich głośny szlagier "My Beautiful Lady" ("O, piękna pani"). Bez wątpienia ten właśnie jej występ parodiował powieściowy partner przybranego ojczyrna małej Margo Dowling. Hazel Dawn nie powtórzyła już później swego pierwszego sukcesu, jakkolwiek występowała jeszcze w około dziesięciu komediach muzycznych i odbyła tournée po kraju jako jedna z gwiazd Ziegfeldowskich "Szaleństw 1923". **Richard Mansfield** (1854--1907), urodzony w Berlinie z angielskich rodziców, przybył do Stanów Zjednoczonych w 1872 i w dziesięć lat później rozpoczął swoją wielką karierę sceniczną, zarówno jako aktor tragiczny, jak komiczny. Potrafił tworzyć świetne kreacje w błahych sztukach, ale zapisał się w historii również jako odtwórca ról Szekspirowskich. Wprowadził na sceny amerykańskie dramaty Ibsena oraz G.B. Shawa.

Elegancki Świat ("The Smart Set") to ukazujący się w latach 1890 --1930 miesięcznik pomyślany początkowo jako wykwintny magazyn literacki i rozrywkowy dla wyższych sfer towarzyskich Nowego Jorku. Okres jego największej świetności przypadł na lata redakcji Willarda Huntingtona Wrighta (1912--1914), który wslawił się później powieściami detektywistycznymi pisanymi pod pseudonimem S.S. Van Dine, oraz dwójki wpływowych krytyków i eseistów, H.L. Menckena i George'a Jeana Nathana (1914-1924). W ciągu tego dwunastolecia (z wyjątkiem chudych lat ograniczeń cenzuralnych okresu wojny "Elegancki Świat", sarkastyczny i obrazoburczy, był pismem nonkonformistycznej elity intelektualnej. Atakował rozmaite dziewiętnastowieczne przeżytki i przesady, obalał kolejno liczne pokutujące tabu, lansował awangardowych pisarzy europejskich i amerykańskich, z których wielu weszło na stałe do literatury. Odkupiony w roku 1924 przez koncern Hearsta, szybko skostniał i podupadł.

Gertrude Ederle, urodzona w 1906 roku jako córka nowojorskiego rzeźnika, znana była od piętnastego roku życia jako fenomenalna pływaczka. W latach 1921-1925 poprawiła dwadzieścia dziewięć amatorskich rekordów krajowych i światowych. W 1922 roku pobiła w Brighton Beach w stanie Nowy Jork w ciągu jednego popołudnia siedem rekordów świata. W olimpiadzie 1924 roku należała do drużyny amerykańskiej, która zdobyła złoty medal w sztafecie cztery razy 100 metrów stylem dowolnym. 6 sierpnia 1926 jako

pierwsza kobieta przepłynęła kanał La Manche z Cape Gris-Nez we Francji do Kingsdown w Anglii, pokonując trasę 35 mil, czyli ponad 56 kilometrów, w czasie krótszym od ówczesnego rekordu męskiego, 14 godzin i 31 minut. Po powrocie do Stanów tłumy witały ją owacyjnie na ulicach rodzinnego miasta.

Afera florydzka to spekulacje ziemią na Florydzie, które osiągnęły swój szczyt latem i jesienią 1925. Cudowny klimat, ulgowe przepisy podatkowe i spadkowe oraz rozdmuchana reklama i sensacyjne relacje o możliwości łatwego wzbogacenia się sprawiły, że szybki, lecz normalny rozwój Florydy, trwający od początku lat dwudziestych, przybrał nagle rozmiary ogólnokrajowej gorączki kupowania na niewidzianego każdego skrawka ziemi florydzkiej wystawionego na sprzedaż, w nadziei odprzedania jej z kolosalnym zyskiem. Znalazło się wielu nieuczciwych spekulantów, którzy parcelowali na działki i sprzedawali bezwartościowe tereny piasków i bagien, położone rzekomo w bajecznej okolicy, których w rzeczywistości późniejsi biegli nie byli nawet w stanie odszukać. Sztuczna koniunktura załamała się wiosną roku 1926, kiedy powoli zaczęło braknąć nowych kupców a świeżo upieczeni posiadacze działek, wartościowych czy bezwartościowych, coraz powszechniej stwierdzali, że nie mogą ich odprzedać, a nie mają na spłacenie pozostałej części należności. Gwoździem do trumny stał się katastrofalny huragan, który spustoszył Florydę 18 września tego samego roku. Zginęło blisko czterysta osób, rannych było ponad sześć tysięcy, zburzeniu uległo pięć tysięcy domów, pozostawiając osiemnaście tysięcy ludzi bez dachu nad głową.

Mowa jest o sensacyjnym procesie o zabójstwo pastora Halla i pani Mills, dyrygentki chóru kościelnego, których znaleziono 16 września 1922 zastrzelonych na opuszczonej farmie w pobliżu New Brunswick w stanie New Jersey. Proces zakończył się wówczas uniewinnieniem, jednakże w cztery lata później jedna z brukowych gazet doprowadziła do wznowienia go wynalazłszy nowego świadka, właśnie wspomnianą wyżej Świniarkę, jak ją ochrzciły gazety (bo hodowała świnie), która rzekomo widziała pastora Halla i jej dwóch braci na miejscu morderstwa. Świniarkę przyniesiono do sądu ze szpitala na noszach, ale opowiedziana przez nią historyjka okazała się tak nieprawdopodobna, że sprawa zakończyła się ponownie uniewinnieniem. Jednakże domniemany romans pastora z parafianką w zamożnym i szacownym środowisku burżuazyjnym, zakończony ponurą tragedią, był dla prasy zbyt wielką gratką, by nie uczynić z niego ogólnokrajowej sensacji. Osiem gazet nowojorskich wynajęło domy w miasteczku Somerville, gdzie się toczyła rozprawa, i jedna z nich wysłała tam na czas procesu szesnastu reporterów, druga trzynastu. Nikt, kto czytał prasę lub słuchał radia, nie mógł pozostać nieświadom najdrobniejszych okoliczności dramatu.

Szejk to Rudolf Valentino (1895-1926), nazywany tak od roli, jaką grał w filmie "Szejk" ("The Sheik", 1921) reżyserii George'a Melforda oraz jego kontynuacji, "Synu szejka" ("The Son of the Sheik", 1926), reżyserii George'a Fitzmaurice'a. Valentino nazywał się naprawdę znacznie wymyślniej, niż to podaje Dos Passos dalej w po-święconym mu rozdziale "Wirtuoz tanga": Rodolfo Alfonso Raffaele Pietro Filiberto Guglielmi di Valentina d'Antonguolla.

Czterech jeźdźców Apokalipsy ("The Four Horse men of the Apocalypse", 1921) to debiut i bodajże jedyny liczący się film w karierze Rudolfa Valentino. Powodzenie film zawdzięczał zapewne bardziej pierwowzorowi, na którym był oparty, głośnej powieści o niedawnej wojnie pióra autora hiszpańskiego Vicente Blasco Ibañeza, oraz sprawnej reżyserii Rexa Ingrama aniżeli grze Valentina, któremu jednak przyniósł sławę. W ogóle trudno dziś zrozumieć fenomenalną karierę tego mydlkowego amanta o bardzo miernym talencie.

Ulubienica Ameryki (America's Sweetheart) to sławna aktorka kina niemego Mary Pickford (1893-1979).

Gwiazdą, o której Valentino miał mówić przed śmiercią jako o swojej przyszłej żonie, była Pola Negri (1897-1987).

Jim (czyli James) Jeffries (1875-1953) to bokser zawodowy wagi ciężkiej, który zdobył tytuł mistrza świata nokautując w 1899 roku w jedenastej rundzie Boba Fitzsimmonsa, a utracił go ostatecznie w piętnastorundowym pojedynku z Jackiem Johnsonem w 1910.

Jiddu Krishnamurti (1895-1986) to indyjski mistyk i poeta, obwołany nowym mesjaszem przez panią Annie Besant, przewodniczącą Towarzystwa Teozoficznego. W latach 1926-1927 odbył wraz z nią objazd kilku krajów europejskich oraz Stanów Zjednoczonych głosząc swoją doktrynę filozoficzno-religijną. **Oddział amerykańskiej piechoty** morskiej pod dowództwem kontradmirała Juliana Latimera wylądował w Bluefields w Nikaragui 10 maja 1926 i przebywał tam do 5 czerwca. Prawdziwym powodem było antyrządowe powstanie, stanowiące jeden z epizodów wieloletnich dążeń do ukrócenia hegemonii USA w tym rejonie. Uprzednio wojska amerykańskie zostały wycofane z Nikaragui w 1925, jednakże w 1927 powróciły tam raz jeszcze i faktycznie okupowały kraj do 1933 roku.

Theodoros Pangalos (1878-1952), grecki generał i polityk, przyczynił się w 1922 do wymuszonej abdykacji króla Konstantyna, po czym w 1925 dokonał zamachu stanu obalając konstytucyjny rząd i ogłaszając się dyktatorem. W 1926 został sam obalony w wyniku następnego zamachu stanu i przebywał przez dwa lata w więzieniu.

Rzeką Północną (North River) nazywano wówczas dolny odcinek rzeki Hudson, przekraczający 1,5 km szerokości w rejonie portu nowojorskiego, tuż przed ujściem do Górnej Zatoki (Upper Bay). Nazwa ta powstała jako przeciwstawienie do Rzeki Południowej (South River), jak niegdyś nazywano rzekę Delaware

stanowiącą dziś granicę między stanem New Jersey a Pensylwanią i Delaware.

Stary Vanderbut (1794-1877) to protoplasta legendarnego nowojorskiego rodu milionerskiego, Cornelius, nazywany Komandorem (Commodore). W wieku szesnastu lat, za pożyczone sto dolarów, kupił prom, którym zaczął przewozić pasażerów między Staten Island a Manhattanem. Po trzydziestu latach był właścicielem floty obsługującej całe wschodnie wybrzeże Stanów. W późniejszym okresie zarobił krocie na przewozie morzem i lądem przez Nikaraguę poszukiwaczy jadących do Kalifornii w okresie gorączki złota 1849 roku (por. przypis do s. 412), po czym przetrzymał się na budowę kolei i opanował lwią część przewozów na obszarze między Nowym Jorkiem a Chicago i Kanadą. Umierając zostawił synowi Williamowi niesłychaną na owe czasy fortunę stu pięciu milionów dolarów. Po dziś dzień otacza go legenda przysłowiowej kariery z gazeciarza na milionera oraz fama o niesłychanym zbytku, jakim się otaczał. **Anthony Hermann Gerard Fokker** (1893-1939) to holenderski pilot i konstruktor aeroplanów, jeden z najbardziej zasłużonych pionierów lotnictwa światowego. W latach 1913--1918 prowadził w Schwerinie fabrykę aeroplanów, głównie myśliwskich, na których latali podczas pierwszej wojny światowej piloci niemieccy. Po wojnie przeniósł fabrykę do Holandii, założył jej filie w kilku krajach, między innymi w Stanach Zjednoczonych, i produkował wiele typów samolotów wojskowych i cywilnych.

Victrola to gramofon wbudowany w mahoniową szafkę, która służyła jako mebel. Victrola wprowadzona została do sprzedaży w 1906 roku i szybko podbiła rynek. Nazwa pochodzi od firmy, która ją produkowała, Towarzystwa Machin Mówiących Victora (Victor Talking Machine Co.) Założyciel firmy, Eldridge Johnson, posłużył się imieniem Victor arbitralnie jako "ładnie brzmiącym i sugerującym powodzenie".

Harry Houdini to pseudonim sceniczny Ehricha Weissa (1874-1926), jednego z najslawniejszych magików w dziejach, utworzony od nazwiska francuskiego iluzjonisty i sztukmistrza Jeana Houdin (1805-1871). Houdini, syn rabina z Appleton w stanie Wisconsin, uciekł z domu w wieku dwunastu lat, by się kształcić w zawodzie iluzjonisty. Jednakże światową sławę zdobył jako mistrz w sztuce ucieczki - potrafił się uwalniać z łańcuchów i kajdan, więzów i kaftanów bezpieczeństwa, cel więziennych, sejfów bankowych, a nawet z zaplombowanych skrzyń wrzucanych do wody. Głośna była również jego kampania przeciw oszukańczym mediom i innym fałszerstwom modnego wówczas spirytyzmu.

Iglica Waszyngtona (Washington Monument) to górująca nad krajobrazem Waszyngtonu około stusiedemdziesięciometrowa budowla w kształcie obelisku o siedemnastometrowej kwadratowej podstawie, wzniesiona z bloków kamiennych sprowadzonych ze wszystkich stanów, jak również ofiarowanych przez obce rządy i osoby prywatne. Jej budowa ciągnęła się z długimi przerwami od roku 1832, gdy z okazji setnej rocznicy urodzin twórcy republiki i jej stolicy, George'a Washingtona, powołano narodowy komitet budowy pomnika ku jego czci, aż do roku 1884, gdy budowę ukończono. W roku 1888 Iglica została udostępniona publiczności, która przez pierwsze lata, aż do zainstalowania wind, tłumnie drapała się po osiemset dziewięćdziesięciu ośmiu spiralnych stopniach na umieszczonej blisko szczytu platformę obserwacyjną, by obejrzeć piękną panoramę miasta.

Osiol Buridana według paraboli zdechł, bo nie mógł się zdecydować, czy najpierw zaspokoić głód sianem, czy pragnienie wodą, które miał po swoich dwóch bokach. Nazwa pochodzi od czternastowiecznego francuskiego filozofa scholastycznego, Jeana Buridana, który rzekomo miał się tą opowieścią posługiwać w swoich wykładach na uniwersytecie paryskim, którego był rektorem w roku 1328 i 1340.

Bierstuba (z niem. Bierstube) - piwiarnia.

Kirzmmel(niem.) - kminkówka, czyli nalewka na ziarnach kminku.

Wandering Junge (niemiecki z końcówką angielską w pierwszym słowie)-(... nazywała go swoim) wędrownym chłopcem.

Schatz (niem.) - (... nazywając go swoim) skarbem.

Kaffee mit Schlag sahne (niem.) - (... żądała) kawy z bitą śmietanką.

Zaginionym batalionem (Lost Battalion) nazwano podczas pierwszej wojny światowej 1 batalion 308 pułku piechoty Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych we Francji, który wraz z oddziałkiem z 307 pułku zagubił się podczas natarcia pod Binarville. Odcięty, stawiał Niemcom opór od 2 do 7 października 1918, dopóki nie uwolniły go z okrążenia główne siły amerykańskie w środkowym stadium ofensywy na Mozę i Argonny. Połowa okrążonych żołnierzy zginęła lub została ranna.

Wilhelm Zdobywca (1027-1087), książę Normandii, podbił Anglię w roku 1066 i jest nader wątpliwe, by matka bohatera mogła rzeczywiście mieć rodowód sięgający 11 stulecia. Genealogie takie należą zwykle do legend rodzinnych.

Guggenheimowie to milionerska rodzina wywodząca się od Meyera Guggenheima (1828-1905), szwajcarskiego Żyda, który w wieku dziewiętnastu lat przybył do Filadelfii, gdzie założył handel bławatny. W roku 1887 kupił dwie pierwsze kopalnie ołowiu, które wraz ze swymi siedmioma synami rozwinął w imperium górniczo-hutnicze i przemysłowe sięgające od Alaski po Chile i Kongo Belgijskie, i obejmujące kopalnie i obróbkę złota, srebra, ołowiu, cyny, miedzi, azotanów i diamentów oraz plantacje kauczuku i fabryki gumy.

Aleksandry to cocktaile z likieru kakaowego (creme de cacao), wytrawnego ginu lub brandy i śmietanki z

dotatkim lodu.

Childs to firma prowadząca sieć tanich restauracji. Nieco później, pod koniec lat trzydziestych, miała na samym Manhattanie czterdzieści cztery lokale, w tym trzy nocne z dansingiem w dzielnicy teatralnej przy środkowym Broadwayu.

Cocktaile staromodne (oldfashioneds) przyrządza się z whisky, gorzkich kropli, cukru i odrobiny skórki cytrynowej z niewielką ilością wody zwykłej lub sodowej.

Cocktaile Bacardi przyrządza się z rumu kubańskiego lub puertorykańskiego o nazwie Bacardi z sokiem limonowym, syropem z cukru lub granatów oraz lodu.

Las Belleau i inne wymienione niżej miejscowości to tereny, na których Amerykańskie Siły Ekspedycyjne walczyły z Niemcami we Francji. O większości z nich jest obszernie mowa w przypisach do "Roku 1919" (strony 165, 178, 201 i 443).

Ów zeppelin wojskowy to być może sterowiec Armii Stanów Zjednoczonych "Shenandoah", który uległ katastrofie podczas burzy 3 września 1925 roku w okolicach miejscowości Ava w Ohio, przy czym śmierć poniosło czternaście osób. Pomimo licznych w tym czasie sensacyjnych katastrof sterowców (o innej jest mowa w Kronice LVI) zwolennicy machin latających lżejszych od powietrza nadal prowadzili kampanię mającą dowieść ich wyższości nad cięższymi od powietrza aeroplanami.

Brzoskwinia (Peaches) to niejaka Frances Heenan Browning, która wystąpiła o separację od swego męża Edwarda, bogatego nowojorskiego handlarza nieruchomości, wkrótce po wygaśnięciu sensacji związanej ze wznowieniem procesu o zabójstwo pastora Halla i pani Mills. Powodem było to, że "papcio" Browning ponoć gustował w bardzo młodych dziewczętach, które zwabiał kosztownymi prezentami, ale prawdziwy skandal wybuchł dopiero, kiedy wspomniany wyżej brukowiec "Graphic" (por. przypis do s.144) zamieścił jego rysunek w piśmie goniącego półnagą żonę, która -jak głosił podpis - "nie chciała przed nim paradować nago". Do głosów oburzenia przyłączyły się nawet inne niewiele wybredniejsze gazety, żyjące również z żerowania na sensacji.

Oko kamery (48) jest reminiscencją z rejsu, który Dos Passos odbył w sierpniu 1920 roku na parowcu "Espagne" z Saint-Nazaire we Francji przez Santander w Hiszpanii do Hawany, gdzie się przesiadł na statek idący do Nowego Jorku, bo, "Espagne" płynęła do Puerto Mexico (dzisiejsze Coatzacoalcos) w Meksyku i Galvestonu w Teksasie.

La bella cubana (hiszp.) - piękna Kubanka.

Mayordomo (hiszp.) - rządcą.

Lajuerga (hiszp.) = zabawa, pijatyka.

Fumoir (fr.) - palarnia.

GaHegos (hiszp.) - (... dwóch) Galisyjczyków (mieszkańców hiszpańskiej prowincji Galicia).

Argyrol to nazwa firmowa roztworu protargolu, czyli proteinianu srebra, stosowanego jako łagodny środek do odkażania błon śluzowych, tutaj niedwuznacznie pełniące rolę leku przeciw chorobie wenerycznej.

Rusiñol (zapewne hiszp. dialektyczne zamiast: ruisenor) - słowik.

Siquieres... (hiszpański wierszyk, niezbyt sensowny, który w dosłownym prze-kładzie znaczy:) --jeśli chcesz żeby wóz śpiewał // zmocz go i zostaw w rzece // bo gdy go się dobrze zmoczy // to śpiewa jak gwizdek.

Cubana saellas... (hiszp.) -- Kubanki, te to gustują w Murzynach.

Elrubio (hiszp.) - blondyn.

Escandalo (hiszp.) - awantura.

Compagnie Generale Transatlantique (fr.) to francuskie towarzystwo okrętowe założone w roku 1855, utrzymujące żeglugę pasażerską i frachtową między Europą a Ameryką Północną i Indiami Zachodnimi. Jego własność stanowiły zawsze najelegantsze francuskie statki pasażerskie, do których należała "España". **Coño** (hiszp.) - kutas (przekleństwo).

Mon commandant (fr., tutaj tyle co:) - pan kapitan.

Mi general (hiszp., tutaj tyle co:) - - pan generał.

Un militar (hiszp.) -- wojskowy, żołnierz.

Vamos (hiszp.) = chodźmy.

Palmas... (hiszp.) - palmy, sombrero, muzyka.

Una puta in decente (hiszp.) - bezwstydna dziwka.

Zamek Morro to twierdza górująca nad wejściem do portu w Hawanie. Została wzniesiona w 1589 roku. w siedemdziesiąt lat po założeniu w tym miejscu miasta przez Hiszpanów, dla obrony przed piratami angielskimi, francuskimi i holenderskimi. Wiąże się z nią większość kluczowych wydarzeń w historii Kuby. Kazamaty zamku służyły przez wieki jako więzienie polityczne.

Tia (hiszp.) - ciotka.

Nia (hiszp.) - dziewczynka.

Ginfizz (ang.) -cocktail z wytrawnego ginu i wody sodowej z lodem, zaprawiony cukrem oraz sokiem cytrynowym albo limonowym.

Bellevue (Bellevue Hospital) to jeden z najstarszych szpitali na kontynencie amerykańskim. Zajmuje

dwanaście kwartałów miejskich na Dolnym Manhattanie między Pierwszą Aleją a Rzeką Wschodnią i Dwudziestą Szóstą a Trzydziestą Ulicą i składa się z dwudziestu pięciu budynków mieszczących sto jeden oddziałów. Założony w 1736 roku a przeniesiony na obecne miejsce w 1816, ma kliniki działające pod egidą uniwersytetów Nowojorskiego, Cornella i Kolumbijskiego. Jest finansowany przez miasto i zobowiązany do przyjmowania i leczenia także chorych, którzy nie są w stanie płacić. Uruchomił jako pierwszy w świecie pogotowie ratunkowe z własnymi karetkami (1869) i jako pierwszy w USA laboratorium bakteriologiczne (1892). Ponieważ do licznych jego oddziałów należy nowojorski szpital psychiatryczny, leczenie tutaj jest często w odczuciu potocznym utożsamiane z chorobą umysłową.

Minnie Maddern Fiske (1865-1932) była jedną z najwybitniejszych aktorek teatru amerykańskiego. Pochodząca z rodziny aktorskiej, występowała na scenie od wczesnego dzieciństwa. Sławę przyniosły jej w latach dziewięćdziesiątych role w sztukach Ibsena. Jak było wówczas w zwyczaju, objeżdżała ze swoją trupą wszystkie większe miasta Stanów.

Fotel Morrisowski to głęboki drewniany fotel z ruchomymi poduszkami i przesuwany oparciem. Nazwa pochodzi od Williama Morrisa (1833-1896), angielskiego pisarza, architekta, malarza, dekoratora i rysownika, jednego z prekursorów modernizmu, który w ramach swej kampanii o odnowę rzemiosła artystycznego projektował również meble.

Chodzi tu o królową rumuńską, Marię Aleksandrę Wiktorię (1875---1938) z dynastii Sachsen-Coburg-Gotha, córkę księcia Edynburga, a wnuczkę zarówno królowej Wiktorii, jak cara Aleksandra II. To właśnie dzięki jej wpływowi na męża, króla Ferdynanda I, Rumunia wzięła udział w wojnie po stronie państw Ententy, a nie państw centralnych. Zainteresowanie prasy, jakie towarzyszyło jej objazdowi Stanów Zjednoczonych w 1926 roku, należy przypisać zarówno jej głośnej ekstrawagancji, jak legendzie, która ją otaczała, odkąd w charakterze pielęgniarki towarzyszyła podczas wojny oddziałom rumuńskim na froncie. Znana była również jako autorka kilku napisanych po angielsku powieści-i zbiorów baśni.

Kasami Morrisa (Morris Plan Banks) nazywano prywatną organizację bankową, udzielającą niewielkich pożyczek ludziom pracy bez zabezpieczenia hipotecznego ani innego, a tylko na podstawie wywiadu o ich wypłacalności, solidności i tak dalej. Nazwa pochodzi od bankiera Arthura Josepha Morrisa (1881-1973), który w 1910 roku stworzył w swoim rodzinnym mieście Norfolk w Wirginii pierwszą kasę udzielającą tego rodzaju pożyczek. Wzorował się na powszechnych wówczas w Europie bankach kooperatywnych, których zasady działania uprzednio dokładnie przestudiował. Jego inicjatywa trafiła na podatny grunt i wkrótce Kasy Morrisa rozpoczęły działalność w wielu miastach USA.

Małym Kościółkiem za Rogiem (Little Church Around the Corner) nazywany jest Protestancki Episkopalny Kościół Przemienienia (Protestant Episcopal Church of the Transfiguration) przy Dwudziestej Dziewiątej Wschodniej Ulicy. Nazwa ta zrodziła się w 1870 roku, kiedy to pastor eleganckiej parafii przy Madison Avenue odmówił odprawienia egzekwii za zmarłego wybitnego aktora pochodzenia angielskiego, George'a Hollanda, i poradził jego przyjacielowi, również aktorowi Josephowi Jeffersonowi, by się zwrócił "do małego kościółka za rogiem". Sprawa odbiła się głośnym echem, a Mały Kościółek stał się odtąd tradycyjną świątynią ludzi teatru.

Klub Jagniąt (Lambs Club) przy Czterdziestej Czwartej Zachodniej Ulicy to ekskluzywny klub aktorski, znany również z urządzanych tam zamkniętych i otwartych przedstawień.

Klub Metropolitalny (Metropolitan Club), mieszczący się w pseudoflorentryńskim pałacu z końca dziewiętnastego wieku na rogu Piątej Alei i Sześćdziesiątej Ulicy, to ultrakonserwatywny klub starej elity finansowej i towarzyskiej.

Regaty bermudzkie (Bermuda Race) to wyścigi jachtów z Nowego Jorku na Bermudy, urządzone wspólnie przez Klub Żeglarski Ameryki (Cruising Club of America) i Bermudzki Królewski Jachtklub (Royal Bermuda Yacht Club) w parzyste lata od roku 1906.

Queridamia (hiszp.) - moja kochana.

Kościół Braci Zjednoczonych w Chrystusie (Church of United Brethren in Christ) został utworzony w 1800 roku przez Philipa Williama Otterbeina (1726-1813) z Niemieckiego Kościoła Reformowanego oraz Martina Boehma (1725-1812), biskupa mennonitów. Poznali się oni w 1768 roku i obaj, zniechęceni formalizmem swoich Kościołów, zaczęli objeżdżać Pensylwanię, Maryland i Wirginię, głosząc bardziej spontaniczną religię, początkowo głównie wśród ludności niemieckojęzycznej. Po formalnym utworzeniu nowego Kościoła, którego zostali wybrani biskupami, nowa wiara rozszerzyła się szybko na zachód od Alleghenów, obejmując także ludność anglosaską. Obaj założyciele stosowali podobną metodę duszpasterską: urządzali zebrania ewangelizacyjne, po których zachęcali nawróconych do organizowania kółek i stowarzyszeń dla umocnienia życia duchowego.

Są to fragmenty relacji spisanej przez Orville'a Wrighta na dziesiątą rocznicę pierwszego lotu i wydrukowanej w listopadzie 1913 w "Biuletynie Aeroklubu Ameryki". Autor opowiedział w niej nie tylko o pierwszym wzlocie aeroplanu, ale także o wcześniejszych wzlotach szybowcowych oraz studiach, eksperymentach i stopniowym wypracowywaniu konstrukcji zdolnej do unoszenia się w powietrzu. W zacytowanym fragmencie relacji brak jest wzmianki o tym, że dla nadania swojemu pierwszemu aeroplanowi

rozpędu przed startem bracia Wright posługiwali się katapultą. Uświadomienie sobie tego pozwala zrozumieć, dlaczego start zaczyna się na torze i dlaczego Orville musiał najpierw zluźnić przytrzymującą linkę. s. 247

W rzeczywistości Wilbur Wright urodził się 16 kwietnia 1867 na farmie w Indianie, a jedynie Orville w latach siedemdziesiątych (19 sierpnia 1871) w Dayton, dokąd rodzina się przeniósła dwa lata wcześniej.

Samuel Pierpont Langley (1834-1906), profesor astronomii w Pittsburghu, a od 1867 sekretarz Instytutu Smithsonianowskiego w Waszyngtonie (por. przypis do s. 274 "42 równoleżnika"), zajmował się w latach dziewięćdziesiątych aerodynamiką i zbudował kilka modeli aeroplanów. Jeden z nich, napędzany silnikiem parowym, wzniósł się 6 maja 1896 w powietrze i przeleciał 1200 metrów w czasie 1 minuty i 45 sekund, był to jednakże lot bez człowieka na pokładzie. Drugi, napędzany silnikiem benzynowym, na skutek braku stateczności nie zdołał się wznieść podczas prób w 1899. Bracia Wright korzystali z książki Langleya "Experiments in Aerodynamics", a następnie korespondowali z nim.

Octave Chanute (1832-1910), inżynier budowy kolei, urodzony w USA z francuskich rodziców, opublikował w 1894 studium o dotychczasowych eksperymentach lotniczych "Progress in Flying Machines" ("Postęp w machinach latających"). a następnie do 1897 skonstruował serię szybowców. na których lotów próbnych dokonywał jego pomocnik, A.M. Herring. Stwierdziwszy, że sterowanie samymi ruchami ciała jest niewystarczające, po raz pierwszy zastosował w szybowcu stery wysokości i kierunku. W maju 1900 Wilbur Wright napisał do niego list, w wyniku czego Chanute nawiązał z braćmi przyjaźń, był świadkiem ich prób w Kitty Hawk i służył im radą oraz pomocą. W listopadzie 1899 Wrightowie zwrócili się do Biura Meteorologicznego Stanów Zjednoczonych z prośbą o wskazanie im miejsca odpowiedniego do praktycznych badań techniki lotów. Za poradą szefa Biura trafili do Kitty Hawk, małej osady rybackiej na długiej mierzei u wybrzeży Atlantyku w hrabstwie Dare w Południowej Karolinie. Ludność miejscowa nie traktowała ich zbyt poważnie i w rezultacie świadkami pierwszego kontrolowanego wzlotu człowieka na aeroplanie było trzech ratowników strażnicy przybrzeżnej oraz mężczyzna i chłopiec z pobliskich osad, jedyni, którzy przybyli na zaproszenie braci. Dziś w Kitty Hawk można obejrzeć pomnik ku ich czci oraz rekonstrukcję obozowiska, jakie sobie tu urządzili, i również kopię ich pierwszego aeroplanu.

Diabolo (wł., dosłownie: diabeł) - gra dziecinna, polegająca na wprawianiu w ruch szpulki gumowej lub metalowej, podrzucaniu jej i chwytaniu na sznur umocowany na dwóch palczkach.

Loty pokazowe zaczęli Wrightowie urządzać w roku 1908, dokonywali ich jednak zwykle w pojedynkę, przy czym często każdy z nich przebywał w innym miejscu, a nawet kraju. W Fort Myers, w Wirginii, we wrześniu 1908 Orville demonstrował aeroplan wykonany na zamówienie Korpusu Łączności Armii Stanów Zjednoczonych. 17 września pękła podczas lotu linka sterowa i aeroplan runął na ziemię. Pilotujący Orville został poważnie ranny, a lecący z nim porucznik Thomas Selfridge zginął jako pierwsza ofiara katastrofy samolotowej. We Francji lotów pokazowych dokonywał Wilbur od sierpnia 1908 do wiosny 1909, najpierw na terenie wyścigów w Hunaudieres pod Le Mans, następnie na poligonie wojskowym w Avours, wreszcie w kurorcie Pau u stóp Pirenejów. Tutaj na lądowisku złożyli mu wizyty król hiszpański Alfons XIII (1884-1941), ten sam, którego w 1931 zdeponizował generał Franco, oraz król angielski Edward VII (1841-1910), syn królowej Wiktorii. Następnie, w kwietniu 1909, Wilbur odbył loty pokazowe na błoniach Centocelle pod Rzymem i wówczas zapewne gratulował mu król włoski Wiktor Emanuel III (1869-1947), ten sam, który w 1922 powołał Mussoliniego na szefa rządu i musiał abdykować po jego upadku w 1946. W Niemczech demonstrował swój aparat Orville w sierpniu i wrześniu 1909 na terenach parad wojskowych w Tempelhofie pod Berlinem. Jeden z jego lotów oglądał cesarz Wilhelm II (1859-1941), który następnie zaprosił go na obiad. Kronprinzem, który chciał się koniecznie przelecieć, był bez wątpienia syn cesarski Fryderyk Wilhelm (1882-1951), niedoszły dziedzic tronu, a podczas pierwszej wojny światowej dowódca sił niemieckich pod Verdun. Celem pokazów obu braci, których przyjmowano w Europie jak udzielnych książąt, była sprzedaż ich wynalazku różnym rządóm. Z późniejszej perspektywy na ironię zakrawa fakt, że na przykład Wilbur uczył pilotów francuskich, a Orville niemieckich, tak że zapewne ich uczniowie w parę lat później stacali pojedynki nad linią frontu. Natomiast w szczegółowym kalendarium życia obu braci nie ma wzmianki, by któryś z nich otrzymał kiedykolwiek gratulacje od cara.

Rekord trwania lotu szybowcowego, 9 minut i 45 sekund, ustanowiony przez Orville'a 16 października 1911, utrzymał się przez dziesięć lat i został poprawiony na 13 minut dopiero w roku 1921. Zdumiewające jest, że już w roku 1925 rekord trwania lotu szybowcowego wynosił 12 godzin i 7 minut.

W rzeczywistości Wilbur Wright zmarł na tyfus 30 maja następnego roku (1912).

Wszyscy wymienieni tutaj pionierzy lotnictwa zasłynęli jako piloci i konstruktorzy jeszcze przed pierwszą wojną światową. Francuz pochodzenia- angielskiego Henri Farman (1874-1958) wykonał wiele pionierskich przelotów i był posiadaczem licznych rekordów. W 1907 przeleciał 770 metrów z rekordową szybkością 52 km na godzinę; w 1908 przeleciał kilometr w obwodzie zamkniętym, uzyskał rekordową wysokość 2004 metrów oraz dokonał pierwszego lotu z pasażerem; w 1909 przeleciał najpierw odległość 180 km, a następnie 234; wreszcie w 1912 dokonał pierwszego lotu nocnego. Od 1906 prowadził warsztat lotniczy, połączony. w 1912 z warsztatem brata Maurice'a (1877-1964); z warsztatu tego wyszło wiele typów aeroplanów i hydroplanów. Francuz Louis Bleriot (1872-1936) w 99 zbudował. skrzydłowiec, od 1904 budował szybowce,

od 1905 biplany, w 1906/ zaś skonstruował pierwszy monoplan. W latach 1907-1908 dokonywał coraz dłuższych lotów od 150 metrów do 14 km; w 1909 dokonał pierwszego przelotu przez kanał La Manche z Calais do Dover w czasie 37 minut, zdobywając nagrodę gazety "Daily Mail" w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy franków; w tymże 1909 ustanowił rekord światowy szybkości 77 km na godzinę, a w 1910 poprawił go do 100 km. Założył szkołę pilotażu oraz fabrykę, która produkowała podczas wojny słynne samoloty myśliwskie Spad, a po wojnie wiele aparatów wojskowych i sportowych. Amerykanin Glenn Hammond Curtiss (1878-1930) zbudował w 1905 pierwszy amerykański sterowiec; w 1909 ustanowił rekord światowy prędkości lotu 70 km na godzinę (wkrótce poprawiony przez Bleriota) i uzyskał nagrodę za przelot na odległość 39 km; w 1911 skonstruował pierwszy hydroplan. W 1910 założył w Buffalo fabrykę aeroplanów, z której wyszło wiele modeli (na jednym z nich lata w następnym rozdziale Charlie Anderson); fabryka ta połączyła się w 1929 z fabryką założoną przez braci Wright. Francuz Ferdinand Ferber (1862= 1909) budował od 1898 szybowce i wykonywał na nich loty ślizgowe; w 1905 zbudował swój pierwszy aeroplan, zniszczony przez huragan; w 1908 zaś dokonał wielu lotów na następnym. Francuz Robert Esnault-Pelterie (nie Peltrie, jak pisze Dos Passos; 1881-1957) wzniósł się w 1908 na drugim aparacie swojej konstrukcji na wysokość 1200 metrów; dokonał wielu ulepszeń technicznych, między innymi zbudował pierwszy motor gwiazdzisty o nieparzystej liczbie cylindrów. Również Francuz Leon Delagrang (1873-1910) budował aeroplany od 1907 i w 1908 ustanowił trzy rekordy światowe

przelotu w obwodzie zamkniętym, kolejno około 4, 13 i 24 km. Zginął w wypadku lotniczym.

Święto Pracy (Labor Day), począwszy od roku 1887 wprowadzone po kolei w większości stanów jako ustawowy dzień wolny, obchodzone jest nie jak u nas 1 maja, lecz w pierwszy poniedziałek września i stanowi zakończenie sezonu urlopowego i wakacyjnego.

Hoch (niem.) - wiwat, na zdrowie.

Styl kolonialny (colonial style) to imitacja stylu budownictwa, zdobnictwa i meblarstwa 17 i 18 stulecia, kiedy na wschodnim wybrzeżu Ameryki istniało trzynaście kolonii Korony Brytyjskiej.

Tiffanowskie wazony, klosze do lamp i inne przedmioty ozdobne o wyrafinowanych kształtach i kolorystyce wzięły swoją nazwę od Louisa Comforta Tiffany'ego (1848-1933), który opracował i opatentował technologię produkcji pięknego opalizującego szkła i od 1892 wytwarzał z niego kosztowne artykuły użytkowo-dekoracyjne oraz witraże w swojej fabryce w miejscowości Corona w stanie Nowy Jork. Louis Tiffany, syn Charlesa Lewisa Tiffany'ego (1812-1902), założyciela sławnej nowojorskiej firmy jubilerskiej, był malarzem, dekoratorem wnętrz oraz projektantem witraży i mozaik, jednym z najwybitniejszych przedstawicieli secesji w sztuce amerykańskiej. Przeszedł jednak do historii głównie jako twórca nowego stylu w produkcji szkła artystycznego.

Bar-le-Ducto historyczne miasteczko, pięknie usytuowane nad kanałem Marna-Ren i rzeką Ornain, przy linii kolejowej Paryż - Strasburg. Tutaj zaczynała się tak zwana Święta Droga (Voie Sacree), jedyna arteria, którą szło całe zaopatrzenie pod Verdun podczas gigantycznej wielomiesięcznej bitwy o ten odcinek frontu w 1916 roku i później. Okolica ta wiosną musiała się wydawać idyllicznym rajem żołnierzom, którzy przybywali tu z piekła frontu.

Edsel Bryant Ford (1893-1946) był synem Henry Forda i od roku 1919 aż do śmierci prezesem jego Towarzystwa ~Motoryzacyjnego. Umarł cztery lata przed ojcem, który objął wówczas na nowo prezesurę firmy, by po dwóch latach przekazać ją wnukowi, Henry Fordowi II (1917-1987).

Kanuk (z ang. Canuck) to pogardliwa nazwa Kanadyjczyka, szczególnie często stosowana do Kanadyjczyków francuskojęzycznych.

Charles Lindbergh (1902-1974) dokonał w dniach 2~21 maja 1927 roku pierwszego samotnego bezpośredniego przelotu z Nowego Jorku do Paryża na swoim jednopłatowcu "Spirit of St. Louis" ("Duch Saint Louis"). Lot długości 3 600 mil, czyli około 5 800 km, trwał 33 godziny i 30 minut. Zarówno Ameryka, jak Europa śledziła z zapartym tchem wyczyn Lindbergha już podczas jego trwania (na lotnisku Le Bourget oczekiwało go około stu tysięcy ludzi), a powitanie, jakie mu zgotowano po powrocie do USA, przewyższyło wszystko, co znano dotychczas. Garść nagłówek gazetowych dotyczących Lindbergha przytacza Dos Passos dalej, w Kronice LXIII.

Wysepki koralowe to tak zwane Florida Keys, około dwustukilometrowy archipeląg wysepek i raf koralowych i wapniowych, ciągnący się od południowego cypla Florydy łukiem wygiętym ku południowemu zachodowi w kierunku Zatoki Meksykańskiej. Pierwszą i największą z tych wysepek jest Key Largo, na którą udają się Charlie Anderson i Nat Benton.

Małpim procesem nazwano proces niejakiego Johna Thomasa Scopesa, dwudziestoczteroletniego nauczyciela biologii w gimnazjum miasteczka Dayton w stanie Tennessee. Stał on przed sądem oskarżony o naruszenie prawa stanowego zakazującego głoszenia w szkołach publicznych "jakiegokolwiek teorii negującej stworzenie człowieka przez Boga, tak jak to głosi Biblia, i nauczanie zamiast tego, że człowiek pochodzi od zwierząt niższego rzędu". Proces, który trwał od 10 do 21 lipca 1925 roku, stał się ogólnokrajową sensacją, do miasteczka zjechało ponad stu dziennikarzy, zainstalowano dwadzieścia dwa aparaty telegraficzne, chicagowska radiostacja transmitowała przewód na żywo, kinooperatorzy filmowali na sali sądowej, tłumy

oblegały budynek sądu. Wśród obrońców, których wydelegowała Amerykańska Liga Praw Obywatelskich (American Civil Liberties Union), było dwóch sławnych liberalnych adwokatów, Clarence Darrow i Arthur Garfield Hays, który dwa lata później miał występować w sprawie Sacco i Vanzettiego. Świadkiem oskarżenia był między innymi William Jennings Bryan, który został ośmieszony na cały kraj wykazawszy kompromitującą ignorancję i ciasnotę umysłową w pojedynku słownym z Darrowem (bez wątplenia przyczyniło się to do śmierci Bryana na apopleksję w tydzień później). Proces miał szersze wymiary konfrontacji nowoczesnego światopoglądu opartego na przesłankach naukowych z kontrofensywą ciasnego fundamentalizmu protestanckiego, obstającego przy dosłownej interpretacji Biblii. Sędzia jednakże zajął stanowisko czysto legalistyczne i skazał Scopesa na sto dolarów grzywny za naruszenie obowiązującego przepisu (wyrok ten został następnie uchylony przez Sąd Najwyższy Stanu Tennessee, ale ze względu na uchybienia w procedurze procesowej, nie zaś ze względów zasadniczych). Moralnym zwycięzcą byli wszakże "moderniści", co nie przeszkodziło, że anachroniczne prawo, jakkolwiek niezbyt odtąd przestrzegane, zostało w Tennessee uchylone dopiero w 1967, w rok potem jak Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał za niezgodny z konstytucją podobny przepis obowiązujący w stanie Arkansas.

Scjentyzm (Christian Science) to doktryna religijna wypracowana przez Mary Baker Eddy (1821-1910), która w 1875 roku ogłosiła swoje główne dzieło "Science and Health" ("Nauka chrześcijańska a zdrowie") i w 1879 założyła w Lynn w stanie Massachusetts sektę pod nazwą Kościół Chrystusa Scjentyisty (The Church of Christ Scientist). Chorowita od dzieciństwa, w 1862 Mary Eddy poznała psychoterapeutę (mental therapist) Phineasa Quimby (1802-1866), który siłą sugestii hipnotycznej przywrócił ją do względnego zdrowia. W cztery lata później upadła na oblodzonym chodniku i lekarze rokowali jej, że pozostanie częściowo sparaliżowana. Pośród cierpień zaczęła się wczytywać w biblijną przypowieść o sparaliżowanym, którego uzdrowił Chrystus, i odzyskała władzę w ciele. Poświęciła trzy lata studiowaniu Pisma Świętego, po czym ją głośno wysnuła z tego doktrynę, że wszystkie choroby są pochodzenia duchowego i że należy powrócić do pierwotnego chrystianizmu z jego zatraconą zdolnością uzdrawiania. W 1908 założyła w Bostonie dziennik "Christian Science Monitor", dziś jedną z najlepszych gazet amerykańskich, minimalnie obciążoną serwitutami religijnymi, a cenioną szczególnie za swoją świetną obsługę zagraniczną. Kościół Chrystusa Scjentyisty, dość luźno zorganizowany, ma obecnie ponad trzy tysiące dwieście świątyń, dwie trzecie z nich w USA.

Kolej Pensylwańska (Pennsylvania Railroad) to jedno z najstarszych amerykańskich towarzystw kolejowych, założone w roku 1846. W 1854 otworzyło pierwszą jednotorową linię między Filadelfią a Pittsburghiem, a w 1857 odkupiło linię wybudowaną wcześniej (w 1834) przez stan Pensylwania. Rozrastało się odtąd żywiołowo i w latach dwudziestych naszego stulecia było jednym z głównych przewoźników na terenie między Atlantykiem a Missisipi oraz Wielkimi Jeziorami a rzeką Ohio.

Klub pod Bocianem (Stork Club) to elegancka restauracja z dansingiem na Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej Ulicy.

Termin prasa Hearstowska jest tu oczywiście użyty w znaczeniu sensacyjnej prasy, żerującej na skandalach i obliczonej na niewybredne gusty. William Randolph Hearst (1863-1951), któremu Dos Passos poświęcił w dalszej części książki rozdział "Mały biedny bogaty chłopiec", był synem kalifornijskiego przemysłowca-milionera, George'a Hearsta (1820-1891). W wieku dwudziestu czterech lat objął w rodzinnym San Francisco redakcję gazety "Examiner", stanowiącej własność jego ojca, i rozpoczynając od niej, a następnie nowojorskiego "Morning Journal", nabytego w 1895 roku, zbudował imperium nie tylko prasowe, które w 1922, u szczytu jego potęgi, obejmowało dwadzieścia gazet o wielomilionowym nakładzie, trzynaście popularnych czasopism, agencję prasową, dwie wytwórnie filmowe, osiem radiostacji, blisko sto tysięcy hektarów ziemi i zamek w San Simeon w Kalifornii, liczne dalsze nieruchomości w Walii, Nowym Jorku i Meksyku oraz bajeczne zbiory sztuki. Oprócz pogoni za sensacjami, które podbijały nakłady jego publikacji, prasa Hearstowska, kierowana osobistymi uprzedzeniami magnata, wywarła w różnych okresach niekorzystny wpływ na nastroje społeczne i w konsekwencji na politykę Stanów Zjednoczonych. Przyczyniła się między innymi do wojny z Hiszpanią w 1898 i interwencji w Meksyku w 1916, do rozdmuchania nacjonalizmu i ksenofobii, do prześladowania działaczy lewicowych, do izolacjonizmu i odcięcia się USA od Ligi Narodów.

Dom towarowy Benjamina Altmana został otworzony w 1906 roku na rogu Piątej Alei i Trzydziestej Czwartej Ulicy. Była to wówczas dzielnica rezydencji bogaczy, naprzeciwko stał dawny hotel Waldorf Astoria (obecnie wznosi się tam drapacz chmur Empire State Building) i otwarcie w tym miejscu magazynu napotkało na gwałtowne opory. Dla uspokojenia opinii publicznej Altman ukrył przyziemne funkcje swej firmy w budynku przyozdobionym fasadą imitującą pałac florentyński.

Schrafft to, podobnie jak Childs, firma prowadząca ponad trzydzieści tanich restauracji na terenie całego Nowego Jorku.

Pozytywka to jedna z serii popularnych rewii wystawianych w latach 1921-1922, 1923 i 1925 w teatrze mieszczącym się na Czterdziestej Pierwszej Zachodniej Ulicy przy Broadwayu i również noszącym nazwę "Pozytywka" (Music Box Theater). Teatr założyli w 1920 roku rzutki producent teatralny Sam Harris (1872-1941) do spółki ze sławnym już kompozytorem piosenek Irvingiem Berlinem (1888-1989), który rewie

opracowywał muzycznie. Pochodziło z nich wiele szlagierów, śpiewanych przez całą Amerykę. **Wspomniane tu czasopisma** to "Theater", "Variety", "Zit's Weekly", "Town Topics" i "Shadowland". Wszystkie one związane były jakoś z przemysłem rozrywkowym, ale znacznieszą rolę odegrał tylko drugi z nich, tygodnik Variete, który wychodzi do dzisiaj. Założony w 1905 roku przez Sime'a Silbermana (1873-1933), który go redagował aż do śmierci, jemu zawdzięcza swą oszałamiającą karierę. Pomyślany początkowo jako pismo poświęcone rewii, szybko stał się czołowym organem całej branży teatralnej. Zawsze słynął z niezależności i bezstronności ocen, odwagi w poruszaniu kontrowersyjnych problemów i świetnego serwisu informacyjnego. Podziwiana była również inwencja językowa jego autorów, która przyczyniła się znacznie do wzbogacenia potocznej mowy amerykańskiej o nowe słowa, wyrażenia i zwroty, zaczerpnięte nie tylko z żargonu ludzi sceny i estrady.

Likier górski Teachera (Teacher's Highland Cream) to likier ziołowy renomowanej firmy szkockiej William Teacher and Sons.

Coral Gables w zespole miejskim Miami to piękny przykład planowo rozwiązanej kąpieliska, które zostało faktycznie wzniesione podczas florydzkiej koniunktury budowlanej 1925 roku (por. przypis do s.167). Natomiast wspomniane na następnej stronie miasto Jupiter oraz akry złota koło Tampy pozostały tylko nagłówkami gazetowymi w ramach ówczesnej kampanii reklamowej, roztaczającej idylliczne perspektywy przed potencjalnymi klientami, a obficie egzemplifikowanej przez Dos Passosa w Kronice LXI.

Gmach Woolwortha (Woolworth Building) na rogu Broadwayu i Park Place, naprzeciwko Parku Ratuszowego (City Hall Park), był w tym czasie najwyższą budowlą świata. Wzniesiony w 1913 roku według projektu głośnego architekta Cassa Gilberta (1859-1934), ma trzydziestopiętrową część główną, a na niej trzydziestopiętrową część wieżową. W sumie jego sześćdziesiąt pięter wznosi się na wysokość 792 stóp, czyli około 240 metrów nad poziom ulicy. Ze swoim żelazobetonowym szkieletem i pseudogotyckim wystrojem zewnętrznym, uważany był za cud architektoniczny, Katedrę Handlu (Cathedral of Commerce) wystawioną przez Franka Woolwortha (1852-1919) jako podniebna reklama jego imperium tanich domów towarowych. Prymat Gmachu Woolwortha jako najwyższego drapacza chmur prześcignięty został dopiero w 1929 przez Gmach Chryslera (Chrysler Building), który ma siedemdziesiąt siedem pięter i wieżę sięgającą 1048 stóp, czyli 320 metrów.

Waterproof (ang.) - płaszcz nieprzemakalny.

Tęczową Dywizją (Rainbow Division) nazywano Czterdziestą Drugą Dywizję Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych, która wyróżniła się szczególnie podczas tak zwanej drugiej bitwy nad Marną w lipcu i sierpniu 1918 roku. Nazwa pochodzi stąd, że dywizja ta specjalnym rozkazem prezydenta Wilsona została utworzona z członków Gwardii Narodowych wszystkich stanów unii.

Okolice miasta Saumur w zachodniej Francji (Andegawenia) produkują kilka gatunków win noszących nazwę Saumur. Są to z reguły lekkie wina białe, wytrawne lub półwytrawne, niekiedy musujące.

Tunel Hollanda (Holland Tunnel), noszący imię naczelnego inżyniera jego budowy, Clifforda Hollanda, a biegnący pod dnem rzeki Hudson, łączy Canal Street na Dolnym Manhattanie z Dwunastą Ulicą w Jersey City i jest jedną z głównych arterii wylotowych z Nowego Jorku. Został wybudowany wspólnym wysiłkiem stanów Nowy Jork i New Jersey, za sumę pięćdziesięciu milionów dolarów, w latach 1920= 1927.

Pan Dooley (Mr. Dooley) to postać stworzona przez dziennikarza i pisarza Finleya Petera Dunne'a (1867-1936), który wydrukował w chicagowskim dzienniku "Post", a później w innych pismach ponad siedemset szkiców ze swoim bohaterem w roli rezonera. Zaledwie jedną trzecią z nich wydano w postaci książkowej w kilkunastu tomach, które się ukazywały w latach 1898-1919, a kilkadziesiąt najlepszych zebrano następnie w 1938 roku w tomie "Mr. Dooley at His Best". Pan Dooley to właściciel małej irlandzkiej knajpki w Chicago, który komentuje i krytykuje bieżące wydarzenia i stosunki. Jego zdrowy rozsądek, przenikliwość ocen i ludowy dowcip sprawiały, że opinie i powiedzonka formułowane przez niego w charakterystycznej irlandzkiej angielszczyźnie krążyły z ust do ust i że przed kąśliwością jego języka drżały nawet wysoko postawione osobistości życia publicznego.

Termin kuracja Keeleya (Keeley cure) został tutaj użyty ironicznie, gdyż ojciec Margo właśnie się nią nie przejął, Leslie Keeley (1832-1900) bowiem zainicjował pierwszy w USA program leczenia alkoholików i narkomanów. W 1890 roku wydał broszurę pod tytułem "A Popular Treatise on Drunkenness and the Opium Habit, and Their Successful Treatment with the Double Chloride of Gold, the Only Cure" ("Traktat popularny o pijaństwie i opiumizmie oraz o ich skutecznym leczeniu dwuchlorkiem złota, jedynej kuracji"). Keeley następnie otworzył sanatorium w miejscowości Dwight w Illinois i zrobił ogromną fortunę oraz zdobył ogólnokrajowy rozgłos na swojej "kuracji".

Western Union Telegraph Company to monopolistyczne towarzystwo świadczące usługi telegraficzne i dalekopisowe w całych Stanach Zjednoczonych po jednolitych cenach. Założone zostało w 1856 roku, początkowo do obsługi niepewnych terytoriów zachodnich (stąd nazwa), jednakże od początku wykupywało mniejsze lokalne przedsiębiorstwa telegraficzne (w sumie wykupiło ich ponad pięćset) i już w dziesiątą rocznicę swego założenia, 1 kwietnia 1866, z kapitałem około czterdziestu milionów dolarów, pochłonęło swego głównego konkurenta obsługującego wschodnią część kraju, United States Telegraph Company, z

akcjami wartości nominalnej sześciu milionów. Odtąd stało się monopolistą, przeniosło swoją centralę do Nowego Jorku, a jego umundurowanych posłańców, zwykle poruszających się na rowerach, zaczęto widywać codziennie w całych Stanach. Już w 1861 roku towarzystwo miało transkontynentalną linię telegraficzną od Atlantyku do Pacyfiku, a w 1866-pierwszy kabel transatlantycki z Nowej Fundlandii do Anglii.

Stary Flagler to Henry Morrison Flagler (1834-1913), multimilioner, który prowadził handel zbożem i solą w Ohio, dopóki nie wszedł w spółkę z Johnem D. Rockefellerem i nie został w 1870 jednym ze współorganizatorów Standard Oil Company. Odwiedziwszy w 1883 Florydę, urzeczony jej pięknem i zirytowany prymitywem jej usług, postanowił przemienić ją w jeden wielki nowoczesny kurort, w co zaangażował w rezultacie ponad czterdzieści milionów dolarów. Wykupiwszy kilka lokalnych spółek kolejowych, połączył je w jedną Florydzką Kolej Wschodniego Wybrzeża (Florida East Coast Railway) i przedłużył bezpośrednią linię w 1896 ~ Daytony przez Palm Beach do Miami, a w 1912 jeszcze 250 km na południe, do Key West na krańcu archipelagu wysepek koralowych (por. przypis do s. 285). Zorganizował linie żeglugowe do Key West i Nassau na Bahamach, pogłębił i rozbudował port w Miami, wznosił wiele wspaniałych hoteli. Czynił również anonimowo liczne dotacje na budowę szkół, kościołów i szpitali w różnych miejscowościach Florydy.

W lesistych okolicach środkowej Florydy, a również kilku innych południowo-wschodnich stanów. wielu mieszkańców żyje z produkcji terpentyny, destylowanej różnymi metodami z soków żywych drzew iglastych, głównie kilku gatunków sosen, ale także z ich martwych pni i gałęzi.

One-step (ang., dosłownie: jednokrok) to amerykański taniec towarzyski w rytmie na dwie czwarte, wprowadzony w 1910 roku i modny przez następne kilkanaście lat, także w Europie. Tańczony przy muzyce ragtime, cechował się krokami przypominającymi zwykły szybki chód, wykonywanymi naprzemiennie w przód i w tył.

Mała sierotka Ania (Little Orphan Annie) to postać z seryjnego komiksu autorstwa rysownika Fiarolda Graya, publikowanego w wielu gazetach od 1924 roku. Bohaterka, początkowo zahukana, nabiera stopniowo aroganckiej pewności siebie i burżuazyjnych poglądów oraz nawyków.

Towarzystwo Kolei Południowego Pacyfiku (Southern Pacific Rail-road Company) powstało w 1865 roku w Kalifornii z połączenia kilku lokalnych linii kolejowych. W 1883, po wielu perypetiach, ukończyło budowę jednej linii długości 2250 mil, czyli ponad 4600 km, prowadzącej z San Francisco i Los Angeles przez El Paso, San Antonio i Houston do Nowego Orleanu. Stanowiło obok Kolei Santa Fe, Kolei Central i Union Pacific oraz Kolei Northern Pacific jeden z czterech głównych szlaków kolejowych, które po wojnie secesyjnej połączyły stany środkowe z wybrzeżem Pacyfiku.

Kinoteatr Chiński Grauma na (Grauman's Chinese Theater) to słynne kino w stylu chińskiej pagody, wzniesione w 1927 roku przez Sida Graumana przy centralnej arterii Hollywoodu, Hollywood Boulevard. Tutaj odbywają się galowe prapremiery szlagierów filmowych oraz roczne uroczystości przyznawania nagród Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej (Academy of Motion Picture Arts and Sciences), tak zwanych Oskarów. Niedługo po otwarciu Kinoteatru Graumana Mary Pickford zainicjowała zwyczaj odciskania przez sławne gwiazdy śladów stóp w betonie przed wejściem, utrzymujący się do dzisiaj, choć wiele dawnych odcisków zdążyło się już zatrzeć.

Zalew Saltoński (Salton Sea) to zbiornik wodny długości około 30, a szerokości od 8 do 14 mil, czyli odpowiednio około 48,13 i 22 km, leżący w Dolinie Imperialnej (Imperial Valley) w południowo-wschodniej Kalifornii, niedaleko granicy meksykańskiej. Dolina Imperialna, stanowiąca niegdyś część Pustyni Koloradzkiej (Colorado Desert), leży poniżej poziomu morza, a Zalew był do 1905 roku Zapadliną Saltońską (Salton Sink), nieką, pokrytą solą o dnie leżącym 280 stóp (około 85 metrów poniżej poziomu morza. Zamieniła Zapadlinę w Zalew woda, która przez dwa lata wydostawała się kanałem irygacyjnym przez wały przeciwpowodziowe na rzece Kolorado w okresie, kiedy przeprowadzano wielki program irygacji Doliny Imperialnej. Poziom wody, nadal zasilany z systemu irygacyjnego, w zasadzie utrzymuje się odtąd, a Zalew Saltoński obrósł szybko popularnymi terenami wypoczynkowymi.

Guinness to mocny porter, wytwarzany przez irlandzką firmę o tej nazwie, istniejącą od 1799 roku i mającą filie w kilku krajach.

Pan Hays to William Harrison Hays (1879-1954), prawnik i polityk, który był w latach 1918-1921 przewodniczącym Komitetu Narodowego Partii Republikańskiej, a w latach 1921 -22 pocztmistrzem generalnym w rządzie prezydenta Hardinga. Do historii przeszedł jednak jako wieloletni (1922-- 1945) prezes Stowarzyszenia Producentów i Dystrybutorów Filmowych Ameryki (Nation Picture Producers and Distributors of America). Na tym stanowisku zasłynął jako główny twórca i egzekutor tak zwanego kodeksu Haysa (Hays Code), purytańskiego zbioru szczegółowych przepisów, czego nie wolno pokazywać w filmach, dziś już śmieszącego, ale wówczas traktowanego śmiertelnie poważnie i niesłuchanie krępującego swobody twórcze. "Pan Hays" lubił się także wtrącać w prywatne życie prominentów Hollywoodu i jego potępienie mogło się odbić bardzo niekorzystnie na karierze.

Piece (albo: plat) deres istance (fr.) - dosłownie: danie, z którym niełatwo się uporać; a więc: danie zasadnicze, główne danie posiłku.

Klieg (Klieg light) to reflektor łukowy z silną wiązką promieni aktywnych, a więc działających fotochemicznie, używany od 1919 roku w atelier filmowych. Nazwa pochodzi od nazwiska wynalazców, amerykańskich ekspertów oświetleniowych pochodzenia niemieckiego, braci Johanna i Antona Klieglów.

Sanktuariusze (Shínners) to członkowie założonego w 1871 roku Starodawnego Arabskiego Zakonu Notabli Mistycznego Sanktuarium Ameryki Północnej (Ancient Arabic Order of Nobles of the Mystic Shíne of North America), niby tajnego bractwa, nie związanego oficjalnie z masonerią, ale przyjmującego tylko templariuszy i masonów trzydziestego drugiego stopnia. Celem ich działalności była dobroczynność, szczególnie zakładanie szpitali dla kalekich dzieci wszystkich ras i wyznań. Dla utrzymania fikcji swego arabskiego rodowodu, podczas pochodów urządzanych z myślą o pobudzeniu ofiarności społecznej, maszerowali często ulicami wielkich miast w czerwonych fezach i krzykliwych strojach pseudomuzułańskich.

Clarence Chamberlin (1894-1976) był jednym z konkurentów Lindbergha we współzawodnictwie o dokonanie pierwszego bezpośredniego przelotu z Nowego Jorku do Paryża, za co jeszcze w 1919 roku bogaty hotelarz nowojorski, Raymond Orteig, wyznaczył nagrodę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. W dniu, kiedy Lindbergh, mało wówczas znany przybysz z zachodniego wybrzeża, wystartował do swego samotnego lotu, na nowojorskim aerodromie imienia Teodora Roosevelta czekały na sprzyjające warunki atmosferyczne także maszyny dwu głośnych już pilotów, właśnie Chamberlina i komandora-porucznika Richarda Byrda (1888-1957), który rok wcześniej próbował dokonać z Floydem Bennettem przelotu nad Biegunem Północnym. W rezultacie Chamberlin przeleciał przez Atlantyk na swym aparacie "Miss Kolumbii" ("Miss Columbia") w dwa tygodnie po Lindberghu (4-6 czerwca 1927), przy czym poprawił jego rekord długości lotu o prawie 500 km przebywając trasę Nowy Jork - Eisleben w Niemczech długości ponad 3900 mil, czyli bez mała 6300 km. Towarzyszył mu w tym przelocie niejaki Charles Levin, którego to niewątpliwie opisuje jako "niskiego łysawego mężczyznę" relacja prasowa przytoczona przez Dos Passosa. Odbyli oni potem obaj swoim aeroplanem lot po wielu stolicach europejskich, odwiedzając między innymi w dniach 27-28 czerwca Warszawę, gdzie mimo wielogodzinnego opóźnienia spowodowanego ulewnymi deszczami oczekiwały ich na Polu Mokotowskim tłumy ciekawych, dygnitarze państwowi i ambasador USA i gdzie przyjął ich na Zamku prezydent Ignacy Mościcki.

Chodzi o paryską Ecole des Beaux-Arts, Szkołę Sztuk Pięknych, której liczni uczniowie nadawali w tym czasie ton architekturze amerykańskiej, projektując wszędzie pretensjonalne budowle monumentalne (muzea, biblioteki, dworce kolejowe, rezydencje) w stylu nazwanym następnie klasycyzmem Beaux-Arts (Beaux-Arts Classic). Był to jeden z przejawów tendencji do imitowania europejskich, a nawet pozaeuropejskich stylów architektonicznych, zrozumiałą w młodym kraju pozbawionym własnych tradycji. Zaczęło się to w latach 1820-1850 modą na naśladowanie budowli starogreckich, po której przysłała wkrótce moda na budownictwo pseudogotyckie, do dziś dominujące w wielu miasteczkach uniwersyteckich. Jednakże w drugiej połowie wieku naśladowano równie chętnie tradycje renesansowe, romańskie i staroegipskie, a można było nawet spotkać repliki pagód chińskich, zamków mauretańskich czy bizantyjskich rezydencji wiejskich. Oczywiście jednak w latach studiów Wrighta modne były szczególnie secesyjne tendencje wiktoriańskie, upodobanie do wymyślnych kształtów i natrętnej ornamentyki.

Eugene Emmanuel Viollet-le-Duc (1814-1879) to francuski architekt oraz konserwator i historyk architektury, rozkochany w gotyku, nad którym prowadził szczegółowe studia. Przekonany o organicznej jednolitości budowli gotyckich, głosił potrzebę ich odnawiania i udoskonalania tam, gdzie ich struktura czy styl zostały zachwiane. Wsławił się jako konserwator najcenniejszych zabytków średniowiecznych Francji, między innymi Sainte Chapelle i katedry Notre Dame w Paryżu, katedr w Amiens i Laon, fortyfikacji w Carcassonne. Był głównym animatorem dziewiętnastowiecznej mody na pseudogotyk. Pozostawił kilka monumentalnych dzieł o architekturze średniowiecznej, stanowiących do dziś podstawę do studiów przedmiotu.

Firma Adler i Sullivan istniała niespełna piętnaście lat (1881-1895), ale odegrała nader ważną rolę w rozwoju architektury amerykańskiej. Dankmar Adler (1844-1900), z pochodzenia Niemiec, renomę architektoniczną zdobywał w latach ożywionej koniunktury budowlanej po wielkim pożarze Chicago w 1871. Przyjawszy na współnika głównego projektanta w swoim biurze, Louisa Sullivana (1854-1924), zajmował się bardziej stroną handlową działalności firmy. Natomiast Sullivan był tym, który głosił i błyskotliwie realizował nowatorskie podejście architektoniczne, opozycyjne wobec królującego wówczas w Ameryce imitatorstwa stylów historycznych. Uważał, że forma zewnętrzna budynku powinna ściśle odpowiadać jego funkcji oraz być dostosowana do nowych materiałów i technik wprowadzanych do budownictwa. I tak głosił, że jeśli budynek ma stalowy szkielet, to należy ten szkielet eksponować, nie zaś ukrywać pod ciężką imitacją murów nośnych, jak to czynili tradycjoniści. Adler i Sullivan wybudowali między innymi w 1891 Gmach Wainwrighta w Saint Louis, prototyp późniejszych drapaczy chmur. Wright, w latach swego terminowania w zasłużonej firmie (1887-1893), współpracował z Sullivanem przy projektowaniu zarówno Gmachu Wainwrighta, jak innych nowatorskich budowli, szczególnie opery znanej jako Audytorium Chicagowskie (1889, oraz Gmachu Transportu na Wystawę Kolumbijską w Chicago (1893, Wright, który od młodości nie

uznawał żadnych autorytetów, Sullivana uważał do końca życia za swego mistrza i mówił o nim "Lieber Meister" ("kochany mistrz").

Henry Hobson Richardson (1838-1886), absolwent paryskiej Ecole des Beaux-Arts, spopularyzował w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych swoją własną wersję stylu romańskiego, nazwaną następnie od jego nazwiska Richardsonian Romanesque. Jego architektura, będąca reakcją na dominujące wówczas tendencje neogotyckie, przyniosła mu na krótko prestiż pierwszego architekta Ameryki, by niedługo ustąpić miejsca estetycznemu klasycyzmowi, który dominował na Wystawie Kolumbijskiej, a któremu tak ostro przeciwstawiał się swym funkcjonalizmem Sullivan, a następnie Wright.

W rzeczywistości Wright zaledwie zaczynał wypracowywać swój styl architektury prairii (prairie architecture), kiedy w roku 1893 opuszczał firmę Adler i Sullivan, a rozwinął go w pełni dopiero po roku 1900. Dorobił się już wówczas domku w OakParku, na przełomie stuleci jeszcze dość skromnym przedmieściu willowym Chicago, i tam też oraz w innych dzielnicach willowych tego miasta zaczął na zamówienie projektować domki noszące coraz wyraźniejsze piętno jego charakterystycznego stylu; później podobne wille projektował w różnych miejscowościach USA, większość jednak w równinnych stanach Środkowego Zachodu. Wright uważał za główny grzech amerykańskiego budownictwa, że domy stawia się byle gdzie i tak, iż szpecą krajobraz; określał to jako architekturę nieuczciwą. W jej miejsce lansował architekturę, którą nazywał organiczną, to jest taką, która by była dostosowana do otoczenia, wtapiała się w krajobraz stanowiąc jego naturalny element; to była architektura uczciwa. Dlatego jego domy w stylu prairii były wydłużone i niskie, zharmonizowane z równinnym pejzażem i otaczającą roślinnością, z dachami nie kaleńczącymi linii horyzontu i oknami zgrupowanymi szeregowo, budowane z najprostszych materiałów, w miarę możliwości naturalnych, często kombinowanych, z jak największą ilością światła i jak najmniejszą liczbą ścian i drzwi wewnętrznych, z pomieszczeniami przechodzącymi płynnie jedno w drugie i w ogród.

Seksterny palladiańskie (Palladian copybooks) to szkicowniki wielkiego włoskiego architekta renesansowego Andrei Palladia (1518--1580), w których rysował on zabytki architektury rzymskiej oraz nawiązujące do nich własne wizje architektoniczne wraz z praktycznymi wskazówkami projektowania, wytyczania proporcji, zachowania stylu. Szkice stanowią integralną część jego głównego dzieła, które było długo biblią architektury klasycystycznej, "I quattro libri dell'architettura" ("O architekturze ksiąg czworo" 1570), Palladio, który jako architekt działał przede wszystkim w Vicenzie i Wenecji, projektując kościoły i inne budowle publiczne oraz pałace i wille możnowładców, ukształtował własny styl architektoniczny, nazwany palladiańskim, stanowiący precyzyjnie wyważoną modyfikację antycznych porządków architektonicznych. Na jego koncepcjach i osiągnięciach wzorowała się w znacznej mierze architektura europejska siedemnastego i osiemnastego wieku, szczególnie angielska.

Usonią, a więc czymś użytkowym (od angielskiego słowa use - użytek), nazywał Wright swoją wizję Ameryki, w której każda rodzina miałaby nowoczesny funkcjonalny domek zapewniający jej niezależność, przestrzeń i światło, co uważał za nieodzowny warunek życia godziwego. Domki takie musiałyby być tanie i ekonomiczne, ażeby stały się dostępne dla każdego Amerykanina, i w tym celu Wright opracował typowe założenia, które pozwalały na optymalną realizację jego ideałów architektonicznych przy minimum kosztów.

Wright wywołał wielki skandal i po raz pierwszy naraził się prasie, gdy w listopadzie 1909 roku rzucił swoją pierwszą żonę, Catherine, oraz sześcioro dzieci, które z nią miał, i wyjechał do Europy z żoną klienta przemysłowca, panią Mamah Cheney. Mimo nagonki prasowej, bojkotu zawodowego, który go doprowadził na skraj bankructwa, i trudności z uzyskaniem rozwodu wobec oporu Catherine-jego nie zalegalizowany związek z panią Cheney trwał aż do tragedii, która się wydarzyła 4 lipca 1914. Wright pracował w tym dniu w Chicago wraz z synem z pierwszego małżeństwa, Johnem, również architektem, Mamah zaś przebywała w rezydencji w Wisconsinie, którą dla niej wybudował parę lat wcześniej na dwustu akrach otrzymanych z dziedzictwa rodzinnego matki i którą na pamiątkę pochodzenia tej ostatniej nazwał Taliesinem od imienia na pół legendarnego barda walijskiego z 6 stulecia ("Taliesin" znaczy po walijsku "jasna brew", a dom wystawiony u szczytu wzgórza wyglądał ponoć rzeczywiście jak brew na tle zbocza). Nową panią Wright odwiedzało tego dnia jej dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, normalnie mieszkających z ojcem, ponadto dom był pełen uczniów Wrighta oraz służby. Jeden ze służących, niejaki Julian Carleton z Barbados, przyjęty do służby przed trzema miesiącami, rozlał dookoła usytuowanej centralnie kuchni benzynę, podpalił ją, po czym z siekierą w rękę rzucił się w pogoń za ofiarami. W rezultacie dom spłonął do szczętu, a siedem osób straciło życie, wśród nich Mamah i jej dwoje dzieci. Wright pochował swoją umiłowaną towarzyszkę w nie oznakowanym grobie na zboczu, Carleton zaś otrął się w więzieniu.

Wright otrzymał kontrakt na budowę Hotelu Imperialnego(Imperial Hotel) w 1915 roku, gdy trzęsienie ziemi zburzyło poprzedni. Największym problemem były oczywiście fundamenty, które by wytrzymały ewentualne nowe wstrząsy. Podłoże, na którym miał stanąć hotel, architekt określił jako "płynne błoto", z nasypnymi na nie może dwoma metrami ziemi o twardości mniej więcej sera. Uznano go za wariata, gdy zamiast masywnych fundamentów zaproponował podpory "pływające" w owym błocie. Ponadto dla zabezpieczenia budynku przed ewentualnymi pęknięciami zaprojektował go nie jako jedną masywną bryłę, lecz jako zespół połączonych segmentów. Budowa trwała sześć lat, podczas których Wright pływał

wielokrotnie do Japonii i z powrotem. Wielkie trzęsienie, które nawiedziło Tokio w dwa lata po zakończeniu budowy, 1 września 1923, oraz wywołane nim pożary spowodowały zniszczenie dwu trzecich miasta oraz śmierć (według różnych źródeł) od stu do stu pięćdziesięciu tysięcy osób. Początkowe relacje zaliczały do zburzonych budynków również Hotel Imperialny, dopiero po paru dniach nadeszła depecha następującej treści: "Hotel stoi nie uszkodzony jako pomnik Pańskiego geniuszu. Doskonale zachowane urządzenia służą całym setkom bezdomnych. Gratulacje".

Nowy dom Wrighta w Wisconsinie, tak zwany Taliesin Wschodni (bo Wright wybudował sobie w latach trzydziestych drugą rezydencję, zimową, w Arizonie i nazwał ją Taliesinem Zachodnim), spłonął w znacznej części na wiosnę roku 1925, tym razem z powodu wadliwej instalacji elektrycznej. Był on również widowiskiem drugiej tragedii życia Wrighta, choroby psychicznej rzeźbiarki Miriam Noel, którą poślubił w 1923, kiedy Catherine zgodziła się w końcu na rozwód. W pełni udane było dopiero czwarte małżeństwo Wrighta z Iovanovną Lazovich Milanoff Hinzenberg, które trwało od roku 1928 aż do śmierci dziewięćdziesięcioletniego architekta w 1959.

W połowie lat trzydziestych, kiedy Dos Passos pisał "Ciężkie pieniądze", głośno było o Bractwie Taliesińskim (Taliesin Fellowship), które oficjalnie zaczęło działalność

1 października 1932 z dwudziestoma trzema praktykantami. Wright oczywiście już wcześniej miał uczniów, ale od tego czasu sprawę ujął w układy formalne, pobierając opłatę sześćset pięćdziesiąt, później tysiąc sto dolarów, chociaż utalentowanych adeptów architektury, których nie stać było na taki wydatek, przyjmował również na innych zasadach. Praktykanci, wprowadzani w arkana architektury organicznej, traktowani byli jak członkowie rodziny i zobowiązani do udziału w pracach gospodarczych w domu i na farmie, gdzie wytwarzali sobie sami żywność. Było ich jednorazowo do pięćdziesięciu, tak że za życia Wrighta przewinęło się przez Taliesin około tysiąca pięćset praktykantów obojga płci, przybywających z całego świata, którzy pozostawali tu na różne okresy czasu, od dwu godzin do dwudziestu lat. W późniejszym okresie zwracano uwagę, że z pracowni Wrighta nie wyszedł właściwie ani jeden wybitny architekt. Przypisać to zapewne należy autokratyzmowi mistrza, który nie tolerował najmniejszego sprzeciwu, wskutek czego ostawali się u niego tylko uczniowie gotowi iść w jego ślady, natomiast co bardziej samodzielni i twórcy szybko się wykruszyli. Wright uważał, że zatłoczone, bezładnie zabudowane miasta amerykańskie są więziami uniemożliwiającymi ludziom rozwijanie indywidualności. Dlatego opracował plany realizacji swoich ideałów architektonicznych na skalę urbanistyczną, tworząc wizję nowoczesnej metropolii, którą nazwał Miastem Rozległych Pól (Broadacre City). Byłoby to swego rodzaju miasto-ogród, przestronny, zdecentralizowany obszar domków jednorodzinnych, fabryk i biurów, szkół, terenów rekreacyjnych, ośrodków handlowych i centrów kulturalnych, budynków administracyjnych i komunalnych, ale także przedzielających je gospodarstw rolnych. Nie byłoby to ani miasto, ani wieś, lecz coś, co by łączyło wygody miasta z nieskrępowaniem wsi. Większość domków realizowałaby standardy Usonii, lecz każdy byłby inny, dostosowany do rzeźby terenu oraz indywidualnych potrzeb użytkowników, i każdy miałby akr gruntu. Wright nie wykluczał istnienia również bloków mieszkalnych, projektował je jednakże tak, by każdy lokator miał widok na park, własny ogródek do dyspozycji i dostęp do terenów rekreacyjnych. Z równą dbałością o zaspokojenie wszelkich potrzeb mieszkańców i stworzenie im warunków do realizacji całego potencjału życiowego rozwiązywał wszelkie inne funkcje swego idealnego miasta - produkcyjne, usługowe, komunikacyjne.

Nadchodzące wybory to wybory 6 listopada 1928, w wyniku których miejsce ustępującego prezydenta, republikanina Calvina Coolidge'a, zajął inny przedstawiciel tej samej partii, Herbert Hoover (1874-1964), który miał nieszczęście pełnić ten urząd w czasie, gdy nastąpiło bezprecedensowe załamanie na giełdach światowych i nastał wielki kryzys, czego pierwsze oznaki zdaje się sygnalizować jeden z następnych nagłówków gazetowych.

Oko kamery (49) jest reminiscencją z jednego z wypadów Dos Passosa do Massachusetts w czerwcu i w jesieni 1926 roku, w związku z apelacjami w tak zwanej sprawie Sacco i Vanzettiego. Szwec Nicola Sacco (ur. 1891) i domokrażny handlarz ryb Bartolomeo Vanzetti (ur. 1888) zostali aresztowani 5 maja 1920 roku w tramwaju w Brockton i oskarżeni o zastrzelenie 15 kwietnia w miejscowości South Braintree kasjera i strażnika fabryki obuwi i zrabowanie piętnastu tysięcy dolarów przeznaczonych na wypłatę. Obaj byli Włochami i anarchistami, obaj uchylali się od poboru i obawiali deportacji, obaj złożyli po aresztowaniu fałszywe zeznania, zapewne w związku ze swoją delikatną sytuacją. Natomiast dowody łączące ich z napadem były co najmniej problematyczne. W aucie, które podjechało po napastników, znajdowało się jeszcze trzech innych mężczyzn; świadkowie, którzy w Sacco i Vanzettim rozpoznali rabusiów, widzieli ich w półmroku i dokonali identyfikacji po sześciu miesiącach, a początkowo zeznali tylko, że byli to mężczyźni o wyglądzie Włochów; u żadnego z oskarżonych nie znaleziono śladu pieniędzy; obaj mieli wprawdzie rewolwery i eksperci orzekli, że jedna z kul mogła pochodzić z broni Sacco, jednakże anarchiści chodzili wówczas często uzbrojeni w obawie przed gwałtami, jakich ofiarą padali w wyniku ogólnej hysterii rozpetanej przeciwko radykałom i cudzoziemcom pod patronatem prokuratora generalnego Mitchella Palmera. Kiedy więc w wyniku rozprawy, która się toczyła przed sądem w Dedham od 31 maja do 14 czerwca 1921, obaj oskarżeni

zostali uznani winnymi morderstwa z premedytacją, za co groziła im kara śmierci, część lewicy wszczęła ogromną kampanię w przekonaniu, iż padli oni ofiarą ukartowanego spisku dlatego tylko, że są Włochami i anarchistami. Apelacje i zabiegi o wznowienie procesu trwały ponad sześć lat, odrzucane jeden po drugim przez tego samego sędziego Webstera Thayera, który wydał wstępny wyrok. Kiedy w listopadzie 1925 roku pewien Włoch skazany na śmierć za inne morderstwo przyznał się do udziału w napadzie i zaświadczył, że ani Sacco, ani Vanzetti nie brali w nim udziału, sędzia Thayer odrzucił jego zeznanie jako wybieg mający na celu odciążenie własnej egzekucji. Zignorował również wymowną ekspertyzę w obronie skazanych ogłoszoną przez wpływowego profesora prawa na Uniwersytecie Harvarda, Feliksa Franfurtera. Także Stanowy Sąd Najwyższy oddalił apelację opierając się na anachronicznym przepisie prawnym, iż tylko sąd pierwszej instancji może dopuścić nowe dowody i zarządzić nową rozprawę. Kiedy w rezultacie sędzia Thayer 9 kwietnia 1927 skazał ostatecznie Sacco i Vanzettiego na śmierć, zapanowało ogólne poruszenie, że jeden i ten sam sędzia faktycznie orzekał we wszystkich instancjach, i sprawie nadano światowy rozgłos. Powszechne protesty zmusiły gubernatora Alvana Fullera do powołania obywatelskiej komisji dla zbadania sprawy, w składzie rektor Uniwersytetu Harvarda, Abbott Lawrence Lowell, rektor Instytutu Technologii Stanu Massachusetts, Samuel Stratton, oraz emerytowany sędzia Robert Grant. Komisja ta orzekła, że proces przebiegał zgodnie z prawem i nie ma podstaw do wznowienia go, wobec czego gubernator odmówił prawa łaski i dwaj Włosi zostali straceni na krześle elektrycznym w więzieniu w Charlestown, dzielnicy Bostonu, o północy z 22 na 23 sierpnia 1927 roku. Dos Passos włączył się w akcję na rzecz Sacco i Vanzettiego w roku 1926, kiedy nowo założony lewicowy tygodnik "Nowe masy" ("New Masses") zaproponował mu napisanie reportażu o sprawie. Na prośbę komitetu obrony skazanych rozszerzył następnie swój artykuł w ponad stustronicową broszurę pod tytułem "Facing the Chair: Story of the Americanization of Two Foreignborn Workmen" ("W obliczu krzesła elektrycznego: Historia amerykańskiej dwójki robotników obcego pochodzenia"). Zbierając materiały do tych prac odwiedził między innymi Vanzettiego w więzieniu w Charlestown i Sacco w więzieniu w Dedham, odbył opisaną w tym Oku kamery wyprawę do North Plymouth, gdzie Vanzetti, nazywany tu zdrobniale Bartem, pracował w fabryce lin, dopóki go nie zwolniono za przekonania, a następnie handlował rybami; stąd pochodziła większość świadków mogących świadczyć na jego korzyść. W końcowej fazie tragedii rozmawiał również z rektorem Lowellem i brał czynny udział w wydarzeniach, które są w następnym rozdziale udziałem fikcyjnej Mary French, a które stanowią także temat przewodni Kroniki LXVI i Oka kamery (50). Do tych dwóch rozdziałików włączył też dwa wzruszające fragmenty z listów Vanzettiego do żony. Ten ostatni zrobił zresztą na nim, jak i na wszystkich, którzy się z nim zetknęli w więzieniu, szczególnie silne wrażenie swoją godnością, szlachetnością charakteru i szerokością horyzontów, na jakich opierał swoją ideologię filozoficznego anarchizmu.

Okrągłe Łby (Roundheads) to pogardliwe przezwisko purytanów walczących po stronie parlamentu przeciwko tak zwanym kawalerom popierającym Stuartów podczas rewolucji angielskiej lat 1640-1660. Nazwa, zrodzona około 1641 roku, pochodzi stąd, że wielu purytanów nosiło krótko ostrzyżone włosy, podczas gdy kawalerowie okrywali głowy modnymi perukami. Dos Passos używa tutaj tego ironicznego terminu nieco anachronicznie na oznaczenie tak zwanych Ojców Pielgrzymów (Pilgrim Fathers), zbuntowanych przeciwko Kościołowi anglikańskiemu purytańskich osadników, którzy jako pierwsi przybili do brzegów dzisiejszego Massachusetts jeszcze przed rewolucją, 21 grudnia 1620 roku, na statku "Mayflower" i założyli w Plymouth pierwszą stałą kolonię na terenie Nowej Anglii.

Wysokie zboże, uprawiane przez Indian, to oczywiście kukurydza, przywieziona wprawdzie do Europy przez Hiszpanów z Południowej Ameryki już w 16 stuleciu, ale zapewne nieznaną przybyszom z chłodnej Anglii.

Bloomington to jeden z największych nowojorskich domów towarowych na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Zachodniej Ulicy.

Człowiek Wolny ("The Freeman") to założony w 1920 liberalny tygodnik poświęcony polityce, literaturze i sztuce, redagowany przez dwóch wybitnych eseistów, literaturoznawcę Van Wycka Brooksa (1886-1963) oraz historyka Alberta Jaya Nocka (1873-1945). Pismo to wychodziło niedługo, gdyż w 1924 roku zbankrutowało, a próba wznowienia go w 1930 pod inną redakcją i tytułem zmienionym na "Nowego Wolnego Człowieka" (,The New Freeman") też zakończyła się po roku zupełnym niepowodzeniem.

Owi bohaterowie wojny klasowej to dwudziestu czterech wobhlisów z Eugenem Debsem na czele, ułaskawionych przez prezydenta Hardinga na Gwiazdkę 1921 roku. Debs odsiedział zaledwie dwa lata i osiem miesięcy ze swego dziesięcioletniego wyroku, inni podobnie. Była o tym uprzednio mowa w przypisach do stron 93 i 94. Madison Square Garden, gdzie urządzono mityng na ich cześć, było największą salą widowiskową Nowego Jorku, wybudowaną w 1890 roku i wynajmowaną na wiece, występy cyrkowe, wielkie imprezy sportowe i tym podobne. Mieściło się wówczas rzeczywiście koło Madison Square, na rogu Madison Avenue i Dwudziestej Szóstej Zachodniej Ulicy. Później, w 1925 roku, zamiast tamtej hali wybudowano jeszcze większą, mogącą pomieścić ponad osiemnaście tysięcy osób, zajmującą cały kwartał miejski między Ósmą a Dziewiątą Aleją i Czterdziestą Dziewiątą a Pięćdziesiątą Zachodnią Ulicą. Tam już odbywał się mityng, o którym jest mowa w Kronice LXVIII (por. przypis do s. 460).

Co robić? ("Czto dieiat") to napisana w 1902 roku praca Włodzimierza Lenina. w której sformułował on koncepcję i uzasadnił potrzebę powołania do życia rewolucyjnej partii proletariackiej nowego typu. Polemizował tu również z różnymi tendencjami, które uważał za niesłuszne: z tak zwanym pravicowym oportunizmem, rewizjonizmem, ekonomizmem i burżuazyjnym liberalizmem. Praca ta odegrała ważną rolę w toczących się wówczas dyskusjach z socjaldemokratami i socjalistami.

Tom (czyli Thomas) Mooney (1883-1942) to kalifornijski działacz robotniczy, skazany na karę śmierci za rzekomy udział w zamachu bombowym, w którym zginęła grupa uczestników Parady Gotowości Wojennej w San Francisco 22 lipca 1916 roku. Nacisk opinii publicznej, przekonanej o jego niewinności, oraz ujawnienie kłamliwości zeznań niektórych świadków na procesie zmusiły gubernatora do zamiany kary śmierci na dożywocie, jednakże wieloletnie starania o wznowienie przewodu sądowego nie dały rezultatu. Ostatecznie Mooney doczekał się bezwarunkowego ułaskawienia dopiero w roku 1939.

Daily Worker to gazeta marksistowska związana z Komunistyczną Partią Ameryki. Została założona w 1924 w Chicago, a w 1927 przeniesiona do Nowego Jorku, gdzie się ukazywała do 1958. W latach 1958-1968 miała tylko wydanie niedzielne pod tytułem "Worker", od 1968 do 1986 wychodziła znowu jako gazeta pod tytułem "Daily World".

Holmes, który odmówił odroczenia egzekucji Sacco i Vanzettiego, to Oliver Wendell Holmes (1841-1935), sławny jurysta, sędzia Sądu Najwyższego Stanu Massachusetts od roku 1882, powołany w 1902 przez prezydenta Teodora Roosevelta w skład Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Kiedy wszystkie zabiegi na rzecz skazanych zawiodły na szczeblu stanowym, obrońcy spróbowali ostatniej, właściwie beznadziejnej interwencji na szczeblu federalnym zwracając się do Kongresu, Sądu Najwyższego, prokuratora generalnego (nie był nim już osławiony Mitchell Palmer) i prezydenta. Oczywiście Holmes nie mógł "odroczyć egzekucji", jednakże ponieważ był znany z niezależności opinii i częstych sprzeciwów wobec orzeczeń większości Sądu Najwyższego, obrońcy prawdopodobnie liczyli, że jego głos zaważyłby korzystnie na losie skazanych.

Stara Zatoka (Back Bay) to teren dawnych rozlewisk Rzeki Karola (Charles River w Bostonie. Stopniowo osuszana od 1856, stała się dzielnicą rezydencji najbogatszych rodzin tego miasta i można się domyślać, że wspomniana przez Dos Passosa społecznica wywodziła się z którejs z nich.

Stan Kwakerski (Quaker State) to Pensylwania, nazywana tak ze względu na liczne tam niegdyś osady kwaków.

Złoto znajdowano w Kalifornii już w 1842 roku, ale wielką gorączkę roku 1849 spowodował dopiero niejaki James Marshall, cieśla, który pracując przy młynie na południowej odnodze Rzeki Amerykańskiej (American River) na północno-zachód od dzisiejszego Sacramento natrafił 24 stycznia 1848 na płynące w wodzie złote płatki. Rychło nastąpiły dalsze odkrycia i gdy wieść się rozeszła, wiosną następnego roku ruszyły ze Wschodu do Kalifornii tysiące poszukiwaczy. Większość jechała karawanami zaprzęgów tak zwanym Szlakiem Kalifornijskim (California Trail) z różnych miejscowości nad rzeką Missouri wzdłuż rzeki Platte przez dzisiejsze Nebraska, Wyoming, Idaho i Utah do Nevady, gdzie wzdłuż rzeki Humbolta docierała do gór Sierra Nevada, by wąskimi przełęczami przedostać się do Kalifornii. Mniej liczni jechali statkiem dookoła Przylądka Dobrej Nadziei albo też przez Zatokę Meksykańską do Ameryki Środkowej, łądem do Pacyfiku (Kanał Panamski jeszcze nie istniał) i znowu statkiem do San Francisco. Przed gorączką złota Kalifornia miała piętnaście tysięcy ludności, pod koniec 1849 - już sto, a w 1852 - dwieście dwadzieścia pięć. Warunki zarówno podróży, jak i egzystencji w samej Kalifornii były nad wyraz ciężkie i znacznie więcej ludzi traciło życie i zdrowie, niż zyskiwało bogactwa, jednakże już w pierwszym roku około sześciu tysięcy poszukiwaczy wydobyło złoto wartości około dziesięciu milionów dolarów, a w rekordowym 1852 osiągnięto wydobyć wartości osiemdziesięciu milionów. Od gorączki złota rozpoczął się też burzliwy rozwój San Francisco, stanowiącego naturalne zaplecze dla poszukiwaczy, a także całego stanu.

Tereny, na których znaleziono złoto, weszły w skład hrabstwa nazwanego ElDorado w oczywistym nawiązaniu do legendarnej krainy, której w Południowej Ameryce na próżno poszukiwali w 16 stuleciu konkwistadorzy. Jednakże wielomilionowy majątek George'a Hearsta (1824-1891) tylko w niewielkiej części pochodził z pól złotodajnych. Prawdziwych kroców dorobił się on na kopalniach, w które zaczął inwestować w latach sześćdziesiątych na terenach przyległych stanów zachodnich i Meksyku. Anaconda to początkowo nazwa kopalni srebra koło miasta Butte w Montanie. Wysłany tam w 1876 przez właścicieli dla zbadania nie wydajnej kopalni srebra ekspert Marcus Daly (1841-1900) odkrył na większej głębokości olbrzymie pokłady miedzi i zaczął za pieniądze między innymi Hearsta skupować okoliczne tereny. Tak zrodził się gigantyczny kartel miedziowy Anaconda oraz miasto o tej samej nazwie, założone przez Daly'ego w 1883, które wkrótce urosło do rangi potężnego ośrodka górniczo-hutniczego. Kopalnia Ofir miała swój początek w zakupie połowy praw do nadziału kopalniczego w Nevadzie, jakiego za czterysta pięćdziesiąt dolarów dokonał w 1859 roku George Hearst wraz z dwoma współnikami, Melvillem Atwoodem i A. E. Headem. Nadział ów, nazwany od legendarnej biblijnej krainy złotodajnej, skąd jakoby pochodziły skarby króla Salomona, okazał się jednak zasobny nie w złoto, lecz w srebro. Stanowił on część złoża rozslawionego na całą Amerykę pod imieniem niejakiego Henry'ego Comstocka, hodowcy owiec i poszukiwacza złota, który w tymże 1859 roku

zarejestrował prawa, jak się miało okazać, do najbogatszych terenów srebrnodajnych Stanów Zjednoczonych. Nie zdając sobie sprawy z ich rzeczywistej wartości, odprzedał je za dziesięć tysięcy dolarów i ostatecznie przeszły one w ręce Hearsta i paru innych finansistów kalifornijskich. Powstało tutaj legendarne miasto Virginia City, słynące w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z luksusu, dziś wymarłe i stanowiące jedynie atrakcję turystyczną. Złóża srebra bowiem, w znacznej mierze wskutek rabunkowej gospodarki, zaczęły się szybko wyczerpywać, wydobywanie stawało się coraz mniej opłacalne i w 1898 zaprzestano go całkowicie.

Złota Brama (Golden Gate) to cieśnina długości około 5 mil, a szerokości od 1 mili do 2 stanowiąca wejście do zatoki i portu San Francisco. Wówczas kursowały tędy promy, dopiero w latach 1933-1937 wybudowano między miastem a położonym po drugiej stronie cieśniny hrabstwem Marin sławny Most Złotej Bramy (Golden Gate bridge), jeden z najdłuższych mostów wiszących świata. Oczywiście wzgórza nad cieśniną i Pacyfikiem stanowiły najcenniejsze tereny rozbudowującego się San Francisco.

General Ulysses Grant (por. przypis do s.155) odwiedził San Francisco jesienią 1879 roku w końcowej fazie swej tryumfalnej podróży dookoła świata, którą rozpoczął w Filadelfii po złożeniu urzędu prezydenta w 1877, a ukończył tamże w dwa lata później. Podróż ta stanowiła światową sensację jako pierwsza tego rodzaju wyprawa podjęta przez najwyższego dostojnika Stanów Zjednoczonych, którego przyjmowano jak koronowaną głowę we wszystkich stolicach od Londynu po Tokio. Bankiet na otwarcie Hotelu Palace w San Francisco był popisem przepychu nowobogackiego miasta. Patronujący mu senator William Sharon, który się dorobił milionów na srebrze, przygotował między innymi dla każdego z dwustu pięćdziesięciu zaproszonych dżentelmenów pamiątkę w postaci menu drukowanego srebrem, dla eks-prezydenta zaś - drukowanego złotem.

Porfirio Diaz (1830-1915) był w latach 1877-1880 i 1884~1911 formalnie prezydentem Meksyku. Faktycznie doszedł do władzy po dokonaniu zamachu stanu w 1876 i sprawował rządy po dyktatorsku, aż obaliła go rewolucja 1911. Jakkolwiek w latach 1862-1867 walczył po stronie ówczesnego prezydenta Juareza przeciwko wojskom francuskim i cesarzowi Maksymilianowi, zawiesił następnie większość jego reform społecznych, opierał się na wielkich posiadaczach ziemskich, sprzyjał napływowi do Meksyku kapitałów zagranicznych, głównie amerykańskich.

Paszkwilant ("The Harvard Lampoon") to wydawane od roku 1876 piśmiennictwo humorystyczne studentów Uniwersytetu Harvarda, wzorowane początkowo na londyńskim "Punchu". W całości poświęcone dowcipom rysunkowym i słownym oraz tekstom humorystycznym i satyrycznym, miało znacznie szerszy zasięg oddziaływania niż pisma o charakterze literackim, "Adwokat" ("Harvard Advocate") i "Miesięcznik" ("Harvard Monthly"), z którymi współpracował później Dos Passos jako student w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową.

Grover Cleveland został wybrany na prezydenta w roku 1885.

Teatr Old Howard (zwany początkowo Howard Athenaeum od Howard Street, przy której się mieścił) został wybudowany w roku 1845 i przez ćwierć wieku był reprezentacyjnym teatrem Bostonu, wystawiającym klasyczne sztuki i opery z najslawniejszymi aktorami i śpiewakami. Mniej więcej od roku 1870 zaczął się przestawiać na widowiska w typie music-hallu, a następnie burleski (por. przypis do s. 128). **Nowomodny żurnalizm** Pulitzerowski to nowe oblicze, jakie Joseph Pulitzer (1847-1911) nadał kupionej w 1883 nowojorskiej gazecie "World". Pulitzer, urodzony na Węgrzech, uciekł z domu w wieku siedemnastu lat i zaciągnął się w Hamburgu jako ochotnik do armii amerykańskiej. Po zakończeniu wojny secesyjnej osiadł w Saint Louis w stanie Missouri, gdzie w 1868 rozpoczął karierę dziennikarską jako reporter niemieckojęzycznej gazety "Westliche Post", której wkrótce został współwłaścicielem. W 1878 kupił bankrutującą gazetę "Saint Louis Dispatch" i połączył obie w "Saint Louis Post-Dispatch". Rozpoczął wówczas kampanię przeciwko korupcji politycznej i municypalnej, która przyniosła mu szybki sukces, ale doprowadziła do zabójstwa przez jego współpracownika znanego adwokata, który przyszedł do redakcji z awanturą. Zmuszony do opuszczenia Saint Louis, Pulitzer przeniósł się do Nowego Jorku i tu na łamach "World" podjął znowu kampanię przeciwko "arystokracji pieniądza", a na rzecz "arystokracji pracy", która jak głosił, jest prawdziwą arystokracją Ameryki. Śmiałe piętnowanie wszelkich nadużyć i jasny program reform demokratycznych, połączone z sensacyjną formą i różnymi chwytliwymi innowacjami, sprawiły, że nakład "World" skoczył w ciągu roku z dziesięciu do stu tysięcy egzemplarzy, a w roku 1890 wynosił ponad dwieście tysięcy. Pulitzer, chory i ślepnący, wycofał się ze stanowiska redaktora naczelnego w 1887 i w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych gazeta, w ostrej walce konkurencyjnej, narzuconej jej przez Hearstowski "Morning Journal" (por. przypis do s. 290), katastrofalnie obniżyła swoje loty do poziomu brukowca. Dopiero ponowne włączenie się Pulitzera przywróciło jej po wojnie hiszpańskiej dawny poziom; w okresie tym, to jest aż do końca jej istnienia w 1931, kierował nią jego syn Ralph (1879-1939).

Kajus Juliusz Cezar (około 100~2 przed naszą erą) był związany we wczesnym okresie swej kariery politycznej ze stronnictwem popularów domagających się reform i ukrócenia przywilejów wielmożów. Głośne były również wspaniałe igrzyska, jakie wielkim kosztem organizował jako edyl w 65 roku dla pozyskania sobie sympatii ludu.

Alcybiades albo Alkibiades (450--404 przed naszą erą), wódz i polityk ateński, słynął z urody, wdzięku, elegancji, próżności oraz zamiłowania do uciech i być może swoim zachowaniem przyczynił się do zguby swego nauczyciela Sokratesa, skazanego za rzekome demoralizowanie młodzieży. Oskarżony o udział w świętokradczym uszkodzeniu pomników Hermesa, Alcybiades nie stawiał się przed sądem, lecz szukał schronienia we wrogiej Sparcie, potem w Persji. Jakkolwiek został potem ponownie powołany przez Ateńczyków na wodza i służył im swoim talentem militarnym, przeszedł jednak do historii jako jeden z ludzi, którzy nierozważnym przywództwem przyczynili się do ostatecznego pognębienia Aten przez Spartę.

Frederic Remington (1861-1909) to malarz i rysownik wsławiony głównie jako niestrudzony kronikarz życia Dzikiego Zachodu. Pozostawił ponad dwa tysiące siedemset obrazów i rysunków przedstawiających Indian, kowbojów, żołnierzy i innych ludzi pogranicza, przeważnie w ruchu, często konno i w dramatycznych sytuacjach. Był również korespondentem gazet Hearstowskich na Kubie w okresie powstania przeciw panowaniu hiszpańskiemu i wojny, dostarczając stamtąd rysunków, które w tym czasie wciąż jeszcze pełniły rolę dokumentacji wizualnej, wypartej dopiero w naszym stuleciu przez fotografię.

Mark Hanna (1837-1904), milioner, który się dorobił na węglu, żelazie i statkach, już w latach osiemdziesiątych stał się wpływową osobistością Partii Republikańskiej w rodzinnym Ohio. Z ramienia Wielkiej Starej Partii (Grand Old Party), jak ją nazywano, wylansował dwukrotnie (w roku 1891 i 1893) na gubernatora stanu Ohio swego przyjaciela Williama McKinleya (1843-1901). Następnie całą swą energię, koneksje i majątek zaangażował w zapewnienie mu wyboru na prezydenta w roku 1896 i reelekcji w 1900. Było to po pamiętnym krachu giełdowym 1893 roku (por. przypis do s. 25) i Hanna zrećźnie reklamował McKinleya jako "zwiastuna nadchodzącej koniunktury" ("the advance agent of prosperity"), którym McKinley rzeczywiście się okazał. Umarł w czasie swojej drugiej kadencji 14 września 1901, postrzelony w pierś i w brzuch osiem dni wcześniej przez fanatycznego anarchistę Leona Czolgosza na bankiecie z okazji Wystawy Panamerykańskiej w Buffalo, o czym jest mowa nieco dalej.

General hiszpański Valeriano Weylery Nicolau (1838-1930) został w styczniu 1896 wysłany jako gubernator na Kubę dla zdławienia tam powstania, a odwołany na interwencję prezydenta McKinleya w październiku roku następnego. Znany ze swej bezwzględności, brał udział już przedtem w wielu wojnach i służył w posiadłościach zamorskich Hiszpanii, między innymi także w latach 1874-1872 podczas poprzedniego powstania na Kubie, skąd już raz go odwołano za wyjątkowe okrucieństwo.

Pamiętajcie pancernik "Maine" (Remember the "Maine") to slogan, jakim prasa głównie Hearstowska mobilizowała opinię amerykańską do wypowiedzenia wojny Hiszpanii. Pancernik wpłynął 25 stycznia 1898 do portu w Hawanie, rzekomo z przyjacielską wizytą, faktycznie dla ochrony obywateli amerykańskich i ich mienia w związku z powstaniem i działaniami zbrojnymi przeciw powstańcom. Kiedy 15 lutego dwa wybuchy rozdarły go na pół i dwustu sześćdziesięciu marynarzy poniosło śmierć, uznano to za akt sabotażu hiszpańskiego, chociaż przyczyna wybuchu nigdy nie została ustalona i obecnie przypuszcza się raczej, że były to bomby podłożone przez Kubańczyków w celu sprowokowania USA do interwencji na ich rzecz. Rzeczywiście prezydent McKinley, mimo oporów, nie miał innego wyjścia, jak wystąpić do Kongresu (11 kwietnia) o zgodę na użycie sił zbrojnych dla zmuszenia Hiszpanów do opuszczenia Kuby, co Kongres uczynił (19 kwietnia), uznając równocześnie Kubę za państwo niepodległe.

1 maja 1898 Eskadra Azjatycka Floty Stanów Zjednoczonych pod dowództwem komandora George'a Deweya (1837-1917) wśliznęła się przed świtem do Zatoki Manilskiej i portu w Manili na Filipinach i zniszczyła dalekowschodnią flotę hiszpańską. Zatopiono jedenaście okrętów, resztę zdobyto, zabito lub raniono trzystu osiemdziesięciu jeden marynarzy hiszpańskich przy stratach własnych tylko ośmiu rannych. 13 sierpnia amerykańska piechota zajęła Manilę i w rezultacie Filipiny z posiadłości hiszpańskiej stały się na kilkadziesiąt lat posiadłością amerykańską.

Płaczki (sobsisters) to dziennikarki specjalizujące się w sentymentalnych historyjkach z życia, prawdziwych czy zmyślonych, adresowanych głównie do czytelniczek. Historyjki te pisali często pod kobiecymi pseudonimami mężczyźni, miały one swoją stałą rubrykę w gazetach, a nazwiska ich autorek czy rzekomych autorek były powszechnie znane. Z wymienionych tu trzech płaczek najtrwalej zapisała się Elizabeth Gilmer (1874-1951), publikująca pod pseudonimem Dorothy Dix, która się specjalizowała w historiach perypetii miłosnych i poradach dla nieszczęśliwie zakochanych. Zaczynała karierę jako redaktorka działu kobiecego nowoorleańskiego dziennika "Picayune" (1894-1901), po czym na kilkanaście lat przeszła do Hearstowskiego "Morning Journal" (1901-1917).

Komiksy (comic strips) zrodziły się 7 lipca 1896, kiedy Pulitzerowski "World" opublikował pierwszy z serii rysunków niejakiego Richarda Outcaulta przedstawiających satyryczną scenkę z życia mieszkańców nędzarskich bud podmiejskich. Każdy z tych rysunków opowiadał jakąś anegdotkę i każdy miał za główną postać zadziornego chłopca odzianego jakby w rodzaj żółtej koszuli nocnej (był to pierwszy wypadek wprowadzenia koloru do gazety). Podniosło to szybko nakład konkurencyjnego dziennika Pulitzerowskiego, Hearst więc podkupił Outcaulta z jego "Żółtym Chłopcem" ("Yellow Kid") i wkrótce odpowiedział wypuszczeniem ośmiostronicowego kolorowego niedzielnego dodatku rysunkowego do swego "Journal". Tutaj w rok później zaczęli się ukazywać Mali Katzenjammerowie ("The Katzenjammer Kids") młodego

rysownika Rudolfa Dirksa. Dirks stworzył schemat tego, co do dziś stanowi cechy wyróżniające komiksów: proste sytuacje anegdotyczne rozwijane do mniej lub bardziej wyraźnej puenty w serii kilku rysunków o indywidualnym stylu; stała grupa bohaterów i stały zakres tematyczny; dialogi wypisywane w balonikach nad głowami postaci. "Katzenjammerowie", wzorowani na tomie wierszy i ilustracji niemieckiego autora Wilhelma Buscha "Max i Moritz" (1865), przedstawiali życie strasznej rodziny pochodzenia niemiecko-żydowskiego, mówiącej horrendalną angielszczyzną, a złożonej z mamy pozostającej w dwuznacznych stosunkach z sublokatorom zwanym Kapitanem oraz z jej dwóch niesfornych chłopaków, Hansa i Fritza. Zabijaka Brown ("Buster Brown"), zainicjowany w 1902 przez Outcaulta, miał za bohatera wytwornego, ale złośliwego wyrostka, od którego upowszechnił się zwyczaj ubierania chłopców a la Mały Lord, w czarne aksamitne ubranka i koszulki z koronkowymi kołnierzykami. Szalony Kot ("Crazy Cat") George'a Herrimana, ukazujący się nieco później, w latach 1911-1944, wzbudzał szczególne zachwyty intelektualistów lat dwudziestych. Miał obok kota fajłapy za bohaterów mysz imieniem Ignatz i policjanta imieniem Pup (Szczeniak), a za tło porosłe kaktusami pustkowia Arizony.

Charles Francis Murphy (1858-1924), właściciel sieci szynków nowojorskich, był od roku 1902 aż do śmierci szefem tak zwanego Tammany Hall, kwatery głównej organizacji kontrolującej machinę Partii Demokratycznej w mieście i stanie Nowy Jork. Towarzystwo imienia Tammany'ego (Tammany Society), na pół legendarnego wodza Indian Delaware, zostało założone jeszcze w okresie walk o niepodległość (1786) i miało początkowo charakter patriotyczny i dobroczynny. Pod koniec 19 stulecia, całkowicie opanowane przez polityków Partii Demokratycznej, przemieniło się w narzędzie do walki o władzę, obsadzanie urzędów miejskich i stanowych oraz korzyści materialne, często przy użyciu przekupstwa i przemocy. Za rządów Murphy'ego nie było wielkich skandali ani procesów, jakie periodycznie wstrząsały Tammany przedtem i które doprowadziły do upadku znaczenia tej organizacji później, w roku 1932, chociaż skonsolidował on w swoich rękach ogromną władzę, która mu pozwoliła na wielokrotne obsadzanie swoimi kandydatami stanowisk burmistrza i gubernatora, nie wspominając już o pomniejszych urzędach. Hearst niewątpliwie zawdzięczał jego poparcie dwukrotny wybór na kongresmana ze stanu Nowy Jork (1903-1907). Swoją główną kwaterę w Hotelu Hollanda (Holland House) przy Madison Square ulokował w odległości kilkunastu przecznicy od Tammany Hall, który się wówczas mieścił na Czternastej Wschodniej Ulicy koło Trzeciej Alei.

Paryżanka to operetka jednego z mistrzów wiedeńskich, Franza von Suppego (1819-1895), wystawiona po raz pierwszy w trzy lata po jego śmierci.

Alton Brooks Parker (1852-1926), przewodniczący Wydziału Apelacyjnego Sądu Najwyższego Stanu Nowy Jork, został kandydatem Partii Demokratycznej na prezydenta po dwukrotnej przegranej uprzedniego kandydata; reformisty Williama Jenningsa Bryana (por. przypis do s. 50). Sądono, że jego bardziej konserwatywne nastawienie stworzy mu większe szanse na zwycięstwo. Przegrał jednak wybory sromotnie do popularnego kandydata Partii Republikańskiej, Teodora Roosevelta, któremu Dos Passos poświęcił rozdział "Szczęśliwy wojak" na stronach 135-140 "Roku 1919".

Charles Evans Hughes (1862-1948), z wykształcenia prawnik, uzyskał w 1906 urząd gubernatora stanu Nowy Jork jako reformatorski kandydat Partii Republikańskiej i pełnił go przez dwie kadencje do 1910. W roku 1916 kandydował jako rywal Woodrowa Wilsona na urząd prezydenta, którym omal nie został (por. przypis do s. 88 "Roku 1919"). Za prezydentur Hardinga i Coolidge'a był sekretarzem stanu (1921-1925), później przewodniczącym Sądu Najwyższego (1937~1941).

James Gordon Bennett (1841-1918) był synem, imiennikiem i następcą szkockiego imigranta, który założył w 1835 nowojorskiego "Heralda" i wkrótce uczynił go pierwszą nowoczesną gazetą amerykańską, cenioną szczególnie za wyczerpujące i bezstronne relacjonowanie wydarzeń. Bennett syn, który przejął redakcję w 1867, mieszkał od 1877 głównie w Paryżu i stamtąd za pomocą telegrafu kierował gazetą, co się ponoć odbijało niekorzystnie na codziennej pracy, szczególnie że odmawiał pełnomocnictw swoim nowojorskim redaktorom. Niemniej jednak "Herald" pozostawał dla Hearsta groźną konkurencją, gdyż obsługą reporterską i obiektywizmem górował nad jego prasą, i oczywiście wytoczenie mu procesu o nieprzyzwoite reklamy nie wynikało z rzeczywistej troski o obyczajność, lecz było chwytem w walce o czytelników. Bennett założył również londyńską i paryską mutację swej gazety, po wielu przemianach wychodzącą dziś jako "International Herald Tribune", redagowany w Paryżu, a drukowany równocześnie w kilku krajach Europy i Azji. Bennett słynął także jako miłośnik sportów i fundator pucharów w zawodach balonowych, samolotowych i jachtowych swego imienia.

Standard Oil Company, założone w 1870 roku przez Johna D. Rockefellera (por. przypis do s. 102), w ciągu niespełna dekady dzięki jego geniuszowi organizacyjnemu i bezwzględnyim metodom utracania konkurencji zdobyło kontrolę nad dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami amerykańskiego przemysłu naftowego. Już od 1892 toczyły się przeciwko Towarzystwu postępowania sądowe na mocy ustawy antytrustowej uchwalonej dwa lata wcześniej na wniosek republikańskiego senatora Johna Shermana (tak zwany Sherman Anti-Trust Act). Równocześnie Rockefeller i jego kartel należeli do głównych celów ataku gnojodłubów (por. przypis do s. 61) i już w 1904 jedna z głównych autorek tego ruchu, Ida Tarbell, opublikowała demaskatorską "The History of the Standard Oil Company". Jakkolwiek trust bronił zaciekle

swego stanu posiadania różnymi machinacjami prawno-organizacyjnymi, kampania prowadzona przeciwko niemu przez prasę Hearstowską z pewnością przyczyniła się do tego, że ostatecznie został rozwiązany wyrokiem Sądu Najwyższego w roku 1911. John Dustin Archbold (1848-1916), którego kompromitujące listy stały się głośne w toku kampanii prasowej, był od 1882 roku głównym architektem polityki Standard Oil Company i występował jako rzecznik trustu w licznych przesłuchaniach sądowych i kongresowych. Po rozwiązaniu trustu został prezesem jednego z towarzystw wchodzących uprzednio w jego skład, Standard Oil Company of New Jersey.

Partia Niezależna (Independence Party), założona przez Hearsta, była efemerydą, która nie odegrała żadnej znaczącej roli. Jednakże przed wyborami 1908 roku urządziła ona zjazd w Chicago, na którym nominowała swego kandydata na prezydenta, ale nie Hearsta, jak pisze Dos Passos, tylko niejakiego Thomasa Hisgena. Oczywiście wybory wygrał kandydat Partii Republikańskiej William Taft, a kandydat Hearsta zebrał niewiele ponad osiemdziesiąt tysięcy z blisko piętnastu milionów głosów.

John Pierpont Morgan senior (1837-1913), któremu Dos Passos poświęcił rozdział "Dom Bankowy Morgana" na stronach 314-319 "19 równoleżnika", stworzył najpotężniejszą organizację finansową Stanów Zjednoczonych, która na początku 20 stulecia przez obsadzone swymi ludźmi ponad trzysta czterdzieści stanowisk dyrektorskich kontrolowała sto dwanaście spośród największych towarzystw akcyjnych z łącznym kapitałem dwudziestu dwóch miliardów dolarów. Najpotężniejszym z utworzonych przez Morgana towarzystw była Korporacja Stali (por. przypis do s. 44). W 1917 roku, w momencie przystąpienia USA do wojny, banki Morgana, na czele których stał już wówczas John Pierpont Morgan junior (1867-1943), miały zaangażowane dwa i pół miliarda dolarów w kredytowe dostawy wojenne dla Anglii i Francji, podczas gdy kapitały amerykańskie zaangażowane po stronie Niemiec oceniano na zaledwie trzydzieści pięć milionów. William Jennings Bryan (por. przypis do s. 50) jako pacyfista musiał się oczywiście sprzeciwiać olbrzymim pożyczkom dla aliantów, słusznie przewidując, że staną się one jednym z czynników, które wciągną USA do wojny.

Stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem ulegały częstym zadrażnieniom wskutek silnych nastrojów przeciwko penetracji amerykańskiej w tym kraju. O groźnym incydencie z lądowaniem amerykańskiej piechoty morskiej w 1914 roku w Veracruz jest mowa w przypisie do s. 229 "Roku 1919". Ale faktycznym wybuchem wojny, do którego Hearstowi nie udało się ostatecznie doprowadzić, groził wewnętrzny konflikt za Rio Grande między rządem prezydenta Venustiano Carranzy a powstaniem chłopskim Pancho Villi, o których jest obszernie mowa w przypisach do stron 289 i 294 "42 równoleżnika". Licząc na wciągnięcie USA w wojnę z siłami Carranzy i skonsolidowanie własnych sił w narodowym oporze przeciwko interwencji amerykańskiej, Villa prowadził kampanię terroru przeciw znienawidzonym Amerykanom i wreszcie dokonał 8 i 9 marca 1916 roku napadu na przygraniczne miasteczko Columbus w Nowym Meksyku, w trakcie czego zabito siedemnaście osób. Prezydent Wilson wysłał niezwłocznie sześć tysięcy żołnierzy pod dowództwem generała Pershinga (por. przypis do s. 137) z zadaniem rozbicia oddziałów Villi. Wojska amerykańskie zapuściły się 600 km w głąb Meksyku, ale nieuchwytny Villa wciąż im się wymykał i wreszcie w lutym 1917 Wilson zarządził odwrót. Rząd Carranzy protestował przeciwko interwencji, do wojny jednak nie doszło.

Sędzia John Francis Hylan (1868--1936), był burmistrzem Nowego Jorku w latach 1918-1925. Jakkolwiek wybrany z ramienia Partii Demokratycznej, sprzeciwiał się niektórym praktykom Tammany Hall, co mu zyskało przydomek Uczciwego. Al(właściwie Alfred Emmanuel) Smith (1873-1944) sprawował przez cztery kadencje urząd gubernatora stanu Nowy Jork (1918-1920 i 1922-1928). Katolik z ubogiej rodziny imigrantów irlandzkich, nastawiony bardzo reformistycznie, był celem gwałtownych ataków Hearsta, który tym razem działał w przymierzu z Partią Republikańską. Smith kandydował później z ramienia Partii Demokratycznej na prezydenta w wyborach 1928 roku jako pierwszy nieprotestant, ale przegrał na rzecz Herberta Hoovera, popieranego przez urzędującego prezydenta Coolidge'a.

Ulubioną gwiazdą filmową i długoletnią kochanką Hearsta była zapomniana dziś aktorka o słodkiej urodzie, ale miernym talencie, występująca pod pseudonimem Marion Davies (1897-1961). Hearst poznał ją w 1917 roku, kiedy tak jak Olive Thomas (por. przypis do s. 45) rozpoczynała karierę w zespole Florenza Ziegfelda, i dla wykreowania jej na gwiazdę założył między innymi dwie wytwórnie filmowe, a w pewnym okresie polecił wszystkim swoim gazetom umieszczanie przez miesiąc codziennie jej zdjęcia. W rezultacie tych i innych zabiegów Marion Davies zagrała blisko w czterdziestu filmach, ale pamiętana jest dziś nie ze względu na nie, ale na głośny romans z potentatem prasowym i bajeczne luksusy, jakimi ją otaczał. Jak sama o sobie krytycznie powiedziała, na jej karierę złożył się "w pięciu procentach talent, a w dziewięćdziesięciu pięciu reklama". Nigdy nie zalegalizowany związek Hearsta z Marion Davies trwał do dnia 14 sierpnia 1951 roku, w którym zmarł on w jej rezydencji w Beverly Hills.

San Simeon w hrabstwie San Luis Obispo w połowie drogi między San Francisco a Los Angeles stanowiło część olbrzymiego pohiszpańskiego rancza o powierzchni 48 000 akrów, czyli blisko 20 000 hektarów, które jako jedną ze swoich inwestycji nabył na początku lat sześćdziesiątych stary George Hearst płacąc po sześćdziesiąt centów za akr.

Trzydziestopiętrowy Gmach Towarzystwa Elektrycznego Graybarna Lexington Avenue między Czterdziestą Trzecią a Czterdziestą Czwartą Wschodnią Ulicą, w bezpośrednim sąsiedztwie dworca Grand Central, z którym ma połączenie podziemnym pasażem, mieścił obok innych firm wiele renomowanych agencji reklamowych. Wzniesiony w 1927 roku uchodził wówczas za największy biurowiec świata, o powierzchni użytkowej ponad miliona stóp kwadratowych, czyli prawie stu tysięcy metrów. Już w czasie niespełna dwuletniej budowy prasa rozpisywała się o jego nowatorskiej konstrukcji stalowej, ulepszonym systemie ogrzewczym, windach szybkobieżnych. Nazwa pochodzi od pierwszych sylab nazwisk wynalazcy Elishy Graya i telegrafisty Enasa Bartona, założycieli, (w 1869 roku) Western Electric Company, z którego w 1925 wyłonione zostało Graybar Electric Company.

Książę Walii to najstarszy syn króla Jerzego V i następca tronu, późniejszy król Edward VIII (1894-1972), który po niespełna rocznym panowaniu abdykował w 1936 roku, aby poślubić Amerykankę i rozwódkę, panią Wallis Warfield Simpson. Książę Walii podróżował w tym okresie często po świecie jako oficjalny wysłannik Korony Brytyjskiej i między innymi odwiedził w 1924 USA. Wątpliwe, żeby już w wieku trzydziestu lat miał pijackie worki pod oczami. Dos Passos myśli niewątpliwie o jego późniejszych fotografiach z okresu kryzysu abdykacyjnego, kiedy to pisał "Ciężkie pieniądze".

Battle Creek w stanie Michigan, znane jako Miasto Zdrowia (Health City), jest siedzibą założonego w 1866 roku przez adwentystów dnia siódmego Instytutu Reformy Zdrowotnej (Health Reform Institute), przemianowanego w 1876 na Battle Creek Sanitarium. Organizatorem i dyrektorem sanatorium był głośny doktor John Harvey Kellogg (1852-1943), propagator zdrowej żywności, wynalazca surogatów kawy i herbaty i założyciel wielkiej wytwórni płatków kukurydźanych, odżywek i tym podobnych produktów.

Góra Athos, wysokości 2032 m, na końcu wschodniego spośród trzech cyplów Półwyspu Chalcydycznego w północno-wschodniej Grecji, wznającego się na odległość 45 km w wody Morza Egejskiego, stanowi siedzibę dwudziestu klasztorów prawosławnych, w tym siedemnastu greckich oraz po jednym rosyjskim, bułgarskim i serbskim, podległych bezpośrednio patriarche Konstantynopola. Pierwszy klasztor powstał w 936 roku, ale już w czasach wczesnego chrześcijaństwa istniały tu liczne eremy, a w 7 stuleciu cesarz bizantyjski Konstantyn Pogonat oddał cały cypel, noszący również nazwę Athos, w wyłączne władanie osiadłym na nim mnichom. Ta swego rodzaju republika mniszka przetrwała czasy bizantyjskie, tureckie i chrześcijańskie, a chociaż w 1913 roku została włączona do Grecji, zachowała do dziś autonomię. Władzę sprawuje w niej komitet złożony z jednego przedstawiciela każdego klasztoru. Klasztory stanowią zamknięte warowne zespoły, do których nie wpuszcza się żadnej istoty płci żeńskiej, kobiety ani zwierzęcia. Za murami klasztorów kryją się wspaniałe zbiory sztuki bizantyjskiej, nie zbadane do dziś biblioteki i archiwa. **Archimandryta** to tytuł wyższego duchownego prawosławnego, zwykle przełożonego klasztoru lub kilku klasztorów. Jednakże wydaje się, że archimandryta bawiący z wizytą u Eleonory był raczej gościem niż przełożonym któregoś z klasztorów na górze Athos.

Piękne złote lub pozłacane korony pełnią ważną rolę w obrzędzie zaślubin w Kościele prawosławnym, niesione nad głowami oblubieńców, kiedy dokonują oni ceremonialnego obchodu cerkwi.

Trzej bracia Shubertowie, Lee (1875-1953), Sam (1874-1905) i Jacob (1884-1963), byli twórcami imperium teatralnego, które odegrało kolosalną rolę w dziejach sztuki scenicznej w Ameryce. Rozpocząwszy karierę jako kierownicy trup objazdowych w rodzinnym mieście Syracuse w stanie Nowy Jork, w 1900 roku przenieśli się do samego Nowego Jorku, gdzie skupowali coraz większą liczbę teatrów, które wynajmowali niezależnym producentom. W ten sposób w ciągu dziesięciu lat złamali monopol Syndykatu Teatralnego (Theatrical Syndicate) Charlesa Frohmana (1864-1915), który był od 1895 roku dyktatorem sceny amerykańskiej. Od roku 1900 do 1945 Shubertowie wystawili ponad pięćset sztuk i komedii muzycznych, a u szczytu swojej potęgi kontrolowali sześćdziesiąt jeden najważniejszych teatrów na terenie całych Stanów, stając się sami niemalże monopolistami. Jeszcze w roku śmierci najstarszego z braci, Lee, Spółka Teatralna Shubertów (Shubert Theatrical Company); mająca od 1913 roku swoje biura na górnych piętrach Teatru imienia Sama Shuberta na Czterdziestej Czwartej Zachodniej Ulicy, była właścicielem osiemnastu teatrów w samym Nowym Jorku. Oczywiście Shubertowie jako ludzie interesu chcieli zarabiać na swoich inscenizacjach, ale mieli też ogromne wyczucie sceny i wystawili wiele wybitnych sztuk oraz angażowali najlepszych reżyserów i aktorów. Nie wydaje się jednak, aby awangardowa sztuka lansowana przez Ewelinę mogła być propozycją naprawdę dla nich interesującą.

Miasto Zagłady (City of Destruction) to świat nie nawróconych na nową wiarę w alegorycznej powieści "Wędrowki pielgrzyma" ("The Pilgrim's Progress", 1678-1684) angielskiego pisarza i kaznodziei sekty baptystów, Johna Bunyana (1628-1688), więzionego przez dwanaście lat po restauracji Stuartów za nieprzestrzeżenie królewskich edyktów religijnych. Jego bohater odbywa wędrowkę z Miasta Zagłady do Miasta Niebiańskiego (Celestial City) wstępując po drodze jeszcze do wielu innych miejsc o alegorycznych nazwach, takich jak Targowisko Próżności (Vanity Fair), miejsc, które wraz z obu Miastami weszły do zasobu pojęć angielskiego obszaru językowego niemal na równi z niektórymi pojęciami biblijnymi.

Kongresowy (Congressional) to ekspres kursujący między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem.

Klub Kolonialny (Colony Club) mieścił się na Park Avenue koło Sześćdziesiątej Drugiej Wschodniej

Ulicy, w sześciokondygnacyjnym georgiańskim budynku z czerwonej cegły, wzniesionym koło 1915 roku. Położony w dzielnicy elity finansowej, był miejscem spotkań pań z najwyższych sfer towarzyskich.

Imiona czarujących Binghamówien są oczywiście zaczerpnięte z mitologii greckiej i stanowią swoistą ilustrację ostentacyjnej uczoności ich ojca, wprzęgniętej w służbę jego podejrzaną kampanii zdrowotnej i niemniej podejrzanym produktom leczniczym. Hygeia (Hygieja w transkrypcji polskiego wydania "Słownika mitów greckich i rzymskich" Pierre'a Grimala) to według różnych przekazów jedna z córek lub dziewcząt z orszaku boga sztuki lekarskiej Asklepiosa (rzymskiego Eskulapa), uważana za personifikację Zdrowia. Althea (Altaja w polskiej transkrypcji) to żona Ojneusa, króla Kalydonu, który według jednego z mitów wypożyczył ją zakochanemu w niej Dionizosowi, za co bóg ów ofiarował mu w podzięcie krzew winnej latorośli i nauczył go jej hodowli. Myra (Myrra) to królowna syryjska, którą gniew Afrodyty popchnął do kazirodczego stosunku z własnym ojcem i która uchodząc śmierci z jego ręki, kiedy odkrył prawdę, została przez bogów przemieniona w drzewo mirry. Po dziesięciu miesiącach kora drzewa pękła i wydało ono na świat dziecię płci męskiej, które nazwano imieniem Adonis.

NBC to National Broadcasting Company (Narodowe Towarzystwo Radiowe), pierwszy koncern radiowy Ameryki, utworzony w 1926 roku przez istniejącą już od sześciu lat Korporację Radiową Ameryki (Radio Corporation of America), która do 1924 roku zdążyła sprzedać ponad milion radiodbiorników. Inauguracyjna audycja NBC 15 listopada 1926 była transmitowana przez dwadzieścia cztery radiostacje od Nowej Anglii po Kansas City, a mecz pucharowy futbolu amerykańskiego w dniu Nowego Roku 1927 stał się pierwszą audycją transmitowaną na cały kontynent. W 1927 NBC uruchomiła drugi program ogólnoamerykański, nieco później w tym samym roku powstał konkurencyjny koncern CBS (Columbia Broadcasting System), a w 1934 następny MBS (Mutual Broadcasting System). Pomiędzy rokiem 1922 a 1927 liczba radiostacji w USA skoczyła z trzydziestu na siedemset trzydzieści dwie, a liczba odbiorników z sześćdziesięciu tysięcy na sześć i pół miliona.

Nieśmiertelny bard to oczywiście Szekspir. Bingham parafrazuje tutaj słowa Hamleta (akt II, scena 2) z jego wspaniałej przemowy do Rozenkranca i Gildensterna.

Basen Pływowy (Tidal Basin) w Waszyngtonie, niedaleko Białego Domu, to zbiornik wodny połączony śluzami z Potomakiem. Mimo że rzeką jest stąd do oceanu około 185 km, jej korytem o szerokości dochodzącej w estuarium do 13 km sięgają aż tutaj przypyływy i odpływy oraz docierają statki pełnomorskie. Cotygodniowa **kronika filmowa Pathego** (Pathe Journal), pierwsza w świecie, istniała od roku 1909, a od 1910 była wyświetlana w USA pod nazwą Pathe Newsreel. Charles Pathe (1863-1957), jeden z pionierów filmu francuskiego, założył w 1896 wspólnie z bratem Emilem (1866-1937) towarzystwo eksploatacji filmów Bracia Pathe (Pathe Freres), a w rok później wytwórnię filmową w Vincennes pod Paryżem. Firma rozrosła się następnie w koncern produkujący również aparaturę filmową i elektroakustyczną (między innymi gramofony nazwane od nazwiska braci patefonami). W 1906 roku zaczęto w wytwórni nakręcać przeglądy aktualności filmowych, przekształcone po trzech latach w regularną kronikę, która obok wersji francuskiej i amerykańskiej miała także wersję angielską i niemiecką. W 1928 koncern braci Pathe przeszedł pod kontrolę English Columbia Company.

Klinika braci Mayo (Mayo Clinic) w Rochester w stanie Minnesota jest najslawniejszą prywatną kliniką w USA. Zrodziła się ze Szpitala Najświętszej Marii Panny (St. Mary's Hospital), założonego w 1889 roku przez siostry franciszkanki w tym wówczas pogranicznym mieście. Cały personel lekarski szpitala składał się początkowo z trzech doktorów Mayo, Williama Worralla (1819-1911), który przybył w 1854 z Wielkiej Brytanii i ukończył studia w Missouri, oraz jego dwóch synów, Williama Jamesa (1861-1939) i Charlesa Horace'a (1865-1939), którzy urodzili się już w Minnesocie, a studia ukończyli jeden w Michiganie, drugi w Illinois. Wszyscy trzej byli chirurgami, a ich szpital jedynym wyposażonym odpowiednio do większych operacji na terenie stanów Minnesota, Iowa oraz Północna i Południowa Dakota. W tym czasie rozpoczął się w Europie i Ameryce gwałtowny rozwój antyseptycznej chirurgii, a bracia co roku odbywali podróże studyjne, po czym wypracowywali i wprowadzali u siebie nowe techniki diagnostyczne i operacyjne. Ich osiągnięcia spotykały się początkowo z niedowierzaniem, ale wkrótce przyniosły im międzynarodową renomę. W rezultacie ich klinika rozwinęła się w kooperatywne stowarzyszenie około dwustu wybitnych specjalistów różnych dziedzin medycyny i składa się dziś z całego miasteczka szpitali i hoteli dla zamożnych pacjentów zjeżdżających tu z całego świata. W 1915 roku bracia utworzyli przy klinice Fundację Studiów i Badań Medycznych (Mayo Foundation for Medical Education and Research), działającą obecnie pod patronatem Uniwersytetu stanu Minnesota.

Paul Moritz Warburg (1868-1932), urodzony w żydowskiej rodzinie hamburskich bankierów, był od 1902 współwłaścicielem wpływowego nowojorskiego domu bankowego Kuhn, Loeb & Co., wspomnianego uprzednio w przypisie do s. 135. Uznany za jednego z najwybitniejszych ekspertów finansowych Ameryki, położył w latach 1914-1918 wielkie zasługi w organizacji i wdrażaniu tak zwanego Federalnego Systemu Zasobów Finansowych (Federal Reserve System), powołanego przez prezydenta Wilsona dla uzdrowienia i usprawnienia działalności banków. Nazwisko Warburga trafiło na pierwsze strony gazet w marcu 1929 roku, kiedy wystąpił on z ostrzeżeniem, że szaleńcze spekulacje giełdowe muszą doprowadzić do krachu, jeśli nie

zostaną w porę ukrócone. Jak przewidywał, załamanie na giełdzie nowojorskiej, które zapoczątkowało wielki światowy kryzys, nastąpiło 3 października, a osiągnęło krytyczne rozmiary 29, kiedy do sprzedaży za byle jaką cenę rzucono prawie szesnaście i pół miliona akcji. Analizując przyczyny kryzysu Warburg podkreślał później katastrofalne skutki utrzymywania wysokich cen za pomocą barier celnych i innych sztucznych środków w okresie wciąż rosnącej produkcji masowej.

Hialeah, miejscowość willowa stanowiąca dziś część wielkiego Miami, słynie z toru wyścigów konnych, na którym rozgrywane jest wiele spośród najważniejszych gonitw w Stanach Zjednoczonych.

Filet mignon (fr.) - polędwica.

Raj Małego (Small's Paradise) to nocny lokal w czarnym Harlemie pod numerem 22941/2 na Siódmej Alei, modny w latach dwudziestych wśród bohemy nowojorskiej.

Gloria Swanson (1898-1983) to słynna hollywoodzka gwiazda filmu niemego, która rozpoczęła karierę jako kąpiąca się piękność w jednoaktówkach Marka Sennetta. W latach dwudziestych grała w wielu głośnych filmach. W 1950 roku przypomniał ją reżyser Billy Wilder powierzając jej dramatyczną główną rolę w "Bulwarze Zachodzącego Słońca".

Radykałowie pobili się krzesłami na mityngu jedności w Madison Square Garden (por. przypis do s. 389) 16 lutego 1934 roku. Dos Passos, jak zwracają uwagę komentatorzy, wybiega tu o parę lat naprzód w stosunku do wszystkich innych tekstów Kroniki LXVIII, które przedstawiają różne reakcje społeczne na wydarzenia roku 1929 i narastający kryzys. Jest to jakby osobisty akcent katastroficzny dodany do obrazu katastrofy ogólnej, mityng ten bowiem był dla Dos Passosa momentem, od którego zaczęło się załamanie jego wiary w możliwości wspólnego działania lewicy na rzecz poprawy warunków życia ludzi pracy. Wielki mityng został zwołany przez kilka związków zawodowych wspólnie z Partią Socjalistyczną dla zaprotestowania przeciwko krwawej rozprawie kanclerza Engelberta Dollfussa z austriacką lewicą. Planowany przebieg mityngu został zakłócony przez komunistów, którzy urządzili hałaśliwą demonstrację przeciwko obecności burmistrza Nowego Jorku, Fiorella LaGuardii, oraz wiceprzewodniczącego Amerykańskiej Federacji Pracy, Matthew Wolla, okrzykując ich faszystami i próbując przejąć inicjatywę. Mówcom nie dano przemawiać, doszło do bójek i mityng został zerwany. Dos Passos, który od lat głosił potrzebę jedności lewicy, po tym wydarzeniu zrehabilitował i podpisał z kilkunastoma innymi osobami list protestacyjny, który się spotkał z bardzo ostrą odprawą "Nowych Mas". W odpowiedzi Dos Passos wystosował list do redakcji, w którym wskazywał, że takie incydenty, świadczące o zacietrzewieniu i fanatyzmie, prowadzą ruch lewicowy do chaosu i klęski i mogą tylko szkodzić sprawie. Był to jeden z pierwszych przejawów jego rozbratu z lewicą.

Wieża Śpiewająca (Singing Tower) mieści się na wschód od Tamy nad jeziorem Wales, na najwyższym, choć niespełna stumetrowym wzniesieniu Florydy. Ufundował ją wraz z pobliskim rezerwatem ptasim w 1929 roku holenderski imigrant Edward William Bok (1863-1930), przywieziony w wieku siedmiu lat do Ameryki, gdzie zrobił ogromną karierę jako wydawca "Dziennika Pani Domu" ("Ladies' Home Journal"), który pod jego kierownictwem stał się jednym z najpopularniejszych miesięczników USA i pierwszym nowoczesnym magazynem kobiecym. Na wieży, u stóp której Bok został w rok później pochowany, mieści się tak zwany carillon, czyli urządzenie do wygrywania melodii na zestawie dzwonów, których zainstalowano tutaj niebywałą liczbę siedemdziesięciu jeden.

Oko kamery (51) jest reminiscencją Dos Passosa z jego podróży w listopadzie 1931 roku do hrabstw Harlan i Bell we wschodnim Kentucky, w grupie ośmiu osób pod przewodnictwem sławnego pisarza Teodora Dreisera (1871-1945). Dreiser, przewodniczący Narodowego Komitetu Obrony Więźniów Politycznych (National Committee for the Defence of Political Prisoners), zwrócił się w sierpniu do Dos Passosa, aby ten stanął na czele Narodowego Komitetu Pomocy Strajkującym Górnikom w Walce z Głodem (National Committee to Aid Striking Miners Fighting Starvation). Około czterdziestu tysięcy górników strajkowało wówczas przeciwko horrendalnym warunkom i wyzyskowi w kopalniach węgla Pensylwanii, Ohio, Zachodniej Wirginii i Kentucky. Dos Passos podszedł do sprawy bardzo sumiennie, wystosował do prasy apel o pomoc, spędził pięć dni w Pensylwanii badając na miejscu warunki i rozmawiając z górnikiem. Następnie wraz z komisją Dreisera pojechał do Kentucky, gdzie sytuacja była najgorsza. Miejscowe władze, policja, właściciele kopalń potraktowali ich jak nasłanych agitatorów i wnieśli przeciwko nim do sądu oskarżenie o "kryminalny syndykalizm", za który według miejscowego prawa groziło do dwudziestu jeden lat więzienia i do dziesięciu tysięcy dolarów grzywny. Do sprawy nie doszło, ale też komisja, jak stwierdził później sam Dos Passos, żadnej zasadniczej poprawy warunków życia górników nie wywalczyła. Uzyskała dla nich jednak pomoc materialną oraz nadała ogólnokrajowy rozgłos sytuacji. Nowojorski "Herald Tribune" Bennetta (por. przypis do s. 418) wydrukował serię artykułów o ustaleniach komisji, sam Dos Passos zaś przygotował do druku tom zebranych materiałów pod tytułem "Harlan Miners Speak" ("Mówią harlańscy górnicy"), który się ukazał w marcu 1932.

Targowisko próżności ("Vanity Fair") to magazyn polityczno-społeczny wydawany w Londynie od 1868 roku, o tytule identycznym ze sławną powieścią Williama Makepeacea Thackeraya, która się ukazała dwadzieścia lat wcześniej, a zaczerpniętym z "Wędrówek pielgrzyma" Johna Bunyana (por. przypis do s. 442). We wczesnym okresie swego istnienia było to pismo nadające ton w najwyższych kręgach towarzyskich

Wielkiej Brytanii. Słynęło szczególnie ze świetnych rysunków satyrycznych i karykatur osobistości życia publicznego, politycznego, sądowego. Na przełomie wieków ukazywało się przez pewien okres pod redakcją naczelną Franka Harrisa, późniejszego autora skandalicznego pamiętnika, publikowanego po polsku pod tytułem "W pogoni za pełnią życia". W 1928 roku pismo zostało połączone z brytyjskim wydaniem Hearstowskiego "Harper's Bazaar" i przekształcone w magazyn mód.

W **MenloPark**, w stanie New Jersey koło New Brunswick, miał Thomas Alva Edison swoje laboratoria od roku 1876 do 1887, kiedy to przeniósł je do West Orange koło Newark również w New Jersey. Edisonowi poświęcił Dos Passos rozdział "Twórca elektrycznych cudów" na stronach 282-286 "42 równoleżnika". **LakeShore Drive** to bulwar biegnący wzdłuż brzegu jeziora Michigan w Chicago, przy którym mieszkało wielu najbogatszych ludzi miasta.

Donald Randall Richberg (1881-1960) i Harold LeClairickes (1874--1952) to dwaj adwokaci chicagowscy, którzy próbowali się przeciwstawić podporządkowaniu polityki miejskiej i stanowej interesom wielkiego kapitału. Richberg był radcą prawnym zarządu miasta i urzędu gubernatorskiego; Ickes, który zaczynał karierę jako reporter jednej z gazet chicagowskich, zaangażował się później w kampanię na rzecz polityków lokalnych i federalnych o programie reformatorskim. Obaj służyli w okresie Nowego Ładu prezydentowi Franklinowi Rooseveltowi jako administratorzy agend rządowych powołanych do wyprowadzenia USA z kryzysu. Ickes był ponadto w okresie drugiej wojny światowej sekretarzem spraw wewnętrznych (por. przypis do s. 82) i podlegała mu między innymi kontrola nad takimi surowcami o znaczeniu strategicznym, jak węgiel i ropa naftowa.

William Hale Thompson (1869-1944), zwany Wielkim Billem, pełnił przez trzy kadencje urząd burmistrza Chicago (1915-1923 i 1927-1931). Był barwną ekspansywną postacią, rządził za pomocą sprawnej i karnej maszyny politycznej, ale zapisał się w historii miasta tylko pewną liczbą szeroko reklamowanych inwestycji komunalnych. Ubiegając się o reelekcję w 1927 roku podjął kampanię przeciwko podręcznikom historii używanym w szkołach chicagowskich, oskarżając je o rzekome wybielanie polityki Anglii wobec kolonii amerykańskich w okresie poprzedzającym uzyskanie niepodległości, przy czym pozwalał sobie na niewybredne wycieczki przeciw ówczesnemu królowi angielskiemu, Jerzemu V (1865-1936), co nabrało światowego rozgłosu i wywołało sporo wesołości, ale zapewniło mu zwycięstwo w wyborach. Wybudował na Wacker Drive nowy gmach dla Chicagowskiej Opery Komunalnej (Chicago Civic Opera), na którego inaugurację wystawiono 4 listopada 1929 roku "Aidę" Verdiego. Sala była pomyślana tak, żeby mogła swoim wynajmem na wielkie imprezy publiczne zarobić na pokrycie deficytu przedstawień operowych, ale okazało się, że jej rozmiary hali dworcowej czynią ją mało przydatną do celów artystycznych. Thompson ubiegał się w 1936 roku bez powodzenia o urząd gubernatora stanu Illinois.

Owen D. Young (1874-1962) był w latach 1913-1922 głównym radcą prawnym, a w latach 1922-1939 przewodniczącym rady nadzorczej General Electric Company. Pełnił również funkcje prezesa rady nadzorczej Radio Corporation of America (1919-1929) oraz dyrektora Federalnego Banku Zasobów Finansowych w Nowym Jorku (1923-1940).

Cyrus Eaton (1883-1979) to przemysłowiec i finansista z Cleveland. Jego nazwisko głośnie było w lipcu 1957 roku, kiedy zaprosił uczonych z całego świata do swojej posiadłości Pugwash w prowincji Nowa Szkocja w Kanadzie na pierwszą konferencję tak zwanego następnie Ruchu Pugwash. W 1960 roku otrzymał Międzynarodową Nagrodę Leninowską.

Demostenes (384-322) był najślawniejszym mówcą starożytnej Grecji. Zachowało się ponad sześćdziesiąt jego mów politycznych i sądowych, z których do historii przeszły szczególnie tak zwane "Filipiki", mowy, w których ostrzegał Greków przed najazdem Filipa Macedońskiego.

Lignit (od łac. lignum - drewno) to cenna odmiana węgla brunatnego z dobrze zachowaną strukturą drewna.

Pani Magda Lupescu (około 189~1977) była kochanką, a później żoną króla Karola II rumuńskiego (1893-1953). Nawiązali oni głośny romans około 1921 roku, kiedy ona była młodą żoną oficera, a on następcą tronu ożenionym z księżniczką grecką Heleną. Wskutek skandalu Karol został zmuszony w 1925 do zrzeczenia się praw do tronu i zamieszkał z panią Lupescu we Francji. W 1930 wrócił do Bukaresztu i usunął od władzy swego syna, Michała, który trzy lata wcześniej objął tron po swym dziadku Ferdynandzie I (por. przypis do s. 225). Oba małżeństwa zostały tymczasem rozwiązane i pani Lupescu, która wróciła wraz z Karolem, wywierała znaczny wpływ na sprawy publiczne w czasie jego dziesięcioletnich rządów. W roku 1940 Karol został ponownie zmuszony do rezygnacji z tronu na rzecz syna i mieszkał z panią Lupescu aż do śmierci w Hiszpanii, Ameryce Południowej i Portugalii. W 1947 wzięli ślub.

W **1936 roku**, kiedy Dos Passos publikował "Ciężkie pieniądze", Samuel Insull, urodzony w 1859 roku, miał siedemdziesiąt siedem lat. Umarł dwa lata później w Paryżu.

Policja Węgla i Stali (Coal and Iron Police) była to prywatna policja utrzymywana przez właścicieli do ochrony kopalń i hut w wielu okręgach przemysłowych. Wsławiła się licznymi aktami brutalności.

Związek Górników, a właściwie Związek Pracowników Górnictwa (United Mine Workers of America) powstał w 1890 roku z kilku istniejących wcześniej, mniejszych związków, zrzeszając wszystkich

zatrudnionych w kopalniach, pod ziemią i na ziemi, bez żadnych praktyk dyskryminacyjnych. Aczkolwiek afiliowany przy Amerykańskiej Federacji Pracy, zachowywał zawsze dużą niezależność. Już w pierwszym dziesięcioleciu istnienia przeprowadził kilka zwycięskich strajków, uzyskując między innymi w 1898 osmiogodzinny dzień pracy. Wiele innych praw (wśród nich opiekę zdrowotną, fundusz socjalny i emerytury) wywalczył pod bojowym przywództwem Johna Lewisa w latach 1920-1940. Por. również przypisy do stron 121 i 131.

Międzynarodówka Obrony to International Labor Defense (dosłownie: Międzynarodowa Obrona Pracy), organizacja pomocy strajkującym i więzionym, związana z Partią Komunistyczną. Dos Passos stykał się z jej działalnością na początku lat trzydziestych (między innymi w hrabstwie Harlan) i miał jej przywódcom za złe, że się kierują doktrynalnymi przesłankami w akcjach obronnych i przy udzielaniu pomocy.

Tuczny cielec to aluzja do historii o synu marnotrawnym, opowiedzianej w Ewangelii według świętego Łukasza, rozdział 15, werset 23. Przebacząc powracające-mu synowi ojciec mówi do sług: "I przyprowadźcie tuczego cielca, i zabijcie; a jedzmy i ucztujmy".

Opinia o wobblisach jako nierobach oparta jest na propagandowym sloganie, złośliwie interpretującym nazwę organizacji IWW jako skrót zdania "I Won't Work" - "Nie będę pracował". Por. przypis

Foret Vierge (fr.) - las dziewiczy.

Longchamps to jeszcze jedna firma prowadząca restauracje (w liczbie dwunastu) na nowojorskim Manhattanie. Są one jednak znacznie droższe i elegantsze od wspomnianych wcześniej restauracji Childsa i Schraffa.

Teatr Eolski (The Aeolian Hall) był to zespół sal koncertowych, wybudowany w 1912 roku przy Czterdziestej Drugiej Ulicy Zachodniej między Piątą a Szóstą Aleją, przerobiony w latach kryzysu na pięcio- i dziesięciocentowy dom towarowy. Obecnie mieści się tu elegancki pasaż handlowy, łączący Czterdziątą Drugą i Czterdziątą Trzecią Ulicę, z którego się wchodzi do Szkoły Podyplomowej Uniwersytetu Miasta Nowy Jork (City University of New York), zajmującej dawne pomieszczenia Teatru Eolskiego.